

Tom 152.

Nr. 454.

PRZEGLĄD P O L S K I.

ROK TRZYDZIESTY ÓSMY. / 4

Zeszyt X. Miesiąc Kwiecień 1904 r.



W KRAKOWIE,
EKSPEDYCYA W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ
1904.

SPIS RZECZY

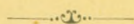


Pizey
61
01813(05)

70/38-4

Stt.

- I. Z powodu trzynastowiekowego jubileuszu Grzegorza Wielkiego, przez Dr. Pawła Popiela 1
- II. Z najnowszej literatury dramatycznej Niemiec, przez Dr. Józefa Flacha 14
- III. Stronnictwa polityczne polskie pod rządem pruskim, przez Jana Żółtowskiego 55
- IV. Edyp Król. Tragedya Sofoklesa. Przełożył Kazimierz Morawski (dokończenie). 74
- V. Z dziejów polsko-rosyjskich stosunków handlowych. Notatka historyczna, 1819 — 1832 (dokończenie), przez Jana Robaka 98
- VI. Sprawy krajowe. XV. Nasze górnictwo. I. Węgle i kruszce, przez Dr. Władysława Szajnochę . 120
- VII. Kronika literacka 133
Z. Gloger: Encyklopedia Staropolska Ilustrowana. T. I, II, III, IV. — X. Piotr Skarga: Kazania Sejmowe (z przedmową I. Chrzanowskiego). — W. Gostomski: Z przeszłości i teraźniejszości.
L. Barnay: Erinnerungen. 2 t. — P. Ghio: L'anarchisme aux États-Unis.
Z literatury powieściowej. M. von Ebner-Eschenbach: Die arme Kleine. — H. Salus: Novellen des Lyrikers. — J. Blicher-Clausen: Kjeld. — F. Norris: The Octopus. — G. Atherton: The Doomsdwoman. — G. Atherton: The Aristocrats.
- VIII. Teatr krakowski, przez Dr. Feliksa Konecznego. Muzyka w Krakowie, przez Witolda Noskowskiego 164
- IX. Przegląd polityczny, przez * * 176
- X. Książę Ludwik Windisch-Graetz. Wspomnienie pośmiertne, przez Stanisława Tarnowskiego . 184



Z powodu trzynastowiekowego jubileuszu Grzegorza Wielkiego.

Trzyście wieków temu z jednej z najstarszych i naj-
sławniejszych rodzin rzymskich, potężnej *gens Anicia* wyszła
młoda latorośl, która jakoby blaskiem zorzy miała opromie-
nić ostatnie prześwietnej arystokracji rzymskiej dzieje. Spo-
łeczeństwo żadne bez jakiegokolwiek arystokracji obyć się nie
może; będzie-li ona polegać na rodzie i tradycyi, na chwilo-
wej zasłudze, rozumie czy pieniądzech, jakaś mniejszość mię-
dzy ludźmi się wykląć musi, która w naturalnym rzeczy po-
rządku ster i kierunek sprawy publicznej w ręce ujmie; a biada
społeczeństwu, które takiego, na szereg pokoleń starczącego
żywiolu, w łonie swoim wytworzyć nie zdołało. Naród rzym-
ski więcej od wszystkich z tą tradycją rodzinną dziejami
swemi był związany i ten wpływ przetrwał całą republikę,
zapuścił swe korzenie w głąb cesarstwa i wtedy, gdy z im-
peryum rzymskiego cień zaledwie pozostał, zdołał jeszcze
wytworzyć zawiązek nowego państwa. Za czasów swego roz-
kwitu nie przestała ta arystokracja wydawać wodzów i het-
manów, rolników i mężów stanu, mowców i pierwszych na
świecie prawodawców, a gdy nad ziemią błysło światło
Ewangelii, męczenników i wyznawców; ponieważ zaś wtedy
wobec nieprawości ludzkiej raczej potrzeba zachodziła litości
i przebaczenia, niż hartu i bitności, promienieją te dzieje ko-
biecością nieporównaną, wdziękiem uroku i wszelkiego nie-
wieściego daru i wdzięku — Cecylia, Agnieszka, Agata; każdy

ukorzyć się musi przed tym majestatem panieństwa, któremu jeszcze Niepokalana Dziewica dała za podnóże rąbek swego królewskiego płaszcza.

Kiedy zaś to wszystko minęło, kiedy wędrówka narodów starła do czasu na proch resztki helleńsko-lacińskiej kultury, kiedy co więcej chrześcijaństwo ogniem prześladowania na stal zabartowane poczęło się kazić herezjami, a teologiczni despoci z Carogrodu swym niepowołanym i zgubnym wpływem narzucać się Kościołowi, kiedy ziemia chwiała się w posadach, a ludzie myśleli o końcu świata — jeszcze wtedy Anicjusze na ostatnie zdobyli się pacholę. Pacholę rozwijało się, męźniało w konarach i wyrosło na potężnego dęba, pod którym zasiadali, jak mówi Księga Mądrości, senatorowie ziemi, ale zarazem nędzarze, uciśnieni i biedni całego świata pod jego dobroczynnym cieniem znajdowali pokój i wytechnienie. Potomkiem tego potężnego rodu rzymskiego był Grzegorz Wielki.

Dwunastego dopiero co ubiegłego miesiąca Kościół obchodził jego święto, a panujący nam miłościwie Ojciec św. z wyjątkową uroczystością nakazał obchodzić w Rzymie trzy-nastowiekowy jubileusz jego pontyfikatu.

Godzi się tedy choć w krótkości przypomnieć nadzwyczajną tego papieża osobistość, nad którego, według naszego mniemania, większego w dziejach papiestwa nie było, a który nie tylko duchowo, jako Namiestnik Chrystusowy, ale historycznie, jako pierwszy człowiek swej epoki, zupełnie wyjątkowe zajmuje miejsce.

Wielcy ludzie górowali zawsze nad swem otoczeniem i w tem ich wielkość; przecież nie wykazują nam dzieje człowieka, któryby do tego stopnia stanął na czele wypadków i ludzi swego czasu tak ogromnie wartością, rozumem i bystrem przyszłości przewidywaniem, posunął ludzkość na nowe tory, któryby w jednej osobie gromadził przymioty polityka, dyplomaty, misjonarza i ekonomisty.

Przełomowe epoki w historyi należą zawsze do najciekawszych: otóż nie było większej nad czas upadku pogaństwa i cesarstwa zachodnio-rzymskiego, a poczynającemi się wiekami średniemi. Straszną do tego przegrywką była wędrówka narodów i wobec tych jeszcze groźnie kołyszących

się fal stanął Grzegorz jako sternik doświadczony, który nie tylko łodzią Piotrową według ducha Bożego kierował, ale wypadki polityczne, społeczne i ekonomiczne w karbach umiał trzymać i ku chwale Bożej a szczęśliwości ludzkiej na zbawienne wprowadzić tory.

Pochodzeniem, tradycją, duchem władzy prawdziwy z krwi i kości Rzymianin, przymioty swej duszy oddał w służbę Kościoła i społeczeństwa, działanie zaś swoje rozpoczął od poświęcenia bezwarunkowego swej osoby, bez czego ani takie idee, ani takie skutki w ogóle osiągnąć się nie dadzą. Grzegorz poświęcił to, co człowiekowi poświęcić najtrudniej, godziwy i zasłużony w życiu publicznem sukces, poklask i uznanie ludzi za działanie najzbawienniejsze na wysokiem urzędowem stanowisku. Nietylko że miał już papieża Feliksa III w swym rodzie, ale tak samo, jak jego ojciec Gordianus, piastował w młodym jeszcze stosunkowo wieku urząd prefekta miasta Rzymu, który to urząd wobec niesłychanego owych czasów zamieszania i braku jakiegokolwiek ustalonej władzy, był, rzec można, jedynym widomym wszelkiego wpływu politycznego reprezentantem.

Kiedy za czasów Kaliksta III garstka chrześcian pod wodzą nieustraszonego Hunyadego oparła się dziesięciokrotnym Mahometa II zastępom i cudem poprostu napierającemu półksiężycowi stanowczą pod Belgradem zadała klęskę, Carvahal, a zwłaszcza Jan Kapistran z podniesionemi jak Jozue rękoma, obojętni na chmury strzał pohańców, zagrzewali wojska do walki i ta bohaterska trójka dała jeden z tych pocieszających i budujących w historii dowodów potęgi i przewagi ducha nad materyalną siłą. Wtedy Kapistran, uosobiona pokora i ascetyzm, nie zdołał się wyrzec sławy i o swoim, niewątpliwym zresztą udziale, którym szalę zwycięstwa na stronę chrześcian przechylił, do Rzymu doniósł. Tak przynajmniej pisze papież Pius II w swoich Pamiętnikach; a choćby tę wiadomość, pisaną gdy późniejszy Pius II był jeszcze Eneaszem Sylwinszem, można o jakąś zazdrość lub nieżyczliwość posądzić, to przecież jest wybitnym przykładem, jak niezmiernie trudno człowiekowi wszelkiej wyrzec się sławy i wobec bohaterskiego czynu w dobrowolnem pozostać ukryciu. Grzegorz jednym zamachem świetną tradycję rodu,

ogromne znaczenie polityczne, sławę i nabyte zasługi, nie mówiąc wcale o wielkiem bogactwie, które w takiej duszy mogło żadnego nie odgrywać znaczenia, wszystko rzucił i zamknął się w klasztorze przez siebie założonym. Siedmnaście lat w nim przebył z długimi jednak przerwami, albowiem na rozkaz papieża musiał się bardzo ważnych i najtrudniejszych podejmować zadań, które go nawet do Konstantynopola zawiodły; i wtedy zdumionemu światu przedstawił się jedyny może w historyi widok ogromnego pana, który dumne czoło dobrowolnie poddawszy pod twarde życia zakonnego jarzmo, ofiary swej wykonać nie zdołał, bo świat jego osoby wymagał bezustannie. Kościół, Rzym, najeźdźcy barbarzyńscy, ba, nawet carowie nad Bosforem jego interwencyi, jako najrzeczniejszego dyplomaty, co chwila potrzebowali. Wracał wprawdzie zawsze do klasztoru i ostrej reguły, ale mu nie było pisanem życie w nim spędzić, bo w r. 590 obrany papieżem, mimo próśb i łez, mimo ucieczki i ukrywania się, zniewolony po prostu, objął Piotrową stolicę. Pontyfikatu nie pragnął, ani doń dążył, ale raz objąwszy takowy, odrazu wystąpił w całym majestacie Namiestnika Chrystusowego i do śmierci kierował potężną dłońią sprawami całego świata.

W szczegóły jego życia zapuszczać się nie tu miejsce, ktoby bowiem chciał przeczytać wszystkie księgi, jakie o nim napisano, musiałby niemało czasu na tem stracić. Godzi się tu tylko zauważyć, że wszyscy bez wyjątku pisarze katoliccy, protestanci, czy wprost bezwyznaniowi, zgodnie go przedstawiają jako najpierwszego, nietylko swego, ale wielu późniejszych czasów człowieka.

Trzy miał główne zadania: przywrócić jedność Kościoła, a prymatu papieskiego bronić przeciw roszczeniom bizantyńskich samodzierżców — narody barbarzyńskie cywilizować i powoli do łona Kościoła wprowadzać a bronić zarazem Rzymu od ostatecznej zagłady — wreszcie świat, znękany dwuwiekowemi blisko najazdami, do jakiegoś ładu przyprowadzić.

Trzeba sobie tylko wystawić stan Kościoła w końcu VI wieku. Zbawienny edykt medyolański Konstantyna W., z r. 313, zaprowadzający wolność sumienia i wyznania, ale zapewniający zarazem Kościołowi katolickiemu opiekę państwa, szybko upadł, nigdy w pełni zastosowanym nie został,

a nawet wywołał skutek sprzeciwiający się jego kardynalnym zasadom, to zaś nie za żadną inną sprawą, jeno samych herezji, Aryanów, Manichejczyków, Donatystów i niezliczonych sekt, które w pośród miazmatów bizantyńskich jak grzyby po deszczu wyrastały ¹⁾); niezgoda w łonie Kościoła wywołała reakcyę Juliana Apostaty, która, acz nie zboczona krwią niewinną, jak za dawnych Cezarów, przez rodzaj prześladowania, którybyśmy dzisiaj nazwali *Kulturkampfem*, starała się w zdradziecki, ale bardzo przebiegły sposób podciąć żywotne Kościoła soki. Rzecz prosta, że tenże z jednego niebezpieczeństwa wpadając w drugie, często gorsze, bo wewnętrzniemi wywołane niesnaskami, z każdej strony musiał szkodę ponosić; w tej zaś chwili w skutek nieszczęśliwego tak zwanego sporu o trzy rozdziały (w którego czysto teologiczne znaczenie wchodzić nie tu miejsce), zagrożony był schizmą. Równie prostem, że wobec tego dyscyplina kościelna musiała się rozluźnić, celibat nawet przez biskupów nie był zachowywany, stolice biskupie nieraz świeckim poruczano; życie zakonne, w pieluchach jeszcze będące, już niemało było skażone. To miał wszystko naprawić jeden człowiek, a nie miał przecież tej organizacyi pod bokiem, jaka w późniejszych czasach po rozroście Kościoła papieżom do rządzenia Kościołem niezbędnym była środkiem.

Jakim sposobem tego wszystkiego dokazał? Bogu wiadomo kogo sobie za narzędzie swych zamiarów obiera, więc o Grzegorza wierze, ufności, mężstwie i niezrównanej poko-

¹⁾ O sektach wschodnich, ich stosunku do Kościoła rzymskiego, a mianowicie które z nich mimo różnic liturgii z Kościołem katolickim w jedności pozostały, najlepsze zestawienie w Adolphe d'Avril: *Documents relatifs aux églises de l'Orient*. (Paris, 1869), p. 10. Papieże zresztą, począwszy od Mikołaja I (858 — 867) aż do Piusa IX i najnowszych czasów, strzegli z największą skrupulatnością autonomii starej liturgii wschodnich Kościołów (pp. 25 — 27). Że w ogóle nie można mówić o jednym, ale o różnych kościołach wschodnich, które na wielorakie rozszczepiły się sekty (prawosławie rosyjskie), por. De Maistre: *Du Pape*, t. II, p. 576—597. (Paris, 1819). Śliczne i głębokie uwagi Skargi: *O łącznem zjednoczeniu Rusi z Kościołem Bożym*. (Kraków, Piotrkowczyk 1610, str. 370).

rze, co do której z jednym tylko Tomaszem z Akwinu może iść w zawody, nie mamy co mówić, bo to są nadprzyrodzone dary — ale o ludzkich przymiotach, mocą których to nadludzkie wykonał zadanie. Geniusz, ogromne w sprawie publicznej doświadczenie, żelazną wolę i kolosalną pracę, nadewszystko zaś pełne przeświadczenie o godności swego najwyższego powołania i stanowiska, te wyjątkowo skupione w jednym człowieku środki obrócił na jeden cel i sprawę.

Cesarzowie wschodni, w zaciętrzewieniu swoim pragnący prócz władzy świeckiej ujarzmić zarazem życie duchowne chrześcijaństwa, od chwili, jak to ostatnie wyszło z pod uciśku prześladowań, stanęli wrogo przeciw rzymskiego Kościoła niezależności i swobodzie. Nie spotkawszy we własnem duchowieństwie żadnego oporu, jęli się czepiać Kościoła zachodniego, burząc i gmatwając ile się dało wspólnie ze ślepymi swymi narzędziami. Walka toczyła się od półtora wieku, ale właściwie ostrą przybrała formę, kiedy Jan patryarcha konstantynopolitański ogłosił się biskupem powszechnym, *ἐπίσκοπος οἰκουμενικός* — na co papież odpowiedział natychmiast głosząc się sługą sług Chrystusowych, *servus servorum Dei*, która to nazwa od czasów Grzegorza jako urzędowy tytuł biskupów rzymskich do naszych utrzymała się czasów. Patryarsze jednak Janowi zabronił stanowczo używania tego tytułu, przystojącego jedynie biskupowi rzymskiemu, za wyłączeniem jakiegokolwiek innego gdziebądź rezydującego metropolity czy biskupa. Jeżeli się zważy, że papież, oprócz moralnej, żadną nie rozporządzał władzą lub środkiem, że jeszcze nawet nie miał czasu do zdobycia tego wpływu, jaki pod koniec swego pontyfikatu osiągnął, a mimo to nie wahał się wystąpić przeciw Janowi, jak monarcha wobec zbuntowanego lennika, że nie zważał, iż tenże miał za sobą całą bizantyńską potęgę, to nie wiadomo, co więcej podziwiać, czy niewzruszoną wiarę, czy nadludzką odwagę. Dumne to i niesforne duchowieństwo, poparte wszechwładzą cesarza Maurycego, oczywiście się oparło, ale i papież nie dał za wygraną i przez siedm lat walczył nieustraszenie aż do wywalczenia praw prywatnego papieskiego. Zwyciężył na całej linii i za jego życia sprawa, która później do otwartej doprowadziła schizmy i zupełnego między Kościołem rzymskim a greckim

rozbratu, więcej się nie odezwała. Jeden epizod walki, o którym niżej wspomnimy, był powodem, że Grzegorz raz jeden w życiu haracz ułomności ludzkiej zapłacić musiał.

A cała ta walka tem była trudniejszą, że papież dwóch miał wrogów, jednych nad Bosforem, drugich tuż pod bokiem w osobie raweńskich exarchów, przedstawiających ostatni zachodniego cesarstwa szczątek, a podlegających bezpośrednio władzy bizantyńskiej. Z licznej zgrai szczerwanych i przewrotnych polityków, od których roilo się na dworze samodziurców wschodnich, exarchowie należeli do najprzewrotniejszych i oni to zbawiennemu papieża działaniu krecią robotą ustawicznie przeszkadzali i do samego końca, życia mu zatruwać nie przestawali. Goźci się zaś przy tej sposobności wtrącić uwagę o straszliwej mocy tradycyi, albowiem porównując greckie edykta i rozkazy cesarzy wschodnich do pism exarchów, poznaje się ze zdumieniem styl ukazów z kancelaryi petersburskiej wychodzących.

Wszystko jednak odbilo się bezsilnie od opoki Piotrowej, a papież nietylko że prawa prymatu w całości utrzymał, Kościół od jakiegokolwiek zależności od władzy świeckiej, t. j. cesarstwa wschodniego, bo inna wtedy nie istniała, wyswobodził, ale licznych schizmatyków w Afryce, Istrii, Dalmacyi, całej Słowiańszczyźnie południowej do łona Kościoła przywrócił.

Czasy między upadkiem zachodniego cesarstwa a Pipinem i Karolem Wielkim, czyli wybiciem się Franków na wirownię historyi, należą do najsmutniejszych miasta Rzymu. Podczas gdy Europa jakby w ciężkiej gorączce walczy z najrozmaitszemi żywiołami, z których się wylania powoli nowa polityczna budowa Zachodu, Rzym, wystawiony na ciągle najrozmaitszych plemion najazdy, kolejno łupiony przez wszystkie, wielką przedstawia ruinę, oświecaną od czasu do czasu krwawemi łunami pożarów, a dręczoną wewnątrzniemi niesnaskami.

Po upadku państwa Ostrogotów i przejściu tych wszystkich plemion, które wędrówka narodów na Europę wylała, najbliższym sąsiadem prześwieatnej stolicy stało się plemię Longobardów, które z wyjątkiem chyba Wandalów najmniej cywilizacyjnego przedstawiało żywiołu. Barbarzyństwo, zła

wiara i chytrość, gruba rozpusta, szczególnie zaś brak podatności na wpływ ościennej cywilizacyi rzymskiej cechowało to plemię, które też po krótkim stosunkowo czasie, nie wywarłszy żadnego dodatniego wpływu, znikło z widowni historyi. Czasu jednak mieli podostatkiem, by Rzym napaść i w ciągłej utrzymywać gorączce. Papież się bronił, jak mógł i Włochy opieką swoją otaczał, a jeżeli zupełnego skutku nie osiągnął, to tylko z powodu matactw i niegodziwości dwóch ówczesnych exarchów, Romana i Kallinika, którzy niezgodę między papieżem a Longobardami bezustannie podniecali. Obróciło się to wszakże na własną ich szkodę, a tem większą dla Kościoła i papieża chwałę; mieszkańcy bowiem półwyspu Apenninńskiego, a z biegiem wypadków coraz to inne szczepy i narody, stanowiące części dawnego cesarstwa, widząc się zupełnie przez naturalnych swych obrońców, cesarzy wschodnich, opuszczonemi, zaczęli się oglądać na papieża i Rzym, jako jedyny opieki i ratunku środek, tak że papież mimowoli jeśli tak rzecz można, obok duchownej, skupił w swych rękach polityczną władzę, stał się osią bieżących wypadków i wysunął się na miejsce naczelne, bo świat, jakoby uznając w nim męża opatrnościowego, zewsząd się do niego garnał.

Próżno w dziejach świata podobnego szukać przykładu. Kto wielką osiągnął władzę, niewątpliwie do niej dążył siłą woli i rozumu, skupiając w świadomym, choćby najbardziej godziwym celu wszelkie usiłowania — zabiegi zaś takie bez jakiegokolwiek ambicyi osobistej prawie są niemożliwe. Tak było niewątpliwie z bliższymi Grzegorzem I następcami, Grzegorzem VII i Innocentym III. Podobnie też się miało i z Grzegorzem Wielkim, ale nie prędzej aż bez jakiegokolwiek możliwej rywalizacyi na czele Zachodu stanął.

W czasie, o którym mówimy, sama świętość i powaga jego osobistości kraje i narody jakby siłą wszechwładnego magnesu do osoby jego ściągała. Rzecz prosta, iż osiągnąwszy wpływ i władzę tak niespodziewaną, w pół drogi się nie zatrzymał. Zawiazuje więc stosunki z Hiszpanią, a przewidując bystrego polityka wzrokiem, że szczep Franków, wraz z germańskim dotychczas jedność stanowiący, wysunie się niebawem na stanowisko naczelne w historyi, rozwinął swój

wpływ na całą Gallię, zataczając tym sposobem coraz szersze kręgi dla cywilizacyjnej misyi Kościoła. Zarzucają mu niejednokrotnie i to z wielką goryczą jego stosunki z osławioną niesłusznie królową Brunhildą i sposób, w jaki się kilkakrotnie w korespondencyi dyplomatycznej do niej odzywał. Chodzi tylko o to, czy ten zarzut z dobrą wiarą stawiać mu można. Brunhilda mogła być jeszcze gorszą niż jej słowa, nie przedstawiała przecież być potężną królową Franków. Papież więc, szukając czucia z tym szczepem, nadewszystko zaś pragnąc osiągnąć wpływ na episkopat i duchowieństwo tych rozległych stron, nie mógł zaczynać od cenzury i strofowania Brunhildy, ale musiał się starać o jej łaskę i czynne poparcie. Prosty rozsądek to nakazywał, tak samo, jak prosty rozsądek przeciw tym zarzutom wystąpić musi ¹⁾.

Wiadomo, że gdy jeszcze nie był papieżem, przechadzając się po Rzymie spotkał młodych anglo-saksońskich niewolników, a uderzony ich pięknnością, postanowił ich wykupić i natychmiast z nimi podjąć się misyi do Anglii; przewidując zaś, że go wybór na papieża z pewnością oczekuje, skorzystał z tego, by się z Rzymu jak najdalej usunąć. Nie udała się ucieczka, zmuszono go do powrotu, ale myśli o ewangelizacyi Brytanów nie porzucił i jako papież wysłał Augustyna z całą do Anglii drużyną, która trzymając się niesłuchanie mądrych wskazówek i rozporządzeń papieża, tak niespodziewanym została uwieczniona skutkiem, że Anglia przez szereg wieków stała się w tych odległych krajach najsilniejszą Kościoła katolickiego twierdzą. Ponieważ na Korsyce i Sardynii wytepił szczątki pogaństwa, ponieważ zajął się bardzo skutecznie losem niewolników i z całą mądrością i miarą ku zniesieniu tej plagi społecznej dążył, ponieważ pierwszy z papieży

¹⁾ Co do Brunhildy zresztą nowsze badania historyków zupełnie odmienny sąd ustaliły. Jeszcze Montalembert (*Les moines d'Occident*, t. II. p. 438. Paris 1860) bardzo surowo ją sądzi. Tymczasem Godefroid Kurth, autor znakomitego dzieła o początkach cywilizacyi chrześcijańskiej, w ostatniej o Brunhildzie monografii przedstawia ją w świetle zupełnie korzystnem, jako niepospolitą kobietę. Por. Godefroid Kurth: *La reine Brunehaut*. Paris, 1891. (pp. 7, 11, 32, 46).

roztoczył nad Żydami opiekę i przeciwko prześladowaniu ich stanowczo wystąpił, przyszła chwila, w której wszystkie wypadki w dawnych cesarstwa zachodniego dzierżawach jedynie koło jego się obracały osoby.

Mimo to wszystko stosunki z dworem bizantyńskim pozostawały zawsze naprężone i najeżone trudnościami, tembardziej, że stamtąd ustawicznych na prymat rzymski zamachów mógł się obawiać. Trwało to przez cały czas rządów cesarza Maurycego. To też gdy tenże w skutek rewolucyi pałacowej zamordowany z całą rodziną stracił życie i władzę, zdobyta przez Phokasa, papież odetchnął, uważając nowego cara za zbawcę z coraz to groźniejszego pokolenia. I na słońcu bywają plamy, to też list pisany przez Grzegorza do Phokasa i cesarzowej Leoncyi wobec historyi musi być potępionym, jako wystosowany do mordercy i prawdziwego politycznego potwora. Historya swego sądu, i słusznie, nie zmieni i jest to jedyna skaza, jaka na tym bezprzykładnym żywocie zawisła, a która tylko urokiem, jaki cesarstwo na duszy Rzymianina wywierać nie przestawało, do pewnego stopnia wytłómaczoną być może.

Ma się rozumieć, że ten coraz bardziej rosnący wpływ polityczny był tylko narzędziem do wzmocnienia i skoncentrowania życia kościelnego, do przywrócenia rozluźnionej po dyecezyach dyscypliny, utrzymania hierarchii duchownej, pilnego i surowego strzeżenia posłuszeństwa wobec zwierzchności metropolitów i biskupów. Zaczawszy od własnego dworu i otoczenia, zaprowadzał papież wszędzie ducha ewangelicznej prostoty i ubóstwa. Najdzielniejszą zaś do tego pomocą była miłość do ludzi, niewyczerpana dobroczynność, czynne i skuteczne miłosierdzie; to ostatnie naprowadza nas też na jego działanie ekonomiczno-społeczne, na czem ten krótki i bardzo niedostateczny pogląd zakończyć nam przyjdzie.

Wiadomo, że od czasów wojen punickich, a zwłaszcza końca Rzeczypospolitej, tak żyzna dawniej Italia nie była w stanie wyżywić swych mieszkańców, a zwłaszcza miasta Rzymu. Rolnictwo, w tak wielkiem u dawnych Rzymian poszanowaniu będące, poruczone zgrai niewolników, upadało coraz bardziej; najlepsze role odłogiem leżały, dalekie więc prowincye, Afryka, Egipt, Sycylia, cała Azja Mniejsza, Pon-

tus, Kappadocya musiały się składać, by głodne półwyspu włoskiego rzesze zasilać. Wszystko to było najdokładniej obmyślane i organizowane, ale lada wypadek, burza na morzu, jakiegokolwiek spóźnienie się naładowanych pszenicą, najrozmaitszymi płodami ziemi triemów, groziło natomiast głodem, a co za tem idzie, najgorszymi społecznymi rozruchami. Po najeździe hord barbarzyńskich, zniesieniu ostatnich dawnego imperium śladów, wszystko nagle ustało. Rozliczne klęski, rok w rok powtarzające się zarazy morowe, wylewy Tybru, wszystko się skupiło, by wytworzyć najstraszniejszy stan ekonomiczny. Jak w każdym względzie, tak i w tym najważniejszym, bo do materialnego życia społeczeństwa niezbędnym, Grzegorz wszystko w ręce uchwycił. Kościół posiadał już wtedy bardzo liczne dzierżawy w Afryce, Sycylii, Azji Mniejszej, które pod ogólną nazwą *patrimonium Petri* były znane; jak dotychczas tym ogromnym zawiadywano majątkiem, nie wiadomo, ale to pewne, że pierwszy Grzegorz w największym stylu zajął się gospodarstwem na tych prze licznych włościach, by zapomocą takowego materialnej potrzeby ludzkości zadośćuczynić. Ustanawia natychmiast rządów, dzierżawców, włodarzy; ład i porządek wszędzie zaprowadza, nieuczciwość poskramia, od każdego żąda ścisłego rachunku, nieublaganie karze wszelkie złodziejstwa i niesumienność w zarządzie; dochody dziesięćkroć powiększa i w ten sposób broni półwysep od głodu i materialnej zagłady. Wszystkie niewątpliwe źródła historyczne, niezliczone jego listy do rządów po najrozmaitszych prowincjach rozsianych, dają świadectwo o błogosławionej papieża działalności. Zastępy ubogich, wdów i sierót, chorych i kaleków, ubogich kościołów i klasztorów opatrzenia wymagających, nad którymi błogosławiona dłoń papieża się roztacza, mnożą się w sposób nieprawdopodobny. Wszędzie czuwa, wszędzie pociesza i wspomaga, tak, że pojąć nie można tej szalonej objętości pamięci, rozsądku, przezorności z jednej wychodzącej głowy, z jednego szerokiego serca, jakby dobroczynnym źródłem tryskających. Byli po Grzegorzu wielcy papieże, miłośnicy ludzkości, mądrzy politycy i nieustraszeni praw Stolicy św. obrońcy. Ale takiego ekonomisty, takiego dobrodzieja ludzkości, tej wszechpotęgi miłosierdzia już nigdy

i nigdzie nie spotykamy. Wdzięczna potomność nadała mu imię Wielkiego i sędzę, że większego nad niego nie było, a pokorne miano „sługi sług bożych“, jakie sam sobie nadał, najpiękniejszym wieńcem jego wyniosłą skroń zdobi, skroń prawdziwego Rzymianina, stojącego na rozdrożu między upadającym pogaństwem a dźwigającym swe skrzydła do walki, wojującym Kościołem.

Obraz byłby niepełnym, gdybyśmy pominęli jedną bardzo ważną okoliczność, która dopiero stawia Grzegorza na szczycie doskonałości chrześcijańskiej. Oto papież miał najgorsze zdrowie; czy z dziedzictwa, czy z licznych w życiu zakonnem umartwień, nadmiernej przy ciągłych podróżach pracy, nabawił się chronicznego gościa i podagry, które do chwili śmierci dręczyć go nie przestawały. Od r. 599 prawie już łoża nie opuszczał, targany cierpieniem bezustannem; zimno się robi, gdy się czyta w jednym z jego listów, że przez trzy doby straszne bóle na jedną minutę go nie opuściły i gdzie ze łzami błaga, by go Bóg z pętów tego nędznego ciała uwolnił.

Wiadomo dobrze każdemu, jak przedłużone a ciężkie bóle fizyczne i najsilniejszą wolę zmóżdż potrafią, jak trudno zachować wśród cierpień przytomność i swobodę umysłu, do załatwienia choćby krótkiej, ale niezbędnej sprawy. Papież miał na głowie sprawy całego świata i to najróżnorodniejsze, jedność wiary, zbawienie Kościoła, byt materyalny milionów od jego osobistej zależał pracy. Nie ustał też na jedną chwilę i z łoża boleści rządził światem i Kościołem, a historia świadczy, że działanie jego ani jednej nie doznało przerwy.

To wszystko jest budujące i wzruszające, co wszakże może najbardziej zadziwić, to, że w tych warunkach zdobywał się w swych listach na dowcip i humor. Listów tych w XV księgach zachowała się bardzo wielka liczba. Ciekawem jest bardzo śledzić w nich za tym niepospolitym i tak szczególnym umysłem, w którym obok zdolności kierowania najważniejszymi sprawami, przebija prostota i zdrowy rozsądek, mocą którego i w drobnych życia codziennego okolicznościach tak samo trafnie postępował, jak w rzeczach najwyższej wagi.

Człowieka niezbędnego na świecie niema i bieg wypadków ludzkich przez ubytek jednego człowieka nie ustaje, ale każdy odpowiada tylko za ten krótki przeciąg czasu, którego mu Bóg użyczył.

Grzegorz, umierając w r. 604, miał lat 64; papieżem był przez niespełna lat 14, ale praca jego starczyłaby na kilkanaście pokoleń, a dzisiaj po trzynastu wiekach panujący nam miłośnicy Ojciec św. nie tylko że jubileusz jego z nadzwyczajną kazał obchodzić uroczystością, ale przy tej sposobności padły z Watykanu słowa, które niewątpliwie w całym świecie odgłos znajdują, słowa, wywołane prześladowaniem religijnem we Francyi. Nie tai sobie też Pius X niebezpieczeństwa chwili obecnej, twierdząc, że czasy bodaj są groźniejsze od owych odległych wieków, kiedy Grzegorz W. na Piotrowej zasiadał stolicy. Rzeczywiście Francya przedstawia nam w tej chwili widok rozpaczliwy, odmienny zupełnie od czasów wielkiej Rewolucyi. Wtedy okropności tego czasu można do pewnego stopnia zrozumieć strasznym społeczno-państwowym przewrotem, jakimś szaleńszczyzną, który ludzi ogarnął. Dzisiaj atoli w czasie głębokiego (dla Francyi przynajmniej) spokoju, widok państwa, mającego blisko czterdzieści milionów katolików, które się daje rządzić przez szajkę wolnomularzy, żydów i socyalistów pozbawionych wiary, sumienia, a zwłaszcza patriotyizmu, społeczeństwa, które daje sobie z pod nóg wyrwać wszelką tradycję przeszłości, wszelką rękojmię przyszłości i patrzy obojętnie na systematyczne niszczenie religii, wychowania i rodziny, na bezprzykładne w historii despotyzm i tyranję, zaiste w najwyższym stopniu jest niepokojącym. Jestto tylko jednym więcej dowodem, do czego materjalizm, niewiara i ubóstwianie dobrobytu doprowadzić narody może.

Nie traci wszakże papież nadziei, i my jej tracić nie powinniśmy, a pamiętni dogmatu o Świętych obcowaniu, utwierdzić się w przekonaniu, że zasługi takich, jak Grzegorz W. Świętych, zaważą więcej, niż nieprawość ludzi, a wtedy mimo napierających fal złego, wyrzec:

Sursum corda!

Dr. Paweł Popiel.

Z najnowszej literatury dramatycznej Niemiec.

Nieco później pojawia się tego roku nasz przegląd najnowszych dzieł literatury dramatycznej w Niemczech, do którego zapewne już nietylko autor, ale i czytelnik się przyzwyczaił. Spowodowany pierwotnie zewnętrznymi przyczynami, fakt ten jest dla rzeczy samej jedynie korzystnym. W Niemczech — podobnie jak we Francyi, a odmiennie niż w Polsce — z końcem marca zamyka się zarazem główny sezon teatralny, należą już do przeszłości wszystkie ważniejsze nowości dramatyczne. Tak jest i tego roku; wystarczy stwierdzić, iż w spisie dzieł, o których poniżej będzie mowa, mamy — obok pisarzów po raz pierwszy pozyskujących teatralne ostrogi — autorów jak Bahr, Fulda, Halbe, Hauptmann, Hofmannsthal, Schnitzler, Sudermann, Wedekind — a więc bezmała cały dramatyczny Parnas niemiecki.

Nie brakło więc temu okresowi głośnych nazwisk, miał, jak zobaczymy, i głośnie dzieła, a jedni i drugie posiadają widocznie istotną wartość, kiedy ich echa doszły aż do nas mimo stosunków polsko-niemieckich złych a coraz gorszych. Nie potrzeba byłoby nawet o tem wspominać, gdyby nie jedna okoliczność, naszym zdaniem, bardzo pomyślna. Oto minał szybko i zapewne na długo, bezpowrotnie, czas, kiedy rozżaleni krzywdami, zadawanymi nam coraz dotkliwiej ręką państwa a po części niestety i narodu niemieckiego, pragnęliśmy nie wiedzieć nic o literaturze niemieckiej, bądź — co byłoby najszkodliwszem — o całej literaturze niemieckiej,

naukowej i beletrystycznej, bądź tylko o ostatniej. W dziedzinie dramatu i teatru odbiło się to zasadniczym pomijaniem niemieckiego piśmiennictwa przez scenę krakowską, a szczególnie i dłużej: lwowską. Dzisiaj tak już nie jest, co nie świadczy o osłabieniu rozżalenia — wzmacniać się ono musi w miarę, jak sroższym staje się wywołujący je ucisk — lecz jest dowodem spokojnego pojmowania spraw literacko-kulturalnych. I dobrze, że tak jest. Raz już powodowani patryotycznym gniewem pozbawiliśmy się — z niemalą szkodą — głębszej znajomości literatury rosyjskiej z epoki jej wielkich mistrzów, jak Turgeniew i Dostojewski — nie powtarzajmy tego błędu wobec niemieckiego piśmiennictwa. Pamiętać zresztą i o tem należy, że poznając je, trzymamy rękę na pulsie nie samego tylko artystycznego tworzenia narodu, od wieków z nami się stykającego. Każda literatura, bystro i rozumnie obserwowana, jest kluczem do zrozumienia makrokosmosu narodowego życia. Znaczącym tu zaś jest nie sam fakt powstania tego lub owego utworu, ale i przyjęcie jakiego on u danego społeczeństwa doznał.

I.

Zachowanego w poprzednich, dawniejszych latami ogłaszanych artykułach podziału dramatów na historyczne i współczesne, w tym roku ściśle przeprowadzić nie można. Z tych dwóch kategorii pozostała bowiem ostatecznie tylko druga: sztuki postawione na tle dzisiejszego życia; dramatów historycznych już się w Niemczech nie widzi nowych, bo te, które powstają, wychodzą tylko w druku, dzięki wydawcom z reguły uprzejmiejszym od dyrektorów teatru. Co najwięcej znajdziemy parę dramatów na tle historycznym. Natomiast występuje coraz widoczniej nowy rodzaj, może tylko odnowiony, bo już przez Szekspira praktykowany: dramatów bez określonego podłoża czasowego, istniejących niejako w ogóle po za pojęciem czasu, realność teraźniejszych czasów mieszących z wyobrażeniem przeszłych, fantastycznością jakichś fikcyjnych.

W zamierzchłą epokę starogreckich mytów przenosi czytelnika *Elektra* p. Hugona von Hofmannsthal¹⁾. Nazwisko autora objawił światu po raz pierwszy w r. 1897 p. Herman Bahr, widząc w młodym Wiedeńczyku wschodzącą gwiazdę niemiecko-austriackiej poezji dramatycznej. Niebawem potem, bo już w r. 1899, piszący te słowa przedstawił polskim czytelnikom p. Hofmannsthala nie jako nadzieję tylko, lecz jako twórcę trzech dramatów, zebranych pod ogólnym tytułem *Theater in Versen*. Od tego czasu poeta nie wystąpił z żadnem większem dziełem (były tylko drobniejsze, jak n. p. omawiany tu *Tizian's Tod*) aż do obecnej tragedyi o nieszczęśliwej córce Agamemnona.

Niemcy zdawna mieli pociąg do starogreckich mitycznych motywów, a w XVIII wieku wydali najwspanialszy nowogrecki dramat europejski, *Ifigenię* Goethego. Jeśli jednak i temu dziełu niektórzy krytycy odmawiają czysto greckiego ducha, to jeszcze słuszniejszymi będą skargi na zmodernizowanie Jazonów i Safon u Grillparzera, a *Elektra* Hofmannsthala — ta już chyba u czciciela prawdziwego antyku obudzi tylko niesmak. Krytyka niemiecka zauważyła zjadliwie, że dodatek, jakoby dramat napisany został *nach Sophokles*, rozumieć należy jedynie w sensie: po Sofoklesie a nie według niego. I istotnie: można — musi się nawet — zaprzeczać określeniu Greków przez Winckelmanna jako narodu wiecznie pogodnego, w niezamąconej żyjącego harmonii z sobą, innymi ludźmi i naturą, niemniej jednak to, co p. Hofmannsthal pokazuje, jeśli jest trzecim, po humanistach i Winckelmannie, renesansem, to jest renesansem historycznym, dla nas co prawda tem ciekawszym, że przypomina nam podobne objawy polskiej poezyi ostatnich dni.

Już w mycie i u Sofoklesa ten akt straszliwej tragedyi Atrydów, kończący się matkobójstwem Orestesa, ma tyle grozy i ohydy, że współczesnemu widzowi, przyzwyczajonemu do delikatniejszych uczuć, raczej osłaniać te momenty po-

¹⁾ Hugo von Hofmannsthal: *Elektra*. Tragödie in einem Aufzug frei nach Sophokles. (S. Fischer, Verlag 1904. Berlin str. 94. Przedstawiona po raz pierwszy w *Kleines Theater* w Berlinie, 30 października r. 1903. (P. a.).

trzeba. Hofmannsthal trzyma się w zewnętrznych zarysach dość wiernie tradycyjnego kształtu opowieści, chociaż nieraz ją zmienia, nie na korzyść zapewne: tak n. p. kreśli zupełnie istniejącą u starożytnych okoliczność, łagodzącą zbrodnię Klitemnestry zagniewanej na męża z powodu poświęcenia Ifigenii bogom; u niemieckiego poety ten motyw nawet naj-
 lżej nie jest zaznaczony. Gorzej jest, że Hofmannsthal, zapatrzony w dzisiejszą psychopatję seksualną, z Elektry i jej towarzyszki Chrysothemis, robi histeryczki, przypominające chyba nie Sofoklesa, lecz Oskara Wilde. I gdzieindziej odczuwa się bliskość tego chorobliwego Anglika: Elektra jest bliźniaczą siostrą Salomy Wilde'a, pokrewną jej nie tylko w seksualnych zboczeniach, ale nawet w zewnętrznych motywach; jak córka Herodyady tańczy z głową Jana Chrzciciela, tak Elektra, gdy dochodząc do szalu radości, zemsty i tryumfu, słyszy krzyki mordowanej matki i jej gacha, puszcza się w dziki tan Menady i wśród niego pada nieżywa na ziemię. Zakończenie niewątpliwie fałszuje myśl starogreckiego mytu, ale z duchem dramatu p. Hofmannsthal zgadza się doskonale. Bo w tem właśnie leży najważniejszy błąd dzieła, pisanego zresztą, jak wszystko, co wychodzi z pod tego pióra, barwnie, gorąco, melodyjnie i plastycznie, w tem owo fałszowanie antyku, że mord dokonany na Klitemnestrze i Egizie jest nie zadosyćczynieniem boskim prawom, jak u Sofoklesa, nie sprawiedliwą, aczkolwiek krwawą karą za grzechy wzywające pomsty nieba, lecz orgią dzikiej zemsty, sabatem rozjuszenia zwierzęcych pierwiastków ludzkiej natury. Cały dramat zostaje w pamięci jako chaos pokureczonych członków, krwiożerczych spojrzeń, dusznych wyziewów błota i gnijącej krwi, wściekłych krzyków ofiar i jeszcze ohydniejszych katów a nie sędziów.

W sztuce słowa i wiersza z *Elektrą* nie może się równać *Święto zwycięstwa*, utwór mało znanego pisarza dramatycznego, p. Hermanna Katsch'a ¹⁾). Rzecz jest jednak godną

¹⁾ *Die Siegesfeier*. Lustspiel in vier Aufzügen von Hermann Katsch. (Berlin 1903. Verlag von Otto Elsner, str. 192). Po raz pierwszy 13 marca 1903 r. w Königl. Schauspielhaus w Berlinie.

uwagi, bo komedye na tle świata starożytnego należą do rzadko widzianych utworów. Bohaterem jest Marcus Pacuvius, żyjący w III i II wieku przed Chrystusem, krewniak Enniusza, sam poeta tragiczny razem i malarz. Autor, który podobnie obie sztuki pielęgnuje, przedstawił tu nie bez serdeczniejszej, bo osobistej nuty niedolę tego podwójnego „dziecka muzy“, raz po raz o dramatyczną katastrofę się ocierającą, ostatecznie jednak pomyślnie się kończącą. W pierwszym akcie widzi się wyraźnie, jak Pacuvius, miasto zajmować się intratniejszym malarstwem, pisze dramaty i przemysłowa nad jakimś wynalazkiem w maszyneryi teatralnej, umożliwiającym większą uludę w wprowadzaniu duchów na scenę. Próżno żona Naevia skarży się na brak gotówki w gospodarstwie, próżno wierzyciel Pomponius dopomina się o zwrot długu i grozi egzekucją — Pacuvius jest dobrej myśli, bo ma nadzieję, że jego dramat *Iliona* będzie odegranym podczas uroczystości tryumfu Scipiona Młodszego, właśnie po pogromie Kartaginy do Rzymu wracającego; wtedy zaś zdobędzie sławę i — tantiemy. I rzeczywiście wódz każe sobie przedstawić na próbę fragment dramatu. Zrazu wszystko idzie gładko, w tem audytoryum wybucha szalonym śmiechem na widok aktora Fufusa, grającego rolę córki Priama, a spitego i głośno chrapiącego. Marzenia poety sromotnie zawiedzione, on sam idzie na służbę do Pomponiusa jako jego niewolnik. Tu jednak odzyskuje wnet dawną swobodę ducha i w nieszczeście nawet srogiemu panu imponuje hartem i hardością. Nagroda go za to nie omija: oto Scipio przecież nie zraził się do *Iliony*, gra ją w dzień tryumfalnego wjazdu do stolicy, płacąc autorowi tak hojnie, że starczy i na uiszczenie długu i na przyszłość bez troski. Komedya więc niezła, w teatrze zapewne i starorzymskim środowiskiem mile na widza działająca i, gdyby więcej w niej było pogłębienia w treści i szlachetności w formie, godziłoby się ją i polskim scenom zalecić.

Mając takie szczególne upodobanie w świecie klasycznym, Niemcy musieli umiłować i epokę Odrodzenia. To też Goethe pisze nie tylko *Ifigenię* ale i *Torquata Tassa*, a od tam renesansowe dramaty cieszą się tam ciągle powodzeniem, są każdego sezonu teatralnego jeśli nie ozdobą, to przynajmniej urozmaicheniem. Ich główny urok bowiem leży nie-

zaprzeczenie w malowniczości kostyumów, pyszniących się złotem, szkarłatem i kosztownymi barwnymi materjami, olśniewających żarem włoskiego słońca, rozmarzających lazurem włoskiego nieba, upajających zapachami włoskiej flory. Te zewnętrzne akcesorya stoją na pierwszym planie, ludzie zaś są rzeczą drugorzędną, i albo są fałszywie, antihistorycznie pojęci jako jacyś nowożytni dekadency sataniści, praktyczni wyznawcy szalonej doktryny Nietzschego, albo są bez ducha, bez krwi i ciała, lalkami w pyszne kostyумы ubranemi. P. Ludwik Fulda, najznakomitszy dzisiaj przedstawiciel renesansowego dramatu w Niemczech, darzący rodaków co rok niemal nowem dziełem, pierwszego błędu bardziej się ustrzegł, niż drugiego. Ostatnia jego sztuka, *Novella d'Andrea*¹⁾ i o jednym i o drugim świadczy. W historii prawa rzymskiego czytamy o mistrzu Janie Andreae de S. Hieronymo (1270—1348), sławnym kanonistcie akademii bolońskiej, który zbiór Dekretaliów prawa kanonicznego nazwał od imienia matki swej i córki *Novella*; o niej zaś dowiadujemy się, że w czasie choroby ojca miewała na wszechnicy wykłady, jednak zakryta za kotarą, aby pięknością swą scholarów od nauki nie odrywała. P. Fulda osnuł na tem tle dramat, jak niedawno Polak, p. Stanisław Rossowski pokusił się o pokazanie na deskach teatralnych pierwszej studentki krakowskiego Uniwersytetu, Nawojki. Lecz niemiecki poeta nie zadowolnił się barwnem zobrazowaniem bolońskiej akademii XIV wieku, ale wtłoczył w nie problem, niegdyś przez Grillparzera już opracowany. Safona chce być kochaną jako kobieta i z rozpaczą widzi, że jej wymarzony Faon przenosi nad głośną poetkę skromną jej dziewczynę służebną, Melittę. Podobnie i *Novella d'Andrea* kocha nauczyciela prawa, Giovanni'ego da Sangiorgio, zrazu ludzi się, że i on miłosne ku niej żywi uczucia, potem przez chwilę cierpi okropnie, widząc, że kochanek chce poślubić jej siostrę, nieuczoną Bettinę, ale prze-mógłszy ten ból, sama jest Sangiorgia swatką u siostry. Do-

¹⁾ *Novella d'Andrea*. Schauspiel in vier Aufzügen von Ludwig Fulda. (Stuttgart. J. G. Cotta 1904, str. 168). Po raz pierwszy grane w wiedeńskim *Hofburgtheater* dnia 21 listopada 1903 r..

tań Fulda powtarza więc dawniejsze motywy — oryginalnym jest dopiero w czwartej odsłonie, bardzo smutnej i elegijnej rezygnacją przepełnionej. Oto Sangiorgio z głupiutką Bettiną nie zaznał szczęścia i przyjeżdża po latach z powrotem do Bolonii, by poskarżyć się przed samotną Novellą na żonę, nierozumiejącą go:

... Sie liebt mich — o, kein Zweifel!
 Doch was ist Liebe, die sich an uns klanmernd
 Uns langsam mit hinabzieht auf den Grund?
 Die nicht vermag zu fassen, was der Sinn,
 Der Kern, der Triebkraft unsres Lebens ist;
 Wovon wir zehren, und wofür wir atmen?

Novella wyznaje mu wprawdzie, że go kochała, pragnęła do niego niegdyś należeć — teraz jednak każe mu wracać do żony. Więc mamy tragedję uczoney, daremnie wyciągającej ręce do szczęścia kobiety? Nie; bo w tej samej scenie uczony kobiecie doktor prawa kanonicznego i świeckiego wyznaje kochankowi:

Ich habe dich geliebt...
 Dir zu gefallen ward ich zum Scholar,
 Dir zu gefallen hätt' ich tausendmal
 Die Bücherweisheit und mich selbst vergessen.
 Was ich mir vorgeschwatzt von eignem Wollen,
 Von ebenbürtiger Gemeinsamkeit,
 War leerer Dunst! Dir wollt' ich angehören,
 Und dich besitzen wollt' ich — weiter nichts.

A zatem: czyżby Fulda chciał udowodnić, że kobieta nawet studya tylko dla miłości mężczyzny prowadzi? Wątpić się musi, bo w takim razie postać Novelli straciłaby wszelką wyjątkowość, którą poeta bezsprzecznie chciał jej nadać. W tej chwiejności i niejasności znajdzie się wytłómaczenie, czemu obecna sztuka, posiadając zresztą wiele wybitnych zalet talentu p. Fuldy, nie działa silniej i trwalej. Powtarza się zaś to i w drobniejszych szczegółach. Tak n. p. pierwszy wykład Novelli przedstawiony jest bardzo zajmująco, a ru-

chliwe grono hałasujących studentów może się podobać, lecz i tu chwiejność i brak decyzji psuje efekt. Oto Novella wyklada wtedy właśnie *de clandestina desponsatione*, tak, że się nie wie, czy studenci nie zachowaliby się spokojniej, gdyby kobieta-profesor mówiła o innym, mniej drażliwym paragrafie prawa kanonicznego. Dla ścisłości trzeba dodać, że Fulda przeinaczył też nieco prawdę dziejową, historyczną misję Andreae do Awinionu celem prześlągnięcia papieża Jana XXII przenosząc na Sangiorgia.

P. Fulda, stary practicus teatralny, wie, jak ryzykownem jest wprowadzanie na scenę wybitnych historycznych postaci i dlatego zadowalnia się osobistościami drugorzędnymi. To mądre przeświadczenie poczyną w ogóle na szczęście przenikać niemieckich dramaturgów, to też pominąwszy pocziwe *Professorendramen*¹⁾, wielkich ludzi dziejowych jako bohaterów dramatu nie znajdzie się, chyba, że potrzeba ich jako celu żartów lub satyry. (W tym roku odnośną oryginalną produkcję zastąpił na niemieckich scenach utwór Bernarda Shawa, modnego dziś Irlandczyka, *The man of destiny*, dowcipnie sarkastyczny dramat napoleoński, w przekładzie nazwany *Der Schlachtenlenker*). Co najwyżej znajdzie się wielkości niższego już rzędu, jak Larochevoucauld w jednoaktowym dramacie p. Juliusza von Gans-Ludassy²⁾. Autor nie jest bynajmniej nieznanym, lecz prawie wierzyć się nie chce, by twórca lekkiej komedyjki z czasów Ludwika XIV był tym samym, który przed trzema laty wystawił w naddunajskiej stolicy brutalną, acz silną tragedję współczesnego proletaryatu robotniczego *Ostatni guzik*. Już to samo dobrze mówi o rozmiarach jego zdolności, a najnowszy dramacik to korzystne

¹⁾ N. p. *Lucindens Fluch*. Ein Goethespiel in drei Aufzügen. Frei nach „Dichtung und Wahrheit“ von Dr phil. David Aufhäuser (E. Pierson, Dresden, 1903). Wspominamy o tem *Machwerk* chociaż w przypisku, dla miłości nie autora, ale Goethego. (P. a.).

²⁾ Julius von Gans-Ludassy: *Ewige Rätsel. Mädchenliebe — Frauentreue, Mutterherz*. 3 Einakter. (Leipzig 1903 H. Seemann Nachfolger, str. 89). Wspominamy tylko o pierwszym utworze (granym w wiedeńskim *Deutsches Volkstheater*), bo pozostałe dwa nie ukazały się na scenie i niezem się nie odznaczają. (P. a.).

wyobrażenie utwierdza. Laroche foucauld, autor słynnych *Maksym*, usiłujących w zgrabnych paradoksach obalić wszelką moralność, występuje tu jako zakochany. Lecz cóż, że w sercu nosi obraz hrabianki Klotyldy de Lafayette, kiedy panna znanemu sceptykowi nie wierzy, a i on sam, chociaż wzajemność przeczuwa, pragnie wykluczającego wszelką wątpliwość dowodu. Ale jakiego? Przyjaciół — zresztą daleko słabszy jako poetycka kreacya — Jan de Lafontaine powiada, iż kobieta w jeden sposób może udowodnić, że kocha: jeśli z miłości nie waha się zginąć. Naturalnie dowód to iście niezbity, ale sam fabulista dodaje, że „bardziej ufa żywej, która go kocha, niż umarłej, która go kochała”. Laroche foucauld ma jednak świetny pomysł: udaje, że osławiony minister policji d'Argenson ma go z rozkazu wszechwładnego Mazarina uwięzić i do Bastylii zabrać; uchodząc niby to przed rzekomą karą, chce się otruć, wypija pół kieliszka, a hrabianka myśląc, że to trucizna, puhar do reszty spełnia, potem drugi i jeszcze trzeci wraz z ukochanym, aż wprawdzie nie umiera, ale bardzo miłutko pod wpływem szampana omdlewa, by za chwilę wrócić do przytomności w objęciach księcia i po krótkim dąsaniu się zostać jego żoną. Drobnostka, pisana dyalogiem dowcipnym, żywym i obfitującym w iście francuski *esprit*, mogłaby się i na polskiej scenie podobać, a stylowe kostiumy i dekoracje pozyskałyby oko widza.

Niepewniejszym byłby u nas los *Kaspra Hausera*, czteroaktowego dramatu p. Kurta Martensa¹⁾ — mówiliśmy raz o nim jako o autorze bardzo charakterystycznego *Roman aus der Decadence* — chociaż jego treść zdolną jest obudzić niezwykłą ciekawość. Tytuł młodszym czytelnikom nie mówi, bo kto z dzisiejszego pokolenia wie coś o Kasprze Hauserze? A jednak kilkadziesiąt lat temu wstecz to nazwisko było bardzo głośne, tem więcej, że otaczała je tajemnica, do dziś dnia nie rozjaśniona. Oto w poniedziałek Zielonych Świąt, 26 maja 1828 r. zgłosił się w policyjnym

¹⁾ Kurt Martens: *Kaspar Hauser*. Drama in vier Akten. (Egon Fleischel & Co. Berlin, 1903, str. 133). O ile wiemy, rzecz jeszcze nigdzie nie była przedstawioną. (P. a.).

zarządzie w Norymberdze jakiś nieznany młody człowiek, nędznie odziany i dziwacznie niezgrabny, i złożył niejasne listy, z których wynikałoby, że jest znaną, przez przybranego ojca, który go teraz do miasta posłał, w skrytości, zdala od ludzi wychowanym. Przybłądę zamknięto zrazu w miejskich aresztach, zaniedbawszy zbadać, skąd właściwie pochodzi i czy listy nie kłamią. Aż nagle burmistrz Norymbergi, rzekomo na podstawie zeznań Hausera, ogłosił relację, jakoby przybłąda był „dzieckiem natury“, w dzikości i samotności przez znalazcę żywionym. Żadna sensacyjna opinia publiczna zajęła się teraz chłopcem; jedni, zostając pod wpływem antykulturalnej doktryny Jana Jakóba Rousseau, w Hauserze widzieli niejako jej paradygmat, inni uroili sobie, że to jeden z Napoleonidów, których wówczas jak wiadomo uparcie po całym świecie szukano. W każdym razie rzecz pozostała tajemnicą, mimo, że król bawarski wyznaczył ogromną nagrodę za wykrycie pochodzenia Kaspra, a lord Stanhope — nie umiemy powiedzieć, z jakiej przyczyny i pobudki — gorąco się nim zajął. Hausera oddano na wychowanie pewnemu profesorowi, u którego niezwykle, aż podejrzane postępy w naukach robił, wbrew rousseauistom odsłaniając przytem nieladne wady charakteru. W r. 1829 wrócił raz do domu z raną w czole, skarżył się, że go jakiś nieznajomy chciał zamordować, lecz wszelkie poszukiwania za sprawcą nie odniosły skutku. Chłopca jednak dla bezpieczeństwa przeniesiono do miasteczka Ansbach, gdzie powoli przestano się nim zajmować. Wtem, w grudniowy wieczór r. 1833 Hauser znowu z raną do domu wrócił, tym razem już śmiertelną. Mordercy także i teraz nie znaleziono, tylko na miejscu zbrodni zagadkowe pismo. Ostatecznie coraz śmiejiej poczęto uważać go za zwykłego oszusta, który umyślnie się zranił, aby podsycić gasnącą u ogółu ciekawość, a tylko przypadkowo na śmierć się skaleczył. Niemniej jednak w marcu r. 1834 badencki emigrant Garnier ogłosił broszurę, twierdząc w niej, że Hauser był synem w. ks. badenckiego Karola i jego żony Stefanii de Beauharnais, porwanym przez hrabinę Hochberg, wdowę po w. ks. Karolu Fryderyku, która dla swoich dzieci chciała tron zapewnić. Legenda zyskała rozgłos, sprawa wywołała namiętne spory i pisma, ze strony oficjalnej wystąpiono ze

stanowczem zaprzeczeniem, lecz ostatecznie, jeśli czas naturalnie pyłem zapomnienia ją przypruszył, to jasną ona do tej chwili nie jest i zapewne już na zawsze zagadkową pozostanie.

Oto *species facti*, będącego treścią dramatu p. Martensa. Autor spożytkował wszystkie dane, dla większego ożywienia akcyi sensacyjnym rewelacyom Garniera kazał wyjść przed śmiercią Hausera i podsunął je bohaterowi, który oczywiście wierzy, że jest prawowitym królewiczem (nazwy państwa się nie wymienia). W pierwszych aktach widzimy powtórzenie tragedyi: Książę Reichstadt-Metternich; kanclerza zastępuje nauczyciel wrogo wobec Hausera usposobiony, dławiący jego ducha, katujący jego ciało. W dalszych odsłonach na pierwszym planie stoi Nieznajomy, zimny i bezwzględny a potężny sługa dynastyi, w której żywotnym interesie leży, by Kasper żył zamknięty i zapomniany. Przyjaciela ma biedny znaleźć tylko w Leonorze, córce Nauczyciela, a i ta go ostatecznie opuszcza, gdy w nim oszusta podejrzewa. Lord Stanhope gra podwójną rolę: chłopak go uwielbia i miluje jako przybranego ojca i dobroczyńcę, on zaś jest najmytą owego obcego rządu, a jednak nie spodlony do szpiku kości ma przecież trochę sympatyi dla Hausera. Katastrofa następuje w chwili, gdy pretendent ma iść na zdobycie tronu, a miasto niego otrzymuje z ręki Nieznajomego pehnięcie sztyletem. Dramat, zręcznie pisany i nie bez prób artystyczniejszej charakterystyki, traci ogromnie właśnie wskutek zbyt efektownego traktowania postaci i momentów reprezentujących tajemniczą intrygę

Żaden z dotychczas omawianych dramatów nie doznał wyższego nad wszelkie wątpliwości powodzenia. Jeśli jednak ten fakt autorom zapewne nie sprawiał przyjemności, to bez obawy omyłki można twierdzić, że los p. Hermana Sudermanna w tym sezonie teatralnym jeszcze bardziej był niepomyślnym i przykrym. Przedewszystkiem bowiem trzeba przyjąć za matematyczny pewnik, że Sudermann w r. 1903 jak nigdy przedtem pożywał powodzenia. Z końcem poprzedniego roku stoczył ową sławną batalię z niemieckimi krytykami teatralnymi, wykazując im czarno na białem, jakiemu „zdziczeniu (*Verrückung*) ulegli. Argumentów użył dużo, lecz

ostatecznie ten jeden tylko szedł mu z serca i przekonania: niemiecka krytyka teatralna zwyrodniała, bo kilka ostatnich jego dramatów zganila. Zaczepieni odpowiedzieli z miejsca: ależ te dramaty były lichy. Po takiej wymianie zdań Sudermann miał dwie drogi: albo nie pisać odtąd nic, albo lepiej napisać dramat, któryby i publiczność, i co ważniejsza, owa krytyka, za dobry uznać musiała. Tę ostatnią drogę wybraawszy, chciał wstąpić na nią pewną nogą, zabezpieczyć się bezwarunkowo, że do zamierzonego celu po niej dojdzie. Przeciwstawić się ogółowi, zmusić go do podziwu dla rzeczy, od popularnych wyobrażeń, uczuć i wierzeń odmiennej, nie miał odwagi, czując zresztą zupełnie zgodnie z prawdą, że na Prometeusza nie ma zdolności. Wolał raczej popłynąć z prądem, dać coś, co drastycznie mówiąc byłoby wyjęte z ust publiczności i ogółu, a zarazem i w oczach wybranych uchodziło za ostatni wyraz współczesnej kultury. Wiedząc, że dzisiaj szyderstwo na zbankrutowany liberalizm popłaca, dał je w okraszeniu motywów i dowcipów z *Simplicissimusa*, tego popularnego monachijskiego czasopisma humorystycznego, jednym słowem dał *Przewrotowca Sokratesa* ¹⁾. I... przerachował się.

Gdzieś w małej mieścinie na dalekim wschodzie państwa niemieckiego żyją koło r. 1875 — oto czas akcyi sztuki — niedobitki wolnomyślnych bojowników rewolucyi z r. 1848, trzymający wysoko spłowiały sztandar liberalizmu *von Anno dazumal*, prześladowanego i zwalczanego przez związkowe rządy. Żyją w śmiesznej ułudzie, podwójnej: bo z jednej strony nie chcą zrozumieć, że republikańsko-radykalne ich ideały straciły grunt pod nogami w dzisiejszem niemieckiem życiu narodowem i państwowem, które część ich postulatów dawno w czyn wprowadziło, inną na zawsze precz odrzuciło; z drugiej zaś strony uroili sobie, że są niebezpiecznymi dla panującego stanu rzeczy przewrotowcami, którym należy grozić się w tajemnicy przed landratem i być każdej chwili go-

¹⁾ *Der Sturmgewelle Sokrates*. Komödie in vier Akten von Hermann Sudermann. (Stuttgart 1903. J. G. Cotta, str. 170). Odegrane po raz pierwszy w berlińskim *Lesing-Theater* dnia 3 października 1903 r. (P. a.).

towymi do męczeństwa — nie pomni, że państwo co najwyżej szpitale, a nie więzienia, dla nich w razie jakiejś ich akcyi otworzyłyby. Środowisko znakomicie zaobserwowane, o komizmie, nie pozbawionym głębszego i poważniejszego podkładu; dodajmy, że Polak tem ciekawiej mu się przygląda, ile że zna takie — tylko co prawda smutniejsze — figury zacofanych fantastów wśród emigracyi. Dotąd więc jest wszystko dobrze. Ale w kreacyi naczelnika tego — oczywiście przez rozumniejszą władzę dobroduszenie tolerowanego — związku rzekomo tajnego, w postaci dentysty Alberta Hartmeyera, noszącego w klubie nazwisko *Der Sturmgeselle Sokrates*, autor nie stanął na wysokości zadania, bo nie umiał, a może nie chciał zdać sobie sprawy jasno z tego, jakim ma być ten nowoczesny *Don Quixote*. Smutnym czy śmiesznym, tragicznym czy komicznym, czy i tym i tamtym potrosze? Otóż u Sudermanna jest wahanie się, niejednorodność lub synteza dwóch pierwiastków, prawie tchórzliwe oglądanie się na wszystkie strony po zebranych w teatrze widzach, by i tym się przypodobać i tamtych nie urazić. W kłopotcie autor ucieka się do trywialności: trywialnem jest już wcielenie bądźcobądź ideałów w osobę dentysty, którego koło r. 1875 publiczność brała zwyczajnie jeszcze z humorystycznej strony; trywialnym jest zwłaszcza cały „konflikt“. Albert Hartmeyer ma syna, również dentystę, ale lepiej z nowszą techniką wrywania zębów obeznanego, a więc ku zgorszeniu ojca liczniejszą klientelą pacjentów obdarzonego. Prawda, jakie to wzniosłe?... Ale to nie jeszcze wobec ostatecznego konfliktu: stary Hartmeyer dotknięty jest do żywego w swych przekonaniach, bo syn jego przyjął wezwanie na dwór książęcy, gdzie ma wyrwać ząb... psu, czego stary naturalnie nie mógł zrobić, nie chcąc zadać kłamu szczytnym republikańskim i liberalnym zasadom z r. 1848, szczególnie zważywszy, że to nie był pies mieszczański, ale o zgrozo! — pies książęcy. Prawda, jakie to wzniosłe?... *Männerstolz vor Fürstenthronen!* i *Ich kann kein Fürstendiener sein!* A gdy landrat w końcu zirytowany przystępuje do rozwiązania „tajnego“ klubu, jeden z jego członków ukrywa niesłychanie ważne archiwum, gdzie? w łóżku kelnerki, którą wszyscy „przewrotowcy“, jeden cichaczem przed drugim, wieczorami

i... nieco później odwiedzali... zapewne aby i niemieckie „dziewice“ jednać dla świętej sprawy. Prawda, jakie to zabawne, jak wykwintnie zabawne? Zabawnem jest istotnie zakłopotanie Sudermanna, jak ma rozwiązać dramatyczny konflikt. Z początku zdobywa się na pomysł wyborny: oto w nagrodę za operacyę, wykonaną przez syna na książęcym psie, ojciec otrzymuje od księcia order. Co z nim Albert Hartmeyer pocnie? co z Albertem Hartmeyerem i orderem pocnie autor? Dentysta zrazu grozi wyrzuceniem orderu przez okno, potem przypina go sobie i patrzy na wpół cie kawie na wpół dumnie w zwierciadło, potem rzuca order ze wstrętem na ziemię, potem płacze gorzko, potem... potem już nie nie robi, bo kortyna spada. A więc chwiejny, bojaźliwy autor ostatecznie bał się decyzji i aktorowi zostawił przyjemną misyę wyciągania kasztanów z ognia. Przedtem zaś jeszcze w jeden bardzo zręczny sposób się przed gazetciarzami zabezpieczył. Oto, oczywiście wzorując się na *Natanie Mędrцу* Lessinga, wprowadził Żyda, rabina Dr Markuse i uczynił go naczyniem pełnem szlachetności i mądrości. W rozmowie z synem ten rezoner sztuki wypowiada następujące słowa, do których Sudermann może nie wiele wagi, ale dużo rachuby przywiązał: „Dobrze; przypuśćmy, że masz słusność i że świat znowu raz nie chce nic o nas słyszeć, Niemiec nie chce, byśmy z nim Niemcami, Rosyanin, byśmy z nim Rosyanami, Francuz, byśmy z nim Francuzami byli. Otóż wtedy my tem będziemy, czem oni być nie chcą i zachowamy ludzkości najkosztowniejszy klejnot, który posiada, lecz nieopatrznie rzuciła na bok: człowieka“.

I pomyśleć sobie, że cały trud, cała przemyślna spekulacya Sudermanna poszła na darmo. *Der Sturmgeselle Sokrates*, nie przebłagawszy „zdziczałych“ krytyków, zniechęcił ku autorowi nawet pobłażliwszą publiczność. Gdyby tu chodziło tylko o dramat, zepchnięty z repertuaru po kilku przedstawieniach, nie potrzeba byłoby dłużej się nim zajmować. Lecz przyczyny klęski są tak ciekawe, ograniczają się nietylko do kwestyj artystycznych, tak wiele o usposobieniu dzisiejszego społeczeństwa niemieckiego mówią. Śmiemy twierdzić, że publiczność odepchnęła rzecz zarówno dla jej estetycznych niedomagań, jak i kierując się instynktowo czy świadomie

i innemi, narodowo-politycznemi pubudkami. Oto Sudermann przerachował się, sądząc, że już można drwić publicznie w Niemczech z liberalizmu. Trupem on, ale jeszcze niepo-
grzebanym, jeszcze niezapomnianym, drwić z niego można po cichu, nie głośno i publicznie. Za naszym przypuszczeniem przemawia i ten fakt, że poeta wkrótce po przegranej bitwie pospieszył wydać broszurę, w której prawie nerwowo broni się przed zarzutem chęci ośmieszania idei roku 1848.

II

W miarę jak się oddala od wierności historycznej, dramat niemiecki staje się geograficznie coraz prawdziwszym. Nieraz już na tem miejscu była mowa o t. zw. *Heimatkunst*, jej starych i nowych ideałach, jej dobrych i złych stronach. Trwa ona zawsze i wydaje owoce godne uwagi tak z literackich i zględów jak i dzięki temu, że zaznajamia nas z duszą, życiem, obyczajami narodu, z którym tak czy owak w sąsiedztwie od początków istnienia i zapewne aż do końca świata żyć będziemy. Prawda, że właśnie wskutek dokładnego odtwarzania lokalnego tła dramatycznego pokroju mniej są lubiane, bo mniej rozumiane, przez obcą publiczność, gdy tymczasem antyczne czy renesansowe sztuki poniekąd nie mają ojczyzny ani obczyzny.

Powtórzyło się to po części z *Różą Bernd Gerharta Hauptmanna*¹⁾. Godząc się w głównych zarysach z sądem, jaki o dramacie wydał po przedstawieniu na krakowskiej scenie teatralny sprawozdawca *Przeglądu* (w zeszycie lutowym b. r.), pragnę zwrócić oko czytelnika na to, co w utworze jest specyficznie niemieckiem i na to, co w nim jest bezpośrednio hauptmannowskiem.

Zbadany w swej istocie tragiczny konflikt da się streścić jako historia dzieciobójczyni. Niema zaś literatury, w któ-

¹⁾ *Rose Bernd. Schauspiel in fünf Akten von Gerhart Hauptmann.* (Berlin, 1903, S. Fischer, Verlag, str. 154). Przedstawione po raz pierwszy w berlińskim *Deutsches Theater*, 31 października 1903. (P. a.).

rej ten motyw byłby tak często i chętnie opracowywanym jak w niemieckiej, gdzie szczególnie epoka *Sturm und Drang* przyniosła naprzód Leopolda Wagnera *Kindesmörderin*, a potem nieśmiertelną Goethego tragedję o Gretchen. Hauptmann, którego niemieckości u nas powszechnie się nie pojmuje, podjął ten temat zapewne jako człowiek i jako poeta, lecz przeprowadził go jako Niemiec. W scenariuszu, w charakterystyce osób widnieje na każdym kroku piętno niemieckiego ducha, a tworząc w ogóle postaci ściśle z wiejską glebą zrośnięte, dyalektem szląskim i drobniejszemi rysami obyczajowemi, dał im zapach ziemi rodzinnego swego kraju — wszystko cechy, których przekład polski, choćby najdoskonalszy, uwydatnić nie potrafi. Przytem należy pamiętać o tem, co u nas, jeśli się nie mylimy, zupełnie przeoczono: Krzysztof Flamm był porucznikiem a i dzisiaj wszyscy jego *Herr Lieutenant* jego żonę *Frau Lieutenant* tytułują. To nie drobnostka, lecz ważna wskazówka: jak się charakter tego człowieka urabiał, jak z niego wyniknęło wszystko, co jest bolesną treścią dramatu. W zakończeniu, pełnem beztendencyjnej litości, Hauptmann udowodnił, że wprowadzając pobożnego Bernda i jego przyszłego zięcia nie myślał o satyrze na świętoszków, lecz użył realistycznego a prawdziwego środka charakterystyki, czego znowu bez znajomości niemieckiego środowiska nie pojmie się należycie. Krytyk literacko-historyczny zaś w ostatnich słowach *Róży Bernd* znajdzie echo genialnego zakończenia I-ej Części *Fausta*, gdzie ponad szatańskim wyrokiem: „Osądzona“, rozlega się miłosierny głos z góry: „Uratowana“! Łącząc się z niemiecką duszą i poezją, ostatni utwór jest ponadto prawowitem dziecięciem Hauptmanna, w czytaniu czy ze sceny przywodzi natychmiast na pamięć dawniejsze jego dzieła, zwłaszcza *Woźnicę Henschla*. To samo szląskie środowisko, tu i tam początkowa sytuacja ta sama: tam silny, zdrowy Henschel, przykuty do łóża schorzałej i zwiędniętej żony, lada chwila, pchaany naturalnym popędem, rzuci się w objęcia dziewczki Hanny — tu Krzysztof Flamm, znalazłszy się w podobnem położeniu, uległ już pokusie i jest kochankiem Róży. Jak dawniej tak i teraz Hauptmann kroczy szlakiem istotnie konsekwentnego realizmu, a oba te dzieła, naszym zdaniem, są najdoskonalszemi twórami niemieckiego

realizmu dramatycznego. Ceniąc je tak wysoko, nie można było oczekiwać ich wielkiego na scenie powodzenia, bo realizm — u nas — nigdy go nie miał; darmo, jest mniej efektywnym od naturalizmu, lubującego się w jaskrawości i karykaturze, a zaudatowaną sztuką, by tu i ówdzie nużącym się nie wydać. Raz tylko jedyny Hauptmann-realista potknął się w *Róży Bernd*, a dziwnym przypadkiem podobna przygoda już dawniej mu się przydarzyła. Oto w *Hanusi* zupełnie niepotrzebnie rzucił na biedną dziewczynę podejrzenie nieprawego pochodzenia — tutaj Flamm, bądź co bądź zdradzający żonę, kocha się zmysłowo w Berndówniej dlatego, że ona mu przypomina zmarłego, nigdy nie opłakanego synka, Kurta. Potrzebnem to nie było, realistycznem nie jest, raczej typową hauptmannowską wycieczką w stronę naturalizmu, rozmiłowanego w szpetności. Łatwiej już przebaczyć się poecie, że wbrew zasadom procesu niemieckiego Róży każe przysięgać, chociaż w rzeczywistości żaden sąd od niej, jako *a priori* wystawionej na ewentualność krzywoprzysięstwa lub zniesławienia, takiej przysięgi nie domagałby się, nie dopuściłby.

Jak ożywczo, uszlachetniająco hasło „sztuki rodzimej“ działała na niemieckich poetów, dowodem był, a dzisiaj jest bardziej jeszcze niż dawniej, p. Max Halbe. Polonofob zawzięty, twórca ohydnej dla polskiego uczucia *Mutter Erde*, jednym tylko mógł za serce ująć: przywiązaniem do rodzinnej ziemi — jednym tylko mógł do artystycznego uczucia przemówić: znakomitą odtworzeniem tego gruntu. I najnowszy jego dramat¹⁾ z tej gleby czerpie żywotne soki, a roślina tem zdrowsza tym razem, że wykarmiła ją tylko miłość, bez współudziału nienawiści i że jest to pierwszy dramat Halbego, w którym niema na szczęście imienia polskiego, niema zatem i polonofobii, chociaż rzecz dzieje się nad polską rzeką. Wisła jest, co więcej, bohaterką sztuki, a pojęta bardzo poetycznie i bardzo głęboko, z tą elementarną poezją i głębią, jaką ma u Ibsena morze.

¹⁾ Max Halbe: *Der Strom*. Drama in drei Aufzügen. (Berlin. Georg Bondi, 1904, str. 114). Przedstawione po raz pierwszy w wiedeńskim *Hofburgtheater* 19 października 1903. (P. a.).

Wisła kocha ludzi zamieszkujących jej brzegi, ale świadoma swej siły i majestatu bez litości karze tego, kto jej siłę lekceważy, jej majestat obraża. W rodzinie Doornów jest od kilku pokoleń piecza nad rzeką, nad jej groblami i tamami, nad jej wylewami i krami. I słuszenie: bo domostwo Doornów zbudowane tak, że rozhukany żywioł wodny jemu na przód straszliwie może dać się we znaki. Szczęścia w rodzinie Doornów nie ma: starszy Piotr ma wszystko, lecz ma i robaka sumienia za to, że ukrywając testament ojca, zagarnął całą schedę, krzywdząc młodszych braci. Oni zaś, Henryk i Jakób, którym ojciec za życia obiecywał dużą część dziedzictwa, teraz pozbawieni jego, czują krzywdę, tłumią żal do starszego brata. Zwłaszcza Jakób; Henryk bowiem skończył przynajmniej szkoły, jest inżynierem przy regulacji rzek, podczas gdy najmłodszy, nieposyłany do szkół, ma na zawsze być sługą brata. Goryczy dosyć już byłoby; pomnaża ją kobieta. Renata jest dzisiaj żoną Piotra, lecz niegdyś starał się o nią biedniejszy co prawda od tamtego Henryk, a Jakób w chorobliwych nawpół, a nawpół dziecinnych marzeniach o niej także myśli. Renata nie zna radości: miała dzieci — Wisła je zabrała. Jak się to stało, nie wie ani ona ani mąż; Piotr mówi, że to rzeka wyciągnęła po nie mściwe ręce, karząc go za krzywdy jej zadane przez zbudowanie tam i grobli, za krzywdy braciom zadane przez zagarnięcie całej schedy. Renata o tem nie wiedziała, aż Piotr złamany ciosem, wyznał jej zbrodnię, aby sobie ulżyć, zmusił do wiedzy o niej, obciążając jej sumienie współwiną w tajemnicy.

Z tych elementów — tak żywo przypominających z jednej strony typowo-niemiecki problem wrogich braci, z drugiej skandynawskiego mistrza, lecz w opracowaniu zupełnie indywidualnych — Halbe buduje dramat. Jego bogate szczegóły mogłby jedynie bardziej drobiazgowy rozbiór odsłonić, a na to tu miejsca nie starczy. Trzeba się ograniczyć do podania — po scharakteryzowaniu początku — końca tragedii. Wypływa ona z chwili, kiedy młodszy bracia dowiadują się o zatajeniu testamentu; eicha dotychczas walka pomiędzy nimi a krzywdzicielem wybucha z żywiołową potęgą, zgodnie z grożącym coraz niechybniej wylewem Wisły, spowo-

dowanym lutowemi krami. Jakób walczy z Piotrem do upadłego, rozrywa tamę, by rozhukaną rzekę puścić na rolę, którą Piotr bezprawnie posiada. Starszy brat spieszy bronić mienia, a w dramatycznej walce giną obaj. Zostaje tylko Renata i Henryk. Ich końcowy dyalog jest bardzo charakterystyczny:

Henryk: Piotr padł za nas wszystkich, Renato! Piotr ocalił tamę i ziemię.

Renata: (cicho). A Jakób?

Henryk: On był ofiarą! Kto ma odwagę ogłosić go winnym?

Renata, złamana, cicho łka.

Katastrofa wspaniała, o ile dotyczy Piotra i Jakóba, nie zadowala odnośnie do Renaty i Henryka. Dlatego, że po za płaszczem głębokich rezultatów kryje się czczość nie mówiących frazesów. *Der Strom Halbego* jest doskonałym *Milieu-Stück* z ibsenowskimi elementami w motywach, tle i charakterystyce; lecz chociaż chciał być i po ibsenowsku głębokim w problemie zasadniczym, stał się właśnie odwodem zupełnej nieudolności autora w tym kierunku.

Charakterystyczną właściwością „sztuki rodzimej“ jest jędrność i soczystość jej postaci: są to ludzie zdrowi i silni aż do brutalności, stali i energiczni aż do uporu, samodzielni i męscy aż do despotyzmu, żywiołowi i pierwotni aż do dzikości. Skąd to pochodzi, nie trudno powiedzieć: robi ich takimi życie na łonie surowej natury, z którą żyć dobrze, ale tylko w ciągłym trudzie, życie tak odmienne od dni dzieci miasta, kultury miejskiej, pokrywającej świeże policzki bladeścią. Piotr Hawel, bohater dramatu p. Edwarda von Keyserling, pisarza znanego dotychczas z zupełnie innej strony, bo jako autora delikatnej, bardzo estetycznej i prawie arystokratycznej nowellistyki, Piotr Hawel jest taką twardą chłopską naturą¹⁾. Był biednym, kiedy w spadku po zbankrutowanym krewnym, samobójcy Chalinsky'm — nigdzie

¹⁾ E. von Keyserling: *Peter Hawel*. Drama in fünf Aufzügen. (Berlin. S. Fischer, Verlag 1904, str. 176). Przedstawione po raz pierwszy dnia 10 października 1903 r. w monachijskim *Schauspielhaus*. (P. a.).

nie ma wzmianki, jakoby to był Polak — otrzymał majątek ziemski Salanten i — piękną, niebezpieczną a lekką Margę za żonę. Małżeństwo niedobre rozeszło się oczywiście wnet, z winy pani, która chyba bardzo wiele przeciw mężowi i moralności grzeszyła, kiedy i on i służba nawet najdosadniejszych wyzwisk używają, mówiąc o niej. A jednak Marga wraca do Piotra: po latach, niewiadomo gdzie spędzonych, znalazła się biedną i samotną, napisała do męża, by jej udzielił przytulku, on się zgodził, bo chciał się wobec niej twardym panem, surowym sędzią okazać. Zrazu jest obojętnym, chłodnym aż do lodowatości i takim zachowaniem żonę niepokoi, koreci, denerwuje. Marga bałamuci kuzyna, Gordona von Chalinsky, i dla zabawy wśród tego okropnie nudnego, ciągle tylko o pracy i obowiązku mówiącego otoczenia, i dla rozpalenia w mężu ognia zazdrości a za nią i miłości. Rachuby fatalnie ją zawodzą: Hawel czuje, że z pana, którym chciał być dla niej, staje się jej igraszką; patrząc na jej niewygasłą piękność, doznaje męczarni na myśl, że ona może się innemu oddać. I zabija ją, strąciwszy bezbronną w przepaść. Wyrzutów sumienia nie ma, chce żyć jak dawniej, twardo, władnie i surowo, bezpieczny przed sądem, bo zbrodni nikt nie widział. Myli się: podpatrzył go maszynista Böttcher, przywódca robotników rolnych, niedawno przez Piotra w opinii ich zrujnowany. Teraz w nocy przychodzi do zbrodniarza i oświadcza, że milczeć będzie, jeśli Hawel będzie mu posłusznym, podniesie go znowu w poważaniu u robotników, spełniając ich żądania i oznajmiając, że dla Böttchera tylko to robi. Hawel nie ugina się, życia w poddaństwo nie zaprzęda, wybiera śmierć.

I pochwałę i nagane dla tego niezwyklego utworu mieć należy. W postawieniu głównych figur, szczególnie samego Piotra, w charakterystyce znoej, twardej doli wieśniaczej, w przeprowadzeniu dramatycznego konfliktu znać rękę i artysty i psychologa; a jednak niepodobna oprzeć się wrażeniu, że motyw to stworzony dla powieści, niedający się wtłoczyć w pięć aktów, które zresztą często mniej są dramatyczne, niż ukryte przed oczami widza międzyakty. Kwestya socyalna wprowadzona również nieszczęśliwie: sama przez się zajmuje już dlatego, że chodzi tu nie, jak prawie w każ-

dym utworze od czasów *Tkaczów* Hauptmanna, o robotników przemysłowych, lecz o rolnych. Scena gwałtownej rozmowy zbuntowanych z Hawelem wyborna, prawie aż zbyt typowa. Ale ostatecznie wszystko to luźno z główną ośnową związane a w ostatniej scenie szczególnie słabo: bo czyż do katastrofy potrzeba, by właśnie socjalista Böttcher był podpatrzył Hawela? Nie, ktokolwiek byłby ukrytym sprawcą zbrodni, Piotr nie mógłby dalej żyć.

Zanim podążymy za temi pierwszemi śladami walk i myśli politycznych obecnej doby, w związku z poprzedniami okazami sztuki rodzimej trzeba omówić rzecz do niej należącą, bynajmniej nie wolną od błędów i to dużych, a jednak tyle w sobie mającą prawdziwego talentu i — co tak rzadkiem jest za dni naszych — szczerą poezję, że w młodym autorze, po raz pierwszy tu w polskim piśmie nazwanym, przyszłość zapewne ujrzy wybitną indywidualność. To p. Wilhelm Schmidt¹⁾, który przed rokiem zapisał się do cechu niemieckich belletrystów zbiorem nowell, wyraziście i serdecznie przedstawiających kraj i ludzi nad brzegami dolnego Renu. Jego dramat *Mutter Landstrasse* w tytule uderza w ton, u nas mniej może kochany, niż u Niemców. W Polsce ani życie ani literatura, dawna czy dzisiejsza, nie poetyzuje w tym stopniu co tam wędrówki po szerokim świecie bez grosza w kieszeni, lecz z wesołą swobodą w sercu.

Wem Gott will rechte Gunst erweisen,
Den schickt Er in die weite Welt,
Dem will Er seine Wunder weisen
In Berg und Wald und Strom und Feld,

śpiewa romantyk Eichendorff. Romantyczne nastroje wioną też z dramatu, zwłaszcza z pierwszych jego scen, gdzie nie-

¹⁾ Wilhelm Schmidt-Bonn: *Mutter Landstrasse*. Das Ende einer Jugend. Schauspiel in drei Aufzügen. (Egon Fleischel & Co. Berlin 1903, str. 70). Krytyka niemiecka błędnie uważa przedstawienie tej sztuki w berlińskim *Kleines Theater* dn. 28 lutego 1904 r. za pierwsze; rzecz grana bowiem była przed półtrzecią laty w Dreźnie w *Kgl. Hoftheater*. Wskutek tego upadają domysły niemieckich krytyków o wpływie Gorkiego w *Schronisku nocnem*, wówczas w Niemczech jeszcze nieznanem. (P. a.).

znana nam jeszcze bliżej trójka wesółych wędrowców żegna się u rozstajnych dróg. Rychło jednak widz przekonywa się, że osiã sztuki jest starohebrajska przypowieść o marnotrawnym synu. Hans wraca do ojcowskiego domu po długich latach nieobecności, wraca do domu, który przed laty samowolnie i lekkomyślnie opuścił, goniąc za marą szczęścia; wraca z żoną Gertrudą i chorem niemowlęciem, wynędzniały i głodny, lecz w duchu wesóły i ufny w jaśniejszą przyszłość, w przebaczenie rodzica. U wrót domu, gdzieś w bawarskich górach leżącego, nikt go nie wita. Ojciec, gdy już nie może udawać dłużej, że przybyszów nie spostrzega, dla syna ma tylko lodowate zimno i nieubłaganą surowość. W nawrócenie syna nie wierzy, gościny mu dać nie chce, nawet najświętszym zakłębom wzruszyć się nie daje. Grzech, jaki syn popełnił, wymaga jego zdaniem ekspiacyi, więc niech Hans zostawi tu żonę i dziecko, a sam nędzny jak jest idzie dalej na tułaczkę, a kiedyś, kiedyś, gdy się czegoś dorobi, dowiedzie, że zdolnym jest czegoś innego prócz błagania — wtedy niech do bramy zapuka. Hans chwyta się ostatecznego środka, by ojca do łaski przymusić: mówi mu, że przyciśnięty nędzą popełnił kradzież czy fałszerstwo, że władza ściga go a dom ten jedynem dla niego schronieniem. Daremnie: ojciec o tym nowym grzechu dowiedziawszy się, słysząc dalej z ust występnego syna, że nie myśli, jak Karol Moor, oddać się sam sprawiedliwości, krzyczy na parobków, by złodzieja związali. Pierwszy, który się zbliżył, padł na ziemię uderzony pięścią Hansa, inni boją się czy wzdrygają. Wtedy ojciec szczuje syna psami: stare psy poznają w przybyłym dawne chłopię, z którem się bawiły na podwórzu i liżą mu ręce. Ojciec chce sam rzucić się na syna, wtem siostrzenica Zofia donosi mu, że dziecko umarło. Ojciec, jakby mimowolnie zdejmując kapelusz i składa ręce, a w dali słysząc wesolą piosnkę wędrowną. I syn marnotrawny pójdzie w świat, straciwszy nadzieję spokojnego życia u ogniska domowego.

Wszystkie wady dramatu zbyt są widoczne, by je można było ukryć, może nawet zbyt to jawne, by do ich dostrzeżenia potrzeba było bystrego wzroku. A więc przedewszystkiem zasadniczy konflikt syna z ojcem. Że tkwi w tym motywie dużo tragiczności, to pokazał przed laty Hauptmann

w *Święcie pojednania*, przed paru miesiącami p. Nowaczyński w *Prawie mimicry*. Ale tak nieludzkim ojcem nie jest ani nieszczęśliwy pijak Fritz Scholz, ani zgryźliwy skąpiec Regent, nieludzkim, bo takim wydać się musi, gdy syna chce szczeruć psami, chociaż w swoim własnym pojęciu — a może i w rozumieniu autora — jest Katonem czy Brutusem. A dalej, ileż wadliwości w technice dramaturgicznej: jak późno np., bo aż w połowie sztuki, dowiadujemy się i to niezupełnie, o *Vorfabel*. Ale przeciw tym grzechom stają cnoty utworu, niemałe jak i tamte! Więc naprzód syn, może w oczach powierzchownie sądzących pozbawiony wzniosłości dlatego, że ostatecznie z głodu przedewszystkiem do ojcowskich drzwi kołacze, w rzeczywistości taki ludzki, taki serdeczny, prawda, że z wyjątkiem owej chwili, gdy — czy szczerze? — przyznaje się do pospolitych, hańbiących nawet nędzarza występków. Więc jego żona, cicha i kochająca, trwożliwa o jedynaka i o męża, biernie, lecz uparcie broniąca ich życia — ale i ich honoru. Więc mało uwydatniona w streszczeniu kuzynka Zofia, za dziecięcych lat zakochana w Hansie, marząca o poślubieniu go, gdy wróci, smężna bo zawiedziona, a przecież taka litościwa dla przybysza, że naraża się tem nawet na gniew pana domu. A nie najpośledniejszą zaletą dramatu jest jego dyalog; pod tym względem utwór p. Schmidta stoi na czele wszystkich innych, tutaj omawianych, tyle w nim przezrystej poezji, serdecznego uczucia, prostej świeżości, umilającej nawet mniej udatne sceny.

Powstrzymawszy jeszcze na chwilę zalew bieżącej polityki, dłużej już przed nim uchronić się nie możemy. Przyjemnych wrażeń zaprawdę się tu nie dozna. Sudermann w znanym już *Przewrotowcu Sokratesie* ośmieszył donkiszotów i epigonów starego liberalizmu z r. 1848; to, co obecnie zwie się polityką, warte może nie Arystofanesa, lecz Juwenala. Tak przynajmniej sądzi p. Rudolf Hawel, wypowiadając w najnowszej, na bruku wiedeńskim do znaczenia elementarnego zjawiska wyrosłej komedii ten potępiający wyrok: *Politische Parteien — a Bund Hadern wie'r da andere!*¹⁾ Prawda, że ten

¹⁾ Rudolf Hawel: *Die Politiker*. Komödie in fünf Aufzügen. (Wiener Verlag. Wien und Leipzig 1904, str. 155).

krzyk oburzenia, w książce czarno na białem wypisany, odezwał się w teatrze raz tylko, na pierwszym przedstawieniu sztuki, na dalszych zaś usunięto go pod naciskiem pewnej partii politycznej, która w dramacie chciała widzieć potępienie antysemitów jedynie.

Rusztowanie sztuki przypomina poniekąd głośnego *Der Probekandidat* p. Maxa Dreyera. W obu utworach młody nauczyciel tymczasowy — obecnie jest nim Józef Ziegler — nie otrzymuje upragnionej stałej posady, lecz pada ofiarą swej wolnomyślności; tylko tam, na pruskim gruncie, chodzi o konflikt wiedzy przyrodniczej z ortodoksyjnością protestanckich pastorów, tutaj zaś na ziemi wiedeńskiej, w kraju „pięknego Karola“ i *Nowej Pressy*, osią dramatu musi być oczywiście walka liberałów z chrześcijańsko-socyalnymi. Żeby to był widok bardzo podniosły, nie sądzimy, z drugiej jednak strony upieranie się przy dawnem, pocziwem przekonaniu, że *Politisch Lied ein garstig Lied*, obecnie ani życiowo ani estetycznie usprawiedliwić się nie da. Niech będzie polityka — jak była nią niewątpliwie współcześnie *Antygona* — ale niech z tej mierzwy wyrasta dobry dramat, a chociaż niechętnie, zgodzimy się na taki stan rzeczy. Otóż p. Hawel dba o dramat, przynajmniej według sił. Węzeł zacieśnia i urozmaica, robiąc ojca wolnomyślnego Zieglera, stolarza, stronnikiem antysemitów, i wprowadzając przez to żwawszy ruch. Bohater ma prócz tego ukochaną Mizzi, córkę starszego nauczyciela Hartnera, tak długo trzymającego buńczucznie sztandar liberalizmu, aż przeciwny obóz groźbą i obietnicą nie przemienia go naprzód w bezstronnego, później zapewne w wyznawcę rasowej nienawiści. W obrębie tych osób rozgrywa się dramat, ciekawszy jednak dla polityka i socjologa, dość obojętny dla estetyka: pierwszy znajdzie wyborne, może nieco za jaskrawe obrazki walk politycznych, korupcyi wyborców i wybranych, zgromadzeń ludowych, sztuczek dziennikarskich — drugi tu i ówdzie zaledwie wyczuje bicie pulsu ludzkiego. Rzecz powinna się była zakończyć tragicznie, lecz, jak niegdyś p. Dreyer wypędzonemu suplentowi kazał iść do

Przedstawione po raz pierwszy w wiedeńskim *Raimund-theater* 14 stycznia 1904. (P. a.).

Prus, gdzie panuje swoboda myśli (?), tak p. Hawel pozbawionego posady Józefa Zieglera pospiesznie i mechanicznie doprowadza do odzyskania swobody ducha we wnętrzu własnego serca: „Założymy sobie (on i Mizzi) nowy świat, w którym panuje wolność, nikogo do przymusu nie zniewalająca“. Pięknie powiedziane i chwali się autorowi, że bohaterowi nie kazał się rzucić w objęcia liberalizmu — ale gdzie ten wymarzony świat i co Ziegler, oddalony ze służby, nie przyjęty do redakcyi dziennika, będzie w nim z narzeczoną robił?

Politycy mieli powodzenie, przynajmniej rozgłos ogromny, lecz świetność ich trwała krótko, a artykuł wstępny pewnego dziennika liberalnego w Wiedniu, poświęcony hymnowi pochwalnemu na cześć dramatu, był tego powodzenia i rozgłosu stwierdzeniem, zenitem i — zachodem. Bez porównania głębsze wywarł wrażenie *Capstrzyk* p. Franciszka Adama Beyerleina, autora pamiętnej powieści *Jena czy Sedan?*¹⁾ Jak przed kilku laty *Im weissen Rössl*, jak przed dwoma laty i przed rokiem *Alt Heidelberg*, tak teraz *Zapfenstreich* jest „sensacją“ teatralnego sezonu. Lecz zestawienie tych trzech utworów nie jest zrównaniem ich wartości. Przeciwnie, jeśli komedia spółki Blumenthal-Kadelburg nie miała żadnej wartości literackiej, a sztuka p. Meyer-Förstera w nieznaczej jedynie mierze ją posiadała, to w utworze p. Beyerleina mamy najgłośniejsze i najlepsze zarazem dzieło dramatyczne ostatnich miesięcy. Oczekiwać tego nie można było, bo powieść tego samego autora wybitniejszych zdolności bynajmniej nie dowodziła a treścią kazała w nim widzieć pisarza, goniącego za hałaśliwymi efektami, nie zawsze w sferze poezyi leżącemi. *Capstrzyk* więc *ex post* rehabilituje i autora i dawniejsze jego dzieło.

Ekspozycya dramatu jest możliwie prostą; pierwszy akt mówi jasno, skąd ma powiać tragiczna burza. To świat, który autor w powieści dosadnie przedstawił: tutaj oficerowie i podoficerowie pułku magdeburskich ułanów. Tylko tam

¹⁾ *Zapfenstreich*, von Franz Adam Beyerlein. Drama in vier Aufzügen. (Vita. Deutsches Verlagshaus. Berlin). Przedstawione po raz pierwszy w berlińskim *Lessing-Theater*, dn. 29 października r. 1903. (P. a.).

jedni i drudzy, a szczególnie ci ostatni, byli czarnemi figurami — tu jakoś podobniejsi do ludzi. Więc stary wachmistrz Volkhardt, wzór podoficerów; stracił syna, ale ostatecznie go nie żałuje, bo kto wie, co złego z chłopaka mogło wyrosnąć; cieszy się natomiast, że ma córkę żywą, wesolą, energiczną, pracowitą Klarcię: jaki z niej byłby dzielny żołnierz! Ojciec chce ją wydać za mąż, naturalnie za żołnierza, za sierżanta Helbiga, swego przybranego syna; młodzi razem się wychowali, lubieli się, a jeśli dziewczyna zapomniała może o chłopcu, gdy wyjechał do Instytutu jazdy konnej do Hannoveru, to go sobie przypomni, bo przyszedł zięć właśnie dzisiaj wrócił. Wachmistrz się ludzi: Klarcia pokochała porucznika von Lauffen i on ją kocha. Więc już się wie, co z tego wyniknie, przeczuwa to nie widz tylko, ale potrosze i niektóre osoby dramatu, szczególnie wicewachmistrz Queiss, zacięty wróg kobiecego rodzaju, po części boi się przyszłości sam Helbig. Takim jest pierwszy akt: prosty, jasny i zdecydowany. Historyk literatury wtrąci może, że w tem niema nic nowego, że — nie sięgając daleko — w powieści p. Klary Viebig *Die Wacht am Rhein* (1902) znajdzie się sytuację, podobną do tej jak dwie krople wody między sobą (feldwebel Fryderyk Rinke, jego córka Fina i lejtnant von Clermont); widz w teatrze o takie analogie nie dba i odpowiada, że mu są one obojętne, jeśli rzecz tylko go wzrusza. A wzrusza istotnie. Beyerlein, nie bardzo biegły w technice powieściowej, zrozumiał — a może to tylko szczęśliwy bezwiedny instynkt? — że w teatrze i dramacie katastrofa, którą się przewiduje, nie staje się przez to bynajmniej obojętną, i dlatego trzyma widza pod swoją władzą, mimo to, że dalszą drogę prawie całkowicie w pierwszej odsłonie mu pokazał. Powtórę zaś mądrze postąpił, tworząc postacie proste, bez żadnej zawilosci, bez dodatku nadzwyczajności. Jeden Queiss, fanatyczny misogyn, ma jakby pociąg do teatralnej „demoniczności“ i dlatego nam się nie podobą, razi wśród tego otoczenia; miłość koni — dobrze, z nią bardzo żołnierzowi w konnicy do twarzy, nawet nienawiść do kobiet uszlaby, gdyby nie zbyt głębokie i elementarne jej umotywowanie, trącające słabem naśladowaniem modernistycznej misogynii. Ale zresztą, jacy prości, jacy ludscy

ci ludzie: wachmistrz — twarda natura służbisty, surowy dla siebie i dla drugih; Klarcia, wesoły ptaszek, lgnący do słońca trochę lekkomyślnie, przytem już w tym akcie scharakteryzowana jako skłonna do uporu czy wytrwałości; wreszcie z osób na pierwszym planie Lauffen ani odrobiny nie nachylony ku karykaturalności czy „demoniczności”: przeciętny lejtnant kawalerii, ciekawszy o tyle, że jest synem zmarłego, w wojsku zawsze z najwyższą czcią wspomnianego jenerała; autor dodał tu jeszcze jeden szczegół, potrzebny w dalszym rozwoju akcji: Volkhardt nietylko szanuje go jako przelozonego, lecz kocha go z wdzięczności dla jego ojca, który wachmistrzowi uratował życie w ostatniej wojnie. Ci wszyscy, łącznie z Ottonem Helbigiem, stoją więc od pierwszych chwil jasno i wyraziście.

Drugi akt daje wieczorną schadzkę kochanków w koszarach, w mieszkaniu Lauffena, poprzedzoną przyjacielskimi przestrogami porucznika von Höven, bardzo pożądanymi w dramacie, bo widza w oczekiwaniu nieszczęścia utwierdzają. W tej rozmowie kolegów padają z ust starszego filozofującego słowa, przypominające niektóre ustępy powieści, ale jakoś odmienny ich ton: tam były tendencyjne oskarżenia, rzucane w twarz wojsku a ludowi dla uciechy, tu spokój, wyrozumiałość, prawda, że czasem, miejscami zbyt wyrównany ton mentorski, nie szkodliwy jednak, bo w książce się go łatwo znieść, a w teatrze jeszcze łatwiej skreśli. Spotkanie kochanków serdeczne, proste, bez patosu, bez poetyzowania a z dobrem wyzyskaniem naturalnej takich chwil poezyi; na osobną pochwałę zasługuje zabarwienie dyalogu koszarowemi reminiscencyami, zabarwienie bardzo charakterystyczne a dyskretne. Gdy Klarcia, jak prawdziwa córka żołnierza, z zapalem mówi o wojnie, to słyszy się znowu odmienne a miłsze niż w powieści dźwięki, tu zaś tem bardziej pożądane, że i Lauffen, dotychczas za mało może animuszu żołnierskiego okazujący, teraz dumny jest z oficerskiego munduru. Że Klarcia zna pewne tajemnice planu mobilizacyi, to jest niebezpiecznem nie tyle dla dramatu, ile dla armii... Miłosne gruchanie przerywa wejście służącego: sierżant Helbig prosi o chwilę rozmowy z panem lejtnantem. Dramat więc już się na dobre zaczyna; Klarcia chroni się do przyległej alkowy. Otto po-

dejrzywa, że narzeczona jest kochanką Lauffena i żąda od niego słowa honoru, że tak nie jest. Lauffen oczywiście kłamać nie może, prawdy powiedzieć nie chce, każe żołnierzowi natychmiast wyjść. Helbig już wie, że Klarcia jest w sypialnym pokoju lejtnanta. Chce tam gwałtem wtargnąć, wtedy Lauffen tnie go szablą. Otto wściekłym ruchem odtrąca porucznika na bok, otwiera drzwi do alkowy, gdzie widzi dziewczynę. Lecz już Lauffen woła służbowego podoficera — jest nim w tej chwili Queiss — i w jego ręce oddaje Helbiga. W rzeczywistości trwa to krócej, niż w opowiadaniu i — działa. Katastrofa umotywowana i sprowadzona bez zarzutu, a wykonanie silne bez niepotrzebnej brutalności. Koniec aktu tem dosadniejszy, że Helbiga więzi właśnie Queiss, który od samego początku niejasno go przestrzegał, że jest źle a może być gorzej.

W następnym akcie ma się sąd wojenny. Beyerlein wiedział zapewne, że sama dekoratywna strona tej sceny pozyska widzów. Sąd z całym aparatem oskarżyciela, obżałowanego i obrońcy, z gronem sędziów i świadków, to rzecz zawsze ciekawa i dla płytkiego i dla głębszego obserwatora; co dopiero sąd wojskowy: w Niemczech patrzy się na jego reprodukcję z zajęciem, bo tyle się o nim słyszało i czytało, tam zaś, gdzie rozprawy rzeczywiste są — jak w Austrii — tajne, tam interes dochodzi do napięcia fenomenu. Z członków trybunału wysuwa się na pierwszy plan rotmistrz kirasjerów hr. Lehdenburg, epizodyczna ale wyśmienita kreacja: elegancki, trochę próżny, lekkomyślny, znudzony wielki pan, z początku oburzający w lekceważeniu bądź co bądź bardzo poważnej sprawy, a jednak bynajmniej nie głupi, owszem zdobywający się na pomysły bardzo bystre i do wyświeetlenia sprawy znakomicie się przyczyniające. Sprawa bowiem jasna, o ile chodzi o sam fakt czynnego znieważenia przełożonego, jest ciemną, z chwilą, gdy sędziowie i obrońca oskarżonego — znany już Höven — pytają o pobudkę i powód postępowania Helbiga. Mileżą tu obaj: obżałowany i zelżony, obaj z tych samych powodów, aby panny, którą obaj kochają, nie kompromitować. Im uporczywiej ci dwaj mileżą, tem natarczywiej Lehdenburg, Höven i trybunał usiłują dotrzeć do jądra rzeczy — i powstaje

duszną atmosferą, dla dramatu bardzo pożądana. Celem spojrzeń wszystkich obecnych jest Lauffen: wezwany, by przysiągł, że nie nie zataił, oświadcza gotowość uczynić to zaraz. Tu autor zawinił: wezytawszy się w utwór, zrozumie się, iż porucznik zdolnym jest popełnić krzywoprzysięstwo jedynie dla ratowania czci ukochanej panny, a jednak przypuszczamy, że ten i ów widz podsuwa mu jako motyw podłe tchórzostwo czy mściwość wobec Ottona, jedno i drugie zaś krzywi charakter Lauffena, którego autor pojął niewątpliwie jako człowieka lekkomyślnego, lecz szlachetnego i honorowego. Na szczęście do krzywoprzysięstwa nie dochodzi, bo zeznania Queissa zmuszają sąd do powołania na świadka Klarci. Dziewczyna sama zresztą już przyszła i opowiada, co się owego wieczoru stało. Wachmistrz z osłupieniem dowiadyuje się, że jego córka jest kochanką porucznika; wyrzuca z siebie krzyk wściekłości i chce się na Lauffena rzucić. Więc jeszcze jedno nieszczęście? Nie; Queiss i Lehdenburg — nowy dowód jego dobrej głowy i dobrego serca — szybko tłómaczą ruch Volkhardta jako omdlenie. Kortyna spada tuż po tej chwili, kiedy skrzydła ponurego ptaka nad tymi ludźmi złowrogo zatrzepotały.

Jak ściśle i zwięźle Beyerlein zbudował swój dramat, widzi się z początkiem ostatniej odsłony. Co się stało z Helbigiem, czy wyrok na niego zapadł i jakie jego brzmienie — o tem nie dowiadujemy się, boć istotnie sprawa to małej wagi. Spieszno i autorowi i nam do Lauffena. Siedzi wieczorem w znanym już nieszczęsnym pokoju i rozmawia z Hövenem, a raczej słucha jego wyrzutów. Scena może trochę rezonerska, ale jej refleksyjny charakter uspokaja nerwy, star-gane po poprzednim akcie a mające niebawem nowych wzruszeń doznać. Jest zaś w tych moralach Hövena jedna zdrowa i słuszna myśl: „Człowieku, czemuś ty to zrobił właśnie Volkhardtowi, staremu żołnierzowi, całą duszą wojsku oddanemu? jak my mamy żądać subordynacyi od podwładnych, których najświętsze uczucia obrażamy, nogami deptemy!“ Ale co teraz robić? Höven radzi: ożenić się z dziewczyną. Lauffen — wybornie tu uchwycony jako zwykły człowiek a nie żaden bohater — odpowiada: „Tak, ożeniłbym się z Klarcią, bo to taka złota dziewczyna, ostatecznie i wachmistrza zniósłbym

jako teścia, ale gdyby tak nagle jakiś krewniak się pojawił, np. kominiarz i chciał mi podać osmoloną rękę... nie!" Więc się nie ożeni. Höven odchodzi, nawet ręki przyjacielowi nie podawczy. Ktoś puka do drzwi: to wachmistrz. Lauffen przeprosza go za krzywdę, jaką mu wyrządził, uwiódłszy jego córkę. Volkhardt słowami się nie zadowalnia, wyciąga rewolwer, żąda pojedynku; porucznik odmawia, bo przecież bić się nie może z podoficerem. Wtem przychodzi Klarcia. Oczywiście autorowi potrzebne koniecznie zgromadzenie ku końcowi dramatu głównych jego osób; to się wie, ale przymusu w tem nie widać: Klarcia przychodzi, bo znając ojca, poznawszy jego rozpacz obecną, boi się, by czegoś strasznego nie zrobił. Nie przeczuwa zaś, że jej widok ojcu doznana hańbę tem żywiej przed oczy stawia. Volkhardt tem natarczywiej domaga się honorowej rozprawy, zdejmuje z piersi żelazny krzyż zasługi, niegodnym się go w tym wstydzie czując. Lauffen go uspokaja, lecz sam coraz bardziej jest tą sytuacją zdenerwowany, drażniąc wachmistrza tym niepokojem. Aż stary żołnierz, nie mogąc otrzymać zadosyćuczynienia, zwraca rewolwer ku uwodzicielowi. Klarcia się rzuca między niego a kochanka; niepotrzebnie, bo sam wachmistrz broń upuścił: „Nie mogę! To przecież mój lejtnant! Nie mogę tego zrobić! Za wielkim tchórzem jestem na to! Długie lata słuchałem go ślepo, ta subordynacya weszła mi w szpik kości! Nawet zemścić się nie mogę! Tchórz! tchórz ze mnie! Wtedy — jego ojciec uratował mi życie, teraz syn mi je precz bierze. Rachunek wyrównany“. I chce odejść z córką, na hańbę i srom, lecz na to Klarcia oświadcza, że zostaje z Lauffenem, bo go kocha, bo mu się pierwsza na szyję rzuciła... Ojciec wpada wówczas w szal rozpacz i — wystrzałem z rewolweru zabija ją. A potem martwo lecz spokojnie mówi do Lauffena: „Teraz pan porucznik znowu może zawołać podoficera służbowego“. Tragedya skończona. Prawda, że ten stary w ostatniej odsłonie mówi trochę za wiele i mówi za retorycznie, lecz to jedyny słuszny a ostatecznie drobny zarzut. Bo zresztą: to melodramat — mówią niektórzy. Tak zapewne; ale co jest właściwie melodramatem a co nim nie jest? Nie czerpiąc dowodów z Szekspira, którym — jak Goethem da się wszystko udowodnić, pytajmy, czy me-

lodramatem nie jest zakończenie *Emilii Galotti* i *Zbójców* i *Kabale und Liebe* itd.? Kwestya w tem tylko tkwi: czy katastrofa jest dramatycznie umotywowaną charakterami i sytuacyami, a to pytanie w tym wypadku potwierdzić się musi. I nie zestawiając *Capstrzyku* z arcydziełami czy znakomitemi dziełami, musi się przyznać, że wachmistrz Volkhardt, nie mogący zabić porucznika a zabijający córkę, wchodzi godnie do galeryi tragicznych ojców, jak Odoardo Galotti, Musikus Miller i Meister Anton (Hebbła).

Polskiemu czytelnikowi lub widzowi dramat Beyerleina i z innych jeszcze względów milszym się wyda od jego powieści. Tam jedyny Polak, Inoslawski, przedstawiony jest jako nosobienie głupoty; tutaj występuje również polski rekrut, Włodek Michalek, służący Lauffena, a chociaż intelligencyą bynajmniej nie celuje, autor dał go poznać i z lepszych stron. Podczas rozprawy sądowej Michalek odpowiada głupio, dopóki sędziowie pytają się go w obcym niemieckim języku; z chwilą jednak, gdy rozumny i w tym epizodzie hr. Lehdenburg zapytuje rekruta po polsku, nasz rodak gada całkiem do rzeczy, z czego pytający bardzo jest zadowolony i w konkluzyi w właściwy sobie sarkastyczny sposób zaleca takie postępowanie kanclerzowi Bülowowi zamiast „uciekania się do funduszu kolonizacyjnego“. W polskim przekładzie, gdzie wszystkie osoby w tym języku mówią, nie robi to oczywiście takiego wrażenia, wiemy jednak od naocznych świadków berlińskiego przedstawienia, że tam ta nawpół polska nawpół niemiecka rozmowa Michalka i hr. Lehdenburga przyjemniejszą była dla polskiego, niż dla niemieckiego ucha ¹⁾.

P. Beyerlein więc przedstawił się w dramacie lepszym pisarzem, niż w powieści. Zwłaszcza nudna i nużąca rozwlekłość, psująca wrażenie romansu, w utworze scenicznym przemieniła się w nadzwyczajną zwięzłość i rażność akcji — ani jedna scena np. nie jest poświęcona wyłącznie charakte-

¹⁾ Gdyśmy już zeszli na polski przekład, musimy zauważyć, że w ogóle cała sztuka dobrze w nim wydać się nie może. Czysty język polski bowiem, jedynie dopuszczalny na polskiej scenie, nie może oddać środowiska koszarowego, w którym jak wiadomo panuje u nas dziwaczny, lecz charakterystyczny żargon polsko-niemiecko... rekrucki. (P. a.).

rystyce osób, każda posuwa działanie naprzód — świadome celu dążenie naprzód. P. Fritz Oswald Bilse natomiast, autor rozgłosnej a niemożliwie nędznej *quasi*-powieści *Aus einer kleinen Garnison*, w dramacie dopiero odsłonił swą całą marność ¹⁾. Szanownemu panu ex-porucznikowi zdaje się, że dawszy sztuce napis *Prawda*, powtórzywszy ten wyraz po kilka razy w każdym akcie, wreszcie przytoczywszy go w ostatniem zdaniu czwartej odsłony, dał już dramat *à thèse*. Erich hr. Schöneck żeni się z Angellą, córką wuja swego, hr. Schöneka, mimo to, że kocha mężatkę, panią Agatę, żonę radcy rządowego von Brühla. Przystępuje do ołtarza, nie mając odwagi wyznać narzeczonej prawdy. Małżeństwo w tych warunkach oczywiście szczęśliwem być nie może. Erich opuszcza żonę, która pod opieką profesora Akademii Kramera kształci się z powodzeniem na malarkę, sam zaś wraca w objęcia kochanki. Nie na długo. Z końcem trzeciego aktu znowu widzimy małżonków razem, w czwartym zaś zjawia się Brühl, donosi, że żona się otrula i żąda, by Erich słowem honoru zaręczył, że kłamia plotki, jakoby między nim a zmarłą istniał miłosny stosunek. Erich daje fałszywe słowo honoru, na co jego teść i wuj zarazem na poczekaniu pada w „śmiertelnych drgawkach“, Erich ucieka do drugiego pokoju, skąd służąca za chwilę o jakimś bliżej nieokreślonym nieszczęściu krzyczy, a pani Angella kończy rzecz sentymentalnie: „O Boże... dlaczego on... prawdy nie powiedział“. Dyalog trywialny lub nienaturalny charakteryzuje odrazu rzecz jako elukubrację bezwartościową. A jednak p. Bilse przecież czyta lepsze dramaty; tak np. zna widocznie O. E. Hartlebena *Słowo honoru*, które w zakończeniu niewolniczo naśladuje.

Czy trzy stany: wieśniaczy, nauczycielski i wojskowy, czyli jak Niemcy je zwiąż: *der Nähr-, Lehr- und Wehr-Stand* — są w tamtejszem społeczeństwie istotnie najważniejszymi, o to mniejsza, lecz w dramacie nowoczesnym zajmują one pierwsze miejsce. Co więcej, wieśniak, chłop czy szlachcie,

¹⁾ Fritz Oswald Bilse: *Wahrheit*. Drama in vier Akten. (Berlin. Verlag von G. Schuhr. 1904, str. 136). Przedstawione po raz pierwszy w Kiel, dnia 19 marca 1904 r. (P. a.).

nauczyciel ludowy czy gimnazjalny, wojskowy, żołnierz czy oficer, są jedynymi osobami, występującymi w niemieckim dramacie jako przedstawiciele swego zawodu lub przynajmniej jako jednostki opatrzone wyraźnie cechami zawodowymi. I ostatecznie na tych trzech polach, jak powyżej widzieliśmy, także i w najnowszych czasach piśmiennictwo niemieckie największe a po części i jedyne odnosi sukcesy; ta okoliczność zbliża dramat obecnej doby do peryodu *Sturm und Drang* i czasów *Młodych Niemiec*, kiedy to również panowało upodobanie w „sztukach zawodowych“.

Z zakresu innych sfer społeczeństwa, czasem chyba jeszcze lekarz ma jakieś właściwości charakteru, związane z jego powołaniem i zajęciem. I to zazwyczaj autorowie postępują według szablonu zdawna przyjętego: jeśli ta osoba ma być łagodną, to się ją robi lekarzem dzieci n. p. lub chorób kobiecych, natomiast, gdzie się zdaleka widzi narzędzia chirurgiczne, tam na pewno w gabinecie siedzi człowiek surowy, energiczny, mniej lub więcej uparty, nawet brutalny. Śmieszne to, prawda? A jednak p. Herman Bahr, jako krytyk w walce z śmiesznością dochodzący aż do śmieszności, popełnił jako autor dramatyczny tę śmieszność w najnowszym utworze p. t.: *Mistrz*.¹⁾ Tego tytułu najchętniej słucha Caius Duhr, z biednego majtka okrętowego dzisiaj właściciel sławnego sanatorium chirurgicznego, z prześladowanego „kurfuszera“ dzisiaj honorowy doktor medycyny n. b. po uleczeniu rachitycznego księcia panującego domu. Według p. Bahra miało to być uosobienie bezwzględnej siły i samodzielności, coś jakby *Ueberschmensch* Nietzschego, przełożony na język praktyczny i do realnych warunków życia zastosowany. W rezultacie ma się jednak człowieka z kamienia czy drzewa, zdolnego może pogromcę zwierząt, lecz nieznosnego w pożyciu z ludźmi, a takie indywiduum naszej sympatii nawet w osłabionem, estetycznem znaczeniu wzbudzić nie może. To też fabuła dramatu ani nas nie ziębi ani

¹⁾ Hermann Bahr. *Der Meister*. Komödie in drei Akten. (Berlin. 1904. S. Fischer Verlag str. 108). Przedstawione po raz pierwszy w berlińskim *Deutsches Theater*, 12 grudnia 1903 r. (P. a.)

grzeje. Chirurg ma żonę, która go zdradza z sąsiadem hr. Vaninem; podczas pożaru pałacu kochanka pani Violet jest u niego na schadzce, a zdrada małżeńska staje się przez to wszystkim jawną; mąż jednak nie wścieka się, nie zabija żony, nie wyzywa na pojedynek gacha, chociaż mu demonstrowuje, że i w strzelaniu jest mistrzem, lecz przyjmuje fakt spokojnie, twierdząc, że jeśli on sobie na miłostki pozwala, to wolno je i żonie mieć, a zresztą małżeństwo to wspólnota dusz, wyższa od chwilowego zboczenia namiętności; pani Violet jest innego zdania i jak Nora, nie rozumiana przez męża, opuszcza jego dom; wtedy dopiero zimny chirurg udowadnia, że przecież jest człowiekiem; ciska wazą o ziemię, lecz wnet wraca do dawnej pracy. Ani charakter naczelnej postaci, ani jej sytuacja nie wzruszają widza do głębi serca, a dyalog wszędzie zręczny, gdzieniegdzie świetny, takiego wrażenia również wywołać nie zdola. Podobnież ma się rzecz i z najciekawszą postacią dramatu, ostatnim wyrazem aktualności w dramacie; to Japończyk, dr. Kokoro, asystent Duhra, przepyszny typ cywilizowanego Azyaty, towarzyszący akeji jak chór starożytnej tragedji lub konfident francuskiego dramatu; przymglona, niewyraźna mowa niemiecka, w której ta egzotyczna osoba wyjęzyczyć się usiłuje, potęguje jeszcze jej niezwykłość, i ostatecznie dr. Kokoro jest jedyną trwalszą pozostałością dramatu.

Od paru lat p. Bahr obchodzi premiery swoich dramatów w Berlinie, a już przed rokiem zwróciliśmy uwagę na emigrację przedstawicieli dawniejszej literatury wiedeńskiej. Powtarza się to obecnie: podczas gdy *Politycy* p. Hawela, okaz wojowniczego dramatu wiedeńskiego, święcili głośny acz krótki tryumf nad Dunajem, emigrowali do Berlina pp. Bahr i Artur Schnitzler,¹⁾ do niedawna typowymi Wiedeńczykami zwani. Schnitzler pozostał sobie wiernym, nie odbył razem z Wiedniem przemiany z „miasta Feaków“ na pole obstrukcyi parlamentarnej i społeczno-politycznych walk. Jego

¹⁾ *Der einsame Weg*. Schauspiel in fünf Akten von Arthur Schnitzler. Berlin. S. Fischer, Verlag str. 166. (Przedstawione po raz pierwszy w berlińskim *Deutsches Theater*, dnia 13. lutego 1904). (P. a)

Samotna droga jest utworem pełnym delikatnych barw, półmroków, niedopowiedzianych słów, refleksyj i uduchowienia; będąc więc w stylu przeciwieństwem do komedyi p. Bahra, ma z nią wspólny motyw: człowieka opuszczonego i samotnego. Jest ich u Schnitzlera aż kilku. Przedewszystkiem Julian Fichtner. Za młodych lat pokochał Gabryelę, która mu się też oddała; lecz artysta, czując, że kobieta przeszkodą mu będzie w swobodnem, egoistycznym życiu, porzucił ją bez wyrzutów sumienia i bez smutku. Ona nie zabiła się z rozpaczy, wyszła zaraz potem za swego narzeczonego, Wegratha, profesora Akademii sztuk pięknych i już w czasie małżeństwa wydała na świat syna Feliksa, dziecko jej stosunku z Julianem. Feliks, obecnie młody oficer austriacki, nie wie, że nie jest synem Wegratha; dopiero po śmierci Gabryeli Julian, czując, że samotność przy zbliżającym się późniejszym wieku coraz bardziej mu dolega, objawia Feliksowi tajemnicę, spodziewając się, że chłopak, zdawna do niego przywiązany, poznawszy w nim ojca, pokocha go tem goręcej. Myli się: Feliks czuje do Fichtnera żal za długie milczenie, za porzucenie matki, za wprowadzenie w jej życie fałszu i zbliża się jeszcze bardziej do Wegratha, nie do Fichtnera. Jest więc już pierwszy samotnik. Ich szereg większy. Należy do niego inny sybaryta umysłowy i uczuciowy, Stefan von Sala, oddalający od siebie wszystkie troski, kłopoty, nawet zle nowiny; chociaż beznadziejnie chory na serce, chce wraz z Feliksem wziąć udział w wyprawie, przez hr. Ronsky'ego do Baktryi urządanej; za towarzyszkę wybiera sobie Joannę, córkę Wegratha, lecz dziewczyna z wrodzonego chorobliwego egoizmu nie mogąc znosić osób słabych i dogorywających, ucieka przed nim na dno stawu. Więc już dwóch samotników. Trzeci to Wegrath, którego córka się topi a mniemany syn idzie w świat, a i wśród drugorzędnych osób samotników nie brak. I w tem właśnie tkwi główna wada utworu, dziwnie miękkiego, prawie eterycznego, że nie skupiając się w jednej czy dwóch osobach, rozprasza się na kilka, należących do jednego i tego samego typu.¹⁾

¹⁾ Chociaż w przypisku pragniemy wspomnieć o dramacie, który przeczytaliśmy zwabieni polskiem brzmieniem na-

III.

Na wstępie tych uwag była mowa o kategorii utworów dramatycznych, nie będących ani sztukami historycznymi, ani współczesnymi, ani baśniami, lecz istniejących niejako po za pojęciem czasu i będących dziwnem czy dziwaczem skojarzeniem realizmu z fantastycznością, za rzeczywistość się podającą lub też we właściwym swym charakterze występującą. W tym rodzaju literatury dramatycznej z każdym dniem głośniejszem się dzisiaj staje nazwisko Franka Wedekinda. Zanim jednak do rozpatrzenia tej niezwyklej indywidualności przystąpimy, poznajmy jeszcze po drodze poetę, posługującego się w ostatnim dziele ulubionym przez dzisiejsze piśmiennictwo, a i u Wedekinda raz z werwą opracowanym motywem. Tym pisarzem jest Finlandczyk, piszący jednak po niemiecku, p. Adolf Paul, tym motywem komedyant, udający króla, tym dramatem *Komedyja sobowtóra*.¹⁾

Starożytności motywu sobowtóra stwierdzać nie potrzeba; co obecnie w nim jest najciekawszem, to połączenie z królewskością. Harlekin, udający króla, do którego jest ludzaco podobnym, to przedmiot dramatu Rudolfa Lothara

zwiska jego autora. To *Grössenwahn!* Drama in drei Akten von Franz Jędrzejewski (Laurahütte - Siemianowitz, str. 102, nie przedstawione, o ile nam wiadomo, nigdzie). Rzecz ogromnie ciekawa jako świadectwo, jak naiwne dramaty się jeszcze w Niemczech pisze i drukuje. Oto „obłęd wielkości“ a zarazem fabuła dramatu polega na tem, że p. Gerner, „pierwszy pisarz sądowy i zarządca kasy sądowej“ każe się tytułować aż „pierwszym sekretarzem i rendantem“ i nie pozwala synowi, nauczycielowi, na poślubienie córki kancelisty sądowego! Na wysokości akeyi stoi i dyalog dramatu; córka kancelisty w rozmowie z ojcem cytuje Jean Paula, assesor sądu wobec kolegi asystenta sypie wierszami z *Essex* Laubego, toczą się spory o to, czy się mówi Hómer czy Homér, Penélope czy Penélope itd. Tak wygląda dramat p. Jędrzejewskiego z Laurahütte, autora dziewięciu już innych dzieł scenicznych (P. a.)

¹⁾ *Die Doppelgänger - Komödie*. In drei Akten von Adolf Paul. (Hamburg 1903. Alfred Jansen str. 114). Przedstawiona po raz pierwszy w lipskim *Schauspielhaus*, d. 15 stycznia 1904 r. (P. a.)

z r. 1900, teraz p. Paula i poniekąd Wedekinda. Wielkiego szacunku dla majestatu królewskiego w tem nie widać, z drugiej jednak strony nie sądzimy, aby w tem była tendencya lekceważenia go, czy też objaw dokonanego już lekceważenia. Naszem zdaniem ten motyw jest tylko pożądaniem dla współczesnych sceptycznych i nerwowych umysłów pofolgowaniem wrodzonej im ironii życiowej, która dlatego tylko błazna lub oszusta z królem identyfikuje, że w tem pomieszaniu ról upatruje najjaskrawszego paradygmatu dla tej — *sit venia verbo* — schyłkowej ironii; więc nie lekceważenia królewskości to objaw, ale przeciwnie, raczej mimowolnego jej poszanowania, przekonania, że ono bądź co bądź imponuje, że więc ironia wobec niego może sprawić wrażenie. U p. Paula mniej to może znać, niż u Wedekinda, on bowiem wogóle dramatyczny motyw zmarnował, a przynajmniej go nie wyczerpał. Akcyę stawia po za obrębem czasu i miejsca, chociaż bowiem pierwszy określa jako „teraźniejszość“ a drugie jako „małe nowo-barbarzyńskie (termin nieco niezwykły) królestwo“, przyczem myśli zapewne o Serbii czy innem państewku bałkańskim, to ostatecznie akcyą nie jest możliwą ani w jakimkolwiek czasie, ani w jakimkolwiek miejscu. Oto Mattei, skrzypek wędrowny, uprzedzając króla, który jego, swego sobowtóra, chce zabić, więzi go i podając się za panującego, ujmuje berło w swe ręce. Spособność do politycznej satyry doskonała, ale autor w szczupłym zakresie z niej korzysta, a przedstawivszy w karykaturze ministrów i doradców królewskich, odjął komedii powagę prawdy, jaką nawet ironia posiadać musi. Zdemaskowanie oszusta dokonywa się w sposób, świadczący o niedolności autora lub fałszywości jego dramaturgii. Mattei pijany zdradza się, że gra na skrzypcach, po czem wszyscy poznają, że mają przed sobą sobowtóra króla, a nie jego samego.

P. Frank Wedekind podobnemu dramatowi dał nietylko żywszy tytuł: *Takiem jest życie*,¹⁾ lecz tchnął w niego

¹⁾ *So ist das Leben*. Schauspiel in fünf Akten von Frank Wedekind. (Albert Langen. München 1902, str. 133.) Przedstawione po raz pierwszy jeszcze 22 lutego 1902 r.

całą werwę i ruchliwość swego ducha. I on nie pisze historycznej czy lokalnej sztuki, chociaż osoby swej fantazyi przyodziewa w barwne szaty włoskiego quattroceto, a tron umieszcza w Umbryi. Sobowtóra zastępuje szczęśliwiej uzurpator, rzeźnik Pietro Folchi, który strąca z tronu króla, przywłaszczając sobie jego koronę, jego córkę usiłując daremnie dać swemu synowi za żonę, wreszcie oboje z granic państwa wypędzając. Wygnańcy idą na tułaczkę o żebranym chlebie; w drugim akcie ex-król jest przykrawaczem w pracowni krawca damskiego, lecz za obrazę majestatu dostaje się do więzienia; w trzecim tragicznemi monologami zyskuje w cyrku szalone oklaski tłumu, unoszącego się nad niezrównanym komizmem kamedyanta; w czwartym przed uzurpatorem Folchim gra swą królewską tragikomedję; w piątym przyjęty przez Piotra za nadwornego błazna wyznaje, kim jest w rzeczywistości, lecz z wycieńczenia sił umiera, zanim zdołał udowodnić, że prawdę mówi.

W formie i treści, w zaletach i wadach mamy tu całego prawie Wedekinda. Więc obok wykwintności, prawie wyrafinowania techniki np. w scenie spotkania obu królów, reminiscencye z czasów niedołęstwa sztuki teatralnej, z epoki mysteryów, szopek i maryonetek; więc gryząca ironia tem skuteczniejsza, że w tragikomedyi króla Wedekind widzi, wyobraża tragikomedję wszelakiego życia, sarkazm w stylu monachijskiego *Simplicissimus'a*, pomieszany z perłami naiwności rozczulającej, klejnotami najczystszej poezyi, najpra-

w monachijskim *Schauspielhaus*, lecz dopiero po wznowieniu w berlińskim *Neues Theater* w listopadzie r. 1903 głośne. (P. a.)

¹⁾ a) Frank Wedekind: *Lulu*. Dramatische Dichtung in zwei Teilen. Erster Teil. *Erdegeist*. Eine Tragödie. (Albert Langen. München 1903 str. 196). Przedstawione publicznie po raz pierwszy w monachijskim *Schauspielhaus* dnia 29 października 1898 r., wznowione w berlińskim *Kleines Theater* dnia 17 grudnia 1902.

b) Frank Wedekind: *Die Büchse der Pandora*. Tragödie in drei Aufzügen. (Verlag von Bruno Cassirer in Berlin. str. 87). Przedstawione po raz pierwszy w norymberskim *Intimes Theater* dnia 1 lutego 1904 r. na t. zw. *Subscriptions-Vorstellung* t. j. tylko dla stowarzyszonych. (P. a.)

wdziwszej mądrości. Czego tu jednak niema, a co koniecznie do psychologii i psychopatyi p. Wedekinda należy, to znajdzie się w dwóch tragediach, tworzących razem cykl, od naczelnej kobiecej postaci *Lulu* nazwany.¹⁾

Do zanotowanych poprzednio różnorakich, często wprost sprzecznych składników duszy tego najmodernistyczniejszego z niemieckich poetów, przyłącza się tu grozą przejmujący nihilizm, istna *moral insanity*; powtarzamy, że nihilizm Wedekinda przejmuje grozą, to bowiem odczuje każdy nieuprzedzony, że autor, odtwarzając ostateczne spodlenie i zezwierzęcenie człowieka, nie czyni tego z upodobania do błota, lecz by w błyskawicach i ponurych rykach animalistycznego człowieka odezwała się dusza ludzka, jaką jest w najtajniejszych swych głębiach, które zazwyczaj wychowanie, religia, czy prawo w zarodku niszczy.

Bohaterką obu utworów jest Lulu, inaczej Ewa lub Mignon, uosobienie niszczącej, demonicznej kobiecości, którą Zola w osławionej *Nanie* przedstawił. Mała dziewczyna sprzedaje po ulicach i nocnych kawiarniach zapalki, „odkryta“ przez dziennikarza dr. Schöna, zostaje żoną groteskowego w swej bezmiernej głupocie radcy medycynalnego dr. Golla, tańczy przed nim jako Mignon, odsłania swe wdzięki, pozując malarzowi Schwarzowi. Mąż przychwycił ją na czulej z artystą scenie i pada tknięty paraliżem, a Lulu zostaje żoną artysty, szybko do sławy i bogactwa dochodzącego. Lecz prosta jego moralność nie może znieść rewelacji o przeszłości Lulu, których mu dr. Schön udziela — i oto drugi już mąż kobiecego weielenia „ducha ziemi“ ginie marnie, tym razem śmiercią samobójczą. Lulu, jak salamandra z ognia, nietknięta wychodzi, produkuje się w teatrzykach, olśniewając widzów pięknnością ciała zostaje po raz trzeci żoną; oszukuje tę nową ofiarę, dra Schöna z coraz to innymi mężczyznami, nie przebierając ani nie zadawałając się nikim. Nieszczęśliwy mąż doprowadzony do rozpaczki z rewolwerem w rękę żąda od niej rachunku, lecz zamiast niego otrzymuje od niej parę kul, które na miejscu go zabijają. W *Puszcze Pandory* okropnościom, zbrodniom niema końca ani granic. Lulu, skazana za zamordowanie trzeciego męża na parę lat kryminału, uwalnia się z niego w awanturniczy, nieprawdo-

podobny sposób, ma kochanka w osobie Alwy Schöna, syna zamordowanego (!), w Paryżu i Londynie spada coraz niżej, w sam kał uliczny, aż kończy nędznie pod ręką Jacka „Rozpruwacza“. Nigdy jeszcze w dramacie niemieckim tyle ohydy nie nagromadzono, nigdy jeszcze zgon „bohaterki“ nie był strasznem zakończeniem nieprzerwanego łańcucha tylu wstrętnych, zwierzęcych czynów i postępków! A jednak nie cofamy poprzedniego zdania, że te nory ludzkiego życia oświeca czasem, na jedno mgnienie oka, ponura błyskawica a w jej strasznem świetle widać tajemne elementy duszy ludzkiej, które bogowie zazwyczaj „*gnädig bedecken mit Nacht und Grauen*“. I dlatego Wedekind z niejaka słusnością mówi w *Prologu* pierwszej części *Lulu* do publiczności, zapraszając ją do swej „menażeryi“:

Was seht ihr in den Lust- und Trauerspielen!?
 Haustierte, die so wolgesittet fühlen,
 An blasser Pflanzenkost ihr Mütchen kühlen
 Und schwelgen in behaglichem Geplärr,
 Wie jene Andern — unten im Parterre.

.
 Das wahre Tier, das wilde schöne Tier,
 Das — meine Damen — sehn Sie nur bei mir.

Od *Elek'ry* Hofmannsthala do *Lulu* Wedekinda. droga daleka, a ostatecznie punkt końcowy spada z jej początkiem; tu i tam człowiek-zwierzę, tam postawiony na tle sfalszowanego antyku, tu gwałtem wtłoczony w kureczowo wykrzywioną terażniejszość. A jednak błędem byłoby, gdybyśmy te dwa dramaty uważali za dwa przeciwległe bieguny osi, około której rzekomo obraca się najnowsza literatura dramatyczna Niemiec.

Naprzód z czysto literackiego stanowiska: ani Hofmannsthal ani Wedekind nie są typowymi przedstawicielami dzisiejszego dramatu niemieckiego. Tych szukać należy gdzieindziej, równie zdala od jednego jak i od drugiego. Twórcy dramatów, poczętych w imię realistycznej

„sztuki rodzimej“ i autorowie dramatów, opartych o bieżące polityczne i społeczne problemy — oto pisarze, górujący w obecnej twórczości ilością i swego grona i swoich dzieł, oto pisarze, nadający dramatowi niemieckiemu prawdziwą barwę.

A jeśli we wstępnych uwagach postanowiliśmy szukać w dramacie niemieckim obrazu duszy niemieckiej, to do tych samych dojdziemy wniosków. Gdzie przedstawiono *Elektrę*? W *Kleines Theater*. Gdzie przedstawiono *Lulu*? W *Kleines-* i w *Intimes Theater*. A więc w teatrzykach małych, może bardzo ciekawych, może bardzo artystycznych, lecz odwiedzanych przez garstkę ludzi, którzy za naród niemiecki mówić ani nie mają, ani sobie nie przywłaszczają prawa. Za to jest on na *Capstrzyku*, jest na *Róży Bernd*. Jak w powieści pogańsko-dekadenckie *Boginie* Henryka Manna wywołują podziw niezliczonych estetów, lecz naród niemiecki rozkoszuje się *Jörn-Uhlem* Frenssena, roznamiętnia *Jenę* czy *Sedanem*? Beyerleina, tak i w dramacie i w teatrze nie w pseudo-antycznej histeryi i hyper-modernistycznym nihilizmie, ale w zdrowej *Heimatkunst* i w „melodramatycznym“ pięknym *Capstrzyku* jest narodowe społeczeństwo niemieckie.

Dr. Józef Flach.

Stronnictwa polityczne polskie pod rządem pruskim.

Aby ocenić znaczenie i doniosłość przełomu, jaki się w opiniach politycznych całego niemal pruskiego zaboru manifestuje, a który najdobitniej objawił się w bieżącym roku podczas wyborów do parlamentu niemieckiego i sejmu pruskiego, trzeba sobie uprzytomnić charakter społeczny kraju, oraz zmiany, jakie w ustroju jego wewnętrznym podczas ostatnich dziesięcioleci zaszły. Trudno bowiem sądzić sto-unki Wielkopolski li tylko według analogii do innych ziem polskich, od których obecnie wiele rdzennych oddziela ją różnic. Ustrój społeczny nie jest już polskim według dawnego słowa tego znaczenia, a lud, który obecnie coraz ważniejszą odgrywa rolę na całej przestrzeni od gór szląskich po morze Bałtyckie, też odrębny i własny nosi charakter. Mamy tedy zamiar zdać tu sprawę z poglądów i teoryj, które obecnie najżywiej zaprzatają umysły, i wskazać na polityczną żywotność warstw społecznych, które je reprezentują.

W jednym z pism swoich prezydent Roosevelt robi nie-źmiernie słuszną uwagę, że w społeczeństwie zdrowo zorganizowanem partye polityczne winny dzielić ludność liniami pionowemi, a nie poziomemi. To znaczy, że nie powinny przeciwstawiać się sobie warstwy społeczne, lecz temperamenty polityczne, lub wyrażając się jeszcze jaśniej, nie powinny należeć do jednej partyi klasa robotnicza, do drugiej posiadająca, do jednej mała własność, do drugiej wielka, lecz

że przez wszystkie te klasy winien iść podział od góry do dołu, stosownie do zapatrywań i usposobień, w ten sposób, że do jednego stronnictwa należeć winni skrajniejsi reprezentanci robotników, rolników lub kapitalistów etc., do drugiego zachowawcze elementy w tych samych klasach. Społeczeństwo podzielone w ten sposób uniknąć może zawziętości, jaką między partiami wytwarzać zwykły materialny antagonizm, a partie same uchronić się mogą łatwiej od jednostronności, do której z natury rzeczy zawsze mają skłonność.

Stawiając kwestyę według takiego schematu, łatwiej też zrozumieć podział na partie polityczne w dzielnicach polskich pruskiego zaboru. Utarte nazwy stronnictw mogą bowiem tylko balaamować pojęcia nieobebranego z rzeczywistym stanem widza. Widzimy w rzeczy samej, że „ugodowcy“ o żadnej ugodzie, obecnie przynajmniej, nie myślą, a że z drugiej strony „ludowcy“ mają w swoich szeregach znaczny zastęp ludzi, którzy ani z ludu nie wyszli, ani siebie, ani społeczeństwa do stanu wieśniaczego doprowadzić nie zamierzają. Lepszy pogląd na sytuację dawałby może podział na politycznych optymistów i pesymistów, na ludzi, którzy najpierwsze zadanie w tem upatrują, by nie z zabytków przeszłości nie uронić, i na takich, którzy ufni w siły żywotne narodu, chcą rozszerzyć jego zakres działania i nowych mu elementów przysporzyć.

By dokładniej jeszcze poznać stosunek politycznych partij pod rządem pruskim i zrozumieć czem się one zasadniczo różnią od siebie, trzeba sobie uprzytomnić naturę ucisku, jakiego Polacy tam doznają. Jest on z jednej strony rządowy i polega na otwartem lub ukrytem naginaniu konstytucji do celu, który sobie państwo wobec Polaków stawia, równolegle zaś wychodzi ze społeczeństwa samego ruch wszechniemiecki, znany nam pod nazwą hakatyzmu, który powołuje społeczne, prywatne siły narodu do organicznej walki, mającej na polu ekonomicznym i cywilizacyjnym Polaków zgnieść lub zassymilować Polska partya t. zw. ugodowa uwzględnia przedewszystkiem stosunek do rządu, stara się prośbą lub kompromisem uzyskać znośniejsze prawne stosunki i uważa, że na tem polega najważniejsze niemal zadanie polskiej polityki. Partya ludowa przeciwnie pomija prawie zupełnie

stosunek do rządu, którego ucisk czasem jej się nawet korzystnym dla nas być zdaje i wzywa do obrony na wszystkich polach przed germanizacją i naporem niemieczyzny. Walka więc z germanizującą konstytucją z jednej strony, walka z krucyatą pangermańską z drugiej — oto hasła, pod którymi się grupują polityczni działacze wielkopolscy.

Te dwa czynniki, znamionujące położenie Polaków pod pruskim rządem, nadają tak stosunkowi do Niemców, jak i wewnętrznemu życiu stronniczemu, odrębne, charakterystyczne zabarwienie. Postaramy się tutaj zapoznać czytelników z argumentami stron obu, powstrzymując się od dodawania własnych sądów i wniosków, a ograniczając się tylko do zaznaczenia, w jaki sposób zapatrywania teoretyczne w praktyce są stosowane. Czytelnik sam najlepiej potrafi urobić sobie zdanie na podstawie obiektywnie podanego stanu rzeczy i prawdę rozsianą wszechstronnie najłatwiej chyba tym sposobem poznać będzie zdolny.

Rozpocznijmy od rozumowań partyi zachowawczej. Zdaniem jej dwóch sposobów pojmowania polityki w zaborze pruskim być nie może, gdyż wszystkim, którzy chcą nosić miano Polaków, o to samo chodzić powinno. Dążenie do unormowania stosunków naszych narodowych na zdrowszej niż dotąd podstawie, jest i powinno pozostać pierwszym zadaniem całego polskiego społeczeństwa. Ale że rozstrzelone dążenia żadnego nie odniosłyby celu, więc jedynym legalnym organem jego jest Koło polskie w Berlinie. Statut jego wyraża w stosunku do nas samych zasadę solidarności narodowej, ale przytem nie zapomina i o zewnętrznych warunkach naszego życia i dla tego nie opuszcza terenu prawnego, wytworzonego przez historyczny rozwój naszej przeszłości. Stosunek Polaków do państwa pruskiego powstał dziejowo, na podstawie traktatów, praw i konstytucyi, przedewszystkiem więc na mocy takiego uzasadnienia musimy rewindykacye nasze głosić, jeżeli chcemy, by za słuszne i prawne uznaniami zostały. Stojąc w ten sposób na prawnej podstawie, możemy nie tylko żądać, by obchodzono się z nami na równi z Niemcami, ale będąc na niejednym punkcie pokrzywdzeni przez obecne prawodawstwo, mamy wobec świata i sumienia narodu niemieckiego prawo uskarżać się, skargi te śmiało mo-

tywować i przynajmniej pod względem moralnym zwycięskie zajmować stanowisko. Starcie się z dziesięćkroć silniejszym przeciwnikiem przynieść nam musi ciężkie klęski, gdy uwzględnimy tylko siły bojowe i materialne narodów. Lecz gdy uwzględnimy wzajemne ich prawa, to i dla słabszego wyniknąć stąd może górujące stanowisko. Nie zstępujemy zatem dobrowolnie z wyniosłości, na której nas okoliczności same postawiły, lecz starajmy się bronić jej z godnością, o ile na to zewnętrzne warunki polityczne zezwalają. Zapewnienia traktatowe i słowa królewskie winny pozostać, mimo chwilowego ich zapoznania ze strony niemieckiej, osią polityki polskiej pod zaborem pruskim. Co one nam gwarantują, tego nie powinniśmy skreślać z naszego politycznego programu i możemy chyba chwilowo tylko zaniechać niektórych pretensyj z czysto oportunistycznych względów. Z drugiej jednak strony, jeżeli chcemy, by pretensye te były przez rząd uważane za uzasadnione i słuszne, to nie powinniśmy po za nie wykraczać. Dla tego też wciągnięcie w dyskusję interesów polskich na Szląsku i u wschodnio-pruskich Mazurów nie powinno wchodzić w zakres pracy politycznej Wielkopolski, gdyż przez to schodzimy z terenu ścisłego prawa na teren nieograniczonych aspiracyj. Przez takie rozszerzenie i pozorne powiększenie kwestyi polskiej możemy sobie znaczną krzywdę wyrządzić, nie oddając pobratymcom naszym żadnej niemal usługi; to też względ taki, a nie brak patriotyzmu, był przyczyną, dlaczego dotychczas Koło polskie w Berlinie zachowywało się biernie wobec kwestyi szląskiej i ignorowało niejako cały ruch narodowy, który wykaczał po za granice traktatem wiedeńskim nakreślone. Odstąpienie od tej prawnej podstawy narazić może ludność polską na walkę bezwzględna z całym elementem niemieckim, zanim więc do niej zatrąbimy, zastanówmy się, czy jesteśmy w stanie jej sprostać. Uwzględnić bowiem trzeba, że państwo pruskie ma do przeciwstawienia nam ludność, bardzo znacznie od nas liczniejszą i w dodatku bez porównania bogatszą, że posiada ustrój państwowy wzorowy, cywilizacyę, która choćby od naszej wyższą nie była, ma jednak charakter o wiele praktyczniejszy i lepiej dostosowany do potrzeb chwili, że ma armię wszechpotężną, alianse zewnętrzne nie zachwiane

finanse zdrowe i zdolne do licznych jeszcze wysiłków, że zatem walka otwarta z takim przeciwnikiem nie jest już nie-dorzecznością, ale wprost szaleństwem. Utopijnem jest twierdzenie, że gorzej nam już być nie może i że środki państwowe na wytępienie Polaków już są wyczerpane, albo że państwowemi środkami nie przeciw wewnętrznej żywotności narodu działać nie można. Państwo tak wszechwładne, jak pruskie i sięgające tak głęboko w życie społeczeństwa, nie może nie wywierać wpływu na ducha narodu, który znikąd prawie inąd soków odżywczych czerpać nie może. To też obowiązkiem najświętszym jest dbanie o to, aby korzystać można z ostatnich praw i tolerowanych wolności, a wszystkiego zaniechać, co na utratę ich naraziłoby nas mogło. Pole do działania pożytecznego jest bowiem, mimo różnych ograniczeń, zawsze jeszcze obszernem. Cała praca tak zwana organiczna jest pozornie tylko skrępowaną, w rzeczy samej stoi dla ludzi dobrej woli otworem. Spółki różnego rodzaju, kółka rolnicze i stowarzyszenia zawodowe, wykłady ludowe, wreszcie działanie przez prasę i na wielu innych jeszcze polach jest dla Polaków przystępnem i bez wielkich prawodawczych reform odjętem im być nie może. Z szykanami władz podrzędnych zawsze jeszcze walczyć można, gdy się ma prawo za sobą, trzeba się więc starać, by wystąpieniami nadto gwałtownemi ciał prawodawczych i sfer decydujących nie drażnić i nie zniewolić ich do skierowania przeciw Polakom ustaw wprost eksterminacyjnych. Działanie w tym sensie oznacza polityczną lekkomyślność i zanik poczucia odpowiedzialności, gdyż nie rzadko jedno słowo, rzucone nieostrożnie z trybuny mówniczej lub za pośrednictwem pism ludowych, staje się przyczyną repressyi ze strony przeciwników, a ze strony naszej powodem wrzenia umysłów i rozgorączkowania nczuć, którego mówca lub publicysta, patrzący tylko na swój cel doraźny, ani przewidywał, ani też zaspokoić może. Jest to klątwą partyj postępowych i demokratycznych, że nie mogą one zatrzymać się prawie nigdy w pół drogi tylko, że sięjąc wiatr, muszą sprzątać burzę i padają wcześniej czy później ofiarą hasel, przez siebie rzuconych, lecz przez innych rozwiniętych i wyzyskanych. To też uzasadnioną jest obawa, aby partye, tak zwane młodopolskie, które burzą niejedno-

krotnie poszanowanie dla obecnego porządku rzeczy, nie przygotowały pola dla socjalizmu i partyj rewolucyjnych. W rzeczy samej bowiem malkontent polityczny, wychowany w szkole rządu pruskiego, ma wielką łatwość do zaadoptowania teoryj socjalistycznych, które pod formą socjalizmu państwowego są logicznym wnioskiem, wyciągniętym z przesłanek, które rząd sam rozsiewa.

Interesa nasze narodowe zatem, które zbyt inżynierem państwowej przedewszystkiem unikać muszą, powinny szukać sobie gdzieindziej opiekunów, niż na tej niebezpiecznej i pochyłej drodze. By osiągnąć zrównoważony umysł polityczny, by interesa ogółu zrozumieć należycie, i to nietylko w danej chwili, ale i w historycznej ich ewolucyi, trzeba długotrwałej tradycyi, trzeba wyrobienia, które tylko praca generacyj nadać może jednostkom lub warstwom społecznym. I dla tego też jedynie, a nie dla kastowych uroszczeń lub celów, które w obecnym ustroju prawnym są śmiesznym tylko anachronizmem, winno spoczywać moralne i polityczne kierownictwo narodu u klas, które wychowaniem swoim najlepiej są przysposobione do kierowania sprawami publicznymi. Zgubnem więc jest usuwanie ze stanowisk wpływowych szlachty wiejskiej i intelligencyi, która z niej wyszła, gdyż przez to dochodzą do stanowisk odpowiedzialnych ludzie bez przeszłości i bez wrodzonego instynktu do służby społecznej. W dodatku uwzględnić trzeba i to jeszcze, że cały prawie zasób cywilizacyi polskiej, uzbierany przez wieki, spoczywa w głębokich warstwach obywatelstwa wiejskiego i że wyemancypowanie się z pod jego wpływu znaczy to dobrowolne skreślenie niemal tego wszystkiego, co najlepsze jednostki złożyły do skarbnicy narodowej na polu społecznej pracy, umysłowego bogactwa i towarzyskiej oglady. A trzeba mieć pojmowanie świata dziwnie prostokątne i doktrynerskie, by wszelkimi sposobami nie chronić każdego elementu cywilizacyjnego od zagłady i dla dobra ogółu go nie zachować. Cywilizacya jest rośliną o tyłu i tak subtelnym korzonkach, pojęcia obowiązkowości, rzetelności lub poczucia honoru są wytworami tak powolnymi i tak trudnymi do wychowania, że klasę, która je wytworzyła lub przechowuje, trzeba mieć w wysokim szacunku i poszanowaniu.

I mylnem byłoby też przypuszczenie, jakoby cywilizacya ta należała do innego wieku i do nowszych stosunków dostroić się już nie dała. Niewątpliwie, że szlachta wielkopolska, jako klasa społeczna, poniosła ogromne i niepowetowane straty. Walki ekonomicznej nie umiała wśród trudnych warunków znieść na równi z ludem i mieszczaństwem, ale za to ma na innych polach zasług praktycznych nie mało. Wytworzenie zdrowego stosunku do ludu, uświadomienie go stopniowe, oraz powołanie do życia i utrzymanie niezliczonych instytucyj, mających dobro ogółu, a w szczególności warstw niższych na celu — szlachcie i duchowieństwu przedewszystkiem przypisać należy. W tych warunkach nie dziw, że gdy dziecko, na którego wychowaniełożyła, teraz wyrosłszy przeciw niej się obraca — ma skłonność do traktowania go, jak niedowarzonego żaka, pozbawionego uczucia wdzięczności dla swego opiekuna i dobroczyńcy. A gdyby ktoś zarzucił jej, że późniejszym postępowaniem swoim, ugodowością wobec rządu i ustępstwami kosztem ludu robionemi, partya szlachecka dawne swe zasługi w niwecz obróciła, to i takie pojmovanie rzeczy na fałszywem zupełnie założeniu polega. Nie zaprzedała ona ludu frymarką ugodową w ręce rządu, ale przeciwnie, starała się zapewnić mu przez taktykę do warunków chwili dostrojoną wszelkie te swobody, których dla normalnego i zdrowego rozwoju naród potrzebować może. Polityka z natury rzeczy jest umiejętnością osiągania celów możliwych, a nie dążenia do daleko sięgających ideałów i dezyderatów, dla tego też innej polityki, jak oportunistycznej, być nie może i względ na to powinien w naszym położeniu moderować zawsze nienaruszalność praw naszych narodowych. Lojalność w zasadzie, a oportunizm w zastosowaniu jej — oto w dwóch słowach jedyny sposób, by polityka polska wobec Prus nie zeszła na bezdroża. To też zarzuty podnoszone z tego względu przeciw dawnej partyi szlacheckiej, czy zachowawczej, są zupełnie bezpodstawne, również jak bezpodstawnem jest posądzenie jej o chęć odsunięcia ludu od współudziału w życiu politycznem narodu. Nie od udziału chce ona go oddalić, lecz, o ile w tym kierunku pracuje, to od rozpolitykowania. Wiadomo bowiem, jak zgubne mogą stąd wynikać skutki. O ile zdrowo objawiająca się wola ludu może w tym zakresie, który

jest jego intelligeneyi przystępny, stanowić znaczną i dobroczynną siłę polityczną, o tyle nad wyraz niebezpieczną jest sztucznie wywołana gorączka, która odrywa od produkcyjnej pracy i budzi chorobliwy niepokój. Nie wstecznym więc bynajmniej, lecz prawdziwie postępowym jest podział pracy na tem polegający, że wyższe warstwy społeczeństwa wyręczają niższe w służbie publicznej, podczas kiedy te znowu o pracy ekonomicznej, organicznej przedewszystkiem pamiętają. Przeciwnie, można uważać za znak zacofania w pojęciach demokratycznych rutynistów, że zrozumieć nie mogą, iż stan taki przeciwstawia matematycznej i martwej równości wyspecyalizowanie funkcyj, będące objawem wiele głębszego wniknięcia w naturę rzeczy i w rzeczywiste potrzeby społeczeństw.

Oto w krótkich zarysach zdania i teorye, które wśród klas zachowawczych spotkać można. Idea hierarchii społecznej, dążność do jednolitej władzy, na spokojnej prawnej podstawie, oto motywa, które się w nich przebijają. Pod wpływem szkoły historycznej z ostatnich dziesięcioleci starano się w anarchię pojęć polskich wprowadzić trochę ładu i harmonii, oraz poszanowania władzy, którego brak tak często dawał nam się we znaki. Nie dość może uwzględniono, że by mieć władzę, trzeba mieć osoby rządzące nie od parady, a by mieć takowe, trzeba albo posiadać bardzo silną formę rządu i egzekutywę, albo też ideę przewodnią, tak potężną, żeby ona za sobą pociągała i sobie podporządkowywać umiała ludzi i ich interesa. O ile społecznie i ekonomicznie zabór pruski ma w obronie ziemi taką myśl przewodnią, o tyle pod względem politycznym brak mu jasnego hasła i prosto wytkniętej drogi. Teorye, powyżej cytowane, świadczą o myśli dojrzałej i spokojnej, o sumiennosci i uczciwości politycznej ludzi, którzy je wyrobili — programem właściwym nie są.

Żywotność politycznego systemu nie mierzy się miarą enoty jego reprezentantów, lecz pożytkiem, jaki oddaje on społeczeństwu. Widzi się więc nieraz rządy złe, a długotrwałe i w ostatecznym rezultacie dobroczynne dla ludzkości, obok łagodnych i humanitarnych, a rozstrajających kraje im podległe. Zdarza się to wtedy, gdy usługi, oddawane ogółowi nieświadomie, instynktownie, lub z przyczyn egoistycznych,

przenoszą doniosłością swą świadome występki, podlegające kodeksowi moralnemu. Słabość jest wielkim grzechem politycznym, a na teoryach partyi zachowawczej odbija się pewna anemiczność, na którą cierpią wyższe warstwy społeczeństwa wielkopolskiego. Jest to bowiem ogólną prawie regułą, że tak na pojedynczym człowieku, jak i na całej warstwie społecznej odbija się nastrój, jaki panuje w życiu jego materialnem. Otóż widzimy, że od lat kilkudziesięciu szlachta wielkopolska ustępuje stopniowo z placu i że przez to idee i tradycje jej w coraz ciśniejszym rozchodzą się zakresie. Ufność w siebie, w swoje powołanie i swoje prawa musi więc pod wpływem tej dekadencji zmniejszać się stopniowo i jeżeli jeszcze czasem silnie wystąpić zechce, to nosi niezrędko charakter rozdzasania i niecierpliwości, a nie spokojnej i świadomej siebie siły. Dopóki która klasa społeczna oddaje krajowi wielkie i przez nikogo nie wykonalne usługi, dopóty może sobie bez dyskusyi przyswajać wielkie prawa i przywileje i nikt jej ich nie zaprzeczy. Gdy jednak służba pełniona już nie jest należycie, lub gdy staje się z jakich-bądź przyczyn zbędną, w takim razie i przywilej staje się nagrodą bez zasługi i wcześniej czy później upaść musi i upada. Tak powstał i upadł feudalizm na Zachodzie, tak prerogatywy szlacheckie w Polsce, przetrwawszy wieki, pochyliły się ku upadkowi. Dla tego też partya ludowa w dzielnicach pruskich nie wierzy, by wpływ materialny i moralny szlachty polskiej mógł się długo ostać, gdyż niema już po temu rzeczowej podstawy. Gdy prawodawstwo zostało wyrównaniem dla wszystkich, gdy oświata, wnikając w coraz głębsze warstwy, zaczęła zacierać różnice kulturalne, które klasy dzieliły, gdy wreszcie rząd odsunął Polaków od stanowisk państwowo faworyzowanych, wtedy runąć musiał dawny gmach wiekowy i ruinami swemi posłużył na sklecenie drobnych domków wieśniaczych i miejskich kamienic. I z tych to nowych domostw zaczęło wychodzić nowe także pojmowanie położenia naszego i zadań, które rozwiązać wypada. Ruch młodopolski czuje się też zasadniczo różnym od dawnej zachowawczej partyi w kraju. Zdaniem jego zadanie było z gruntu fałszywie postawionem i stąd pochodziły wszelkie niepowodzenia i przerachowania się w rezultatach. Dawne

warstwy szukały na arenie politycznej pola działania, czasem może i popisu dla swoich wybitniejszych jednostek i starały się za ich pośrednictwem załagodzić spór narodowy, który coraz ostrzej zarysowywać się zaczynał. Na tej drodze krocząc, słusznie też dochodzono do wniosku, że trzeba z rządem parlamentować, układać się i ugody szukać; nie w tem też błąd polegał, ale w tem, że przeoczano rdzeń samej sprawy i widziano tylko walkę polityczną tam, gdzie chodziło o starcie się żywotnych interesów moralnych i materialnych dwóch sąsiednich narodowości. A mylono się dla tego, że nie rozumiano, iż inne siły decydują o powodzeniu w takiej walce organicznej, aniżeli w ubieganiu się o doraźne powodzenie i polityczne znaczenie. Nie o nie więc chodzić powinno partyi ludowej, lecz o uzyskanie dla ludu jak największego dobrobytu, a powtórę o uświadomienie jak najniższych nawet warstw społeczeństwa. Tylko klasa, żyjąca w pewnej niezależności majątkowej, może oddawać sprawie narodowej prawdziwe usługi. Ona tylko może nabywać ziemię, tę najsilniejszą podstawę wszelkiego normalnego rozwoju, ona jedyna jest w stanie poświęcić pewną część swego czasu i swego mienia narodowym interesom, oświacie i kulturze samoistnej. Z drugiej strony uświadomienie narodowe jest ludowi, mającemu wzrastać, niezbędnie potrzebnem, i na tej drodze tylko może on dojść do wyższych kulturalnych szczebli. To też nadspodziewany rozwój kwestyj narodowościowych w XIX wieku nie jest ani przypadkowym, ani nie wynikł on z hasła rzuconego przez któregoś z mężów stanu, lecz jest logicznym wynikiem demokratyzacji społeczeństw i dopuszczenia ich do mniej lub więcej bezpośredniego udziału w sprawach publicznych. Tylko samoistna kultura może posłużyć narodowi do spełnienia całego swego zadania cywilizacyjnego, do wydania z siebie samego tego wszystkiego, co nosi w założeniu i co urzeczywistnić pragnie. Kultura obca, choćby i wyższa, będzie sztucznie tylko nabytym polorem i nie odpowie nigdy w zupełności najprostszemu i najgłębszemu wymaganiom duszy narodowej. Potrafi się nią czasem zadowolnić pewna grupa jednostek o umyśle giętkim lub przez zewnętrzne wpływy od młodości naginanym, nie zdoła tego uczynić naród cały w głębokich ludowych swych war-

stwach. To samo stosuje się i do narodowości polskiej pod pruskim zaborem. Przez wieki, dopóki w Polsce rządziła wyłącznie jedna tylko klasa, przeoczano rzeczywiste interesa ludowe na korzyść bądź to poszczególnych interesów stanowych, bądź to względów dynastycznych, bądź na korzyść innych mocarstw. Pod tym wpływem granice Polski i w ogóle Słowiańszczyzny cofały się od piastowskich do ostatnich czasów nieustannie pod naporem wrogiej im niemieczyny i oddawały jej na pastwę szerokie kraje i mnogie zastępy ludności. Tak samo też po zaborze kraju przez Prusy uważano ze strony szlacheckiej więcej na kwestyę legalną, jak na kwestyę realną. Certowano się o prawa, a nie zważano na to, czy będzie komu z tych praw korzystać. Dla tego też stanowisko nasze wobec rządu i narodu niemieckiego wciąż słabło. Stronnictwo ludowe twierdzi stanowczo, że praca produkcyjna tak na polu ekonomicznem, jak i moralnem, ludowy wręcz nosi charakter. Oświata najżywsze soki czerpie z instytucyi, fundowanej przez pierwszego ludowego działacza, Dr. Marcinkowskiego, walka o dobrobyt i ziemię najsilniejszą znajduje podporę w bankach ludowych, kółkach włościańskich i parcelacyach, wreszcie i sama polityka od czasu, jak w niej działają ludowcy, realniejszy przybiera charakter.

Czy niema w tem nieco illuzyj, przesądzać nie chcemy, i przedstawiamy dalej poglądy ludowe w szczerej ich ufności w przyszłość i w siebie samych. Dawniejsza polityka tem głównie grzeszyła, że przyjmując mileząco za pewnik wyższość niemieckiej cywilizacyi, wechodziła z nią w układy i wpuszczała ją do własnego obozu, nie broniąc się przed jej wpływem, a zastrzegając się tylko przeciw jej nadto jaskrawym zaczepkom. Była to polityka natchniona instynktem śmierci, polityka narodu, który czuje, że ustępuje z pola i prosi o dogodne i zaszczytne warunki kapitulacyi. W walce tylko przeciwny instynkt życia zwyciężać może, ale też gdy jest silny, zwyciężać musi. Sofizmatem bowiem jest, że w walce narodowościowej zwycięża massa i większa materyalna potęga; zwycięża ten, któremu o to zwycięstwo goręcej chodzi i kto większą dozę natężenia i ofiarności na szalę położyć potrafi. Kiedy dwie martwe bryły uderzają o siebie, decyduje o przewadze nietylko sam ich ciężar, ale i stosunkowa szyb-

kość, z jaką na siebie uderzają. O ileż więcej jeszcze w starciach ludzkich społeczeństw zapal i impet o powodzeniu stanowią. Dla tego też każdy czynnik, który wewnętrznej tej siły dodać potrafi, cennym nam jest nad wyraz. Widzimy już teraz, kiedy zaledwo początki polityki ludowej się zaznaczają, iż na wielu punktach ruch narodowy się budzi i okazuje siły obronne, o których już marzyć prawie nie śmiano. Uświadomienie więc ludu i wlanie weń otuchy i zaufania do sił swoich i do własnej sprawy, pierwszym jest zadatkem powodzenia. Nie naiwna też ufnosć w doraźne i praktyczne rezultaty kieruje naczelnikami ruchu ludowego, ale przekonanie, że ruch ten tylko wtenczas stać się może popularnym, a przeto i silnym, jeżeli sam z ludu wyjdzie i przyswoi sobie jego hasła w najprostszej ich, ale i najśmielszej formie. Polityka oportunistyczna w stosunku do rządu pruskiego najzupełniej jest nieodpowiednią. Wszelkie korzyści, któreby się udało od niego uzyskać, będą zawsze cząstkowymi i dane nam będą tylko w zamian za ustępstwa większe i donioślejsze, bądź to materyalnie, bądź duchowo. Ostatnie objawy ugodowości z epoki Capriviego dla tego były partyi ludowej tak wstrętne, że w zamian za korzyści doraźne i mało znaczące dawano rządowi nie tylko głosy polskie w izbach, ale co ważniejsze, dawano mu niejako absolutoryum za to, co nam był złego uczynił i usypiano czujność narodowego sumienia wobec krzywd i bezpraw, które ani na chwilę istnieć nie przestały. Korzyści, którychby nam rząd pruski mógł użyć, mogą być z natury rzeczy tylko zupełnie nieznaczące. Raz, że i rząd sam musi się obecnie liczyć z nastrojem pangermańskim, który sam sobie stworzył; powtóre zaś, i przedewszystkiem dla tego, że jesteśmy na zawadzie jego zasadniczej idei państwowej, że jesteśmy żywem jej zaprzeczeniem i najwymowniejszym przeciw niej protestem. Nie jest to więc może do tyła frazesem, jak wydaje się pozornie, kiedy mężowie stanu Niemiec nazywają kwestyę polską najżywotniejszem dla Prus zagadnieniem. Jest nią zarówno na wewnątrz, jako motyw decentralistyczny, jest nią także na zewnątrz, jako zakwestyonowanie wschodniej granicy monarchii. Gdy się bowiem uwzględni, że kilka milionów Słowian, i to malkontentów, zalega ją na długości kil-

kuset mil, to w rzeczy samej może to się wydać niepokojącym dla dalej patrzących umysłów. Ale dla tego właśnie powinni Polacy zrozumieć tę swoją siłę i starać się ją rozwijać i mnożyć. Mylnem jest bowiem przekonanie, w pośród opinii publicznej dość rozpowszechnione, jakoby w zaborze pruskim uświadomienie narodowe ludu osiągnęło już wysoki stopień rozkwitu. Tak nie jest, niestety, wcale i we wielkiej części ziem polskich poczucie narodowe drzemie jeszcze zupełnie. I nie dziw. Polskich klas wyższych niema już oddawna w wielu okolicach, gdzie lud zachował jeszcze wszystkie cechy polskości. Po za Księstwem Poznańskim nawet duchowieństwo nie przyczyniało się i nie przyczynia do ożywienia tych uczuć, to też naturalnym biegiem rzeczy, zwłaszcza w okręgach o ludności mieszanej, Polacy niemieczyli się i niemieczą się jeszcze. Dopiero w ostatnich czasach stan ten rzeczy począł się miejscami zmieniać na lepsze. Wiele okolic Szląska Górnego można uważać za uratowane, raz dzięki niezgrabnym i głupim prześladowaniom niemieckim, a powtórnie, pod wpływem ludowej prasy, uświadamiającej coraz szersze warstwy. Wiele stron innych jest jednak w zupełnem niemal uśpieniu i tylko żywa i ostra akcyja narodowa potrafi wlać życie w obumarłe nawpół członki. Nie trzeba się więc zrażać ani trudnościami materyalnemi, ani też zarzutem radykalizmu, który często spotyka ruch ludowy. Akcyja prowadzona gnuśnie, nie działająca na temperamenta i nie poruszająca gwałtownym nieraz akcentem, nie potrafi w danych warunkach żadnego dodatniego rezultatu osiągnąć. Nieśluszny też spotyka politykę ludową zarzut, jakoby szkodziła ona sprawie narodowej przez pobudzanie rządu do coraz gwałtowniejszych środków repressyjnych. Obawa taka oznacza zupełne nierozumienie rzeczywistego stanu rzeczy. System państwowy postępuje świadomie drogą z góry powziętą i nie ogląda się na ton, w jakim go zaczepiają. Traktaty i przyrzeczenia nie są dlań warte, według słów Bismarcka, ani złamanego szeląga. Dla niego istnieją przeciwnicy, z którymi trzeba się liczyć, i tacy, którzy nie znaczą, gdyż samą siłą rzeczy wcześniej czy później mu ulegną. Gdy będziemy tak silni, że rządowi będziemy zawadzali, to będzie nas wszelkimi siłami uciskał — gdy staniemy się tak silni, że będziemy

go niepokoiłi, to może łatwiej w ten sposób, jak na drodze uległości, znośne stosunki uzyskamy. Na rozszerzeniu naszego pola działania zawsze tylko dobrze wyjść możemy. Nawet pod względem akcyi materialnej, mającej na celu zniszczenie polskości za pomocą funduszków kolonizacyjnych i dyspozycyjnych, im rozleglejszem będzie ich pole działania, tem słabszą nadzieją, by skutek zamierzony odniosły. Wszystko więc składa się na to, by uważać rozbudzenie ruchu narodowego wśród całego ludu polskiego — za zbawienne. Jak lud przeszedł ze stanu zależności materialnej do zupełnej już niemal samopomocy, tak i moralnie winien wyemancypować się od wpływu klas zwierzchnych, gdyż nie wiadomo, jak długo one jeszcze pod naporem niemieczyny wytrwają; czy znaczne ich odłamy, jak n. p. duchowieństwo, nie ulegną z czasem wpływom, które dla spraw naszych narodowych nie mają odpowiedniego zrozumienia.

Niesłusznie więc zarzucają partyom ludowym czy młodopolskim, że program ich ma charakter negatywny tylko i że chcą one burzyć jedynie, zamiast budować, gdyż właśnie ich zadaniem jest powoływanie do życia sił nowych, tworzenie ich niejako z nicości, a praca burząca sięga tylko tak daleko, jak daleko sięga z drugiej strony niczem nieuzasadniona chęć dominowania i narzucania ludowi obcego i niesympatycznego mu programu.

Oto pokrótce teorye „ludowców“.

Zaznaczamy jednak, że trudno dać obraz ich dokładny, gdyż różnią się od siebie znacznie pojedyncze odcienia tej partyi i przechodzą od czerwonego radykalizmu „wszechpolaków“ do bardzo umiarkowanych poglądów na życie organiczne i społeczne narodu. Co obok teoryi równie jest ważnem, a może ważniejszym jeszcze, to zastosowanie jej w praktyce. I tu zaznaczyć trzeba, że rzeczywistość nie zawsze odpowiada idealnemu pogładowi, jaki staraliśmy się wyżej skreślić. W społeczeństwie tak mało licznem, jak jest wielkopolskie, gdzie przy ułatwionych komunikacyach wszyscy wszystkich niemal znają — przeciwności polityczne nabierają łatwo charakteru osobistego, a z drugiej strony nieprzyjaźnie prywatne nieraz są powodem, że ludzie o zapatrywaniach dość pokrewnych przerzucają się do przeciwnych obozów, by

wspólnie i ręka w rękę nie pracować. Zarzut ten dotyczy zarówno partyj zachowawczych, jak i postępowych, gdyż jedni i drudzy ulegają mimowolnie wpływowi zewnętrznych warunków, wśród których żyją; różnica zachodzi w tem chyba, że u ugodowców przeważa przy popełnianiu błędów zwykle brak zrozumienia przeciwników i niemądra uporczywość przy dawnych pojęciach i formach, kiedy u ludowców dominuje znowu demokratyczna drażliwość, oraz brak spokojnego wyrobienia umysłów i charakterów. Jest to w ogóle nieszczęściem stronnictwa ludowego, że przeważny na nie wpływ wywiera część ludności, która ani liczebnie, ani znaczeniem duchowym nie jest właściwie powołaną do odegrania tak wybitnej roli. Jest to małe mieszczaństwo w Poznaniu i na prowincyi. Nie chcemy bynajmniej klasie tej ubliżać. Ma ona swe zasługi niezaprzeczone. Przyczyniła się niemal do wyrwania Wielkopolski z rąk drobnego żydostwa, umiała, wyszedłszy z warstwy włościańskiej, w wielu wypadkach doskonale się odnaleźć w warunkach, obcych jej z urodzenia i tradycyi, potrafiła wreszcie wśród najtrudniejszych warunków nadać wielu miastom i miasteczkom, do niedawna czysto niemieckim, charakter polski, a przynajmniej mieszany. Ale obok tych zalet, o których nie zapominamy, ma mieszczaństwo to i bardzo wiele dużych wad. Brak mu w życiu materialnem cnót podstawowych, dających siłę i zdrowie społeczne. Brak mu trzeźwej rzetelności zawodowej i wytrwałości w pracy cichej i niepokążnej, popada często w lekkomyślne nadużywanie kredytu i w gnuśność połączoną z pretensjami do stanowiska i znaczenia. To wszystko odejmuje mu wiele z dodatniego znaczenia, na jakie inaczej niewątpliwieby zasługiwało. I te usterki przenoszą się z materialnego życia na cały moralny jego ustrój. Brak zamilowania zawodowego i zadowolenia, jakie ono daje, pcha często ludność miasteczek w plotkarstwo lokalne lub w polityczne krzykactwo. Życie bowiem małego miasta daje ku temu szerokie pole. Częste zetknięcie się ludzi z sobą, praca niedość ciągła, by mogła myśl i czas ludności całkiem zaabsorbować, miejscowe antagonizmy wreszcie i niesnaski, wszystko to są materiały palne, wśród których przy lada sposobności łatwo ogień wzniecić. Inaczej rzecz się ma na wsi. Tam

wszystko składa się na uśmierzenie gorączki politycznej. Praca rolna, ciągle i bezpośrednie zetknięcie z życiem realnem i nieupiększonym, wytwarza tam często ten zmysł zdrowy i jasny, który mianem „chłopskiego rozumu“ oznaczać zwykliśmy. Gdy się te właściwości uwzględni, nie trudno zrozumieć, że w akcyi politycznej, która się na tych właśnie dwóch czynnikach, to jest na ludzie wiejskim i miejskim przeważnie opiera, górować będzie zawsze wpływ miast. Łatwa swada, brak nieśmiałości przy wysławianiu się, możność stawienia się każdej prawie chwili na zebrania lub wiece, swobodny czas do czytania gazet i czerpania z nich gotowych i dobrze brzmiących haseł — oto są atuty, któremi rozporządza ludność miejska, a których wsie z natury rzeczy są pozbawione. To też partya ludowa poznańska ulega przedewszystkiem wpływom tym, a lud wiejski idzie częścią jeszcze biernie za księdzem lub dziedzicem, zrzadka zaś tylko ulega wymowie bardziej rozgarnionego miejskiego krewniaka.

Obok tych, liczebnie najsilniejszych czynników, znajduje się jeszcze w partyi ludowej dość znaczna ilość t. zw. intelligencyi, a wśród niej nawet i sporo młodych księży, która pracuje nad wyrobieniem teoretycznych jej zadań. Do nich przyłączają się jeszcze różne osoby ze wsi i miasta, czujące w młodej partyi siłę i żywotność, oraz agitatorowie z zamiłowania lub zawodu, którzy kompletują skład młodopolskiego stronnictwa.

Tak przy jednej, jak przy drugiej partyi, staraliśmy się przedstawić z zupełną bezstronnością zasady ich i rozumowania, oraz zwrócić uwagę na praktyczne skutki, jakie zastosowanie ich w łonie samych partyj wywiera. W rzeczywistości porządek jest odwrotny. W codziennem życiu i w dyskusjach najczęstszych słyszy się zaledwie okruchy teoryj, a za to zawziętość, upór, prywatne ambicje i posadzanie się wzajemne o złą wiarę zaprzatają obustronnie umysły walczących. To też przyznać trzeba, że charakter, jaki walka ta partyjna w ostatnich czasach nabrała, jest szkodliwy dla kraju i zdrożny. Ziarno niezgody i nienawiści, rzucone w społeczeństwo, kielkować musi i zły nieść plon. Zły ten skutek mógłby się w praktyce równoważyć chyba tylko bardzo wyraźnemi i znacznemi korzyściami, jakie ta lub owa polityka

sprawie narodowej przynieśćby mogła. Takich jednakże przewidywać nie można i takich illuzyj też nikt prawie obecnie sobie nie robi. Gdyby się bowiem ktoś zapytał, jakie będą lub być mogą praktyczne skutki tej walki stronnictw, która w ostatnich czasach tak ostry przybrała miejscami charakter, które z nich zwyciężą i którego zwycięstwo więcej dobrego krajowi przyniesie, to odpowiedź na to pytanie wydaje się dość łatwą i nie wymagającą proroczego ducha. Formalnie zwycięży zapewne pogląd ludowy, choćby ogólnym prawem demokratyzacyi społeczeństw, którą nazwano najtrwalszym ruchem w historyi, której zatem i tutejsze stosunki zapewne ulegną. Zresztą już obecnie większość społeczeństwa godzi się na główne jego zasady. Nie godzą się nań dotychczas ci zwłaszcza, którzy widzą w tej polityce nie obiektywny program, lecz osobiste ambicje ludowców, oraz gwałtowność i hałaśliwość ich środków. W miarę, jak partya ta rozrastać się będzie, jak podciągać się pod nią będą coraz liczniejsze zastępy spokojnej i trzeźwej ludności, w miarę wreszcie, jak ze słabnięciem obozu przeciwnego, dotychczasowym działaczom ludowym wypadnie opozycyjna broń z ręki, w miarę tego i samo stronnictwo objawiać poczyni zapewne umiarkowańszy charakter i przeniesie swą działalność z dziedziny polityki na pole pracy wewnętrznej, organicznej. Czy pod wpływem naturalnego różniczkowania się stronnictw partya ludowa znówu się z czasem nie rozpadnie na kilka odłamów, zwalczających się wzajemnie, tego obecnie dokładnie jeszcze przewidzieć nie można. Spiskowa rewolucyjność, równie, jak i socyalizm, znajdują dotychczas mały tylko oddźwięk w szerszych warstwach polskiej ludności. Najprędzej przewidziećby można rozwój socyalizmu o narodowym charakterze na Górnym Szląsku, gdzie kwestya narodowa pokrywa się prawie zupełnie z kwestyą społeczną, gdyż wszystkie niemal klasy posiadające są niemieckimi, a wszystkie niemal pracujące polskimi. Tam też, w okręgach kopalnianych i fabrycznych, panuje najwyższa temperatura polityczna, a sprawa o zaburzenia w hucie „Laury“ dobrym jest tego przykładem.

Przechodząc w końcu do działalności nowego Koła polskiego w Berlinie, sądzimy, że nie trzeba przesadzać sobie jego znaczenia. W Sejmie pruskim zwłaszcza, gdzie główne

sprawy polskie się decydują, większość rządowa jest tak ogromna i tak stała, że wszelka z nią walka jest płonną tylko chimera. To też widzimy, że pod wpływem tego poczucia zupełnej bezsilności wszyscy prawie posłowie polscy poddają się bezwiednie pewnemu *esprit de corps*, które ich wystąpienia do jednolitego redukuje mianownika. Gdy odczytamy mowy z przed lat kilkunastu tych posłów, którzy uchodzą obecnie za filary polityki ugodowej i porównamy je z mowami obecnymi młodopolskich posłów, to przekonamy się z łatwością, że zachodzą pomiędzy nimi w Berlinie tylko różnice tonu i temperamentu. Jedne, jak drugie, wypowiedziane bywały przeważnie *zum Fenster hinaus*, przez okno, wychodzące na kraj, obliczone były i są na przedrukowanie w gazetach krajowych i na podniesienie ducha i odwagi w kraju. Bezkarność parlamentarna pozwala mówić, a w dalszym ciągu i drukować wiele rzeczy, któreby w prasie inną drogą nie uszły bez procesu. Jest to więc jeden ze sposobów, by wezbrany uczuciom narodowym dać folgę.

Jak wybory w Poznańskim porównać można z manewrami, na których się sprawdza liczebność i sprawność żołnierzy, tak występy posłów w Berlinie mogą być uważane za egzamina uczuć tych jednostek, których lud za wodzów sobie obrał. Gdyby więc postawić pytanie ostatecznie: które ze stronnictw zwyciężyłoby powinno, by z niem zwyciężyła dobra sprawa — to ze spokojnem sumieniem i bez cienia sceptycyzmu, ani obojętności dla sprawy samą powiedzieć można, że nie jest to ani kwestyą żywotną, ani wymagającą szybkiego rozwiązania. Każde z tych zapatrywań zawiera w sobie wiele prawdy, wiele szczerzej chęci służenia dobrej sprawie i wiele zrozumienia istotnych potrzeb kraju. Które z nich w danej chwili przeważać winno, przesądzać trudno. Najlepiej zapewne, gdy i jedno i drugie ma swoich przekonanych adeptów, którzy bez nienawiści przeciwników, lecz z ochotą do produkcyjnej pracy, biorą się do wprowadzenia w czyn swoich poglądów. Wówczas okaże się może, że sprzeczność jest raczej pozorną tylko, a że rozchodzące się rzekomo drogi w wyższym punkcie znowu się spotykają i łączą.

Do prawidłowego ruchu okrętu potrzebny jest zarówno martwy ciężar balastu, jak pomoc żagli, a gdy jednego z tych

czynników nie stanie, to okręt albo jest unieruchomiony na miejscu, albo bezcelowo ciskany za lada podmuchem wiatru. Tak i w życiu społecznym współdziałanie sprzecznych czynników jest niezbędnem dla normalnego rozwoju. Sprzeczności, na pozór nieprzejdane, znajdują złagodzenie nie tylko przez działanie czasu, ale i przez zetknięcie się ludzi ze sobą przy pracy wspólnej i pożytecznej. To też najlepszymi obywatelami kraju są nie ci, co najsilniej i najwymowniej tę lub ową partję polityczną reprezentują, lecz ci, co dla sprawy, której służą, najwięcej poświęcają siebie samych, swej pracy i swych uczuć. W społeczeństwie idealnem pracowaćby powinien każdy, stosownie do swej zdolności i usposobienia, a łączyć się z drugimi w dążeniu do jednego celu. Wtedy różnice zapatrywań i rozumowań stałyby się tylko różnicami w środkach i nie trudno byłoby wtedy o wyrozumiałość i pobłażliwość dla zdań obcych. Więc i wśród trudnych warunków naszych powinno zapanować braterstwo niedoli, a nie zjadliwa rozterka, wzorem zaś dla innych stać się winni ci, co uważają stronnictwa za drugorzędne tylko objawy, a wspólną i dodatnią pracę społeczną za najwyższe zadanie narodowe.

Rozpoczynając te uwagi, wspomnieliśmy książkę prezydenta Roosevelta. Kończąc, powracamy do niej raz jeszcze. Wypowiada on tam bowiem zdanie, które jest może szczytem politycznej dojrzałości, że doskonałą rzeczą jest uzyskanie tryumfu dla dobrej sprawy w danym okręgu wyborczym, ale jeszcze o wiele lepszą jest wytworzenie pomiędzy obywatelami tego ducha braterskiego koleżeństwa, który z czasem stanie się nam niezbędnym, jeżeli zechcemy, by urzeczywistniły się w naszym społecznym życiu zasady męskiej uczciwości i krzepkiego a zdrowego rozsądku.

Jan Żółkowski.

EDYP KRÓL.

Tragedya Sofoklesa.

Przełożył Kazimierz Morawski.

(Dokończenie).

CHÓR.

Strofa a.

Niechbym ja słowom i sprawom co święte
Cześć wierną dał i pokłony.
Strzegą ich prawa w eterze poczęte,
Nadziemskie strzegą zakony.
Olimp im ojcem, z ziemskiego bo łona
Takie nie poczną się plody,
Ani ich fala zapomnień pokona.
Trwa w nich Bóg wielki, mocny, wiecznie młody.

Antistrofa a.

Pycha rodzi tyranów; gdy pychy tej szaly
Prawa i miarę przekroczą,
Runie na głowę ze stromej gdzieś skały,
Gdzie głębie zgubą się mroczą.
Nie jej stamtąd nie wyzwoli.
Do Boga wzniosę ja prośbę gorącą,
By zbawił tego, co nas ratował w niedoli.
Bóg mi ostoją i wiernym obrońcą!

Strofa b.

A gdy ludzi czyn lub głos
Prawa obrazi i święte bóstw trony,

Niech ich straszny dogna los,
 Skarci dumny wzlot szalonej,
 Gdy za brudnym zyskiem gonia,
 Gdy od ludzi złych nie stronia,
 Świętość grzeszną skażą dłonią.
 Któżby jeszcze się chelpił, iż kary on groty,
 I Bogów odeprze gniewy?
 Jeśliby takie cześć miały roboty,
 Na cóż me tańce i śpiewy?

Antistrofa b.

Już do Olimpji nie pójde, nie pójde Delfów ja szlakiem,
 Nie ujrzy mnie Abejski chram,
 Aż niebo swym wszechwidnym znakiem
 Mowom ludzi zada kłam.
 O Zeusie, jeśliś ty panem niebiosów,
 O wszechwładzco ziemi losów,
 Bacz na krnąbrność ludzkich głosów.
 Co Bóg o Laiosie wieści
 Mają już za sen i mary
 I Apollo już bez cześci!
 W niwecz idą wiary.

JOKASTA.

O głowy miasta, dobrem mi się zdało
 Do domów bożych pójść przybrawszy ręce
 W wieńce i wonne dla bogów kadzidlą.
 Bo troski różne zawładły nadmiernie
 Duchem Edypa; i nie jak rozumny
 Nowe on wieści według dawnych waży,
 Lecz tym, co grozę wróżą, się poddaje.
 Więc gdy mu żadnej nie wlałam otuchy,
 Do ciebie, żeś tu blizki, Apollinie,
 Z prośbą się teraz zwracam i błaganiem,
 Żebyś nam ulgi przysporzył ty zbożnej.
 Bo teraz my tu wszyscy zatroskani,
 Patrząc na trwogi sternika tej nawy.

POŚLANIEC Z KORYNTU.

Czy mógłbym od was dowiedzieć się, kumy,
 Gdzie tu mieszkanie jest króla Edypa.
 Lub raczej mówcie, gdzie teraz przebywa.

CHÓR.

Otóż dom jego, a on sam jest w domu
I otóż żona, matka jego dzieci.

POŚLANIEC.

Niechajby szczęśna ze szczęsnymi żyła,
Ona, co prawą jest jego małżonką.

JOKASTA.

Niechaj i tobie Bóg szczęści, boś pięknie
Nas tu pozdrowił; lecz wyjaw przyczynę
Twego przybycia, jaką wieść przynosisz.

POŚLANIEC.

Dobłą wieść niosę dla domu i męża.

JOKASTA.

Jaką nowinę? zkadże to przybywasz?

POŚLANIEC.

Z Koryntu — słowa, które wnet wypowiem,
Sprawia ci radość — a może i troskę.

JOKASTA.

Cóż to, co siłę podwójną mieć może?

POŚLANIEC.

Jego chcą ludzie Istmijskiej krainy
Posadzić na tron; tak o tem mówiono.

JOKASTA.

Cóż? czyż już stary Polybos nie rządzi?

POŚLANIEC.

Przestał, bo śmierć go zabrała do grobu.

JOKASTA.

Cóż znowu? umarł więc, starcze, Polybos?

POŚLANIEC.

Niech zginę, jeśli ja prawdy nie rzekłem.

JOKASTA.

Donieś więc o tem, służebno, co przedziej
Mojemu panu. O bogów wyrocznie!
Cóż się to stało? Z trwogi przed tym mężem
Uciekał Edyp, by snąć go nie zabił.
Teraz los w niego — nie Edyp, ugodził.

EDYP.

O najmilejsza ma żono, Jokasto,
Po coś mnie tutaj wywołała z domu?

JOKASTA.

Wysłuchaj tego człowieka i rozważ,
Jako się pustym okazał głos bogów.

EDYP.

Co on za jeden i cóż on zwiastuje?

JOKASTA.

Idzie z Koryntu z nowiną o ojcu,
Że — już nie żyje Polybos, że — skonał.

EDYP.

Cóż to przybyszu! Sam mów co przynosisz.

POŚLANIEC.

Jeśli to wprzód mam tobie obwieszczać,
Wiedz, że ów człowiek już poszedł na mary.

EDYP.

Podstęp go, czyli zwała choroba?

POŚLANIEC.

Drobna niekiedy rzecz starca powali.

EDYP.

A więc z słabości skończył jak się zdaje.

POŚLANIEC.

I z miary wieku, która nań ciążyła.

EDYP.

Przebóg! pocóżby, o żono, kto zwał
Na Pytyi trony, niebieskie świergoty
Ptaków, za których-to głosów przewodem
Ja ojcobójcą być miałem; a teraz
Ten już pod ziemią, a ja zaś oszczepu
Ani się tknąłem; więc chyba tęsknota
Za mną go zmogła; — tak byłbym zabójcą.
Zabrawszy tedy grożące wyrocznie
Legł on w Hadesie i stał je na nice.

JOKASTA.

Czy nie mówiłam ci tego już dawno?

EDYP.

Mówiłaś, ale mną trwoga władnęła.

JOKASTA.

Nadal więc nie bierz tych rzeczy do serca.

EDYP.

Lecz matki łoże, czyż nie ma mnie trwożyć?

JOKASTA.

Czemuż-by troskał się człowiek, co w rękę
Losu, przyszłości przewidzieć nie zdolny?
Jeszcze najlepiej żyć tak — od dnia do dnia.
A tych miłostek się z matką nie strachaj,
Bo wielu ludzi już we śnie z matkami
Się miłowało; swobodnie ten żyje,
Kto snu mamidła lekko sobie waży.

EDYP.

Pięknem byłoby to wszystko coś rzekła,
Gdyby nie matka — przy życiu; że żyje,
Choć pięknie mówisz, ja muszę się trwożyć.

JOKASTA.

I z grobu ojca nie zabłysł ci promień?

EDYP.

Zabłysł, nie przeczę, lecz matki się boję.

POŚLANIEC.

Jakaż niewiasta tak wielce was trwoży?

EDYP.

Meropa, starcze, żona Polybosa.

POŚLANIEC.

Cóż w niej takiego, co grozę wam sprawia?

EDYP.

Strasзлиwa wróżba zesłana od bogów.

POŚLANIEC.

Poznać ją można, czy milczeć musicie?

EDYP.

Owszem, znać możesz. Loxias mi zwiastował
Niegdyś, że matkę obejmę ja w łóżu
I że własnego ojca krew przeleję.
Przeto ja długo, by złego się ustrzedz,
Mijałem Korynt; na szczęście, lecz przecież
Patrząc w rodziców oblicze rozkoszą.

POŚLANIEC.

Czyż dla tej trwogi wygnałeś się z kraju?

EDYP.

Tak, starcze, nie chcąc być ojca mordercą.

POŚLANIEC.

Czemuż więc dotąd, o władco, cię z trwogi
Nie wyzwoliłem, gdym przybył tu chętny?

EDYP.

A przecież wdzięczność zyskałbyś tem wielką.

POŚLANIEC.

Potom tu przybył, by skoro do domu
Wrócisz, i mnie się też co okroiło.

EDYP.

O! z rodzicami nie stanę pospołu!

POŚLANIEC.

Synu, toć jasnem, iż nie wiesz co czynisz.

EDYP.

Jakto, mój stary, poucz mnie na bogi!

POŚLANIEC.

Jeśli z powodu tych domu unikasz.

EDYP.

W trwodze, by Febus się jasno nie ziścił.

POŚLANIEC.

Byś od rodziców nie przejął zakąły?

EDYP.

To właśnie ciągle, o starcze, mnie trwoży.

POŚLANIEC.

Więc nie wiesz, że się strachasz bez powodu?

EDYP.

Jakoż? gdy jestem tych dzieckiem rodziców.

POŚLANIEC.

Polybos tobie żadnym nie był krewnym.

EDYP.

Cóż to, Polybos nie byłby mi ojcem?

POŚLANIEC.

Nie więcej ojcem odemnie, lecz równym.

EDYP.

Zkądby się ojciec z tym równał, co nie jest?

POŚLANIEC.

Przecież ni ja cię spłodziłem, ni tamten.

EDYP.

Więc po cóż wtedy on mienił mnie synem?

POŚLANIEC.

Wiedz, iż z rąk moich otrzymał cię w darze.

EDYP.

I z obcej ręki przyjąwszy, tak kochał?

POŚLANIEC.

Bezdzietność takie mu dała uczucia.

EDYP.

A tyś mnie kupił, czy znalazł przypadkiem?

POŚLANIEC.

Znalazłem w krętych jarach Kiteronu.

EDYP.

Jakże dostałeś się do tych ostępów?

POŚLANIEC.

Górskiemu bydłu za pastucha byłem.

EDYP.

Pastuchem byłeś wędrownym i płatnym?

POŚLANIEC.

I twym wybawcą natenczas, o synu.

EDYP.

A w jakiej ty mnie zeszedłeś potrzebie?

POŚLANIEC.

Stopy nóg twoich dać mogą świadectwo.

EDYP.

Biada mi, dawne wspominasz niedole.

POŚLANIEC.

Ja zdjąłem pęta z twoich stóp przebitych.

EDYP.

Z pieluch więc straszną wyniosłem ohydę?

POŚLANIEC.

Od nóg nabrzmiałych nadano ci imię.

EDYP.

Przebóg, mów, ojciec czy matka je nadał?

POŚLANIEC.

Nie wiem, wie lepiej ten, co mi cię zwierzył.

EDYP.

Nie sam mnie zszedłeś, lecz z innejś wziął ręki?

POŚLANIEC.

Nie sam, lecz inny cię wydał mi pastuch.

EDYP.

Któż on? Czy zdołasz go jeszcze oznaczyć?

POŚLANIEC.

Mówiono, że był u Laiosa w służbie.

EDYP.

W służbie u króla dawnego tej ziemi?

POŚLANIEC.

A jużci; pasał on Laiosa trzody.

EDYP.

Czy on przy życiu, czy mógłbym go widzieć?

POŚLANIEC.

Miejscowi ludzie to wiedziećby mogli.

EDYP.

Czyż więc wśród ludzi, którzy tu obecni,
Zna kto człowieka, którego on wskazał,
Czy go nie widział czy w polach, czy w domu?
Mówcie, bo światła nadarza się pora.

CHÓR.

Nie znam innego krom sługi, którego
Wezwać już z pola kazałeś. Jokasta
Chyba najlepszej udzieli wskazówki.

EDYP.

Żono, czy znasz ty człowieka, za którym
Posłałem w pole, o którym ten prawi?

JOKASTA.

Cóż? kto mu w myśli? nie zważaj ty na to,
Słów tu mówionych nie pomnij na próżno.

EDYP.

Rzecz niepodobna, bym takie poszlaki
Dzierżąc, nie badał mego położenia.

JOKASTA.

Jeśli, na bogów, życie tobie mile,
Nie badaj tego; starczy mej katuszy.

EDYP.

Odwagi! nie ci nie ujmie, chociażbym
Z dziadów i ojców pochodził niewoli.

JOKASTA.

Jednak mnie słuchaj, błagam, nie czyń tego.

EDYP.

Zbytnia powolność nie zawrze mi prawdy.

JOKASTA.

Z serca najlepszą ci służę ja radą.

EDYP.

Co zwiesz najlepszem, od dawna mnie dręczy.

JOKASTA.

Nieszczęsny, niechbyś nie wiedział, kim jesteś.

EDYP.

Czyż mi nie stawia wnet tego pastucha?

Ta — niech się cieszy świetnością swych przodków.

JOKASTA.

Biada, nieszczęsny, to jedno już słowo
Rzeknę, a głos ten już będzie ostatnim.

CHÓR.

Dla czegoż żona w tak dzikiej rozpacz
Precz stąd wybiegła, Edypie? Strach zbiera,
Że jaka klęska w milczeniu się zerwie.

EDYP.

Niech się rwie co chce; ja jednak mojego
Dojdę początku, chociażby był marnym.
Tej pono, że jest wyniosłą niewiastą,
Mojej nędzoty powstydzic się przyjdzie.
Ja zaś, co synem szczęścia się być mienię
Dobrotliwego, nie doznam shańbienia.
Ono mi matką, a druby miesiące
Dały mi szmaty i dały szkarłaty.
Wobec tej matki zmiany się nie boję,
Gdy poznam w pełni pochodzenie moje.

CHÓR.

Strofa.

Jeśli to nie sen, nie złuda,
Jutro, gdy skała twa, o Kiteronie,
W pełni miesiąca zapłonie,
Wysławię cześć twą i cuda.
Zaśpiewam chwały pieśń wielką,
Zwąc cię Edypa matką, żywicielką.

Pląsem cię uczczę, iż byleś ostoją mym panom,
A ty, Febie, zawtóruj i pieśni i tanom.

Antistrofa.

Jakaż bo ciebie zrodziła dziewica,
Czyś ty był ojcem, o Panie,
Czy też Apolla znęciły ją lica
Na szczytów cichej polanie?
Czy Bóg, co włada w Kyllenejskim jarze,
Lub Bacchus lśniący na wirchów gdzieś tronie
Od krasnych dziewic otrzymał go w darze
Nimf w Helikonie?

EDYP.

Jeśli ja także, choć wprzód go nie znałem,
Zgadywać mogę, mniemałbym, o starcy,
Że ten, którego czekamy od dawna,
Pastuch się zjawił, bo wiek za tem mówi.
A zresztą w ludziach, którzy go prowadzą,
Widzę me sługi; osądzisz to łatwiej,
Boś znał człowieka przed dawnymi laty.

CHÓR.

On to, mój Panie, wśród domu Laiosa
Wiernym był sługą, jak mało kto inny.

EDYP.

Naprzód cię pytam, przychodniu z Koryntu,
Czyś tego mienił?

POŚLANIEC.

Tego, co tu stanął.

EDYP.

Starcze, patrz na mnie, i wręcz odpowiadaj,
Gdy spytam; byleś ty sługą Laiosa?

SŁUGA.

Tak, byłem sługą domowym, nie kupnym.

EDYP.

Jakie tu miałeś zajęcia i służbę?

SŁUGA.

Najwięcej, Panie, chodziłem za bydłem.

EDYP.

A w jakich miejscach miałeś twe szalasy?

SŁUGA.

Na Kiteronie i blizkich polanach.

EDYP.

Czyś widział kiedy tego tu człowieka?

SŁUGA.

Przy jakiej sprawie? Kogoż masz na myśli?

EDYP.

Tego tu, czyś ty z nim zadał się kiedy?

SŁUGA.

Na razie ciężko to sobie przypomnieć.

POŚLANIEC.

Nie dziw, o Panie! ja wraz mu przypomnę
To, co zabaczył. Bo wiem to ja przecie,
Że on wie także, jakośmy trzy lata
W ciepłych miesiącach wyganiałi trzody
Tu na Kiteron; gdy zima nastala
Ja przepędzałem bydło do mych stajen,
On do Laiosa obory; no! mówże,
Czy tak się działo, czy zmyślam te rzeczy?

SŁUGA.

Będzie to prawda — choć temu już dawno.

POŚLANIEC.

Więc powiedz dalej, czy pomnisz, żeś dziecko
Oddał mi jakieś na pielęgnowanie?

SŁUGA.

Cóż to, po cóż mi pytanie to stawiasz?

POŚLANIEC.

Oto ten, kumie, co wtedy był dzieckiem.

SŁUGA.

Cóż ty, do dyabła, nie zamkniesz raz gęby?

EDYP.

Nie laj go, stary, bo raczej twe słowa
Zgromić należy, nie jego przemowy.

SŁUGA.

W czymże ja, dobry Panie, zawiniłem?

EDYP.

Że przeczysz dziecku, za którym on śledzi.

SŁUGA.

Plecie bo na wiatr, nie wiedzieć dlaczego.

EDYP.

Nie zeznasz z chęcią, to zeznasz pod batem.

SŁUGA.

Przebóg, nie smagaj, o Panie, staruszka.

EDYP.

Niechaj mu ręce spętają na grzbiecie.

SŁUGA.

Za co? o biada! jakiej chcesz nowiny?

EDYP.

Czyś dał mu dziecię, o które się pyta?

SŁUGA.

Dałem; niechajbym dnia tego był zginął.

EDYP.

Przyjdzie do tego, gdy prawdy nie zeznasz.

SŁUGA.

Doszczętniej zginę, skoro ją wypowiem.

EDYP.

Człowiek ten szuka, jak widać, wykrętów.

SŁUGA.

O nie! przecz rzekłem, iż dałem je dawno.

EDYP.

Zkąd wzięłeś? z domu? czy dał ci je inny?

SŁUGA.

Mojem nie było, z innej wzięłem ręki.

EDYP.

Któż był tym mężem, z jakiego on domu?

SŁUGA.

Na Boga, Panie, nie pytaj mnie więcej!

EDYP.

Zginałeś, jeśli raz pytać nie dosyć.

SŁUGA.

A więc — z Laiosa to było pomiotu.

EDYP.

Czy z niewolnicy, czy ze krwi szlachetnej?

SŁUGA.

Biada, ma mowa tuż u grozy kresu.

EDYP.

I słuch mój również, lecz słuchać ja muszę.

SŁUGA.

Zwano go synem jego; lecz twa żona
Najlepiej powie, jak rzeczy się miały.

EDYP.

Czyż tedy ona oddała?

SŁUGA.

Tak, Panie.

EDYP.

W jakimże celu?

SŁUGA.

Bym zabił to dziecko.

EDYP.

Wyrodna matka!

SŁUGA.

Trwożyły ją wróżby.

EDYP.

Jakie?

SŁUGA.

Że dziecko to ojca zabije.

EDYP.

Pocóż je tedy oddałeś tamtemu?

SŁUGA.

Z litości, Panie, myślałem, że weźmie
Dziecię do kraju zkąd przybył; i otóż
On je zratował na zgubę, bo jeśli
Tyś owem dzieckiem, to jesteś nędzarzem.

EDYP.

Biada, już jawnem to, czegoś pożądał,
O słońce, niechbym już cię nie oglądał!
Życie mam zkąd nie przystoi i żyłem
Z kim nie przystało — a swoich zabiłem.

CHÓR.

Strofa a.

O śmiertelnych pokolenia!
Życie wasze, to cień cienia.
Bo któryż człowiek więcej tu szczęścia zażyje
Nad to, co w sennych rojeniach uwije,

Aby potem z biegiem zdarzeń
 Po snu chwili runąć z marzeń.
 Los ten, co ciebie, Edypie, spotyka,
 Jest mi jakby głosem żywym,
 Bym żadnego śmiertelnika
 Nie zwał już szczęśliwym.

Antistrofa a.

Twe cięciwy miotły strzały
 Gdzieś daleko za granice
 Zwykłych szczęść i chwały.
 Wróżą zmoğeś ty dziewicę
 Ostrzem zbrojną szponów.
 Żeś nam stanął jako wieża
 Obronna od zgonów,
 Uczcił w tobie lud rycerza
 I wywyższył cię ku niebom,
 Byś królem był Tebom.

Strofa b.

A dziś kogo większa moc
 Klęsk i złego gnębi?
 Któż w czarniejszą runął noc
 Do nieszczęścia głębi?
 Edypa głowo wysławiona,
 Jednej starczyło przystanie
 Na syna, ojca kochanie
 I jednego łona.
 Jakoż cię mogły znosić do tej pory
 W milczeniu ojca ugory?

Antistrofa b.

Czas wszechwidny, ten odsłoni
 Winy twojej brud,
 Ślub nieślubny zemsta zgoni
 Płodzących i plód.
 O niechajbyś się Laiosa dziecię
 Nigdy nie był zjawił,
 Nie byłbym teraz rozpaczą, co micie
 Jęki, sere krwawił.
 Tyżeś to kiedyś roztworzył me oczy
 I dziś ty grążysz mnie w mroczy.

POŚLANIEC DOMOWY.

O wy, którzyście starszyzną tej ziemi,
 Jakież będziecie wnet słyszeć i widzieć
 Klęski i jakiej doznacie boleści,
 Jeżeli trwacie w miłości tych domów.
 Myślę, iż Istru, ni Phasisu wody
 Kałów nie zmyją, co kryją się w wnętrzu
 Tego domostwa i wyjrzą na światło.
 Woli to dzieła. A najgorszą męką
 Ta, którą człowiek własną ściągnie ręką.

CHÓR.

To już, co wiemy, dość daje żaloby
 I dosyć jęków. Cóż nadto przynosisz?

POŚLANIEC.

By jednym słowem wyrzec i pouczyć,
 Wiedziecie, że boska Jokasta nie żyje.

CHÓR.

O ta nieszczęsna! Jak ona zginęła?

POŚLANIEC.

Z własnej swej ręki. Co grozą w tym czynie,
 To was oszczędzi, boście nie patrzeli.
 Jednak o ile rzecz w mojej pamięci,
 Straszne niewiasty opowiem katusze.
 Gdy bowiem w szale rozpaczyny wkroczyła
 W przedsionek, wbiegła prosto do łóżnicy
 Włosy targając obiema rękami,
 A drzwi za sobą gwałtownie zawarwszy,
 Cieniów zmarłego woła Laiosa,
 Starych pamiętna miłości, od których
 On zginął, matkę zostawiając na to,
 Aby płodziła dalej z własnym płodem.
 Jękla nad łóżem, co dała nieszczęsnej
 Męża po mężu, i po dzieciach dzieci,
 I jak wśród tego skończyła, już nie wiem.
 Bo wyjąc Edyp wbiegł i od tej chwili
 Już nie widziałem co ona poczyni,
 Lecz jego tylko śledziłem ja ruchy.
 Biegał on, od nas żądając oszczepu,
 Wołał, gdzie żona, nie żona, gdzie rola

Dwoista, której był siewcą i siewem.
 I szalonemu duch chyba to wskazał,
 Nie żaden z ludzi, którzy tam obecni.
 Więc z strasznym krzykiem, jakby za przewodem
 Runął ku odrzwiom i wnet ze zawiasów
 Wysadził bramę i wpadł do komnaty. —
 A tam zoczył wiszącą niewiastę
 Zdławioną chustą. Edyp na ten widok
 Z jękiem okropnym, nieszczęsny rozplątał
 Węzeł ofiary, a kiedy jej ciało
 Zwisło na ziemię, zdwoiła się groza.
 Bo sprzączki z szaty wyrwawszy złociste,
 Któreми ona spinała swe suknie,
 Wzniósł je i wraził w swych oczu źrenice,
 Jęcząc: że dotąd wyście nie widziały
 Co ja cierpiałem i com ja popełnił,
 Przeto na przyszłość w ciemności dojrzycie
 Czegobym nie chciał, co chcę nie poznacie.
 Wśród takich zaklęć, raz wraz on wymierza
 Ciosy w powieki; wydarte źrenice
 Zbarwiły lica, bo krew nie ściekała
 Zrazu kroplami, lecz pełnym strumieniem
 I z ran sączyła w dół czarna posoka.
 To się z obojgu zerwało nieszczęście,
 Nieszczęście wspólne mężowi i żonie. —
 Była tu świetność zaprawdę świetnością
 Za dni minionych, w dniu jednak dzisiejszym
 Nastąpiła groza, śmierć, hańba i jęki,
 Nie brak niczego, co złem się nazywa.

CHÓR.

Cóż więc poczyną teraz ów nieszczęsny?

POŚLANIEC.

Krzyczy, by bramy rozwarło i Tebom
 Wskazano tego, co ojca zmordował,
 Co matkę — wstręt mi przytoczyć te słowa —,
 Woła, że z kraju ujdzie, że pod kłatwą
 Tu nie zostanie, jak sam się zaklinał.
 Lecz brak mu siły i brak przewodnika,
 Bo złe zbyt ciężkie na niego runęło.

Wnet to ujrzenie, bo bram tych zawory
 Się roztwierają, a stanie przed wzrokiem
 Taki wam widok, że wróg by zapłakał.

CHÓR.

O straszny los dla ludzkich ócz,
 Straszniejszy cios od wszelkich klęsk
 Które widziałem na ziemi.
 Jakiż wśród nędz nagarnął cię szal
 I jakiż duch
 Z nawalem burz
 Do takiej zgrażył cię głębi?
 Biada ci, biada, wymija cię wzrok
 A chciałbym wiele się pytać,
 Wiele się zwiedzieć i wiele rozważyć,
 Lecz strach mną trzęsie i groza.

EDYP.

O biada mi, biada!
 Nieszczęsny ja, do jakich ziem
 Podążę? gdzież uleci głos?
 O losie, gdzieś ty mnie powalił?

CHÓR.

W strasznego coś, co słyszeć, widzieć grozą.

EDYP.

O ciemnie,
 Chmury, i straszne i czarne,
 Tylu klęskami ciężarne,
 Biada mi!
 Biada mi! — jakże porówno w niedoli
 Rany i pamięć mych czynów mnie boli.

CHÓR.

Nie dziw, że pośród tak ogromnej męki
 Podwójnie cierpisz, zdwojone ślesz jęki.

EDYP.

O przyjacielu!
 Tyś jeden nie ustał w ochocie
 By nieść ulgę mej ślepocie.
 Nie uszło mi to! Bo chociaż mi ciemno,
 Głos twój ja słyszę nademną.

CHÓR.

O straszny czynie! o straszny demonie,
Któryś mu w oczy pchnął dłonie!

EDYP.

Apollon, on to sprawił, przyjaciele.

On był przyczyną mej męce.
Na oczy, własne targnęły się ręce.
Bo cóż wzrok jeszcze użyczy
Temu, co widząc, nie dojrzy słodyczy.

CHÓR.

Tak, jako mówisz, się stało.

EDYP.

Któżby mnie witał, kto kochał w tem mieście,
Cóżby słuchowi ochłodę dawało?
O przyjaciele! co prędzej unieście
Precz mnie, bom ziemi zakała
I ściągnąłem do mych progów
Gniew i klątwę bogów.

CHÓR.

Klęska cię gnębi, świadomość cię mroczy.
Czemuż cię, czemu poznały me oczy?

EDYP.

O niechajby się ten nie był narodził,
Który mnie znalazł dzieckiem opuszczonem,
Życie zratował i z pęt oswobodził.
Czemużem wtedy mym zgonem
Sobie i miłym nie ujął niedoli?

CHÓR.

Po mojej także byłoby to woli.

EDYP.

Nie byłbym krwawych spełnił win,
Ni matki skalał sromu;
Dziś nędzny ja, wyrodny syn,
Zakała jestem domu.
I wszelkie klęski i katusze
W głowę godzą, dręczą duszę.

CHÓR.

Żeś dobrze poczał — nie śmiałbym ja wierzyć,
Żyć w takiej ciemni! O lepiej ci nie żyć.

EDYP.

Że nie najlepiej ja sobie począłem,
Nie praw mi tego i szczedź mi nauki. —
Bo jakim wzrokiem patrzyłbym na ojca
Wstąpiwszy z ziemi do Hadu ogrojca,
Jakim na matkę? Speliłem ja czyny,
Że żaden stryczek nie zmógłby tej winy.
A czyżby dziatki przy ojcowskim boku —
Zkądkolwiek one — coś dały ochłody?
Nie dla mnie rozkosz takiego widoku!
Ni miasto, bogów świątynie i grody!
Bom ja najwyższą w Tebach dzierżąc chwałę,
Sam ich się zbawił, gdym miótl złorzeczenia
By wygnać zbrodnię i bogów zakałę,
Choćby z Laiosa była pokolenia.
Czyżbym ja zdołał, takie hańby znamię
Dźwigając, podnieść ku dzieciom me czoło?
O nie! lecz raczej podniósłbym me ramię
Na słuch i ten bym zmiażdżył, by w okolo
Szczelnie odgrodzić nieszczęsne me ciało,
Aby i ucho odtąd nie słyszało;
I tak pozbawion i wzroku i słuchu,
Możebym wytechnął w nieświadomym duchu.
Czemuś mnie przyjął, szczycie Kiterona,
Czemuś nie zabił, by wśród twych pasterzy
Wieść gdzieś zamarła, z jakiego ja łona!
Polybie, moja rzekoma macierzy
Koryncie, czemuż dla złego osłony
Mnie w pozłociste przybrano tam strzępy?
Dziś ja nieszczęsny, z nieszczęsnych zrodzony
Troiste drogi i leśne ostępy,
Bory, rozbieżne wśród gęstwin wąwozy,
Co ojcobójczą posoką sączyecie,
Czy wam wiadomem, czy dotąd pomnicie
Co ja speliłem i w jakie ja grozy
Zabrałem dalej? o śluby, o sromy!
Nas zrodziłyście, a potem posiewy
Brałyście od nas i jedne tu domy
Objęły matki i żony i dziewy

Z krwi jednej, ojców i braci i syny
I hańby bezdeń wśród ludzkiej rodziny.
Lecz że te wstydy aż w słowa jać trudno,
Przebóg, ukrycie mnie kędyś w oddali,
Zabijcie, albo w toń morza odludną
Straćcie, bym nigdy nie wyrzał już z fali.
Bierzcie mnie! niech się z was żaden nie wzdrygnie,
Dalej bez trwogi, bo takiej ohydy
Żaden śmiertelnik już po mnie nie dźwignie.

CHÓR.

Kiedy tak błagasz, właśnie w samą porę
Nadszedł tu Kreon, by działać i radzić,
Bo on po tobie tej ziemi jest stróżem.

EDYP.

Biada mi! Cóż ja do niego wyrzeknę?
Czyż on zawierzy? w ostatnich bo czasach
Srodze ja wobec niego zawiniłem.

KREON.

Nie by uragać przyszedłem, Edypie,
Nie by cię gromić za dawniejsze winy.
Lecz jeśli nie wstyd wam zwykłych śmiertelnych,
Baczenie przynajmniej na to wszechwidzące
Światło Heliosa, aby nie wystawiać
Na widok takiej zakały; nie ścierpi
Jej ani ziemia, dżdże święte, ni słońce.
A więc zawrzyjcie go w domu co prędzej,
Bo tylko krewni mogą bez pochyby
Krwi swojej grozy i widzieć i słyszeć.

EDYP.

Na bogów, skoroś mą twogę rozproszył
I dobrotliwie do złego się zwrócił,
Usłuchaj prośby, którą ci wypowiem,
Raczej na ciebie bacząc, niż na siebie.

KREON.

O co więc błagasz mnie z takim naciskiem?

EDYP.

Wyrzuć co żywo mnie z tej tu krainy
Tam, gdziebym żadnych nie spotykał ludzi.

KREON.

Byłbym to spełnił, wiesz dobrze, lecz wprzód
Bóstwo chce spytać, co czynić należy.

EDYP.

Lecz przecież tego wola już zjawiona:
Chce bezbożnego śmierci ojcobójcy.

KREON.

Taki był wyrok, lecz w dzisiejszej doli
Lepiej wybadać, co począć nam trzeba.

EDYP.

O mnie nędznego ty badać chcesz bogów?

KREON.

Bo i ty pono dasz teraz im wiarę.

EDYP.

I ja mam wolę ci zwierzę i zlecę,
Abyś pogrzebał Tę w domu jak zechcesz,
Bo tym, co twoi, nie ujmiesz posługi. —
Lecz mnie nie uznaj snąć czasem ty godnym,
Bym żywy miasto ojczyste zamieszkał,
Lecz puść mnie w góry, kędy mój Kiteron
Wystrzela w nieba, gdzie moi rodzice
Żywemu niegdyś znaczyli mogiłę,
Bym przez tych zginał, co zgubić mnie chcieli.
Tyle wiem jednak, że ani choroba,
Ni co innego mnie zmoże, ni zwali.
Śmierć ja przeżyłem, by w grozie paść wielkiej.
Niech więc się moje spełnia przeznaczenie!
A z dzieci moich — o chłopców Kreonie
Nie troszcz się zbyt; są oni mężami
I nie zabraknie im życia zasobów.
Lecz o biedaczki, sieroce dziewczęta,
Które siadały tu ze mną pospołu,
Z którymi, skoro wyciągły rączęta,
Każdą się strawą dzieliłem ze stołu,
O te się troskaj; pozwól je rękami
Objąć, rzewnymi oplakać je łzami.
Uczyń to książę szlachetny!
Zrób to! Bo gdy je przytulę, ukoję,

Choć ich nie dojrzę, czuć będę, że moje.
Cóż to?

Czyż mnie słuch zwodzi, na bogi, czy słyszę
Głos moich pieśszczot, jak kwilą, czyż Kreon
Litośnie wezwał najdroższe me dzieci?
Czyż to nie złuda?

KREON.

O nie! zrobiłem po twojej ja woli,
Wiedząc co serce twe zwykło radować.

EDYP.

Niech ci się szczęści i z łaski niebiosów
Niechbyś tu lepszych, niż ja, zaznał losów.
O dziatki? gdzież wy? nie strońcie odemnie,
Niech was obejmę w miłosnym uścisku
W rękach, co oczy niegdyś pełne błysku
Ojca w tak czarne pograżyły ciemnie.
Jam to bezwidny, bezwiedny z tej samej
Spłodził was roli, która mnie wydała.
Choć was nie widzę, zapłaczę nad wami,
Bo mi się roi wasza przyszłość cała,
Którą na świecie wam pędzić wypadnie:
Rzadki ten człowiek, co wsparcia użyczy,
Rzadką zabawa, w którejby się na dnie
Łez co nie kryło i nieco goryczy.
A gdy kochania zabłysną wam lata
Któż się tu stawi z miłosną ochotą,
Podejmie hańbę, co groźną sromotą
Rodziców i was, o dzieci, przygniata?
Któż bo w straszniejszej ohydzie tu brodził?
Ojca morderca, w łóżu własnej matki,
Z której ma życie i sam się narodził,
Waszym był ojcem, o nieszczęsne dziatki.

To wam w twarz rzuca. Więc któż wam swe serce
Odda? Któż pojmie? Któż w domu ugości?
Nikt! o nieszczęsne! w ciężkiej poniewierce
Życ wam tu przyjdzie bez czci i miłości.

Synu Menoika! żeś ojcem ty jednym
Dla tych sierrotek, nie żałuj zachodu,
Gdy nas im zbrakło, nie pozwól tym biednym

Tulać się samym wśród nędzy i głodu.
 Nie zrównaj nigdy niedoli ich z moją,
 Niech twe litości je przed tem osłonia,
 Boś dla tych biednych jedyną ostoją,
 Przyrzeknij, poręcz to, książę, mi dłonią.

Gdyby nie wiek wasz, o dzieci, ni głosu,
 Ni rad bym szczędził; dziś prośbą skończycie,
 Bym żył, gdzie dadzą, a wam z ręki losu
 Lepsze niż ojcu przypadłe tu życie.

KREON. •

Łez już dosyć, dość już żalu, wstępuj więc do wnętrza już.

EDYP.

Słucham, choć mi to bolesnem.

KREON.

Wszystko ma swój kres i czas.

EDYP.

Wiesz z jaką pójde nadzieją?

KREON.

Mów, bym poznał twoją myśl.

EDYP.

Że mnie stąd wyślesz daleko.

KREON.

Co nastąpi, wskaże Bóg.

EDYP.

Przecż ja, w bogów nienawiści.

KREON.

Toż osiągniesz czego chcesz.

EDYP.

A więc zgoda?

KREON.

Czego nie wiem, o tem nie śmiem mówić wręcz.

EDYP.

A więc stąd mnie już uprowadź.

KREON.

Idź, lecz wprzód dzieci puść.

EDYP.

Nie odrywaj ich odemnie.

KREON.

Nie chciej woli przeprzeć znów.

Bo coś przedtem ty osiągnął, zniszczył dalszy życia bieg.

CHÓR.

O ojczystych Teb mieszkańcy, patrzcie teraz na Edypa,
Który słynne zgłębił tajnie i był z ludzi najprzedniejszym,
Z wyżyn swoich na nikogo ze zawiścią nie spoglądał,
W jakiej nędzy go odmętach srogie losy pograżyły.
A więc bacząc na ostatni bytu ludzi kres i dolę,
Śmiertelnika tu żadnego zwać szczęśliwym nie należy,
Aż bez cierpień i bez klęski krańców życia nie przebieży.

Z DZIEJÓW polsko-rosyjskich stosunków handlowych.

Notatka historyczna, 1819 – 1832.

(Dokończenie).

II.

Z powodu wstąpienia na tron cesarza Mikołaja, a następnie wypadków grudniowych, układy w kwestyi polsko-rosyjskich stosunków handlowych na nowe trzechlecie, rozpoczęte zostały w Petersburgu dopiero w końcu kwietnia 1826 r., a zatem w cztery miesiące po upływie terminu, na jaki zawarte były poprzednie.

W referacie, przyjętym na sesyi nadzwyczajnej Rady administracyjnej, zatytułowanym: *Krótkie uwagi, tyczące się uzupełnienia stosunków handlowych między Cesarstwem a Królestwem*, mającym służyć dla wezwanego w rzeczonym celu ministra przychodów skarbu Królestwa, ks. Druckiego-Lubeckiego, jako wytyczna do zawarcia nowej umowy, widzimy lekką krytykę przemysłu rosyjskiego, a szczególnie władz celnych rosyjskich w kwestyi naprowadzenia do Polski sposobem przemycanym angielskich wyrobów bawełnianych. W Petersburgu zaś oddawna miano w takim samym podejrzeniu polskie wyroby wełniane co do ich miejscowego pochodzenia. Tylko że w Warszawie opierano to na przypuszczeniu „poniekąd uzasadnionem“, ministerjum zaś finansów

Cesarstwa posiadało w tej grze daleko lepsze atuty, gdyż podejrzenie jego potwierdzało się dokumentami, które sam rząd Królestwa dał mu w ręce.

Jakeśmy rzekli w poprzednim rozdziale, wedle istniejących przepisów, wraz ze znakami fabrycznemi zbierano i odсылano w oznaczonym terminie wykazy, które między innemi posiadały następujące rubryki:

„Fabryka posiada warsztatów.... Ilu robotnikom daje zajęcie... i wreszcie „Fabryka wyrabia rocznie: wyszczególnić gatunki wyrobów i ich ilość na postawy, sztuki, cetnary i funty“. Ta nadzwyczajnie skomplikowana manipulacja, powierzona fabrykantom, cudzoziemcom, nieumiejącym często kroć mówić po polsku, dała w rezultacie mnóstwo pomyłek, które w istocie mogły zdziwić mniej więcej obznajomionego ze stanem rzeczy człowieka potworną nieproporcjonalnością trzeciej rubryki do pierwszych dwóch, t. j. ilością wyrabianego sukna w stosunku do ilości warsztatów i robotników. Z tego powodu ukuto w cesarskiem ministerjum finansów cały akt oskarżenia, który czynił winnym przemysł Królestwa o posługiwanie się przemysłnictwem ze szkodą Rosyi, a jako drugi dowód, popierający pierwszy, wskazywano niedobór 20 milionów rb. w kasie Cesarstwa za r. 1825.

Ten akt oskarżenia, czyli jak go urzędownie nazywano „protokół obrad komitetu finansów Cesarstwa“, doręczony ks. Druckiemu-Lubeckiemu, dał impuls do żywej korespondencyi między polskim ministrem przychodów i skarbu, a ludźmi, których obchodziło dobro kraju.

Wydobyte z pod warstwy kurzu na światło dzienne listy te niechaj dadzą świadectwo prawdzie, wobec zarzutów, czynionych przez literaturę i prasę rosyjską w ich wycieczkach przeciwko przemysłowi polskiemu.

Oto własnoręczny brulion listu ¹⁾ księcia, ministra przychodów i skarbu Królestwa Polskiego, do jeneralnego sekretarza rady stanu Kosseckiego:

„Komunikowany mi z rozkazu Najwyższego protokół obrad komitetu finansów względem szkód, wynikających dla Rosyi ze zbytniego napływu sukien z Królestwa, zawiera

¹⁾ Bez daty, jak i mnóstwo dokumentów z tych czasów.

wśród innych zarzutów, dowodzić mających przemycania sukien zagranicznych pod imieniem polskich, także zarzut, wykazujący sprzeczności zachodzących między nadesłanymi przez rząd polski wiadomościami¹⁾ a ilością naprowadzonego towaru. I tak opiewa naprzykład protokół, iż dwa miejsca obejmujące tylko 25 warsztatów sukiennych, dostarczają przecież 16.000 postawów sukna rocznie. W innych miejscach wypada po kilkaset, a nawet do 1.400 postawów na jeden warsztat rocznie, dalej idą inne tym podobne przykłady różnych anomalij“.

„Nieświadomy szyku, w jakim utrzymywana jest w Kom(isyi) rząd(owej) sp(raw) w(ewnętrznych) i p(olicyi) kontrola fabryk krajowych, nie umiem dokładnie oznaczyć drogi, w jakiej możnaby dążyć do sprawdzenia pomyłek, które administracyi rosyjskiej służą za powód do podejrzeń i zażaleń, prosić muszę J. W. Pana, ażebyś, zniósłszy się z pomienioną komisją, raczył przesłać mi choć częściami, w miarę przygotowania, sumaryczne wykazy i wiadomości o istniejących fabrykach, komunikowanych kolejno ministeryum cesarskiemu przez pośrednictwo ministra sekretarza stanu, z wymienieniem liczby majstrów, warsztatów i ilości wyrobu“.

„Pomimo przeszkód, jakie spotykam, ani na chwilę nie pozwalam sobie wątpić o wygranej — sprawiedliwość jest przy nas“.

Ks Drucki-Lubecki.

„P. S. Proszę także o nadesłanie mi postanowienia X(ięcia) N(amiestnika) K(rólestwa), pozwalającego osiadającym w kraju fabrykantom sprowadzenie z zagranicy bez platy pewnej ilości przędzy“²⁾.

¹⁾ Wyraz nieczytelny.

²⁾ Pozwolenie to miało ministrowi polskiemu posłużyć jako dowód legalności spotykanych wyrobów zagranicznych.

„Komisya rządowa spraw wewnętrznych i policyi — do Jaśnie Oświeconego Księcia Namiestnika Królestwa.

(Streszczenie). Przedsiębiorca fabryki tkanek bawełnianych (imię i nazwisko) donosi o znacznej liczbie pończocharzy, tkaczy materyj wełnianych, lnianych, konopnych i bawełnianych, chcących się przenieść do Królestwa pod warunkiem, aby otrzymali lokal, mogli bez cła przewieść

Odpowiedział na to natychmiast sekretarz generalny Rady administracyjnej 29 kwietnia 1826 r.:

„Na skutek listu Waszej Księżęcej Mości, otrzymanego sztafeta z Petersburga, udałem się do biur komisji rządowej spraw wewnętrznych i policyi, dla przekonania się, czy nie zaszła jaka materyalna pomyłka co do ilości wyrobów sukna na każdym z warsztatów, oraz dla uzyskania sumarycznych wykazów istniejących fabryk sukiennych, komunikowanych kolejno ministerstwu cesarskiemu“.

„Z żalem jednak donieść muszę, iż żadnej kontroli nie znalazłem“.

„Jeden z fabrykantów w mieście Łodzi, mając jeden warsztat, pokazał, iż wyrabia 1.400 postawów sukna — tłómaczy się, iż nabywał od innych pomniejszych i jako hurtownik wysyłał je za granicę. Dyrekcyja zaś tłómaczy się, iż wykaz fabryk jest najdokładniejszy, podawanie jednak wyrobów zestawione było woli samych fabrykantów“.

„W Województwie Mazowieckiem i Kaliskiem wykazy sporządzone były przez komisarza fabrycznego i te są o wiele dokładniejsze. Fabrykę w Grochowie przeniesiono do Konstantynowa, a pomimo to, iż pozostało ich (warsztatów) tylko 3, było zaś 11 — pozostałe zaś 8 stopniowo przenoszone do wspomnianego miejsca. Zatem rachując na każdy warsztat 120 postawów — mogła zatem ta fabryka wyrobić 960 postawów. W wykazie zaś położono 157. Zarzut zatem co do Grochowa służyć może na r. 1826, a nie na rok przeszły“.

„Wykazy przez ministerjum finansów wydawane są istotnie w sprzeczności co do ilości warsztatów z ilością wyrobić się na nich mogących postawów. Porównanie tych

kilka cetnarów swoich wyrobów, któreby pozwoliły im „pierwsze potrzeby opatrzyć“ i kilka centnarów jako wagę ich warsztatów i przyrządów.

(podpisano) Minister prezydujący T. Mostowski“.

Pozwolenie na tę prośbę (forma):

„W imieniu Najjaśniejszego Pana Aleksandra I, Xsążę Namiestnik Królewski w Radzie Stanu postanowiliśmy i stanowimy...“

Wszyste do akt, które minister przychodów i skarbu miał ze sobą w Petersburgu.

z pierwszymi okaże widocznie, iż ledwo $\frac{1}{5}$ część wysyła się do Rosyi sukna w kraju wyrabianego“.

	Ilość warsztatów.	Ile można wyrobić.	Wysłano do Rosyi.
W Aleksandrowie . . .	248	39.760	4.564
W Dębnie	83	9.960	1.118
W Łodzi	33	3.960	334
W Zgierzu	316	37.920	10.209
W Ozorkowie	305	39.000	12.106

„W tych ostatnich miastach największy prowadzi się handel z Rosyą, a kupcy rosyjscy po kilka tygodni na towar oczekują“.

W ogóle w Województwie

Mazowieckiem . . . 2.176

Przypuszczając, iż na $\frac{1}{3}$

(warsztatów) wyrabia-

ją sukna cienkie . . 725

po 48 postawów rocznie 34.800

a na $\frac{2}{3}$ ordynaryjne . . 1.450

po 120 postawów rocznie 174.000

Razem 208.800

„Żałuję, iż w tak krótkim czasie nie mogę Waszej Księżęcej Mości przesłać wykazu wyrobów po innych województwach w r. 1825 sprawdzonych z wykazem warsztatów, oraz wyrobów wyprowadzonych do Rosyi, jednak za przybyciem radcy stanu Radoszewskiego starać się będę zadosyć uczynić rozkazom W(aszej) X(iążęcej) M(ości), o ile takowe uskutecznić się dadzą w braku ściślejszej kontroli“.

„Jakkolwiek przekonani o sprawiedliwości Monarchy, niemniej pokładamy całą naszą ufność w znanej nam wszystkim gorliwości i świetle W. X. M. w wyjednaniu nam takiej w sprawie tyle ważnej dla całego kraju i jego pomyślności“.

Podpisano: Jenerał Brygady

T. Kossecki.

P. S (własnoręczne). „Po napisaniu tego listu komisarz sekcji fabrycznych Województwa Mazowieckiego przyniósł mi swoje objaśnienie zachodzących sprzeczności w wykazach ministerium cesarskiemu komunikowanych“¹⁾.

Prócz tego w wykazach tych spostrzedz się daje, iż rubryka: *Fabryka wyrabia rocznie*, mogła przez intytulację swoją dać prawo do nieregularnego zapisywania wyrobów, przepisując bowiem: *Wyszczególnić gatunki wyrobów i ich ilość na postawy, sztuki, cetnary i funty*²⁾, mógł niejeden z fabrykantów podać ilość funtów, które są brane za postawy; na przykład 1.400 funtów stanowi właśnie 48 postawów sukna cienkiego.

Własnoręczny brulion listu, pisanego w Petersburgu dnia 10 maja 1826 r. przez ministra przychodów i skarbu „do J. W. Generała Kosseckiego, radcy sekretarza stanu“, zawiera podziękowanie „za szczerą chęć wyjaśnienia przedmiotu, na którym w części oparte są wnioski, zmierzające do zamknięcia targu rosyjskiego dla sukna naszego. Nie dziw, że popełniają błędy tam, gdzie, jak sam J. W. Generał przekonałeś się, żadnej nie utrzymują kontroli“.

Referendarz stanu Łęcki, z polecenia Księcia przejrzał oryginaly wykazów otrzymanych z Królestwa na imię ministra finansów Cesarstwa, de Kankryn'a. Opierając się na sprawozdaniu danem przez Łęckiego, mówi dalej w swym liście minister przychodów i skarbu:

„Nigdzie żadnego przypisku, żadnego objaśnienia i innego śladu przejścia tych wykazów przez Komisję rządową dostrzedz niepodobna nad poświadczenie kopii z oryginałem przez sekretarza jeneralnego komisji lub jego zastępcę. Słowem, okoliczność ta podawała mi jedną sposobność

¹⁾ Treść tego objaśnienia komisarza sekcji fabrycznych Tykiela, jest następująca:

„Gdy rubryka pierwsza wykazuje ilość faktycznie posiadanych warsztatów — mówi komisarz — to w rubryce: *ilość sukna* podawano, ile, przy powiększeniu się fabryki, fabrykant w ciągu roku obowiązuje się dostarczyć, a przeto czynienia donioślejszych wniosków ustaje potrzeba“.

²⁾ Wyrazy *kursywą* zostały podkreślone ołówkiem najwidoczniej przez ministra przychodów i skarbu.

więcej przeświadczenia się o tem, com już kilkakroć uważał, że z tej komisji wychodzą pisma przez nikogo nie czytane“.

„Zwyczaj ten atoli, wyznać trzeba, jeżeli niemają zrażać może szkody w administracyi wewnętrznej – stać się może nader niebezpiecznym w stosunkach handlowych Polski z Rosyą i dziś jemu może przypisać należy kwestyę, o którą rzecz idzie“.

„Bronię ja tu Komisję rządową spraw wewnętrznych i policyi i nie wątpię o pomyślnych skutkach negocyacji, za powrotem zaś moim pomówimy o środkach zaradzenia temu na przyszłość“.

Dostało się przy tej sposobności i Komisji Województwa Mazowieckiego, która, zbierając wykazy, nie zadała sobie trudu przejrzeć je skrupulatnie, lecz odesłała bez śladów kontroli do instytucyi wyższej.

Zeszyte w chronologicznym porządku dokumenty świadczą, iż o ile pierwszy list ministra przychodów i skarbu uczynił na warszawskich sferach rządzących wrażenie kija wsadzonego w mrowisko, o tyle drugi, dopełniając miary obawy o przemysł, którego losy były silnie zachwiane, podniecał do tem większej gorliwości, aby odeprzeć czynione przez cesarskie ministerjum finansów zarzuty. W tym celu przeprowadzono olbrzymie najściślejsze śledztwo.

Rozpoczęte przez generała Kosseckiego, który, jak to widzieliśmy, zabrał się do pracy z sumiennością właściwą ówczesnym polskiemu urzędnikom, już w ciągu kilku dni dało ono rezultaty, na których, według słów ks. Druckiego Lubbeckiego, można było oprzeć dalsze układy.

Nie omieszkał, jak widać, zjawić się w Warszawie, nicobecny podówczas Radoszewski, o którym wspomina w swym liście sekretarz generalny Rady administracyjnej. Ten ujął dalszy ciąg śledztwa w twarde swe ręce.

Cale zastępy osób, wezwanych dać świadectwo prawdzie, przesuwają się tu przed oczami bądź jako podejrzane i pociągnięte do odpowiedzialności, bądź powołane w charakterze świadków, bądź też użyte do prowadzenia poszczególnych gałęzi śledztw zależnych od głównego.

Zadziwia w tem wszystkim ogrom włożonej pracy, szybkość, z jaką ją wykonano (między 10 maja i 15 czerwca 1826 r.), jak również i planowość podjętego dzieła.

Do oryginałów wykazów, które posiadała Komisya rządowa spraw wewnętrznych i policyi, a na których kopiach rosyjskie ministerjum finansów oparło swe oskarżenie, zażądano szczegółowych wyjaśnień. Oprócz tego ściągnięto z całego Królestwa Polskiego statystyczne dane o ilości sukien, wyprodukowanych dla miejscowego użytku i wywiezionych z Rosyi. Ostatnie zestawiono z rocznemi wykazami statystycznymi rosyjskich komór celnych, które nie wiadomo jaką już drogą posiadała Komisya rządowa spraw wewnętrznych i policyi, lecz autentyczność ich stwierdza ta okoliczność, iż pisane są one w rosyjskim języku i poświadczone przez odnośne władze. Pierwsze okazały się w zupełnej zgodzie z drugimi. Zadano sobie następnie trud wybadania osób świadomych rzeczy, aby wskazać cesarskiemu ministerjum finansów prawdziwe drogi, któremi od strony Prus i Austrii przez granicę rosyjską przekrada się nadzwyczajna ilość sukien przemycanych, a przez to samo i brak w kasie państwa owych 20 milionów rubli. W tym celu prowadzono jednocześnie dwa równoległe śledztwa na dwóch krańcach Królestwa - i w Konstantynowie nad Bugiem.

Wskazując na niesumienność władz celnych rosyjskich, których udział w kontrabandzie był widocznym, uczyniono zarzut, iż cierpi na tem nietylko przemysł i handel Rosyi, lecz poszkodowanemi są z tego powodu przemysł, handel i kasa Królestwa Polskiego ze względu na napływ towarów cudzoziemskich. Wstrzemięźliwe dotąd władze polskie w zanoszeniu skarg na komory celne rosyjskie, dały w tym miejscu wpływ swej zólci, czyniąc je odpowiedzialnemi za mnożstwo materialnych strat, jakie ponosi przemysł polski w skutek rozmaitych niepomysłnych obostrzeń urzędników celnych rosyjskich. A wszystko to znalazło oddźwięk lub streszczenie w nowym memoryale, zatytułowanym: *Dalsze uwagi z dyrekcyi przemysłu i handlu dla Jaśnie Oświeconego Ministra, prezydującego w Komisji rządowej przychodów i skarbu, traktującego w Petersburgu względem stosunków handlowych z Rosyą*, który tu w całości prawie przytaczamy.

Omawiając ów fatalny powód do nieporozumień zaszłych między dwoma rządami, *Dalsze uwagi* tłómaczą je w sposób następujący: „Pomyłki tego rodzaju bardzo łatwo wciśnąć się mogą w mnóstwo nadsyłanych ustawicznie wykazów, w których fabrykant, tylko co osiadły w kraju, domysłowo zwykł podawać ilość wyrobów, jakie produkować ma zamiar, wszakże zrealizowanie podobnego zamiaru zależy od późniejszych wypadków, od braku kapitału lub innych przeszkód i bardzo łatwo zawodnem być może“.

„Niestosowność zaś między ilością posiadanych przez fabrykantów warsztatów i ilością postawów, jaką na sprzedaż wystawić zamyśla lub wystawił, tłómaczy się, iż bogatsi przedsiębiorcy, posiadając częstokroć jeden warsztat tylko, nabywają sukna od innych, biedniejszych i wyprzedają je za swoje. Oprócz tego fabrykanci polscy posiadają już maszyny poruszane wodą, parą i końmi — te produkują więcej, a dostateczna ilość przędzy krajowej daje im możność ciągłego zatrudnienia“.

„Nie z wykazów fabryk przez fabrykantów podawanych, lecz z rocznych raportów statystycznych za r. 1825 okazuje się, iż:

w Województwie Mazowieckiem jest warsztatów tkackich na sukna	2.176
w Warszawie	182
w Województwie Kaliskiem	931
„ Lubelskiem	517
„ Sandomierskiem	150
„ Podlaskiem	20
„ Płockiem	36
Razem	4.012

Jeżeli potrącić jako bezczynne 412

a) 1.000 warsztatów na sukna cienkie,
które mogą produkować, licząc po 48
postawów 48.000

Do przeniesienia 48.000

	Z przeniesienia	48.00	) postawów
b)	2.600 na ordynaryjne, które mogą produkować licząc po 120 postawów na warsztat	312.000	„

Razem produkcya całego kraju 360.000 postawów

A że w r. 1823 wysłano z całego Królestwa	56.861	„
---	--------	---

Pozostało więc na miejscową konsumeyę 302.139 postawów,

które częścią użyto, częścią zostały w zapasach, gdyż wysyłanie do Rosyi zostało w ostatnich czasach utrudnionem“.

Stąd *Dalsze uwagi* przechodzą do niezbędności posiadania w *takich* warunkach składu, któryby przyjął mnóstwo leżącego towaru. Przedsiębiorca, wyłożywszy nań częstokroć cały swój kapitał, nie ma środków prowadzić w dalszym ciągu swej fabryki, towary zaś leżą dlatego, iż są kwestyonowane, „jakkolwiek pod względem kontroli najściślejszej i z wszelką akuratnością wykonywanej, nie są zdolne wszelako zniszczyć podejrzeń: jakoby pod pozorem wyrobów polskich zagraniczne były wprowadzone do Rosyi, komitet zaś finansów rosyjskich stara się podobne podejrzliwości popierać pomyłkami lub niezgodnościami szczegółowych wykazów“.

„Przykrą jest rzeczą w odpowiedzi przywozić tę uwagę, że jeżeli w publiczności handlującej znaleźć się mogą indywidua do przemykania skłonne, to przecież tego na żaden sposób przypuścić nie można, ażeby władze wojewódzkie — gubernialnym rosyjskim odpowiednie — mogły się poważnie podobny handel przemysłowy protegować i cechą urzędowości pokrywać. Musiałyby zaś tak czynić, gdyby pod pozorem krajowych, zagraniczne wyroby wchodzić miały do Rosyi — przecież tego rodzaju nieufności nieść się nie godzi do władz wyższego rządu, które oprócz tego w składzie systematycznego rządu nawet co do tego rodzaju czynności zostają pod kontrolą władz krajowych“.

„Nieufność ta władz rosyjskich zrodziła mnóstwo nadzwyczajnie uciążliwych formalności. Tak n. p. wymagano:

„1) Ażeby wykazy i cechy każdego fabrykanta były na granicach cesarstwa po wszystkich komorach“ ¹⁾.

2) „Świadcstwo pochodzenia podpisane przez cały skład komisji wojewódzkiej oznacza każdego postawu numer i cechę fabryczną — trzeba koniecznie, ażeby ta sama cecha znajdowała się na komorze. Ztąd wynikają dla handlu nadzwyczajne niedogodności: raz, że przesyłanie cech za pośrednictwem departamentu finansów jest operacją długiego czasu wymagającą, drugie, że tego rodzaju cechy i znaki fabryczne po komorach, nie utrzymywane w należytem porządku, częstokroć spowodowały zatrzymanie sukien najlegalniejszych, świadectwem pochodzenia zaopatrzonych. Były wypadki i takie, że fabrykant ten sam, który miał przepuszczone transporta w r. 1823 i 1824, w r. 1825 lub bieżącym doznał trudności“.

Dalej idą projekty skrócenia tych formalności, ponieważ jednak nie uzyskaly one sankcyi cesarskiego ministerjum finansów, przeto streścimy je pokrótce.

Pierwszym z nich był ów omawiany już przez nas projekt jednolitych plomb, którego nie przyjęto ze względu na łatwość podrobienia, drugi, aby główna komora rosyjska w Warszawie miała prawo zezwalać na przepuszczanie przez granicę towarów, opatrzonych już przez nią świadectwami pochodzenia. „Trzeba, wyjaśniają *Dalsze uwagi*, żeby kupiec wyeksperymentowany w Warszawie jechał już z towarem i z tą pewnością niezawodną, że, skoro ten sam towar przyprowadził, będzie wpuszczony, ale nie żeby tej pewności szukać dopiero musiał na samej granicy“.

„Był rodzaj nieufności do świadectw pochodzenia przez burmistrza i wójtów wydawanych, z tego powodu oddano je pod bezpośredni dozór ministra prezydującego w Komisji rządowej i spraw wewnętrznych i policyi i osób przez departament finansów rosyjskich wyznaczyć się w tym celu mających. Miałoby jeszcze pomimo tego trwać ciągle ten rodzaj nieufności i ulegać dalszej komór rosyjskich kontroli. Takie postępowanie nie zdaje się być stosownem, tem wię-

¹⁾ W oryginalnym tekście użyto rosyjskiego wyrazu: *tamoznie*; to samo powtarza się kilkakrotnie poniżej.

cej, że kiedy z obrachunku w art. 1 przytoczonego wyrażnie się okazuje, iż zaledwo siódmą część wyrobów wełnianych wysła się do Rosyi, można na chwilę przypuścić to upokarzające na rząd przypuszczenie, iżby nie miał wszelkimi siłami przypilnować, ażeby dobrodziejstwa dla handlu krajowego wyjednane nie były udziałem fabryk zagranicznych, ze szkodą najoczywistszą krajowych, które rząd Królestwa Polskiego dźwiga tak znacznym nakładem“.

Wyżej było już powiedziane, iż w celu wskazania dróg, któremi przekradały się sukna zagraniczne dla Rosyi, przeprowadzono śledztwo między fabrykantami sukien w Łodzi i Konstantynowie.

„Wskazują nam ci fabrykanci teraz w Królestwie osiadli — twierdzą w tej kwestyi *Dalsze uwagi* — dla których swobody naszego handlu z Rosyą zbyt są korzystne, żeby się nie miały stać wspólnym ich interesem. Lecz ciż sami fabrykanci, w krajach zagranicznych niegdyś zamieszkali, najlepiej wiedzą i wskazać umieją drogi, któremi się obce sukna przemycają“.

„Utrzymują oni, iż ze składów sukien, jakie są założone w Memlu i Brodach, największe kontrabandy zwykły się praktykować do Rosyi tym sposobem, że ze składów w okolicach Memla założonych ledwie $\frac{1}{4}$ sukna *pro consumo* wprowadzonych bywa należnie ocloną — reszta idzie pod zasłoną kwitów celnych na inne transporta uzyskanych, których sukna już doszły do miejsca swego przeznaczenia; komora zaś Radziwiłłów żydom z Brodów niezliczone mnóstwa sukien ciągle wypuszcza na transito do Odessy, a świadectwo urzędu w porcie Odessy handel kontrolującego, że sukna są wysłane na morze, pokrywają legalnością kontrabandę niezawodną do tego stopnia, że handel suknami, jaki żydzi z Brodów od dawnych czasów prowadzili, nie zmienił się bynajmniej na jarmarkach lipskich. Ciż starozakonni zakupują znaczne partye sukien nawet w kolorach do wprowadzenia zakazanych, jakie zakupywali przed zaprowadzeniem systematu prohibicyjnego i podwyższenia cła za sukna obce“.

„Dowodów na to literalnych trudno jest dostarczyć, lecz twierdzenie to zdołałby najlepiej poprzeć obrachunek z bilansu handlowego, jakie zapewne ministerjum finansów zbiera

corocznie, z którego się niezawodnie okaże, iż ilość sukien wprowadzonych do Rosyi *pro consumo* łącznie z ilością produkowaną przez rękodzielnie Imperyi, nigdy nie będzie odpowiednią potrzebie ogromnej tak obszernych krajów, gdy obok tego ilość sukien na transito przez Odesę deklarowanych przeniesie podobno ilość wprowadzonych i ocalonych na potrzebę Rosyi“.

„Obliczenie zapasów i zbilansowanie ich z ilością wprowadzoną *pro consumo* niezawodnie poprzećby mogło rzetelność tych twierdzeń“.

„Tu więc szukać należałoby źródła decessu 20,000.000 rubli, na które się ministeryum finansów użala, lecz nie w handlu sukien z Polski naprowadzonych, które w roku zeszłym 1825 niedochodząc wyżej, jak 57.000 postawów, co uczyni 1,710.000 łokci miary polskiej — gdyby i po półtora rubla od funta cła opłacały, tak, jak i sukna obce, decessu tego dziesiątą część zaledwie pokryćby zdołały, choć z drugiej strony tak ogromnej opłaty, zwłaszcza sukna ordynaryjne, znieśćby nigdy nie były w stanie“.

Wychodząc z punktu grozy wobec postępów, jakie czyni przemysłnictwo przez granice rosyjskie z uszczerbkiem dla przemysłu polskiego i rosyjskiego, *Dalsze uwagi* proponują „zaprowadzenie ściślejszej kontroli, brak której daje się odczuć na produkeyi materyj bawełnianych Królestwa Polskiego“.

„Uwagi powyższe upoważnia poniekąd sam stosunek handlowy ostatnią taryfą co do niektórych artykułów na korzyść wyłączną Rosyi zastrzeżony. I tak, wyrobki bawełniane tak gładkie, jak drukowane, opłacając od strony Rosyi przy wejściu do Królestwa zlp. 1 gr. 10 od funta — tego samego rodzaju wyrobki, od strony innych krajów wprowadzone, opłacają 11, 13 do 19 zlp. od funta, wyrobki bawełniane przezrocyste, haftowane, opłacają od strony Rosyi zlp. 7 gr. 15 od funta — opłacają przy wchodzie z innych krajów do 50 zlp. od funta“.

„Jeżeli zatem kontrola handlu tak wewnętrzną, jak pograniczną w Rosyi, nie będzie ścisłą przy tak ogromnej cła wchodowego różnicy, z łatwością lękaćby się można, że Królestwo tego rodzaju wyrobkami nierosyjskiej produkeyi, lecz

zagranicznej zarzuconem zostanie, a przez to i dochód skarbowy dość znakomity zniknie i fabryki tego rodzaju w Królestwie podupadną, tem więcej, że mimo urocznego zastrzeżenia w taryfie 1-go stycznia 1823 r., czas trzechletni upłynął, a tego rodzaju wyrobów wolności wpuszczenia do Rosyi uzyskać jeszcze dotąd nie można“.

W dalszym ciągu proszono o opiekę rządu rosyjskiego nad transitowym handlem polskim do Chin, „gdyż fabryki niemieckie przez rzeki kraje te przerzynające, Elbę, Wezerę i Ren, wysłały w ciągu r. 1825 nadzwyczajnie wielką ilość sukien na handel chiński przeznaczonych do wolnego portu w Singapore na półwyspie Malacce“, należałoby więc „mieć na etapie potrzebnych majstrów do zbiecia napowrót pak tak dokładnych, iżby tak daleki transport na wozach odkrytych wytrzymać mogli“.

„Naostatek miała sobie Komisya rządowa spraw wewnętrznych i policyi udzieloną przez ministra-sekretarza stanu wiadomość, iż minister finansów rosyjskich w uprzedzeniu swoim o szkodzie, jaką skarb Cesarstwa z powodu niskiego niby ocenia sukien polskich ponosi, już kilkakrotnie oświadczył, iż wolałby pewną sumę rocznie do skarbu polskiego opłacać (którą nawet do 18,000.000 rubli miał posunąć), byleby za to te sukna równe z zagranicznymi cło opłacały“.

„Jakkolwiek taka propozycja w pierwszym jej pojęciu zdaje się osobiwa i zastanowienia wymagająca, niedługo jednak nad nią pomyślawszy, samo wynika, iż negocjacya na tej drodze pod żadnym względem, a najmniej pod moralnym, prowadzoną być nie może — ani bowiem rząd rosyjski mieszkańców Królestwa między obcych policzyć nie zechce, ani podobnego wynagrodzenia długo opłacałby mu dogodnem nie było, ani zwłaszcza rządowi rosyjskiemu wznawiać się nie godziłoby, iż kraj polski jest dla niego ciężarem i że połączone Cesarstwo małemu do siebie wielonemu Królestwu ohydny haracz opłaca, skądby zapewne braterskie uczucia wzmaciać i ustalać się nie mogły“.

Z polecenia ministra prezydującego

Radca Stanu Dyrektor

(podpisano) *Radoszewski*“.

To zakończenie *Dalszych uwag* rzuca pewne światło na polsko rosyjskie stosunki handlowe.

Przy ściśle określonym dążeniu do zużycia swej nadprodukcji na zewnątrz i wypróbowanym w ciągu kilkunastu lat systemie gospodarki państwowej rządu Królestwa, było do przewidzenia odrzucenie przezeń propozycji cesarskiego ministerium finansów kosztem zamknięcia granicy rosyjskiej dla handlu polskiego. Stan przemysłu, a temsamem i dobrobyt kraju były dlań droższymi, niż wrzekomo powiększona kasa skarbu przy ogólnej biedzie.

Co do szczerości tak rzeczywiście niezwyklej propozycji cesarskiego ministerium finansów, to dziś, nie widząc skutków faktu, nie mielibyśmy prawa jej przesądzać, gdyby powstać Kankryna nie tak wyraźnie zaznaczyła się w dziejach Królestwa Polskiego.

Lecz mając obecnie prawie wszystkie te karty przeszłości rozłożone i widząc przyczyny, istotę rzeczy i skutki, widzimy, że śmiało przypuszczenie Radoszewskiego w *Dalszych uwagach* („ani podobnego wynagrodzenia długo opłacaćby mu dogodnem nie było“) nabiera realnych form i zamienia się prawie w pewnik, choć wszystko to złożone było na karb „uczuć braterskich“, któremi obie strony przy lada sposobności tak chętnie szafowały.

Przypuśćmy nawet, że nie wiadomo, coby J. E. Kankryn był w dalszym ciągu przedsięwziął w razie przyjęcia jego propozycji, lecz tu już chyba nie ulega kwestyi, że sama ta propozycja płacenia „małemu wcielonemu do siebie Królestwu ohydneho haraczu“, tak wrzekomo ulegle zanoszona pod postacią prośby, była w rzeczywistości groźnym pomrukiem silnego, któremu zanadto już dokuczyły braterskie uściści słabszego. Trzeba się było od nich bądź co bądź uwolnić i im wcześniej, tem lepiej, gdyż mały rósł w siły i mógł stać się groźnym. Ze strony zaś słabszego obskurantyzmem byłoby przypuszczenie, iż braterski przeciwnik biernie oczekiwać będzie na dalsze wypadki, gdyż pomimo delikatnego zastrzeżenia się *Dalszych uwag*, wypowiedzianego z pewną dyplomacją, „kraj polski“ w istocie stawał się dla Rosyi ciężarem.

Dla dopełnienia całości obrazu pozostaje jeszcze do zakomunikowania list Księcia ministra przychodów i skarbu, którym ten ostatni spieszy zawiadomić generała Kosseckiego, iż stosunki handlowe z Rosją „pozostaną bez najmniejszej zmiany“. „Argumentacye moje — pisze Książę — nie miały wprawdzie szczęścia trafić do przekonania komitetu finansów, lecz potrafiły zjednać approbację Najjaśniejszego Pana, który po przeczytaniu pism, złożonych mu w tym przedmiocie z obu stron, polecił ministrowi finansów Cesarstwa kontynuować stosunki handlowe z Polską w stanie, jak są dzisiaj, lecz osądził za rzecz potrzebną zawiesić nadal kwestyę o towary bawełniane i o cukier rafinowany i zostawić te dwa przedmioty w takim stanie wyjątku od reguły powszechnej“.

„Co zaś do składu w Warszawie, ten znajduje approbację Najjaśniejszego Pana i względem ułatwienia jego polecił mi porozumieć się z J. W. ministrem finansów Cesarstwa“.

Tak — było to bezwątpienia zwycięstwem, które na trzy lata jeszcze odraczało to, do czego minister finansów Rosji od tak dawna dążył, a przed czem rząd Królestwa w obawie o przyszłość zamrużał oczy.

Zwycięstwo to otrzymano przy nadzwyczajnie sprzyjających okolicznościach. Należy pamiętać, iż układy zawierano wkrótce po kryzysie politycznym, wywołanym przez wypadki grudniowe w Petersburgu i w okresie czasu, kiedy urzędowe blankiety nosiły jeszcze na sobie żalobę po „wskrzesicielu Polski“ i inicjatorze polsko-rosyjskich stosunków handlowych, zawartych ku „mocniejszemu zawiązaniu węzła“, któryby na zawsze połączył dwa narody z woli Najwyższego jednemu berłu poddane ¹⁾).

Nie biorąc w rachubę osobistego zapatrywania się głowy państwa, widzimy ślady, iż zazdrośna opinia publiczna rosyjska parła rząd (który, jakikolwiekby on jest, musi się z nią liczyć) do zmiany ²⁾, a wyrazicielem tej opinii był minister finansów Cesarstwa. Celem jej dążeń była taryfa 1832 r., która ze względu na to, iż jest chronologicznie późniejszą,

¹⁾ Słowa dekretu z r. 1821.

²⁾ Prof. Janżuł: *Przemysł fabryczny w Królestwie Polskiem* i petycja moskiewskich fabrykantów.

wskazywaną bywa jako skutek powstania Listopadowego — w rzeczywistości zaś była dziejową koniecznością, wobec niebezpieczeństwa, grożącego jakoby przemysłowi rosyjskiemu.

Obszerny referat kupców moskiewskich (o którym wspomina prof. Janżuł, str. 35), podany na imię ministra finansów Cesarstwa, a oskarżający o udział w przemysłnictwie polskie władze celne, działające na wspólną z komisjami wojewódzkimi, był, jak widzimy, grubo spóźnionym i jak przypuszczać należy, był jednym z wielu politycznych *salto mortale* J. E. Pana Kankryna. Jakże zaś było zapatrywanie się rządu rosyjskiego na całą tę sprawę, można sądzić choćby z tego, iż pomimo rzeczonego oskarżenia, zarówno władze celne, jak i władze wojewódzkie przez długi jeszcze czas cieszyły się zaufaniem; oddzielono się tylko wysoką taryfą celną od przemysłu polskiego, który rzeczywiście stawał się groźnym dla Cesarstwa.

Kiedyśmy się już zaczęli powoływać na dzieło prof. Janżuła p. t. *Przemysł fabryczny w Królestwie Polskiem*, to pozwolimy sobie jeszcze na kilka spostrzeżeń o niem, a będą one miały pewien związek z naszymi uwagami. Pomimo niewątpliwych zalet, rzeczzone dzieło posiada tę jedną zasadniczą wadę, iż jest stronnictwo. Tendencja sterczy w niem jak szkielet, a nagości jej nie zdołają ukryć ani godna zazdrości erudycja, ani wytworność formy, ani umiejętność władania danym materiałem.

I tak czytamy na str. 38, że „dzięki takim czynnikom, jak obszerny rynek i ceny wysokie, przemysł polski w ogóle rozwijał się i wzrastał, a przywóz gotowych wyrobów wszelkiego rodzaju z Polski do Rosyi zwiększał się z każdym rokiem, podczas gdy przywóz z Rosyi do Polski zmniejszał się *ciagle*“ — o kilka zaś wierszy niżej mówi znów autor: „W tych samych latach (1823 — 1829) Rosya dostarczała do Polski rok rocznie od jednego do dwóch milionów mniej, polski więc przemysł rozwijał się kosztem rosyjskiego“.

Rzecz ta odczytana była na uroczystości *alma mater*, a zebrani dla wysłuchania uczestnicy z uczuciem sprawiedliwego oburzenia opuszczali zapewne salę odczytową, sądząc, iż dowóz do Polski towarów pochodzenia rosyjskiego zmniej-

szyl się w arytmetycznej progressyi, gdyż zestawivszy dwa przytoczone ustępy, tak tylko, a nie inaczej można je było rozumieć. Sami niegdyś po przeczytaniu dzieła prof. Janzułła byliśmy zgorszeni tą rzeczywiście krzyczącą niesprawiedliwością, zaciekawiała nas tylko jedna okoliczność, od jakiej sumy zaczęło się to zmniejszanie i czy na długoby jej wystarczyło wobec tak olbrzymiego rocznego deficytu.

Tymczasem jest to ni mniej ni więcej tylko rozmyślnie ukrycie prawdy przez wadliwe wypowiedzenie, a zasadza się ono na tem, iż o ile autor jest nadzwyczajnie ścisłym pod względem statystycznych danych, dotyczących przemysłu polskiego, o tyle znów, chcąc chyba wzniecić współczucie dla krzywd ucierpianych przez ogół rosyjski od prześladowań przemysłu polskiego, ogranicza się tylko do gołosłownego i przytem nietylko że nieścisłego, ale nawet przewrotnego określenia, o czem świadczą przytoczone tu dwa szeregi cyfr. Będą one może wymowniejsze i bardziej przekonujące od tendencyjnych wycieczek prof. Janzułła, a że są wzięte z urzędowych źródeł rosyjskich, trudno je więc będzie pośądzić o stronniczość, mającą na celu uniewinnienie polskiego przemysłu.

Przewieziono towarów.

rok	z Polski do Rosyi za rubli	z Rosyi do Polski za rubli
1824	4,349.308	2,945.883
1825	5,336.624	3,597.381
1826	7,144.824	6,007.449
1827	8,179.582	5,845.208
1828	8,088.299	6,614.754
1829	9,886.831	7,815.288
1830	8,051.835	7,953.028

Nie widzimy w tych statystycznych danych potwierdzenia słów prof. Janzułła, jakoby „przywóz z Rosyi do Polski zmniejszał się ciągle“, jakkolwiek bądź *saldo* stale jest na stronie polskiej, a wyrazi się ono w przeciągu siedmioletniego przeciągu czasu przez cyfrę 10,758.313 rubli, czyli przecięciowo rocznie 1,532.616 rubli.

Różnica ta nie jest stałą, lecz zmniejsza się w ostatnich latach — w roku zaś 1830 jest nawet zupełnie nieznaczną, bo nie przechodzi 100.000 rubli.

Małała więc ona podwójnie: sama przez się i w stosunku do wzrastających cyfr przywozu.

Jeżeli zaś porównamy przytoczone dane wywozu z Polski do Rosyi i z Rosyi do Polski osobno, to zobaczymy, iż wtedy, gdy maksymalny wywóz z Polski do Rosyi zaledwie przekroczył cyfrę podwojenia się (lata 1824 i 1829), to wywóz z Rosyi do Polski prawie się potroił (1824 i 1830).

Położenie więc nie było tak bardzo groźnem, jak się zdawało na razie p. Kankrynowi i jak je usiłuje koniecznie pokazać przez szkła powiększające prof. Janzuł.

Naszem zdaniem, budzący się przemysł obu państw potrzebował pewnego rodzaju próby przez współzawodnictwo, a wymagały tego poniekąd interesy obu społeczeństw, które, pozwalając sobie przy swym niedostatecznym stanie ekonomicznym na taki zbytek, jak przemysł, ochraniany olbrzymim murem celnym, miały prawo żądać odeń możliwych ustępstw. Dla przemysłowców zaś rosyjskich, chcących niepodzielnie posiadać monopol na kieszenie konsumentów, podobne współzawodnictwo było nie na rękę i przez czas jej trwania były ciągle skargi, a następnie skorzystano z chwili i podano zbiorową petycję, o której wspomina prof. Janzuł. Ministerjum zaś finansów Cesarstwa, zamiast poprawić rzecz, przyjąwszy system wewnętrznych reform, subsydyów i opieki, wołało obrać właściwszą mu i krótszą drogę repressalij — a skutkiem tej wspólnej roboty była taryfa 1832 r.

Lecz nie o cyfry ogólnego przywozu i wywozu chodzi uczonemu rosyjskiemu. Głównym przedmiotem jego tendencyjnego odczytu były produkty przerobione. I tu *saldo* musiało być na stronie polskiej; są tego liczne dowody — choćby wycieczki władz celnych rosyjskich — a wreszcie tego również zdania, co i my, jest prof. Janzuł. Pomimo długich poszukiwań, nie mogliśmy jednak znaleźć rzeczonych dowodów, wskazujących na to, iż i przemysłowi rosyjskiemu nie działa się znów taka okropna krzywda. Te dowody istnieją, są one jednakże rozrzucone po rozmaitych archiwach i mieszczą się w wykazach rocznych poszczególnych komór celnych;

w przyszłości też postaramy się dobyć je na światło dzienne. Na teraz musimy się ograniczyć do gołosłownego wprowadzie twierdzenia, niemniej jednak opartego na pewnem ciekawem spostrzeżeniu.

Niedawno czytaliśmy brulion dekretu, mającego w r. 1821 obwieścić mieszkańcom Królestwa o dawno już przez nich upragnionem znizeniu ceł na sól. Jeden z paragrafów tego dekretu głosił:

„Na przedstawienie Komisji rządowej przychodów i skarbu w dniu dzisiejszym nam uczynione, w którym wystawia skutki z umowy o sól z rządem austriackim, podług której nabycie soli o zlp. 3 na jednym cetnarze taniej od dawniejszej ceny zawarowane. Po rozważaniu tego przedstawienia, powziąwszy to przekonanie, że *zniżenie ceny soli z jednej strony zapewni rządowi większy odbyt soli*“ i t. d.

Artykuł ten zakreślono, a na marginesie generał brygady Kossecki uczynił taką uwagę: „Falszywe powody — dla dwóch groszy na kwarcie soli taniej opłaconych, nikt zupy nie prze-soli“.

Trafność tej uwagi naprowadziła nas na następującą myśl analogiczną z tamtą: „Dla taniości ziemioplodów przewiezionych z za Bugu, nikt się nie zechce nabawiać niestrawności żołądka“.

Otworzywszy zaś omawiane dzieło prof. Janżulla, znaleźlibyśmy potwierdzenie naszej hipotezy.

W cyfrach, dotyczących polskiego wywozu, widzimy, iż na ziemioplody polskie w ciągu ośmiu lat stosunków handlowych między największą i najmniejszą sumą wywozową przypada 580 000 rubli. Dodać należy, iż na takie zwiększenie się kwoty, za jaką wywieziono polskich ziemioplodów, składały się przyczyny następujące:

1) obszar Cesarstwa, który odrazu nie mógł przyjąć udziału w rzeczonych stosunkach;

2) Królestwo wywoziło w tej liczbie mnóstwo ziemio-plodów, które znalazły szeroki zbył w Rosyi, rosyjskie zaś plody surowe mogły wypełnić Polskę odrazu po brzegi.

Dowóz więc ziemioplodów rosyjskich wzrastał wprawdzie, lecz w sposób bardzo umiarkowany i przypuszczalnie w stosunku do wzrostu ludności w Królestwie. Otóż jeżeli

odejmiemy od każdej z liczb prawej kolumny pewną stałą ilość rubli, przypadającą na produkty surowe, to przekonamy się z rezultatów tych działań arytmetycznych, że przypadająca na przemysł różnica wzrastała ciągle, a wzrastałaby jeszcze więcej, gdyby przemysł rosyjski był z równą pieczołowitością pielęgnowany, jak i polski. Lecz dla kancelaryjnego rutynisty krótszą była droga bojkotu celnego, tem bardziej, iż ten sposób postępowania zgadzał się z powziętym planem działań ogólnej polityki co do „małego wcielonego Królestwa“.

Na szczególną uwagę zasługują cyfry przywozu i wywozu za r. 1830.

Listopad jest prawie końcem roku, a już jako miesiąc późnej jesieni z jej roztopami i bezdrożami był bezwarunkowo po za okresem ówczesnych kampanij kupieckich. Tymczasem ogólny wywóz do Rosyi towarów polskich zmniejszył się przeszło o 1,800.000 rubli. Faktu tego nie można tłómaczyć sobie przewidywaniem wypadków politycznych, mających mieć miejsce w Warszawie, gdyż powstanie Listopadowe wybuchło niespodzianie. Gdyby jedna lub druga przyczyna miała stanąć handlowi na przeszkodzie, to odezwałaby się ona w równej mierze i na cyfrach przywozu z Rosyi do Polski. Tu tymczasem w stosunku do roku zeszłego widzimy tam pewien wzrost, wprawdzie nie wielki, bo nie przewyższający 150.000 rubli.

Powodów należałoby szukać w dokumentach, omawiających polsko-rosyjskie stosunki handlowe. Lecz ich niema. Czy nie zabrane były między innemi przez ks. Druckiego-Lubeckiego, jako tłómaczące wypadki Listopadowe w Warszawie?

Na zakończenie powróćmy jeszcze raz do dzieła prof. Janżuła. Na str. 31 znajdujemy w niem pewien ustęp, ważniejszą część którego autor kazał zecerowi podkreślić do druku, a brzmi on, jak następuje: „Akt Kongresu Wiedeńskiego (21 kwietnia – 5 maja 1815 r.), określając warunki ostatniego rozbioru Polski, jako jeden z głównych, każdemu z trzech państw zainteresowanych postawił, aby przyczyniały się do rozwoju wolnego przywozu i wywozu towarów z jednych do drugich dzielnic, *wchodzących do składu dawnego Księ-*

stwa Warszawskiego“. Nie jest to dosłowne, lecz dowolne tłumaczenie wysoce doniosłego aktu politycznego, a o ile dowolne, można osądzić, postawiwszy obok odpowiedni ustęp Manifestu z dnia 20 listopada 1819 r.:

„W skutek traktatów przyjaźnie zawartych w Wiedniu 21 kwietnia (3 maja) 1815 r. między nami i Najjaśniejszym Cesarzem Jegomością Austryackim i Królem Jegomością Pruskim złożona była w Warszawie komisya z komisarzy rosyjskich, polskich, austryackich i pruskich, którzy za wzajemnem zgodzeniem się ułożyli projekt do taryfy na wprowadzenie i wyprowadzenie towarów do Królestwa Polskiego i do gubernij zachodnich do Rosyi wcielonych, oraz do prowincyj byłego Królestwa Polskiego, pod panowaniem Austryi i Prus będących“.

Wobec tak wielkich różnic skłonni jesteśmy sądzić, iż uczony rosyjski rości sobie pretensyę do lepszego rozumienia prawa od samego prawodawcy.

Jan Robak.

Sprawy krajowe.

XV.

Nasze górnictwo.

Dziesięć lat mija od chwili, gdy pierwsza wielka krajowa Wystawa miała rozpocząć we Lwowie w maju r. 1894 swój kilkumiesięczny żywot, pełen blasku, życia a zarazem niespełnionych nadziei. Podziwiano ją dla olśniewającej kraj cały okazałości, szczycono się nią wobec swoich i obcych, schlebiano jej urządzeniu, hołdowano jej daleko sięgającemu urokowi polskości, budowano olbrzymie na niej przemysłowe, społeczne, nawet polityczne nadzieje — a gdy się jej bramy zawarły, gdy się owe ekonomiczne zbyt różowe wróżby spełnić nie chciały, gdy horyzont polityczny zachmurzył się mocno wbrew powszechnym oczekiwaniom, zaczęto na nią złorzeczyć, szukano w niej kozła ofiarnego za wszelkie własne błędy i lekkomyślne winy i nie było słów potępienia, których by nie rzucono na opustoszałe budynki Wystawy i na pozostałe po niej a dla wielu dość dotkliwe ciężary. A przecież cokolwiek o niej złego i niekorzystnego powiedziano, to jedno jest niewątpliwem, iż ona dopiero okazała na zewnątrz cały zasób sił żywotnych Galicyi, cały surowy materiał bogactw krajowych i całą zdolność wytwórczą ludności wszystkich niemal okolic.

Przedewszystkiem odnieść to należy do galicyjskiego górnictwa, które wtedy we Lwowie zajaśniało istotnie w pełni blasku zapowiadającego bardzo wiele na przyszłość, które

okazałem, poważnem i bogatem wystąpieniem zgotowało wówczas wielu wprost najmiłą niespodziankę i które — dzięki pawilonowi salin galicyjskich, ogromnym bryłom węgla kamiennego i srebrzystym płytom cynku ze Sierszy, sztucznej kopalni wosku ziemnego i głębokiemu wierceniu na placu Wystawy — stało się niemal popularnem, tak wśród tłumów zwiedzających, jak też i później w szerokich kołach całego kraju.

Dzisiaj też, w dziesięć lat po tem pierwszym na zewnątrz wystąpieniu, wolno rozpatrzyć się pokrótce w obecnem naszym górnictwie i zastanowić się nad tem, czy ono postąpiło naprzód, czy dotrzymało obietnic zapowiedzianych niejako na lwowskiej Wystawie i czy ono jest już istotnie czynnikiem w kraju poważnym i doniosłym?

I. Węgle i kruszce.

Jeżeli przejść tutaj mamy wszystkie krajowe obecnie dobywane płody kopalne, tak węgle i rudy żelaza, ołowiu i cynku, jak sól kamienną, oraz wosk ziemny i olej skalny to pierwszym, od którego zacząć należy, jest naturalnie węgiel kamienny, który w każdym nowoczesnem społeczeństwie jest dzisiaj podstawą ekonomicznego bytu i bez którego nie może być mowy o rozwoju jakiegokolwiek fabrycznego przemysłu. Galicya posiada ten węgiel, w znacznej nawet ilości, w powiecie chrzanowskim; ma tam dawne, końca XVIII wieku sięgające wielkie kopalnie, ale te węglowe okolice Jaworzna, Sierszy i Tenczynka mają także tuż obok siebie przemożnych sąsiadów, jak Szląsk austriacki, Szląsk pruski i Królestwo Polskie, którzy bogatsi w naturalne węgle kamiennego zasoby i w przemysł górnictwo węglowe popierający, wprowadzają do Galicyi swój gatunkowo istotnie nieraz lepszy węgiel wszelkimi, szerokimi i otwartymi drogami.

Galicyjskie kopalnie Jaworzna, Borów, Sierszy i Tenczynka, wydobyły węgla kamiennego:

W r. 1893:	6,790.299	cetn. metr.	wartości	2,376.424	koron
„ 1895:	7,600.306	„	„	2,675.768	„
„ 1897:	8,007.518	„	„	2,956.052	„
„ 1899:	9,106.524	„	„	3,986.052	„

W r. 1900:	11,666.333	cetn. metr.	wartości	6,375 320	koron
" 1901:	9,878.544	" "	"	4,815.862	"
" 1902:	8,643.530	" "	"	4,021.787	"

Widzimy z tych kilku dat, że aż do r. 1900 produkeya rosła dość szybko, wzrósłszy w siedmiu latach od r. 1893 co do ilości produkeyi węgla o 75%, co do wartości pieniężnej nawet o przeszło 150%. W r. 1901 następuje natomiast szybki upadek i w r. 1902 stoi galicyjska produkeya na tej samej prawie wysokości, jak pięć lat wstecz, t. j. w r. 1897. Tłómaczyć wzrost tej produkeyi do r. 1900 byłoby zbyt cieżnem. Był to chwilowy okres rozwoju fabrycznego przemysłu w zachodniej Galicyi i otwarcia kilku kolei potrzebujących węgla, a nadto ciężka zima z r. 1899 na r. 1900, oraz częściowe strajki na Szląsku pruskim i austriackim, wywołały znaczny popyt za węglem galicyjskim a nawet wywóz jego daleko po za granicę, do Warszawy, Odessy i Prus. Jakież natomiast były powody tak znacznego upadku produkeyi od r. 1901 do r. 1902? Na to złożyły się różne przyczyny: najpierw pożar i wskutek tego częściowe zalanie wodą kopalni gwarectwa Jaworzneńskiego w grudniu 1902 r., dalej zmniejszenie się okolicznego zbytu skutkiem łagodnych zim r. 1900 i r. 1901, a przede wszystkim coraz potężniejsza konkurencyja węgla pruskiego i szląskiego, a nawet węgla z Królestwa Polskiego.

Bez obawy przesady można przyjąć, że co najmniej ośm milionów obcego węgla kamiennego wchodzi do Galicyi tak drogą wodną t. j. Przemszą i Wisłą z okolic Mysłowic, jak i drogą kolejową ze Szczakowy, Dziedzic lub Oświęcimia, dzięki przedewszystkiem dawniejszym, a zawsze tak misternie układanym taryfom, oraz refakeyom kolei Północnej.

W r. 1902 wprowadzono do Galicyi i Bukowiny z górnego Szląska — według oficjalnych pruskich dat statystycznych — 5,940.910 cetn. metr. węgla kamiennego, z czego przypada na Bukowinę zaledwie minimalna cząstka może jakich 100.000 ctn. m. Węgla morawskiego z Morawskiej Ostrawy, oraz szląsko-austriackiego z Karwinu, Peterswaldu i Dombrau wchodziło do Galicyi już w r. 1890 do 758.877 cetn. m.; wolno więc przypuszczać w przybliżeniu — gdyż dokładnych dat pod tym względem nie posiadamy — że

w r. 1902 weszło tego węgla co najmniej 1,500.000 ctn. na potrzeby kolei galicyjskich t. j. głównie kolei Północnej. Węgla z Królestwa Polskiego t. j. z nadgranicznej kopalni w Niwce, wchodzącego, jak wiadomo, również bez opłaty cłowej do Austrii i „zalewającego“, jak mówi memoriał Towarzystwa Górniczego „w r. 1898 nie! tylko Kraków“, mogło wejść w r. 1902 — o ile przypuszczać wolno — przynajmniej do 500.000 ctn. m. do Galicyi, skoro już w r. 1898 przywieziono go do Galicyi drogą wodną w ilości 260.000 ctn. metr.

Razem więc weszło węgla obcego do Galicyi w r. 1902 co najmniej 8 milionów ctn. m., t. j. niewiele mniej, niż wynosiła w tymże roku własna produkeya galicyjska w ilości 8,643.530 ctn. m.

Można wprawdzie spodziewać się, że teraz, gdy kopalnie w Jaworznie na nowo w całej pełni ruch w r. 1903 podjęły, krajowa produkeya będzie się zwiększać i wróci stopniowo do wysokości z r. 1900, t. j. prawie 12 milionów, ale mimo to należy sobie postawić pytanie: czy tak wielki import obcego węgla jest usprawiedliwionym, bądź złym gatunkiem galicyjskiego węgla, bądź zbyt wysoką jego ceną? Od razu można śmiało na to pytanie odpowiedzieć, że taki import wcale usprawiedliwionym nie jest i że nasze krakowskie węgle równie dobrze nadają się w przeważnej ilości wypadków, jak i węgle pruskie lub z Królestwa Polskiego.

Biorąc za podstawę najnowsze daty analityczne z wielkiego dzieła prof. Schwackhöfera z r. 1901, możemy łatwo stwierdzić, że wartość opałowa węgla z Jaworzna wynosi między 3990 a 5260 kaloryj, węgli z Sierszy od 4060 do 5300, węgli zaś z Tenczynka nawet między 5100 a 5670 kaloryj. Węgla z Karwina i Ostrawy mają natomiast od 5830 do 7550 kaloryj, węgle z Mysłowic, Zabrze i Katowic od 5990 do 7820. Jest więc niewątpliwa przewaga co do wartości kalorycznej po stronie węgla obcego, chociaż i w Galicyi znajdują się — wprawdzie obecnie niewydobywane, jak w Dąbrowie koło Jaworzna — lepsze gatunki węgla o 5400 do 5900 kaloryach.

Lecz przy gorszym gatunku, są węgle galicyjskie przecież o wiele tańsze: i tak w r. 1897 kosztował cetnar metr.

węgla galicyjskiego na miejscu w kopalni średnio 36·9 hal., w r. 1899: 43·7 hal., w r. 1900: 54·6 hal., w r. 1901: 48·7 hal., w r. 1902: 46·5 hal. Wogóle jest galicyjski węgiel kamienny najtańszym w całej Austrii, gdzie n. p. w r. 1902 wynosiła średnia cena w Czechach 82·3 hal., na Morawii 102·5 hal. a na Szląsku 94·1 hal. za cetnar metr.

Biorąc w porównanie ceny węgla pruskiego, który w r. 1900 kosztował w kopalni średnio po 75 fenigów, w r. 1901 po 84 a w r. 1902 po 80 fenigów za cetnar metr., można śmiało twierdzić, że jedna kalorya węgla galicyjskiego — pomijając naturalnie koszt transportu — tańszą była na miejscu w kopalni, niż kalorya węgla pruskiego. Rachunek prosty to udowadnia. Przy średniej wartości kalorycznej 6500 i średniej cenie 80 fenigów (= 92·8 halerzy) w r. 1902 kosztowała kalorya węgla pruskiego 0·0142 hal., kalorya zaś galicyjskiego węgla tylko 0·0103 hal. wobec średniej wartości kalorycznej 4500 i średniej ceny w tymże roku 46·5 hal. za cetnar metr.

Skargi więc na zbyt wysoką cenę krajowego węgla, w porównaniu z pruskim, nie są usprawiedliwione, a narzekania na niemożność używania go dla zbyt wielkiej ilości popiołu lub zbyt małej wartości opałowej, także nie mają nieraz rzetelnej podstawy. Potrzeba tylko zastosować paleniska do naszego gatunku węgla i nim umiejętnie palić, a z pewnością wydajność materiału opałowego nie będzie mniejszą, aniżeli przy użyciu węgla pozakrajowych.

Ochrona zatem naszych kopalń, zatrudniających w r. 1900: 4173, a w r. 1902: 3698 robotników, przed obcą konkurencją jest niezbędną i interesem krajowym wprost nakazaną. Ochrony tej należy domagać się — jak to wielokrotnie już podnoszono — w dwóch kierunkach: najpierw ochroną cłową, a dalej unormowaniem odpowiednim taryf na kolejach krajowych, oraz opłat przewozowych na rzece Przemszy.

Przed czterema jeszcze laty różnica między kosztem przewozu naszego i obcego węgla na galicyjskich kolejach była bardzo znaczną na korzyść węgla pruskiego; i tak n. p. przewóz węgla naszego na przestrzeni Szczakowa - Lwów (398 klm) kosztował o 3 kor. 60 hal. więcej, aniżeli prze-

wóz wagonu węgla pruskiego z Mysłowic do Lwowa (410 kilom.). Obecnie — o ile wiemy — taryfy te przewozowe zostały ostatecznie zrównane, ale nie tak łatwą jest rzeczą wyprzeć konkurenta raz mocno osiadłego i pozyskać odbiorców, przyzwyczajonych do węgla pruskiego i mających stosowne dla niego, a niestosowne dla naszego, paleniska.

A przede wszystkim sprawiedliwość wymagałaby, aby dla naszego węgla, jako gatunkowo gorszego, niższe były nieco taryfy kolejowe, niż dla lepszego węgla pruskiego. Obniżenie n. p. o 2 korony od wagonu kosztów przewozu krajowego węgla na linii Jaworzno-Lwów lub Siersza-Lwów przyczyniłoby się niewątpliwie ogromnie do podniesienia naszego węglowego górnictwa.

Naturalnie obniżenie takie mogłoby nastąpić dopiero z chwilą objęcia kolei Północnej przez państwo, chwili tak niecierpliwie oczekiwanej przez wszystkie w kraju czynniki. Import węgla z Królestwa Polskiego ułatwia również niemało brak cła wchodowego do Galicyi i osobnej opłaty wodnej za przewóz Przemszą, która to rzeka uregulowaną została jedynie kosztem austriackiego i pruskiego rządu. Gdy węgiel nasz n. p. z Jaworzna wchodzący do Rosyi opłaca wysokie cło w kwocie $1\frac{1}{2}$ kopiejki w złocie od puda t. j. 22 koron od wagonu (a od stycznia r. 1904 nawet cło podwójne t. j. 3 kopiejki od puda), jest obowiązkiem prostej sprawiedliwości — o ile nie dałoby się uzyskać uwolnienie naszego węgla od cła rosyjskiego — nałożenie cła wchodowego na węgiel rosyjski, jak to już w r. 1898 najsluszniej podnosił obszernie radca górniczy J. Bocheński, a w r. 1900 memoriał galicyjskiego Towarzystwa górniczego. Nałożenie natomiast cła wchodowego na węgiel pruski nie wydaje się dzisiaj na razie możliwem wobec tego, że z Czech bardzo znaczne ilości tamtejszego węgla brunatnego wchodzi bez opłaty cłowej do Saksonii i Bawaryi i gdy również bardzo znaczne ilości — w r. 1902 weszło do całej Austrii prawie 39 milionów etn. pruskiego węgla — węgla pruskiego idą na potrzeby Wiednia i Dolnej Austrii. W każdym razie jednak przynajmniej od strony Królestwa nasze kopalnie powinny być ochronione.

Tak, jak dzisiaj stosunki się układają, to nasze górnictwo węglowe z niepokojem musi patrzeć w przyszłość. Kanały,

projektowane na przestrzeni Bogumin-Lwów, mogą tylko jeszcze bardziej ułatwić import obcego t. j. morawskiego i pruskiego węgla, a czy nasz węgiel z Jaworzna lub Sierszy, który będzie się mógł dostać do tych kanałów dopiero po przebyciu dłuższej przestrzeni kolejowej (n. p. Siersza-Spytkowice), z przyszłych dróg wodnych cokolwiek skorzysta, jest dzisiaj jeszcze bardzo a bardzo wątpliwem. Niedawno obliczał inspektor górniczy p. Bartonec cały zasób węgla kamiennego w zagłębiu galicyjskiem na 18.1 miliardów ton, przyjmując obszar pól węglowych na 1092 klm. kwadr., a głębokość możliwej odbudowy tylko na 1000 m. Własnego więc węgla kamiennego wystarczyłoby nam jeszcze na długo, przy obecnej produkcji i powolnie rosnącej konsumpcji na lat kilkaset, ale kraj powinien tę własną produkcję ochraniać, jej wzrost ułatwiać, a obce i zgubne przeszkody usuwać. Tego mają prawo domagać się nasze kopalnie węglowe.

Inną zupełnie rolę odgrywa w Galicyi węgiel brunatny okolic Dębicy, Żółkwi, Rawy Ruskiej i Kołomyi. Produkcya jego jest niewielką i służy tylko wyłącznie na potrzeby miejscowe. Produkcya ta węgla brunatnego w całej Galicyi wynosiła:

W r. 1893:	366.900	cetn.	metr.	wartości	400.904	kor.
" 1895:	457.800	"	"	"	455.318	"
" 1897:	607.138	"	"	"	697.148	"
" 1899:	689.584	"	"	"	623.248	"
" 1900:	767.919	"	"	"	665.151	"
" 1901:	1,127.840	"	"	"	1,009.418	"
" 1902:	790.311	"	"	"	741.776	"

Jak widzimy z tych cyfr, produkcya zwiększała się dość szybko aż do r. 1901, wzrósłszy w ośmiu latach o przeszło 200% i dopiero w r. 1902 nastąpił silny upadek o przeszło 330.000 cetn. W produkcji tej główny udział biorą kopalnie wschodnio-galicyjskie Dżurowa i Nowosielićy koło Śniatyna, Potylicza koło Rawy Ruskiej, oraz Glińska i Skwarzawy koło Żółkwi. Jedyna kopalnia zachodnio-galicyjska, t. j. w Grudny Dolnej koło Dębicy, oddawna bardzo anemiczny żywot wiodąca i produkująca w r. 1901 zaledwie 23.818 etn. metr., w marcu 1902 r. nawiedzona została pożarem, po którym dotąd odżyć napowrót nie mogła. Kopalnie w Dżurowie, stworzone prawie, można powiedzieć, przez St. Szczepanow-

skiego, przetrwały katastrofę lwowskiej Kasy Oszczędności i dzisiaj będąc w rękach p. Lityńskiego, prosperują widocznie (pomimo wszelkich najgorszych wróżb) weale nieźle, skoro w r. 1901 wydobyły 352 822 a w r. 1902 nawet 367.939 etn. węgla bardzo dobrego o wartości opałowej do 4200 kaloryj. Kopalnie w Glińsku i Skwarzawie pod Żółkwią, należące do hr. Romana Potockiego, rozwijają się również dość dobrze, skoro od produkcji 15.895 w r. 1885 podniosły się aż do 460.000 etn. w r. 1901, potem jednak nastąpił znaczny upadek w r. 1902 z produkcją tylko 298.000 etn. Węgiel ich lignityczny ma wprowadzić tylko 3000 do 3800 kaloryj, ale nadaje się przecież do użycia na kolei Lwów-Belzec.

Nowym stosunkowo nabytkiem dla górnictwa krajowego są kopalnie w Potyliczu pod Rawą Ruską. Po wielu dawnych nieudanych próbach między r. 1850 a r. 1890, otwarte one zostały na nowo w r. 1895 i odtąd wiedzie się im nienajgorzej, skoro pomimo gatunku bardzo lichego (zaledwie 2000 kaloryj) potrafiły wydobyć w r. 1901: 291.200 a w r. 1902 jeszcze 120.600 etn. węgla. Przedewszystkiem sprzyja tym wszystkim wschodnio-galicyjskim kopalniom bardzo wysoka cena drzewa opałowego na całym obszarze Połola i Pokucia. Wobec tego i tamtejszy węgiel brunatny osiąga dziwnie wysoką cenę: w r. 1901: 89·5 hal. a w r. 1902 nawet 93·8 hal. za cetnar, wskutek czego powstało to dziwne zjawisko, iż węgiel brunatny wschodnio-galicyjski o wartości zaledwie 2000 do 4200 kaloryj jest stale na miejscu dwa razy droższym, aniżeli o tyle lepszy (4000 do 5300 kaloryj) węgiel kamienny Jaworzna lub Sierszy. Zjawisko to, naturalnie bardzo anormalne, mogło być wywołane tylko wysokimi taryfami na kolejach galicyjskich, które uniemożliwiają dostanie się węgla zachodnio-galicyjskiego na wschód od Lwowa w większych ilościach. Bądź co bądź wschodnio-galicyjskie kopalnie węgla brunatnego, zatrudniające w 1901 r.: 711 a w 1902 r.: 594 robotników, służą tylko na lokalne potrzeby i jakkolwiek życzyć im należy jak najlepszego rozwoju na przyszłość, to większej roli w życiu przemysłowym i ekonomicznem Galicyi nigdy nie będą mogły odegrać.

Galicya nie była też nigdy krajem bogatym w metale i ostatnie dziesięciolecie nie pod tym względem nie mogło

zmienić. Produkcya rudy żelaznej, dawniej mająca przecież pewne znaczenie, dzisiaj zanikła zupełnie i jedynie kopalnictwo ołowiane i cynkowe, oraz hutnictwo cynkowe, okazują wybitną dążność ku rozwojowi.

Produkcya rudy żelaznej z różnych okolic Galicyi wynosiła:

W r. 1893:	85.641	ctn. m.	wartości	34.810	koron
„ 1895:	7.009	„ „ „	2.402	„	
„ 1897:	27.051	„ „ „	20.012	„	
„ 1899:	8.627	„ „ „	3.946	„	

W latach 1900 i 1901 nie dobywano jej wcale i dopiero w r. 1902 znowu wydobyto 2680 ct. m. wartości za ledwie 1092 koron. Jest to więc, można powiedzieć, tylko okolicznościowa niejako produkcya, obracająca się w częstych skokach i nie mająca stałych i znaczniejszych ognisk. Są to wyłącznie albo rudy żelazne z okręgu krakowskiego albo też rudy darniowe z wschodniej Galicyi; i karpackie, oraz tatrzańskie rudy żelazne nie tak prędko, zdaje się, doczekają się znowu jakiegokolwiek eksploatacyi. Ta minimalna produkcya — o ile wogóle istnieje — bywa zużywana zazwyczaj w jedynej dzisiaj hucie żelaznej Galicyi w Węgierskiej Górze koło Żywca, należącej do arcyksięcia Fryderyka i posiadającej dwa wysokie i dwa kopułowe piece. Huta ta przetapia różne obce t. j. szwedzkie, węgierskie, rosyjskie i bośniackie rudy wraz z galicyjskimi na surowiec lany, którego wyprodukowano tamże w r. 1893: 34.811 ctn. wartości 457.146 koron, w r. 1901 zaś tylko 26.583 ctn., a w r. 1902: 28.378 ctn. wartości 259.091 koron. — W Węgierskiej Górze wyrabia się różnego rodzaju odlewy i naczynia żelazne i stała działalność tej huty w ostatnich dziesięciu latach wykazują wyraźnie daty statystyczne. Huta ta, mająca zbyt zapewniony wobec dobrego gatunku swych odlewów i zatrudniająca obecnie 240 robotników, jest dzisiaj jedynym już zabytkiem dawniejszego dość rozległego hutnictwa żelaznego Galicyi.

Ważniejszym o wiele czynnikiem jest produkcya rudy ołowianej w jedynej zresztą kopalni Matyldy w Kątach pod Chrzanowem.

Produkcyja ta wynosiła:

W r. 1893:	9.346	etn.	wartości	66.466	koron
„ 1895:	33.373	„	„	314.324	„
„ 1897:	25.792	„	„	311.436	„
„ 1899:	18.967	„	„	309.218	„
„ 1900:	16.911	„	„	325.318	„
„ 1901:	32.948	„	„	451 074	„
„ 1902:	42.174	„	„	460.827	„

Kopalnia ta miała w latach 1890 do 1893 wiele do waleczenia z ogromnym napływem wody i dopiero w r. 1895 poczęto odbudowywać tam głębszy, bogatszy w rudę horyzont, który wszakże wyczerpał się rychło, poczem musiano zadowalniać się uboższymi złożami, wskutek czego produkcyja aż do r. 1900 powoli spadała, aż znowu w r. 1901 otwarto nowe, głębsze i bogatsze złoża, których odbudowa świetny wydaje rezultat. Dzisiaj ta jedyna ołowiana kopalnia w Galicyi, zatrudniająca 441 robotników, produkuje więcej, niż całe Czechy i wobec tego Galicya jest pod względem produkcyi rudy ołowianej obecnie drugim krajem w Austrii, t. j. po Karyntyi, która w r. 1902 wydobyła 112.216 etn. rudy ołowianej. Rud ołowianych nie przetapia się wszakże w kraju. Wędrują one na Szląsk pruski do Szopinie do „Walter-Croneck-Hütte“ i tam wytapiane są na ołów razem z innemi rudami pruskiemi. W Galicyi tylko ubocznie przy hutnictwie cynkowym wytapia się ołów w bardzo małej wszakże ilości. W r. 1893 wytopiono go w ten sposób 138 etn., w r. 1899: 126 etn., w r. 1902: 70 etn. wartości 2114 koron i cała ta uboczna produkcyja metalicznego ołowiu nie może naturalnie mieć żadnego większego znaczenia.

Zupełnie inaczej rzecz się ma z górnictwem i hutnictwem cynkowym, koncentrującem się w Galicyi między Trzebinią a Sierszą i Niedzieliskami koło Jaworzna. Rudy cynkowej t. j. galmanu wydobyły te kopalnie, należące częścią do hr. Andrzeja Potockiego, częścią do firmy Loebbecke i spadkobierców Giesche'go:

W r. 1893:	96.182	etn.	wartości	103.718	koron
„ 1895:	71.575	„	„	109.900	„
„ 1897:	62.368	„	„	62.012	„

W r. 1899:	70.676	cetn. wartości	99.961	kórón
" 1900:	83.793	" "	55.488	"
" 1901:	48.356	" "	31.087	"
" 1902:	33.331	" "	26.399	"

Upadek zatem tego górnictwa od r. 1897 przedstawiają powyższe cyfry bardzo wyraźnie. Prawie o 66% spadła produkcya galicyjskiej rudy cynkowej w ciągu lat dziesięciu i tłómaczyć ten upadek można po części wyczerpaniem niektórych punktów koło Psar i Lgoty a może nawet Długoszyna i Wodnej, po części zaś zaniechaniem kopalni w Trzebionce koło Trzebini. Niektóre złoża tych rud, od wielu lat będące w odbudowie, należy istotnie uważać za wyczerpane, ale przecież istnieją w okręgu krakowskim jeszcze inne rudonośne nienaruszone, po części głębsze pokłady i przy odpowiednich, głębszych i rozleglejszych poszukiwaniach znajdują się niewątpliwie takie jeszcze złoża, które z zyskiem odplacą włożone kapitały i trudy.

Pomimo tego upadku górnictwa galmanowego, hutnictwo cynkowe, składające się obecnie z trzech hut: w Niedzielskach, Sierszy i Trzebini, nie tylko nie opada, lecz nawet bardzo szybko i poważnie wzrasta.

Huty te wytopiły cynku metalicznego:

W r. 1893:	19.272	cetn. m. wartości	776.302	korón
" 1895:	25.260	" " "	829.078	"
" 1897:	27.011	" " "	1,036.158	"
" 1899:	35.482	" " "	1,944.434	"
" 1900:	33.650	" " "	1,497.102	"
" 1901:	36.837	" " "	1,413.113	"
" 1902:	48.980	" " "	1,932.440	"

Ilość wyprodukowanego cynku wzrosła więc w 10 latach o 150%, a wartość jego pieniężna również o tyle, dzięki przedewszystkiem nowej, w r. 1895 otwartej, wybornie urządzonej hucie w Trzebini, należącej do braci Lowitsch.

Dziwić się prawie można, że tam, gdzie dla dwóch dawnych hut: Niedzielskich i Sierszy, nie wystarczało własnej krajowej rudy, tam trzecia powstała, która musi wyłącznie żyć sprowadzaną rudą z pruskiego Szląska — ale widocznie obrachowanie założycieli było dobre i trafne, skoro ona i roz-

wija się bardzo dobrze i urządzeniami wzorowemi, szczególnie co do fabrykacyi mufli do wytapiania cynku, tamte dwie dawno osiadłe huty o wiele przewyższa.

Obecna galicyjska produkcya cynku wynosi 58·95% produkeyi całej Austrii, w której jedynie jeszcze Styrya z udziałem 36·58% i Kraina z małą cząstką 4·47% posiadają huty cynkowe na własnych rudach oparte. Z tych trzech hut galicyjskich, zatrudniających w r. 1902 razem 673 robotników, jedna t. j. w Niedzieliskach jest raczej fabryką bieli cynkowej. Częścią z własnego, częścią z obcego t. j. pruskiego cynku wyrabia ona biel cynkową w ilości (w r. 1902) 21.496 ctn. i wartości 926.069 koron, który to produkt rochochdzi się daleko po za granicę Austrii i kontynentu. Huta ta należąca do firmy Loebbecke nie posiada, o ile wiemy, niektórych nowszych urządzeń, a przecież prosperuje wcale dobrze, pomimo, iż ma do wytrzymania obcą, głównie pruską, bardzo silną konkurencyę. Cynk jest dzisiaj nader poszukiwanym i dobrze opłacającym się metalem. Do samej Austrii wchodzi go — jak to podnosi w swej ciekawej bardzo niedawnej broszurce dyrektor huty niedzieliskiej, p. Henryk Kowarzyk — 174.951 ctn. m. (w r. 1901) a cała Austria produkuje go (w r. 1902) zaledwie 83.000 cetn. Ta niedostateczność wewnętrznej produkeyi austriackiej była też powodem, że już w r. 1892 zniesionem zostało cło wchodowe na zagraniczny cynk, opłacający przedtem 2 korony w złocie od cetnara metr. Zniesienie tego cła ochronnego przecież nie oddziało niekorzystnie na rozwój cynkowego hutnictwa w Galicyi i można mieć nadzieję, że i dalej będzie się ono rozwijać, zwłaszcza, gdyby znaleziono bogatsze złoża galmanów między Trzebiną a Niedzieliskami, tak prawdopodobne zresztą z geologicznej tych okolic budowy.

Obliczywszy teraz ogólną wartość pieniężną węglowego i kruszcowego górnictwa i hutnictwa w Galicyi za rok 1902, otrzymamy poważną cyfrę prawie półósma (7,445.506) miliona koron. Jest to w porównaniu z r. 1893 (4,218.008 koron) przyrost bardzo znaczny: o przeszło 75%, a więc można być z ubiegłego dziesięciolecia zadowolonym i z otuchą spoglądać w dalszą przyszłość. Górnictwo i hutnictwo węglowe i kruszczowe t. j. minerałów zastrzeżonych §. 3 ogólnej ustawy

górnictwej z r. 1854, zatrudnia obecnie (1902) w Galicyi ogółem 5731 robotników, jest więc także i z tego względu — jak i ze względu na wydobyte wartości pieniężne: półosma miliona koron — czynnikiem ekonomicznym wcale poważnym, szczególnie dla zachodniej połowy kraju. Tożsamo w wyższym jeszcze stopniu będziemy mogli powiedzieć o górnictwie solnem, woskowem i naftowem, którem zajmiemy się w artykule następnym.

Dr. Władysław Szajnocha.

Kronika literacka.

— Zygmunt Gloger: *Encyklopedia Staropolska Ilustrowana*. Tomy cztery. (Warszawa, 1900 — 1903). — Zbieraczów rzeczy najrozmaitszych, swojskich i obcych, od obrazów, rycin, medali, aż do ksiąg, tabakierek i afiszów teatralnych, posiadaliśmy zawsze sporą liczbę; każde z miast naszych, nawet prowincjonalnych, mieści w swoich murach zbiory podobne, a rozsiane one i po całym kraju, po dworach, nieraz i dworkach. Tem mniejsza u nas, niestety, liczba zbieraczy, którzyby swojemi zbiorami dzielili się z publicznością, uwiadami katalogami czy opisami o skarbach, jakie uzbierali. Ale najrzadzi u nas to ci, co ze zbiorów swoich sami umiejętnie korzystać umieją, którym te zbiory tylko podniętą albo podstawą do samostnej pracy się stały.

Najbardziej między nimi znany i zasłużony p. Zygmunt Gloger, obywatel, gromadzący w swoim Jeżewie na Podlasiu tykocińskim od lat kilkudziesięciu wszystko: i książki, i rękopisy, i broń, i sprzęty, i wykopaliska, rozjeżdżający po całym kraju, aby go poznać wszerz i wzdłuż, utrzymujący stosunki z każdym znakomitym badaczem przeszłości naszej. Podziałął i na Glogera nasz stary Kraków; ucznia Szkoły Głównej, gdy się do Krakowa przeniósł, Szujski i Majer do pracy historycznej skrzętnej, do zbierania szczegółów, najpierw niby dla *Słownika Geograficznego dawnej Polski*, później dla *Słownika Starożytności Polskich* nakłaniali, w zamiarach podtrzymywali i do właściwych źródeł zwracali.

I zajmował się młody obywatel wszystkim, co swoje, pozawszy od mowy i pieśni ludowej i obrzędów: jeszcze w r. 1869 wydał on w Krakowie *Obchody weselne* przez Pruskiego, a w ćwierć wieku później bardzo trafnie ułożony zbiór pieśni ludu polskiego; podawał to bogaty słowniczek wyrazów ludowych, głównie tykocińskich, w *Pracach Filologicznych* warszawskich, to zbiór przysłów ludowych. *Dolinami rzek* (Warszawa, 1903) opisał kilka podróży archeologiczno-etnograficznych wzdłuż Niemna,

Wisły, Bugu i Biebrzy i czyta się te opisy z największem zajęciem: nie pedant to uczony, zapatrzony wyłącznie czy to w okrzoski krzemienne, czy w ruiny zamkowe, czy w typy etnograficzne, lecz brat-szlachcic, niepospolity znawca kraju, ludzi i dziejów, oprowadza cię z fantazją po malowniczych i ciekawych zakątkach dawnej Rzeczypospolitej, jak one dziś wyglądają i co w nich po dawnych, a nawet prastarych dziejach zostało. Tu zaliczymy i jego album Białowieży z widokami, poświęcony Sienkiewiczowi.

Z dawnych studyów i materiałów krakowskich urosła *Geografia historyczna ziem dawnej Polski*, z wielką mapą, z widokami miast i budowli, z licznymi szczegółami, uprzytomniającemi rozwój i skład ziem polskich i litewskich. Lecz bardziej, niż sucha geografia, nęciła miłośnika rzeczy ojczystych tradycja, żywa, czerpiąca od sędziwych rodziców, i piśmienna, czerpiąca z coraz liczniejszych druków i rękopisów, spływających do Jeżewa. Były między niemi nadzwyczaj cenne rzeczy: n. p. jeden z najciekawszych zabytków średniowiecznych, ślad spuścizny polskiej po królowej Jadwidze, odnalazł się w książkach jeżewskich (tak zwane *Kazanie o małżeństwie*, w istocie niby słownik teologiczno-moralnej treści z pierwszej połowy XV wieku), albo fraszki i opowiadania rubasznego mnicha, Karola Żery, z XVIII wieku. Lecz nie zadowalał się nigdy zbieracz-obywatel suchemi wypisami dla słowników (jak n. p. Wł. Łebski, układający podobne wypiski w swe *Militaria*); tchnąć w nie życie, uzmysłowić na nich tryb dawnych wieków, dzisiejszym na pokrzepienie — to było właściwym jego zamiarem.

Tak powstały dziełka *Zwyczaje doroczne i Rok polski w życiu, tradycji i pieśni*, poświęcone obrzędowi i obchodom dorocznym; tak powstały *Skarbiec strzechy naszej* i *Księga rzeczy polskich*, a z obu wyrosły wreszcie owe cztery tomy *Encyklopedyi Staropolskiej*, które wymieniliśmy u góry.

Nie pierwsza to próba podobnego dzieła, o którem jeszcze warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk niegdyś myślało. Wydał już Jędrzej Moraczewski *Starożytności polskie porządkiem abecadłowym* (w dwóch tomach, 1842 i 1852), lecz w tem dziele przeważają wiadomości geograficzne. Te wyłączył Gloger z *Encyklopedyi*, powołując się na własną *Geografię ziem polskich*; wyłączył i archeologię przedhistoryczną, monografie miejscowości, biografie osób, opowiadania historyczne (relacje bitew i t. p.), heraldykę wreszcie. Został i tak materiał olbrzymi.

Dzisiejsze warunki życia tak odbiegły od dawnych, że dla zrozumienia tych ostatnich pragnęliśmy od dawna dzieła, któreby mogło zawsze informować o niezliczonych owych szczegółach z dawnego bytu państwowego, kościelnego, wojskowego, szlacheckiego, prawnego; z dawnego życia po dworach i dworach, w mieście i miasteczku, w szkole i konwiktach, na wsi, w polu

i lesie; z ubiorów, zabaw, tańców, muzyki, śpiewów, aż do potraw i materyj, gazet i orderów, afiszów i klepsydr. Badacz każdy uprawia przecież tylko ograniczone jakieś pole, to język i literaturę, to heraldykę i sfragistykę, to historię polityczną i społeczną i t. d.; każdy z nich — a cóż dopiero nie badacz i nie uczony, lecz literat i publicysta, nie mówiąc już o szerokiej publiczności — trafia wszędzie na szczegóły, obce mu, które poznać należy. Więc potrzeba encyklopedyj nie tylko ogólnych, lecz i *krajowych*; wylawiać bowiem z encyklopedyj ogólnych szczegóły, dotyczące wyłącznie kraju jednego, ojczystego, to rzecz żmudna i niewdzięczna: nie układają się te szczegóły należycie w ramy światowe, domagają się koniecznie traktowania osobnego. Dawniejsze jednak próby p. Glogera, zarówno *Skarbiec*, jak i *Księga rzeczy polskich*, były nadto szczupłe, żeby zadanu należycie wydołać mogły.

Ułożył więc p. Gloger dzieło trzytomowe, lecz wypracowane urosło w cztery tomy i właśnie ów ostatni tom najobszerniejszy, o 523 stronnicach dwulamowych wielkiego formatu — całość liczy z górą 1500 stronnie i około 1000 ilustracyj. A i tak walczył autor ciągle z szczupłością miejsca; odrzucał dowody, obszerniejsze powoływania źródeł i opracowań; z tego, co przygotował, tak z artykułów, jak z rycin, i połowa do dzieła nie weszła; rozmiary niedopuszczały uwzględnienia wielu rzeczy.

Jak wykonał p. Gloger dzieło? Lwia tegoż część jest jego wyłączną pracą; tylko w dziale wojskowości posługiwał się stale artykułami specjalisty, p. Gembarzewskiego; zresztą wyjątkowo chyba zasilali go prof. J. Rostafiński n. p. artykułem o roślinach miłosnych, p. Łopaciński o słownikach i o pomnikach polskich, Dr. F. Kopera o klejnotach koronnych, X. Wacław (Nowakowski) o obrazach cudownych Naj. Maryi Panny, p. Wiktor Gomułicki o litografiach najdawniejszych polskich, p. Henryk Sadowski o orderach polskich, i kilku innych. Właściwa zasługa wykonania całości należy się więc p. Glogerowi samemu.

W czymżeż ta zasługa? W pracy i w duchu. Praca była nadzwyczajna — bo i czegoż nie znajdziemy w *Encyklopedyi*? Od puszczy kurpiowskiej z jej bartnikami, aż do starych bóżnic żydowskich, albo do lamusów litewskich; od narzędzi rolniczych, pługa i sochy, aż do farfur i porcelan polskich z wszystkimi markami fabrycznemi; od drzew odwiecznych i zwierząt równie dawnych (turów i żubrów) aż do labiryntów po dawnych ogrodach szlacheckich, do myśliwstwa i jego terminów osobliwszych; od chat i izb kurnych, poprzez domy z podcieniami, aż do wnętrza dawnych pałaców, do pieców kaflowych, skrzyń gdańskich i szkieł weneckich; od pieśni i tańców z melodyami, od pieśni ludowych, od *Bogarodnicy*, od pieśni weselnych, od mazura najdawniejszego, do świeckich zabaw, praktyk nabożnych i do lite-

ratury samej; od typów szlachty i ludu polskiego, od szczegółów broni, ubioru, zwyczajów (podkurka i t. d.), aż do urzędzeń i praw, szlacheckich i miejskich, aż do tytułów i godności, do mundurów wojewódzkich i kart wizytowych i t. d. — w bujnym korowodzie należało tu uwzględnić wszystko a wszystko.

Weźmy n. p. artykuł *Rzeki*. Wiele wymieniono najpierw wszelkie terminy polskie wody bieżącej; wymieniono dalej starożytne nazwy Wisły i innych rzek, potem wszystkie nasze najdawniejsze nazwy rzek, wydobyte z dokumentów XI—XIII wieku w porządku abecedowym: spis ciekawy i bardzo pożyteczny; dalej uwagi o splawności naszych rzek i ustawodawstwie, dotyczącem rzek, brzegów i t. d. Nieco dalej artykuł *Silacze*: na sześciu łamach wyliczeni znani z siły panowie i — panie; przydałobyśmy chyba z *Chwał Zygmunta Augusta* Christ. Okunia (r. 1609) wzmiankę o rycerzu polskim tak silnym,

Iż z miejsca podniósł taran. co go używają
Kiedy dębowe pale w wiślnie dno wbijają

Albo artykuł *Szlachta*: po uwagach o przywilejach szlacheckich, o ich utracie gdy się kto handlem lub łokciem parął i trafnem wyjaśnieniu przyczyny tego prawa, o gospodarstwie szlacheckiem, o prawdziwym szlactwie, co przez nie wiek XVI, przez usta najpowołanszych swych mężów, rozumiał, aż do podobnych światłych sądów późniejszych, jeszcze i z *Katechizmu kadeckiego* Ks. Jenerała Ziem Podolskich — wyliczenie literatury, powołanie sądów obcych (Kariejewa), a w dodatku typy szlachty polskiej od XVI do XIX wieku — między niemi podobizny jenerała Chłapowskiego, Józefa Supińskiego i Jana Karłowicza.

Wybraliśmy trzy artykuły, a należałoby przytoczyć całe ich seciny. Nie nie zbyte byle jak; każdy artykuł opracowany starannie, z miłością i znanstwem. Mogłoby. jak już wspominaliśmy, tych artykułów być i więcej (gdyby nie szczupłe ramy); zato opuścić nie możnaby niemal żadnego; chyba kilka terminów wyjątkowej rzadkości, albo takie, po którebyśmy raczej do Lindego odsyłali. Artykuły naturalnie bardzo nierówne co do obszerności: od kilkuwierszowych do kilkunastolamowych. Powiedzielibyśmy, że niektóre artykuły wypadły nadto obszernie, że należałoby je skrócić, n. p. ów artykuł o *Szlachcie* (tom IV, str. 317 — 329) lub artykuł o *Sejmowaniu* (tamże, str. 210 — 219). Ale — i tu o duchu pracy tej wspominamy — dzieło p. Glogera nie dla erudytów tylko przeznaczone, którym jak najsuchsze i najtreściwsze informacje wystarczają. Zwraca się ono do ogółu, walczy z przesadami jego, z jego apatją, brakiem szacunku i opieki dla naszych dawnych pomników, zabytków, urzędzeń — podnosi więc moralnie, pokrzepia, upomina i uczy, staje się niby szkołą praktyczną obywatelskości. Prawdę mówi otwar-

cie, gromi i przeszłość, ludzi a raczej indywidua, wyrodne, niepomne obowiązków, ze spaczonymi pojęciami; tem bardziej jednak chwali, co godne chwały, a przed potępieniem w czambuł, niesłusznem, uprzedzonym, nowomodnem, bierze przeszłość i przodków w obronę. Jeżeli błądzi, to chyba nadmiarem optymizmu, nie zupełnem wycieniowaniem wszystkiego, skupianiem samego światła: lecz o ileż sympatyczniejszy nam błąd w tę stronę, niż w przeciwną, w zbytnie poniżanie i uwłaczanie niesłuszne skierowany. Tyle co do tendencji ogólnej, która właśnie całości wartość nadaje, sprawia, że życzylibyśmy księdze p. Glogera jak najszerzy odbyt.

Co do szczegółów, moglibyśmy się o niejednen z autorem spierać. Kto tyle set najróżnorodniejszych materij traktuje, usterek nie ujdzie: żeby ich tak mało popęlić, na to trzeba było tej pracy, wiedzy, zamięłowania, cechujących dzieło. Więc wystawi nieraz p. Gloger rzecz jako pewną, która wcale pewną nie jest, powie n. p. że „Niemen starożytni zwali *Chronus*“, a ja powiem, że to żarty, że my nie wiemy wcale, jaką to rzekę oni *Chronusem* przezwali. To pomyli się — a ten błąd najczęstszy jeszcze — w wywodzie słownym; ależ mniejsza o nazwę, jeśli tylko rzecz dobrze wyłożył.

Bywają i w rzeczach samych niedopatrzienia. N. p. w artykule *Karty* (III, str. 18 — 21), zresztą bogatym w ciekawe szczegóły, powtarza autor za Dr. K. Estreicherem, „że nie musiały być one w narodzie upowszechnione, skoro W. A. Maciejowski w dziele (o obyczajach) nie o nich nie wspomina, K. Wł. Wójcicki również“. Ależ to wina Maciejowskiego i Wójcickiego, że nie wyszukali wzmianek bardzo licznych, n. p. już u Reya; oto w *Wizerunku* (1558 r., k. 19) znajdziemy i taką wzmiankę:

Karty leżą na stole, pieniądze brząkają,
Wziąwszy z igry pulgrosza, to więc prze Bóg dają

(żebrakowi, a też jaka jałmużna, taka i zapłata), a w dziesięć lat później (1568 r.) żegnając się z światem, pisze tenże Rey o śmierci, że z nią źle „flus grać“: każdy z nas

Jako na trzy tuzy tak każe bezpiecznie —
Alić pan restu przegrał, alić go już niosą,
Bo miała cztery krole ona pani z kosą,
Bo ta i tuzem wygra, czasem i niżnikiem i t. d.,

a takich przykładów, anegdot i t. d. jest moc. Przecież spowiednik Odrowążówny w *Naukach* dla niej z r. 1556 każe jej się nawet z tego spowiadać, że grając w karty oszukiwała, dobre zatrzymywała, a złe powtórnie w grę kładła. A co u nas już w XVI i XVII wieku zwrotów od gry karcianej zapożyczonych,

n. p. owe „*cnoty pasz*“ i t. p. (t. j. niema); najbardziej w obozie, nawet między kozakami, karty popłacały; od nich to rozeszły się po całej Polsce owe ulubione zwroty: *w rumel trafić*, *dodać do tenu* (albo *w ten trafić*) i t. p. Autor pod *pikieta, rumel* i t. d. wymienia gry, opisuje i grę w *kasztelana*, ale zapomniał dodać, że grywano dawniej o kasztelana, jak my dziś o honor, to znaczy nie o pieniądze, czy o zakład jaki: kto wygrywał (w szachy, warcaby i t. d.), zostawał kasztelanem.

Oto przykład, jak można jeden i drugi artykuł uzupełnić czy poprawić. Osobno zaznaczamy, że i fachowiec dowie się z artykułów nieraz czegoś nowego, nieznanego dotąd; szczególnie uмиłował p. Gloger dział pieśni i obchodów. Dowiadujemy się, że przygotował zupełny zbiór pieśni dawnych żołnierskich; z niego kilka przytacza; ale omawia je autor nietylko pod *Wojackie pieśni* (IV, str. 457 — 459), lecz jeszcze obszerniej w artykule o *Pieśniach* (IV, str. 13 — 23), gdzie przytacza próby n. p. z najdawniejszego zbioru niby śpiewów historycznych (o książętach i królach aż do Zygmunta III, z początku XVII wieku), o lamentach wierszowanych, o pieśniach weselnych (pod wyrazem *Wieńce, Oczepiny* i t. d.); pod wyrazem *Wieża* przytoczona nawet cała *Lamentatio turris warszawiensis* (rymy na upadek wieży, co w r. 1603 obaliwszy się, sześciu zabiła), z rękopisu. I takich ciekawych, cennych przyczynków po wszystkich czteru tomach sporo się znajdzie.

Nie sposób jednak wymieniać wszystkiego ciekawego, pouczającego, pięknego. Ileż to zebrano n. p. pod artykułem *Włosy* (o noszeniu brody i t. d.), jak bogato ilustrowano artykuł *Wizerunki panujących* (od Łokietka do Jana Kazimierza), albo *Ratusze* i t. d. Artykuł *Rebus* daje najdawniejsze łacińsko-polskie i polskie z XVI i XVII wieku, czerpane i z *Silva rerum* zygmunto-wskiej rodziny Sasinów Kaleczyckich, która i innych ciekawych szczegółów dostarczała; bardzo obfity też artykuł *Rocznice* (IV, str. 162 — 173), z medalami gdańskimi i z całą pieśnią grunwaldzką Górnickiego — albo *Pomniki*, bardzo systematyczne wyliczenie wszelkich polskich, publicznych i prywatnych (IV, str. 72 — 94).

Lecz dosyć szczegółów; od samej książki i oderwać się trudno. Wertując jej karty, patrząc na dobrane starannie, autentyczne ilustracje, czujesz się dziwnie dotkniętym; wszystko tu swoje, domowe, wielkie, piękne, ożywione słowem sympatycznym, wspomina o świetnych czasach i tradycjach, budzi uszanowanie, chęć gruntowniejszego poznania dawnych skarbów ojczystych, złożonych w piśmie, pieśni i tradycyi, wykutych w kamieniu i żelazie, wzniesionych z cegły i drzewa, zaklętych na obrazie i w tkaninie, w wosku pieczęci i w kruszcu medali. I staje się ta księga niby wielkiem muzeum narodowych pamiątek, a oprowadza cię po niem znakomity a bardzo wymowny znawca i uważa sobie za obowiązek obywatelski i patriotyczny

uczyć cię niby nowej „pieśni o ziemi naszej“, w szybkiej, urozmaiconej wędrówce, przesuwając przed oczami twojemi wszystko, co ta ziemia wydała ciekawego i osobliwego w ciągu wieków, i pól i ludzi, od pokładów jej soli podgórskiej i olbrzymich topól nadwiślańskich, aż do pułków, wilkumów, pieców, szpałarów, służb i całego inwentarza dworskiego, aż do sądów i szkół, kościołów i klasztorów, do wojska i obozu, do posiedzeń towarzyskich i uczonych.

Z umiłowania gorącego i poszanowania wszystkiego, co nasze, urosła ta księga „wszechpolska“; wypiastrzył ją autor w trudzie wieloletnim; złożył w niej najlepsze swe siły i chęci: w interesie narodowym życzyliby też tej księdze pamiątek, temu skarbowi rzeczy polskich jak najszerszego rozgłosu i wzięcia. Oby się na niej uczyły młode pokolenia cześć, szanować, rozumieć przedewszystkiem tę przeszłość świetną i barwną, te zasługi i prace przodków, te szczegóły ich myśli i pracy, troski i bytu.

Dr. A. Brückner.

— „Biblioteka Dzieł Chrześcijańskich“. Zeszyt 36. X. Piotr Skarga: *Kazania Sejmowe*. Z przedmową Ignacego Chrzanowskiego. Redaktor i wydawca X. Zygmunt Chelmiński. (Warszawa, grudzień 1903, 8-o, str. 192). — Nowe wydanie *Kazań Sejmowych*: rzecz zawsze pożądana, potrzebna, dobra, nawet pocieszająca, bo kiedy są ludzie, którzy je wydają, to może są i tacy, co je czytają. Ale nie o kazania chodzi nam tym razem, ani o ich nowe wydanie (nie wątpimy, że bardzo staranne i dobre), tylko o przedmowę do nich dodaną. Ta przedmowa jest najnowszą, a naszym zdaniem najlepszą rozprawą o *Kazaniach Sejmowych*. Dlatego czytelnikom *Przeglądu* należy się o niej wiadomość, a jej autorowi, p. Ignacemu Chrzanowskiemu, szczerze i gorące podziękowanie.

Św. Paweł pisze do Filipensów, że posyła im Tymoteusza, bo niema żadnego, któryby mu był równy w gorliwości o chwałę Bożą. Autor mówi w pierwszych słowach swojej rozprawy, że to samo mógł powiedzieć o Skardze Zygmunt III, kiedy go powoływał na dworskiego kaznodzieję. Nie miał lepszego, nie miał równego; a nie sam król ziemski tylko, król niebieski także nie miał w ówczesnej Polsce lepszego sługi, któregoby mógł posłać do niej z poselstwem, na opowiadanie słowa swego. Byli gorliwi, byli nawet znakomici, ale ten jeden „miał wszystko: i serce wielkie, i umysł szeroki, i dar wymowy, jakiego w Polsce nigdy nie slysano“.

Już ten wstęp dobrze usposabia czytelnika: dowodzi mu, że autor dobrze rozumie, wie o kim mówi. Następuje zwięzłe a trafne dochodzenie pobudek, dla których Skarga przyjął to stanowisko i określenie jego własnymi słowy, jak je pojmował. „Wdawa się (ksiądz) i wdawać się powinien nie w rządy Rzeczypospolitej, ale w zatrzymanie, żeby jej grzechy nie gubiły,

a wykorzenione z niej były, i żeby dusze ludzkie w niej nie ginęły". Na to Skarga kaznodzieją dworskim został; ośmnaście sejmów odbyło się od tego roku 1588, w którym to stanowisko objął, do r. 1612, w którym umarł, a Birkowski świadczy, że nie było z tych sejmów jednego, na którymby on nie był kazął.

Nie był on pierwszym; w podobnym duchu i celu przemawiali już niektórzy przed nim. Nigdzie dotąd nie spotkaliśmy tak szczegółowej i dokładnej wiadomości o Stanisławie Sokolowskim. Sławny kaznodzieja króla Stefana mówi i nie mało i śmiało o chrześcijańskim obowiązku obywatela względem ojczyzny: pojmuje ten obowiązek szlachetnie, a tłumaczy go rozumnie. Ale u niego jest to zawsze kwestya uboczna, traktowana mimochodem; o tem nie mówiąc, że traktowana bez szerokiego poglądu i potężnego natchnienia Skargi. Hieronim Powodowski — także, ile wiemy, pierwszy raz dokładnie opisany — podobniejszy jest do Skargi i może uchodzić za jego bezpośredniego poprzednika. Czy wpłynął na Skargę? Jego *Kazania* wyszły w druku już po *Sejmowych* Skargi, ale ten mógł je znać z rękopisów, musiał o nich wiedzieć. W każdym razie w dwóch pierwszych *Kazaniach Sejmowych* Powodowskiego (r. 1578), w kazaniu na dzień św. Stefana (znowuż sejmowem i w obecności króla Stefana wypowiedzianem), są groźne uwagi o wewnętrznym stanie Rzpltej, groźne przepowiednie, przytoczenia z Proroków, przez które te kazania zbliżają się i są podobne do Skargi

Jeszcze więcej jego *Propozycja z wyroków Pisma św. zebrana, na Sejm walny koronny 1595 roku*. Po trafnym energicznym obrazie tego zamętu, jaki się wzmagał od pierwszych lat Zygmunta III, streszcza autor tę *Propozycję*, która w części pierwszej jest zbiorem groźnych przepowiedni, wyjętych z Proroków, a w drugiej rachunkiem sumienia ówczesnej Polski. Jej trzy główne grzechy, to: niewdzięczność względem Boga, rebellia przeciw Bogu i Kościołowi i wypaczenie świeckich sposobów, któremi Rzeczpospolita stała i utrzymaną być może. Te trzy grzechy widzi i wskazuje Powodowski w przestąpieniach wszystkich po kolei Dziesięciorga Przykazań. Powód złego, jego objawy i skutki, pojęte i gromione są podobnie, jak w *Kazaniach Sejmowych*.

Teraz przychodzimy do nich.

Autor przytacza wiele miejsc z *Kazań na niedziele i święta*, przytacza ich wspaniałą przedmowę, na dowód, że to, co wypowiedział w *Kazaniach Sejmowych*, to myślał i czuł Skarga przez całe swoje życie, to sama najgłębsza treść jego myśli i jego troski. Przystępując zaś do *Sejmowych*, na samym początku zadaje wielki wstyd wszystkim, którzy o Skardze pisali, a potem przynosi im wielką pociechę.

Oto ten wstyd, za który i niżej podpisany rumieni się jak należy. Wszysey, nie wyjmując Maurycego Dzieduszyckiego,

przyjmują za pewne, że *Kazania Sejmowe* wyszły po raz pierwszy w r. 1600. Nieprawda. Wyszły w r. 1597 jako dodatek do drugiego wydania *Kazań Niedzielných*. Dowód oczywisty, że były napisane i gotowe do druku w tym roku 1597. Niżej podpisany wstydzi się bardzo: szedł ślepo za poprzednikami, nie sprawdzał ich i wpadł w pomyłkę, którą przy drugim wydaniu swojej *Historji Literatury* mógł był poprawić, a nie poprawił, bo tom I tego wydania był już dawno gotowy, kiedy wyszła rozprawa p. Chrzanowskiego. Dalej, w kazaniach samych, wskazane bystro wyraźne niezaprzeczone alluzye do rzeczy, które zaszły na sejmach lat 1595 i 1596. Wreszcie owa pociecha, którą nam rozprawa przyniosła. Ustalił autor ostateczną datę powstawania *Kazań Sejmowych*, dotąd niepewną. Ale to zrobiwszy, wziął się do drugiej kwestyi.

Ta niepewność, to milczenie współczesnych o *Kazaniach Sejmowych*, wywołały u wielu uczonych wątpliwość, czy one były na prawdę kiedykolwiek wypowiedziane? Może je Skarga napisał, ogłosił, ale ich nie mówił? Prof. Wincenty Zakrzewski przypuszcza, że mógł mówić to samo, ale w innej formie; a przed drukiem dopiero ułożył, dopełnił, połączył w organiczną całość. Prof. A. Brückner myśli tak samo, z wyraźniejszym tylko odcieniem wątpliwości. Niżej podpisany nie mógł nigdy na prawdę uwierzyć, iżby Skarga nie był tych kazań wypowiedział, chował w głębi serca uczucie, że one były, że musiały być mówione. Ale nie znajdując u współczesnych żadnego świadectwa, żadnego śladu wrażenia, znajdując u uczeńszych od siebie takie powątpiewania i przypuszczenia, nie śmiał odezwać się otwarcie ze swoim uczuciem nie opartem na materialnych dowodach i poddał się zdaniu, którego powagi nie mógł przeczyć. W *Historji Literatury* przypuścił i on, że Zakrzewski może mieć słuszność, że Skarga mówił przed sejmami to, co jest w *Kazaniach*, ale mógł mówić inaczej, a dzisiejszą formę nadał kazaniom dopiero w druku. Znowu nieprawda: na szczęście nieprawda! A w tej pociesze zostaje podpisanemu tylko żal, że nie mógł czytać rozprawy p. Chrzanowskiego przed drugim wydaniem swojej *Literatury*, że nie mógł sprostować tego, co napisał w wydaniu pierwszym, i stwierdzić głośno to, co w skrytości serca miał zawsze za rzecz pawną.

Kazania Sejmowe były mówione, były mówione wszystkie na jednym i tym samym sejmie i to na sejmie r. 1597.

Jakże tego p. Chrzanowski dowiedzie?

Dowód pierwszy ten, że nie, absolutnie nie, nie świadczy przeciw temu przypuszczeniu. Trzy zdania, przytaczane na dowód, że kazania mówione nie były, a przynajmniej nie podczas tego sejmu, mogły być dodane po jego skończeniu; ale z tego nie wynika bynajmniej, iżby kazania same nie były wypowiedziane. Ale to jeszcze dowód najslabszy, to tylko wskazówka.

Trudniej zbić dowód, którego dostarcza sam tekst kazań, nawet sam tytuł niektórych. Przy pierwszym stoi wydrukowane wyrażenie „na początku Sejmu, przy Mszy św. sejmowej“; przy ósmym Skarga mówi „Na tem rozjachaniu się waszem“. Przy pierwszym mówi: „Zjachaliście się dziś“; to dziś nie miałoby sensu, gdyby nie było w dzień otwarcia sejmu powiedziane, jakoż niema go w wydaniach następnych. A jeżeli Skarga tych kazań nie mówił, to chyba temi słowami chciał fanfaronować, mistyfikować, udawać? Na jakiej podstawie mamy go o to posądzać?

Że kazania ułożone są porządnie, organicznie połączone, to także nie dowód, że nie były mówione. Dla czegoż nie miały być opracowane, przygotowane starannie przed wypowiedzeniem, skoro wiemy od Birkowskiego, że Skarga pracował nad kazaniami i nieraz z ciężkim trudem je przygotowywał, a on sam mówi, że kazania przygodne kosztowały go wiele pracy? Dla czego ta praca miała się wykonać po sejmie dopiero, do druku, a nie przed sejmem, do mówienia? Gdzie na to dowód i jaki?

Argument, że gdyby kazania były mówione do sejmu, to byłyby wspominały a przynajmniej natręcały o bieżących okolicznościach i zdarzeniach, upada wobec tego, że tych alluzyj do rzeczy bieżących właśnie jest wiele, co autor dowodnie wykazuje.

Konkluzya jest następująca:

W r. 1595 jeszcze *Kazań Sejmowych* nie było, bo inaczej byłby je Skarga wydał z *Niedzielnymi*. Pisał je w r. 1596, może w początkach r. 1597, tak, żeby były gotowe na sejm. Pierwsze wypowiedział w pierwszą niedzielę sejmu, 10 lutego r. 1597, ósme w niedzielę 23 marca. Nazajutrz sejm był zerwany. Kaznodzieja poprawił, dodał trzy wzmianki o zerwanym sejmie, i oddał do druku.

Czy to absolutna pewność? Nie: dokumentu czarno na białem, z pieczęcią i na stemplu niema. Ale wszystkie dowody wewnętrzne, logiczne, historyczne i tekstów, przemawiają za twierdzeniem p. Chrzanowskiego i pozwalają wierzyć, że *Kazania Sejmowe* były mówione, że na jednym sejmie i na którym. Kwestya, dla historii literatury nie obojętna, a dla postaci Skargi i jego znajomości bardzo ważna, jest podług naszego przekonania rozstrzygnięta.

Następuje wykład każdego z ośmiu *Kazań* po kolei. Obszerny, gruntowny, uwzględniający wszystkie stosunki, wśród których Skarga mówił, wyjaśniający bystro i trafnie jego stanowisko, jego przekonania i pojęcia, a wnikający pięknie w jego duszę, w jego uczucia i intencje. Doskonały komentarz, którego streszczać nie mamy tu miejsca. Zapisujemy krótko, że jest charakterystyka *Kazań* pod względem religijnym, politycznym i wymowy: w odniesieniu do tych różnych pisarzy, którzy przed Skargą o Rzeczpospolitą się bali, w odniesieniu do pojęć i sto-

sunków czasu, i wreszcie w odniesieniu do Polski, do jej przy-
szłości i losów. Nie znamy drugiego studium o Skardze, któ-
reby nam tak było trafiło do przekonania. Jest zrobione z nauką,
z rozumem, a do tego z duszą, zdolną i rozżalić się i zapalić.
W jednym szczególe autor wydaje nam się niesprawiedliwym
względem Skargi. Kiedy mówi o sześciu stanach, które podług
Skargi składają Rzeczpospolitą, dodaje, że „ta nierówność nie
wytrzymuje krytyki ani ze stanowiska nauki, ani ze stanowiska
sprawiedliwości“. Ale chodzi o to, jak Skarga tę nierówność
rozumiał. Nam wydaje się pewnem, że on nie wyobrażał sobie
tych stanów, odgradzonych od siebie i zamkniętych jak owce
w koszarach. Z pewnością przypuszczał, że syn oracza może
wyjść na hetmana, a syn mieszczanina na kanclerza. Tylko my-
ślał, że każde społeczeństwo ludzkie musi mieć w sobie ludzi
różnych zawodów, różnych powołań i obowiązków, bo inaczej
nie mogłoby żyć. Zamiast słowa *stan*, połóżmy słowo *zawód*
i *rodzaj zatrudnienia*, a wtedy może twierdzenie Skargi nie okaże
się niezgodnem ani z nauką, ani ze sprawiedliwością.

W ostatnich ustępach rozprawy, od XII-go począwszy, znaj-
duje się charakterystyka Skargi, jego związku z poprzednikami
i jego nad nimi wyższości, strony technicznej jego *Kazań* (bu-
dowy, stylu) i zwłaszcza wielkiej duszy, jako źródła wielkich
natchnień. Wolelibyśmy na samym końcu co innego, jak Sło-
wackiego wiersz, i sam w sobie niezbyt jasny, i do Skargi nie
bardzo przypadający. „W Styksowym wykapanu mule“, to i wy-
szukane trochę, i czeze, puste. Coś prostszego a większego by-
łoby lepiej stosowało się do prostej i wielkiej duszy Skargi.

Wydanie jest bardzo dobre; pierwsze podobno prawdziwie
dobre; zrobione podług pierwszego z r. 1597, uwzględnia i przy-
tacza różnice między tem a dwoma następnymi wydaniem. Na
koncu spis wszystkich wydań; było ich przed niniejszem dwa-
naście.

Cieszymy się bardzo, że to wydanie jest dobre, cieszymy
się, że jest, bo potrzebne zawsze i zawsze jakiś skutek spra-
wić może, choć go poprzednio dotąd niestety sprawiło tak mało —
ale wyznajemy, że szczególnie ucieszyła nas ta przedmowa, która
mówi o Skardze to, co o nim powiedzianem, powszechnie wia-
domem, niezmiennie zapamiętanem być winno.

St. Tarnowski.

— Walery Gostomski: *Z przeszłości i teraźniejszości*.
Studia i szkice krytyczno-literackie. Wydawnictwo Arkonii.
(Warszawa, Gebethner i Wolff, 1904). — Znowu więc mamy
przed sobą zbiór szkiców literackich, których tyle w ostatnich
czasach w druku się pojawia. Nie są to osobno dla tej książki
napisane studia, ale przedruki dawniej w rozmaitych czasopis-
mach (o ile pamiętamy: w starem *Ateneum*, *Bibliotece Warszaw-
skiej*, *Czasie i Przeglądzie Powszechnym*) ogłoszonych artykułów.

Wobec tego nie zamierzając szczegółowo ich treści podawać, ograniczamy się tylko na spisie omawianych materyj. Oto one: „Świat nadprzyrodzony w *Boskiej Komedyj*; Liryka religijna Mickiewicza; Idealy literackie w *Odzie do młodości*; Arcydzielo komedyi polskiej; Dramat wagnerowski; Teatr w Beyreuth i jego znaczenie; Wagnerowski *Pierścień Nibelunga*; Fryderyk Nietzsche jako przedstawiciel antychrześcijańskiego humanitaryzmu; Gabryel d'Annunzio; Gabryel d'Annunzio jako dramaturg; Leon Tołstoj i ostatnia jego powieść *Zmartwychwstanie*; *Krzyżacy* Sienkiewicza; Liryka Kasprówicza“.

Już ten regestr wykazuje, jaką jest indywidualność p. Walerego Gostomskiego. Jest idealistą czystej wody, ale od p. Matuszewskiego n. p. dzieli go hasło „sztuka dla sztuki“, którego jego warszawski kolega, jak niedawno widzieliśmy, jest zwolennikiem, gdy przeciwnie p. Gostomski żarliwie przeciw niemu przemawia, a sympatyę ma dla utworów sztuki, stosowanej do ideałów natury niejako duchowo-utylitarnej, jak n. p. głośna rosyjska powieść. A jakie są te ideały p. Gostomskiego? Ze wszystkich krytyków-estetyków, zajmujących się nowszą literaturą, jest on najbardziej chrześcijańskim, dokładniej mówiąc, katolickim. Nietylko w chronologicznym i zewnętrznym porządku, lecz i w duchowym porządku na czele książki stoją rozprawy o Dantem i o religijnej poezji Mickiewicza, a na odwrót najwyższem oburzeniem tchnie rzecz o Nietzschem, którego p. Gostomski uważa za przedstawiciela „antychrześcijańskiego humanitaryzmu“. W tych religijnych ideałach krytyk zbliżonym jest n. p. do prof. M. Zdziechowskiego, o którego *Szkicach literackich* kilka lat temu mieliśmy tu sposobność mówić. Blizkim mu jest, ale i różnym: krakowski profesor ma w swem religijnem uczuciu, obok składników ściśle katolickich, elementy i romantyzmu i mistycyzmu i społeczno-narodowo-rasowego idealizmu; p. Gostomski jest wyłącznie katolickim, jego wiara — nie potrzebujemy dodawać, że w całym tym wywodzie mówimy tylko o literatach, nie o ludziach — jego wiara jest prostsza, naiwniejsza, bardziej dziecięca. Taką samą jest jego etyka: cicha i spokojna, altruistyczna i ofiarna, burz życia, męczarni duszy prawie nieznająca, a przynajmniej bardzo powierzchownie je sądząca. Odbija się to w krytyce: rzecz o ideałach filareckich *Ody do młodości* lub o *Ślubach panieńskich*, wypadła wybornie — analiza namiętnego d'Annunzia natomiast jest słabą i płytką.

W ogóle wygląda z tych kart natura dobra, łagodna, szlachetna, lecz — jak się to często przy takim temperamencie i usposobieniu zdarza — pohopna do optymistycznych złudzeń z jednej, a dobrotliwego moralizatorskiego upominania z drugiej strony. Czy n. p. Dante był istotnie tak bezwzględnie prawowiernym, jak to p. Gostomski przedstawia w swem studyum, zresztą ogromnie cennem i bardzo pięknie napisanem? Pozwalamy sobie wątpić,

choć przy swem zdaniu się nie upieramy, choćby dlatego, że nie mamy tu czasu na jego uzasadnienie. Lecz stanowczo stwierdzić musimy omyłkę autora, gdy *Parciwala* Wagnera uważa za dzieło „nawskroś chrześcijańskim duchem przeniknięte“ (str. 258 w rozprawie o Nietzschem, a taksamo poprzednio, w studyach o Wagnerze). W ogóle p. Gostomski, mimo wszystko, Wagnera jednak do głębi nie rozumie, może dlatego, że nie uwzględnił wcale wpływu filozofii Feuerbacha, a błędnie pojął wpływ Schopenhauera, którego parokrotnie chrześcijańskim zwie — znowu w dobrodusznym optymizmie. (Nawiasowo dodamy, że i idei beyreuckiej autor widocznie nie zgłębił, kiedy niegodne zachowanie się międzynarodowej gawiedzi uważa za zniweczenie ideału Wagnera; na tej samej podstawie możnaby lekceważyć najwyższe arcydzieło sztuki, dlatego, że wystrojone lalki obojga płci cisną się na wystawę). Zalatwiwszy się z krytyką utworów d'Annunzia, p. Gostomski pyta: „Czy owa „kometa błędząca“ poezji współczesnej, ów dumny rzecznik nadczołowieczeństwa, śpiewak mistyczno-zmysłowych czarów znajdzie swego Anioła, który go powstrzyma na błędnej drodze i ostrzeże przed zgubnym urokiem otehlani-pychy?“ Tak przemawia moralista, nie estetyk, bo ten wie, że d'Annunzio tylko tak pisać musi, jak pisał dotąd, jeśli chce być sobą; spotkawszy owego Anioła, prawdopodobnie przestałby pisać lub pisałby jak tysiące innych, na czem literatura stanowczo straciłaby. Podobnie ma się z p. Janem Kasprowiczem, nad którym autor rzewnie ubolewa, „że ten syn ziemi i ludu, który z ojczystej gleby tyle świeżych i żywotnych zaczerpnął pierwiastków, nie wchłonął w siebie dostatecznego zasobu tkwiącej w niej siły duchowej, aby się oprzeć złowrogim mocom nowożytnego dekadencekiego rozstroju!“ Tołstoj znowu uludnie sądzi, gdy ujęty jego chrześcijańskim duchem, nazywa go kilkakrotnie „objawiającem się artystycznie sumieniem współczesnej ludzkości“. Właśnie stojąc na gruncie zasadniczych przekonań p. Gostomskiego, można Tołstoją uważać za sumienie jednostki, nie całej ludzkości, której on, trzymając się litery, nie ducha Ewangelii, daje wprost antyspołeczne rady i przestrogi. Nawet Nietzschego, zgromiwszy go oczywiście w ciągu rozprawy, autor usiłuje u jej końca ratować, widząc w jego teorii „nadczołowieczeństwa“ „mimowolną satyrę na cały współczesny rozwój kulturalny“.

Nie rozpatrywaliśmy dotychczas artystycznych i historyczno-literackich wywodów p. Gostomskiego, bo jest on przede wszystkim rzecznikiem religijno-etycznych ideałów. Nadmienić jednak trzeba, że rozbiór *Krzyżaków* jest ciepły, a rozdział o *Ślubach panielskich* wprost doskonały. Kto kocha to „arcydzieło komedii polskiej“, wdzięcznym będzie autorowi za owo studyum; kto patrząc na zmniejszanie się miłości ku tej pogodnej komedii u młodego pokolenia, chce je przekonać, znajdzie

w niem najlepszy po temu środek. Jeden tylko brak odczuć się musi: autor, charakteryzując trafnie i ogólno-ludzką i narodowo-polską prawdę postaci, zapomina o ich związku z daną, dzisiaj już minioną epoką; grając — jak obecnie — sztukę w historycznych kostymach, czyni się tak właśnie w uznaniu tej jej cechy.

W całości więc książka, na której szczegóły nieraz i z zasadniczych i z rzeczowych powodów nie zgadzamy się. Ale czy o to chodzi, by każde zdanie autora potwierdzać i swoim podpisem? Dość, że mówiąc zajmująco i mądrze, występuje od początku do końca jako jednolita, świadoma swych przekonań i ideałów indywidualność, a utwory takich ludzi zawsze są godne poznania. Schodząc do drobnostek, protestujemy przeciw dziwacznemu w brzmieniu i ortografii przymiotnikowi „niezejowski“ (str. 263 i na wielu innych miejscach), a taksamo i przeciw „powieści ruskiej“ w znaczeniu: „rosyjskiej“, czego zakordonowa cenzura dawno już przestała wymagać.

Dr. J. Flach.

— *Erinnerungen von Ludwig Barnay*. 2 tomy (Egon Fleischel & Co, Berlin, 1903). — Przed kilkoma miesiącami omówiliśmy na tem miejscu Pamiętniki p. dr. Tyrolta, sławnego w niemiecko-austriackich krajach komika. We *Wspomnieniach* p. Ludwika Barnaya mamy książkę może jeszcze ciekawszą a zarazem zupełnie odmienną. Różnica leży nie tylko w zewnętrznych okolicznościach, jak np. tej, że p. Barnay, aczkolwiek rodem z Węgier, prawie całą działalność artystyczną rozwinął w państwie niemieckiem lub dalszych ziemiach, nawet na drugiej półkuli, albo też fakt, że był przede wszystkim tragikiem. Nie, przeciwieństwo tkwi daleko głębiej. Tam przemawiał aktor, lecz aktor nie tylko mający formalne prawo — rzadkie bardzo u ludzi tego zawodu — umieszczania przed swoim nazwiskiem akademickiego tytułu, ale istotnie inteligencyą wyróżniający się od kolegów, i to nie tylko jej stopniem, ale i jakością. Stąd jego pamiętniki czytało się z dużem zajęciem, znajdowało się w nich ustępy pierwszorzędnej literackiej piękności lub niezwykłego smaku estetycznego, dusza aktorska jednak, dusza histryona z tych kart w całej nagości i jaskrawości nie wyglądała, lecz jakby — że użyjemy najstosowniejszego w tem miejscu niemieckiego przekładu z Szekspira: *von des Gedankens Blässe angekränkelt*. Na tę bladłość p. Barnay nie choruje. Jego myśl bieżą drożyną dostępną dla każdego, kto posiadał wykształcenie za młodu a potem z konieczności czy zwykłej ochoty zapoznał się z bieżącymi płodami literackimi. Częstych u p. Tyrolta refleksyj na temat dramatów lub ich postaci, tutaj prawie niema; gdy z jednego tomu wie-

deńskiego aktora zebralo się kilka nowych i bystrych prób interpretacyi zawitych zagadnień literacko-dramaturgicznych, tutaj z dwóch woluminów znacznej objętości nie zapamiętaliśmy ani jednej. Ale zato ta książka jest jasnym zwierciadłem aktora, aktora bardzo znakomitego, lecz tylko aktora, jest jego obrazem najlepszym, jaki w nowszej literaturze pamiętnikowej znaleźć można. *Irritable genus* histryonów przedstawione wybornie w tym auto-portrecie: jest i miłość sztuki, ale zawsze z punktu widzenia swoich aktorskich kreacyj, jest — do czego może żydowskie pochodzenie p. Barnaya także się przyczynia — wysokie trzymanie o sobie i swoich przyjaciółach lub wielbicielach, jest oburzenie wobec intrygantów a zarazem niemala skłonność do intrygowania, serdeczność prawie patetyczna wobec ludzi, którym się co zawdzięcza, a zacięta mściwość, zazwyczaj formę ironii przybierająca, wobec tych, którzy autorowi kiedyś dali się we znaki (p. Barnay nawet własnej żonie nie przebacza!). Słowem autor sam pełen temperamentu stoi w ogniu walki jako człowiek i jako artysta — na obu polach miał nieprzyjaciół — a to sprawia, że rzecz jest ciekawą nawet tam, gdzie nie jest miłą. Jeden przykład, jak autor się wobec nieprzyjaciół zachowywa, przykład charakteryzujący i jego i ich. W Wrocławiu, dokąd na gościnne występy p. Barnay przyjechał, pewien kolega i „przyjaciel“, spotkawszy go na ulicy i chcąc mu „delikatnie“ dać do zrozumienia, że jego przybycie bynajmniej nie jest wypadkiem dnia, tak go zagaduje: „A, pan Barnay! A pan co tutaj robi?“ — „Furore“, odpowiada p. Barnay!...

Materyał, zapelniający te dwa tomy, jest olbrzymi. Dość powiedzieć, że p. Barnay był aktorem przez czterdzieści lat, grał tysiące ról, występował w 98 teatrach, i to zarówno w Niemczech, jak i na gościnnych występach w Paryżu, Hollandyi, Rosyi, Ameryce. Kto tak urozmaicone i bądź co bądź w znaczne i znaczące zdarzenia obfite życie prowadził, ten nawet bez wyjątkowego daru obserwacyjnego i narracyjnego może na długi czas przykuć do siebie uwagę czytelnika. Z niemieckich scen szczególnie barwnie przedstawione lata, spędzone przy dwóch berlińskich teatrach *Niemieckim* i *Berlińskim*; w pierwszym autor razem z Possartem i Haasem należał do wzorowanego na paryskiej *Komedyi francuskiej* grona „socyeterów“, drugiego sam był założycielem i dyrektorem. Oba ustępy pouczają o doli i niedoli teatrów, kierowanych ręką aktorów zawodowych. Rozdział o Meiningerczykach, to znowu bardzo ciekawa część *Wspomnień*, zwłaszcza, że p. Barnay, wystąpiwszy w r. 1872 po raz pierwszy w nich jako Markiz Poza, wziął w dwa lata potem — naprzód w swej najwspanialszej kreacyi Marka Antoniusza — udział w pierwszej gościnie Meiningerczyków w Berlinie, stanowiącej, jak wiadomo, epokę w dziejach może nie niemieckiego tylko teatru. Opowiadanie o gościnnych występach za granicą

również na baczną uwagę zasługuje, zwłaszcza ze względu na to, że p. Barnay mówi nie tylko o swojej działalności, ale i o obcych aktorach, np. Mounet-Sullym, Salvini, Irvingu, oraz — prawda że z aktorskiej perspektywy — o tamtejszych społeczeństwach. W końcu o najważniejszym czynie autora się czyta, o założeniu t. zw. *Genossenschaft Deutscher Bühnenangehöriger*, powstałem w roku 1875 potężnem stowarzyszeniu niemieckich aktorów, do dziś dnia skutecznie broniącym artystycznych ich i materialnych interesów, często przeciw uroszczeniom skartelowanych w *Bühnenverein* kierowników scen. Prawdziwą ozdobą obu tomów są piękne heliogramy i ryciny z wyobrażeniem autora bądź jako człowieka bądź jako aktora; najwspanialsza przedstawia go jako Marka Antoniusza w *Juliuszu Cezarze* Szekspira i jest kopią obrazu Alma Tademy.

Zalecając w krótkim przeciągu czasu drugie już niemieckie Wspomnienia aktorskie, szczerze żalujemy, że nie możemy tego uczynić wobec polskich — bo takich niema niestety. Jestto objaw istotnie dziwny a smutny, że nasi aktorowie nie piszą pamiętników, że wogóle nie piszą. (Z ostatnich lat z fachowych prac polskich aktorów znamy tylko cenne dzieło ś. p. A. Trapczy: *Podręcznik sztuki dramatycznej*). Prawda, że w Polsce teatrów niewiele, a występów polskich aktorów na obczyźnie jeszcze mniej, tak że jedna chyba p. Modrzejewska (u p. Barnaya kilkakrotnie wspominana jako „Modjeska“) mogłaby dać pamiętniki obfitością i różnorodnością treści zbliżone do książki p. Barnaya. Ale w skromniejszym zakresie i polscy artyści dramatyczni mogliby sobie zbudować trwały pomnik, współczesnym dać bardzo zajmującą lekturę a ubogiej historii polskiego teatru dostarczyć cennego, bo niejako poufego materiału. Wiedząc, że czytać lubią, to sprawozdanie dla ogółu czytelników przeznaczone, kończymy skromną a usilną prośbą do polskich aktorów: Piszcie i wy takie książki, jak dr. Tyrolt lub p. Barnay.

Dr. J. Flach.

— Paul Ghio: *L'anarchisme aux États-Unis*. (Paris, Armand Colin, 1903, str. 194). — P. Paweł Ghio rozróżnia ściśle między anarchizmem „intelektualnym“ i „rewolucyjnym“; pisma i działalność Benjamina R. Tuckera przedstawia nam jako główny i typowy wyraz dążeń objawiających się w grupie pierwszej. Tucker widzi przyczynę wszystkiego złego na świecie w organizacyi państwowej, zupełna wolność jednostki jest dla niego ideałem, walczy zatem nie tylko z dzisiejszym kapitalistycznym ustrojem, ale także potępia równie silnie socjalizm kolektywistyczny Marxa i jego adeptów, ponieważ ten sposób doskonalenia ustroju społecznego polega na wzmocnieniu atrybucyj państwowych. Jego skrajnemu indywidualizmowi cięża nie tylko instytucje polityczne, równie zniechęcającym jest mu wszelki przymus moralny. Uznaje tylko jedną zasadę etyczną:

Mind your own business — niech każdy dba tylko o swoje sprawy, wszelkie mieszanie się do cudzych interesów jest zamachem na wolność bliźniego. Zdaniem Tuckera anarchistyczny sposób myślenia, o ile jest logicznie zastosowany do problemów teologicznych, łączy się ściśle z ateizmem. Pojęcie bóstwa nie da się odłączyć od idei autorytetu.

Ten, kto wierzy w Boga, musi także uznawać obowiązek posłuszeństwa wobec tej najwyższej istoty, co znowu mieści w sobie ograniczenie wolności osobistej. Dalszą naturalną konsekwencją tych zasad jest odmówienie racyi bytu małżeństwu w jego dzisiejszej formie; anarchiści intelektualni uważają za wskazane jedynie związki dobrowolne między mężczyzną a kobietą, które każdej chwili jednostronnie rozwiązane być mogą. Własność jest dopuszczalną, ale tylko na wytworach osobistej pracy, a zatem rolnik może być właścicielem kawałka ziemi, który sam uprawia. Ale kto ma być właścicielem środków produkcji przemysłowej (maszyn etc.)? Na pytanie to system Tuckera nie daje dostatecznej odpowiedzi. Nie wiadomo również, wedle jakich zasad nastąpi podział wytworu, będącego wynikiem wspólnej pracy szeregu jednostek.

Praktyczne trudności urzeczywistnienia tego rodzaju idealnych ustrojów społecznych występują jaskrawo na jaw, gdy na porządku dziennym staje określenie sposobów przejścia z dzisiejszej do przyszłej organizacyi. Anarchiści intelektualni nie pochwalają prób skierowanych do tworzenia osad, złożonych z wyznawców ich systemów. Liczne kolonie komunistyczne, zakładane w ostatnich kilkudziesięciu latach w Stanach Zjednoczonych i w innych państwach amerykańskich, upadły, zostały się nieliczne resztki.

Zdaniem p. Pawła Ghio, osady jeszcze istniejące nie różnią się wybitnymi znamionami gospodarczymi od otaczającego społeczeństwa; są one poprostu gminami wyznaniowymi, pod każdym względem zbliżonymi do katolickich zakonów (*communautés confessionnelles de tout point semblables aux congrégations catholiques*). „Nie są wyobrazicielami protestu przeciwko wymogom współczesnego życia społecznego, ale raczej objawem poddania się jego przykazaniom, odosobniają się od świata w kontemplacyi cnoty wiekuistej“ (str. 59). Pisarze, przeciwni poglądom socjalistycznym i anarchistycznym, wyrażali często przekonanie, że ustrój ściśle komunistyczny może być urzeczywistniony w praktyce tylko w duchu ściśle religijnym, albowiem tylko w ten sposób można dojść do podporządkowania interesów osobistych jednostek należących do ustrojów komunistycznych względem ogólnego dobra. Pośrednie stwierdzenie tego poglądu przez pisarza o zasadach, zbliżonych do anarchistycznych, jest szczególnie bądź co bądź charakterystycznym.

Anarchiści intelektualni inaczej sobie wyobrażają urzeczywistnienie swych ideałów. Tolstojowski bierny opór jest zalecanym przez nich sposobem działania. Odmowa zapłaty podatków państwu, czynszu i procentu właścicielom nieruchomości, względnie wierzycielom, niestawianie do wojska — oto droga do upragnionego raju na ziemi. Tucker wzorem Proudhona kładzie wielki nacisk na reformę kredytu i cyrkulacji pieniężnej. Za jedną z koniecznych zmian uważa Tucker, ażeby wyznawcy anarchizmu puszczali w obieg w miarę potrzeby pieniądze papierowe, które każdy miałby prawo podpisywać i wystawiać (*free money and free banking*), na tej drodze spodziewa się dojść do kredytu bezpłatnego. W razie, jeżeli większa grupa ludzi zasady te konsekwentnie zacznie wprowadzać w życie, wówczas, zdaniem anarchistów intelektualnych, władze państwowe nie ośmielią się przymocą wymuszać posłuszeństwa ustawom. Użycie środków gwałtownych, rewolucyjnych, dopuszczają zwolennicy tego systemu tylko w wypadku, gdy państwo krępuje swobodę słowa i pisma, gdy stawia przeszkody agitacji pokojowej, której celem jest zdobycie liczego grona wyznawców.

Anarchiści rewolucyjni innego są zdania: potępiają stanowisko pokojowe Tuckera i jego zwolenników, zalecają walkę dynamitem i innymi podobnymi środkami przeciwko obrońcom istniejącego porządku społecznego. P. Ghio i Tucker kładą wielki nacisk na tę różnicę w zapatrywaniach na dobór środków wiodących do celu, zupełnie zresztą identycznego dla obu grup anarchistycznych.

W praktyce życia rzecz przedstawia się nieco inaczej. Zasada biernego oporu jest sprzeczną z chęcią do czynu, wrodzoną znacznej większości ludzi. Drogą rozumowania i przekonywania nie można osiągnąć natychmiastowych rezultatów, wymaga ona z natury rzeczy dłuższego czasu. Głosząc możliwość raju na ziemi, stawia się przed oczyma czytelników i słuchaczy ideał tak ponętny, że niepodobna nie wywołać gorącej chęci jego jak najrychlejszego urzeczywistnienia. Do anarchizmu lgną przede wszystkim ludzie niezamożni, ponieważ nie mają do stracenia, a zdaje im się, że mają dużo do zyskania, i ludzie niewykształceni (zwłaszcza niewykształceni w naukach społecznych), ponieważ nie są w stanie ocenić trudności urzeczywistnienia swych skrajnych ideałów. Posiew na ten grunt, rzucany przez anarchistów intelektualnych, wschodzi aż nadto często w formie anarchizmu rewolucyjnego. Podział na te dwie grupy ma niezawodnie doniosłe znaczenie, gdy chodzi o ocenę jednostek, biorących udział w ruchu anarchistycznym — natomiast schodzi na drugi plan, gdy mowa o ogólnem oddziaływaniu tych poglądów.

W Stanach Zjednoczonych głównymi ogniskami anarchizmu rewolucyjnego są Paterson i Chicago; Paterson jest miastem zaludnionem przeważnie przez Włochów, zatrudnionych w tamtej-

szych fabrykach; na zebraniach anarchistycznych w Chicago element słowiański, zwłaszcza polski, odgrywa znaczącą rolę; wielki udział Polaków wyjaśnia autor tem, że są najliczniejsi w świecie, „który cierpi głód“. P. Ghio opisuje zebranie anarchistyczne, złożone przeważnie z Polaków; obradowano na niem po niemiecku, jako w języku dla wszystkich zrozumiałym, ze względu na obecność grup węgierskich, niemieckich i czeskich. Odczytywano wyjątki z książki Bakunina: *Bóg i państwo*, poczem przeprowadzono nad niemi dyskusję. Mistycyzm słowiański i pobudki patryotyczne nadają, zdaniem autora, ruchowi anarchistycznemu w Chicago odrębne znamiona.

Dr. A. K.

Z literatury powieściowej.

— *Die arme Kleine*. Erzählung, von Marie von Ebner Eschenbach. Mit 3 Farbendruckbildern und 22 Textillustrationen von F. Hass. (Berlin, Verlag von Gebrüder Paetel, 1903). — Sędziwa autorka, w r. 1900 w siedmdziesiątą rocznicę urodzin przez wiedeński uniwersytet doktorem filozofii *honoris causa* mianowana, p. baronowa Marya von Ebner-Eschenbach w ostatniem dziele staje na gruncie rodzinnej ziemi, którą w życiu i w powieściach tak bardzo ukochała. Chociaż nienazwaną, widzi się morawską ziemię, przez czeską ludność wiejską zamieszkaną, podczas gdy na zamku w Velicach, jak i w sąsiedniej Valahorze osiadły od wieków rody niemieckie. Często pochodzą stąd przeciwnieństwa, nawet walki, zwłaszcza wtedy, gdy i „wieś“ i „zamek“ wciela się w przedstawicieli najmłodszego pokolenia, skorych do zwady i bitki chłopców. Na zamku w Velicach jest ich trzech: Józef, Leopold i Franciszek, synowie pana von Kosel, którego piękna żona umiera, obdarzywszy męża słabiutkiem dziećciem, jedyną córeczką. Ta Angelika, krótko Eliką zwana, jest tytułową bohaterką opowiadania, a również i w jego obrazkach — nie zawsze pięknych — pierwsze zajmuje miejsce. Od urodzenia zwana „biedną małą“, jest nią, a po części chce być za nią uważaną, spostrzegłszy rychło, że wszyscy dlatego każde jej życzenie, nawet każdy kaprys natychmiast spełniają, aby tylko „biedna mała“ nie rozchorowała się ze zmartwienia i nie umarła. Szczęściem, że dziecko, widocznie złote mając z natury serce, w tych warunkach się nie psuje, a używa ich tylko do tego, by w szczupłym zakresie dzieciennego widnokregu ludziom, szczególnie krewnym i domownikom, dobrze czynić.

Krytyk, mimo wyraźnej woli autorki, nie może jednak Eliki uważać za pierwszą osobę powieści i przypuszcza, że tak tytuł, jak i obrazki, są jedynie wynikiem życzenia wydawców, którzy dzieło sławnej w Niemczech autorki chcieli zalecić także i rodzicom, kupującym gwiazdkowe podarki dla podrastających

panienek. Niech one się zachwycają tą „biedną małą“, my pochwaliwszy jej rzetelną, lecz nie po raz pierwszy w powieści spotykaną poezję, lekką i powiewną, a zazwyczaj od czułości kowości wolną, przypatrzymy się innym postaciom, nie mniej udatnym a świeższym i samodzielniejszym. Taką zaś jest przede wszystkim ojciec Angeliki, pan Feliks von Kosel. Zrazu wygląda na bardzo tęgiego, bardzo męskiego człowieka, a młoda żona ma dla niego nie tylko miłość, ale i podziw. Rychło jednak przekonywa się, że jej mąż jest umysłem powszednim, wyjątkowym chyba ze względu na brak wszelkiej energii; wtedy kocha go jak dawniej, ale miejsce podziwu i czi zajmuje szlachetna litość i pomocność. Wreszcie, gdy żona umiera, Feliks, pozostając dobrym i zacnym, podupada na umyśle, jest jakby nieprzytomnym, a ma tylko jedną myśl: czytanie i składanie wszelkich możliwych gazet. Pani Ebner-Eschenbach stworzyła w tej postaci nowy dowód i głębokiej znajomości duszy ludzkiej i wykwintnego smaku artystycznego, dzięki któremu ani na chwilę nie wkracza w dziedzinę karykatury. Ustrzegła się autorka przed przesadą i w opisie buńczucznej młodości trzech paniczów, z których najstarszy Józef jest może najwybitniejszą osobą całego tomu. Nowym ten typ chłopaka dobrego, ale niesfornego, do książki leniwego, do awanturniczych przygód pohopnego, nowym on oczywiście nie jest, ale pani Ebner-Eschenbach znane rysy nakreśliła z dużą sztuką, życiem i prawdą, a przydała do nich jeden jeszcze. Oto Józef ucieka z domu ojcowskiego nie dla szukania romantycznych doświadczeń jedynie, lecz by uciec przed znacznie starszą ciotką, ładną Ludwiką, samotną dziedziczką sąsiedniego dworu, która w nim widzi smarkacza, a nie adoratora. Józef przez Hamburg wybiera się do Australii, gdzie pomaga w pracy Bornholmowi, panu na Valahorze, okrzyczanemu przez sąsiadów, tak słowiańskich wieśniaków, jak i niemiecką szlachtę, za ateusza, cynika i brutala; Bornholm chroni się w tak dalekie strony zrazu sam, potem z tą samą Ludwiką, jako żoną. Wreszcie w szeregu naczelnych figur nie można pominąć Heideschmieda, nieszczęśliwego guwernera rozhlukanych chłopaków, postać równie nie pierwszy raz w powieści spotykaną, lecz bardzo głęboko pojętą i szczerze wzbudzającą współczucie, z początku tylko w czytelnikach, później i w najmędrszym z braci, Józefie.

Ostatni utwór nestorki niemieckich powieściopisarek ma zdawna cenione zalety jej umysłu i pióra: spokój, pogodę, wykwintność wyobraźni i stylu, wreszcie zajmującą akcję, nie dochodzącą do wyżyn dramatyczności, ale i nie spadającą w niziny pospolitości lub nudy. Jeśli jednak ostatecznie *Biedna mała* do najcelniejszych dzieł pani bar. Ebner-Eschenbach zaliczoną być nie może, to przyczyny jej mniejszej wartości łatwo wykryć. Oto opowiadaniu brak głębszego podkładu ideowego; ani w akcji, ani w charakterach nie przejawia się potężna myśl, w któ-

rejby skupiały się jednostkowe chwile i części powieści. Stąd ta książka daje tylko parę godzin szlachetnej i artystycznej rozrywki, a taki wynik nie wyczerpuje całego znaczenia, jakie sędziwa autorka dawniejszemi utworami posiadała.

Dr. J. Flach.

— *Novellen des Lyrikers* von Hugo Salus. (Egon Fleischel & Co., Berlin, 1903) — „Ach, bezkarnie nie jest się przez dwadzieścia lat swego życia lirykiem, tylko lirykiem! Bez smutnych skutków nie skanduje się swoich uczuć rok za rokiem, rok za rokiem! Nie można bez szkody myśleć przez niemal połowę życia w rytmach! Tak i ja oduczyłem się powoli czuć w prozie, myśleć w prozie, a przecież tęsknię do niej bezustannie, do szanownego gościańca mowy, który nie zawsze przez ogrody kwiatowe i uroczyście szumiące gaje, lecz czasem także przez pola zbożem i kartoflami pokryte prowadzi“. Tak spowiada się p. Hugo Salus, bardzo miły i bardzo uzdolniony liryk, występując po raz pierwszy z nowellami. Mają one swój osobiwy a niezmiernie pociągający urok. Są przede wszystkim istotnie *Nowellami liryka*. To, co stanowi zasadniczą cechę poety lirycznego: bezwzględny subiektywizm, przepelnia te karty całkowicie. Wszędzie p. Salus mówi i sam i o sobie, nigdzie nie kusi się o przedmiotowość, przeciwnie, z naiwną zarozumiałością, cechującą liryków, z siebie robi środkowy punkt opowiadania, a nawet tam, gdzie osobiście w akcji udziału nie bierze, przypomina, że jest przynajmniej opowiadaczem. Ta osobista nuta w epice może nieraz razi i niecierpliwi, lecz z drugiej strony zawdzięcza się jej piękność niejednej nowelli, w materialnej treści ostatecznie bardzo bląhej. Ot, jest n. p. na starym rynku w Pradze ów sławny zegar z poruszaniem kunsztownym mechanizmem figurami; gdy bije godzina, Śmierć otwiera paszczę, wydzwania czas i znowu bezzębne szczęki zawiera. Raz wpadła w paszczę potwora biedna jaskółka właśnie wtedy, gdy zegar wydawał ostatnie uderzenie. I ptaszyna została tam, a wszyscy myśleli, że zgruchotana zginie. Lecz czekali do następnej godziny. I oto za pierwszym otworzeniem się ust Śmierci jaskółka wyfrunęła z nich zdrowa, „tylko trochę zmięta i jakby zawstydzona, a radość i wesoły śmiech towarzyszył jej pierwszemu niezgrabnemu porywowi“. Prawda, że to ładne, ale drobne, nikłe? A jednak p. Salus nie tylko to małe zdarzenie przeprowadza przez pryzmat swego temperamentu, lecz otula je ponadto w czysto osobiste wynurzenia i całości, bardzo pięknej, słusznie daje drugi napis *Z autobiografii (Die Schwalbe)*. Śliczną jest „bajka, która nie jest bajką żadną“, o tem *Skąd się biorą dzieci?* W dzisiejszych czasach, kiedy wychowawcy rozmyślają nad zastąpieniem zbankrutowanego w wierze dzieci bociana innym symbolem, serdeczne opowiadanie liryka-nowellisty ma podwójną wartość. Widnieje zaś w niem i inna zaleta p. Salusa,

której dowodem są niemal wszystkie jego wiersze: oto ten poeta z dziwną, prawie staroświecką lubością mówi o swej rodzinie, szczególnie o żonie, do czego nas dotychczasowa literatura nie przyzwyczaiła.

Z dwunastu nowell, składających się na zgrabny tomik, da się jeszcze kilka udatnych wybrać. Tak n. p. *Das Register*, doskonale w tonie trafiona nocna rozmowa dwóch sióstr, podlotków, które były przed godziną w teatrze na *Don Juanie* Mozarta; bardzo ładnie o nim rozprawiają, a tylko gorszą się, że sławny uwodziciel prowadzi spis kochanek i jeździ po świecie, balamuci dziewczęta i mężatki tylko dlatego, aby w tym rejestrze mieć jak najwięcej pozycji. Dramatyczniejszym jest *Toast*: poeta, będąc na ślubie przyjaciela, podczas uczty weselnej wznosi kielich z życzeniem, by panna młoda u boku małżonka tyle zaznała szczęścia, ile jej matka z jej ojcem; w tej chwili pani domu pada omdlała: niech Bóg broni jej córkę, by mąż tak ją zdradzał beczelnie i bezlitośnie! Głębszą obserwację okazuje nowella o malarzu, który popełnia samobójstwo, przekonawszy się, że w uściskach kochanej kobiety pozostaje chłodnym, a więc niema temperamentu koniecznego dla wielkiego artysty (*Der Handschuh*). Dalszym urywkiem autobiograficznym jest opowiadanie o *Kapielach morskich*, w których autor, z chwilą, gdy otacza go swoboda, ruch i żywiołowa potęga fal morskich, chce być człowiekiem a nie lirykiem, nie literatem i jakimś sentymentalnemu młodzianowi, spragnionemu znajomości sławnego poety, w oczy wesoło a prosto się śmieje. Niezawodnie są w książce i rzeczy słabsze, nawet słabe, ale i te *Novelle liryka* tchną jakąś orzeźwiającą świeżością, której nie mają nieraz lepsze, pisane ręką, że się tak wyrażymy, fachowego epika.

Dr. J. Flach.

— J. Blicher-Clausen. *Kjeld*. Die Geschichte eines Strassenmalers. (Stuttgart, Axel Junker Verlag, 1904). — Nasza znajomość skandynawskiej literatury zmniejsza się z każdym dniem, dokładniej mówiąc: nie dotrzymuje kroku rozwojowi tego piśmiennictwa. Wiemy bowiem o talentach bądź chyłających się ku zachodowi, bądź stojących u zenitu twórczości, lecz nie znamy zupełnie nazwisk nowych. Wobec tamtejszych języków stojąc w przeważnej części bezradnie, nie posiadając polskich przekładów świeżych dzieł, musimy z konieczności chwytac za niemieckie tłumaczenia, i liczne i aktualne. Tak przedstawiliśmy tą pośrednią drogą przed niedawnym czasem polskim czytelnikom Szweða, Gustawa of Geijerstam, dzisiaj zaś wymieniamy pierwszy nazwisko duńskiej autorki pani Jenny Blicher-Clausen (ur. r. 1865, pisze powieści od lat sześciu). Tamten rozpoczął jako naturalista, dzisiaj zaś darzy ogół utworami delikatnej analizy najdrobniejszych przejawów duszy ludzkiej, pani Clausen natomiast na razie czuje upodobanie w silnych realistycz-

nych motywach, tworzących niejako szczytowe punkty psychicznych procesów. Stąd nigdy nie nuży, a to zaleta ważna i przydatna dla pisarzów, zdobywających sobie dopiero rozgłos. Jej *Kjeld* jest więc w pierwszym rzędzie bardzo zajmującym romansem. Jego bohater, biedny lecz zdolny malarz zostaje mężem bardzo bogatej panny, pięknej i pocziwej, lecz lekkomyślnej i trzpiotowatej. Kochają się oboje, chociaż męża upokarza myśl, że wszystko ma odtąd żonie zawdzięczać, a trapi przecucie, że w takich warunkach na wielkie dzieła się nie zdobędzie. Podróż poślubna zaprowadza ich do Londynu. Tu widzą ulicznego malarza, rysującego na bruku portrety przechodniów, którzy płacą mu za uciechę miedziakami. *Kjeld*, wdawszy się z nim w rozmowę, przedstawiwszy się jako także artysta, rzuca mu złotą monetę. Biedny człowiek hojnego datku nie przyjmuje, bo „od kolegów pieniędzy nie bierze, oni przeważnie sami ich nie posiadają“. „Ale ona je ma“ — odpowiada *Kjeld*, wskazując na swą żonę. Uliczny malarz bacznie się obojgu przygląda i rzecze: „Pan musisz być wielkim artystą, jeżeli możesz nawet w złotyach wieczach malować“.

Te słowa są polickiem dla *Kjelda* i zarazem potwierdzeniem jego tajemnych obaw. A jednak na jakiś czas zrywa się do pracy, maluje, tworzy dzieła udatne, sprzedaje je, cieszy się temi pieniędzmi zarobionemi, nawet składa je do kasy oszczędności. Wszystko to czyni dla syna, którego się spodziewa. Ale żona, z egoistycznych pobudek, by sama bólu nie czuła, każe się przy połogu zachloroformować; chłopiec rodzi się nieżywy. *Kjeld* rozpacza, żonie w cichości i głośno zarzuca zabójstwo. I wtedy zaczyna mu się umysł mieszać. Trumienkę z małemi zwłokami wykopuje i chowa w skrzyni, a gdy jest sam w domu, pieści ją i całuje. Widząc, że jest coraz bardziej chorym, dobrowolnie udaje się do zakładu dla obłąkanych. Gdy z niego wychodzi, żona jest narzeczoną innego. *Kjeld* nie chce zmarnieć, owszem w tych przejściach widzi dobroczynne zrządzenie losu, chce pracować, chce być takim malarzem ulicznym, jak ów przed laty poznany. Z trumienką syna jedzie do Londynu, kreśli kredką obrazy na bruku, zbiera jałmużnę przechodniów, pielęgnuje psa przybłądę i małego roznosiciela gazet, który mu tamto zmarłe przed urodzeniem dziecko zastępuje, aż z wycieńczenia sił cicho zasypia na ulicy na wieki. Żona po raz drugi — z innym odbywając podróż poślubną, widzi go raz, lecz po krótkim wzruszeniu idzie swoją weselszą drogą, tłómacząc się przed własnem sumieniem, że i *Kjeld* już jej nie chce.

Na szczupłość lub powolność akcyi uskarżać się czytelnicy tej powieści nie mogą, raczej niejednemu z nich tych wydarzeń zda się być za wiele na niewielką książkę. A jednak mimo, że często niejeden wewnętrzny przełom odbywa się za kulisami a widocznemi są tylko zewnętrzne, nieco niespodziewane jego

skutki, romans ma rzetelny podkład psychologiczny i tam, gdzie autorka zaniedbała wycieniować rysunek, dała przecież tyle zasadniczych rysów, że czytelnik i łatwo i chętnie ich dopełni. Zresztą utwór cierpi nie na brak, lecz raczej na nadmiar, dwiistość naczelnej idei. Kjeld raz jest ilustracją trafnej myśli, że artysta potrzebuje do rozwoju talentu samowiedzy osobistej wartości, samodzielnej indywidualności; drugi zaś raz osiłą powieści jest kontrast stałej wierności mężczyzny a lekkomyślnej niewierności kobiety. Z tego ostatniego źródła wypływa piękny i wzruszający motyw ojca nierozłączającego się z trumienką jedyne go dziecka. Dla tego pomysłu i dla nastrojowych obrazków londyńskiego życia nlicznego malarza, warto zachować w pamięci i tytuł książki i nazwisko autorki.

Dr. J. Flach.

— Frank Norris: *The Octopus*. A story of California. 1 vol. (London, Grant Richards, 1901). — Spóźnionem jest już nieco to sprawozdanie o pięknej powieści zmarłego już autora, powieści, którą czytelnicy *Przeglądu* mogli sami ocenić z fejletonów *Czasu* i z oryginału wreszcie, przedrukowanego na kontynencie w wydaniu Tauchnitza. Frank Norris, pisząc swoją *epopeję pszenicy, the epic of the wheat*, jak ją sam nazywa, pragnął stoczyć walkę na pióra z potęgą *trustów* amerykańskich — czuł więc tak samo, jak prezydent Roosevelt i jak wielu zapewne ludzi szlachetnych w Stanach Zjednoczonych. Tło powieści, to bezsilne zapasy całych zastępów zamożniejszych i uboższych farmerów z kompanią kolei „Pacific and Southwestern“, która to linia przerywa Kalifornię i jest odnogą wielkiej kolei „Pacific“. Przez wspaniałą, urodzajną dolinę San Joaquin biegną dwoma rzędami żelazne szyny, a po nich kilkanaście razy dziennie mknie lokomotywa, widzialny i zniecierpliwiony symbol gnębiciela, zarządu kolejowego. Jej to gwizd, jej piorunowy chód przerywa w nieznośny sposób ciszę i spokój natury, przepięknie i w oryginalny sposób przez Norrisa odczutej; jej koła ćwiertują i miażdżą ciała niewinnych a bezmyślnych owiec, które się przypadkiem dostały na tor, drucianym plotem strzeżony; ona to, zamiast po drodze siać dobrodziejstwa, jest narzędziem udręczenia i obrazem tego potwora, który porwawszy w szpony mienie i życie farmerów, już ich martwych chyba wypuści ze swych śmiertelnych objęć.

W tym zamkniętym światku między Bonneville, stolicą hrabstwa Tulare, a Guadalajarą, dawnem hiszpańskim miastem, dziś uśpionem i już martwem pod palącym słońcem Kalifornii, żyją i ruszają się energicznie nakreślone postacie, jako to Magnus Derrick, nieugięty w swej prawości gentleman i przedstawiciel wielkiej własności, Osterman, ruchliwy i błaznowaty farmer, Annixter, jeden z najlepiej skreślonych typów młodego Amerykanina egoisty, dwaj synowie Derrieka, jeden zwłaszcza ciekawy odstępca, który potajemnie jest stronnikiem kolei i ro-

śnie w zaszczyty, podczas gdy inni giną w nierównej walce. Obok aktorów dramatu, spotykamy widza w osobie młodego literata, poety, który związany przyjaźnią z rodziną Derricków, zrazu obojętny na drobne troski farmerów, cały jest zaabsorbowany myślą o wielkim swym poemacie, nie mogąc jednak znaleźć doń odpowiedniego tematu. Poeta ów, Presley, czuje, że tu, na Zachodzie, na bujnej ziemi kalifornijskiej, wśród niezmiierzonych łąnów zboża, sięgających aż podnóża Sierrów, tu spoczywa w uspieniu poemat jego; to wielki jego temat, który trzeba wydostać i zbudzić z zaklęcia — a tymczasem zatargi farmerów z koleją, ich strapienia z powodu wygórowanej taryfy przewozowej, dokuczania agentów kolejowych, pogróżki drobnych właścicieli i dzierżawców, wszystko to psuje mu nastrój i czar chwili, która już miała mu dać natchnienie. Lecz zatarg staje się wkrótce dramatem, konflikt przybiera odrazu rozmiary tragiczne i temat powstaje gotowy. Wielki i godny genialnego pióra, powstał z szarzyzny tegoczesnego życia — już go nie trzeba szukać w legendach starych Meksykańczyków, którzy po śpiących traktyerniach Guadalajary śpiewają szumne i barwne życie starej Kalifornii. W walce z koleją padają gęsto trupy farmerów, płaczą wdowy, rodziny idą w rozbiecie, mienie grabi „Octopus“, potworna „Ośmiornica“, ta kolej, która zwabiła przed laty ludzi dzielnych i rzutkich do uprawy wielkich ranchów a wabiła nadzieją, że pola przez się uprawiane będą mogli nabyć od kompanii kolejowej po niskich cenach. Ale z biegiem czasu, gdy wartość ziemi przez pracę rancherów wzrosła, kolej wystawia na sprzedaż ranche dla każdego, kto ofiaruje wysoką cenę kupną, śrubuje taryfę frachtową ile się tylko da i sprowadza ruinę ludzi uczciwych i naiwnych, którzy zwodniczym obietnicom kiedyś uwierzyli.

Frank Norris zamierzył napisać epopeę zboża i trzyma się tego w wielkim stylu, czy to malując wielkość przyrody kalifornijskiej, czy kiedy ogarnia okiem skiby ziemi świeżo zoranej, upajającej wonią i kryjącej w łonie tajemnicę swej płodności, czy też gdy chyli czoło w pokorze wobec nieprzejrzanego fal dojrzałej przynicy, wobec matki-karmicielki, której obietnice nie zawodzą, tak jak słowa ludzkie. Jedną z najbardziej zajmujących figur powieści jest niewątpliwie Vanamee, pasterz, rodzaj młodego biblijnego proroka, który w okrutny sposób utracił przed laty ośmnastu ukochaną dziewczynę i odąd tuła się po świecie ze swem stadem owiec, tak niezliczonem i ogromnem, jak to w Ameryce tylko być może, który zjawia się niewiadomo skąd i znika równie tajemniczo. Vanamee włóczy się po nocach, ciągnąc ze sobą smutek i tęsknotę za zmarłą i pohańbioną przez nieznanego zbrodniarza Angellą Varian, miewa widzenia na grobie kochanki, przyzywa ją za pomocą magnetycznej siły, jaką posiada i znajduje odrodzenie w miłości córki Angeli, która pod-

czas jego wędrówek wzrosła u krewnych matki pośród tych pól kwiatowych i tego kwecia, którego wonń niesie w fałdach swej powiewnej szaty, w jasnych włosach i przezczystych rączkach.

Książka obfituje w opisy, nieraz bardzo piękne i oryginalne, ale niekiedy nużące w swej przewlekłości. Rozmaitość jest jednakże wielka, gdy spotykamy tam obrazy dzikiej natury, opis wiejskiej niewymuszonej zabawy w świeżo ukończonej stodołe Annixtera, zabawy, kończącej się według miejscowego kolorytu napadem i strzałami rewolwerów; mamy dramatyczny epizod walki rancherów z urzędnikami, którzy przybyli ich wywłaszczyć, obiad miliarderów w San Francisco, wreszcie szczególną w pomyśle, przejmującą w opisie śmierć agenta kolejowego S. Behrmana. Człowiek ten zły, przebiegły i cheiwy, działający w imieniu kolei i na własną rękę, zrujnował rancherów na przesłrzeni od Bonnevillie do Guadalajary i zagrabił ich mienie. Te żniwa, na które oni czekali, jego są już własnością, ten rok nad inne urodzajny dał mu ziarna moc nieprzebraną. S. Behrman, ciekawy, jak się jego ziarno ładuje do łodzi, nowym sposobem przezeń wynalezionym sypane ze składu wprost na dno okrętu, wpada przez nieostrożność w te ruchome fale zboża i zaduszony, przysypany ginie pod kataraktą ziarna, które spada wciąż jednostajnie i nieubłagane.

Tą śmiercią kończy się książka Franka Norrisa, który postanowił iść śladem pszenicznego ziarna, od chwili, gdy tajemniczo rozwija się i rozpęka w łonie matki-ziemi, aż do jego przeobrażenia się w chleb.

Druga jego powieść ma za przedmiot zboże na wszechświatowym rynku w Chicago; trzeciej części nie pozwoliła autorowi dokończyć śmierć nieubłagana, którą zwalcza Vanamee, nowoczesny prorok, obdarzony szóstym zmysłem. Vanamee, ta może najpoetyczniejsza z kreacyj angielskiej nowszej literatury, widzi we wschodzącem ziarnie symbol wiecznie odradzającego się życia; przeto i grób tajemnicę swą wydać musi i nie ma rozpacz, skoro to, co dajemy ziemi na przechowanie, ona zwraca nam po czasie, choć w innej postaci.

Ciekawym zewnętrznym szczegółem odznacza się londyńskie wydanie powieści Norrisa: mamy tu dołączoną mapę orientacyjną miejscowości, gdzie się akcja odbywa i spis osób jak w dramacie. I jedno i drugie pomaga do szybszego zrozumienia powieści.

J. K.

— Gertrude Atherton: *The Doomsdwoman*. 1 vol. (Leipzig, B. Tauchnitz, 1901). — *The Aristocrats*. 1 vol. (Leipzig, B. Tauchnitz, 1901). — „Złowieszczą“ kobietą w opowiadaniu p. Gertrudy Atherton jest młoda i dumna Hiszpanka, Chonita Iturbi y Moncada, treścią tego opowiadania miłość Chonity do Don Diega Estenegi, pochodzącego z wrogiej dla niej rodziny, tłem, piękna kalifornijska kraina, a czasy nieco odległe

gdy Kalifornia zależała od Meksyku i zaledwie kilku postępowych jej synów, widząc przyszłość tej ziemi w zlanu się ze Stanami Zjednoczonymi, marzyło o odstępstwie, które znaczyło tyle, co zdrada kraju. Do takich niepatryotycznych, ale praktycznych Hiszpanów należał Don Diego Estenega; jako jeden z najbystrzejszych umysłów, wybitny członek Departamentalnej Junty, widział on i czuł lekkomyślność i martwość moralną swych ziomków, których smutnym przedstawicielem, rwącym się do błyszczącej roli politycznej, był brat Chonity, piękny Reinaldo Iturbi y Moncada. Estenega był to na owe czasy człowiek oczyszczony i śmiały, bo nawet takie książki znał, które księża publicznie palić kazali, zabójczy zresztą dla kobiet w swych podtojach, pełen energii, jednym słowem bohater, godny romansu z przed r. 1840.

Autorka wprowadza nas odrazu do domu gubernatora Alvarado w Monterey, gdzie się odbywają przez tydzień uroczystości z powodu chrzeń pierworodnej córki gubernatora. Cały ten barwny świat ukostyumowanych Hiszpanów, za którym tak tęskni poeta nowoczesny Presley w powieści Norrisa p. t. *The Octopus*, przesuwają nam przed oczy pani Atherton w krótkich obrazach. Każdy niemal rozdział powieści przeznaczony jest jakiemuś opisowi, charakteryzującemu ówczesne rycerskie życie, gdy mężczyźni chodzili w aksamicie i złotych haftach i koronkach, gdy kobiety myślały tylko o tańcu, zabawie i miłości, gdy środki komunikacyjne nie istniały, a syn brał na konia przed siebie matkę, brat siostrę i w ten sposób jeździli na bale, na fety, na wesela. Jeżeli czego nie brak w tych obrazach, to drobiazgowo malowanych kostyumów, zastosowanych do każdej okazyi i zabawy; opisy natury wypadły słabiej, sama jednak psychologia osób działających ma dość powabu, aby mogła pochłoniąć i zainteresować.

Chonita Iturbi y Moncada zrazu usuwa tylko nienawiść dla wroga swej rodziny, dla tego niezwycięzonego Don Diega, który jest rywalem jej brata na polu polityki; lecz nieprzeparty urok rozumu i energii Don Diega, połączony z jego silnem postanowieniem, że miłość Chonity zdobyć musi, tyle sprawiają, iż zajmuje się ona nim ciągle i wyłącznie, a choć nienawidzi go tak dalece, że przez miesiące całe oddala ją ta nienawiść od stopni konfessyonału, przecież w końcu ulega potężnemu i słodszeemu uczuciu i sama przed sobą do niego się przyznaje. Ale do zaślubienia Don Diega jeszcze daleko, mimo że ojciec Chonity, nie dzielący rodowych zawiści, nie miałby nic przeciwko temu, a brat jej Reinaldo, charakter chwiejny i nędzny, błaga nawet siostrę, aby ze względu na przyszłą jego karierę zgodziła się na małżeństwo z rozkochanym w niej Estenegą. Chonita jednak nie ulega licznym namowom; nie będzie żoną wpływowego i świetnego Don Diega, bo zna jego zasady, jego

pogardę dla jej wierzeń i dla Kościoła, przeczuwa brak patriotyzmu i lęka się jego zamysłów dla przyszłości Kalifornii. Dopiero gdy Reinaldo przez zemstę podstępnie zniszczył zamiary Don Diega, gdy ten ostatni, widząc spisek w około i drogę bez wyjścia, napadnięty w lesie przez Reinalda, zabija go w oczach siostry, broniąc siebie, wtedy przepadają uprzedzenia i przesady i Chonita, widząc w ukochanym nieszczęśliwego rozbitka, którego czeka los zabójcy ściganego przez prawo, klęka przy nim i tuli się do jego piersi. Co się dalej stało, nie wiemy; na tym akcie upokorzenia i miłości kończy się powieść, nazwana w tytule „historycznem opowiadaniem ze starej Kalifornii“. A musi być ciekawą kraina, która nęci pióra zdolne i mniej zdolne, której tak do twarzy było z malowniczymi i fantazyjnymi postaciami zuchwałych Hiszpanów, naiwnych a przesądnych Hiszpanek, zastąpionych obecnie przez rancherów w szarych koszulach i perkalikiem odziane skromne ich żony i córki.

Nie ulega jednak wątpliwości, że autorka obraca się swobodniej wśród ludzi, których zna, widziała i słyszała, niżeli w zamarłym świecie wspomnień, który wskrzesić i ożywić nie każdemu jest danem talentowi. *The Aristocrats*, książka jej pióra, choć wydana bezimiennie, jest garstką listów i wspomnień młodej panny z angielskiej arystokracji, przesiedlonej na czas jakiś do Ameryki Północnej. Lady Helen Pole ma lat dwadzieścia sześć, zmysł spostrzegawczy i wykształcony, a zatem możemy zaufać jej sądom i spostrzeżeniom, które są miejscami pełne dowcipu i delikatności. Brat Lady Helen, bogaty książę, zdobniałe przez siostry Bertie zwany, zachorował ciężko; wobec piersiowej choroby lekarze starego świata wysłali go do Stanów Zjednoczonych, aby w miejscowości niesłychanie uroczej, zdrowej i wysoko położonej szukał zdrowia i sił. Miejscowość ta, wspominana już przez autorkę w poprzednich powieściach, to owe słynne Adirondacks, grupa jezior pomiędzy górami, których urok i malowniczość pobija wszystko, co się widzieć może.

Opisy tych gór, pokrytych starymi lasami, poranki nad jeziorem, skwar południa w tajemniczych zagłębiach leśnych, niezmierna cisza tego zakątka, dającego tak zupełnie o reszcie świata zapomnieć, występują pełne uroku w listach Lady Helen Pole. Jednakże wdzięk tej książki polega głównie na dowcipnem i wesołem przypatrywaniu się prawdziwej wielkiej pani starego świata republikańskiej garstce Amerykanów, którzy są największymi, jacy istnieć mogą, arystokratami, o duszach sztywnych, o wyschniętych sercach, o mózgach wydatnych i pysznych, przejętych jedną tylko ideą przewodnią: wyniesienia się nad drugich, dotarcia do tej nielicznej gromady wybranych, jakim jest najwyższe towarzystwo nowojorskie.

Lady Helen czuje się prostem dzieckiem natury wobec tych ludzi, którzy zdołali osiągnąć stopień poprawności, dla

niej niedościęły, zarówno w mowie, jak w obejściu, którzy umieli nakazać milczenie wszelkim porywom serca. Towarzystwo to, zebrane nad jeziorem Boulder, piękną i dobrze urodzoną Angielkę z całą uprzejmością przyjmuje do swego grona i wyraźnie pragnie, aby wybór jej padł na jednego z tych łodowatych i siwiejących a oczywiście wybitnych mężów, którzy pięćdziesiątki doczekawszy w beżennym stanie, gotowi są złożyć u stóp dowcipnej i uroczej Lady Helen swe starannie zakonserwowane skarby uczuć. Niepodobna pominąć tej ciekawej nuty romansu *outramer* pani Atherton, że tak łatwo jej uwierzyć w miłość i szczęście pary, którą dzieli przestrzeń lat, uczuć i pojęć całego pokolenia. W powieści *Senator North* dwudziestopięcioletnia panna kocha się bez pamięci w senatorze rzeczywistym, mającym lat sześćdziesiąt i żonę w dodatku; tutaj adoratorem Lady Helen, chłodnym lecz wyraźnym, jest Mr. Rogers, zaledwie pięćdziesiąt dwie wiosny liczący, *wielki* wydawca, bo w Ameryce każdy człowiek musi być *wielki* w swoim rodzaju, aby zasłużył na życzliwsze i uważniejsze spojrzenie bliźnich. Drugi pretendent do serca Lady Helen, Mr. Nugent, to młokos prawdziwy (skończył dopiero lat 40) a w pojęciu „wybranych“, którzy lato przepędzają nad Boulder-Lake, niegodzien takiej bogdanki, choćby z tego względu, że siostra jego, pani Van Worden, ma trochę nadwierzoną sławę swej wierności małżeńskiej.

Niektóre życzliwe dusze ostrzegają naszą Angielkę, że nie powinna w odpowiedzi na zaproszenie pani Van Worden przyjmować jej gościny nad jeziorem Chipmunk. Lecz Lady Helen znużona jest lalkami bez krwi i życia, wśród których obraca się od kilku tygodni, a przytem ma trochę odmienne pojęcia o swobodzie kochania, pojęcia, które widocznie ze starej Europy przywiozła. Na przestrożę jednej z kobiet co do opinii pani Van Worden, Lady Helen woła radośnie:

„Czy być może! Więc w końcu zobaczę Amerykanke, która знаła miłość zakazaną? Jakże się swojsko uczuję w domu kobiety, która jest podobną do wszystkich moich przyjaciółek. Żeby się tylko do tego przyznać chciała... Ja nie mogę pojąć tej waszej powściągliwości“.

„Lady Helen! — woła zgorszona przedstawicielka *najlepszego* towarzystwa — czy chcesz przez to powiedzieć, że każda z nas...“

„Cóż znowu! Wy tu wszystkie jesteście tak rażąco cnotliwe!“

Lady Helen, poznawszy się z panią Van Worden, jest dla niej niesłychanie sympatycznie usposobioną, i opisując powierzchowność jej, dodaje ciekawą uwagę: „Wygląda ona na lat 36, ale gdy mi się przyznała, że ma lat 29, uczulam do niej odrazu wielkie zaufanie. Nie trzeba nigdy dowierzać kobiecie,

która minawszy trzydziestkę nie kłamie na punkcie swego wieku. Jest w tem coś niehumanicznego i niekobiecego i nigdy nie można przewidzieć, do jakich zbrodni może być zdolną osobą, przyznając się do swych lat“. Nad brzegiem jeziora Chipmunk Lady Helen nabiera przekonania, że prawdziwy „wielki świat“ amerykański tutaj dopiero poznała. Życie pędzi się z większą prostotą, niema wyszukanych toalet, intelektualnych gier towarzyskich, sławnych autorów i autorek, których wciąż podziwiać trzeba; odkąd przyjechała, nie usłyszała ani razu wyrazów: „arystokratyczny“ lub „wykwintny“ i oddycha z ulgą natury prostej a posiadającej prawdziwą kulturę duszy.

Żadna z osób, poznanych nad Chipmunk-Lake, nie należy do „nowych bogaczy“, *new rich*; fortuny posiadają od trzech generacyj najmniej, a mąż pani Van Worden bodaj od sześciu. Oni *exuja* się prawdziwymi w tym kraju arystokratami, lecz są zbyt dobrze wychowani, aby się z tem zdradzić lub nawet myśleć o tem. Lecz i w tej oazie naturalności Lady Helen spotyka kobietę, której przyznając wszelkie zalety, zarzuca jako jedyną wadę jej *arystokratyczność*. Pani Earle, żona jednego z najwybitniejszych mężów stanu, liczy ośm znanych generacyj w swym rodzie i odpowiednią ilość dolarów. Naprawdę żywy umysł i dobre serce Lady Helen stara się zająć wyniosłą panią Earle losem różnych ciekawych istot z ludu i średniej pracującej klasy, poznanych w czasie samotnych wycieczek w okolicy. Pani Earle, w przeciwieństwie do młodej Angielki, nie chce się domyślać nawet, że po za jej wybranym *set'em* istnieją jeszcze jakiegoś ludzkie, godni zastanowienia. Dla niej tylko „krew“ posiada jakieś znaczenie. „Polly! czemuż *my* jesteśmy!“ odzywa się Lady Helen, pisząc do swej europejskiej przyjaciółki. „Często gnębi mnie myśl, że te kraje, które nie są Stanami Zjednoczonymi, dla północnych Amerykanów nie egzystują wcale. My sobie tylko wyobrażamy, że jesteśmy, ale oni wiedzą, że nas nie ma i są wyrozumiali dla naszych urojeń. Straciliśmy naszą kastę, utraciliśmy poczucie naszego urodzenia i dla tego jesteśmy zdegenerowani“.

To poczucie urodzenia i chęć pięcia się coraz wyżej przestrzega Lady Helen u wieśniaczki, która dba o to, aby siadała do stołu z rodziną swego chlebobawcy, i nie nazywa się sługą, lecz „najętą pomocą“, *hired-help*, toż samo w śmieszny sposób uderza u sklepowej panny na wakacjach, określającej swe stanowisko społeczne, jako „dama od sprzedaży“, *sales-lady*. I jedna i druga, dumna zasadą równości, czei bezwiednie arystokrację rodową i zbliża się do angielskiej „lady“ pod wrażeniem, jakie na tych naiwnych i nieokrzesanych umysłach wywiera tytuł księcia i widok prawdziwej *lady*, znanych im tylko z tanich romansów.

Po resztę spostrzeżeń poważniejszej i lżejszej treści odsyłamy czytelnika do samejże powieści, która jest zgrabnie i lekko napisana, przestrzedz jednak musimy, że o dalszych losach Lady Helen nie pewnego nie wiadomo. Brat jej wprawdzie ma się znacznie lepiej, ale dostał się w ręce niebezpiecznej kokietki, z którą, gdyby się książę ożenił, zatrułby życie swej niezmiernie sympatycznej siostry. Ona sama przywiozła z Europy niebezpieczną sztukę flirtu, a pogrążywszy Rogersa, Nugenta i arcy milionera p. Carlisle'a, sama nie wie, co ma począć dalej wobec grożących jej potrójnych oświadczeń. Wprawdzie kilkakrotnie zaznacza, że angielskie kobiety nie oddają ręki Amerykanom, więc na nie nasze sympaty, czyby się przechylały na stronę ojcowskiego Rogersa, czy też energicznego prawnika, Nugenta; w ostatnim dopiero liście wspomina Lady Helen w dopisku, że towarzysz jej lat dziecinnych, przyjaciel księcia, Roddy Spencer, człowiek jej świata, przybywa sobotnim parowcem i nie dziwilibyśmy się wcale, gdyby się przyznał przed nami, że przejechał „wodę“ tylko dla *niej!*

J. K.

TEATR KRAKOWSKI.

Rzadko któremu teatrowi dano mierzyć zamiar według sił; zazwyczaj poprzestawać trzeba na mierzeniu sił na zamiary i patrzeć na to nie tylko pobłażliwie, ale z życzliwą pobłażliwością, bo inaczej niewiele tylko teatrów mogłoby sobie pozwolić na wystawianie arcydzieł; pamiętać zaś trzeba, że, ilekolwiek jest teatrów, wszystkie służyć mają przedewszystkiem literaturze. Gdyby dopuszczać na scenę tylko to, co może być wystawione pod każdym względem doskonale, natenczas n. p. na naszej scenie nie widzielibyśmy całkiem Szekspira. Jego dzieła stanowią nieprzewyciężoną trudność dla wszystkich, którzy nie umieją poprzestać na małym, a zwłaszcza niebezpieczne są dla teatrów ze szczupłym personelem. W szekspirowskich utworach roi się od charakterów, i to wybitnych, skoro nawet drugorzędne figury mają dokładną charakterystykę, a więc raz w raz musi się dawać we znaki szczupłość personelu i wyjść na jaw niemożebność właściwej obsady. Szekspirowskie wieczory są istnemi spisami ludności dla sceny i do należytego ich wystawienia nie można mieć nigdy dość liczego personelu; a że u nas nigdy jeszcze nie był on tak szczupłym, jak obecnie, musimy pogodzić się z tem, że utwory Szekspira będą albo słabo wykonywane, albo całkiem ich nie zobaczymy. Lepiej jednak mieć dobry repertuar, chociaż gorzej wykonany, niż znakomicie wykonany repertuar lichy, a zatem: Szekspira grać trzeba. Zarzucić raczej należy Dyrekeyi, że grywa go za mało, a zdecydowawszy się na próbę w tym kierunku i zaczynając (rzecz słuszna) od utworów łatwiejszych, urządza jednak zbyt długie pauzy od *Burzy* do *Henryka IV*, a potem do wystawionego w marcu *Kupca Weneckiego*. Grono nasze uważać należy co do szekspirowskiego repertuaru bądź co bądź za początkujące, a wiadomo, że przy początkowej nauce nie można sobie nigdy pozwalać na zbyt długie przerwy. Możeby się dało co wykrzesać, skoro nie zbywa na dobrej woli ani Dyrekeyi,

ani gronu artystycznemu; ale niestety, artyści mają sposobność zapomnieć, czego się nauczyli przy poprzednim szekspirowskim utworze, nim nadarzy im się sposobność do występowania w następnym. Przez brak ciągłości studyów idą studia na marne.

Kupca Weneckiego wystawiła Dyrekcya z wszelką starannością, co do samej wystawy, dekoracyj, kostyumów i reżyseryi. Przez szczególne stosunki naszego teatru tak się rzeczy złożyły, że to, co drugorzędne bądź co bądź tylko ma znaczenie, świetnie się udało; nie mogło natomiast dopisać to, co jest pierwszorzędne, a mianowicie samo wykonanie ról. Układ sceniczny był bardzo zmyślny, a częstokroć piękny. Niejedna scena udała się świetnie, a najlepiej serenada przed mieszkaniem Jessyki. Użyto do niej osobnej kapeli mandolinistów, a scenę w całej szerokości i głębokości bardzo ładnie zapełniono komparsami dobrze przybranymi i wyuczonymi tym razem doskonale. Było na scenie i rojno i w miarę gwarno, wesoło i żywo, a wszystko tak pięknie było zgrupowane, że bez najmniejszej przesady powiedzieć można i przyznać trzeba, że mieliśmy przez chwilę przed oczyma jeden z najpiękniejszych widoków, jaki dziś oglądać można w ogóle na polskiej scenie. A jednak nie o to właściwie chodzi! Wszak nie na tem teatr polega, nie w tem jego istota! Mając do wyboru pomiędzy złą grą i złą wystawą, a tylko złą grą przy dobrej wystawie, cieszymy się oczywiście, że przynajmniej wystawa złą nie jest; gdybyśmy jednak mogli mieć do wyboru pomiędzy złą wystawą a dobrą grą, któżby się zawahał?

Bardzo dobrze odegraną była rola Shylocka, bo ją wykonał sam p. Kotarbiński z wielką plastyką, silną charakterystyką, jednolicie i konsekwentnie; udało mu się też osiągnąć w scenie sądu ten tryumf, że sprawiał tragiczne wrażenie, co w roli Shylocka będzie zawsze zasadniczem kryterjum. Można by jednak mieć pewne wątpliwości i zastrzeżenia, czy słusznem jest osadzać całą tę rolę na tle wybitnie refleksyjnem, czy nie właściwiej przyznać Shyloкови więcej temperamentu, nawet pewną krewkość z namiętności zrodzonej ze zawiści. Jeszcze trudniej sprzeczać się o rolę Lancelota, bo ta ma już swoją tradycję sceniczną i zwykło się go przedstawiać tylko jako sowizdrzała. Tak też zrobił p. Walewski, a jednak trzeba popłynąć nareszcie przeciw wodzie i czas już z tradycją, tym razem zupełnie błędną, zerwać. Lancelot nie jest błaznem i nie błaznuje sobie z ojca; chodzi mu tylko o to, żeby staremu a wielce kochanemu ojcu sprawić niespodziankę, którą urządza naiwnie, bo to chłopak młody, i trochę po pustacku, bo jest wesołego usposobienia: ale ciągle powinno być na grającym tę rolę aktorze znać przedewszystkiem wielką Lancelota poczciwość i zamiar sprawienia ojcu tem większej radości, że przybranej w formę niespodzianki. Rzadko która aktorka potrafi grać rolę Poreyi.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie zagrałaby jej dobrze ani p. Wysocka, ale przynajmniej mniej źle, niż p. Rutkowska, która zadań tego rodzaju absolutnie nawet nie powinna otrzymywać. W wykonanej też przez p. Sulimę roli Jessyki nie było zgola nic, prócz garści dobrych chęci. P. Sobiesław jest bardzo dobrym artystą, ale do roli Bassania zapewne sam niema pretensyi i grał ją tylko dlatego, że właściwie niema jej komu grać. Gdy tak z pięciu głównych ról aż cztery były wykonane źle, jakież mogło być ogólne wrażenie? Lepiej udały się drugorzędne role, a zwłaszcza p. Mielewskiemu epizod Księcia Marokkańskiego. Pomimo wszystko jednak prosimy nadal o Szekspira i czem częściej będzie potrzeba pod tym względem pobłażliwości publiczności i krytyki, tem łatwiej z pewnością o nią będzie. Nie ulega zresztą wątpliwości, że i gra aktorów podniosłaby się stopniowo.

Nie można natomiast mieć pobłażliwości dla przedstawień tego rodzaju jak *Anastasya*, sceniczna przeróbka z powieści p. E. Orzeszkowej, dokonana przez p. Walewskiego, któremu tym razem potknęła się noga. Ta powieść p. Orzeszkowej należy niezawodnie do pereł najnowszego polskiego piśmiennictwa, ale kto powiedział, że w niej jest żywioł dramatyczny, ten niechaj się już nigdy do krytyki dramatycznej nie zabiera! Przeróbka, chociaż dokonana przez wprawnego do takiej roboty p. Walewskiego, nie udała się i na scenie okazała się nudną. Ale jest jeszcze coś gorszego, dziesięćkroć, stokroć gorszego. P. Walewski wszedł w kollizyę z prawem autorskiem, bo dopuścił się przekręcenia treści dzieła, które opracowywał na scenę. Kto czytał powieść, temu wystarczy powiedzieć, że ową subtelną, górną, jakby nadziemską Józefę, połączył i to węzłem wstępnym z głupim, przewrotnym i tak prostackim Apollinarem. Tajemnica przeszłości Józefy traktowana jest w powieści delikatną ręką; ze względu na cenzurę trzeba się drugie tyle domyślać, niż tekst podaje, wiemy jednak, że Józefa była prawowitą, ślubną małżonką jakiegoś prawosławnego dostojnika, że związek ten jej szczęścia nie dał, a ojca o życie przyprowadził, że potem Józefa weszła w siebie, dojrzała, a przez skrupulatną analizę własnego życia doszła do pewnych poglądów, które poryw młodości każą jej uważać za grzech. Była wtenczas bardzo młodą, kiedy wyszła za Moskała; teraz, w dojrzałym wieku, w lat niewieściich południu, w wieku Grażyny, chce złożyć ekspiację tej ziemi i tej idei, którą za młodu obraziła i dlatego idzie od wsi do wsi, z obrazkami, książeczkami, z dobrem słowem, dobrą radą i miłosiernym uczynkiem, coraz intelligentniejsza, coraz szlachetniejsza, a przytem i subtelniejsza. I tę to Józefę zrobił p. Walewski dawną kochanką Apollinarego, tego ex-lokaja, natury gruboskórnej i najpłytszego umysłu, jaki tylko być może! Niema rady, przy całej przyjaźni dla p. Wa-

lewskiego, prawdziwie pierwszeństwo dając, powiedzieć trzeba, że dopuścił się profanacyi dzieła p. Orzeszkowej. Całe szczęście, że jego sceniczna *Anastazyja* jest nudna i zesza natychmiast z repertuaru. Gdyby się utrzymała na scenie, wywołałaby z pewnością wiele hałasu o profanacyę Józefy i p. Walewski miałby niezawodnie wiele przykrości, bo tu chodzi o zasadniczą sprawę.

Artystów nie można winić o upadek tej sztuki, bo grali całkiem dobrze, a niektórzy znakomicie. Szkoda, że p. Jednowskiemu wypadło mieć rolę tak doskonale wykonaną wtenczas właśnie, kiedy sztuka się nie utrzymała. Jego Cyryak był wielkim popisem scenicznym pod każdym a każdym względem. Ma już p. Jednowski pewien zakres ról, których nikt lepiej nad niego grać nie potrafi, tylko, że niestety tak rzadko zdarza mu się mieć rolę stosowną; jaki zaś w nim talent i do czego, pokazało się na roli Cyryaka. Bardzo dobrym Mrukiem był p. Sosnowski, a p. Zelwerowicz Piszczałką. Nie brakło postaci na prawdę charakterystycznych, a na wszystkich znać było, że starają się grać dobrze. Józefą musiała być p. Wysocka, ale do gry nie miała w tej roli innej sposobności ponad chodzenie po scenie i recytowanie tekstu, bo postać ta (w powieści górująca nad całym tym światem), stała się w przeróbce scenicznej czemś „do niczego“, jakimś piątem kołem, zjawiającem się na scenie po to tylko, żeby innym zawadzać. Anastazyę grała p. Mrozowska, chwilami lepiej, chwilami gorzej, na ogół wcale dobrze, bo też całkiem dobrze mogłaby tę rolę wykonać jedna tylko p. Przybyłkowa.

Głównem przedstawieniem w marcu był *Capstrzyk* Beyerleina, jeden z tych utworów, które porównać możnaby z ogniami sztucznymi: wystrzeli, jak raca i jak szmermel obleci wszystkie sceny, bo ma temat aktualny, a jest scenicznie doskonale przykrojony. Przygodny, a wygodny zbieg okoliczności uwalnia mię od literackiego sprawozdania z tego utworu, gdyż czytelnicy znajdą je w tym samym zeszycie *Przeglądu* w artykule p. Dr. J. Flacha. Wystawiono i grano tę rzecz dobrze. Nasuwa się tylko uwaga, że artyści nasi w ogóle nie bardzo umieją nosić mundur, a nosić go po prusku i zachować się stosownie do tego umiał jeden tylko p. Andruszewski (porucznik von Höven), a w części i p. Jednowski; rola też wachmistrza Queissa zyskiwała przez to bardzo wiele i wybiła się na pierwszy plan. Nieszczęsnym Volkhardtem był p. Sosnowski z wielkiem powodzeniem, wystudyowawszy rolę skrupulatnie. Niewiele trudu zadał sobie jednak p. Leszczyński, któremu znów dostała się duża rola (porucznika von Lauffen). O artyście tym nie można jeszcze powiedzieć, żeby był już w kwiecie wieku, ale za to, niestety, już ma rutynę (przedwczesny dar Danaów) i poczyną naśladować sam siebie. Wszystko mu jedno, czy gra Pierrota, czy pruskiego podporucznika ułanów, zawsze jednakowo głowę nosi i na jedną

stronę przechyla, wpatruje się w swego rozmówcę jednym okiem, drugie trochę zmruczając i dobywa silniej głosu w pierwszej polowie zdania. Jest bardzo pewien siebie, tylko z jedną sprawą ma kłopot, a mianowicie nie wie, co począć z rękami. Rola von Lauffena wykonaną też była najgorzej ze wszystkich w sztuce. A jednak niema złych aktorów, tylko bywają złe obsady! Gdy się zdarzy dobra obsada, wypadnie może znowu p. Leszczyńskiego pochwalić. Tym razem przypadną pochwały p. Andruszewskiemu za rolę drugiego porucznika, von Hövena. Artysta ten jest obecnie najlepszym w naszym gronie do wszelkich ról rezonerskich, a tego wieczoru grał bardzo dobrze. Obszerna i dość trudna rola Klarei udała się doskonale, bo ją powierzono trafnie p. Ordonównie. Sierżanta Helbiga grał p. Zawierski i sprawił się dobrze, nie zaniedbawszy niczego, co tylko mogło uwydatnić charakter samej postaci, i autora intencye. Z epizodycznych ról nie odznaczył się bynajmniej p. Mielewski, jako rotmistrz hr. Lehdenburg, robiąc z tej pięknej postaci niemal śmieszna karykaturę; za to p. Walewski dobrze grał rolę Michałka. Ale jeszcze większe pochwały należą się p. Zelwerowiczowi za niemą rolę ordynansa w izbie sądowej. Rola, jedną z tych, o których się mówi w teatralnej gwarze, że są do „otwierania drzwi“, bo polega niemal tylko na staniu przy drzwiach i wypowiedzeniu w ciągu dłuższej sceny ledwie kilku zdań (i to bez związku z akcją), wyzyskał tak artysta, że zaliczyć ją może, chociaż taka nieduża, do swych największych. Tak się przybrał trafnie i taką przybrał twarz, tak się na scenie zachowywał, że patrząc na tę postać, możnaby do niej dorobić całe arkusze tekstu: widziało się i charakter i usposobienie tego człowieka, niemal nawet całą biografię jego.

Mieliśmy znowu konkurs dramatyczny Wydziału Krajowego, a zatem: uchwała sejmowa, pisanina Wydziału Krajowego, mianowanie znawców, zabieranie im czasu, zjazd we Lwowie, posiedzenia przeciągające się aż późno w noc z jednej strony, a z drugiej strony nietylko przysłowiowa kopa, ale setka już autorów, autorek i autorząt, słowem całe pospolite ruszenie wszystkich, którzy tylko mieli ochotę zabrać oznaczoną kwotę ze skarbu królestwa Galicyi i Lodomerji; blisko setka osób straciła mniej więcej średnio licząc po pięć miesięcy czasu, ażeby nareszcie z tego wszystkiego wyskoczyła — Madejowa palka! A kiedy się potem wysłuchało z wszelką świętą cierpliwością baśni dramatycznej wierszem w czterech aktach z epilogiem p. t. *Madej zbój*, przez Karola Mattauscha — uznanej przez jury za najlepszą z nadesłanych dzieł — nie sposób było oprzeć się pytaniu: czy też to wszystko nie... wolne żarty?! Teatr świecił oczywiście pustkami, bo publiczność już wie, co to znaczy „sztuka nagrodzona na konkursie.“ I po co te konkursy?! Owe sztuki ze śpiewami i tańcami, które pisywał

„za Wolnego Miasta“ Kajetan Majeranowski, mają jeszcze więcej wartości, niż najnowszy ten utwór „uwieczony.“ Jeszczeby to ujęć mogło w teatrze ludowym, ale i tam także tylko od najgorszej już biedy. Nie zganię jednak Dyrekcyi, że wystawiła tę karykaturę twórczości dramatycznej; czyż nie jest jej obowiązkiem zapoznać nas z płodami uznanymi za godne nagrody przez grono mężów zajmujących wybitne stanowiska, a pod egidą samego Rządu krajowego? Gdyby tego nie zrobiła, naraziłaby się na podejrzenia, że chowa światło pod korcem. A więc na świeczniki, czyli pod kinkiety! Niech Dyrekcyja wystawia sznurem sztuki nagrodzone.... jeżeli ma z czego dopłacać!

Nie chcę być złośliwym, ale prosta sprawiedliwość wymaga, żeby po każdym takim konkursie podnieść subwencję krajową naszym teatrom, bo skoro Wydział Krajowy swemi konkursami dramatycznymi naraża kasy teatralne na deficyt, słusznem jest, żeby ten sam naprawiał, kto popsuł.

Dr. Feliks Koneczny.

Muzyka w Krakowie.

Ciekawym typem artysty jest Willy Burmester. Od ósmego roku życia na estradzie, w nieustannej podróży za sławą, nie nabył ani zewnętrznych manier wirtuoza, ani stał się duszą wirtuozem. Ma świetną technikę, nie tak błyskotliwą, jak Kubelik, może nie tak wydoskonaloną, ale pierwszorzędną i niechybną, nigdy jednak nie stara się nią popisywać. Grywa rzeczy przeważnie łatwe technicznie i tylko jeden numer rzuca wielbicielom czysto technicznych popisów. Tym numerem była w pierwszym koncercie fantazyja Paganiniego, doprawiona jeszcze przez samego artystę. Kto chciał, mógł się cieszyć.

Może nawet ta uciecha nie była tak zdrożną, jak się wydaje. Wszelkie szufladkowanie jest w estetyce bardzo łatwe, a im łatwiejszem, tem bardziej podejrzanem, tak, jak każde zbyt proste rozumowanie w kwestyi zawilej i nadającej się do obserwacji z wielu punktów i stanowisk. Ten, kto posiadał technikę swego instrumentu, albo ją nawet rozszerzył, niekoniecznie może zasługuje na pogardliwą nazwę wirtuoza. Wirtuozostwo, to kabbotyzm; artyzm, to szczerłość. Czy wynika stąd, że w artyzmie niema szczerbli? Jeżeli myślą twórcy było w danej kompozycji wydobyć z instrumentu nowe efekty i jeśli wykonawca idzie za myślą twórcy, to czy obaj nie mogą być artystami? Właśnie Józef Hofman zadziwił nas niedawno wspaniałem wykonaniem uwerturny z *Tannhäusera* w układzie Liszta. Kogo słuchaliśmy podczas tej produkeyi: Wagnera czy Liszta, t. j. czy działał na

nas genialny rzut wyobraźni poetyckiej, czy też mistrzowskie przebudowanie fortepianu na orkiestrę i wyzyskanie instrumentu z jednej, a niesamowita technika wykonawcy z drugiej strony? A gdybyśmy tak wzięli pod lupę samo pojęcie techniki, zwłaszcza gdyby zbadać, o ile technika instrumentalisty czy śpiewaka jest sprawą mechaniczną i mechanicznie daje się wykształcić bez względu na talent, o ile zaś należy przy niej brać w rachubę przede wszystkim organizację artystyczną? I to nie w znaczeniu korzystnej budowy ręki, czy jamy ustnej, lecz w znaczeniu uzdolnienia do pewnych koordynacji między głową a ręką czy krtanią, koordynacji, których łatwość jest bezwątpienia jedną z cech talentu wykonawczego w ogóle? Dla tego ostrożnie z prostem rozwiązywaniem kwestyj wcale nie prostych i nie tylko nie załatwionych, lecz nawet nie rozpatrzonych wszechstronnie, zwłaszcza ze stanowiska psychologii talentu! Nie mówię już o stosunku formy do treści w twórczości muzycznej, bo to kwestya od wieków sporna i na wieki zapewne taką pozostanie. Tym jednak, co mają już gotowe komunały o „sztuce“ i „sztuczkach“, pozwalam sobie przedłożyć do namysłu kwestyę: czy aktor, grający znakomicie bląhą rolę w bląhym utworze bląhego autora, może być w tej roli wielkim artystą, czy nie? Analogia ze znakomitym artystą, który wykonuje mierne lecz wdzięczne technicznie kompozycje, leży jak na dłoni. A kwestya nie jest tak prostą, jakby się zdawało, bo w lichym utworze, gdzie poeta nic ciekawego nie mówi, przemawia tylko aktor i to swoją techniką. Ta technika daje nam wrażenie estetyczne, jest sztuką. A cóż z wirtuozem?

Dla tego wolę pominąć zachwyty nad „pogardą“ techniki przez Burmestra. Są one równie tanie, jak frazesy o „aksamitnym smyczku“, „perlistych oktavach“ i „lotnych gamach“. Nawet spokój Burmestra stał się już komunalem, stosowanym bez namysłu do każdego wirtuoza, który jako tako przyzwolicie zachowuje się na estradzie. A jednak jest to spokój daleki od banalności i braku temperamentu lub rzekomego „zrównoważenia“, które ślamazarnością swoją zatrzuwa nieraz niejedną rozkosz i niejedną dobrą skądinąd produkcję. Pod tym spokojem pulsuje krew i drżą nerwy, trzymane w karchach istic pruską dyscypliną. Przytem zdolność kształtowania architektonicznego wprost zdumiewająca. Koncert Mendelssohna, ten „żyd wieczny tułacz“ programów skrzypcowych, budował się przed nami jak z marmuru, jak nowe dzieło. Nie brakło i polichromii, bo ton Burmestra, duży i pełny, dochodzący w „Aryi“ Bacha do głębi wiolonczellowych, mieni się setką barw. A nad wszystkim natura z gruntu muzykalna i muzyczna, powaga w obcowaniu ze sztuką: artyzm wielki i szlachetny.

Z prawdziwem zadowoleniem można było patrzeć na salę, która słuchała Burmestra. Tyle trzeba się nieraz nałykać opo-

wiadań o niemuzikalności Krakowa, że miałoby się ochotę za-prosić takich mędrków na podobny koncert i pokazać, jak słuchają ci „niemuzikalni“ ludzie, i jak się poznają na wszystkim, co technie wielką sztuką. Koncert Sistermansa był takim egzaminem na dowód, że Kraków umie *distinguerre inter et inter*. Przyjęto wszystko, co mogło w tym programie aspirować do istotnie skończonego artyzmu, odrzucono bezwzględnie wszystko, co nieskończone, niedojrzałe technicznie, czy niedociągnięte duchowo. Sistermans jest artystą o niepospolitym sentymencie — jeżeli nawet czasem zawadzi o sentymentalizm — jest subtelnym, miłym wykonawcą wielu pieśni. Co za szkoda, że ten piękny materiał głosowy pozostał rudą, tak, jak gdyby nigdy go nie tknęła ręka nauczyciela. W dole bas, pozornie głęboki (przy / dolnem kończy się, jak wszystkie czysto „piersiowe“ basy!), ku górze i w górze barytonik, przykro zaciśnięty w krtani, jakiś oleisty, bez cienia vibracyi. Jednem słowem głos naturalisty, barbarzyńsko pozostawiony w stanie pierwotnym na prawdziwą szkodę sztuki, żywa przestroga dla każdego, kto chce kultywować t. zw. niemiecką metodę śpiewu, będącą w istocie brakiem wszelkiej metody, o ile chodzi o racjonalne formowanie pięknego tonu. Czegożby dokonał artysta tak subtelny, o smaku tak wyrobionym i uczuciu tak sympatycznym, gdyby posiadał w głosie posłuszne narzędzie! Nie posiadając go, zajmuje delikatnością dykeyi i jej odcieni, i nawet tem wywiera duże wrażenie, zwłaszcza gdy się zapomni o.... głosie. Czy tedy jednak droga do zachwytów nad śpiewakiem, osądzić nie trudno.

Najpiękniej wypadł Schumann i Loewe, którego ilustracye muzyczne często wnoszą liche wiersz na wyżyny prawdziwej poezyi. Muzyka to w Polsce znana mało, a przynajmniej niedostatecznie, z prawdziwą szkodą dla naszej kultury muzycznej. Nie przyznając Loewemu szczególnej głębi, bo tej muzyka jego, deskryptywna zresztą aż do drobiazgowości, nie posiada, trzeba uznać dramatyczny nerw, silną jej charakterystyczność i sentyment, miły, choć zbyt *vaterländisch* czasami dla słowiańskich uszu. *Der Nöck*, śpiewany przez Sistermansa, i dodany nad program *Tom der Reimer*, należą do dobrych, choć nie do najlepszych dzieł tego kompozytora. Szkoda, że nie usłyszeliśmy *Den Pilgrim von St. Just*, *Meister Ohuf den Schmied*, albo wspaniałego *Mohrenfürst'a*. Wartoby też było usłyszeć... *Czaty* Mickiewicza, których wierny niemiecki przekład skomponował Loewe z przenikającą miejscami siłą. Nie najszcześliwiej dobrany był też Hugo Wolf; wątpię zresztą można, czy indywidualność artystyczna Sistermansa posiada dość głębi, a pierś dość głosu, aby oddać te pieśni, pisane krwią i ogniem. Najsłabiej, niemal optkanie wypadły pieśni francuskie, śpiewane niemieckim głosem i holendersko-berlińską francuszczyzną, przedewszystkiem zaś arye

operowe. W oczach prawdziwego „śpiewaka pieśni“ arya operowa na programie koncertu jest intruzem i toleruje się ją, zapewne tylko dla niekulturnego *Bärenlandu*. Otóż te uboczne względy na złe wyszły koncertowi, bo powiększyły go o arję z *Żydówki*, wykonaną mniej niż średnio, z uwydatnieniem wszystkich braków wokalnych, i o *Króla Lahory*, o którym lepiej zamilczeć. Publiczność, pamiętając mistrzowski śpiew p. Didura, jako kardynała di Brogni, chłodno przyjęła tę produkcję; oklaski po znakomicie wykonanym Schumannie i Loewem dały dowód jej niemałego odczucia i zmysłu rozróżnienia. Natomiast milczano po aryi z *Messyas'a* i to znów bardzo słusznie. Niepodobna śpiewać koloratury, nie posiadając żadnej techniki wokalnejs. Są jednak ludzie, którzy takie wykonanie arcydzieła, bez cieniowania, bez wyrazu i bez tonu nazywają... stylem.

Kamilla Landi takiego stylu nie posiada. Posiada natomiast przepiękny, duży, dźwięczny, metaliczny głos, o kontraltowem brzmieniu niskich tonów, które, mimo śladów t. zw. rejestru piersiowego, fascynują słuchacza. Niemniej piękną jest średnica, słabszą i nieco forsowną górą. Posiada także smak wytworny, wielką rutynę śpiewacką i po pierwszej pieśni największy ignorant powinienby był poznać w niej artystkę dużej miary, mimo, że sam materiał stracił w ciągu kariery nieco z pierwotnej świetności. W artyzmie jej niema cienia technicznej blagi, tak pospolitej u *Liedersängerów*, „gardzących“ sztuczkami głosowemi (czytaj: umiejętnością śpiewu) dla tego, że ich nie posiadają, a zapominających, że śpiewak bez techniki może być co najwyżej pretensjonalnym dyletantem. Owacyjne przyjęcie wybornej śpiewaczki powinno sprowadzać ją częściej do Krakowa, który ocenił odrazu jej niepospolite zalety artystyczne. Program, w którym największe budziły zajęcie znakomicie odśpiewane utwory starych mistrzów, zawierał także arję z *Proroka* i *Damy pikowej*. *Prorok* był arcydziełem sztuki śpiewackiej, jedną łzą.

Po Kamilli Landi — Nina Faliero Dalcroze. Jeżeli prawdziwy znawca śpiewu marzy o ideale śpiewaka, to nie może go sobie wyobrazić inaczej, jak łącząc niemiecką inteligencję i staranność wymowy z włoskim głosem, metodą włoską i włoskiem *bel canto*. (Pewien niemiecki krytyk żalił się niedawno w poważnem czasopiśmie muzycznem, że artystka, której słuchał, miała za wiele *bel canto*!) Nina Faliero, z pochodzenia Neapolitanka, żona jednego z wybitniejszych muzyków współczesnych, Jacques Dalcroze, profesora konserwatorium w Genewie, łączy w sobie te wszystkie zalety i dla tego słusznie uznano ją, po ustąpieniu Barbi, pierwszą dziś śpiewaczką estradową. Głos prześliczny, jasny a pełny, błyszczący formalnie od dźwięku metalicznego, zapelnia salę po najdalszy kącik; dykcya jasna, a język niemiecki, francuski czy włoski płyną z jedną plastyką. Styl

(t. zw.) opanowany zupełnie; pieśni współczesne pełne poezyi i wyrazu, tkwiącego nietylko w dykeyi, jak się to niestety zbyt często zdarza, ale i w dźwięku. To też wieczór, spędzony na tym koncercie, był najczystszą rozkoszą artystyczną sezonu, a dzięki programowi, nie zbrakło mu też pedagogicznej wartości. Program taki to okienko, przez które słuchacz spogląda w kraj pieśni współczesnej, roztaczający się przed nim od Schuberta do Franza. Brakowało jednak Hugona Wolffa i kto go znał, tęsknił. Zamiast Liszta z jego przejściową, powyginaną formą, która potrafi raz o pieśń strofkową, to znów o operowe *recitativo*, chętnie posłuchalibyśmy tego mocarza pośród mocarzy. Obok naiwnego wdzięku Corneliusa i ponurej zadumy Franza, Wolff byłby kontrastem nadzwyczaj artystycznym. Zrzeklibyśmy się zań nawet sympatycznych figielków Delibes'a, które zresztą p. Daleroze śpiewa zupełnie nadzwyczajnie. Trzeba się spodziewać, że obie te artystki, Daleroze i Landi (porządek alfabetyczny jest w tym razie zresztą i skalą wartości, bo Daleroze musi być uznana za talent o wiele szerszy i ciekawszy pod każdym względem), będą co rok zdobyły nasz skromny sezon.

Oryginalne *menu* koncertowe przedłożył swym słuchaczom p. Friedman, zamieszczając na programie aż trzy koncerty fortepianowe: Czajkowskiego, Liszta i Żelęńskiego. Pomysł był sam w sobie niekoniecznie szczęśliwy. Wątpić można, czy nawet zapaleńcy koncertowi Berlina lub Wiednia zgodziliby się na propozycję wysłuchania takiego programu, który skupieniu słuchacza stawia zbyt wielkie wymagania. Trudno było nie przypomnieć sobie tego, co Schumann pisze o pewnym dyletancie, który z zachwytem opowiadał, jak raz, nie słysząc dłuższy czas muzyki, dorwał się nareszcie trzech kompanionów do kwartetu smyczkowego i grał „od rana do wieczora same kwartety“.... Przy całej jednolitości programu, jaka panuje już w krajach muzycznie kulturalnych, trudnoby zapewne napotkać gdzieindziej podobne przeładowanie. Niejedno możnaby także powiedzieć o doborze, a raczej o zestawieniu tych trzech koncertów, w każdym razie nie bardzo szczęśliwym, które wytworzyło do pewnego stopnia emulację między trzema, a przynajmniej dwoma koncertami, emulację niepożądaną i mogącą dać pole do niestosownych porównań.

Jeżeli jednak chodziło o przedstawienie w jak najlepszym świetle talentu p. Friedmana, to koncert powiódł się w zupełności. P. Friedman jest artystą, podbijającym przedewszystkiem temperamentem i ogniem. Kto ceni te dwa przymioty (a kto by ich nie cenił), przebaczy nieraz drobne braki w technice, n. p. w oktawach — i pewne niedociągnięcie artystycznej ogłady. Obecnie jest to jeszcze gra dekoracyjna bez wielkiej głębi, w czym winę ponosi także niedość śpiewne uderzenie, które wszakże i tak bardzo się już zmieniło na korzyść. Przy tem złożył ar-

tysta dowód wytrzymałości prawdziwie heroicznej: borykać się z orkiestrą przez dwie godziny, to nie lada zadanie. Że zaś posiada talent wysokiej marki, więc niedługo zapewne usłyszymy o nim niejedno z Zachodu.

Józef Hoffmann, który równie jak inni koncertanci zapełnił salę po brzegi imieniem rozgłośnej sławy, nie był, jak się zdaje, w usposobieniu. Piękniejszego, barwniejszego i różnorodniej modulującego się tonu nie posiada może żaden artysta współczesny, a najwięksi mogą pozazdrościć mu siły i wszystkiego, co się zwie techniką. Jeżeli mimo to sala długo nie mogła się rozgrzać, powodu szukać trzeba w pewnej apatii, która zrazu kładła się leniwie na wszystkich utworach, od Bacha do Chopina. Jeden z najwytrawniejszych znawców muzyki w Krakowie, siedzący obok mnie, trafnie zauważył, iż sztyldem niejako całej pierwszej części koncertu była *Appassionata*, odegrana bez jednego *forte*... Jedną z wybitnych cech Hoffmanna był wprawdzie i dawniej chłód pewien, pewna obiektywność, jeśli tak się można wyrazić — zdaje się wszakże, iż tym razem specyalne warunki chwili, może zmęczenie lub przedenerwowanie, wzięły niepożądany udział w produkcji świetnego pianisty. Brak było perspektywy i światłocienia, a najświetniejsze barwą obrazy wychodziły jak rysunek jednokolorowy, zresztą zdradzający techniczne mistrzostwo pierwszej wody. Dopiero Polonez *as dur*, zagrany nad program, *Marche militaire* (Schubert-Tausig), a nadewszystko uwertura z *Tannhäusera* w układzie Liszta, były przebudzeniem. W Polonezie zagrzmiało po raz pierwszy piorunowe *forte*, a uwertura rozwinęła przepych barw, zacierający szary kostium poprawności, w jakim zaprezentował się Bach, Haydn i Beethoven. Sala wyszła również z rezerwy, darząc artystę oklaskami zdumienia i podziwu, które brzmiałyby niezawodnie jeszcze głośniej, gdyby w olśniewającej tej grze jeszcze wyraźniej występował pierwiastek poezji obok elementu czysto muzycznego, fachowo muzycznego, aby mówić wyraźniej. Najbezpośredniejszy wyraz uczucia, jakim jest muzyka, nie znosi u wykonawcy wyłącznego panowania refleksyi. Jedna uncya świętego szału przeważa tutaj cetnar chłodnych dedukcyj i równie lodowatej obiektywności.

Wszystkie te koncerty zawdzięczamy Towarzystwu Muzycznemu, które zasłużyło na gorące uznanie za troskliwość, z jaką stara się o mile i artystyczne gościny. Każda produkcja, jaką urządziło w tym roku, była czynem kulturalnym i godnym poklasku prawdziwego wielbiciela muzyki, równie jak koncerty ludowe, po przystępnych cenach, a artystycznie wartościowe. Z wewnętrznej pracy Towarzystwa zasługuje na uwagę i przychylną ocenę stworzenie orkiestry smyczkowej, która pod energiczną, pracowitą dłoń dyrektora Barabasza, niewątpliwie ożywi koncerty niejednym miłym i artystycznym występem.

Z produkcij wokalnych mieliśmy jeszcze koncert „Lutni“, jak zawsze urozmaicony popisem siły solowej. Tym razem wybór był nader szczęśliwy. P. Gembarzewska, lwowska Brünnhilda w *Walkyrii*, musiała być Brünnhildą nie tylko z postaci jak stworzonej na bohaterkę wagnerowską i z fenomenalnej urody. Głos jej, bardzo piękny i szlachetny, poprawnie upozowany, powinien był przebijać orkiestrę nawet wtedy, gdy Wagner wzburza jej fale aż po sufit teatru. Głos to bowiem jasny i w skutek resonansu głowowego powinien być bardzo donośny. Kulturze jego można by zarzucić jedno czy drugie: słabość względną tonów dolnych i najwyższych, niewielką zmienność barw; ogółem jednak jest to na polskich scenach zjawisko bardzo ciekawe i niecodienne. Co do innych warunków talentu, przedewszystkiem co do oddziaływania bezpośredniością uczucia, trudno było wyrobić sobie należyte wyobrażenie. Być może, iż na scenie, wśród akcyi, ożywiało się to wszystko i dawało obraz bardziej urozmaicony. Szkoda by była wielka, gdyby tak piękny materiał był pozbawiony środków działania czemś więcej, jak samą swoją pięknoscią. To, co słyszeliśmy, było poprawne. Oby dalej nie zostało tylko takim.

Chóry „Lutni“ brzmiały tym razem o wiele silniej i dźwięczniej, niż kiedykolwiek, a i program mógł się zdawać ciekawszym, niż zwykle, wszystko więc składało się, aby koncertowi nadać do pewnego stopnia odświeżną cechę. Był tam i Moniuszko z *Witoloraudą*, i Grieg z *Sigurdem Jorsalfarem*, był Gall z *Hymnem*, był wreszcie Niewiadomski z prześliczną pieśnią *Zaszumił las* (do słów p. Konopnickiej). We wszystkich utworach znać było sumienną pracę dyrygenta i chórzystów-amatorów, a gorące oklaski były dowodem, że publiczność ocenia te usiłowania według zasługi, doprawdy niemalej. Najwięcej podobał się Niewiadomski i tym razem istotnie *vox populi* nie omylił się, odznaczając szczególnie tę kompozycję; jest to jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie zdobią polską literaturę chóralną, tak szczerą, tak przepojoną sentymentem, że urokowi jej trudno się oprzeć.

Orkiestra, pod batutą p. Hocka, towarzyszyła sumiennie p. Gembarzewskiej i odegrała *Echa leśne* Żeleńskiego, oraz brała udział w wykonaniu *Triple Concert* Beethovena, w którym zasłużyli się nadto pp. Skarżyński (wielonczella), Hock (skrzypce) i p. Berta Małecka, pianistka-amatorka.

Witold Noskowski.

Przegląd polityczny.

Kraków, 31 marca.

Świat się dzisiaj do wszystkiego przyzwyczaja. Niema zdarzenia historycznego, niema zajścia, któreby z początku większe wywierając wrażenie, przez dłuższe trwanie nie traciło zupełnie na znaczeniu i na interesie. W dawnych czasach, kiedy środki komunikacyjne i sposobność szerzenia wiadomości nie były tak rozpowszechnione, trwały wrażenia, wywołane zdarzeniami, długi czas, echa nie tak prędko się rozbijały po świecie — dzisiaj rozszerza się każda wiadomość z szybkością błyskawicy, obiega cały świat i wrażenie znika, ustępując miejsca innemu. Jak w kalejdoskopie zmieniają się obrazy, a publiczność tak jest przyzwyczajona do tych nagłych zmian, do tych ciągłych nowych wrażeń, że w końcu na wszystko staje się nieczułą — nerwy publiczności są przytępione i nie reagują na wszystkie wrażenia zewnętrzne. Wszystko z początku rozognia ciekawość, wzbudza interes, ażeby po chwili zniknąć i ustąpić miejsca nowemu wrażeniu, nowej sensacyi, jak nazywają dzisiaj te zdarzenia. Okazało się to przy obecnej wojnie Rosyi z Japonią. Wiadomość o wybuchu tej wojny wzbudziła gorączkową ciekawość, dramatyczny jej początek jeszcze więcej przyczynił się do zainteresowania, a dzisiaj, kiedy wojna trwa już dłuższy czas bez ważniejszych zajść, interes ogranicza się do ciekawości ludzi, otaczających szachownicę i czekających na to, który z graczy lepiej pociągnie na szachownicy. Jak na teraz nie można przewidzieć końca — jakikolwiek on będzie, pewnem się wydaje, że nie zmieni on obecnego ugrupowania mocarstw.

Jeżeli ciekawość wywołana początkami wojny tak osłabła w dalszym ciągu, to przyczyny tego wypadu zapewne szukać także i w tym fakcie, że główna obawa, jaka zajmowała umysły, mianowicie obawa rozszerzenia się wojny na europejskie obszary, okazała się płonną. Wojna między Rosją i Japonią została zlokalizowana, ani Francya nie pomaga otwarciu Rosyi, ani Anglia otwarciu Japonii. Także ten na pozór groźny, wybuch niepokojów na Wschodzie dotychczas nie nastąpił. Bulgarya, która z początkiem wiosny miała rzucić się na Turcyę, miasto wojennego wystąpienia, rozpoczęła rokowania z Turcyą celem pokojowego załatwienia spornych kwestyj. Przyszło już podobno nawet do takiego układu, w którym Turcyja zobowiązała się do rozmaitych ustępstw na rzecz Bułgarów tureckich, w miejsce czego Bulgarya miała się zobowiązać do dokładnego strzeżenia granicy i niedopuszczania band do napaści. Ten osobny układ z Bulgaryą, jeżeli on rzeczywiście już przyszedł do skutku — co w ostatnich czasach zdawało się wątpliwem — był bezsprzecznie krokiem zwróconym ze strony Turcyi przeciwko mocarstwom, przeprowadzającym reformy. W chwili, w której Turcyja nie potrzebowała się obawiać napadów ze strony komitatów macedońskich, a właściwie bułgarskich, w tej chwili ustawał także główny nacisk, jaki powodował rząd turecki do przyjęcia reform. W związku z temi układami z Bulgaryą stoi zapewne nagły opór, jaki rząd turecki zaczynał stawiać przeprowadzeniu reform, mianowicie reorganizacji żandarmeryi. Turcyja, która pod najrozmaitszemi pozorami zwlekała dotąd przeprowadzenie reform, odrzuciła nagle plan reorganizacji żandarmeryi macedońskiej, opracowany przez oficerów wysłanych przez mocarstwa. Rząd turecki wystąpił głównie przeciwko dwom punktom projektu mocarstw, mianowicie przeciwko występowaniu oficerów tej żandarmeryi w imieniu własnem nie w imieniu sułtana i przeciwko płaceniu ich żołdu zapomocą osobnych funduszków zbieranych przez „Dette Publique“. Mocarstwa, przeprowadzające reformy, na te żądania Turcyi zgodzić się oczywiście nie mogły, albowiem jedynym środkiem wykonania reform było utrzymanie własnych oficerów żandarmeryi, chroniących ludność przed nadużyciami władz tureckich, podczas gdy nadanie tym oficerom charakteru ture-

ckich oficerów czyniłoby ich zależnymi od znanej dobrze gospodarki tureckiej. O ile sądzić można, postanowiły rządy Austro-Węgier i Rosyi wystąpić przeciwko tej zwlekającej polityce tureckiej. Ciekawem jest, że w tej sprawie, jak w wielu już sprawach wschodnich, dyplomaci cesarstwa niemieckiego odegrali pewną rolę. Podczas gdy reprezentanci Austrii i Rosyi prowadzili zapomocą not dyplomatycznych walkę z Turcyą, miał rząd niemiecki wystąpić z projektem pośredniczącym, który miał pomódz i mocarstwu i Turcyi. Rząd niemiecki w ten sposób zyskał uznanie ze strony Turcyi i zajął silne stanowisko dyplomatyczne.

Wojna na dalekim Wschodzie miała dla bliskiego Wschodu ten skutek, że stanowisko Austro-Węgier stało się tam w każdym razie silniejszym, chociaż równocześnie także i więcej odpowiedzialnem. Rosya, zajęta wojną, nie może z takim naciskiem tam działać, jak dotychczas, skutkiem czego Austria w każdej sprawie występuje tam obecnie nie tylko w swoim własnym imieniu, ale także i w imieniu Rosyi. Konkurencya z Rosyą stała się słabszą, ale przez to odpowiedzialność wzrastała. Wielu polityków stawiało sobie w tym stanie rzeczy pytanie, czy Austria nie skorzysta z tego osłabienia Rosyi i na własną rękę nie zajmie Nowego Bazaru i Starej Serbii aż do Mitrowitz. To pytanie zajmowało w pierwszej linii sprzymierzeńca Austro-Węgier — Włochy. Cała publicystyka włoska omawiała tę sprawę, którą zaczęto uważać za żywotną sprawę Włoch, dążących od niepamiętnych czasów do zajęcia części Albanii, mianowicie do zajęcia portu Durazzo. We Włoszech zupełnie na seryo rozważano, że jakiekolwiek bądź wystąpienie ze strony Austrii w Albanii musiałoby pociągnąć za sobą zbrojne wystąpienie ze strony Włoch, że więc najlepszym środkiem załagodzenia sporu byłoby zawarcie układu z Austryą, coś w rodzaju podziału tej części Turcyi. W Wiedniu odpowiadano na to wystąpienie dziennikarstwa włoskiego, że Austria niema zupełnie powodu do omawiania tej sprawy, skoro politycy austriaccy nie myślą zupełnie o wycieczce *au delà de Mitrovitza* i zajęci są wyłącznie przeprowadzeniem reform celem utrzymania *status quo*, nie zaś celem podziału Turcyi. W każdym razie jednak wskazywali politycy austriacko-węgierscy na postanowienie trak-

tatu berlińskiego, według którego Austria ma prawo rozszerzyć okupację i wysunąć wojsko do Nowego Bazaru aż po za Mitrowitzę. Gdyby więc okoliczności zmusiły ją do tego kroku, to mogłaby ona wystąpić w ten sposób w Turcyi bez żadnego uprzedniego układu z Włochami lub z któremkolwiek mocarstwem, poprostu na podstawie pełnomocnictwa, otrzymanego ze strony mocarstw, podpisanych na traktacie berlińskim, między którymi były także i Włochy. Nie ulega wątpliwości, że ze stanowiska legalnego Austria miała najzupełniejsze prawo do działania w sposób powyżej zaznaczony, ale z drugiej strony wypadało zważyć na obecne stosunki faktyczne, na to, że Włochy były w każdym razie sprzymierzeńcem, członkiem sławnego trójprzymierza. To też dziennikarstwo włoskie, które przy każdej sposobności, szczególnie w ostatnich czasach, występowało jak najsilniej przeciwko Austro-Węgrom, które wzbudziło w ludności włoskiej prawdziwą nienawiść przeciwko Austryakom, to samo dziennikarstwo ciągle zajmowało się obowiązkami członków trójprzymierza, ażeby dowieść, że Austro-Węgry obowiązane są, jako sprzymierzeniec Włoch, ułożyć się z nimi względem dalszego postępowania na Wschodzie, mianowicie pod względem Albanii. Właściwa myśl polityków włoskich polegała na tem, że Austria zajmie swojemi wojskami część Albanii, że wytrzyma tam pierwszy opór ze strony ludności i Turcyi i tak własną krwią zdobyty lub okkupowany kraj odda w części sprzymierzeńcowi swojemu — Włochom. Wyrachowanie było bardzo praktyczne, ale miało tę słabą stronę, że, jak wszystkie zbyt piękne nadzieje, nie liczyło się z rzeczywistością. Rzeczywistość była obecnie jednak tego rodzaju, że Austria nie myślała ani o okupacji, ani o zaborach, ani nawet tylko o przechadzce wojskowej po za Mitrowitzę, ale zajęta była wyłącznie — reformami. Pomimo oporu Turcyi nie tracono nadziei, że reformy zostaną w końcu przeprowadzone. Nadzieja może była zbyt optymistyczna, ale teraz jeszcze byliśmy w stadium — nadziei, podczas gdy politycy włoscy byli już w stadium — czynów.

Trójprzymierze jednak święciło i w ubiegłym miesiącu nowe tryumfy, a z niem także idea pokojowego załatwiania sporów. Cesarz Wilhelm II, który „dla wypoczynku po żmudnej

pracy“ — jak sam publicznie oświadczył — przybył do Neapolu, wypowiedział tam toast, podnoszący znaczenie trójprzymierza. Podobny toast wypowiedział i król włoski Wiktor Emmanuel II, a różnica była tylko w wzmiance o trzecim członku trójprzymierza, którego król włoski nazwał „wspólnym sprzymierzeńcem“, podczas gdy cesarz Wilhelm mówił o „powszechnie czczonej głowie domu habsburskiego“. I cesarz Wilhelm i król Wiktor Emmanuel uważają trójprzymierze za najsilniejszą gwarancję pokoju Europy. Te toasty miały bezsprzecznie za cel usunięcie najrozmaitszych kombinacji i przypuszczeń, jakie powstały w ostatnich czasach co do obecnego i przyszłego ugrupowania mocarstw. Dowodzą one w każdym razie, że trójprzymierze trwa w dawnej mocy, pomimo agitacji dziennikarskich we Włoszech przeciwko Austro-Węgrom i pomimo zbliżenia Włoch do Francji. Ponieważ zaś niezadługo przybędzie prezydent francuzki p. Loubet do Włoch, przeto można uważać te toasty w Neapolu za rodzaj preludium do tej wizyty. P. Loubet przybędzie do Włoch po cesarzu Wilhelmie — to charakteryzuje stan rzeczy.

Nie ulega wątpliwości, że trójprzymierze rzeczywiście przyczyniło się do utrzymania pokoju w Europie, ale z drugiej strony jest pewnem, że prąd pokojowy, jaki dzisiaj rządzi Europą, i bez trójprzymierza byłby zwyciężył nad wszystkimi wojowniczymi zamysłami. Jesteśmy przekonani, że między państwami Europy nie byłoby przyszło do wojny i że potrzeba było Azyatów, takich jak Japończycy, ażeby zmusić Rosyę do wojny. Ten prąd pokojowy w Europie okazał się i w ostatnim miesiącu przy zawarciu układu między Anglią a Francją, w którym te państwa załatwiły zapomocą umowy sporne kwestye i załagodziły w części antagonizm, istniejący między Rosją a Anglią. Można przypuszczać, że Francja, stojąca w przymierzu z Rosją, nie byłaby zawarła żadnego układu z Anglią, gdyby Rosja nie była się uprzednio na to zgodziła. Z tego można więc wyciągnąć wniosek, że Anglia dała w ostatnich czasach rządowi rosyjskiemu uspokajające zapewnienia co do swoich zamiarów na przyszłość, które doprowadziły do możliwości układu między Anglią a Francją. Sprawa to brzemienna w skutki i jeżeli jej prawdziwość nie zostanie zaprzeczona, to można uważać za

pewne, że hasłem przyszłości nie będzie wojna, ale pokój, skoro antagonizm między Anglią a Rosyą zostanie, jeżeli nie usunięty, to złagodzony. Kto wie, czy ten prąd pokojowy, ogarniający Europę, nie wpłynie także i na dalszy ciąg obecnej wojny i czy zapasy między Rosyą a Japonią nie zostaną prędzej zakończone, jak ogólnie sądzą — zakończone zapomocą podziału sfery interesów na dalekim Wschodzie?

Jeżeli w polityce zagranicznej Europy przeważał prąd pokojowy, to w polityce wewnętrznej wszystkich prawie państw europejskich rozstrzygała zasada walki w parlamentach. Na czele stał oczywiście, jak zawsze w tego rodzaju sprawach, parlament austriacki.

Parlament austriacki zebrał się wśród niepomyślnych stosunków. W Pradze miały miejsce właśnie uliczne niepokoje, walki między studentami niemieckimi a Czechami, tak że atmosfera, w której p. Koerber przemawiał w d. 8 marca była bardzo burzliwa. I ze strony niemieckiej i ze strony czeskiej wniesione były interpellacye w sprawie niepokoїв pragskich, obstrukcyę zaś czeska rozpoczęła od głosowań imiennych, pomimo mowy p. Koerbera, wyliczającej jak wiele wniosków i projektów rządowych pozostało niezalatwionych i pomimo nazwania parlamentu austriackiego „miastem śmierci“ (*eine Totenstadt*). Cała sesya przedsięwzięczna nie przyniosła żadnego rezultatu — posiedzenia odbywały się tylko dla okazania, że Czesi prowadzą obstrukcyę. Ponieważ ze strony rządu nie przedsięwzięto żadnego kroku, ażeby doprowadzić do porozumienia pomiędzy stronnictwami, przeto musiała wyjść ta myśl ze strony tych stronnictw, którym w pierwszej linii zależeć musi w interesie własnych krajów na tem, ażeby parlament mógł obradować. P. Koerber popełnił w tej sesyi wiele pomyłek. Jego polityka polegała na tem, że chciał Czechów „wygłodzić“ (*aushungern*, jak brzmi wyrażenie niemieckie) i przez zupełne ignorowanie ich potrzeb i interesów zmusić do kapitulacyi. Zapomniał jednak przytem o tem, że jeżeli on okazywać będzie zupełną bierność, bez dokładnego oznaczenia celu tej bierności, to zmusi przez to stronnictwa, stojące na straży interesów państwowych, do działania. Bierność rządu wywołała akcyę parlamentu. Że w tej akcyi główna rola przypaść musiała Polakom, to

wynika z ich stanowiska w państwie i w parlamencie. Że Polacy oddali przysługę państwu, nawiązując nie porozumienia między Niemcami a Czechami, nie, zerwaną przez bierność p. Koerbera, to nie ulega wątpliwości. Pomimo wszystkich napadów prasy niemieckiej na Polaków, śmiało można twierdzić, że tym razem, jak zawsze, delegacya polska stała na straży interesów monarchii. Największe oburzenie niektórych organów niemieckich wywołało stanowisko, zajęte przez Polaków w sprawie wyboru delegacyj wspólnych. I tutaj oddali jednak Polacy przysługę państwu. Skoro Czesi oświadczyli, że uniemożliwią wybór delegacyj nawet zapomocą siły pięści, to było obowiązkiem stronnictw umiarkowanych nie dopuścić do próby takiego skandalu. Jakiż obraz przedstawiłaby monarchia wobec zagranicy, gdyby nawet wybór delegacyj wspólnych — ta podstawa polityki zagranicznej — doprowadził do bitki? P. Koerber i pod tym względem operował niezręcznie, albowiem powołał się on tak w swojej mowie przy rozpoczęciu sesyi, jak i przy sposobności omawiania sprawy wyboru delegacyj, na nadzwyczajnie niebezpieczny stan polityki zagranicznej, co oczywiście wychodziło po za jego zakres. Skutek był ten, że parlament rozszedł się bez żadnego pozytywnego rezultatu, nawet bez wyboru delegacyj wspólnych. W ugrupowaniu stronnictw nastąpiła pewna zmiana: Kroaci, Słoweńcy i Rusini przyłączyli się do Czechów, tak, że obstrukcyja zamiast słabnąć, wzmocniła się. Co z tych parlamentarnych przeobrażeń w końcu wyniknie, trudno dzisiaj przewidzieć. Ogólne przekonanie jest jednak, że tak dalej, jak dotąd, rzeczy iść nie mogą. Musi nastąpić jakaś zmiana — w tym czy owym kierunku.

Największą klęską dla ministerstwa p. Koerbera było jednak uspokojenie obstrukcyi na Węgrzech. Jak zawsze na Węgrzech, tak i tym razem wszystko naraz się zmieniło — tak nagle i tak bez zewnętrznych przyczyn, że trudno byłoby pojąć, co się tam właściwie stało, gdyby się nie miało przekonania, że na Węgrzech dzieje się wszystko teatralnie. Cały hałas, całe oburzenie, jakie się tam widzi na scenie — to wszystko doskonale uorganizowany teatr. Za sceną stoją reżyserowie, którzy dają znak do rozpoczęcia gry i do jej

końca. Za ich znakiem scena się odgrywa, za ich znakiem się kończy. Reżyserowie urządzili znakomicie obstrukcyę — reżyserowie ją zakończyli, a kiedy świat zdziwiony się pyta, cóż takiego na Węgrzech zaszło, co tak potrafiło zmienić umysły — to odpowiedzi na to dać trudno. Trzeba szukać jej — za kulisami.

*
* *

Książę Ludwik Windisch-Graetz.

Wspomnienie pośmiertne.

Szlachetna, prawdziwie rycerska dusza i postać, *sans peur et sans reproche*, jedna z tych, przed któremi schyla się głowę szczerze i bez zastrzeżeń. Orderów nie rozdajemy — wieńce wawrzynu rozdaje tylko zwycięstwo, a tego, i sposobności do niego, dawno nie było. Ale każdemu wolno, każdemu przystoi, złożyć świadectwo i hołd tam, gdzie widzi cześć wysoko noszoną a nigdy niezem nie przyćmioną, gdzie widzi wierność Bogu na chrzcie poprzysiężoną, wierność chorągwi i monarsze zaprzysiężoną w chłopięcych latach, a dochowaną przez całe życie do śmierci w stałości niezachwianej i niezłomnej — gdzie widzi w domu poważną cnotę i pełne miłości serce męża, ojca, brata, a za domem odważną cnotę i równie miłości pełne serce żołnierza, obywatela i patryoty. Jest w armii austryackiej z pewnością honoru, patryotyzmu i wojskowego ducha wiele, i nie chcemy bynajmniej mówić, jakoby książę Ludwik Windisch-Graetz nie miał sobie podobnych. Tylko w tym naszym kraju mało który był tak dobrze znanym, mało który takie zdobył sobie uszanowanie u wszystkich, przywiązanie u tych, co na niego zbliżka patrzali. Przebył tu między nami długie lata swego życia, w wysokich i najwyższych wojskowych stanowiskach, tu małemi dziećmi przywiózł swoje córki, tu je wychował i tu wydał za mąż; tu pierwszego małego synka stracił, tu drugiego szczęśliwie wychował: złączył się więc z tym krajem mnogiemi i drogiemi wspomnieniami swego życia, a lu-

dzi, którzy w tym kraju żyją, złączył z sobą silnemi węzłami ufności zupełnej i najszczerszego podziwienia dla jego charakteru.

Język niemiecki ma jedno słowo bardzo piękne na oznaczenie szlachetnej natury męskiej: *Hochherzig*! To słowo przypada doskonale do księcia Ludwika Windisch Graetza, to sam główny rdzenny rys jego charakteru. Wysokie, więcej jak dobre, więcej nawet jak szlachetne serce we wszystkich uczuciach, stosunkach i obowiązkach: w związkach rodzinnych, w przyjaźni, w służbie publicznej, w politycznych zawikłaniach i sprzecznościach. Był on wcieleniem austriackiego patriotyzmu, jak być powinien. Gdyby ci wszyscy, co tem państwem oddawna rządili, byli mniej ludźmi stronnictwa czy doktryny, a więcej mieli jego wysokiego serca, państwo nie byłoby doszło do tego rozpaczliwego zamętu, z którego wydobyć się nie może. On miał tę starą tradycyjną miłość Austrii i wierność dynastji, która była piękną cechą austriackich starych rodów i armii, a nie miał tej ciasności, tej skostniałości w odwiecznych pojęciach i przyzwyczajeniach, które sprawiały, że w trudnych czasach i przejściach cała ich miłość i wierność nie wystarczała, nie zdołała radzić, ani prowadzić. On, przeciwnie, miał trafny, bystry zmysł polityczny i wytrawny, doświadczeniem wyrobiony polityczny rozum. W wewnętrznych przeciwieństwach i sporach nie miał ani społecznych, ani narodowych uprzedzeń czy nienawiści. Austriak przede wszystkim, austriacki torys, legitymista, był za mądry i prawy, żeby przeoczyć lub przeczyć prawa i interesa różnych narodowości wchodzących w skład monarchji; owszem, wiedział doskonale, że ich równowaga jest interesem i zabezpieczeniem monarchji, tej równowagi warunkiem i podstawą sprawiedliwości, przyznana każdemu i ściśle przestrzegana. Jakie były jego pod tym względem uczucia, to pięknie wskazują słowa, które wyrzekł, kiedy młodszą córkę wydawał za księcia Pawła Sapiehy: „Powinna zostać czem ją Pan Bóg stworzył, kochać to, co kochała dotąd, ale powinna stać się Polką tak dobrą, jak żeby była rodowitą“. Na dobry grunt padły te jego słowa; żyją w tej córce i w jej dzieciach. Ten zmysł polityczny, i ten austriacki patriotyzm ostrzegł go dawno, weześnie o niebezpieczeń-

stwie, o fałszywym torze, na jaki Austria została wepchniętą. Pamiętamy go w chwili, kiedy hr. Taaffe zapowiedział zmianę ordynacyi wyborczej. Windisch-Graetz przeczuł, że mylnie nastawiono zwrotnicę i że pociąg może się wykołnąć. Nie miał nic przeciw rozszerzeniu prawa wyborczego, ale tak lekkomyślnie, bez rozwagi, bez przygotowania planu, rzucać hasło i początek najważniejszej zmiany! to go przerażało o przyszłość i ugodziło w samo serce. Dalszy bieg wypadków usprawiedliwił te obawy, sprawdził te smutne wróżby, a nie będzie w tem pomyłki, jeżeli się powie, że zatruł mu życie.

Czem być mógł dla tego idealnego Austriaka widok parlamentu, który w karczemnych burdach lub w umyślnej głupiej bezczynności gubi swoją rację bytu i swoją dobrą sławę, gubi powagę i siłę państwa, wystawia je na śmiech i na wstyd? Czem być mógł widok tego państwa wodzonego na pasku przez sprzymierzeńca, który szczerem nie był i nie będzie nigdy, a w którego trzeba udawać ufność i wiarę, bo inaczej może spaść doraźne niebezpieczeństwo. Czem mógł być widok tego rosnącego rozkładu, któremu nikt nie próbuje położyć tamy? tych Niemców, co otwarcie śpiewają *Wacht am Rhein*? tych Włochów, co marzą, żeby za Wenecją poszedł Tryest? tych Słowian, co ślą westchnienia na północ? tych Węgrów, co wiedzą dobrze, że silna Austria jest koniecznością dla ich własnego bytu, a drobnymi, nie koniecznymi, ani nagłymi (choćby słusznymi) żądaniami i sprawami wszczepiają w nią nowy pierwiastek fermentu, rozkładu, osłabienia? Do tego szeregu strasznych nieszczęść w domu cesarskim, do tego ta myśl nieznośnie upokarzająca, że świat obcy musi tę Austrię uważać i cenić inaczej, jak dawniej: wszystko to, ciągnące się przez lata, a coraz gorsze, coraz groźniejsze, bolało księcia Windisch-Graetza tem bardziej, im bardziej on był *hochherzig*. Na domiar on, żołnierz przez całe życie, on, wierzący w wojsko nie jak w miecz tylko, ale jak w ostatni pewny puklerz tej Austrii, on musiał widzieć, że zanosi się, że może się zanieść na zmiany, które w jego przekonaniu z jednością armii, z jednością dowództwa pogodzić się nie dadzą. Smutne miał te lata ostatnie, a ich faktem głównym był patryotyczny ból doskonałego Austriaka.

I ten, jeżeli się bardzo nie mylimy, podkopał jego zdrowie, przyspieszył śmierć.

Gdyby był mógł przewidzieć przyszłość, byłby zapewne wolał zginąć pod Sadową, gdzie się tak świetnie odznaczył. Śmierć na polu bitwy jest piękna; ale choć smutniejsza, nie mniej piękna jest śmierć po długim szlachetnym żywocie, po mnogim cierpieniu. Przed Bogiem może więcej w niej zasługi, przed ludźmi mniej chwały, ale więcej dla nich przykładu, zbudowania, nieraz i pożytku. Dobrze, że ten przykład zostanie w armii: może utrwali i rozkrzewi tę tradycję, tego ducha, którego zmarły był doskonałym wyobrazicielem. Dobrze, że ten przykład, ten duch, zostanie w domu przez syna, który zechce i z pewnością potrafi być podobnym do ojca. Tego żegnamy z żalem, ze czcią, ale i z tem uczuciem, że żałować go nie trzeba, bo piękne szlachetne miał życie, a co od Boga dostał, to jemu i swojej ojczyźnie wiernie jak dobry sługa oddawał. Myśląc o nim, starym żołnierzu i feldmarszałku, przypomina się to, co o młodym rycerzu mówił Wallenstein:

Sein Leben liegt faltenlos und leuchtend ausgebreitet.

St. Tarnowski.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do Redakcyi „Przeglądu Polskiego“.

Dienst! Ein Kasernen-Roman in drei Tagen, von Rudolph Stratz. (Egon Fleischel & Co., Berlin, 1903, 8-o, str. 162).

H. Orlicz-Garlikowska: *Szablon*. Powieść. (Warszawa, druk P. Laskauera i Sp., 1904, 8-o, str. 271).

Etudes de littérature allemande, par Arthur Chuquet, professeur de langues et littératures d'origine germanique au Collège de France. Deux séries. (Paris, Librairie Plon, 1900 et 1902, 8-o, str. 321 i 231).

Artur Gruszecki: *Zwycięzcy*. Powieść. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1903, 8-o, str. 257).

Kazimierz Gliński: *W Babinie*. Powieść z pierwszych lat Rzeczypospolitej Babińskiej. 2 t. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1903, 8-o, str. 362 i 426).

Ignacy Chrzanowski: *Okruchy literackie*. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 12-o, str. 206).

El. Kazimierz Laskowski: *Melodye*. (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1904, 12-o, str. 200).

Antonina Gedroic-Matuszewicz: *Biały demon*. Nowelle i fantazye. (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1904, 4-o, str. 231).

Eduard Mörike's Briefe. Ausgewählt und herausgegeben von Karl Fischer und Rudolf Krauss I. (Berlin, Otto Elsner, 1903, 8-o, str. VII i 340).

Turgenjew. Von Ernst Borkowsky. Mit Bildniss. (Berlin, Ernst Hofmann & Co., 1903, 8-o, str. 217).

Byron. Von Emil Koeppel, Professor an der Universität Strassburg. Mit Bildniss. (Berlin, Ernst Hofmann & Co., 1903, 8-o, str. 260).

Sämmtliche Werke von M. E. delle Grazie. I Band. *Robespierre*. III Band. *Vom Wege*. Geschichten und Märchen. (Leipzig, Druck und Verlag von Breitkopf und Härtel, 1903, 8-o, str. VII, 519 i 250).

Henryk Sienkiewicz: *Drei Frauen*. Deutsch von K. Grelich. Illustrationen von R. Gutschmidt. (Stuttgart, Franckh'sche Verlagshandlung, 8-o, str. 124).

Hanns von Zobeltitz: *Prinzesschens Glück. Das Röschen von Sternberg*. Mit Illustrationen von Konrad Egersdörfer. (Stuttgart Franckh'sche Verlagshandlung, 8-o, str. 127).

Rose Bernd. Schauspiel in fünf Akten, von Gerhart Hauptmann. (Berlin, S. Fischer, Verlag, 1903, 8-o, str. 154).

Elektra. Tragödie in einem Aufzuge frei nach Sophokles, von Hugo von Hofmannsthal. (Berlin, S. Fischer, Verlag, 1904, 8-o, str. 94).

Dialog vom Tragischen, von Hermann Bahr. (Berlin, S. Fischer, Verlag, 1904, 8-o, str. 151).

Peter Hawel. Drama in fünf Aufzügen, von E. von Keyserling. (Berlin, S. Fischer, Verlag, 1904, 8-o, str. 176).

Die conventionellen Lügen der Kulturmenschheit. Von Max Nordau. 19. Auflage, 54 u. 55 Tausend. (Leipzig, Verlag von B. Elischer Nachf., 8-o, str. VIII i 350).

Anna Świdorska: *Obok szczęścia*. Powieść współczesna. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1904, 8-o, str. 293).

Stefan Żeromski: *Opowiadania*. Wydanie trzecie. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1903, 8-o, str. 268).

Hermann Bessemer: *Der Mann mit dem Spiegel*. (Magazin-Verlag, Leipzig-Reudnitz, 8-o, str. 339).

Die belgische Malerei im neunzehnten Jahrhundert, von Richard Muther. Mit 32 Abbildungen. (Berlin, 1904, S. Fischer, Verlag, 8-o, str. 106).

Meister Eckehart: *Schriften und Predigten*. Aus dem Mittelhochdeutschen übersetzt und herausgegeben von Herman Büttner. Erster Band. (Verlegt bei Eugen Diederichs, Leipzig, 1903, 8-o, str. LVIII i 239).

Theophrastus Paracelsus: *Das Buch Paragranum*. Herausgegeben und eingeleitet von Dr. phil. Franz Strunz. (Verlegt bei Eugen Diederichs, Leipzig, 1903, 8-o, str. 112).

Theophrastus Paracelsus, sein Leben und seine Persönlichkeit. Ein Beitrag zur Geistesgeschichte der deutschen Renaissance, von Franz Strunz. (Verlegt bei Eugen Diederichs, Leipzig, 1903, 8-o, str. 126).

Der Meister. Komödie in drei Akten, von Hermann Bahr. (Berlin, 1904, S. Fischer, Verlag, 8-o, str. 108).

Familie P. C. Behm. Roman, von Ottomar Enking. (Dresden und Leipzig, Verlag von Carl Reissner, 1903, 8-o, str. 324).

Leben Shakespeares, von Robert Hessen. (Berlin & Stuttgart, Verlag von W. Spemann, 1904, 8-o, str. XII i 411).

Jadwiga (Die Natschalniza). Ein Roman aus dem russischen Leben der Gegenwart. Von Ernst Schrill (S. Kel-

ler). Dritte Auflage. (Verlag von Otto Rippel, Hagen in Westph. 1903, 8-o, str. 191).

E. M. Lilien: *Sein Werk*. Mit einer Einleitung von Stefan Zweig. (Verlegt bei Schuster & Loeffler, Berlin und Leipzig, 1903, 4-o, str. 347).

Das Schloss der Frevel. Roman, von Ferdinand Kürnberger. Herausgegeben und mit einem Vorwort versehen von Karl Rosner. 2 t. (Leipzig, 1904, Hermann Seemann Nachfolger, 8-o, str. XII, 313 i 250).

Die stumme Mühle. Roman, von Otto von Leitgeb. (Egon Fleischel & Co., Berlin, 1903, 8-o, str. 281).

Macht. Ein soziales Schauspiel in vier Akten, von J. Wiegand. (Egon Fleischel & Co., Berlin, 1903, 8-o, str. 164).

Größenwahn. Drama in drei Akten, von Franz Jędrzejewski. (Laurahütte-Siemianowicz. Druck und Verlag von Franz Buschka, 8-o, str. 102).

Goethe, von Karl Heinemann. Dritte, verbesserte Auflage. Mit 271 Abbildungen und 5 Kunstbeilagen. (Leipzig, Verlag von E. A. Seemann, 1903, duze 8-o, str. XIV i 780).

Die Deutsche Dichtung der Gegenwart. Die Alten und die Jungen. Von Adolf Bartels. Fünfte verbesserte Auflage. (Leipzig, Eduard Avenarius, 1903, 8-o, str. VIII i 314).

Jena oder Sedan? Roman von Franz Adam Beyerlein. 2 Bände. (Vita, Deutsches Verlagshaus, Berlin, 8-o, str. 737).

Aus einer kleinen Garnison. Ein militärisches Zeitbild von Fritz von der Kyrburg. (Braunschweig, Verlag von Richard Sattler, 1903, 8-o, str. 269).

Bronisław Czarnik: *Ossoliński i katedra języka i literatury polskiej na Uniwersytecie lwowskim*. (We Lwowie, nakładem Towarzystwa literackiego im. Adama Mickiewicza, 1902, str. 35).

Ks. Józef Londzin: *Stan szkół ludowych w Księstwie Cieszyńskim na początku XIX stulecia*. (Lwów, nakładem Towarzystwa wydawniczego. Warszawa, księgarnia Sadowskiego. Cieszyn „Macierz szkolna“, 1902, str. 43).

Róża Jerychońska. Najświętsza Marya Panna w obrazie dzikowskim, cudami i łaskami woniejąca, albo Łaski i cuda obrazu tegoż, przez X. Wawrzyńca Święckiego, kaznodzieję generalnego. (W Krakowie, czcionkami drukarni „Czasu“, 1901, str. 77).

Ludwik Mizerski: *Lucyan Doreba*. Powieść poetyczna w 10 pieśniach, osnuta na tle stosunków wielkopolskich r. 1862—1865. (Poznań, 1901, str. 288).

Kazimierz Przerwa-Tetmajer: *Panna Mery*. Powieść. (Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa, 1902, str. 258).

René Bazin: *Z pruskiego zaboru. (Rodzina Oberlé)*. Przetłómaczył za pozwoleniem autora K. M. (Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie, 1902, str. 232).

Dr. Mściśław Wartenberg: *Obrona metafizyki. Krytyczny wstęp do metafizyki*. (Kraków, nakładem Księgarni D. E. Friedleina. Warszawa, Wende i Sp., 1902, str. 158).

Złoty trzewiczek. Powieść z XII wieku. Z przypiskami historycznymi i takimże spisem alfabetycznym. Opowiedział Julian Baczyński. (Lwów, 1902, str. VIII i 93).

O naszych pierwszych książkach, dwunych szkołach i Uniwersytecie krakowskim. Przez H. Orszę. (Warszawa, 1901, str. 134).

Cienie. Irial. (Odbito w Krakowie w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego w r. 1903, Gebethner i Sp., str. 74).

Ernest Hello: *Z życia i ze sztuki*. Studya i szkice w przekładzie i z przedmową Walerego Gostomskiego. (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1901, str. 421).

Ks. de Broglie: *Reakcja przeciw pozytywizmowi*. Z oryginału przełożył Edward Jędrzejowicz. (W Krakowie, nakładem Księgarni katolickiej Dr. W. Miłkowskiego, 1901, str. 263).

Leonard Lepszy: *Kultura epoki Jagiellońskiej w świetle wystawy zabytków w 500-letnią rocznicę odnowienia Uniwersytetu Jagiellońskiego*. (Kraków, nakład Towarzystwa Numizmatycznego, 1901, str. 67).

Dr. Korneli Juliusz Heck: *Jan Chryzostom Pasek*. W sprawie jego pamiętników i charakterystyki. (W Krakowie, czeickami drukarni „Czasu“, 1902, str. 14).

Studien über Isatin. Inaugural-Dissertation zur Erlangung der Doktorwürde der hohen philosophischen Fakultät der Friedrich-Alexanders-Universität Erlangen, vorgelegt von Anton von Korczyński. (Krakau, 1902, str. 47).

Prof. Dr. Stefan Pawlik: *W sprawie przemysłu cukrowniczego*. (Kraków, nakładem autora, 1902, str. 24).

Księga pamiątkowa pięćsetletniego jubileuszu odnowienia Uniwersytetu Jagiellońskiego, 1400 — 1900. (Odbito w Drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie w r. 1901, str. 331).

Jan Nowacki: *Pieśń*. (W Krakowie, w Drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego w r. 1903, Księgarnia Gebethnera i Sp., str. 44).

Św. Stanisław, biskup krakowski, w świetle historyografii nowożytnej. Napisał Dr. Kazimierz Szkaradek-Krotoński. (Toruń, nakładem autora, 1902, str. 102).

J. Schiekopp: *Gramatyka litewska początkowa*, przełożona z niemieckiego i opracowana przez J. Januszkiewicza i A. Maciejewskiego, wydana przez inżyniera A. Maciejewskiego. (Kraków, nakładem wydawcy, 1902, str. 104).

Dzieje Polski za Piastów. Napisał Dr. Feliks Koneczny. (Kraków, nakładem Krakowskiego Towarzystwa Oświaty ludowej, 1902, str. 408).

Księga pamiątkowa ku uczczeniu 25-letniej działalności nauczycielskiej w Uniwersytecie lwowskim radcy dworu Prof. Dr. Ludwika Ćwiklińskiego, wydana przez Przyjaciół i byłych uczniów. (We Lwowie, 1902).

DEUTSCHE RUNDSCHAU.

Inhalt des Februar-Heftes, 1904

I. Semiramis. Eine Erzählung von Ernst von Wildenbruch. — II. Kant als Mensch. Zu Kants hundertjährigem Todestag (12 Februar 1904). Von Erich Adickes. — III. Das deutsche Schutzgebiet Kiautschou. Von A. von Janson, General-leutnant z. D. — IV. Unser Herder. Rede zur Gedächtnisfeier der Goethe-Gesellschaft von Bernhard Suphan. — V. Franz Deák. Von Eduard Wertheimer. — VI. Ernst Haeckel. Zu seinem siebenzigsten Geburtstage. Von Wilhelm Bölsche. — VII. Aus dem Tagebuche des Grafen Joseph Alexander von Hübner. — VIII. Wilhelm von Polenz. Ein Nachruf Von Otto Frommel (Karlsruhe). — IX. Politische Rundschau. — X. Trojans „Berliner Bilder“. — XI. Eine neue Biographie der Königin Luise. Von Paul Bailleu. — XII. Literarische Notizen. — XIII. Literarische Neuigkeiten. — XIV. Inserate.

Inhalt des März-Heftes, 1904.

I. Semiramis. Eine Erzählung von Ernst von Wildenbruch. (Fortsetzung). — II. Herbert Spencer. (Geb. 27 April 1820, gest. 8 Dezember 1903). Von Ferdinand Tönnies. — III. Menander im Lichte neuerer Funde. Von Alfred Körte. — IV. Die leitenden Staatsmänner Englands. Von Felix Salomon. Joseph Chamberlain und der englische Konservatismus. — V. Mirabeau und Lavater. Von Alfred Stern (Zürich). — VI. Aus dem Tagebuche des Grafen Joseph Alexander von Hübner. II. — VII. Deutsch-Südwestafrika. — VIII. Politische Rundschau. — IX. Angelika und Annette. Von Richard M. Meyer. — X. Die christlichen Kirchen in der Türkei. — XI. Lord Roberts of Kandahar. Von M. von Brandt. — XII. Literarische Notizen. — XIII. Literarische Neuigkeiten. — XIV. Inserate.

„PRZEGLĄD POLSKI“

pismo naukowe i literackie, wychodzi rok trzydziesty ósmy w Krakowie, w pierwszych dniach każdego miesiąca, w zeszytach zawierających 10 — 12 arkuszy druku w 8^{ce} (rocznie najmniej 12 arkuszy druku).

Wydawca i odpowiedzialny redaktor
Prof. Dr. Jerzy Mycielski.

Prenumerata „Przeglądu Polskiego“ z przesyłką pocztową wynosi:

	rocznie:	pólr.:	kwart.:
w Austrii . . .	Kor. 32.—	Kor. 16.—	Kor. 8.—
„ Niemczech. . .	Mk. 32.—	Mk. 16.—	Mk. 8.—
we Francyi, Belgii, Włoszech i w Ame- ryce	Fr. 40.—	Fr. 20.—	Fr. 10.—

Cena pojedynczego zeszytu Kor. 3.

Przedpłatę należy nadsyłać pod adresem Administracyi „Przeglądu Polskiego“: Księgarnia Spółki Wydawniczej Polskiej w Krakowie

Prenumeratę przyjmują wszystkie znaczniejsze księgarnie oraz urzędy pocztowe w kraju i za granicą.

Dla wszystkich osób stanu nauczycielskiego i dla duchownych prenumerata „Przeglądu Polskiego“ wynosi:

rocznie w Austrii	Kor. 24.—
„ w Niemczech	Mk. 24.—
„ we Francyi i t. d.	Fr. 35.—

którą przyjmuje wyłącznie tylko Administracya.



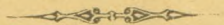
Tom 152.

Nr. 455.

PRZEGLĄD POLSKI.

ROK TRZYDZIESTY ÓSMY.

Zeszyt XI. Miesiąc Maj 1904 r.



W KRAKOWIE,
EKSPEDYCJA W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ
1904.

SPIS RZECZY.

	Str.
I. Twórczość liryków rzymskich, przez Dr. Tadeusza Sinkę	189
II. Zarys rozwoju idei społeczno-gospodarczych w Polsce od pierwszego rozbioru do r. 1831. Część II, przez Dr. Stanisława Grabskiego	206
III. „Moje przeprawy“. Pamiętnik Andrzeja hr. Zamoyckiego o czasach Powstania Listopadowego (1830—1831) (ciąg dalszy), z autografu wydał Alkar.	243
IV. Listy z Francyi. III. Z powodu wznowienia sprawy Dreyfusa. Polityka wewnętrzna i zewnętrzna. Muzyka („Pelleas i Melisanda“ p. Debussy), przez Roberta de Saint Maurice.	276
V. Sprawy krajowe. XVI. Nasze górnictwo. II. Sól, wosk ziemny i olej skalny, przez Dr. Władysława Szajnochę	307
VI. Kronika literacka	325
W. Łoziński: Prawem i lewem.	
R. Hessen: Leben Shakespeare's. — E. Engel: Shakespeare-Rätsel. — W. Kienzl: Richard Wagner. — H. von Wolzogen: Wagner-Brevier. (R. Strauss: Die Musik).	
Z literatury powieściowej. W. S. Reymont: Chłopi. (I. Jesień. II. Zima).	
VII. Teatr krakowski, przez Dr. Feliksa Konecznego. Muzyka w Krakowie, przez Witolda Noskowskiego	346
VIII. Przegląd polityczny, przez * *	361
IX. List z Poznania, przez Świdwę	375
X. Piotr Chmielowski. Wspomnienie pośmiertne, przez Dr. Józefa Tretiakę	382

Twórczość liryków rzymskich.

Natura fieret laudabile carmen an arte
quaesitum est.

(HORATIUS: *Ars.* 408).

Oryginalność i nowość są w oczach większości dzisiejszych czytelników najpożądańszymi przymiotami jakiegokolwiek utworu nadobnej literatury. Dotyczą one przedewszystkiem tematu i treści, bo na treść w pierwszym rzędzie zwraca publiczność uwagę i w niej szuka niezwykłości, niebywałości i jak tam jeszcze brzmią inne równoznaczniki wymienionych przymiotów. Niech nawet bardzo uznany pisarz ogłosi początek powieści, której przedmiotem romansowym będzie znów porwanie oblubienicy i t. d., natychmiast ozwą się niezachęcające głosy znawców i nieznawców: „Znamy! znamy! Czytaliśmy to już trzy razy w Trylogii, czwarty raz w *Krzyżakach*. Pisarz się wyczerpał“ i t. d. jeszcze gorzej.

Ten punkt widzenia i sądzenia utworów nie jest bardzo dawny, nie dawniejszy, jak hasła romantyzmu, którym zawdzięcza swój początek. Przedtem obowiązywała (naturalnie czytelników) przez dwa tysiące lat poetyka, streszczająca się w dumnem wyznaniu aleksandryjskiego Kallimacha: „Nie śpiewam nic nowego!“ Do nowszej literatury europejskiej wprowadził ją Horacy, wskrzesili humaniści, a Hieronim Vida, Juliusz Cezar Skaliger, Boileau, Pope, Gottsched, Dmochowski, by poprzestać na tych autorach klasycystycznych poetyk, są wykładnikami czasu i miejsca jej panowania. Kto odpychał nowość treści, żądał doskonałości formy, a przez to samo domagał się od autora żmudnej pracy nad jej osią-

gnięciem. Poetę sądzono nie jako natchnionego wieszczą, ale jako uczonego artystę, jako zręcznego sztukmistrza, jako pracowitego — rzemieślnika. A że takimi sztukmistrzami byli poeci rzymscy, sława ich i powaga stała niewzruszona, dopóki wydawano wyroki estetyczne na podstawie kodeksu klasycznego. Zatrząśł nim Wood (1769) w rozprawie o Homerze i jego pierwotnym geniuszu i odtąd w genialności widziano jedyne znamię prawdziwego poety. Znajdowano ją u Greków, nie potrafiiono się dopatrzyć u Rzymian. Więc tych uznano za marnych naśladowców i nieraz wprost przewrotnych kopistów greckich oryginałów; orzeczono, żeśmy już wyrosli z pod ich przewodnictwa, przestano ich czytać, nie przestano zniesławiać. Oczywiście nie wszędzie, przede wszystkim nie w krajach romańskich. Ale Niemcy, zebrawszy wszelkie dostępne pierwowzory greckie, uzasadnili naukowo nieoryginalność i drugorzędność poezji rzymskiej, a przez niemieckie podręczniki spopularyzowała się ta uczoność i u nas. Bo jakoś z wykładów jagiellońskich, w których zawsze porbrzmiewają humanistyczne i romańskie sądy o tych poetach, nie wiele pamiętają nasi *cand. phil.* Za to mądrość „Handbuchów“ przelewają skwapliwie w głowy gimnazystów, którzy oczywiście nawet pod przewodnictwem najlepszego pedagoga nie potrafią ocenić piękności Wergilego czy Horacego, bo są do tego za młodzi, więc i za mało wykształceni. A że do obrzydzonych na szkolnej ławie autorów niewiele tylko potem powraca, więc wykształcony ogół powtarza sądy tych, którzy ich wprowadzili kiedyś w lekturę i w niej im towarzyszyli, kontrolując postępy notami — aż do dojrzałości. Naturalnie gdy wymrze dzisiejsza generacya niemieckich podręczników, a nowe napisane będą w takim duchu, jak Zielińskiego książeczka o Cyceronie, Heinzego dzieło o Wergilim, Lea szkic literatury rzymskiej, i w naszych gimnazjach wiele się zmieni. Tymczasem jednak — niniejsze uwagi nie mają bynajmniej na celu rehabilitacyi poetów rzymskich. Dał ją już przed kilkunastu laty prof. Morawski w rozprawie o „Słowie i natchnieniu w poezji rzymskiej“, ogłoszonej w 19-ym roczniku tego miesięcznika. Chcą one tylko zaprowadzić czytelnika do pracowni poety rzymskiego, oświecić ją i pokazać, że Horacy to nie żaden odmieniec, który nawet w wy-

lewach własnego serca i przedzach własnej myśli kopiował Greków, ale takisam człowiek, jak wszyscy ci, którzy kiedykolwiek mienili się artystami i literatami. Tajemnice twórczości i tworzenia pozostaną przytem tajemnicami, jak wszelki proces powstawania. Ale może się uda wyjaśnić nieco samą robotę wszelkich literatów.

Najlepiej mogliby o niej opowiedzieć oni sami. Niestety wstydzą się swego rzemiosła, niechęć przyznać do dziesiątek zaniechanych pomysłów i nieudanych conceptów, kryją się ze studjami przygotowywawczemi do tworzenia. Publiczność bowiem, ulegając może pewnym mistycznym wierzeniom, może tylko poetyce, którą w przeciwstawieniu do klassycznej możnaby nazwać barbarzyńską, nie chce nie słyszeć o powstawaniu dzieła, a pragnie rozkoszować się już gotowem, jakby ono za dotknięciem różdżki czarodziejskiej z ziemi wyskoczyło. Wiedzą o tem artyści i dlatego nietylko w samym utworze wywołują illuzję improwizacyi przez pozory natchnionego niepokoju i sennej niejasności, ale i we wszelkiego rodzaju ankietach, czy je urządza Charles Morice czy Antoni Lange czy ktokolwiek inny, opowiadają o owych prawie nieświadomych momentach, w których idea utworu, jak promień z nieba, wpada w ich głowy. Suggestyę tę wywołała w nich ogólna wiara, tak, że ich nie wolno posądzać o nieszczerłość. Od rzymskich poetów publiczność natchnienia nie wymagała: Więc cały jego aparat z Muzami, szaleńcem bakchicznym i Apollinowym i innymi przeżytkami prastarych wierzeń, traktują tylko jako konwenyonalny motyw, a za to wiele mówią o swej sztuce, pracy i trudzie. Przytoczenie tych wyrzeczeń w oryginalnem brzmieniu i rozciągłości nie zgadza się ani z charakterem miesięcznika ani niniejszego szkicu. Odsyłając więc ciekawych do rozprawy *Ingenium et ars*, umieszczonej w Księdze pamiątkowej uczniów uniwersytetu Jagiellońskiego (r. 1900) lub do tego-rocznej dyssertacyi erlangenńskiej Riednera (*Typische Aeusserungen der röm. Dichter etc.*), przedkładamy odrazu program literacki poetów augustowskich, zestawiony przeważnie ze zdań Horacego i Owidego:

„Dwa czynniki składają się na twórczość poetycką: talent i sztuka. Talent, jak sama nazwa *ingenium* wska-

zuje, jest wrodzony; sztukę nabywa się przez naukę i ćwiczenie. A sztuka ta to nie tylko zdolność ekspresyj, nie tylko biegłość techniczna w robieniu wierszy, bo bez tego o żadnej produkcji literackiej mowy być nie może; ale doskonałość we formie, którą osiąga się jedynie przez wytrwale i długo-trwale poprawianie. Oba wymienione czynniki muszą istnieć w najwyższej potędze, gdyż wolno być tylko wielkim poetą, dla miernot miejsca niema. Brak sztuki prowadzi samozwańczych geniuszów do śmiesznych ekstrawagancji, brak talentu każe dyletantom w biegłości formalnej widzieć zdolność poetyczną, rzemieślniczym zaś wierszokletom mnogością wierszy zastępować ich dobroć. Wreszcie niechęć do poprawiania i gładzenia napisanego utworu nie pozwoliła nawet wielkim talentom wydać nic doskonałego; ich wiersze płynęły jak wezbrany strumień, niosący wiele rzeczy niepotrzebnych, nawet wprost niepięknych. Natomiast wytrwałość i praca sprawiły, że nie jeden mniejszy talent sztuką odnosi sukcesy. Kto więc ma wrodzone zdolności, powinien je kultywować przez naukę. A nauka ta polega z jednej strony na wzbogacaniu wiedzy przez studyowanie greckiej filozofii, z drugiej na kształceniu smaku przez rozczytywanie się w greckiej literaturze. W tej spotyka poeta kongenialne duchy, talenty podobne do siebie jakością i zakresem, bierze z ich dzieł podniecie do tworzenia, stawia je sobie za wzory do odtwarzania. Treść ich bowiem jest własnością publiczną; obleczenie jej w nową doskonałą formę — oto zadanie poety. Ale obok piękności formy stawia on sobie dwa inne postulaty: chce być przyjemnym i pożytecznym. Przyjemny jest, gdy pozwala słuchaczowi odtworzyć w sobie, przeżyć wszystkie uczucia i affekty, wyrażone w utworze; a pożyteczny, gdy podaje praktyczne nauki i moralne zasady. Używać w tych trzech kierunkach mogą naturalnie tylko ludzie wykształceni, nie tłum. Zyskawszy poklask najlepszych, może się poeta spodziewać nieśmiertelności, która jest najsilniejszym do tworzenia bodźcem“.

Umyślnie usunęliśmy wszelkie przypadkowości, wynikające z osobliwych warunków, wśród których powstała i rozwijała się poezja rzymska. Jednego rysu nie można było usunąć bez uszkodzenia, a nawet zburzenie całości: to

opieranie się o grecką literaturę, powoływanie się na greckie wzory. Poeci rzymscy nie tylko się z nimi nie kryją, ale owszem chluby w tem szukają, że są naśladowcami Greków. Z jednym maleńkiem zastrzeżeniem: Każdy z nich dobitnie podkreśla swą pierwszość w naśladownictwie. Wergili, przeobrażając w *Ziemiaństwie* Nikandra i Hezyoda, mówi (3, 40) o nietkniętych gąszczach, przez które się przedziera; a kopiując w *Sielankach* Teokryta zaznacza na początku szóstej eklogi, że jego Talia pierwsza uznała za rzecz godną, by się zabawiać syrakuząńskim wierszem i przebywać w lasach. A Horacy widzi w tem szczyt swej zasługi literackiej, że pierwszy sprowadził eolską pieśń do rytmów italskich (list. III, 30, 14. IV, 3, 12) i woła z dumą: „Swobodną stopę na nietkniętym gruncie postawiłem pierwszy, a nie obcymi kroczyłem tropami. Bo kto ma ufność w własne siły, przywódcą staje się tłumowi. Ja pierwszy pokazałem Latynom paryjskie jamby, idąc za rytmami i namiętnością Archilocha, nie za jego treścią i wyrazami, chłoseczącymi Lykambesa. Byś mię zaś nie zbyt małym uwieńczył laurem, jakobym się uląkł zmiany rytmów i sztuki, wiedz, że Muzę Archilocha miarkują u mnie rytmy mężnej Safony, miarkuje ją Alceusz...” Trudno wyraźniej określić rodzaj i miarę naśladownictwa, jak to uczynił Horacy, mówiąc o swym stosunku do Archilocha: Tamten pisał jamby — i on je pisze. Tamten był namiętny w inwektywie, on jest w niej nie łagodniejszy. Ale Archiloch chłostał słabości i śmieszności współczesnych sobie Paryczyków, Horacyusz wypuszcza trujące strzały swych jambów na mieszkańców Augustowskiego Rzymu. Innemi słowy: Poeta rzymski pragnie być tem dla rodaków, czem był jego patron grecki dla swoich ziomków. Wiedziała o tem publiczność i chętnie nazywała Enniusza rzymskim Homerem, Plauta Epicharmem, Afranusza całym, a Terencyusza połowicznym Menandrem. Propereusz przewiduje, że będzie rzymskim Kallimachem (IV, 1, 64), a Horacy niepomrotnie się ucieszył, gdy go ktoś za życia jeszcze nazwał rzymskim Alceuszem (list. II, 2, 99).

„Ależ to tylko nowe potwierdzenie panującego przekonania, że nie mamy w całym piśmiennictwie świata dwóch literatur, z których jedna takby była od drugiej zależną,

jak rzymska od greckiej. Stwierdzenie rzymskiej *moral insanity* na punkcie własności literackiej, nie jest jej usprawiedliwieniem. Znamy. Mówiąc o *moral insanity* ma fikcyjny interlokutor przed oczyma słowa Afraniusza w prologu do *Compitalia*: „Przyznaję się, wziąłem wiele nietylko z Menandra, lecz jak kto co miał, co mi się nadawało, a czego nie mogłem lepiej zrobić“, lub zdanie Seneki starszego o Owidym: „Brał, nie kradnąc tajemnie, ale jawnie pożyczając“.

A jednak mimo to, że te zeznania są prawdziwe i że zachowane utwory w zupełności je potwierdzają, ośmielamy się twierdzić, że poeci rzymscy nie postępowali inaczej, jak artyści wszystkich innych narodów i cywilizacji. Przedewszystkiem nie różnili się zasadniczo od Greków!

Nowymi i własnymi szlakami chodzą tylko geniusze, którzy tworzą i gatunki literackie i właściwy im styl. W ich ślady wstępujące talenty korzystają z ich wynalazków, przetwarzają je i rozwijają. Wobec greckiego zamięłowania do czystości gatunków literackich, w każdym gatunku wyrobił się styl konwencyonalny, którego poeta z konieczności musiał się trzymać, indywidualizując go i modyfikując. Ów geniusz pierwotny, najwyższy wyraz twórczości starohelleńskiej, który obejmujemy zbiorową nazwą Homera, jest zarazem — szczytem konwencyonalności. Tyle w nim powtarzających się zwrotów, wierszy, ustępów. Ta konwencyonalność stylu sprawia, że księgi i ustępy, oddalone od siebie w czasie o całe wieki, na pozór jednaką są powleczone patyną — szablonu. A kto chce namacalnie przekonać się o tem, jak gardzono oryginalnością w Atenach i to w najbardziej greckim i klasycznym wieku piątym, niech porówna uważnie trzy tragedye, traktujące ten sam przedmiot: *Ofiarnice* (*Choëforoi*) Ajschylosa, *Elektrę* Sofoklesa i *Orestesa* Eurypidowego. Sofokles przejmuje najlepsze motywy swego poprzednika w całości, inne nieco zmienia, zaostża, inne pomija; Eurypides obu krytykuje, nieraz paryodyjuje. A publiczność? Publiczność, znając mit, znała z góry fabułę, akcyę, charakter; nie emocjonowała się więc ani nowością przedmiotu ani naprężeniem akcyi. Za to wrażliwa była na najdelikatniejsze odcienia w oryginalnem ujęciu znanego już motywu, spostrzegała je odrazu i wszelki postęp radośnie uznawała i nagradzała. Zamykający

tę najklasycystyczną epokę grecką Bakchylides streszcza klasyczny pogląd na oryginalność w następujących słowach: „Jeden z drugiego mądrość czerpie, tak dawniej bywało, tak jest i teraz. Bo nie łatwo dostać się do bram niewypowiedzianych rzeczy“. Ale też do tych bram nikt się nie dobijał, a poeci aleksandryjscy z Kallimachem na czele wprost ich unikali. Nie trzeba zaś zapominać, że poezja rzymska jest dalszym ciągiem poezji aleksandryjskiej. Ta tylko między praktyką obu literatur zachodziła różnica, że Rzymianie nie mieli tych genialnych źródeł, z których czerpali Grecy, to jest ani własnej krainy mitu, krynicy najczystszej poezji, ani twórców gatunków literackich i ich stylu. Jedyne dla nich źródłem poezji była literatura grecka, która im zastępowała i własne mity i własne wzory. Brali więc z niej i treść i gatunki literackie i motywy już ukształtowane, a brali nie inaczej, jak epigonowie greccy ze swych poprzedników.

Takie „branie“ rozumiemy łatwo przy epice i dramacie. Ale czy ono nie jest czemś niezwykłym, nawet wprost potwornem w liryce? Czy poeta może własne myśli i uczucia wyrażać za pomocą obcych motywów i zwrotów? Czy taka liryka — może być poezją?

Odpowiedź na te pytania można znaleźć jedynie w znajomości tworzenia poetyckiego, ale o nie nie trudniej, jak o pouczenie w tym kierunku. Bo twórcy mówią tylko o dreszczach koncepcji, haszyszu fantazji, raj u artystycznym, by nie wspominać o nadnaturalnościach inspiracji; a profesorzy piszą wielotomowe poetyki, opisujące formy i gatunki literackie, rytmy i rymy, wiersze i strofy. Dwie znam tylko książki, ostrożnie i metodycznie prowadzące nad samą przepaść twórczości poetyckiej: berlińskiego profesora filozofii, sędziwego Wilhelma Diltheya: *Die Einbildungskraft des Dichters, Bausteine für eine Poetik* (Lipsk 1887, księga jubileuszowa dla E. Zellera) i docenta monachijskiego, Karola Boryńskiego¹⁾: *Poetische Vision und Imagination* (Halle 1897).

¹⁾ Kto się chce wyzwolić z pod mimowolnych wpływów poetyki, uczonej w gimnazyach, niech przeczyta przynajmniej małą poetykę tegoż uczonego, w *Sammlung Götschen*. (80 pf!).

Otóż pomijając zupełnie tajemnice organizacyi poetyckiej, o której można się poinformować choćby w znanej polskiej rozprawie „o poecie, jako człowieku pierwotnym“, ujmujemy wywody wspomnianych uczonych, dotyczące procesu tworzenia artystycznego, w następującą brutalną formułę: Z pod progu świadomości artysty wydobywa się chaos myśli i uczuć, z którego on musi jeszcze w duszy utworzyć jakąś żywą całość, złożoną z treści i formy, a następnie uzewnętrznia ją zapomocą mowy tak, aby każdy w tem zewnętrznem zjawisku mógł odczuć wewnętrzne życie i odtworzyć je w sobie w tej samej formie; aby więc duch mówił do ducha za pośrednictwem samodzielnie żyjącej rzeczy trzeciej, za pośrednictwem dzieła sztuki. Tego rodzaju proces psychiczny towarzyszy nie tylko powstaniu dzieła poety czy mowcy, ale powtarza się *mutatis mutandis* przy każdej, nawet najbanalniejszej rozmowie w życiu codziennem. Ale tu odbywa się on wskutek przyzwyczajenia tak szybko i tak automatycznie, że nie zwracamy nań uwagi. Fantazya dobrego artysty czy myśliciela produkuje ustawicznie rzeczy dobre, mierne i złe, ale wyćwiczony zmysł krytyczny wybiera, odrzuca, łączy. Kto niezbyt surowo sądzi i odrzuca, a chętnie odtwarza liczne wspomnienia, może być wielkim improwizatorem; taka jednak artystyczna improwizacya stoi o całe niebo niżej od artystycznej pracy. Jej wyrażenie się spotyka nieraz przypadkowe przeszkody zewnętrzne, materiały się powoli gromadzą, aż wreszcie wybuchają z żywiołową siłą na zewnątrz we formie improwizacyi. Wtedy nie tylko artysta, ale i publiczność wierzą w inspiracyę, w cud, bo zapominają o owych nieraz nieświadomych pracach przygotowawczych. Ale chwile takiego spotęgowania assocyacyi psychicznych są rzadkie. Zwykle zastępuje je artystyczne tworzenie, dosyć uciążliwa, ale i niezmiernie uszczęśliwiająca praca nad tem, by pracy do wydobycia się na zewnątrz kompleks myśli i uczuć skrytalizował się jeszcze w duszy w jakąś całość, którąby można wyrazić w słowach. Przy tem nie całe uczucie zdoła się ujawnić; część jego pozostaje w ciemnej głębi duszy, niepokojąc ją dalej.

Abym ten proces wyraźniej objaśnić, przypomnijmy sobie znane każdemu zajęcie, przy którym on jest bardzo powolny,

a bardzo charakterystyczny, zajęcie nie ważniejsze, jak pisanie zadań szkolnych na tak zwany wolny temat. Pozorna banalność porównania znajdzie usprawiedliwienie w oczach wszystkich, którzy wiedzą, że im niższą, pierwotniejszą działalność funkcji psychicznych obserwujemy, tem łatwiej się w niej potrafimy zorientować. Otóż uczeń ma n. p. opisać zimę. Widział ją nieraz, wie jak wygląda: więc treści mu nie powinno brakować. A jednak siedzi bezradny. Nie wie, jak zacząć, a jeśli zaczął, jak dalej pisać. Treść nie może sobie znaleźć odpowiedniej formy. Ale on już czytał może nieraz opis zimy. Więc częścią z pamięci go powtarza, częścią, czego nie zapamiętał, sam uzupełnia. Tak powstaje zadanie ucznia w najlepszym razie; w gorszym, jeżeli uczeń, nie pamiętając, co czytał, tylko gdzie czytał, zwraca się do tego źródła i stamtąd bierze myśli w gotowej formie, zmieniając je nieco i omawiając.

Cień Horacego nie zasępi się na polach elizejskich, jeśli pokusimy się o podobną genezę jego prześlicznej pieśni zimowej (1, 9):

Horacyusz siedzi przy kominku w willi Thaliarcha, popijając wino. Na dworze huczą zimne wiatry i przez kontrast tem przyjemniejszym czynią pocie ciepły zakątek. Gospodarz smutny: trapią go troski o przyszłość. Poeta stara się go rozerwać, pokazując mu z okna wspaniałe krajobraz zimowy. W dali bieleje Soracte. Lasy uginają się pod ciężarem śniegu, na rzece polyskuje lód. Widok zimy nasuwa mu na myśl obraz starości; wrażenie huczących wiatrów kojarzy się z przypomnieniem burzy morskiej i trosk Thaliarcha, a wszystko to wywołuje w nim przez kontrast chęć życia i użycia, nim nadejdzie starość — zima, nim go złamią burze — troski.

Taki tok myśli przeżył Horacy w rzeczywistości, może tylko w fantazyi. Ale przeżyć musiał. Bez takiego wewnętrznego zdarzenia i przeżycia i odczucia poezyi niema. A gdy go raz opętała owa idea i owe obrazy, nie znalazł spokoju, póki ich nie zużył artystycznie. Chęć pocieszenia przyjaciela i podziękowania mu za przyjemny bankiet nie pozostała też bez wpływu na przystąpienie do pisania. Jeszcze raz staje przed oczyma jego duszy ów krajobraz zimowy, jeszcze raz ożyją wspomnienia rozmów przy kominku. Gdy się zabiera

do ich wymalowania słowami, brzęczą mu w uszach melodyjne rytmy Alceusza o zimowej burzy, zamarzniętych rzekach, śnieżnej zawierusze, słyszy gdzieś greckie wezwanie, by dołożyć drew na kominek i nie szczędzić wina w amforach. Pierwsze słowa jego pieśni układają się same w rytmy strofy Alcejskiej: *Vides ut alta stet nive candidum Soracte etc.* Choćbyśmy nawet dla wszystkich motywów znali greckie odpowiedniki i mogli udowodnić ich zużycie przez Horacego, i tak musielibyśmy utwór jego uznać za oryginalną poezję, bo znajdujemy w nim odtworzenie zdarzenia z jego życia (choćby tylko wewnętrznego), czujemy odzwierciedlenie widzianych obrazów i odczutyh uczuć i tak im ulegamy, że potrafimy je w sobie odtworzyć i jeszcze raz przeżyć.

Ten typ tak zwanego naśladowania greckich wzorów jest najpospolitszy w poezji rzymskiej. Najdalej w kierunku posługiwania się obcymi obrazami i motywami w wyrażaniu własnych uczuć i myśli poszedł Wergiliusz w Eklogach, które wobec istnienia Idyll Teokryta są dla nas doskonałą wskazówką i miarą, jak daleko w naśladownictwie mogli się byli posuwać lirycy, których pierwowzory się nie zachowały. A jednak te same eklogi są przeważnie poematami okolicznościowymi, związanymi ściśle z indywidualnymi losami poety i jego przyjaciół. Ilość obcych motywów i zwrotów nie stanowi o oryginalności i n. p. łacińska parafraza ody Safony, którą Catullus przesłał Clodji, choć tylko w ostatniej strofie oddala się od swego pierwowzoru, jest oryginalniejsza od kopy elegii z *Księgi miłostek* Owidego, choć ten tylko myśl przewodnią, pomysł, temat od Greków zapożycza. Ale Catull przeżył treść ody Saffickiej, Owidy pytał się, co by można powiedzieć na temat, że miłość to wojaczka i t. p. — i pisał deklamację.

Innej kultury oprócz greckiej Rzymianie nie mieli, innej literatury nie znali. Cóż więc dziwnego, że obrazy i pomysły, którymi karmiono ich od pierwszej młodości, tak się zrosły z ich wyobrażeniami i myślami, iż zawsze w greckiej powracały formie? Przy podobnym zakresie lektury humanistów, powiedzmy naszych humanistów, Kochanowskiego, nie trudno i w ich utworach wykryć obce myśli i pomysły. Komentowane wydanie polskich pieśni Jana z Czarnolasu nie inaczej

będzie wyglądać, jak filologiczna edycja Horacego, a nie inaczej też wygląda wydanie rzymskich elegii Goethego. Do każdego motywu i obrazu można przytoczyć paralellę starożytną. I niema może bardziej wykwintnej rozkoszy estetycznej, jak to przypominanie sobie przy lekturze dramatów Goethego, a zwłaszcza Schillera alluzji i reminiscencyi do znanych utworów literackich. Ale też niema i obrzydliwszego zajęcia, jak śledzenie zapożyczeń w celu udowodnienia, że dany autor był pospolitym korsarzem literackim. Ostatnie dziesiątki lat wydały na niwie krytyki literackiej cuchnący kwiatek zwany „Plagiatdetektiv“, którego najdoskonalszym okazem niemieckim był hamburski anatom Dr. Albert, na francuskiej niwie Raoul Debert. Dr. Albert spreparował anatomicznie Lessinga, rozkładając go na tysiące obcych części składowych, Debert wyławiał z dzieł tak poczytnych autorów, jak pani Staël, Chateaubriand, Wiktor Hugo, Eugeniusz Sue, Victorien Sardou etc., zapomniane fizyognomie literackie, których pomysły pochłonęły wspomniane wielkości. Znowu fakta były prawdziwe, a obszerna polemika literacka wykazała, że takie zapożyczania są czemś pospolitem we wszystkich literaturach, są koniecznością literacką. Tylko te typy i motywy, które przechodzą z ręki do ręki, osiągają coraz doskonalszą formę wchodzą w skład arcydzieł. Goethe nie wahał się nawet przed zillustrowaniem tego żywienia się obcymi pomysłami następującym realistycznym porównaniem: „Man könnte eben-sogut einen wohlgenährten Mann nach den Ochsen, Schafen, und Schweinen fragen, die er gegessen und die ihm Kräfte gegeben“. Wiadomo, ile takich zwierząt zrekonstruowano z arcydzieł Szekspira, a niemniej obfity połów zrobić można w którymkolwiek z innych wielkich i oryginalnych poetów. Bo oryginalność leży nie w przedmiocie i treści utworu, ale w sposobie pojmowania i ukształtowania tej treści, słowem we formie. Oczywiście forma nie polega tylko na doborze wyrazów i zwrotów, rytmów i strof, ale w niej i jedynie w niej mieści się to, co stanowi o wartości utworu, indywidualność poety. Wszak utwór literacki jest tylko odzwierciedleniem myśli autora, a przedmiotem tych myśli jest cały świat rzeczywistości i historii. Gdyby Newton prawo grawitacyi ogłosił był we formie poetycznej, wartość jego poematu

leżałaby tylko w przedmiocie, tylko w treści. Poeci nie odsłaniają tajemnic, nie wzbogacają wiedzy, mówią o rzeczach znanych, a jeśli przy tem zajmują i porywają, to tylko przez formę. Im bardziej znany i oklepany jest przedmiot, tem więcej daje autorowi sposobności do pokazania swej indywidualności. „Wenn die Kunst sich in den abgetragenen Stoff kleidet, erkennt man sie am besten als Kunst“ pisze Nietzsche w 179 aforyźmie „Menschliches Allzumenschliches“, a zasady tej trzymali się po wszystkie wieki rzeźbiarze i malarze, przedstawiając tysiąc razy tych samych pierwszych ludzi, te same Madonny i Piety, te same Judyty i Salomy itd. itd. Ktokolwiek rozejrzał się nieco w historii sztuki, wie, że najwięksi mistrze za nowymi motywami i pomysłami nie gonią, ale przejmują je od poprzedników, nieraz bardzo ciemnych fizyognomii. Nie inaczej jest i w historii literatury. Tylko bardzo naiwni mogą sławić jeszcze oryginalność i pierwotność pieśni i opowiadań ludowych. Studya porównawcze wykazały, że właśnie te utwory odznaczają się najmniejszą dozą inwencji i są członami wędrującego łańcucha motywów, który się ciągnie od Oceanu Indyjskiego po Atlantycki. Takisam obraz przedstawia historia motywów literatury artystycznej. Poeci rzymscy ani o włos nie ustępują w oryginalności swym kolegom ze wszystkich innych literatur. Tylko że nowsi czytają znacznie więcej; więc też znacznie trudniej wykryć źródła ich wszystkich motywów. Gdybyśmy jednak posiadali wydania n. p. Słowackiego, sporządzone przez uczonego, któryby znał wszystkie książki, w jakikolwiek sposób znane poecie, zdumielibyśmy się nad mnogością zapożyczeń. Im bowiem z mniejszą świadomością tworzy poeta, tem mniej wystrzega się reminiscencji. Twórca uświadomiony usuwa je i zaciera. Niech wolno będzie ten ekskurs o illuzorycznej oryginalności zakończyć małym przykładem, wziętym z Ody Mickiewicza. Piętna natchnienia nikt nigdy jej nie odmawiał. Mimo to wykazano w niej reminiscencye z Schillera i Koźmiana. Dodajemy jeszcze jedną: O samolubie, który, jak żółw zamknięty w skorupie, płynie po trupim oceanie życia, powiada poeta: „Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem“. Filolog, wydający tę ode, zanotowałby skwapliwie w uwadze: Por. Owid. Heroid. 18, 148 Idem navigium, navita, vector ero.

Museusz, Hero i Leander 255: *autos eon eretes, autostolos, automatos neus*. Zgodność Owidego z poetą bizantyjskim wskazuje, że obaj wzięli swój zwrot o płynącym po morzu Leandrze z zaginionego poety Aleksandryjskiego. Czy ten go pierwszy stworzył? Pewna, że Mickiewicz czytywał Owidego, którego ślady w jego utworach są dość liczne i przy pisaniu Ody nieświadomie użył jego epigrammatycznego frazesu.

Więc nie dziwny się „nieoryginalności“ poetów rzymskich; nie bądźmy też nieprzyjemnie zdziwieni, gdy dojrzały artysta umyślnie po raz piąty obrabia ten sam motyw romansowy, by tem świetniej zabłysnąć we formie. Nie dziwny się nieczemu. A najmniej owej okrzyczanej za specyalnie rzymską zasadzie: *nonum prematur in annum (ars. 388)*. „Przez dziewięć lat trzymaj w zamknięciu manuskrypt swych poezyj. Zawsze ci wolno zniszczyć, czegoś jeszcze nie wydał; ale głos raz wydany powrócić nie może“. Więc cóż? Przez 9 lat trzeba wypisywać obce wzory, zbierać motywy i zwroty, nim się z nich uda złożyć własny utwór? A gdzież dreszcze koncepcyi, gdzie upojenie natchnienia, gdzie szalał twórczości i tworzenia? Znali je nietylko rzymscy poeci, ale i rzymscy dyletanci. O grafomanie Suffenusie mówi Catullus (22, 15): „Nigdy on tak nie jest szczęśliwy, jak przy pisaniu wierszy: jakże się wtedy raduje i jak się podziwia!“, a w rozkoszach koncepcyi widzi Horacyusz jedyny bodziec ich twórczości (list. 2, 2, 106): „na śmiech się narażają marni wierszokleci; ale rozkosz im sprawia pisanie, więc nawzajem się podziwiają...“ Od takiego dyletanta — ciągnie dalej Horacy — różni się prawdziwy poeta autokrytyką, kreśleniem, poprawianiem. A autokrytyki tej podstawą jest ogromne wykształcenie literackie i filozoficzne. Poeta musi stać na wysokości kultury swego czasu, musi być *poeta doctus*. Z chwilą, gdy mu zabraknie obecowania z „najlepszymi“ ze współczesnych, gdy nowe książki nie użyźniają jego intelektu, czuje słabnięcie autokrytyki, niechęć do niej, przyznaje się otwarciu do dekadencyi. W takim położeniu znalazł się Owidy, przeniesiony gwałtownie z literackich — buduarów stolicy do barbarzyńskich chat scytyjskich. Oto co z Pontu pisze do przyjaciela (1, 5, 13): „Sam widzisz, jak się borykam, by wiersz

doprowadzić do końca, a on i tak nie staje się mniej twardym, jak mój los. Gdy odczytuję, com napisał, wstydę się, żem wogóle pisał: tyle widzę rzeczy godnych skreślenia nawet w oczach samego autora. Mimo to nie poprawiam, bo to większa praca, jak pisanie, a chory mój umysł nie znosi żadnego wyteżenia. Czyż potrafię energiczniej operować kreślnikiem i każdy wyraz brać pod rozwagę?... Nie, zadowalnia mnie spisaniem tego, co mi łatwo przychodzi, bo nie mam nawet powodu do zbytniego nateżenia się w pracy. Na cóż mam w trwodze i trosce gładzić swe wierszyki? Czy może z obawy, że ich nie pochwali Geta?“. Jeszcze bardziej szczegółowo opisuje Owidy swą robotę literacką na innem miejscu (ex Pont. 3, 9, 17):

„Nieraz chciałem już zmienić jakiś wyraz, ale go zostawiłem, bo siły nie dopisują memu sądowi. Nieraz żał mi — bo czemuż ci nie mam wyznać prawdy — trudu poprawiania, nie mam ochoty dźwigać długotrwałego ciężaru. Gdy piszę, to sam szal mi pomaga i ulgę w pracy przynosi, a utwór pali mi się w rękach i rośnie z natchnieniem. Ale poprawianie o tyle trudniejszą jest rzeczą, o ile wielki Homer był większy od Arystarcha“.

Rozróżnione tu są dwie fazy powstawania poematu: koncepcya, połączona z pierwszym rzutem na tabliczkę czy papyrus, stan i czynność bardzo przyjemna i lekka; a potem żmudne i mozolne poprawianie, kreślenie, odważanie każdego wyrazu. Psychologia i fizyologia koncepcyi, jej powinowactwo ze sennem marzeniem, towarzyszące jej hallucynacye akustyczne i optyczne nie mogą w ramach tego szkicu wystarczającego znaleźć przedstawienia. Poprzestając więc na skonstatowaniu tej niewiadomej i u poetów rzymskich, przypatrzmy się rzeczy bardziej ludzkiej, technice tworzenia. I tu analogia innych sztuk potężnie usuwa przesady, wiarę w nagłe, prawie cudowne powstawanie poematów.

Wystarczy wypowiedzieć wyraz „studya malarskie“, by sobie przypomnieć ile prób, ile pomysłów, ile żmudnych rysunków, ile kreśleń i poprawiań poprzedziło najslawniejsze w dziejach sztuki kompozycje. Rzeźbiarze nie przechowują swych pierwszych prób w glinie, ale kto widział ich przy robocie, wie ile lepienia i modelowania wymaga najprostsza

maska. Mniej znane są notaty muzyków, ale proszę zajrzeć do brulionów Beethovena. Widać z nich, jak najwspanialsze melodye powstawały powoli, a raczej były składane i wybierane z mnóstwa prób i pomysłów. Każdy artysta, o ile w materię ubiera swe pomysły, a inaczej ich uzewnętrznienie nie może, musi być sztukmistrzem, technikiem, rzemieślnikiem. Przy rzeźbie i malarstwie wpada to łatwo w oczy, bo bez nauki nikt nie wyrzeźbić ni namalować nie potrafi. Tak samo rzecz ma się z muzyką. Ale że wiersze pisze każdy, choć się niby tego nie czytał, zdaje się wielu, że poezya nie jest sztuką, to jest czemś, co nie każdy potrafi. Naiwna illuzya! Jakby ciągle czytanie wierszyków i wierszy, zajmowanie się nimi od pierwszej klasy ludowej, pisanie setek zadań nie było nauką pisania, w danym razie wierszy. Gdyby obowiązywał do dziś dnia przymus robienia wierszy w szkole, ogół wykształcony większe miałby poszanowanie dla roboty literackiej. Niestety u nas za zaletę się uznaje, że ktoś za dwa tygodnie lub miesiące „stworzył“ tragedję i pędzi ją na deski teatralne; a z lekceważeniem i politowaniem mówi się o literatach, którzy parę lat pilują swój nowy utwór, układają sobie słowniki starej polszczyzny, by jej barwami krasić swój język, studyują gwary, uczą się, pracują. Dla Getów, dla barbarzyńców Owidyusz trudzić się nie chciał, sądząc, że dla nich i sama koncepcya wystarcza. Ale rzymscy arbitrzy byli surowsi, zwracali uwagę tylko na rzeczy dojrzałe, skończone. Więc najpierw żadnych utworów młodzieńczych! Pisał młody Katull, Horacy, Owidy, ale te pierwszaki literackie szły w poprawczy ogień. Południowcy dojrzewają wcześniej. Mimo to pierwsze wiersze Katulla poczynają się w 26 roku życia, Horacego w 30, a 30 rok życia uchodzi powszechnie za próg do publiczności. Młodzikowie deklamowali swe wierszyki współuczniom w szkole. Publiczność czytała tylko utwory mężów. U nas za to poezya uchodzi za przywilej młodzieńców i chłopaczków, którzy po 30 roku życia wspominają o tomiku swych poezyj, jako o jednym z grzechów młodości. Bo też brak wszelkiej dyscypliny literackiej! To dopiero ogłaszać, co dojrzały rozum uznał za dobre, co przeszło próbę czasu, choćby tylko paru lat, a kwilenia dziecięce przestaną drażnić wykształcone uszy.

Owe więc dziewięć lat noszenia się z utworem przed wydaniem go w ręce publiczności nie jest znów specyalnością rzymską, nie jest niczem osobliwem ani nienaturalnem. Przeciwnie wśród wielkich imion literatury światowej spotykamy się z postaciami, które dopiero przez tę pracę i wytrwałość stawały się „geniuszami“, dostawały wielkości. Ci poważni rzemieślnicy uczyli się najpierw doskonale tworzyć części, nim się odważyli na całość; nie szczędzili czasu na zagłębianie się i pogrążenie w drobnostkach i pobocznościach, a nie gonili za łatwym efektem olśniewającej całości. Tylko dyletanci dają się porwać pomysłowi, spisują go bezkrytycznie i mokry jeszcze papier do drukarni posyłają. Utwory umysłów artystycznych spadają z drzewa talentu w spokojny wieczór jesienny, choć nikt na nie z kosztem nie czeka, choć handlarze i przekupnie o ich istnieniu nie wiedzą. Starożytni nie znali honoraryów i to w znacznej mierze tłómaczy ich wykwinny charakter. Nie znali też żądzy popularności, zadawałając się poklaskiem prawdziwych znawców. A nie innych zasad techniki poetyckiej trzymali się i nowsi poeci. Któż nie wie, że Goethe pięć razy redagował *Ifigenię*, choć temat był zaczerpnięty z Eurypidesa? Kto nie pamięta korespondencyi bliźniaków Wejmarskich o balladach? „Genie ist Fleiss“ — powiedział Schiller, który swe wiersze piłował a piłował, a podobnie czyniło wielu nowożytnych poetów-artystów: Heine, Freilichgrath kreślili bez końca; Lessing chce poznać poetę z tego, co przekreślił, a więc co uznał za wybujałość poetyckiej produkeyi, a o Karolu Baudelaire, ojcu modernistów, pisze A. Lange: „On nie ufał natchnieniu; kontrolował i analizował, krytykował swe natchnienie; pisał świadomie, na zimno, bez żadnego szalu i upojenia: wiele utworów naprzód układał prozą, a potem dopiero rymował“. Ale też Francuzi mają ogromną kulturę literacką, i jakiegokolwiek zresztą mieli poglądy na cele i zadania poezyi i twórczości, którykolwiek z modernistycznych *izmów* nosiliby na sztandarze, poszanowanie dla formy i publiczności zawsze mają jednakie.

Tacy parnasiści jak Leconte de Lisle lub Sully Prudhomme głoszą śmiało rzymski i Horacyuszowski kult formy, a znakomity angielski teoretyk poezyi symbolistycznej, Oskar

Wilde, tak streszcza w *Intentions* swój pogląd na sztukę: „Sztuka to forma. Artysta tworzy świadomie. Niema sztuki inspiracyi. Po za formą niema w sztuce nic istotnego. Bo technika to osobistość“. Nie innego nie głosił Horacy, nie też innego nie miał na myśli Krasiński, gdy pisał do Henryka Reewe (*Przegląd Polski* z grudnia 1903 str. 464) o świadomym tworzeniu: „Myśl, to jest coś pośredniego między uczuciem pierwotnym, a uczuciem ostatecznym, pełnem jasności. Myśl, to jest wypracowywanie, praca, analiza, której początkiem jest uczucie i końcem także uczucie. Doskonałość jest wtedy, kiedy czujemy to, cośmy poprzednio zrozumieli, kiedy czytamy płynnie to, cośmy syllabizowali, kiedy gramy, nie bardzo patrząc na nuty, to, czegośmy się z trudem po kawałku uczyli. To wreszcie, obwieścić ludziom w formie natchnienia to, cośmy w pocie czoła przez lata w sobie zebrali“. Oprócz Lessinga nie wielu znajdziemy poetów nowożytnych, którzyby tak szeroko otwierali okna swoich pracowni artystycznych. „Natchnienie, to świadoma illuzya“ wyznają obaj niedyskretnie.

Stosunek poety do przedmiotu i treści, a treści do formy jest u wszystkich poetów-artystów, więc u wszystkich literatów, piszących i tworzących świadomie, jednakowy. Różnią się od siebie poeci jako osobistości, jako synowie swych czasów i kultur. Stosunek człowieka do bóstwa, natury, kobiety i t. d. jest u poety starożytnego zupełnie inny niż u nowożytnego artysty. Od tego miał się różnić dopiero poeta nieświadomości, poeta jutra (*de tout à l'heure*). Ale, ani Teodora de Banville *Petit traité de la poésie française* ani René Ghil'a *Traité du verbe* nie zawierają zasad sprzecznych z maksymami Horacego. Jedynie sławny list poetycki Verlaine'a (*Do poety*), głosząc poezję nieodomówień, nieokreśleń, niejasności, poezję barw i woni, a przede wszystkim „*de la musique encore et toujours!*“ wprost odwraca się od twórczości świadomej, której plody zalicza do literatury „*et tout le reste est littérature*“. Ale przez długie jeszcze lata literaturą ludzie zajmować się będą, nim za przedmiot używania estetycznego obiorą poematy jutra. Wtedy i te staną się literaturą.

Dr Tadeusz Sinko.

ZARYS

rozwoju idei społeczno-gospodarczych w Polsce od pierwszego rozbioru do r. 1831.

Rozwój idei narodowej w czasach pruskich i wpływ jej na późniejszą Księstwa Warszawskiego politykę społeczną.

Rok 1794, niszcząc polityczny byt Polski, przerwał gwałtownie prąd społecznej myśli polskiej, który powstał i stopniowo się pogłębiał, coraz szersze jednocześnie obejmując warstwy narodu, w ostatnich dziesięcioleciach istnienia Rzeczypospolitej.

Punktem wyjścia wszystkich ówczesnych programów, systemów, haseł społeczno-gospodarczych, było pragnienie ratowania ojczyzny od grożącej jej zagłady. Trzeci i ostatni rozbiór Polski pozbawił je tej ich podstawy.

Wielu — i to zapewne byli najliczniejsi — na widok klęski w zupełną zapadło polityczną apatię. Ta liczna rzesza szlachecka, która, porwana wielką siłą uczucia przodowników ruchu reformy, zdobyła się na walkę i ofiary, zbyt małe, zbyt słabe w stosunku do politycznych potrzeb Polski, lecz zdumiewająco do jej sił wielkie, — uznała bezpowrotną strategię ojczyzny.

A ci nieliczni, co się z faktem rozbioru pogodzić nie chcieli, idąc zagranicę szukać potęg, coby Polskę do politycznego bytu wskrzesić mogły.

Wiary w możliwość odzyskania niepodległości własnymi siłami nikt niema.

A wobec tego nikt też nie czuje potrzeby dalszego zastanawiania się nad sposobami wzmocnienia wewnętrznych sił narodu, badania, analizowania ich, zagłębiania się w studyowanie przyczynowych zależności między różnemi przejawami społeczno-gospodarczego życia narodu. Bo te wszystkie dociekania miały przecież cel praktyczny — odrodzenia narodu.

Wprawdzie niektórzy z myślicieli ruchu reformy zagłębili się tak dalece w teoretyczne badania, iż, z dedukcyjnych wniosków coraz dalsze dedakeye snując, doszli wreszcie do punktu, z którego już im nie sposób było dojrzeć rzeczywistego stanu rzeczy w kraju, jego konkretnych potrzeb. Tak więc fizyokraci nasi, początkowo w nauce Quesnay widzący najodpowiedniejszą teorię dla umotywowania żądań reformy włościańskiej (Popławski), przetwarzają się wkrótce w czysto teoretycznych badaczy (X. Stroynowski), którzy gdy się do radzenia o sprawach praktycznych wezmą, gotowi są w swym doktrynerstwie zaprzeczyć Polsce prawa walki o swe istnienie, jeśli Polska nie ma być taką, jakiej oni chcą. (Myśli polityczne). A przecież byłoby nieprawdą twierdzenie, iż przełożyli oni fizyokratyzm nad Polskę. Jeśli autor *Myśli politycznych dla Polski* protestuje przeciwko sto-tysięcznej armii, przeciwko podatkom do politycznych potrzeb Rzpltej, a nie do rozmiarów jej czystej intraty przystosowanym, jeśli nie chce walki z Rosyą, — to nie dla tego, by mu w głębi serca mniej niż innym o Polskę chodziło, lecz ponieważ jest typowym doktrynerem, który, wydedukowawszy jakiś środek dla osiągnięcia pożądanego celu, nie widzi następnie sprzeczności między twierdzeniem, że tylko tym środkiem wolno do zamierzonego celu zdążać, a szczerą chęcią celu tego osiągnięcia — w danym wypadku między żądaniem zarzucenia wszelkich środków ratowania ojczyzny, nie licujących z doktryną fizyokratyczną, a prawdziwą miłością ojczyzny; nie widzi zaś tej sprzeczności, ponieważ wszelkiego zmysłu dla zrozumienia prawd względnych jest pozbawionym. I w tem właśnie leży tragizm wszelkiego politycznego doktrynerstwa, że w konsekwencyach myślowych gotów on formułować zdania, przeczące temu, co uczuciowem jest jego źródłem. Fizyokraci nasi w politycznych swych wywodach poświęcali społecznemu „porządkowi naturalnemu“ byt nie-

podległy Rzpltej, choć cały ten „porządek naturalny“ tyle ich tylko obchodził, o ile w nim ratunek ojczyzny widzieli. I z chwilą, gdy w przyszłość Polski zwątpią, zwątpią oni i w fizyokratyzm.

Wraz więc z rezygnacją polityczno-narodową nastąpiła po drugim i trzecim rozbiorze również rezygnacja i społecznych dążeń i ideałów.

Dnia 7 maja 1793 r podczas aktu hołdu przedłożyła szlachta „Prus południowych“ przez swych delegatów królowi pruskiemu swe prośby i życzenia¹⁾:

1) aby gubernatorem prowincyi był zamianowany generał Moellendorf, któremu do pomocy przydaną byłaby komisya złożona w połowie ze stałych Prus południowych mieszkańców;

2) aby przy wymiarze podatków z dziedzicznych dóbr szlacheckich rząd królewski uwzględnił ciężkie położenie ekonomiczne prowincyi;

3) aby dozwolonym był wolny wywóz do innych części państwa i zagranicę płodów rolnictwa i nielicznych przemysłów prowincyi;

4) aby wolno było z zagranicy kupować żelazo, tak bardzo potrzebne rolnikom;

5) aby cena soli odpowiednio do niedostatku powszechnego w Prusach południowych została zniżoną;

6) aby obywatele prowincyj zostali zwolnieni od ciężarów liwerunkowych;

7) by w pogranicznych z Polską okręgach rekrut był łagodniej wybierany, gdyż inaczej poddani będą uciekać za granicę;

8) by nie wprowadzano akcyzy do dziedzicznych miast i miasteczek szlacheckich;

9) aby przy wydzierżawianiu dóbr królewskich pierwszeństwo danem było szlachcie miejscowej;

10) aby zaprowadzone były w Prusach południowych kasy kredytowe;

¹⁾ *Sonderveröffentlichungen der historischen Gesellschaft für die provincz Posen, III, — Prümers: Das Jahr 1793, s. 84.*

11) aby zostały utworzone odpowiednie szkoły, akademie i domy kadetów dla kształcenia miejscowej młodzieży szlacheckiej dla służby rządowej cywilnej i wojskowej;

12) aby obywatele prowincyi otrzymali wynagrodzenia za straty poczynione im przez wojska rosyjskie;

13) aby z funduszków zabranych przy okupacyi kraju zwrócono obywatelom poczynione przez nich skarbowi Rzpltej awanse w podatkach;

14) aby rząd królewski poparł pretensye obywateli do zbankrutowanych w Warszawie bankierów;

15) aby sędziowie i urzędnicy sądowi naznaczani byli z pośród miejscowej szlachty;

16) aby zachowanem było prawo: *neminem captivabimus nisi jure victum*;

17) aby dawni urzędnicy i oficyali pocztowi zostali zachowani przy urzędach;

18) aby król powołał na urzędy dworskie parę osób z pośród szlachty Prus południowych, a to dla stwierdzenia, że „Wasza Królewska Mość jesteś odtąd naszym królem, a my Waszej Królewskiej Mości poddanymi“ ¹⁾.

Akt klasyczny wyłączności stanowej, do którego nie zabłąkało się ani jedno echo rozpraw i uchwał Sejmu czteroletniego!

Zrozummy go jednak dobrze. Czy cały ten proces odrodzenia moralnego i postępu idei społeczno-gospodarczych, który dokonał się w duszach polskich w ciągu dwudziestu lat między pierwszym a drugim rozbiorem, był himerą, krótkotrwałą tylko ekstazą, co wybuchła i zgasła? Czy działalność komisyi edukacyjnej, propaganda literacka pisarzy reformy, wpływ przemożny Staszica i Kołłątaja na umysły współczesnych, czteroletnie prace ustawodawcze i administracyjne Sejmu — zdołały zrodzić jedynie patos dnia 3 maja 1791 r.,

¹⁾ Podpisani: Miaskowski, deputowany z Poznania, Feliks Łubiński, dep. z Kalisza, Wollowitz, dep. z Gniezna, Unruh, dep. z Płocka, Bronikowski, dep. z Łęczycy, Bojanowski, dep. z Dobrzyna, Ziemięcki, dep. z Poznania, Łochocki, dep. z Brześcia Kujawskiego, Michał Łubiński, dep. z Sieradza, Walery Bieliński, dep. z Rawy.

treści świadomości narodowej i społecznej w niezem nie zmieniając?

Analiza literatury i polityki społecznej Sejmu czteroletniego doprowadziła nas była do wniosku, iż postęp w rozumieniu spraw narodo-społecznych w wykształceniu politycznem i ekonomicznem stał się udziałem jedynie arystokracji umysłowej narodu. Szerokie zaś massy szlachty odrodziły się jedynie w poczuciu swych względem ojczyzny obowiązków.

Niesposób zapewne uznać uchwał Sejmu czteroletniego za wynik sądów i życzeń ogółu szlachty, za wyraz powszechnej jej opinii. Jeśli jednak między zapatrywaniem społeczno-politycznem przodowników ruchu reformy a odnośniami poglądami rzeszy szlacheckiej wielka istniała różnica, to przecież jednak typ szlachcica polskiego z lat dziewięćdziesiątych zgoła już był inny niż przed dwudziestu laty. Zmiana, jaka zaszła w jego obywatelskiej moralności i z tem związana wiara w nowe autorytety w rodzaju Staszica i Kościuszki, a pogarda i niechęć do dawnych luminarzy na modłę Braniciego lub Ponińskiego, zrobiła duszę jego wrażliwą na nowe hasła miłości ojczyzny, dobra powszechnego, cnoty obywatelskiej, nie na dawne — wolności szlacheckiej. Powrót tych ostatnich już był niemożliwy. Bo jeżeli w społeczno-politycznych poglądach ogółu szlachty stosunkowo nieznaczny nastąpił postęp, polegający wyłącznie niemal na lepszym uświadomieniu sobie konieczności podporządkowywania naczelnym potrzebom państwa i narodu indywidualnych i stanowych interesów, to przecież te zasady obywatelskiej moralności ugruntowały się dość silnie, by Targowica, mimo formalnego zwycięstwa, przez powszechne narodu sumienie była potępioną, a mimo klęski maciejowickiej, bohaterem narodu stał się Kościuszko, wódz w sierpnie, nakazujący zniesienie poddaństwa i zmniejszenie pańszczyzny.

Gdy więc szlachta w zaborze pruskim wykazuje wyłączną o swe stanowe interesy pieczę w petycyach do króla pruskiego podawanych, a w zaborze rosyjskim znakomicie się dostosowuje do prawno-społecznych porządków Rosyi i nie waha się w codziennej swej praktyce uznać nieznaną nigdy w Polsce niewolę włościan, szacując majątki ziemskie przy

sprzedaży i kupnie wedle ilości „dusz“, dowolnie podnosząc pańszczyzny, odbierając włościanom ich role, sprzedając i darowując chłopów bez ziemi, — to są objawy nietyle reakcyi przeciwko ideom Sejmu czteroletniego, co rezygnacyi ze wszelkich społeczno-politycznych dążeń i programów, spowodowanej utratą wiary w siły i przyszłość narodu. Ta utrata wiary nie sprowadza potępienia ideałów, które przyświecały ostatnim o utrzymanie niepodległości Rzpltej walkom. Wiele razy błysnie nowa wskrzeszenia ojczyzny nadzieja, odżyją i dążenia reformy, podjętej przez ruch reformy z przed drugiego rozbioru. Lecz tymczasem, zwątpiwszy w możność wyzwolenia się z niewoli własnymi narodu siłami, w skuteczność sił tych więc wzmacniania, — cofa się ogół szlacheckiego społeczeństwa polskiego z areny społeczno-gospodarczego życia do życia prywatno-gospodarczego. Sprawy ekonomiczne i społeczne przestają mieć dlań znaczenie narodowe. Obchodzą je one o tyle tylko, o ile indywidualne interesy pojedynczych osób na tem zyskują. A jeśli ogół szlachty z jakimiś żądaniami czy prośbami wystąpi, to odezwa ta będzie nie wyrazem społecznych warstwy tej dążeń, lecz rejestrem indywidualnych wszystkich jej członków prywatno-gospodarczych potrzeb. Więc posłyszemy prośby o ulgi podatkowe, o dozwole nie wywozu zboża do innych prowincyj państwa, o tani dla właścicieli ziemskich kredyt i t. d. Jeśli jednak w tych zbiorowych wystąpieniach szlachty zgola myśli o potrzebach innych warstw narodu, czy też całokształtu gospodarstwa społecznego nie widzimy, to jednak nie widzimy też tu żadnych protestów przeciwko zarządzeniom państw zaborezych, ograniczającym przywileje szlachty na rzecz niższych stanów.

Jednem słowem społeczeństwo polskie w pierwszych po drugim i trzecim rozbiorze czasach zgola się do społeczno-politycznych spraw nie mięsza. Jedni, jak to powiedzieliśmy, zwątpiwszy we wszystko, o tem tylko myślą, by z pogromu narodu swój osobisty dobrobyt ratować. Inni szukają dla Polski pomocy u obcych państw. Jedni zaś, jak drudzy, bierze się przypatrują zarządzeniom państw zaborezych, regulującym stosunki społeczne w Polsce, i z równą uległością przystosowują swe zachowanie się względem włościan do praw rosyjskich, w zupełną własność oddających chłopów dziedziczy-

cowi, jak do praw pruskich, ograniczających jurysdykcyę dziedziców nad włościanami, oraz przyznających tym ostatnim dziedziczne posiadanie gruntów.

Jest to w znacznym stopniu skutkiem tego, że ruch reformy poddał wprawdzie ogół szlachty moralnej dyktaturze stronnictwa patryotycznego, dążącego do zreorganizowania Rzpltej na nowych politycznych i społecznych podstawach, do wzmocnienia władzy centralnej w państwie przez ustanowienie dziedzicznego tronu, zniesienie *liberum veto*, odjęcie praw politycznych proletaryatowi szlacheckiemu i zwiększenie podatków, a jednocześnie do podniesienia sił wewnętrznych społecznych i gospodarczych narodu przez zrównanie mieszczan w prawach ze szlachtą, zniesienie poddaństwa włościan i uregulowanie ich powinności pańszczyźnianych, oraz podniesienie przemysłu i handlu — że jednak bezpośredniego przeświadczenia o potrzebie tych reform, ani zrozumienia ich w umysły massy szlacheckiej wdrożyć nie zdążył. Gdy więc ta dyktatura moralna ustaje samą siłą faktu przerwy w politycznem życiu i politycznych walkach narodu, gdy prztem przewodcy ruchu reformy emigrują za granicę, pozostaje ogół szlachty bez wyraźnego w społecznem swem myśleniu drogowskazu, biernie do stwarzanych przez państwa zaborcze warunków społecznego życia się przystosowując.

Ale jest to przedewszystkiem bodaj konsekwencyą charakteru tych dążeń i kierunków, które się na ruch reformy między pierwszym a trzecim rozbiorem złożyły.

Jak to parokrotnie już zaznaczyliśmy, punktem wyjścia ich wszystkich była myśl ratunku politycznego bytu Rzpltej. A z tem wiąże się, że wszystkie one również główny kładą nacisk na państwową organizacyę narodu, ojczyznę z państwem identyfikując. Najsilniej tę ideę państwową zaakcentował kierunek kameralistyczny. Lecz i fizyokraci, mimo niechęci do interwencyi państwowej w sprawy ekonomiczne narodu, nie wyobrażają sobie Polski bez samodzielnego państwa polskiego. I toż samo dotyczy systemów Staszica i Kołłątaja. Wprawdzie, zarówno Staszic, jak Kołłątaj, widzą podstawę siły państwa, oraz gwarancyę trwałości jego istnienia nie tyle w materialnych zasobach skarbu i ilości żołnierza, co w duchowej sile narodu, w poczuciu jego „moralnej jedności“

i „energii“ jego uczuć patryotycznych. Nie tyle więc ze względu na ekonomiczne, a pośrednio finansowe rezultaty dla państwa, domagają się oni reform społeczno gospodarczych, co właśnie dla wzmocnienia spójni narodowej, oparłszy stosunki wzajemne różnych warstw jego na jak najpełniejszej sprawiedliwości.

I ten właśnie etyczno-narodowy charakter społecznej filozofii Staszica i Kołłątaja wyróżnia ją dodatnio od zachodnio-europejskich współczesnych doktryn społecznych, już to treść społeczeństwa w przymusowej organizacyi państwowej upatrujących, już też prawa społeczne dedukujących z „praw człowieka“, kładąc jednocześnie na niej wybitnie rodzime polskie piętno.

Program polityczny Staszica i Kołłątaja — to w gruncie rzeczy program odrodzenia narodowego, społeczne ich postulaty — to pojedyncze tylko paragrafy zakonu narodowej etyki.

Gdy jednak naród polski zatracił był wszelki niemal zmysł państwowy, w programie tym odrodzenia narodowego musiał znaleźć się i nakaz wzmocnienia organizacyi państwowej. I nie tylko musiał nakaz ten miejsce swe tu znaleźć, lecz musiał się on na pierwsze miejsce wysunąć, gdy Polska w skutek właśnie braku silnej władzy państwowej zdana była na łaskę i niełaskę państw ościennych, które niedopuszczały do wewnętrznego jej okrzepnięcia. Wzmocnienie państwa musiało być pierwszym na drodze reformy narodowej cywilizacyi krokiem. Więc też ze wszystkich postulatów ten najsilniej jest akcentowany. Formułując wszelkie inne reformy, Staszic i Kołłątaj mają wciąż na to zwróconą uwagę, czy nie stanie w czemkolwiek odnośna reforma w sprzeczności z potrzebami państwowej organizacyi Polski. I sami oni tak dalece są przejęci tą myślą ustanowienia przede wszystkim silnego rządu, myślą, która tem bezwzględniej wszystkie inne pochłania, im wypadki wewnętrzne groźniej się dla Polski kształtują, a czas więcej nagli, iż nieraz zdają się istotnie po za państwem polskim nie widzieć Polski.

Później po latach paru rzucona przez nich w umysł myśl narodowa, myśl „moralnej jedności“ narodu, urzeczywistni się w programie nowej pracy społecznej ku zachowa-

niu języka, tradycyji, związku z dawną sławniejszą przeszłością, a jeszcze później po kilkunastu i kilkudziesięciu latach da ona narodowi siły zarówno w dniach największej losów niepewności, jak w dniach najcięższej niewoli do pracy nad udoskonaleniem społecznych i ekonomicznych swych stosunków.

Lecz w pierwszych chwilach po ostatecznym rozbiórce Polski, właśnie w skutek wysunięcia na naczelne wszelkich postulatów politycznych miejsce idei państwowej, upadek państwa odczuty jest przez wielką większość narodu jako „utrata ojczyzny“. Nawet ci, co pogodzić się z faktem rozbioru nie chcą i nie mogą, co mimo wszystko do ostatniej życia swego chwili postanawiają walczyć i serca swe krzepią okrzykiem „nie umarła póki my żyjemy“ — tulaczami, pozbawionymi narodowości się tych sądzą, wierzą jeno, że „przejdą Wisłę, przejdą Wartę — *będą* Polakami“.

Z tego poczucia „utraty ojczyzny“ trojaką ówczesna myśl polska wyprowadza konsekwencyę: albo zupełnej dla spraw i zagadnień życia społecznego obojętności, natomiast pilniejszego zajęcia się kwestyami prywatno-gospodarczemi, albo rezygnacyi z praktycznych, Polsce i jej potrzebom służących rozmyślań i dociekań społecznych, za to jednak tem ściślejszego jej związku z myślą społeczno-teoretyczną całej ludzkości, albo wreszcie pracy nad zachowaniem w umysłach rodaków pamięci o Polsce, którą, choć jej niema już, kochać jednak należy.

Nasamprzód ujawniają się w literaturze tylko dwa pierwsze momenta, wyraz swój w silniejszym rozkwicie literatury techniczno-rolniczej i w liczniejszych tłómaczeniach obcych pisarzy społeczno-filozoficznych znajdując. Więć w r. 1795 pojawiają się anonimowe *Doświadczenia w gospodarstwie*, w r. 1796 Dziekońskiego *Przepisy rolnictwa*, w r. 1800 Kukolnika *Zbiór prawideł ekonomicznych* — podręcznik agronomii, w r. 1802 Horodyskiego *O składaniu się majątków* — podręcznik administracyi rolniczej, w r. 1803 poczyną wychodzić rolnicze czasopismo *Dziennik ekonomiczny zamoyski*, w r. 1804 drukuje się anonimowa *Praktyka gospodarska*, w r. 1805 wydaje znów Dziekoński *Rolnictwo i ogrodnictwo*. I nietylko w literaturze daje się odczuć to silniejsze zainteresowanie się sprawami techniki i admi-

nistracyi rolniczej. Od spraw publicznych odsunięci, oddają się właściciele ziemscy więcej niż dotychczas zajęciom rolniczym, starając się o poprawę nader zaniedbanych budynków gospodarczych i inwentarzy, oraz ucząc się od Niemców lepszej uprawy roli, ku czemu zresztą silną zachętę znajdują w znacznym bardzo wzroście cen zbożowych. Gdy od r. 1791 do 1800 r. przeciętna cena na rynku berlińskim wynosiła za 100 kilo pszenicy 14 71 marek, żyta 11·10 m., jęczmienia 10·54 m., owsa 11·83 m., to od r. 1801 — 1810 równała się ona za pszenicę 23·24 m., żyto 18·30 m., jęczmień 16·97 m., owies 17·38 m.¹⁾. Ten wzrost cen zbożowych spowodował oczywiście rozszerzenie uprawy zbóż. Rozmiary ornych ról folwarcznych szybko wzrastają. Lecz ustawy pruskie zabraniają rugowania włościan z ich osad. Folwark więc może produkcyę swą zboża zwiększać jedynie przez intensywniejszą uprawę lub rozszerzanie kultury rolnej na dotychczas odlogiem leżące grunta. Pruskie ustawy jednak, rozciągające prawną nad włościaninem opiekę, czyniły niemal niemożliwem zwiększanie liczby dni pańszczyzny. Tak więc właściciel folwarku musiał szukać sposobów zwiększenia produkcyi zbożowej w lepszej administracyi, zapobiegającej tradycyjnemu marnotrawieniu pańszczyzn, oraz w lepszej uprawie gruntów. To też stara się on teraz z postępem rolniczym zachodu zapoznać, poczyną przyswajać sobie zasady systemu Thaera, cenić znaczenie nawozu, a co za tem idzie liczniejszego inwentarza. W tym ostatnim kierunku zachęca go przytem jednocześnie rząd, który wydaje ostre policyjne przepisy przeciwko rozszerzaniu zaraźliwych chorób bydła, ustanawia premie 100 talarów dla każdego folwarku za pierwsze dostarczone przezeń z czystej krwi niszpańskich owiec etc.²⁾.

Obok tego dążenia do postępu wiedzy i praktyki rolniczo-gospodarczej ujawnia się nie mniej silnie w literaturze i wspomniana już tendencya do bliższej z myślą teoretyczno-społeczną Zachodu łączności. W r. 1795 pojawiają się Francklina *Zdania polityczne i moralne*, oraz *Rozumowa-*

¹⁾ Bachenberger: *Agrarwesen u. Agrarpolitik*, 1893 B. II, s. 542.

²⁾ Prümers: *Das Jahr 1793*, s. 431 — 459.

nia o cnocie z dykcyonarza encyklopedystów wyjęte, w r. 1797 Kanta *Projekt wiecznego pokoju*, w r. 1798 Woltaire'a *O prawie przyrody* (tłóm. St. Chomentowski), w r. 1802 powtórne dzieła tego wydanie, oraz tłumaczenie Turgota *O składzie i podzielnosci majątków* i M. Czackiego *O prawie przyrody* — rozprawa poczynająca się od oświadczenia, iż kiedy Polak ojczyznę utracił, więc niech teraz pracuje dla ludzkości całej, i istotnie też wszelkich cech umysłowości polskiej pozbawiona.

Okolo r. 1800 do tych dwóch kierunków przyłącza się i trzeci, i natychmiast staje się on naczelnem ówczesnej myśli polskiej dążeniem. Jest to kierunek historyczno-narodowy.

Ujawnia się on odrazu w całym szeregu objawów, spontanicznie i niezależnie od siebie nawzajem występujących na całym ziem polskich obszarze. Więc Czacki publikuje swoje studia *O prawach polskich i litewskich* i wspólnie z Kollatą-jem robi starania koło zorganizowania wydawnictwa źródeł historycznych. Przytem zaś obaj oni wraz z Czartoryskim i Śniadeckim organizują narodowe szkolnictwo w zaborze rosyjskim. A jednocześnie w zaborze pruskim dokłada Bantke starań, by przekonać rząd pruski o potrzebie nauczania ludności polskich prowincyj w ojczystym jej języku, Linde pracuje nad swym słownikiem, Sołtyk zaś wraz z Albertrandim, Staszicem, Niemcewiczem etc. zakładają Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, które wkrótce cały niemal ruch umysłowy społeczeństwa polskiego w sobie zogniskuje.

Statut Towarzystwa Przyjaciół Nauk głosi, iż celem jego jest „przykładać się do rozszerzania nauk i umiejętności w polskim języku“. Lecz nie kult nauki dla nauki, ani też samo do mowy ojczystej przywiązanie każą członkom Towarzystwa „przykładać się“ do rozwoju nauki polskiej, chociaż niezaprzeczenie i wielkie zamięłowanie wiedzy i ukochanie języka polskiego pracę ich ożywia. Główny, decydujący jednak motyw założenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk był innej natury; wynikał on z oceny ogólnego Polski ówczesnej położenia. Wyjaśnił go, a przynajmniej o ile to było w warunkach cenzury pruskiej możliwem, postarał się go wyjaśnić ks. Albertrandi na pierwszym publicznem posiedzeniu Towarzystwa. „Rady udzielne, zjazdy publiczne, zgromadzenia

polityczne, sądownictwo najwyższe, cywilne zabiegi, prawodawstwa zatrudnienia — mówił prezes Towarzystwa do zebranej publiczności — są wam odjęte. Abyście przez nie zaszczytem i pomocą dawnej ojczyźnie waszej, dawnym obyczajem być mogli — ani myśleć nie należy. Waleczność, odwaga, krwawe boje, rycerskie mozoly mogą stać się dobrowolną, przez was czynioną ofiarą, ale ta przed ołtarzem honoru padnie, nie przed tym, któryście ojczyźnie dawnej wystawili. Czynna jednak serc żywość trwa, trwają namiętności nalogiem zadawnione, a pastwy potrzebujące; jedna ich a niewinna strawa — w naukach i umiejętnościach zostaje. Te są wieków przeciągłością niezwiędłe kwiaty, któremi obasypany przez was być może poważny ojczyzny grobowiec; te, staraniem waszym podźwignione, wsparte, wydoskonalone, gdy miłość waszą ku pierwotnej ojczyźnie okażą, sławę jej wskrzeszoną nieśmiertelności poświęcą"... A może nawet, mimo utraty politycznego bytu, samodzielność swą cywilizacyjną wśród narodów europejskich będzie mogła Polska zachować i pamięć jej imienia będzie w świecie żywa, gdy z niej światło prawdziwej nauki zajaśnieje, albowiem „nie to nie znaczy, że pochodnię jedną trzyma olbrzym ogromny, cały żelazem okryty, drugi zaś we wzroście upośledzony, słaby, a może i spętany; jeśli równe są pochodnie, jeśli równo zapalone, jedna nie mniej niż druga, na wszystkie strony najżywsze światło roznieca... Daleki jestem od tego, abym za zuchwałość lub płochą nadzieję poczuł to nasze przeświadczenie, iż nateżoną takowych przyjaciół nauk pracą i usilnem staraniem, może być przywrócony złoty on wiek literatury polskiej, którym się wslawiły czasy dwóch dawnych Zygmuntów, aż do pierwszych piętnastu lat panowania Trzeciego; że na umysłach, to przeświatne Towarzystwo składających, dawnych onych Polaków wiecznotrwała w naukach sława tenże skutek sprawi; co zwyciężkie znaki Mileyadesa, Alexandra posagi, na umysłach Temistoklesa i Cezara niegdyś sprawiły. Niech w tej mierze serca i ochoty nie ujmuje zapatrywanie się na wspaniałą okazałość tamtego czasu, niech się nikt zwojować nie daje własnej troskliwości i trwodze, rozważając stan, o który nas zmienność losów przyprowadziła. Nie pozwalajmy, aby się nam z rąk wysliznął ten je-

dynie pozwolony sposób utrzymania zaszczytów starodawnej sławy... Nie zmieniło się i drga jeszcze w piersiach waszych to serce, ojczyźnie najpierwej żyjące, a nigdy nie umierające; a to serce nie pozwoli, aby w zupełną niepamięć iść miała ta ojczyzna, aby jej pamiątki zagładzone były, aby jej imię hańbą okryte zostało¹⁾.

W ten sam sposób przemówił na następnem posiedzeniu Towarzystwa Stanisław Potocki, z okazji śmierci Szymanowskiego, podnosząc konieczność pracy nad zachowaniem narodowi tych pomników minionego jego bytu, których nie zgładziły jeszcze nieszczęścia polityczne. Ale w odnośnych jego wywodach przebija już, choć nieśmiało, myśl nowa, której w inauguracyjnym przemówieniu Albertrandi'ego nie było — myśl, że mimo utraty samodzielności politycznej, naród istnieć może i że we wszelkich zewnętrznych jego istnienia warunkach, choćby najnieprzyjawniejszych, dążyć do wzmocnienia spójni narodowej i kulturalnych jego podstaw należy.

Albertrandi szukał pociechy przeciwko „serc własnej troskliwości i trwodze“, wskazując, że przecież mimo niewoli może Polak dać wyraz swej dla „dawnej ojczyzny“ miłości, starając się o zachowanie imienia jej w pamięci współczesnych i wznosząc jej okazały nagrobek z prac naukowych i literackich, zapalając na jej mogile pochodnię wiedzy, rozniecającej „na wszystkie strony najżywsze światło“. Potocki do tych pociech dołącza jeszcze słowa nadziei, że szerzeniem oświaty, pielęgowaniem języka, krzewieniem nauk naród nie tylko przeszłość swą uświetniać będzie, lecz byt swój przedłużać — a nawet wzmacniać podstawy, na których być może danem mu kiedyś będzie, jak Eneaszowi, wznieść nowy świetniejszy gmach życia narodowego. „Kiedy widział Szymanowski skruszony srogą burzą okręt, na którym był wraz z nami podróżnym, acz głębokim uderzony żalem, nie oddał się rozpaczom... Widząc was, gromadzących szczątki narodowej sławy, które ochroniła nawalność, chciał być uczestnikiem tej chwalebnej pracy. Już prawie do grobu zstępując, zapisał imię swoje obok ustanowicieli uczzonego towarzy-

¹⁾ Kraushar: *Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk*. Księga I, str. 144 — 146.

stwa tego. Nie umarł bez pociechy, gdyż to czyniąc, pewnie myślał, że wraz z wami, ręce jego pobożne — jak niegdyś Eneasza — unoszą z pożaru walącej się Troi bogów domowych¹⁾.

Wraz z rozwojem Towarzystwa i w miarę, jak przybywało rezultatów jego pracy, coraz silniej występuje wśród członków jego przeświadczenie o żywotności narodu, który, choć wcielony do obcych organizmów państwowych, żyć jednak nie przestaje. W przytoczonym powyżej przemówieniu Albertrandiego na pierwszym publicznym Towarzystwa Przyjaciół Nauk posiedzeniu — słyszymy o czei i miłości dla „dawnej ojczyzny“. A gdy niektóre, w mowie tej zawarte, a na zbyt już uslužne dla rządu pruskiego wyrażenia, podnoszące o wiele większą wartość rozkwitu nauk, niż „autokracji“, t. j. samodzielności politycznej, i sławiące króla pruskiego jako specjalnego protektora wiedzy — wywołały protest Hebdowskiego, który w anonimowym piśmie: „Do prześwieznego Towarzystwa Przyjaciół Nauk“ (Warszawa, 1801), przestrzega naród przed Izokratami, „którzyby usiłowali na szkodę przykładu wielkie rzeczy czynić małemi, albo żadnemi, a małe albo żadne wielkimi“ — wtedy Albertrandi nie zawahał się na publicznym posiedzeniu Towarzystwa dnia 18 października 1801 r. przypisać ten protest „zazdrości obrzydłej“ i z całą siłą podkreślić fakt śmierci narodu, który tylko w pamięci ludzi już żyć może, o ile zachowane zostaną pozostałe po nim pamiątki: „Wskrzeszają potęgę i wspaniałość dawnych Rzymian zadziwiające zabytki ich świątyń, ich bram zwyciężkich, ich amfiteatrów, ich wodosplawów, ich ścieków podziemnych. Pamiątki poprzedników, ziomków naszych, pamiątki wieków wszystkich, w których słynęło imię, dziś w czezym dźwięku ledwie pozostałe, pamiątki przynajmniej, które bez obrazy pokazać możemy, te prawie wszystkie — w granicach nauk i umiejętności, w rzędzie literatury, którą bądź to dziedzictwem, bądź rzeczywistym posiadaniem, naszą możemy nazwać, są zawarte. Te, aby jednak z innemi zaszczytami przepaść pochłonęła, nigdy zaiste nie dopuścimy, my, których tak potężnie obca literatura do siebie wabi,

¹⁾ Tamże, str. 159.

owszem, na żywej zawsze mieć pamięci będziemy ona przedziwną Dyonizego z Hilakarnasu przestrożę: *Non est generosorum hominum res, alienas querere et pati, sua, per ignariam, amitti* ¹⁾).

W rok zaś później pod koniec 1802 r. na jednym z prywatnych posiedzeń Towarzystwa tenże Albertrandi zgłosił już w innym tonie przemawia: „Święta Ojczyzno! zawsze przytomna myśli, zawsze żyjąca w sercu! Jeżeli władza Ona, najwyższemi rzeczy pod słońcem kierująca, chciała, abyśmy Cię przeżyli, nie staniemy się pastwą nieodzownej śmiertelności, dzielić się z Tobą życiem naszym będziemy, albo raczej u nas i przez nas — życie do ostatniej przeciągniesz potomności. Zaręczają to Tobie przyjaciele nauk, którzy dotąd usilnością pracy to imię utrzymać starali się, zaręczają zacne osoby one, powagą swoją zamiary nasze wspierające, zaręcza rząd, przyrzekający wsparcie i obronę, zaręcza ten nowy, przybrany do zgromadzenia towarzysz, a zaręcza ochotą, stałością usilnej pracy,łożonej na dźwignięcie, rozszerzenie, wydoskonalenie nauk, tych zwłaszcza, które wiek Twój w pierwszej czerstwości zdobyły, zaręcza, mówię, wiek wytrwałości, dla której, na Twojej mogile, czytać potomność będzie:

Hic jacet Polonia — sed non omnis“.

I w parze z tą ewolucją pojęcia narodu, który daje tak widoczne swego życia objawy, mimo utraty politycznego bytu, tak opornie względem narzucanej mu obcej kultury się zachowuje, a tak odruchowe przywiązanie do narodowych swych zwyczajów i swego języka wykazuje, że samo przez się musi każdemu, kto tylko oczu na fakty te nie zamyka, narzucić się przeświadczenie, iż treść narodu gdzieś głębiej niż w tych politycznych państwach urządzeniach leży — idzie też zmiana w kierunku prac Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Początkowo zamierza ono organizować pracę naukową i literacką, któraby mogła zwrócić na się uwagę Europy. Naczelne miejsce przyznane jest tu oczywiście historii Polski, pojętej w najszerszym tego słowa znaczeniu, a więc obejmującej sobą i historię nauk i historię literatury. Wprawdzie nie przepomniane są i inne nauki, jak n. p. matematyka,

zoologia i botanika, nauki wyzwolone. Lecz i one mają służyć przedewszystkiem uświetnieniu pamięci Polski. Wskazane w r. 1801 przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk tematy do opracowania uczonym polskim brzmią:

Z wymowy: O wymowie polskiej, zwłaszcza w XVI wieku.

Z historii: O naukach najpilniej uprawianych w XVI wieku przez Polaków? Jakie są środki wskrzeszenia ich w obecnym czasie?

Z matematyki: Ile są winne nauki matematyczne, a zwłaszcza astronomia, Kopernikowi?

Z historii naturalnej: Które rośliny i zwierzęta krajem, przedtem pod imieniem Polski znaną, za ojczyznę uznają?

Gdy zaś z czasem ugruntowuje się w umysłach Polaków świadomość, że Polska „nie cała umarła“, budzi się jednocześnie dążenie już nie tylko do gromadzenia świetnych jej zabytków, lecz i do wzmacniania drogą nauki tych podstaw jej bytu, których nie zdołały skruszyć wrogie jej losy. Obok pielęgnowania nauk czuje Towarzystwo Przyjaciół Nauk nie mniej ważną potrzebę krzewienia oświaty narodowej. Na posiedzeniu listopadowem 1802 r. zapada uchwała wydania elementarnego dzieła o mineralogii, oraz wyznaczenia komisji do oznaczenia terminologii polskiej w naukach i umiejętnościach, na następny grudniowy posiedzeniu — wydania popularnego podręcznika historii naturalnej, aż wreszcie 16 lutego 1804 r. postawia Towarzystwo Przyjaciół Nauk opracować cały szereg podręczników polskich ze wszystkich gałęzi nauk, a to w celu „rozgałęziowania umiejętności i nauk“, rozumiejąc potrzebę „dawania pierwszeństwa pracom użytecznym przed pracami przyjemnymi“. Widocznie jednak nie ogranicza przytem Towarzystwo Przyjaciół Nauk oświaty narodowej do kształcenia jedynie umysłów, lecz chce jednocześnie kształcić i serca w miłości rodzimej kultury. W tym celu zwraca się ono przez usta ks. Woronicza do publiczności z gorącą odezwą o pielęgnowanie pieśni polskiej, tego skarbu, który „w ustach niewygóbnym pokoleń nie boi się pożaru i oręża“. I, wysoce to jest znamienne, z odezwą tą łączy ono zapewnienie, „że odmiana rządu i składu politycznego bynajmniej narodów nie umarza“. Już tu śladu owej pier-

wotnej rezygnacyi, tego żalobnego pietyzmu, które do życia Towarzystwo Przyjaciół Nauk powołało, nie dojrzymy. Jeszcze w przytoczonym powyżej przemówieniu Albertrandiego z końca 1802 r. odzywa się głos *hic jacet Polonia*, chociaż łagodzony słowami *sed non omnis*. Teraz zaś w całej pełni ujawnia się umysłom naszych myślicieli ta prawda, że póki naród zachował swój język, swą kulturę i poczucie swej jedności, oraz cywilizacyjnej odrębności, żyje on i żyć nie przestanie. „A nie chodząc daleko po dowód, rzućcie okiem na ten starożytny naród Germanów... Czemże on dotąd jestestwo swoje tej prawdy utrzymuje, acz na tyle oddzielnych stanów i rządów pod różnymi panami rozdrobniony i podzielony? Skądże przecież jest *jedynym narodem*, znaczącym i poważanym w Europie? Czem rozplenia swą istotność i sławę? *Językiem i obyczajami* dawnych Germanów. A to oboje, czem ożywia i codziennie ukrzepia? *Nauką, światłem, miłością rodu swojego, wspólną braterską pomocą*“.

Dosadniej jeszcze formułuje myśl tę Staszic w zakończeniu swego referatu „O ziemiorodztwie gór dawnej Sarmacyi, a później Polski“, czytanej na posiedzeniu grudniowem 1805 r.: „*Paść może i naród wielki, zniszczyć nie może tylko — nikiemny*“. A nikiemny naród to ten, co o swojej przeszłości zapomni, co sam dobrowolnie wyrzeczce się swej kultury, zatraci poczucie swej jedności i swego indywidualizmu. Póki w narodzie żyje „umysł narodowy“ — naród byt swój zachował. Więc też zwracając się do młodzieży, tej „narodu jedynej nadziei“, stawia jej Staszic przed oczy program pracy, wzmocnienie świadomości narodowej mającej na celu, a którą za najpilniejszą, najważniejszą, bo dotyczącą pierwszych podstaw życia narodowego — uważa. I w obawie, że legiony i konspiracye zagraniczne, najdzielniejszych jednostek kraj pozbawiając, pracę tę organiczną, duchową siły narodu potęgującą, mogą nad miarę utrudnić, jeśli nie uniemożliwić całkowicie, rzuca on jednocześnie hasło pracy w kraju, na własnym zagonie. „Nieustępując na waszej ziemi nikomu pierwszeństwa w cnotach, pracach, naukach, położcie na tem wszystkim, cokolwiek ziemia waszych ojców, w najwyższych górach, w najgłębszych wnętrza zakopach i w morzach i w powietrzu ciekawego, użytecznego zawiera; położcie—mówię—

na wszystkim: pracy, dowcipu, wynalazku, umiejętności, pierwsze imię Polaka! Również wy, wielcy tej ziemi właściciele! Zamiast rozpraszać się po obcych stolicach, gromadźcie się w narodowe miasta. Tam działajcie na tę najtęższą sprężynę władz ludów: umysł narodowy! Tam domy wasze niechaj się staną świątynią narodowych obyczajów! Niechaj ta młodzież pod waszem okiem, pod waszym sądem, zwyknie szanować pracę, nauki i cnotę. A wy, waszemi dochody, uświetniajcie przodków pamięć i dzieła; pomnażajcie w waszej krainie: sztuki, umiejętności, rękodzieła, rzemiosła, handel, rolnictwo“.

Całkiem podobna ewolucya myśli narodowej dokonała się w tym samym czasie i w zaborze rosyjskim. Zresztą nie mogło być inaczej wobec ścisłych związków, które, mimo rozbioru Polski, łączyły wciąż w dalszym ciągu ludzi nauki i pracy obywatelskiej, we wszystkich trzech zaborach działających.

Wszelakoż zewnętrzne warunki bytu narodowego, różne w każdym zaborze, nie mogły nie wywrzeć pewnego wpływu na usposobienie i charakter dążeń społeczeństwa. Zasadniczy kierunek ewolucyi dążeń tych jest identyczny na całym obszarze ziem polskich. Lecz tempo tej ewolucyi, jako też sposób, w jaki się myśl narodowa w czynach i pracach ujawnia, są różne w Warszawie a Wilnie i Krzemieńcu lub Krakowie i Puławach.

Rząd austriacki, prowadzący bezwzględna centralistyczną i germanizacyjną politykę, uniemożliwiał niemal zupełnie publiczną pracę nad literaturą i oświatą narodową. Lecz tem silniejszym w skutek tego było ciążenie tych wszystkich, których trzeci rozbiór zastał na posterunkach, leżących w ziemiach zaboru austriackiego, do Warszawy i Wilna. Utrzymanie jedności życia kulturalnego całego narodu, mimo korдонów granicznych, któremi poprzedzielano ziemię Rzpltej—oto naczelne dążenie prac narodowych, ogniskujących się w Puławach, owej świątyni bogów domowych, które z ruiny państwowego swego gmachu naród ratuje. Wobec jednak upadku Akademii krakowskiej, poczucie to jedności narodowej wywołuje emigracyę z Krakowa najdzielniejszych umysłów, które, nie widząc tam dla się możności dalszej owocnej

pracy, przenoszą się do Warszawy lub do zaboru rosyjskiego. Prowadzi to naturalnie w skutkach swych do wyjałowienia życia umysłowego w zaborze austriackim, tem bardziej, iż jednocześnie uwaga Puław skierowuje się coraz silniej na stosunki łączące młodego ks. Adama Czartoryskiego z cesarzem Aleksandrem, a rozwój warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk czyni je coraz wyraźniej ogniskiem, ześrodkowującym wytwórczość naukową i literacką całej Polski. Te zadania, którym Puławy starały się sprostać drogą prywatnych, osobistych stosunków, spełnia teraz publiczna instytucja, i jako taka, spełniać je może o wiele skuteczniej. To też mniej więcej od r. 1803 czynny udział w wyrobie świadomości narodowej, w organizowaniu pracy nad wzmocnieniem kulturalnych podstaw życia narodowego — biorą wyłącznie niemal Warszawa, Wilno i Krzemieniec.

Gdy jednak w Warszawie, jako niedawnej rezydencji króla Stanisława Poniatowskiego, lubiącego się otaczać ludźmi nauki i sztuki, koncentrowała się teraz głównie twórczość naukowa i literacka, to natomiast praca oświatowa rozwinęła się najsilniej w zaborze rosyjskim. Cesarz Aleksander nie tylko bowiem zachował w zupełności niemal urządzenia Komisji Edukacyjnej, lecz przytem postawił na czele organizacyi oświaty w ziemiach polskich Polaków. Wprawdzie dawna Szkoła Główna W. X. Litewskiego została przemienioną na Uniwersytet Wileński; lecz ten nowy uniwersytet, uposażony w znaczną ilość nowych katedr i w poważną dotację 105.000 rubli rocznie, nie postradał jednak dawnych swych praw Szkoły Głównej, t. j. kierowniczego na Litwę organu oświaty narodowej. Nadal więc pozostały wszystkie szkoły, od ludowych aż do gimnazyum, pod kontrolą i zwierzchnictwem uniwersytetu. Rektorem zaś jego został zamianowany ks. Hieronim Stroynowski, a kuratorem Adam Czartoryski. Nadzór zaś nad szkołami Wołynia i Ukrainy powierzył cesarz Tadeuszowi Czackiemu.

Nie brakło i na Litwie w on czas ludzi twórczości naukowej. Właściwie to nawet zabór rosyjski dostarczył najważniejszych publikacyj naukowych polskich doby ówczesnej, jako to Czackiego: *O litewskich i polskich prawach*, *O żydach*, Jędrzeja Śniadeckiego *Teorya jestestw organicznych*,

obok których można w jednym rządzie postawić chyba jeden tylko *Słownik Lindego*. Lecz choć prace powyższe napisane zostały w Wilnie i Porycku, to przecież jednak czytane, dyskutowane były na posiedzeniach Towarzystwa Przyjaciół Nauk i zrodziły się niejako w tej atmosferze naukowej pracy, którą towarzystwo to wytwarzało i umiało daleko po za rogatki Warszawy, a nawet kordony graniczne rozszerzać. Gdy więc w zaborze rosyjskim było o wiele silniej tętno pracy oświatowej, niż naukowej twórczości, to nie z przyczyny, by tej ostatniej brakło, lecz ponieważ uznano pierwszą za ważniejszą, potrzebniejszą, donioślejszą w swych skutkach. Znamienne jest w tym względzie korespondencya Czackiego z Kołłątajem. Ceni Czacki w Kołłątaju wielki umysł naukowy, jak nawzajem Kołłątaj z najgłębszem uznaniem o zasługach i zdolnościach naukowych Czackiego się wyraża. Więc radzą się oni wzajemnie w pracach swych naukowych, przesyłają sobie rękopisy swych pism. Lecz o wiele żywszą i rozleglejszą jest ich korespondencya w sprawach szkolnictwa i to nie tylko w zakres oficjalnego działania Czackiego wchodzących: wizyt szkół wołyńskich i podolskich, oraz organizacji gimnazjum krzemienieckiego, lecz również w kwestyi uniwersytetu wileńskiego, na który żadnego przecież bezpośredniego wpływu nie mieli. Lecz groziło poważne niebezpieczeństwo opanowania większości katedr uniwersyteckich przez cudzoziemców, szczególnie niemieckich profesorów. Więc, nie pytając się o formalne uprawnienie, jeno sądząc to być sprawą narodową, w równej mierze wszystkich dobrych obywateli kraju obchodzącą, starają się Czacki i Kołłątaj i własnymi do Stroynowskiego listami i przez wpływy postronne zapobiedz możliwemu wynarodowieniu uniwersytetu.

Lecz ten nastrój umysłów w zaborze rosyjskim jest tam zarówno, jak w Warszawie, dopiero późniejszą fazą ewolucyi myśli narodowej.

W pierwszych latach po upadku powstania Kościuszkowskiego panuje tam również to żałobne przeświadczenie o zgonie narodu, które tak dobitny wyraz znalazło w mowie Albandiego, inaugurującej pierwsze posiedzenie Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

W przedmowie do pierwszego wydania *Litewskich i polskich praw* (1800 r.) pisze Czacki: „Już Polska wymazana jest z liczby narodów. W mieszkaniach królów, w siedliskach władzy rządowej wije pająk pajęczynę, a puszczyk bezpiecznie na wieżach gmachów spoczywając, wydaje głos ostrzeżenia... Doświadczyliśmy losu tych upadłych państw, nad których miast posadą często uczona wysila się uwaga, któremu zwaliska murów wspaniale dawniej, a potem zapomniane dać nazwisko“. Więć ratujmy chociaż pomniki minionej przeszłości od zagłady zapomnienia i imię Polski od oszczerczej nienawiści, bo „kiedykolwiek jaki naród przestanie być samorządnym, mija kilka ledwie pokoleń, aliści wzgarda dla nieszczęścia, obojętność dla niebędącego kraju, oddaje go zapomnieniu, a trwająca jeszcze nienawiść wymazanym nawet z liczby mocarstw nie przebacza słabości i doświadczonego może oporu... Piszmy prawdę o nas samych: ziomkowie i obcy będą nas sądzić; umiejmy cenić kadzidło palone szczęściu, a odpowiadajmy skromną prawdą uraganiu lub nieświadomości“.

I przez parę lat następnych jeszcze interesują Czackiego wyłącznie studia historyczne, w których zgodnie z powyżej przytoczonymi słowy widzi on nietylko pole właściwe swej indywidualnej pracy, zadowolenie swych osobistych skłonności umysłu i ambicij naukowych, lecz przede wszystkim swój — i nietylko swój, lecz wszystkich uzdolnionych po temu Polaków obowiązek. Więć podejmuje się on dokończenia historyi Naruszewicza, względnie opracowania pozostałych po Naruszewiczu tek historycznych. I do tej pracy stara się on wciągnąć jak najliczniejsze grono osób. To też, gdy tylko Kołłątaj po swem uwolnieniu z więzienia austriackiego przybył na Wołyń w r. 1803, przybywa doń Czacki w celu porozumienia się co do powtórnego, poprawionego wydania dzieła *O litewskich i polskich prawach*. I Kołłątaj redaguje obszerny szczegółowy na ten temat memoriał. Równie bowiem, jak Czacki, odczuwa on całą duszą potrzebę zorganizowania poważnych studiów nad historią Polski, w pierwszym rzędzie historią wewnętrzną, schodząc się w tem jednocześnie z Towarzystwem Przyjaciół Nauk, które, jak wiemy, od samego początku swego istnienia za najważniejszy cel prac swych

uznało dokładne zbadanie i opisanie dziejów cywilizacji polskiej, a na posiedzeniu majowym 1802 r. powzięło formalną uchwałę zbiorowego opracowania historii polskiej przez członków Towarzystwa, którzyby rozebrali między siebie poszczególne jej działy.

Jeszcze z więzienia w Ołomuńcu pisze Kołłątaj list do Jana Maja, księgarza i wydawcy w Krakowie, kreśląc głęboko pomyślany plan wydawnictw historycznych. „Dogiel zaczął nasze *Corpus diplomaticum*, ale go nie skończył... Nie dość na dawnej edycji tego dyplomatycznego pisarza; powinniaby być wydana powtórna... dla oświecenia tychże samych dyplomatów przez użyteczne noty... tudzież dla dodania potrzebnych rejestrów... Kilku niemieckich pisarzy zebrało dzieła niektórych wiadomszych historyków polskich p. t. *Scriptores rerum Polonicarum*. Gorliwy o doskonałą historię swego narodu Polak, jeżeli nie chce poprzestać na mierności, jeżeli jest troskliwy o uniknięcie błędu lub niedokładności w dziele historii ogólnej, powinienby naprzód zakrzętnąć się około doskonałego pisarzy zbioru, nie tylko polskich, ale i obcych, nie tylko tych, którzy rzeczy polskie pisali, ale i tych, którzy pisali rzeczy wydarzone na ziemi, na której niegdyś powstała Polska. Jeżeliby on się przekonał, że wyczerpał tę materię, powinienby wydać dzieło p. t. *O pisarzach rzeczy polskich* i oswoić publiczność z ich znajomością. W takowem to dziele każdy powinienby znaleźć pisarza życie, wiadomości o źródłach, z których czerpał, jego dobrą wiarę w oddaniu rzetelnem rzeczy historycznych, krótką recenzję jego dzieł, jego błędy, pomyłki, opuszczenia i t. d. Po tej pierwszej pracy wypadłaby powtóre: druga daleko jeszcze większa, nierównie kosztowniejsza, to jest: *Zbiór tekstów wszystkich pisarzy polskich*, którzy się kiedykolwiek zatrudnili pisaniem historii częściowej lub ogólnej narodu naszego... Zbiór ten powinien być wydany w dwóch tekstach, oryginalnym i tłómaczonym, z odpowiedniami notami historycznymi i wyjaśniającymi „różnice tekstu w stosunku do jego wielorakich edycji i manuskryptu“, wreszcie zaopatrzonej w „jak najdokładniejszy rejestr“. W dalszym ciągu wydawnicza praca historyczna winna objąć:

1) Jak najdokładniejszą geografję tej części Europy, na której była niegdyś Polska;

2) doskonale dzieło o obyczajach, zwyczajach, obrzędach narodu polskiego;

3) dyssertacyę o religii pogańskiej, chrześcijańskiej i wielorakich odszczepieństwach;

4) dyssertacyę historyczną o wychowaniu w Polsce;

5) o pasterstwie i rolnictwie;

6) o miastach;

7) o formie rządu polskiego od najwcześniejszych jego początków aż do końca;

8) o sposobie wojowania Polaków;

9) o dyplomatyce polskiej w jej stosunkach wewnętrznych i zewnętrznych, tudzież o kanclerzach;

10) o prawodawstwie polskiem;

11) o rzeczy skarbowej, o ekonomii politycznej, o rzeczy menniczej;

12) o politycy krajowej.

„Takowe dyssertacye mogą być powiększone wedle upodobania lub potrzeby, dzieląc też same materye na części lub przydając inne równie ważne. Zakończę tylko następującą uwagą: że póki nie będziemy mieli zupełnie dokończonego naszego *Corpus diplomaticum*, które Dogiel zaczął, póki nie będziemy mieli *Corpus scriptorum rerum Polonicarum*, póki nie będzie spisana doskonała Geografia naszego kraju, tak, jak ją mieć życzę, póki nie będzie wydane dzieło *De Moribus Polonorum*, przedsięwzięcie historyi ogólnej naszego kraju mam zaudacnie śmiało i to jest, do czego mi się przyznał w poufaleści sam Naruszewicz, przekonany memi uwagami i własnem doświadczeniem“.

Wysoce znamienitym jest ten list Kollątaja już jako dokument, świadczący o znakomitej wszechstronności umysłu tego niezwykłego człowieka, który czy organizuje Akademię krakowską lub liceum krzemienieckie, czy też kieruje stronnictwem patryotycznym na sejmie lub finansami powstania 1794 r., czy pisze broszury polityczne, czy też buduje nowe systemy socyologiczne, czy dedukcyjne społeczno-filozoficzne snuje wnioski lub konstrukcyje z tak skąpych podówczas geograficznych, archeologicznych i etnograficznych danych hipo-

tezy o początkach rodzaju ludzkiego, czy wreszcie plan indukcyjnych nad historią ojczystą badań rozwija, zawsze we wszystkim góruje nad współczesnymi zarówno siłą inicjatywy, jak głębokiem swem wykształceniem. Lecz bodaj jeszcze więcej jest list ten charakterystyczny dla powszechnego podówczas u nas nastroju, który każe Kollatajowi, mimo wyraźnie racjonalistycznych jego umysłu skłonności, tak jednak głęboko w metodę studyów historycznych się wgłębić. A co najważniejsza, to okoliczność, iż Kollataj, choć odcięty od bezpośrednich z rodakami stosunków, bo w więzieniu ołomuńskim zamknięty, nietylko z równą pilnością, co Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk, co Czacki na Litwie i Jan Śniadecki w Krakowie w problemat historii cywilizacji polskiej się wgłębia, lecz przytem potrzeby badań odnoszonych identycznie temi samemi argumentami, co tamci, dowodzi. „Polska przestawszy już należeć do narodów aktualnie będących, zacznie wkrótce interesować ciekawych starożytności badaczów w innym cale widoku; imię jej, wolne od zazdrości i nienawiści narodowej, przeniesione zostanie do liczby narodów mniej więcej sławnych i wielkich, które kolejną rzeczy ludzkich upadły i nie znajdują się już na karcie naszego okręgu, lecz których pamięć przeżyła niezliczone wieki. Wtenczas to równie obcy, jak i zamieszkały na tej samej ziemi potomek, rozbierać będzie bez uprzedzenia wszystkie nasze dzieje; a mając pod ręką tak obfity i tak wiernie zebrany naszych rzeczy opis, znajdzie się w sposobności sądzić o zasłudze naszych poprzedników z największą sprawiedliwością, sprawiedliwością mówię, przed którą umilkną potwarcy, nie mający więcej interesu nas czernić, ani powodu do zazdrości, nie mając nawet próżnej emulacyi nami pogardzać lub się nad nas wynosić“.

Rok 1803 odmienny jednak nadaje tok i jego i Czackiego myśli, którą w zupełności teraz pochłania kwestya organizacyi szkolnictwa na Wołyniu i Litwie — w duchu ściśle narodowym. I wraz z postępem ich na tem polu pracy, wraz ze wzrastającym sprawami oświaty zainteresowaniem obywateli, licznemi i hojnemi dary zamysły Czackiego wspierających, rośnie jednocześnie świadomość, że przecież jednak naród żyje. To zaś przeświadczenie ugruntowując się w du-

szach Polaków, każe tem silniej przykładać im się do krzewienia narodowej oświaty i narodowego wychowania. Odtwarzanie dziejów i pomników cywilizacyi narodu, jak również pielęgnowanie jego twórczości naukowej — schodzi teraz na drugi plan. Prace historyczne i naukowe nie ustają wprawdzie. Myśl dokończenia historyi Naruszewicza, zorganizowania badań naukowych, mogących zwrócić na siebie uwagę Europy — nie jest porzuconą. Lecz po nad nią wybija się o wiele silniejsza obecnie myśl wychowania narodowego. I ta nowa myśl każe Czackiemu poświęcić czas swój i swoje siły w pierwszym rzędzie organizacyi szkolnictwa, choćby na tem miały ucierpieć jego studia historyczne, choćby miał on przez to nie dać nigdy zamierzonego dokończenia dzieła Naruszewicza. Ona również zmusza Kollątaja do przerywania na czas dłuższy swych nad początkami rodu ludzkiego badań, a natomiast pisać szczegółowe projekty organizacyi szkół, układać dla nich plany nauk, prowadzić rozległą korespondencyę w celu pozyskania odpowiednich dla liceum krzemienieckiego sił nauczycielskich, opracowywać wraz z Czackim raporta tego ostatniego z jego wizytacyj, oraz szukać wszelkich możliwych środków ku odwróceniu grożącego uniwersytetowi wileńskiemu niebezpieczeństwa nadmiernego doń przyływu profesorów niemieckich. Bo już nie o naukę po prostu teraz chodzi, lecz o naukę polską, któraby myśl polską na najwyższe dostępne jej szczyty wzniosłszy, nową siłę narodowi dała. Więc nie chce Kollątaj, zarówno jak Czacki, jak i obaj bracia Śniadeccy dla Polski nauki obcej, kosmopolitycznej. I to jest również przyczyna, dla której są oni tak bardzo filozofii Kanta przeciwni. W filozofii tej bowiem, którą propagował u nas podówczas Szaniawski, widzą oni „sektę“ filozoficzną, odbierającą tym, którzy do niej przystaną, wszelką samodzielność sądu. Dziś, gdy spojrzymy na ten wielki postęp nauk filozoficznych, na rozkwit przedewszystkiem logiki i teoryi poznania, który w ciągu XIX stulecia właśnie pod wpływem „krytyki czystego rozumu“ się dokonał, nie możemy oprzeć się przykreemu wrażeniu, widząc Śniadeckiego i Kollątaja w rzędzie tych, co nie dorosli do zrozumienia Kanta.

Lecz gdy zważymy, że w pierwszej ćwierci ubiegłego stulecia filozofia Kanta działała nietyle zawartym w niej krytyzmem, co jako nowy system metafizyczny, który przewyciężył sceptycyzm Hume'a w kierunku podporządkowania wiedzy doświadczałnej dedukcyjnym spekulacyom, że więc nie tyle kształciła ona podówczas krytyczne zdolności umysłu, zmuszając do rewizji teoretyczno-poznawczych podstaw nauk konkretnych, co raczej z góry narzucała gotowy szemat spekulacyjnego myślenia — będziemy musieli przyznać, że nie bez słuszności obawiali się Śniadecki i Kołłątaj filozofii tej dla nas. Z konieczności rzeczy podporządkowałaby ona bowiem naszą wiedzę, naszą umysłowość filozofii niemieckiej. W najlepszym razie wydalibyśmy z siebie więcej tak bez związku z życiem narodu i jego potrzebami, a jednocześnie tak bez realnej wartości naukowej będących systematów spekulacyjnych, jakim był system messyanizmu Hoene-Wrońskiego. Wielkie systematy metafizyczne powstają tylko na gruncie intensywnie już badaniami indukcyjnymi uprawionym. U nas takiego gruntu nie było. Więc potrzeba nam było rozwoju nauk konkretnych. W nich tylko samodzielnią naszą myśl badawczą wykształcić moglibyśmy. Filozofia zaś Kanta groziła nam w pierwszych XIX wieku latach oderwaniem umysłów od badań indukcyjnych po to, by je oddać adoracyi niemieckich spekulacyj metafizycznych. Tego się bał Śniadecki. A przytem bał się on skażenia języka oczystego przez sztuczne formowanie nowych słów, do czego tak wielkie upodobanie mieli zarówno ówcześni nasi wielbiciele Kanta, jak późniejsi Hegla. W kilkanaście lat później pisał on w przedmowie do czwartego tomu swych pism, zawierającego jego *Filozofię umy-łu ludzkiego*: „Pielęgnować swój język, nie być małpą obcych fraszek i zwyczajów, ubiegać się o prawdziwą naukę, korzystać z obcych myśli, postrzeżeń i wynalazków; ale nie przyjmować bez ścisłej rozważi i bez surowego roztrząśnienia; są to prawidła prostego rozsądku, ale razem bezpieczne drogi i szacowne owoce gruntownego oświecenia“.

Słowa te, pisane w r. 1822, tłómaczą nam jednak jego stosunek do nauki obcych narodów już w czasie 1803—1807 r., kiedy wspólnie z Kołłątajem ubolewał nad szerzeniem się „sekt

kantowskiej“ w Warszawie i pracował nad odwróceniem od wszechnicy wileńskiej zagrażającego jej zalewu przez niemieckich profesorów.

Pojęcie narodu, jako jedności kulturalnej ludzi wspólna tradycją historyczną i wspólnymi potrzebami cywilizacyjnymi związanych, jako naturalnego organizmu społecznego, który żyje samą tylko świadomością jednostek, tak, iż go żadna siła zewnętrzna zabić nie zdoła, choć go samodzielnego bytu państwowego pozbawi — to kres tego rozwoju społecznej myśli naszej, co się począł pod wrażeniem upadku Rzeczypospolitej.

I innej konsekwencji prócz tej, że mimo całego ogromu politycznej klęski wątpić nie należy, lecz tem usilniej nad oświatą narodową, uszlachetnieniem obyczajów i wzmożeniem miłości ojczyzny pracować — w dobie onej z pojęcia tego nie wyprowadziliśmy.

Jak w pierwszych po ostatecznym rozbiórce latach, tak samo i w 1806 jeszcze roku cechuje społeczeństwo nasze jak najzupełniejsza w zakresie polityki społecznej i ekonomicznej apatya. Bo i jakżeż być mogło inaczej?

Myśl polityki samopomocy społecznej, świadomego regulowania ekonomicznej swej ewolucji przez dobrowolne zrzeszenia z łona samego narodu samorzutnie powstające, była wprost ówczesnym ludziom niedostępna. Po epoce polityki społecznej absolutyzmu państwowego, oświeconego lub zaco-fanego, przyszła właśnie wtedy w teorii przynajmniej powszechnie zwycięzka reakcja liberalizmu, zakazująca wszelkiej w ogóle polityki społecznej, widząca postęp jedynie w niczem niekrępowanym ścieraniu się indywidualnych, egoistycznych dążeń gospodarczych. I reakcja ta była zbyt świeżą jeszcze, ażeby chciała i mogła paktować z przeszłością, ażeby, zwalczając nadmierną tyranję państwa, uznała jednocześnie potrzebę jakichkolwiek ograniczeń jednostki na rzecz dobra powszechnego. Albo społeczna polityka państwowa, albo żadna.

Polska tęskniła do państwowego bytu, który utraciła. Liberalizm więc nie mógł zapuścić w społeczeństwie pol-

skiem silniej korzeni. Ale nie wyrzekając się w zasadzie idei polityki społecznej, które sformułował był ruch reformy z doby sejmu czteroletniego, przecież jednak nie widzieliśmy praktycznej ich urzeczywistnienia możliwości. Więc póki nie zabyłśnie nadzieja odbudowania swego własnego państwa, wszystkie odnośne kwestye będą realnej pozbawione wartości i nikt się niemi nie zajmie. W przededniu powstania Księstwa Warszawskiego mają one bodaj mniej jeszcze dla umysłów polskich aktualnego znaczenia, niż zaraz po upadku Rzpltej.

Jeżeli bowiem myśl reformy społecznej dla tego, że psychologiczna jej geneza znajdowała się w rozbudzonem po pierwszym rozbiore przeświadczeniu o wewnętrznym rozstroju Rzpltej i koniecznej potrzebie wzmocnienia ekonomicznych jej bytu podstaw, musiała po upadku powstania 1794 r. stracić wszelką dla nas na razie wartość, tak jak ją traci oręż dla żołnierza co się poddać musiał; jeśli przytem, wobec braku społecznego wykształcenia szerszych warstw szlachty, która ani celu, ani pożytku przedsiębranych przez sejm, a potem przez Kościuszkę reform nie rozumiała, szlachta ta nie czuła i czuć nawet nie mogła potrzeby świadczenia swem codziennem postępowaniem po utracie niepodległości o szczerości ideałów opromieniających ostatnie Rzpltej chwile — to zjawienie się pojęcia narodu, mającego swój niezależny od państwowego istnienia byt, musiało w warunkach ówczesnego stanu nauki ekonomicznej tę apatyę społeczno-polityczną w umysłach polskich tem bardziej tylko utrwalić.

I z apatyi tej wyrwał społeczeństwo nasze dopiero rok 1806, rok pogromu Prus przez Napoleona, zapowiadający odbudowanie państwa polskiego.

Świetne nadzieje, jakie wojna 1806 r. zbudziła, nie ziściły się. Pokój Tylżycki dał nam zaledwo Księstwo Warszawskie.

Zawód ten nie złamał wszakże energii narodu. Raczej kazał mu się tem więcej w sobie skupić, wyteżyć siły do tem cięższej, bo długotrwałej pracy. Nikt bowiem wówczas nie wątpił, że koło Księstwa Warszawskiego wcześniej czy później cała się Polska skryształizować musi.

Tych wzlotów myśli do zenitu społeczno-filozoficznych koncepcyj, by szeroką syntezą objąć świat empirycznych faktów, ani tej podniosłości uczuć patryotycznych, która charakteryzuje pisma i prace społeczne doby Sejmu Czteroletniego i powstania Kościuszkowskiego — za czasów Księstwa Warszawskiego nie widać.

Bacznie się jednak szczegółom życia publicznego w Księstwie przyjrzawszy, dojść będziemy musieli do wniosku, że w gruncie rzeczy ani ofiarność dla dobra ojczyzny nie była mniejszą w latach 1807 — 1815, niż w 1788 — 1794 r., ani polityka ekonomiczno-społeczna mniej trafną.

Jeno, że ta ewolucya pojęć społecznych, a przedewszystkiem pojęcia narodu, która się dokonała w czasie rządów pruskich uczyniła zbędnymi dla nas podówczas i szerokie systematy socyologiczne i wzniosłe hasła polityczno-społeczne.

Cały rozwój społecznej myśli polskiej doby przedrozbiorowej dążył do wytworzenia wreszcie systemu syntetycznego, łączącego w jedną logiczną i psychologiczną całość polityczne Rzpltej potrzeby z nowymi ideałami wyższej sprawiedliwości społecznej. W systemie tym reforma społeczna, powołując nowe warstwy narodu do pracy i walki o niepodległość ojczyzny, oraz materyalne zasoby jej zwiększając, służy sprawie politycznego odrodzenia Rzpltej, a same już hasło jej, hasło równości, wolności i miłości człowieka, nowe siły moralne budząc w narodzie, energię jego potęguje; miłość zaś Polski, żywy patryotyzm rozgorzawszy w sercach, do ofiar ze stanowych przywilejów na rzecz ojczyzny skłania. Ta ścisła ideałów narodowych i społecznych jedność, gdy naród dla utrzymania swego bytu politycznego przede wszystkim silnej organizacyi państwowej potrzebował, — przejawia się jednocześnie jako jedność tych trzech pojęć: społeczeństwa, narodu i państwa. W życiu politycznem musi brać udział nie jeden tylko stan, lecz cały naród, bo państwo tylko z narodem zidentyfikowane silnem być może. Społeczeństwo zaś całe bez różnicy stanów równe winno mieć w stosunku do państwa obowiązki, nikomu się od nich uchylić nie wolno, bo społeczeństwa, byt narodowy tracące, niszczyć muszą.

Lecz w latach niewoli samozachowawczy instynkt narodu kazał mu wkrótce pojęcie o sobie od pojęcia państwa oddzielić.

Gdy więc z powstaniem Księstwa Warszawskiego na nowo podjęte zostały programy i prace społeczno-polityczne, celem ich nie mogło być już, jak dawniej, zwiększenie energii i spójni narodowej. Inne już ku temu utorowano drogi. A przytem istotę narodu nauczywszy się w odrębności jego cywilizacyjnej widzieć, musiano teraz ideę siły narodowej ze wzrostem tej cywilizacji bezpośrednio łączyć, a więc w pierwszym rzędzie z podniesieniem oświaty i świadomości narodowej.

Istotnie też Księstwo Warszawskie nie tylko rozszerza ową działalność oświatową, która tak świetną już tradycję posiada w pracach komisji edukacyjnej, na kobiety i lud włościański, lecz przytem, co bodaj więcej jeszcze znamienne, powołuje do współdziałania z rządem na tem polu naród. I wezwanie to nie pozostaje bez skutku. Wszystkie warstwy, dziedzice, dzierżawcy, księża, włościanie nawet chętnie niosą na rzecz szkół ludowych ofiary z pieniędzy i pracy. Oświata ludu stała się widocznie w powszechnem rozumieniu tak pierwszorzędną sprawą wewnętrzną siły narodu, jak wojsko jest naczelną sprawą polityczną, o sile i trwałości państwowej organizacyi narodu, o urzeczywistnieniu ideału złączonej i niepodległej znów Polski decydującą. Jak na wojsko, tak i na oświatę nie poskąpią też obywatele Księstwa Warszawskiego mienia swego i swych zabiegów.

Dnia 19 stycznia 1808 r. ogłosiła w gazetach Izba edukacyjna odezwę do obywateli, zachęcającą do zakładania szkół ludowych i podającą naczelne zasady urządzenia szkół wiejskich i miejskich elementarnych. Urządzenie to ¹⁾ wprowadza powszechny przymus szkolny (§ 27). Oczywiście jednak może on być w czyn wprowadzony tam tylko, gdzie szkoła istnieje. Tych szkół zaś niema dotychczas wcale. A i rząd nie posiada dostatecznych na zakładanie ich w odpowiedniej ilości funduszków. Postanawia więc Izba edukacyjna sprawę tę przekazać ofiarności i pieczy samych oby-

¹⁾ *Gazeta Korespondenta* z 19 stycznia 1808 r.

wateli, przepisując tylko z góry normy organizacyjne, jednolitość odnośnej ich akcyi mające zapewnić, oraz ułatwić kontrolę rządową. A więc przepisuje ona organizowanie wszędzie po gminach wiejskich i miejskich „Towarzystw, czyli parafij szkolnych“, obejmujących do 200 gospodarzy (§ 1 i 2). Należenie do „Towarzystwa“ jest obowiązkowem. Na czele jego stoi „dozór szkolny“, złożony z dziedzica, plebana, pastora gdzie się ten znajduje, burmistrza lub wójta, oraz jednego lub dwóch miejscowych gospodarzy (§ 7). Dozór szkolny ma zadaniem wybudowanie szkoły, ustanowienie i utrzymanie nauczyciela, kontrolowanie nauki i frekwencyi dzieci. Potrzebne ku wypełnieniu tych zadań fundusze powstają z opłat wnoszonych przez członków Towarzystwa, „do czego należą i dziedzice wsiów przyłączonych i proboszcz miejscowy“ (§ 13). Obok opłat pieniężnych może dozór szkolny nakazać również szarwarki potrzebne dla wybudowania szkoły (§ 14).

Skutkiem tej odezwy cały szereg obywateli nie czekając na ukonstytuowanie się „Towarzystw szkolnych“, pospieszyło założyć własnym sumptem szkoły elementarne, jak o tem donosi Izba edukacyjna dnia 11 marca tegoż roku. Jako fundatorów nowych szkół wymienia powyższy okólnik: dziedziców w Goszczynie, Tarczynie, Goniewie, Chynowie, Kątach, Warce, Górze, Wilanowie, Zawadach, Dąbrowach, dziedziczki: w Izdebnie, Brzezinach, Białej, proboszczów: w Będkowie i Krzeszewie, włościan: w Dylewicach i Wodziecznej, wójta w Olszewicach ¹⁾. Dalszy komunikat z dnia 7 czerwca 1808 r. listę tę zwiększa imionami dziedziców Kiernozi, Czerniewie, Osin, Lesznic, Brodnego, dzierżawców w Łomnach, Izdebnie, Zaborowie, Nadarzynie, proboszczów w Rokitnie, Grodnie, Kazuniu, Siecieni, wikaryusza w Przewodowie, burmistrza w Żychlinie. Jednocześnie dowiadujemy się zeń o uporządkowaniu dawnych szkół w Księstwie Łowickiem, oraz o założeniu nowych (fundatorowie nie wymienieni) w Popłacinie, Staropolu, Krobinie, Gąbinie, Radziejowicach, Krzepicach, Zajączkach, Pankach, Truskolasach, kolonii Friedrichsschuld,

¹⁾ *Gazeta Korespondenta* z 15 marca 1808 r.

kolonii Kuhlhausen, Klucznie, Starokrzepicach, Dankowicach, Kuźnierce ¹⁾.

Praca, mająca celem wzmocnienia podstaw narodowego bytu, idzie więc w dalszym ciągu za czasów Księstwa Warszawskiego temi drogami, na które już poprzednio wstąpiła, gdy żywą się stała świadomość istnienia nadal narodu, mimo utraty państwowego samodzielnego bytu. Drogami temi są oświata jak najszerszych warstw narodu i pielęgnowanie odrębności naszej cywilizacyjnej, oraz historycznej tradycyi.

Drogi te odmienne są wszakże od tych, jakimi mogła polityka socyalna kroczyć, która podówczas — jak już powiedzieliśmy — jedynie jako polityka państwowa rozumiana być mogła.

Ta ścisła jedność ideałów społecznych i narodowych, którą był ustanowił Staszic i która całą politykę ostatnich lat Rzpltej tak wybitnie charakteryzuje — musiała wraz z tem ustać. A jednocześnie zaniknąć musiała i wszelka społeczna myśl syntetyczna.

Polityka społeczno-gospodarcza Księstwa Warszawskiego żadnej nie przejawia syntezy, nie dąży do ukształtowania ogółu stosunków społecznych wedle jednej jakiejś przewodniej myśli, lecz jest na wskrós empiryczną; nie stawia sobie sama *a priori* celów do wypełnienia, lecz podejmuje się rozwiązania wedle możności spraw, które sam bieg wypadków na naczelne miejsce wysuwa i każdą z osobna kwestyę traktuje czysto indukcyjnie, tak, jak ją szczegółowa jej analiza wyjaśnia, nigdy zaś z punktu widzenia ogólniejszych zasad. I takiż sam wyłącznie empiryczny charakter ma również i ówczesna nasza literatura społeczna, która dała nam liczne polityczno-społeczne i ekonomiczne monografie, lecz żadnej choćby tylko próby syntezy.

Też same cechy posiadał i kierunek kameralistyczny, jak się był w Polsce przedrozbiorowej ujawnił. Czy więc myśl społeczno-polityczna polska doby Księstwa Warszawskiego nie jest poprostu powrotem do kameralistyki, powrotem tem łatwiej dającym się pojąć, że szerokie syntezy, które były przyświecały pracy Sejmu Czteroletniego i społecznym

¹⁾ Tamże z 9 czerwca 1808 r.

zarządzeniom Kościuszki, zawiodły, a natomiast rządy pruskie dały świetny wzór polityki kameralistycznej?

Mimo wszelkich za tym wnioskiem przemawiających pozorów, nie możemy go ostatecznie przyjąć. Niezaprzeczenie, na polityce społecznej Księstwa Warszawskiego odbiły się jeszcze silniej wpływy niemieckiej kameralistyki, niż się były one poprzednio w społecznej działalności Sejmu Czteroletniego ujawniły. A mianowicie środki, których rząd Księstwa dla osiągnięcia zamierzonych celów używa, tchną tym samym duchem oświeconego absolutyzmu, który tak wybitnie politykę społeczną fryderykowską i józefińską cechował. Nie ograniczy się więc Księstwo do surowych zakazów, jako to prohibicyj wwozu i wywozu, wzbronienia mieszkania żydom po wsiach i w pewnych dzielnicach Warszawy, lub do normowania rozporządzeniami policyjnymi nie tylko formy, lecz i treści stosunków handlowych, wydając prócz ścisłych ustaw targowych i taryfy urzędowe cen mięsa, chleba, świec i t. d., lecz nie cofnie się ono nawet przed bezpośrednim w razie potrzeby przymusem, nakazując n. p. obywatelom miejskim, którzy w czasie wojny swe domy i warsztaty bez dozoru opuścili, natychmiastowe objęcie ich w swój zarząd pod groźbą konfiskaty tych nieruchomości.

Wszakże ścisły empiryzm polityki socyalnej i despotyczno-policyjny charakter jej środków nie wypełniają jeszcze treści kierunku kameralistycznego. Co go przedewszystkiem cechuje, to podporządkowanie wszystkich spraw społecznych skarbowym potrzebom państwa i z punktu widzenia tych właśnie potrzeb czysto indukcyjne traktowanie wszelkich zagadnień ekonomicznej polityki. Oczywiście, że skutkiem takiego zasadniczego poglądu na stosunek obywateli do państwa musi następnie zjawić się i owa bezwzględność stosowanych w polityce socyalnej środków.

Tymczasem jeśli polityka społeczna Księstwa Warszawskiego czerpie istotnie środki swego postępowania z wzorów kameralistycznych, to jednak, co się celów jej tyczy, nie da się na nich wpływu tego zgola dostrzedz. Bodaj mniej nawet, niż Sejm Czteroletni, uzależniało Księstwo Warszawskie społeczne swe dążenia od bezpośrednich finansowych potrzeb państwa.

Wprawdzie idea państwowa zyskała jeszcze na wyrazistości i sile. Ludzie, którzy teraz kierują rządami i opinią kraju, przeszli przez szkołę napoleońskiego centralizmu. A ogół narodu tęsknił dziesiątek lat przeszło do samodzielnego państwa polskiego i w Księstwie widział nie co innego, jeno właśnie państwa tego zarodek. Silny rząd, silna armia — to więc naczelne kanony patryotyzmu. Dawnego republikanizmu nie ma śladu. Współcześni chwają sobie nawet powszechnie, że konstytucya zabrania dyskusyj w sejmie nad wnioskami rządowemi i pozwalają posłom na proste tylko głosowanie za lub przeciw, widząc w tem gwarancję koniecznej w danych warunkach sprężystości administracyi wojkowej i finansowej Księstwa. Nawet opozycya — zresztą bardzo nieliczna — grupująca się koło Godlewskiego, mimo że w gruncie rzeczy jest stronnictwem szlachecko-liberalnem, niejako pierwowzorem późniejszej „partyi kaliskiej“, nie ośmiela się wyrażnie bodaj nawet przed samą sobą — przyznać się do istotnych motywów swych protestów. Zwalczając centralizm i przymus rządowy, czyni to w formie napęci na niemożność ministrów i jakoby zbyt kosztowną administracyę.

Lecz właśnie dla tego, że idea państwowa tak silnie ugruntowana jest nietylko w myśli, lecz i uczuciu narodu, polityka społeczna traci znaczenie środka potęgującego zasoby skarbowe i wojskowe państwa. Nie potrzeba już bowiem żadnych innych pobudek ofiarności obywateli i ich patryotyzmu. Wystarczy odwołać się do ich miłości ojczyzny, by nie poskapili ostatniego grosza i człowieka dla wojska.

Należy to bowiem z całym naciskiem podkreślić, że takiej gotowości do pieniężnych ofiar, jak w czasach Księstwa Warszawskiego, nie wykazał nigdy ani przedtem, ani potem naród polski. Toć samych podatków w 1810 — 1811 r. wpłynęło 41,871.259 złp. (etat wynosił 68,199.797 złp.), gdy cała Rzplta w 1791 r. miała zaledwie 39 milionów wpływów z podatków. A to dopiero cząstka ogółu ciężarów, ponoszonych przez obywateli, którzy musieli prócz tego dawać w naturze środki utrzymania wojsk własnych i francuskich, stacyonujących w Księstwie. Wartość zaś tych danin liwerunkowych przewyższała dość znacznie nawet sumę podatków. Gdy do

tego dodamy koszt wystawienia pospolitego ruszenia w r. 1807, olbrzymią antycypację podatku podymnego i danin liwerunkowych w r. 1811 i 1812, znaczy bardzo ciężar podwód dla wojsk, które zrujnowały niemal całkowicie sprzężaje włościańskie — musimy wprost ze zdumieniem się spytać, jak kraj tak biedny wydołał tak wielkim ofiarom. A przecież mimo to, gdy rząd Księstwa starał się uzyskać w r. 1808 parę milionów pożyczki na dobra narodowe, gwarancya zaś ich okazała się niewystarczającą, cały szereg obywateli pospieszył z poręczeniem jej własnym swym majątkiem. I tak Elżbieta Potulicka przejęła na hipotekę dóbr swych Obory 20.000 złp. pożyczki rządowej, Rembieliński na hipotekę dóbr Jedwabno 40.000 złp., Agnieszka z Opackich Rembielińska na hipotekę dóbr Krośniewice 40.000 złp., Karnkowski w Drobinie 20.000 złp., Pieglowski w Pieglowie 20.000 złp., Drewnowski w Siedliszku 15.000 złp., Karwosiecki w Bromirze 20.000 złp., Podoski w Rusinowie 12.000 złp. i t. d.

Zresztą zadania polityki zewnętrznej Księstwa Warszawskiego wymagały tak szybkiego działania, planów na tak krótką obmyślanych metę, że nie sposób nawet było rachować na uzyskanie drogą reform społecznych i ekonomicznych potrzebnych dla ich przeprowadzenia środków.

Tak więc z owej syntezy, stworzonej przez Staszica i Kołłątaja, a ustanawiającej jedność pojęć państwa, narodu i społeczeństwa, wyodrębnia się teraz polityka społeczna jako samoistny zupełnie zakres zabiegów prawodawczych i administracyjnych, mających swe oddzielne zadania: ulepszenia społeczno-gospodarczych warunków życia obywateli.

Dążeń polityki społecznej Księstwa Warszawskiego nie określają ani potrzeby narodowe, ani potrzeby państwowe, ani też synteza „praw natury“ i „praw despotyzmu“, do której doprowadził rozwój idei społecznych w czasie między pierwszym a trzecim rozbiorem, lecz czerpie ona swą rację bytu sama w sobie, w swych własnych ocenach istniejących społeczno-gospodarczych stosunków narodu. Ocen tych wszakże dokonywuje ona według kryterium pewnych ideałów. I ideały te są to właśnie te postulaty społeczno-gospodarcze, które sformułowane w pismach Staszica i Kołłątaja przekazał potomności ruch reformy.

Więc choć ideały te są bardzo na pozór ciasne, bo konkretne: chłopu wolnego i zamożnego, będącego właścicielem swego gruntu, dostatecznego w kraju przemysłu, by Polska własną produkcją większość swych potrzeb zaspokoić mogła, licznego i zasobnego stanu miejskiego, kwitnącego rolnictwa i t. d. — to przecież jednak zarówno polityka ekonomiczna Księstwa Warszawskiego, jak i cała odnośna nasza literatura owego czasu, mimo krańcowego swego empiryzmu, nie traci swej łączności z najogólniejszymi polskiej myśli narodowej zadaniem: urzeczywistnienia ideału wolnego szczęśliwego, sprawiedliwego i jednością silnego narodu. Jenó że ta łączność nie jest teraz, jak w dobie Sejmu Czteroletniego, bezpośrednią, jenó wynika stąd, że czerpie ona naczelną swych ocen kryteria z tego samego źródła odrodzenia narodowego w ostatnich istnienia Rzpltej latach, z którego wszystkie siły i nadzieje Polski waleczącej o odzyskanie niepodległości płyną.

I ta pośrednia łączność polityki i myśli społecznej Księstwa Warszawskiego z naczelnym ideałem wszelkich dążeń narodu jest tem łatwiejszą do urzeczywistnienia, że w czasie między trzecim rozbiorem a utworzeniem Księstwa wyrobił się był zmysł historyczny, że więc teraz wszelkie projekta i zarządzenia społeczne cechować będzie w silnym stopniu dążenie do utrzymania historycznej ciągłości z poprzedniami dziejami narodu.

Za czasów Księstwa Warszawskiego nastąpiła więc specjalizacja celów polityki narodowej, syntezę której dał był Staszic i Kollataj. Praca nad wzmocnieniem kultury i jedności narodowej, polityka zewnętrzna, walka o odbudowanie Polski będąca, i polityka społeczno-gospodarcza, poszły każda swą odrębną drogą, najprostszą i najstosowniejszą dla osiągnięcia specyficznych jej zadań. Lecz mimo to zgodność i harmonia celów tych nie została naruszona. Specjalizacja bowiem nie oznacza rozbieżności.

Harmonia ta wszakże nie da się dostrzedz w zewnętrznej ich łączności, bo tej zewnętrznej łączności nie ma. Wpływa ona dopiero z rozbioru każdej z tych dziedzin polityki narodowej w szczególności; zawartą jest bowiem w najgłębszych każdej z nich przesłankach. I tak samo, jak niema tej zewnętrznej między społeczną a zewnętrzną i kulturalno-

oświatową polityką łączności, tak samo z tychże samych przyczyn niema jej i między poszczególnymi dziedzinami polityki społeczno-gospodarczej, podejmującej — jak to już powiedzieliśmy — wprost te zagadnienia, które sam rozwój wypadków na pierwszy plan wysunął.

Zagadnienia te są to za czasów już Rzpltej proklamowane, lecz niestety nie rozwiązane kwestya włościańska i kwestya uprzemysłowienia kraju, oraz nowa zupełnie sprawa kredytu dla wielkiej własności ziemskiej, powszechną zagrożoną ruiną.

Gdy każda z nich i przez rząd i przez literaturę współczesną całkiem samoistnie była traktowaną, więc też w dalszym ciągu naszego studyum musimy też każdą z nich osobnemu poddać badaniu.

Rozwój idei społeczno-gospodarczych w Polsce doby Księstwa Warszawskiego polegał bowiem nie na ewolucyi ogólnych zasad i teoryj społecznych, lecz na pogłębieniu i szczegółowszem opracowaniu wymienionych spraw konkretnych.

To okres specyalizacyi i empirycznego nawskrós myślenia. Dla syntez niema czasu i niema potrzeby ich. Wystarczają tymczasem dawniejsze syntezy, wytworzone jeszcze za czasów Rzpltej. Chodzi tylko o wprowadzenie w czyn szczegółowych przez nie sformułowanych postulatów.

Stanisław Grabski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MOJE PRZEPRAWY.

PAMIĘTNIK ANDRZEJA Hr. ZAMOYSKIEGO

o czasach Powstania Listopadowego.
(1830—1831).

Z autografu wydał

Alkar.

(Ciąg dalszy).

XV.

Relacya urzędowa Zamoyskiego o szczegółach misyi wiedeńskiej: instrukcyje, echa wypadków wojennych, losy pierwszych agentów dyplomatycznych polskich, wnioski ogólne.

Ce 6 Juin 1831¹⁾. Varsovie *Quelques détails sur mon voyage à Vienne.*

„D'après mes instructions du 5 mars a. c. l'objet de mon envoi à Vienne était d'obtenir du Cabinet de Vienne une réponse catégorique aux communications envoyées précédem-

¹⁾ 6 czerwca 1831 r. Warszawa. *Nieco szczegółów o podróży mojej do Wiednia.*

„Stosownie do udzielonych mi 5 marca r. b. instrukcyj, przedmiotem poselstwa mego do Wiednia było otrzymanie od Gabinetu wiedeńskiego odpowiedzi kategorycznej

ment au Prince de Metternich et de savoir surtout, à quoi s'en tenir sur les intentions et les dispositions de la Cour d'Autriche, à notre égard. Elles contenaient entre autres: Si même la Cour de Vienne ne prend pas une grande résolution, qui relèverait infiniment Sa puissance — Elle doit par reconnaissance, par politique, par humanité, nous favoriser, et chercher à nous faire obtenir les meilleures conditions“.

„1. Elle peut engager les autres puissances à parler en notre faveur, se joindre à elles, et tâcher de proposer une médiation, une suspension, un Congrès général“...

„2. Elle peut diminuer de ses rigueurs de police, qui sont pires que celles de Prussiens“.

„3. Elle peut laisser passer tacitement, des armes, de la poudre, et autres munitions — favoriser sous-main leur fourniture — ce serait un service véritable“.

„4. En maintenant l'exécution de l'article secret du traité de Vienne, en vertu duquel, la Russie ne peut introduire ses troupes au delà d'une certaine limite dans le Palatinat de Cracovie, l'Autriche peut donner un asyle au Gouvernement, à la Diette, aux troupes“.

na komunikaty przesłane przedtem ks. Metternichowi, przedewszystkiem zaś, wywiedzenie się, jak oceniać zamiary i usposobienia dworu austriackiego względem nas? Gdyby nawet dwór wiedeński nie uczynił kroku stanowczego, któryby podniósł nieskończenie jego potęgę — winien on przez wdzięczność, przez politykę, przez ludzkość nam pomódz i wyjednać dla nas najlepsze warunki“.

„1. Może on zjednać inne mocarstwa do przemówienia na korzyść naszą, połączyć się z niemi i starać się o zaproponowanie medyacji, zawieszenia broni, kongresu ogólnego“.

„2. Może on zmniejszyć uciążliwości środków policyjnych, sroższych od pruskich nawet“.

„3. Może on przyzwolić milcząco na transport broni, prochu i amunicji — sprzyjać ich dostarczaniu — byłaby to istotna przysługa“.

„4. Utrzymując w swej sile wykonalność artykułu tajnego kongresu wiedeńskiego, którego mocą, Rosyi nie wolno wprowadzać wojsk po za pewną granicę do województwa krakowskiego, może Austria dać przytułek rządowi, sejmowi, wojsku“.

„5. Les détachemens qui seront forcés de se retirer en Gallicie, y seront-ils reçus, et comment y seront-ils traités? L'Autriche paraît avoir déjà fait sa déclaration à ce sujet au général russe, qui était entré à Lublin et à Radom“.

„6. Les individus pourront-ils se réfugier dans les Etats autrichiens?“

„7. Demander instamment la liberté du Comte Jelski, pour qu'il puisse continuer ses opérations de Banque à Vienne, ou passer outre; son arrestation est une cruauté, une violation des offres et des paroles données. Lâcher le Président de la Banque, laisser passer ses fonds, est un objet de première importance. Ces persécutions sont inouïes“.

„La Cour de Vienne est intéressée par mille motifs à nous soutenir, elle peut le faire sans se compromettre. — D'ailleurs, il nous importe de savoir, ce que nous avons à attendre de ce côté, dans toutes les suppositions possibles; cette connaissance influera sur les résolutions, que nous aurons à prendre“.

„Je partis de Varsovie le 6 mars, et n'arrivai au lieu de ma destination que le 24 jour. N'ayant pu d'aucune ma-

„5. Oddziały, które będą zmuszone wkroczyć do Galicji, czyż będą przyjęte i jak będą traktowane? Zdaje się, że już Austrya uczyniła w tej mierze deklarację generałowi rosyjskiemu, który wkroczył do Lublina i do Radomia“.

„6. Czy osoby prywatne będą mogły chronić się do państw austriackich?“

„7. Domagać się usilnie wypuszczenia na wolność hr. Jelskiego, by mógł dalej prowadzić operacye bankierskie w Wiedniu, lub też wyjechać; aresztowanie go jest okrucieństwem, pogwałceniem ofert i słów danych. Wyswobodzenie prezesa banku, uwolnienie jego kapitałów, jest przedmiotem wagi pierwszorzędnej. Te prześladowania są niesłychane“.

„Dwór wiedeński z tysiącznych pobudek jest zainteresowany w popieraniu nas; może to uczynić bez narażenia siebie. Zresztą, zależy nam na dowiedzeniu się, czego się mamy z tej strony spodziewać we wszelkich możliwych ewentualnościach; przeświadczenie się o tem będzie miało wpływ na uchwały, jakie powziąć nam wypadnie“.

„Opuściłem Warszawę 6 marca, a przybyłem na miejsce przeznaczenia dopiero dwudziestego czwartego dnia.

nière réussir à obtenir un passeport du Consul d'Autriche à Cracovie, j'eus quelques difficultés à faire vite ma route. J'arrivai à Vienne pendant la semaine sainte, trois jours après le renvoi du Comte Wąsowicz, qui m'avait précédé; je crus d'après cela devoir remettre, à 8 ou 10 jours, de faire des démarches pour obtenir une entrevue avec le Prince de Metternich, afin de donner au Prince le temps d'oublier l'épisode du Comte Wąsowicz, et aux soupçons du Ministre russe de se calmer. Tout Vienne, m'a-t-on dit, parlait de cette affaire, et déplorait obéissance obséquieuse du gouvernement, aux insinuations du Ministre de Russie. Les nouvelles de nos succès à Dębe Wielkie, arrivèrent fort à propos; suivit bientôt après la pacification de l'Italie et le 15 d'avril je me décidai à écrire au Prince de Metternich une lettre anonyme, pour lui demander de me recevoir, et de me donner un nom quelconque, sous lequel je pusse me présenter chez lui, sans crainte de réveiller l'attention du Ministre de Russie. Le lendemain je reçut par écrit du Prince, à l'heure que j'avais nommée pour avoir une réponse, l'invitation de me rendre chez lui le soir même à 8 heures“.

Nie mogąc na żaden sposób uzyskać paszportu od konsula austriackiego w Krakowie, nie mogłem odbyć podróży do syć spiesznie. Przybyłem do Wiednia podczas Wielkiego Tygodnia, w trzy dni po wydaleniu hr. Wąsowicza, który mnie wyprzedził. Uznałem z tego względu za właściwe odroczyć na dni 8 lub 10 starania o pozyskanie audyencyi u ks. Metternicha, aby dać księciu czas do zapomnienia o epizodzie Wąsowicza, a posłowi rosyjskiemu do uśmierzenia podejrzeń. Mówiono mi, że cały Wiedeń zajmuje się tą sprawą i ubolewa nad powolnością dworu wobec insynuacyj posła rosyjskiego. Nowiny o powodzeniu naszym pod Dębem Wielkim przysły bardzo w porę. Niebawem zaszło uspokojenie Włoch, a 15 kwietnia postanowiłem napisać do księcia list bezimienny, z prośbą o danie mi posłuchania i wskazanie mi jakiegoś nazwiska, pod którym mógłbym mu się przedstawić, bez obawy obudzenia uwagi posła rosyjskiego. Nazajutrz o godzinie oznaczonej dla udzielenia mi odpowiedzi, otrzymałem od księcia piśmienne zaproszenie, do stawienia się u niego wieczorem o godzinie 8“.

„Après avoir lu la lettre du Prince Adam Czartoryski qui m'accréditait — le Prince de Metternich me demanda ce que je voulais? je répondis, que je venais chercher une réponse aux nombreuses lettres du Prince Czartoryski. Sans me laisser finir ma phrase, le Prince de Metternich prit la parole, et après m'avoir adressé plusieurs choses flatteuses sur ma discrétion, il me raconta fort longuement toute notre révolution, celle de Paris en Juillet 1830, celle de Belgique, celle d'Italie — me dit, qu'il voulait me faire connaître, et m'énonça les principes du Cabinet de Vienne, les difficultés qui s'opposaient à toute action de sa part en notre faveur — que je devais savoir, que dans l'affaire même de la Grèce, l'Autriche avait gardé la plus stricte neutralité, que l'honneur d'un Cabinet était comme celui d'une femme etc. etc. Nous avons beaucoup parlé de l'étranger, du Carbonarisme, de l'éducation publique, des mauvais principes qui se répandent partout aujourd'hui, ébranlent les Etats jusque dans leurs fondements. Je me bornais à relever quelques erreurs qui nous étaient défavorables, et ne voulus pas trop le contredire, afin de me faire agréer — me promettant de remettre sur le

„Przeczytawszy list księcia Adama Czartoryskiego uwierzytelniający mnie, zapytał mnie książę Metternich, czego sobie życzę? Odpowiedziałem, że przybyłem po odpowiedź na liczne listy ks. Czartoryskiego. Nie pozwolił mi ks. Metternich dokończyć zdania i sam głos zabrawszy, po wynurzeniu kilku komplementów z powodu mojej dyskrety, opowiedział mi w przydługiej relacji przebieg naszej rewolucji, rewolucji Lipcowej 1830 r. w Paryżu, rewolucji belgijskiej, włoskiej — oświadczył, że pragnie mnie obeznać z zasadami Gabinetu Wiedeńskiego, z trudnościami, jakie walczą przeciw wszelakiej akcyi z jego strony na korzyść naszą, że wiedzieć winienem, że nawet w sprawie Grecji Austria zachowywała najściślejszą neutralność, że honor Gabinetu równa się honorowi kobiety etc. etc. Wieleśmy mówili o zagranicy, o karbonaryzmie, o edukacyi publicznej, o szkodliwych zasadach, które się rozkrzewiają wszędzie w czasach dzisiejszych i podważają podwaliny państw. Ograniczyłem się na podniesieniu kilku błędnych mniemań, dla nas niekorzystnych, nie chcąc zbytnio mu się sprzeciwiać, aby być przyjętym — obiecując sobie wznowić dyskusję nad rozmaitemi przedmiotami

tapis, divers sujets dont il avait fait mention, dans un prochain entretien. J'y étais depuis une heure et demie — je dis au Prince, que je craigne d'abuser de Sa complaisance, en prolongeant cet entretien, que cependant j'avais fait quelques notes, en vertu des instructions, dont j'étais porteur, et que je désirerais les lui communiquer. Il me demanda de les lui laisser, afin qu'il pût les lire à tête reposée; il me donna un nom hongrois, et je me retirai“.

„Dans le courant de mon séjour j'eus une dizaine d'entrevues avec le Prince de Metternich; mes instructions dirigèrent mes démarches, elles étaient la base de ce que j'ai dit et écrit. Ma mission, par le fait de mon voyage fort long, des difficultés que j'eus à voir le Prince, devenait hors de propos; nos succès nous donnant une nouvelle force aux yeux des puissances étrangères, je crus bien faire en profitant de l'occasion, pour parler surtout de la question en général. Bientôt nous apprîmes l'entrée du Général Dwernicki en Volhynie, l'insurrection en Lithuanie, de sorte, que le Prince de Metternich, après m'avoir dit à la seconde entrevue que l'Empereur lui avait permis de me donner des réponses par

które poruszył, przy następnyem posłuchaniu. Byłem tam około półtorej godziny. Oświadczyłem księciu, że obawiam się nadużyć Jego uprzejmości przedłużeniem rozmowy, że jednak poczyniłem nieco notatek, w myśl otrzymanej instrukcyi i że pragnąłbym mu je przedstawić“.

„Prosił mnie, bym mu je zostawił do odczytania rozważnego; dał mi jakieś węgierskie nazwisko, poczem oddaliłem się“.

„W trakcie pobytu mojego miałem około dziesięciu spotkań z ks. Metternichem. Instrukcyje moje kierowały mojami krokami; były one podstawą tego, com mówił i com pisał. Missya moja, w skutek długiej podróży i trudności, jakie miałem w widywaniu księcia, była nie na czasie. Powodzenia nasze, dając nam nową siłę w oczach mocarstw zagranicznych, zniewoliły mnie do skorzystania ze sposobności, by podnieść dyskusyę o sprawie w ogólności. Niebawem dowiedzieliśmy się o wkroczeniu generała Dwernickiego na Wołyń i o powstaniu na Litwie, tak, że ks. Metternich, po oświadczeniu mi na drugiem posłuchaniu, że cesarz zezwolił mu dać mi odpowiedź na piśmie — widząc, że sprawy nasze polepszają się z dnia na dzień,

écrit, voyant que nos affaires s'amélioreraient de jour en jour, m'entretint de toute autre chose que des questions ci-dessus, et me retenait à Vienne, dans l'idée, que toutes nos affaires seraient arrangées d'un moment à l'autre“.

„Le point le plus important étant de savoir les intentions du Cabinet à notre égard — je tâchai, comme je viens de le dire, de faire rouler nos conversations sur notre question en général. Je déclarai au Prince, que je ne pouvais nullement m'attendre à être reçu par lui avec un caractère officiel; moins je demandais de ce côté, plus il parût disposé à me parler, me disait-il, à coeur ouvert, et avec franchise: „de gentilhomme à gentilhomme, on se dit tout avec confiance, et puis, Vous êtes un Zamoyski, neveu du Prince Adam“.

„En résultat, l'impression que m'ont laissée ces entretiens est, que la Cour de Vienne est décidée à ne rien faire pour nous aujourd'hui. Le dévouement du Prince de Metternich pour la Russie va au point, que l'Autriche n'aurait peut-être pas balancé à agir même contre nous, qu'elle regarde comme rebels, jacobins, Carbonaris; mais la crainte où elle

o wszystkim ze mną rozmawiał, tylko nie o sprawach powyższych i zatrzymywał mnie w Wiedniu w przewidywaniu, że wszystkie sprawy nasze niebawem się ułożą“.

„Z uwagi, że najważniejszą kwestyą było wymiarowanie intencji Gabinetu względem nas, starałem się, jakiem to nadmieniał, o zwracanie rozmów naszych na sprawę naszą w ogólności. Oświadczyłem księciu, że nie liczę bynajmniej na to, że mnie przyjmie w charakterze urzędowym. Im mniej nastawałem na to, tem bardziej zdawał się usposobionym do przemawiania do mnie, jak zapewniał, „z otwartością i szczerością, na stopie równości, wszystko się mówi w zaufaniu, a przytem jesteś pan — Zamoyskim, siostrzeńcem księcia Adama“.

„W rezultacie, rozmowy te uczyniły na mnie wrażenie, że dwór wiedeński postanowił nic dla nas obecnie nie zdziałać. Przychyłność księcia Adama dla Rosyi posuwa się do tego stopnia, że nie zawahałaby się Austria działać nawet przeciw nam, uważanym za buntowników, jakobinów, karbonarów — lecz obawa, w jakiej pozostaje, by Galicya nie powstała, obawa, którą jeszcze rozmyślnie rozbudziłem, sprawia, że zachowuje się dwuznacznie wzglę-

est, que la Gallicie ne se soulève, crainte, que j'ai encore augmentée à dessein, fait, qu'elle reste indécise à notre égard, veut même encore par le fait nous ménager. C'est ainsi que malgré les instances très vives du ministre de Russie à l'effet de faire livrer à la Russie le Général Dwernicki, ainsi que son Corps, la Cour de Vienne s'est refusée à cette cruauté, et le Prince de Metternich me l'a fait sonner fort haut, comme preuve de l'intérêt, que cette Cour nous porte“.

(Le Comte Jelski et autres arrêtés à Brünn, ont été élargis et ont reçu la permission de se diriger sur Berlin).

„Obligé de commencer mon voyage à pied — de me tenir caché pendant mon séjour, et ignorant, comment je pourrais revenir, il ne m'a été possible de faire des notes, que très imparfaites. Je prendrai la liberté de citer ici, à l'appui de mon opinion, les phrases les plus remarquables que m'adressa le Prince de Metternich — malgré que, pour comprendre l'impression de ces phrases, il faudrait l'intonation, les gestes“.

„Dès ma première entrevue, le Prince me dit, qu'il espérait, que les Chambres profiteraient de cette nouvelle session, pour prendre une résolution relative à l'acte de dé-

dem nas i pragnie jeszcze nas oszczędzać. Z tego względu, mimo silnych nalegań posła rosyjskiego, by wydać Rosyi generała Dwernickiego, wraz z jego korpusem, nie zdobył się dwór wiedeński na to okrucieństwo, a ks. Metternich dzwonił na to głośno, jako na dowód życzliwości dworu dla nas“.

(Hr. Jelski i inni internowani w Bernie wypuszczeni zostali na wolność, z дозвоleniem wyjazdu do Berlina).

„Zmuszony do ruszenia w drogę piechotą, do ukrywania się podczas mego pobytu i nie wiedząc, jak mi się uda powrócić, nie mogłem robić notatek szczegółowych. Pozwolę sobie tutaj przytoczyć w stwierdzeniu mego zapatrywania się, najbardziej godne uwagi frazesy, usłyszane od ks. Metternicha, pomimo, że dla zrozumienia wrażenia sprawionego przez nie, należałoby zważać na intonację i na gesta, jakie im towarzyszyły“.

„Zaraz na wstępie pierwszego posłuchania oświadczył mi książę, iż spodziewa się, że Izby skorzystają z najbliższych posiedzeń, by powziąć uchwałę w sprawie detronizacyi, że się niewątpliwie skłonią do ułatwienia

chéance—qu'elles se décideraient certainement à faciliter de quelque manière un retour à l'ancien état de choses. Cet espoir était fondé, me disait-il, sur des rapports certains qu'il avait eus, me donnant à entendre, et me le répétant avec assez d'emphase, qu'il est parfaitement instruit de ce, qui se passe à Varsovie“.

— „Croyez — moi, revenez rondement à l'Empereur, soumettez-vous; je puis Vous donner ma parole, que d'après les rapports que j'ai avec Petersbourg, l'Empereur Nicolas est disposé à tout rétablir sur l'ancien pied — il a les intentions les plus nobles à Votre égard; ce n'est pas un *romancier*, il a des qualités solides“.

„A cette épithète de romancier, j'eus l'idée d'en profiter pour flatter un peu la vanité du Prince, qui avait toujours été contraire à ce que l'Empereur Alexandre avait fait pour la Pologne au Congrès de Vienne — et pour trouver ensuite imprudent, le conseil du retour à ce passé. Comme donc j'abondais dans son sens, le Prince me dit: „Oui, je le sais, c'était un système de coups d'épingles... le séjour de Varsovie devait être insupportable, quand ce ne serait que par la présence du Grand Duc Constantin. Toute l'affaire de la

w jakikolwiek bądź sposób powrotu do dawnego stanu rzeczy. Nadzieje te osnute były, jak mi mówił, na pewnych doniesieniach, jakie otrzymał, dając mi do zrozumienia i powtarzając z niejaką przechwałką, że jest doskonale poinformowany o tem, co się dzieje w Warszawie“.

— Wierzej mi pan, zwróćcie się bez ogródek do cesarza, poddajcie się; mogę was zapewnić słowem, że z doniesień, jakie mam z Petersburga, widoczna, iż cesarz Mikołaj skłonny jest do powrócenia wszystkiego na dawną modłę, że ma najszlachetniejsze względem was zamiary. Nie jest on *romantykiem*, posiada on zalety rzetelne.

„Z powodu owego epitetu *romantyka*, miałem zamiar skorzystać zeń, by schlebić nieco próżności księcia, który był zawsze przeciwnym temu, co cesarz Aleksander uczynił był dla Polaków na Kongresie Wiedeńskim — i wykazać następnie nieracyonalność rady powrotu do owej właśnie przeszłości. Gdy się w tym sensie rozwodził, rzekł mi książę: „Tak, wiem to dobrze, był to systemat szpilowania... pobyt w Warszawie musiał się stać nieznośnym, choćby z uwagi na obecność Wielkiego Księcia Konstan-

Pologne a été mal menée dès le commencement, cela ne pouvait durer — je l'ai prédit à l'Empereur Alexandre. Ce Monarque voulait de la poésie. — J'ai prévu tout, ce qui est arrivé“.

„Je me dis parfaitement d'accord avec le Prince, mais d'un autre côté, demandai, comment aujourd'hui, l'Empereur Nicolas peut nous en vouloir de ce que la Nation ait ajouté foi aux paroles de son Souverain, prononcées par lui-même à plusieurs reprises, en pleine Diette. Nous voulions revenir à l'Empereur Nicolas — nous demandions que nos institutions fussent garanties, et les provinces polonaises de Son Empire réunies au Royaume. Le Prince sourit:

— „Comment l'Empereur pouvait-il traiter avec Vous? Remettez Vous en à lui“.

— „Par sa cruauté à notre égard, il nous a poussés à bout“.

— „Détruisez la barre de fer qui vous sépare, redressez la sottise, commise par vos démagogues. Vous avez assez combattu — posez les armes, les Polonais n'avaient pas besoin de cette nouvelle guerre, pour que l'on dise d'eux, qu'ils sont bons soldats — pas plus, disait-il, avec un sourire de satisfaction,

tego. Cała sprawa Polski była źle od samego początku prowadzoną — to dłużej trwać nie mogło. Przepowiedziałem to cesarzowi Aleksandrowi. Monarcha ów pragnął poezyi. Przepowiedziałem wszystko, co nastąpiło“.

„Zgodziłem się co do tego z księciem, lecz z drugiej strony, spytałem, jakże może dziś cesarz Mikołaj mieć nam za złe, że naród uwierzył słowom swego Monarchy, powtórzonym wielokrotnie w obliczu całego Sejmu. Pragnęliśmy powrócić do cesarza Mikołaja — żądaliśmy, by nasze instytucye były zabezpieczone i prowincye polskie Jego państwa przyłączone do Królestwa. Uśmiechnął się książę:

— Jakże mógł cesarz z wami traktować? Zdaje się na niego.

— Okrucieństwem swoim doprowadził nas do ostateczności.

— Złamcie ową zaporę żelazną, która was oddziela od niego. Naprawcie szaleństwo, sprawione przez demagogów waszych. Dosyć już walczyliście. Złóżcie broń. Polacy nie potrzebowali owej nowej wojny, gwoili temu, by

que les Italiens n'avaient besoin de leur nouvelle déconfiture, pour que l'on dise, qu'ils sont des poltrons.

J'observai au Prince, que ce n'est pas pour acquérir de la gloire militaire que nous combattons, que c'est pour avoir une Patrie.

— „Vous m'avez parlé de médiation, elle est impossible, il faudrait qu'elle fût demandée par les deux partis... De quel droit irions nous offrir, et pourquoi, pourquoi? Vous êtes des rebels; irions nous donner la main, aider à triompher au Carbonarisme? il est déjà sur le trône en occident. Si Votre révolution avait le malheur de réussir, cela deviendrait une contagion, ce serait le triomphe de ce ver rongeur qui mine tous les Etats. Comment penser même dans ce cas, à une intervention? — Mon Empereur ne l'accepterait pas, si quelque province à nous se revoltait, la Hongrie par exemple. Croyez-vous que la France voulût accepter notre intervention, si la Vandée, ou toute autre province, voulait tout à coup devenir indépendante? Mon Empereur, d'ailleurs, ne veut pas de guerre — il veut toujours être neutre — nous l'avons été pendant la guerre avec les Turcs; mon Empereur a pour principe: ne fais pas à autrui, ce que tu ne te lais-

mówiono o nich, że są dzielnymi żołnierzami, tak, jak — dodał z uśmiechem zadowolenia — Włosi nie potrzebowali nowej porażki, by powiedziano o nich, że są tchórzami.

Uczyniłem księciu uwagę, że nie dla zdobycia sławy bojowej walczymy, lecz dla odzyskania ojczyzny.

— Mówiłeś mi pan o medyacyi. Jest ona niewątpliwą. Domagać się jej mogłyby tylko obie strony. Jakim prawem mielibyśmy z nią wystąpić? i dla czego? dla czego? Jesteście powstańcami. Mielizbyśmy podać rękę i pomódz do tryumfu karbonaryzmu? Zasiada już on na tronie zachodnim. Gdyby wasza rewolucya na nieszczęście się udała, stałaby się zaraźliwą, byłby to tryumf owego robaka, toczącego wszystkie państwa. Jakże w tym wypadku myśleć o interwencyi? Monarcha mój nie przyjąłby jej, gdyby która z jego dzielnic zbuntowała się, na przykład Węgry. Czy sądzisz pan, że Francya przyjąłaby naszą interwencję, gdyby Wandea lub inna prowincya zapragnęły nagle stać się niezależnymi? Zresztą Monarcha mój nie życzy sobie wojny — chce pozostać neutralnym — byliśmy niemi podczas wojny z Turcyą. Cesarz mój rzą-

serais pas faire. Les puissances ne disent rien pour Vous, toutes les Cours demandent le respect des traités.

J'objectai, qu'au contraire, la France, l'Angleterre nous l'ont promis, et qu'elles intercèdent, j'en suis sûr, pour nous.

— „Ne croyez pas cela — je sais parfaitement le langage, que ces Cours tiennent à Pétersbourg. Venir à Votre secours, — serait de la politique toute française, eh bien, le Cabinet de Paris ne le peut — il favoriserait le parti jacobin en France“.

„Je m'évertuai à faire revenir un peu le Prince sur l'opinion qu'il avait conçue de nous, au sujet du Carbonarisme, des demagogues; j'avancai, que toutes ces idées n'étaient pas encore acclimatées chez nous, que la classe des prolétaires, que le Prince nommait en frissonnant et en l'accompagnant de l'épithète la *canaille*, n'était pas assez éclairée chez nous, pour s'occuper de Carbonarisme, et qu'elle n'en a même pas le loisir; qu'il n'y a encore chez nous, à vrai dire, que deux classes bien distinctes: la noblesse et le paysan, toutes deux attachées à la terre qui les fait exister, et passionément amoureuses de leur terre natale — toutes deux intéressées à l'ordre, à la tranquillité; que je ne pouvais nier

dzi się zasadą: Nie czyni drugiemu, co tobie niemiłem. Mocarstwa nie są za wami. Wszystkie dwory pragną uszanowania traktatów.

Zarzucałem, że przeciwnie, Francya i Anglia przyrzekły nam wstawienie się za nami; jestem tego pewnym.

— Nie wierz temu. Znam doskonale język, w jakim owe dwory przemawiają w Petersburgu. Spieszyć wam z pomocą, byłoby to polityką czysto francuską. Otóż, Gabinet paryski uczynić tego nie może — dodałby tem otuchy stronnictwu jakobińskiemu we Francyi“.

„Usiłowałem sprostować nieco poglądy księcia powzięte co do nas, w przedmiocie karbonaryzmu i demagogii. Nadmienilem, że owe pojęcia jeszcze się u nas nie zakorzeniły, że klasa proletaryuszów, którą książę ze wstrętem i przydatkiem epitetu *kanalia* nacechował, nie jest u nas dostatecznie oświeconą, by się karbonaryzmem zajmować, że nawet na to czasu nie miała; że mówiąc na seryo, u nas dwie tylko klasy należyte określone istnieją: szlachta i chłopci, obie przywiązane do ziemi, dającej im utrzymanie, gorąco oddane ziemi rodzinnej — obie zainte-

d'un autre côté que les circonstances ne fussent parfaitement calculées pour aider les idées subversives à se répandre, à se propager; que ce point de vue seul devrait engager le Cabinet autrichien à désirer voir au plutôt en Pologne un état de choses stable, et la fin de cette guerre si désastreuse d'ailleurs, où des colonnes d'hommes civilisés combattent contre des nuées de hordes barbares; que si bientôt les Puissances pouvaient revoir au milieu d'Elles, figurer une Pologne indépendante, je croyais pouvoir affirmer, que nous éviterions le passage dont parlait le Prince, par les scènes horribles d'une véritable révolution“.

— „Nous ne sommes pas des Carbonaris, lui dis-je, notre révolution n'en est pas une, dans l'acception ordinaire de ce mot — et si nous avons le bonheur de réussir, ce ne serait le triomphe du jacobinisme, mais bien le triomphe du bon droit, le triomphe de la justice.

Le Prince me répondit:

— „En effet, Vous pouvez avoir raison, il y a une différence entre Votre révolution et beaucoup d'autres, d'une nature plus noire, mais Vous avez le malheur de ressembler à toutes les révolutions — Vous avez des démagogues — Vo-

resowane porządkiem i spokojem; z drugiej strony, nie mogłem zaprzeczyć, że okoliczności sprzyjają niejako rozkrzewianiu się pojęć wywrotowych i że ów punkt widzenia właśnie powinienby zachęcić Gabinet austriacki do działania w kierunku takim, by w Polsce zapanował stan rzeczy stały i aby położonym został koniec wojnie, tak niszczącej zresztą, w której zastępy ludzi ucywilizowanych walczą przeciw chmarom barbarzyńców; że gdyby mocarstwa mogły widzieć między sobą Polskę niezależną, jestem pewnym, że uniknęlibyśmy scen straszliwych prawdziwej rewolucyi, o jakich wspominał książę“.

— Nie jesteśmy karbonarami — rzekłem — rewolucya nasza nie jest tem, co w zwykłym tego słowa pojęciu rewolucyą się nazywa, że jeżeli nam się szczęśliwie powiedzie, to nie gwoli zwycięstwu jakobinizmu, lecz dla tryumfu prawa i sprawiedliwości.

Odpowiedział mi książę:

— W rzeczy samej, możesz pan mieć słuszość. Jest pewna różnica między waszą rewolucyą a wieloma innemi, cechy czarniejszej; lecz macie nieszczęście, że podobień-

tre M. Lelevel est toujours dans le Gouvernement; je plains beaucoup le brave Prince Adam, pour qui je suis pénétré d'estime — ce n'est pas à dire que j'eusse fait comme lui... je crois aussi Votre petite noblesse très mauvaise, et Vos étudiants... nous en avons trouvé en foule dans *la Polonia* en Allemagne“.

„Mais, continua t'il, d'un air mystérieux — cela ne pouvait pas être autrement, j'avais prévu et prédit que cela ne durerait pas — j'ai eu le malheur de ne pas m'être trompé; je ne me trompe pas, car je sais tout, et je juge sans passion, sans prévention“.

„Je soumis alors, sous forme de question, comment nous pourrions désirer, comment le Prince pouvait nous conseiller le retour à un état de choses, qu'il avait jugé avec tant de perspicacité et de justesse, — un état de fausse position, qui ne pouvait durer; 15 années d'expérience pénible, la rupture aujourd'hui si facile, ont prouvé, combien étaient profondes les prévisions du Prince. Comment, de sangfroid, aujourd'hui, revenir, reconstruire l'édifice sur ce terrain sans consistance, au risque de le voir crouler demain — risquer demain de redevenir parjures? Notre propre Souverain se plaisait à res-

stwo między wszystkimi rewolucjami istnieje. Macie między sobą demagogów. Wasz Lelewel zawsze w rządzie zasiada. Ubolewam wielce nad dzielnym księciem Adamem, dla którego mam uczucia pełne szacunku — co jednak nie idzie za tem, że postąpiłbym tak, jak on... Uważam także, że wasza drobna szlachta ma wielkie wady... a wasi studenci... odnaleźliśmy ich mnóstwo w związku *Polonia* w Niemczech“.

„Podałem wówczas, w formie zapytania, kwestyę do rozwagi: jakim sposobem moglibyśmy sobie życzyć, jakże książe może nam doradzać powrót do stanu rzeczy, który sam przecie tak trafnie i przenikliwie oceniał, do stanu rzeczy dwuznacznego i nietrwałego. Piętnaście lat smutnego doświadczenia, zerwanie, dziś, tak łatwe, dowiodły, o ile były słuszne przewidywania księcia. Jakżeż więc dziś z zimną krwią można marzyć o odbudowaniu gmachu na tak chwiejnym gruncie, z narażeniem się na jego zburzenie na jutro, z narażeniem się na krzywoprzysięstwo. Własnemu Monarsze naszemu podobalo się szanować nasze wspomnienia, schlebiać naszym nadziejom. Jego następcą nie sobie

pecter nos souvenirs, à flatter nos espérances; son successeur n'a voulu tenir aucun compte des promesses les plus sacrées de feu l'Empereur Alexandre, dont nous honorons la mémoire. Nos institutions seraient exposées à être enfreintes à nouveaux frais“.

„Le Prince, tout en me laissant parler, se prenait au front, et répétait: „Oui, voilà le mal, on a fait trop et trop peu — Votre diable de question est embarrassante... mais revenez à l'Empereur — et puis, quand je dis un retour, je m'entends — l'Empereur serait Votre Roi, car les traités l'ont voulu ainsi, mais: pas un Russe en Pologne, pas de rapports entre les administrations des deux pays“.

— „Vous désirez une Patrie, me disait-il une autre fois, je le conçois — très froidement — bornez-vous aujourd'hui à désirer — laissez agir les événemens; nous ne pouvons dans les circonstances présentes Vous aider en aucune manière, notre voix serait inutile“.

„Un jour, que je venais chercher la lettre qu'il m'avait promise, qu'il m'avait dit vouloir me donner avec la permission de l'Empereur, il me dit: „encore un peu de patience, encore quelques jours, bien des choses seront plus claires.

z owych obietnic najsolenniejszych zmarłego cesarza Aleksandra, którego pamięć czcimy, nie robił. Instytucye nasze na nowo na szwank byłyby narażonemi“.

„Książę, nie przerywając mi, ocierał czoło i powtarzał: „Tak, otóż to bieda; uczyniono zbyt wiele i zbyt mało. Dyabelska sprawa wasza jest kłopotliwą... lecz wróćcie do cesarza, a przytem, jeśli mówię o powrocie, mam na myśli, że cesarz będzie waszym królem, gdyż traktaty tego chciały, lecz ani jednego Rosyanina w Polsce, żadnego stosunku między rządami obu krajów“.

— Pragniecie ojczyzny — rzekł mi innym razem — pojmuję to — chłodno — poprzestańcie na teraz na życzeniach, dajcie bieg zwykły okolicznościom — nie możemy wam obecnie pomódz żadną miarą, głos nasz byłby bezowocnym.

Pewnego razu, gdym przybył po list mi przyrzeczony, a który mi miał być danym z przyzwolenia cesarza, rzekł do mnie: jeszcze trochę cierpliwości, jeszcze dni kilka, a wiele rzeczy się wyjaśni... Pomimo tylu wydażeń, nie uwierzysz pan, jesteśmy bez wieści; Dwernicki

Malgré tant d'évènemens, Vous ne le croirez pas, nous sommes sans nouvelles; Dwernicki est à Krzemieniec — Vous battez les Russes partout — ma foi, si le feu s'allume sur leurs derrières, je Vous avouerai, qu'ils seront dans l'embarras, et mal dans leurs affaires“.

— „Quelle devra être notre ligne de conduite, lui demandai-je? Les Russes probablement abandonneront notre territoire, devons nous les poursuivre?

— „Tenez Vous en aux délimitations des traités, au nom du Ciel, respectons les traités, croyez moi.

„Le Prince était assez causant cette fois, je le pressais beaucoup; il était étonné des fautes que commettait le Maréchal Diebitsch — de ce qu'il s'était laissé aller à écrire à notre Général en chef“.

— „Vous avez très bien fait de les faire imprimer ces écrits, j'en aurais fait autant.

Un soir que nous causions en marchant dans sa bibliothèque, il me dit de nouveau:

— Nous sommes sans nouvelles du théâtre de la guerre — M. Diebitsch aujourd'hui manoeuvre — je m'attends tous les jours à apprendre, que M. Skrzynecki est rentré à Varsovie

jest w Krzemieńcu. Bijecie wszędzie Rosyan — zaprawdę, jeśli ogień powstanie na ich tyłach, przyznam się, że znaleźliby się w szachu i źle by z nimi było.

— Jakim winien być tryb postępowania naszego? — zapytałem. Rosyanie prawdopodobnie opuszczą nasze terytorium, czyż mamy puścić się w pogoń za nimi?

— Trzymajcie się granic traktatowych. Na miłość Boską, wierzaj mi pan, szanujmy traktaty.

Ksiązę był tym razem dość rozmowny. Nastawiałem nań bardzo. Zdziwiony był błędami popełnionymi przez marszałka Diebitscha, jego pisaniną do naszego Wodza naczelnego.

— Dobrzeście zrobili drukując te pisma; uczyniłbym tożsamo.

Pewnego wieczoru, gdy przechadzając się po bibliotece, rozmawialiśmy, rzekł do mnie ponownie:

— Jesteśmy bez nowin z placu boju P. Dybiez manewruje obecnie. Oczekuję z dnia na dzień wkroczenia Skrzyneckiego do Warszawy (24 kwietnia). Powstanie na tyłach — nie na żarty mięsza szyki Rosyanom.

(24 Avril). L'insurrection par derrière doit furieusement gêner les Russes.

Quelques jours après, arriva la nouvelle de la bataille d'Iganie.

— „Vous avez encore battu les Russes — c'est inconcevable! Toutes ces horreurs, n'est-ce pas, sont exagérées?... Puławy n'a pas été détruit, comme on l'avait dit?“

Je confirmai la vérité de ces nouvelles, autant qu'il était en mon pouvoir, car je me trouvais aussi sans nouvelles fraîches et certaines.

„Le 29 Avril, on me dit que le Prince de Metternich avait envoyé un courier à Pétersbourg, pour informer M. de Ficquelmont, Ambassadeur d'Autriche en Russie, que, vû la pacification de l'Italie, les assurances de paix données par la France, il pouvait changer de ton à l'égard de la Russie. Vers la fin d'Avril arrivèrent les rapports sur les débats dans nos chambres, au sujet de notre diplomatie; ils déplurent beaucoup au Prince; en parlant, le Prince levait les épaules, avait l'air de dire, que peut-on faire de Vous autres?“

„Le jour où ces nouvelles arrivèrent, le Prince me refusa sa porte, en me faisant dire par son huissier, qu'il

W kilka dni później nadeszła wiadomość o bitwie pod Iganiami.

— Znowu pobiliście Rosyan — to nie do pojęcia! Wszystkie owe okropności są przesadzone — nieprawdaż? Puławy nie zostały zburzone, jak opowiadano?

Potwierdziłem rzeczywistość owych pogłosek, o ile to było w mojej możności, gdyż i sam byłem bez nowin świeżych a pewnych.

„Dnia 29 kwietnia powiedziano mi, że ks. Metternich wysłał gońca do Petersburga w celu zawiadomienia P. de Ficquelmont, posła austriackiego w Rosyi, że, z uwagi na uspokojenie Włoch i zapewnienia pokojowe dane przez Francję, może zmienić ton względem Rosyi. W końcu kwietnia przybyły raporta o rozprawach sejmowych w sprawie naszej dyplomacyi. Niepodobaly się one wielce księciu; mówiąc o nich wzruszał ramionami, jakby chciał tem wyrazić: cóż można z wami począć?

„W dniu, gdy owe nowiny nadeszły, książę nie dopuścił mnie do siebie, zawiadomiwszy przez woźnego, że niema czasu i nie wyznaczył nawet innego dnia na posłu-

n'avait pas le temps de me voir; sans même me donner de jour pour revenir. Suivirent bientôt: la défaite du Général Sierawski, puis la nouvelle de la retraite du Général Dwernicki en Gallicie; arrivèrent aussi des nouvelles du Colonel Caboga (au camp russe) sur le mauvais état du camp russe, le mauvais esprit de l'armée. On dit à Vienne tout le contraire. Le froid sensible qu'avaient amené les événemens dans mes rapports avec le Prince, m'engagea à ne pas le voir de quelques jours. Cependant, lorsque j'appris l'affaire du Général Dwernicki, je voulus risquer une visite. Le 5 Mai je me présentai — il y avait près de 8 jours que je n'avais vu le Prince. — Il me fit dire de revenir le lendemain; il me reçut avec une cérémonie, des égards, une gêne et un embarras qu'il ne savait, ou ne voulait pas, cacher. Le matin était arrivé un Courrier de Pétersbourg. Rien n'avait encore transpiré. Notre entretien dura près de 2 heures. — Le Prince me disait: „Vos affaires vont mal, Dwernicki est chez nous, Vous le savez peut être, nous le garderons — il ne lui arrivera pas de mal; l'insurrection en Volhynie n'a pas pris, en Lithuanie elle se calme, Diebitsch va se réunir aux Gardes, et Vous êtes flambés. Vous aviez une belle occasion, Vous l'avez laissé échap-

chanie. Niebawem nastąpiła porażka generała Sierawskiego, następnie wieść o odwołaniu generała Dwernickiego do Galicji; nadeszły również wiadomości od pułkownika Caboga (z obozu rosyjskiego) o nieszczęśliwym stanie tegoż obozu i złym nastroju armii. W Wiedniu utrzymują inaczej. Oziębienie wywołane przez te wypadki w stosunkach moich z księciem, spowodowały mnie do zaniechania z nim na dni kilka spotkań. Dowiedziawszy się wszakże o aferze generała Dwernickiego, zdobyłem się na odwiedzinę. Przedstawiłem się 5 maja — już dni ośm nie widziałem księcia — kazał mi powiedzieć, bym przyszedł nazajutrz. Przyjął mnie ceremonialnie, chłodno, zażenowany i zakłopotany, nie umiając, lub też nie chcąc ukrywać tego usposobienia. Nad ranem przybył goniec z Petersburga. Nie wiadano co się święci. Rozmowa nasza trwała około dwóch godzin. Książę oświadczył: „Sprawy wasze idą źle. Dwernicki jest u nas. Być może, że pan wie o tem. Zatrzymamy go. Nic mu się złego nie stanie. Powstanie na Wołyniu chybiło; na Litwie się uśmierza. Dybiez połączy się z gwardją i będzie po was... Mielicie doskonałą sposobność,

per, c'est dommage, il fallait en profiter, Vous aviez des succès, l'armée russe était très embarrassée, il fallait traiter. — Vous aviez 2 mois devant Vous — maintenant, c'est trop tard; on traite bien autrement, quand on a eu des victoires. Je conçois que Votre position ici est pénible, Vous désirez partir — fort bien — je Vous en donnerai les moyens — allez chez les Vôtres — rapportez moi des nouvelles — soyez l'intermédiaire de notre correspondance confidentielle avec le Prince Adam⁴. Il ne me parlait plus d'écrit, je l'en fit souvenir.

— „Je pourrais bien Vous donner une réponse, mais Vous la savez: il faut renoncer à Votre affranchissement — soumission, de la confiance, un pas de Votre côté, mettrait l'Empereur Nicolas à l'aise — il le désire, n'attend que cela, croyez moi, il veut être noble à Votre égard. — Il s'arrêta, comme s'il en avait trop dit, et me répéta: — „Vos affaires vont mal⁴. — Le Prince, qui n'a pas le désir, qui craint de nous voir réussir, voulait encore visiblement nous décourager. Il était froid, gêné, traitait notre question avec une indifférence étudiée et révoltante. Quand aux rigueurs de police, aux passeports pour les Etats autrichiens, il dit: „eh bien

nie skorzystaliście z niej, a szkoda, należało z niej skorzystać. Mielście powodzenie, armia rosyjska była zasachowana, należało rozpocząć układy. Mielście przed sobą dwa miesiące Teraz za późno. Inaczej się układa, mając za sobą zwycięstwa. Pojmuję, że położenie pańskie tutaj jest kłopotliwe. Pragniesz wyjechać — bardzo dobrze — dam panu po temu środki. Wróć do swoich, przywieź mi nowiny, bądź pośrednikiem naszej korespondencyi poufnej z księciem Adamem. Już mi nie o piśmie nie mówił, przypomniałem mu je.

— Mógłbym dać panu odpowiedź, lecz znasz ją już: należy wam rzec się niezawisłości, poddać się, mieć ufnosć. Krok jeden ze strony naszej ułatwiłby cesarzowi Mikołajowi zadanie, pragnie on tego, tylko tego oczekuje, wier mi, pragnie on być względem was wspaniałomyślnym. Zatrzymał się, jak gdyby powiedział za wiele i powtórzył: „Sprawy wasze idą źle⁴. Książę, który sobie nie życzy, który obawia się powodzenia naszego widocznie pragnął nas zniechęcić. Był zimnym, zakłopotanym, traktował sprawę naszą z wyszukaną i oburzającą obojętnością. Co do

oui, mais comment aujourd'hui avec le choléra, ouvrir nos frontières, c'est impossible". Quand à la mise en liberté de nos agens de la Banque: „Nous avons fait, me dit-il d'un ton jovial, un dépôt à Gratz, au commencement de Votre révolution — Le pauvre Pruszyński doit s'y ennuyer beaucoup, je le conçois; le Comte Jelski est à Prague — il se remue trop — je lui avais envoyé à Brün le Comte Clam Martinitz, il desire aller à Berlin, je ne sais, si on en veut là bas. Vous avez le malheur d'avoir des employés brouillons, — Votre agent de la Banque, ce marchand d'ici (Stammetz) — il est difficile de pincer un négociant, plusieurs fois déjà il l'aurait mérité".

Quant à l'article secret du traité de Vienne, le Prince me répondit: „il n'y en a pas, que je sache. Sur le territoire de la République de Cracovie aucune puissance n'a le droit d'avoir d'armée, Vous non plus; du Palatinat, il n'en a jamais été question — mais je verrai cela: si cet article existe, il sera respecté; mais encore, Vous ne sauriez en appeler aux traités, Vous les avez rompus, il n'en existe plus pour Vous". — Quant au passage des détachemens de l'armée par la Gallicie, refuge des personnes, nous ne pouvons per-

rygorów policyjnych, paszportów do państw austriackich, tak się wyraził: „A więc zgoda, lecz co dziś począć z cholera, otworzyć nasze granice? to niepodobna". W sprawie wyswobodzenia naszych agentów Banku: „Urządziliśmy — rzekł jowialnie — skład w Gratzu w początkach waszego powstania, biedny Pruszyński musi się tam bardzo nudzić, pojmuję to. Hrabia Jelski jest w Pradze — zbytnio się rusza — posłałem mu do Berna hr. Clam Martinitz, pragnie on udać się do Berlina, nie wiem, czy go tam sobie życzą. Macie nieszczęście, że służą wam urzędnicy awanturnicy, wasz agent Banku, kupiec tutejszy (Stammetz), trudno jest złapać negocyanta, już kilka razy na to zasłużył".

„Co do artykułu tajnego traktatu wiedeńskiego, odpowiedział książę: „Nie ma takiego, o ile wiem; na terytorium Rzpltej krakowskiej żadne państwo nie ma prawa mieć armię; i wy również, lecz rozpatrzę to, jeśli ów artykuł istnieje, będzie on uszanowany; lecz i w takim razie nie mielibyście prawa powołać się na traktaty, boście je złamali; nie istnieją już dla was". Co do przechodu od-

mettre à aucune armée de traverser nos provinces; si on entre chez nous désarmé, nous ne pouvons l'empêcher, nos frontières ne sont pas tellement gardées, que des individus ne puissent se réfugier chez nous; nous ne livrons personne; Vous le voyez avec Dwernicki, l'Empereur n'y aurait jamais consenti; on leur aurait probablement fait prendre le chemin de la Sibérie; mais ne craignez rien, l'Empereur Nicolas veut être clément — je conçois cependant, que Vous ne vouliez pas lui donner de tentations.

— „Je lui reparlai de la Gallicie: „Oui, remerciez de ma part le Prince Adam, de ce qu'il a contenu les esprits de cette province — je reconnais là sa belle âme — il y a beaucoup de gens compromis, beaucoup de malheureux; finissez au plus tôt cette guerre, j'ai toujours attendu que votre Diette prit une mesure législative, qui faciliterait un rapprochement. C'est dommage, Vous étiez dans une belle position pour le faire, il fallait profiter de Vos succès par un retour; révoquez cet acte de déchéance..“ — „Mais, lui dis-je, il faudrait donc poser les armes?

— „Non“ dit-il étonné; puis éleva la voix, quand je relevais ce *non*, balbutia, se reprit enfin: „les circonstances

działów zbrojnych przez Galicyę, schronienia dla osób; nie możemy zezwolić żadnej armii, by w nasze prowincye wkraczała. Gdy się wchodzi do nas bez broni, nie możemy temu przeszkodzić, granice nasze nie są w takim stopniu strzeżone, by przeszkodzić osobom pragnącym tam znaleźć przytułek; nie wydajemy nikogo. Masz przykład na Dwernickim. Cesarz nigdyby się na to nie zgodził, zaprowadziłoby to ich prawdopodobnie na Syberyę. Lecz nie obawiajcie się. Cesarz Mikołaj chce być łagodnym, pojmuję wszakże, że nie chcecie go na to wystawić.

„Ponowiłem rozmowę o Galicyi. „Tak, podziękuj pan z mej strony księciu Adamowi, że powstrzymał umysły tej prowincyi, poznaję w tem piękną duszę jego, jest wielu skompromitowanych, wielu nieszczęśliwych, zakończcie co prędzej tę wojnę. Oczekiwałem ciągle, że sejm wasz poweźmie środki prawodawcze, któreby zbliżenie ułatwiły — a szkoda, mieliście doskonałą sposobność uczynienia tego, należało wam skorzystać z powodzenia przez powrót, odwołajcie ów akt detronizacyi...“ Lecz — odrzekłem — należałoby w tym razie złożyć broń?

ont beaucoup changé, l'Empereur Nicolas désire mettre fin aux hostilités — il veut être grand, Vos affaires aujourd'hui sont désespérées — ne croyez pas aux articles de gazettes. Les puissances ne disent rien en Votre faveur — la France se tait. Je Vous sais gré, de n'avoir pas fait dans Vos écrits, d'articles de journaux; je n'ai pas le temps de m'amuser à en lire; mais si Vous voulez faire de la polémique, si cela Vous amuse, nous pouvons en faire — causons, j'aime à causer avec Vous; entre gens comme il faut, on peut se dire ce qu'on pense... Mais cela ne nous mènera à rien; Vos affaires sont désespérées. Encore quelques jours, Vous aurez des revers, et puis la fin. Je ne Vous le cache pas, tout est rompu par Vous, il n'y a plus de droits de Votre côté“.

„Comme j'insistais, il ajouta: „N'y songez plus, Votre affranchissement est impossible, il faudrait de nouvelles conférences... elles n'auront probablement pas lieu“, dit-il en élevant la voix, comme pour me faire oublier, ce qu'il venait de dire. Je répétais, que nous les demandons ces conférences, que nous les méritons, qu'elles seraient dans l'intérêt de l'Europe, après les 15 années qui venaient de s'écouler; l'expérience avait démontré beaucoup de bien, mais aussi quel-

— „Nie“ — rzekł zdziwiony; następnie podniósł głos, podkreślił owo *nie* — belkotał, i poprawił się wreszcie: „Okoliczności wielce się zmieniły. Cesarz Mikołaj pragnie położyć koniec krokom nieprzyjacielskim, pragnie być wielkim. Sprawy wasze są teraz rozpaczliwe, nie wiercie artykułom gazet. Mocarstwa nie przemawiają wcale na korzyść waszą. Francya mileży. Mam panu za dobre, żeś w swoich pismach nie robił artykułów dziennikarskich. Nie mam czasu na przyjemność czytania ich, lecz jeżeli pragniesz polemizować, jeżeli cię to bawi, możemy to uczynić — gawędźmy — lubię rozmawiać z panem, między ludźmi z towarzystwa, można mówić to, o czem się myśli. Lecz to nie doprowadzi nas do niczego. Sprawy wasze są rozpaczliwe. Jeszcze dni kilka, doznacie klęsk a potem będzie koniec. Nie taję przed panem, że wszystko samiście zgubili, nie macie prawa za sobą!“

„Gdym nastawał, dodał: „Nie myśl pan o tem Wyzwolenie wasze jest niemożliwem, trzeba by zwołać nowe konferencye... nie będzie z nich prawdopodobnie nic“. To mówiąc, głos podniósł, jakby chciał, bym zapomniał o tem,

ques erreurs. Pour prévenir les révolutions, la Sainte Alliance ne doit pas vouloir maintenir un *statu quo* là, où apparaissent des souffrances. Pour obtenir de la stabilité, ce tribunal suprême, si cette pensée peut-être féconde en heureuses conséquences, doit à mesure corriger son oeuvre. Toute institution vraiment utile doit-être susceptible de développement. Ce n'est, qu'à ce prix, qu'elle prémunira l'Europe contre des ruptures douloureuses, sanglantes. Il est impossible, inhumain, de condamner une Nation à souffrir, souffrir cruellement, toujours, et sans espoir...

— „Que voulez-Vous? Remettez Vous en à la Providence, attendez une époque de nouvelle reconstruction des Etats de l'Europe... nous ne pouvons donner la main aux révolutions... etc. etc. Toujours le même thème désespérant.

A chaque entrevue je demandais au Prince les réponses par écrit, qu'il m'avait promises. J'étais fatigué, navré, désespéré de perdre mon temps. Pour réponse, il me disait: „Je tâcherai de les rédiger, il faudra que je voye l'Empereur, j'écris pour Vous, revenez dans quelques jours“. Les derniers jours, il me dit: „Je dois rendre justice à Votre

o czem mówił przedtem. Powtórzyłem, że owych konferencyj pragniemy, że zasługujemy na nie, że byłyby one z korzyścią dla Europy po upłynionych latach piętnastu; doświadczenie wykazało wiele dobrego, lecz również i kilka błędów. Dla zapobieżenia rewolucyom, święte przymierze nie powinno utrzymać *statu quo* tam, gdzie ujawniają się cierpienia; dla pozyskania stałości, o co trybunał najwyższy, jeżeli owa myśl może być brzemiennej w pomyślnie następstwa, winna odpowiednio sprostować swe dzieło — każda instytucya prawdziwie użyteczna, winna podlegać rozwojowi i tylko tym kosztem osłonić może Europę przed bolesnemi, krwawemi szarpaniami. Nie można dopuścić, byłoby to nieludzko, skazywać naród na cierpienie, cierpienie okrutne, bez końca, bez nadziei“.

— Cóż czynić? Zdajcie się na Opatrzność. Oczekujcie epoki nowej przebudowy państw europejskich... nie możemy podać ręki rewolucyom... etc. etc. zawsze na tę samą rozpaczliwą nutę.

„Przy każdym widzeniu się z księciem prosiłem o odpowiedź na piśmie mi przyrzeczoną. Byłem znękany, zniechęcony i zrozpaczony napróżnem traceniem czasu. Odpo-

discrétion, Vous êtes à Vienne depuis bien des semaines, personne ne m'a encore dit, que Vous êtes ici, ni où Vous êtes“.

„J'eus encore plusieurs entrevues, pendant lesquelles il me répéta les mêmes choses, poursuivi qu'il était des mêmes préoccupations, c'est à dire, de nous voir au plus tôt anéantis, pour l'honneur des traités; il se plaignait des démagogues, des nôtres, et avait l'air de dire, que nous ne donnions à l'Europe aucune garantie d'ordre et de tranquillité. Le 12 Mai, je reçus l'ordre du Prince Adam, en date du 5 Mai, de revenir au plus tôt à Varsovie. J'en parlai au Prince de Metternich, il me retenait encore; le 19, il me fit dire par la police que l'on était informé à la frontière de mon passage, et que je pouvais partir, quand je le voudrais. C'était me faire entendre, que je ne devais plus attendre ses écrits.

„Dans le courant de mon séjour, d'après ce que j'avais cru deviner sur son genre d'esprit, et d'après aussi ce qu'il me disait, ne croyant pas que des mémoires pompeux pussent amener de résultats, je pris le parti de ne remettre au Prince que des guides de conversation, si je puis m'exprimer ainsi, des notes, que je préparais pour aider ma mémoi-

wiadając mi rzekł: „Postaram się je zredagować, trzeba mi będzie widzieć się z cesarzem, wrócę za dni kilka“. Ostatniego dnia rzekł: „Winienem oddać sprawiedliwość dyskrecyi pańskiej, jesteś w Wiedniu już od kilku tygodni, nikt mi nie doniósł o pańskiej bytności tutaj, ani też o miejscu pańskiego pobytu“.

„Miałem jeszcze kilka spotkań, w trakcie których powtarzał też same rzeczy, zajęty ciągle jednym i tem samem, a mianowicie pragnieniem ujrzenia nas unicestwionymi, dla honoru traktatów; narzekał na demagogów, na naszych i zdawał się wyrażać przekonanie, że nie dajemy Europie żadnej ręką porządku i spokoju. 12 maja otrzymałem od księcia Adama rozkaz, datowany 5 maja, do bezzwłocznego powrotu do Warszawy. Powiedziałem o tem księciu Metternichowi, jeszcze mnie zatrzymał. 19 kazał mi przez policyę powiedzieć, że zawiadomiono na granicy o moim przejeździe, i że będę mógł wyjechać kiedy mi się spodoba. Znaczyło to, że nie powinienem już się spodziewać jego odpowiedzi na piśmie.

„W trakcie mego pobytu, sądząc po nastroju jego umysłu i według tego, co mi mówił, nie spodziewając się,

re, et qu'il désire garder; j'y posais des faits constans, pour redresser la manière, dont le Prince envisageait notre position, nos affaires, et tâcher d'y rassembler tout ce que je crus capable d'aider notre cause, faire entrevoir, que, si la Pologne pouvait redevenir Monarchie indépendante, instruite par les longs malheurs, elle deviendrait bientôt pour ses voisins, une bonne voisine, une alliée utile sous tous rapports, et donnerait à l'Europe toutes les garanties de bon sens, de bons principes, d'ordre et de stabilité.

„Les difficultés de mon voyage, l'impossibilité où j'étais de me charger de papiers, excuseront, je l'espère, l'insuffisance de ce rapport, dans lequel je me suis étudié à citer le moins que possible ce que j'ai dit, mais bien à reproduire le plus fidèlement, ce que j'ai pu retenir des paroles du Prince de Metternich.

„L'impression que j'ai rapportée de ce voyage, est, que généralement on nous plaint d'être entrés dans cette lutte inégale; on admire notre courage, notre dévouement, mais on prévoit avec certitude notre fin prochaine, déplorable, car nous serons à la merci d'un vainqueur blessé dans son amour propre. Forcées par leurs propres intérêts, à deman-

by memoryały pompatyczne mogły sprowadzić jaki rezultat, powziąłem myśl przedstawienia księciu jedynie „rozmówek“, że się tak wyrażę, notatek, przygotowanych dla pamięci, które zachować pragnął. Wyluszczyłem w nich fakta stanowcze w celu sprostowania punktu widzenia i zapatrywania się jego na sprawę naszą i zebrania w nich tego wszystkiego, co, według mnie, mogło sprawie tej pomóc, wyjaśnienia w nich, że jeśliby Polska mogła stać się państwem niezawisłem, nauczonym długą niedolą, stałaby się niebawem dla swoich sąsiadów, sąsiadem dobrym, sprzymierzeńcem użytecznym ze wszech miar i dałaby Europie wszelkie rękojmie zasad dobrych, porządku i trwałości.

„Kłopoty podróży mojej, niemożliwość zaopatrzenia się w dokumenta, usprawiedliwią, mam nadzieję, niedostateczność niniejszego raportu, w którym starałem się pominąć, ile można było to, com ja mówił, natomiast odtworzyć wiernie to wszystko, com mógł zapamiętać ze słów księcia Metternicha.

„Wrażenie odniesione z tej podróży było takim, że ubolewają powszechnie nad tem, żeśmy podjęli tak nieró-

der le respect des traités et la paix à tout prix, toutes les Cours aujourd'hui refusent de venir à notre aide, elles ne le peuvent; et dans leurs intercessions officieuses, si tant est qu'elles en fassent auprès de l'Empereur Nicolas, elles restent dans les bornes des intérêts de l'humanité, demandant la cessation de l'effusion du sang.

D'après cela, mon opinion est, que nous ne pouvons aujourd'hui faire mieux, au point où nous en sommes, et tant que nous sommes encore forts, que de tâcher de mériter la confiance des Puissances étrangères, par notre conduite, tâcher d'avoir des succès à la guerre, mais, en même temps, de demander aux puissances — non des secours, nous n'en obtenons de personne, mais, „quels pouvoirs Elles veulent avoir, pour traiter en notre nom“. Dans une malheureuse affaire d'honneur, il faut s'en remettre à la décision des seconds“.

wną walkę; podziwiają odwagę naszą, nasze poświęcenie, lecz przewidują stanowczo nasz upadek blizki; żaloszny, gdyż pozostaniemy na łasce zwycięzcy, dotkniętego w swej miłości własnej. Znałone własnym interesem do pilnowania powagi traktatów i pokoju za jakąbądź cenę — wszystkie dwory obecnie odmawiają nam pomocy — nie mogą nam jej udzielić, a w swoich przedłożeniach urzędowych — o ile je czynią wobec cesarza Mikołaja — trzymają się wyłącznie na gruncie ludzkości, prosząc o zaprzestanie krwi rozlewu.

„Z uwagi na to, moją opinią jest, że nie umiemy dziś uczynić nic innego, w położeniu, w jakim pozostajemy i o ile jeszcze posiadamy siłę, jak tylko starać się o zjednanie sobie ufności mocarstw zagranicznych, postępowaniem naszym starać się o powodzenie w boju, lecz jednocześnie domagać się od mocarstw — nie pomocy, której od nikogo nie otrzymamy, lecz: „jakich żądają pełnomocnictw, by układać się w naszym imieniu“. W nieszczęśliwych sprawach honorowych należy zdać się na decyzję sekundantów“.

XVI.

Wrażenia po wysłuchaniu relacji Zamoyskiego. — Projekta nowe zjednanie sobie dyplomacyi austryackiej argumentami brzęcącemi. — Klub patryotyczny.

Książę Adam raportu tego nie ogłosił. — W biurze tylko ministerstwa spraw zagranicznych czytany był i Naczelnemu Wodzowi komunikowany. W zadziwienie wprowadzeni przez grzeczność księcia Metternicha dla mnie, tłómaczyli sobie ci panowie to moje przyjęcie skrytą pewno życzliwością kanclerza austryackiego ku naszej sprawie. Zaprzeczałem zupełnie tej życzliwości, śladu jej najmniejszego nie poznałem, owszem, pragnienie widzenia nas jak najprędzej zgniecionych, najwyraźniejsze. Moje twierdzenie przypisywano brakowi wprawy w dyplomacyi, że nie umiałem odgadnąć, boć inaczej nie da się wytłómaczyć tak częste przyjmowanie i t. p.

Dochodziły inną drogą różne wieści z Wiednia — od kogo? nie wiem — domysłów nie lubię; dawano do zrozumienia, że wszystko się da otrzymać za wynagrodzenie pieniężne; o tym też środku najczęściej mawiał ze mną Gustaw Małachowski, który już przestał kierować sprawami zagranicznymi, Horodyski, minister ówczesny spraw zagranicznych i sam książę Adam, który wszakże nie zupełnie dowierzał tej wieści. Tonący i brzytwy się chwytą, a że szło z jego strony o nowe poświęcenie, bo taką sumę jemu wypadło na własną odpowiedzialność awansować, bez pewności zwrotu, poczciwy i godny książę ze wstrętem rozbierał tę sprawę, aby się nie zdawało, że się waha własnym majątkiem otchłań zasypać, do której coraz jawniej kraj biedny się zbliżał, i w niej miał, jeżeli nie zaginać, to przynajmniej na długo być (i jest, niestety) zagrzebanym. Skutkiem fałszywego naszego położenia, skutkiem nieszczęść kraju, stan umysłów taki się wyrodził, że nikt nie śmie nigdy ze zdaniem wystąpić rozsądnem, umiarkowanym — z obawy, że go nazwą zdrajcą. Przypomina mi się, że wtedy właśnie, zgryziony bezceczeństwem klubu, tak zwanego patryotycznego, a steku lotrów kilku i wielu osłów, oraz intrygami, które już od czasu

niejakiego w wojsku psuły zaufanie do Naczelnego Wodza, wyraziłem się z żalem niewymownym przed kilku osobami. Był tam i poseł Zwierkowski; rzecz całą wyłożywszy w żywych kolorach, skończyłem tem, że nie taką drogą Ojczyznę zdobędziemy, że ją tylko w sromotę pograżymy, że gdyby nie szło o biedną Polskę, prosiłbym Pana Boga o niepomoczenie tak niecnie kalanej sprawie. W moich uwagach wstępnych dostało się było i sejmowi, któremu zarzucałem, że się od dawna nie zalimitował i t. p. i t. p. Otóż wtedy porwał się na mnie Zwierkowski z furją, krzycząc: co to znaczy? czy chcesz wisieć? — Na szczęście, zimną krwią to przyjąłem i zapytałem tylko: za co? że wam prawdę mówię? Wtedy kilku słuchających za mną obstali i Zwierkowskiego pohamowali. Rozsądnych ludzi mamy dużo, ale z wyrobionem, wytrawnem zdaniem, mało — a ten brak zdania pociąga za sobą brak odwagi obywatelskiej. Iść na armaty po kominie łatwo, ale wziąć na siebie odpowiedzialność za zdanie, za radę, trudniejsze daleko! W cztery oczy rzeczy rozbierając, przyzna nie jeden, czegooby nie śmiał przed kilku ludźmi powtórzyć; obawa, aby ktoś nie nazwał zdrajcą albo nieliberalnym, zabójcą (jest) dla nas. Kilka miałem uderzających tego dowodów w życiu, tak u nas, jak i w Poznańskiem.

Najbezpieczniejsze pismo peryodyczne wówczas była *Nowa Polska*, której godłem poniekąd było: „Precz z Bogiem“. Zdaje mi się, że to był organ klubu patryotycznego.

Wojsko szemrało nieco, bitew żądało. Z rodzaju naszej kampanii wypływało, że wojsko mało czasu w obozach trawiło, często do stolicy wracało, gangrenowane było przez kilku śmielszych demagogów — a na tych nie było sprawiedliwości, któraby śmiała uderzyć.

Dat dokładnie spaścić nie mogę — zdaje mi się, że około 12 czerwca Skrzynecki z wojskiem wyruszył na wyprawę przeciw generałowi rosyjskiemu Rüdigerowi, pod Koek nad Wieprzem. Zostawił nad Narwią naprzeciw Serocka od Pragi oddział pod Ambrożym Skarzyńskim, żeby ten zajmował uwagę Dybicza, z całym wojskiem po drugiej stronie rzeki stojącego. Na co on tam czekał, nie wiadomo — chyba, że się lizał po bitwie ostrołęckiej — ależ i my się organizo-

wali, bo nasze wojsko w tej pamiętnej bitwie dotkliwie poniosło razy.

Skrzynecki nie był jeszcze na Pradze, gdy na Rząd Narodowy przyszedł Wincenty Niemojowski z aktem oskarżenia na Naczelnego Wodza. Daremnie przedstawiano mu, żeby odłożył wniosek, który może ruch wojska skompromitować — błagał go książę Adam — odczytał i oświadczył, że jego wniosek poprzeć gotowi generałowie Krukowiecki, Umiński i Prądzyński.

Zgroza wszystkich przejęła na myśl takiego rozdwojenia — ucichło to wszakże, w oczekiwaniu wiadomości z wyprawy, których wszyscy z upragnieniem wyglądali. Do tej wyprawy wszystko, że tak powiem, uśmiechało się — tajemnica zachowana. Skrzynecki sam prowadził wojsko od Pragi, Ramorino od Wisły. Rüdiger otoczony liczniejszem wojskiem, nie powinien był ująć ani z jednym człowiekiem; rozporządzenia dobrze wykonano. Generał Turno, przy którym mój brat Władysław był szefem sztabu, atak rozpoczął rano. Wiodło się dobrze — daje znać generałowi Jankowskiemu, który dowodził całą wyprawą, że do godziny 3 po południu gotów się bić, ale wzywa, aby tymczasem oddziały ruchy swoje wykonały. Turno czerepem w czoło raniony, odbiera odpowiedź, że bitwy niema być, żeby sam zaprzestał. Generał Bukowski słyszał strzały, powinien był na głos maszerować — ociągał się, niby na rozkazy czekał, nareszcie nietylko że Turnie nie pomógł, ale Rüdiger, party przez Turnę, wpadł na tyły kolumny Bukowskiego i zabrał mu kilka jaszczyków i kasę. Jenerał Jankowski odebrawszy z kwatery głównej rozkaz wstrzymania bitwy, dawszy odpowiedź taką Turnie, wyprawił trzech adjutantów do Bukowskiego z podobną wiadomością — wszyscy trzej wzięci w niewolę — Butrym, Leon Małachowski i książę Roman Sanguszko. Spiesznym marszem wszyscy odwołani przeprawiają się przez Wisłę i wracają do Warszawy. Co się stało? Co powodem do tej nieudanej, po której wojsko w największe upały zmachane, konie podbite do Warszawy przyszły, a co najgorsza że umknął Rüdiger, głosząc swój talent i przenikliwość (do dziś dnia)?

Upredziły powrót wojska do stolicy wieści najsprzeczniejsze o wyprawie — ale wszyscy się godzili na to, że się

nie udała — przez zdradę — nigdy głupstwa, nieudolności nie przypuszczając, choć to ostatnie najpewniej jedyna przyczyna, a pierwsza rzadka, niepodobna. Zdradą nazwałbym prędzej czyn, na nieszczęście, częstszy, niż wzięcie pieniędzy, a to jest namiętne intrygi — ale o tem niżej. Zdrajcą ogłaszali generała Jankowskiego i Bukowskiego. Jankowskiemu powierzył był komendę nad tą wyprawą Skrzynecki, aby mu dać pole do odznaczenia się — mało nawet ryzykując, bo jak się powiedziało, wszystko powinno było pójść jak z płatka. Jankowski był podobno płatnikiem przy Kozietulskim za Napoleona w gwardyi ułanów Krasińskiego — okazał się deces, ile pamiętam, z desperacyi Kozietulski sobie życie odebrał, a na Jankowskim głucha jakaś wieść ciążyła, że ten deces z jego nastąpił winy; był on wszakże pułkownikiem 1-go pułku strzelców konnych za W-go Księcia, został generałem, Skrzynecki go podobno lubił, choć mu wielkich talentów nie przyznawał. Bukowski był całe życie karciarz i gdy się bitwa pod Kockiem zaczęła, był pod datą — smutne, okropne — zasłużył na rozstrzelanie, ale nie brał pieniędzy za zdradę. Obydwa biedaki zginęli 15 sierpnia, w rozruchu sromotnym, ze zgrozą wspominam, przez Krukowieckiego dopuszczonym, aby mógł zostać owym Regentem.

Teraz opowiem, co dało powód do tej całej klęski, która epokę w historii tego powstania stanowi, bo od owego nieszczęsnego czasu burzyciele głowę podnieśli i z wyuzdaną bezczelnością, a bezkarną, zaczęli miotać potwarzami na najgodniejszych obywateli. Do tych potwarców należał między innemi ksiądz Puławski. Otóż, w kilka dni po wyjściu Skrzyneckiego na tę wyprawę, około 11 w nocy, przysłał po mnie ksiązę Adam — dał mi do przeczytania właśnie odebrany raport od jenerała Routier, komendanta Warszawy. Ambroży Skarzyński doniósł, że Dybiez dowiedziawszy się zapewnie o wyruszeniu wojska z Warszawy, przechodzi przez Narew z całym wojskiem. Naturalny wniosek, że do Warszawy przemaszeruje, nim Skrzynecki nadejść zdoła i że Warszawa padnie ofiarą. Kazał mi więc ksiązę zaraz się udać do generała Routier, dla wywiedzenia się o rozporządzeniach, jakie w tej pilnej potrzebie przedsięwziął. Nie chciałem szkodzić reputacyi tego generała, alem się gniewem zapłonił, gdy za-

szedłszy do pałacu prymasowskiego, gdzie mieszkał i zasiadał, długo czekać musiałem, bo się był spać położył! Nie mogłem też przemódz na sobie, żebym mu tego nie dał uczuć i powitałem go: ach winszuję generałowi, że w tej chwili spać możesz... Wszak raport Skarzyńskiego donosi o Dybiczu, że przechodzi Narew...

— Cóż ja temu poradzę? posłałem raport do Naczelnego Wodza i do Prezesa Rządu i położyłem się.

Ci starzy biedacy, dobrzy kiedyś oficerowie, zupełnie pod W-ym Księciem zgnuśniali. Jako dowódcy pułków przyszedli do majątków, a przywykli zawsze czekać tylko na rozkazy — własną głową nie. Pytałem go, jakże będzie?

— A, źle, Skrzynecki niezawodnie będzie od Warszawy odcięty. Tu wojska niema — na lewym brzegu Wisły nowe tylko formacye — komenderował nimi podobno także już bardzo podeszły generał Klicki.

Gdy tak z na pół śpiącym rzecz tę i położenie rozbiebrałem, nadszedł drugi raport od Skarzyńskiego: „Omylono mnie, Dybicz nie myśli przechodzić, to tylko wrzawa była“. Chwałaż Bogu, ale jaka niedarowana lekkomyślność ze strony Skarzyńskiego! — zawołałem — poszlij-że generał czempredzej do Naczelnego Wodza, bo skutkiem pierwszego raportu pewno ruch na Rüdigera wstrzyma, a ja pospieszyłem do księcia Adama. Jak się przewidzieć dało, stało się. Za nadejściem raportu generała Routier, Prądzyński zaraz napisał rozkaz do Jankowskiego, aby ruch wstrzymał i ku Wiśle z całym wojskiem dążył. Drugi raport już zastał kwaterę główną w ruchu ku Wiśle; wahał się Prądzyński, odwołać rozkaz było trudno, może za późno — posłał Działyńskiego z językiem do Jankowskiego, żeby, o ile potrafią, działali. Działyński zastał Jankowskiego zupełnie stropionego — już był rozkaz wysłał — Turno się jeszcze podobno bił. Jankowski opierał się Działyńskiemu, rozkaz Prądzyńskiego pokazując — nastąpiła rada — woleli trzymać się rozkazu pisanego, jak słownego. Jankowski cierpiał bardzo, że mu trzech adiutantów wzięto, mianowicie biednego Romana Sanguszkę, bo przewidzieć można było, jaki go los spotkał. Kto tu winien? Według mnie Skarzyński — a tamtych lud powiesił, rozszarpał. Niektórzy wierzą w wszechwładztwo ludu, jemu chcą

losy krajów w ręce oddawać — chyba na pastwę łotrów, którzy lud wszędzie podjudzają!

Nieboszczyk generał Szeptycki (w czasie tej kampanii umarł na cholerę) służąc jeszcze w Hiszpanii pod marszałkiem Suchet, wrócił z rekonesansu i zdając raport, mówił: *On* ¹⁾ *m'a dit que... On m'a dit... On ma raconté... On m'a dit...*

Zniecierpliwiony marszałek zawołał: *On* ²⁾ *m'a dit, on m'a dit, ce n'est pas comme ça qu'on fait une reconnaissance, quand je Vous enverrai, Vous irez, Vous irez... jusqu'à ce qu'on Vous ait donné sur le nez — alors Vous viendrez me le dire*“. Czemuż tej nauki nie odebrał Skarzyński!

Przykro mi, że same tylko mi błędy nasze na pamięć wracają — to też piszę dla nas tylko, dla swoich — ależ bo odwaga naszego wojska nie zbawiła nas, a błędy zgubiły...

Jeszcze jedno przykre wyznanie — darmo — co prawda, to nie grzech, a powinno być nauką. Skrzynecki, o ile nie Napoleon, miał zalety — pobożny, szlachetny, poświęcony, miał znowu swoje właściwe przywary przy małym okręgu wyobrażeń — między innemi łatwo był obraźliwy. Książę Adam, z urodzenia roztargniony, teraz rządem zajęty, zapomniał być z wizytą u Skrzyneckiego — ten się obraził, widząc w tem wyrzut za Ostrołękę i co gorsza, wylał swój żal na piśmie do Księcia — kończył: ale Chrystus na krzyżu więcej jeszcze cierpiał... Śmiechu to było godne, ale szkodliwy wpływ wywierało, bo za naczelnikami idzie czereda jednego i drugiego, stąd partye, rozdwojenie, gdzie nadewszystko zgoda, porozumienie się było koniecznem. Książę mi te bilety komunikował, było ich podobno trzy, książę łatwo się dał namówić do odpisu grzecznego, tłómaczącego postępek przez zapomnienie proste i zapewniającego o szacunku i poważaniu, szczerze bowiem cenil przymioty rzetelne i zasługi Wodza. Ale dobrze uczy Ewangelia: „Strzeżcie się kwasu,

¹⁾ „Powiedziano mi, że... Powiedziano... Opowiedziano mi... Powiedziano mi...“

²⁾ „Powiedziano mi, powiedziano mi... toć nie w taki sposób robi się wywiady... Jeśli Cię wyślę — pójdziesz, pójdziesz... aż natkniesz się nosem... a wtedy przyjdiesz mi to opowiedzieć...“

bo najmniejsza cząstka gdy się do ciasta dostanie, całą dzieżę zepsuć zdolna“. Otóż i tu kwas się zakradł i zaczęto się nawzajem sądzić, oceniać; gaduły plotki znosili — ten to powiedział o księciu, tamtemu znowu że to powiedział książę o generale i t. p. Kobiet nie brakło, które rozporu weale nie zacerowały.

(Ciąg dalszy nastąpi).

LISTY Z FRANCYI.

III.

Głębsze przyczyny przesilenia i jego objawy w sprawie Dreyfusa. — Polityka wewnętrzna: P. Pelletan i ankieta o marynarce. Ustawa o całkowitem zniesieniu nauczania przez zakony i klęski pana Combes'a. Odpowiedź jednemu z moich czytelników. — Polityka zewnętrzna: Nagana udzielona przez Ojca św. i protest rządu francuskiego. — Muzyka: *Pelleas i Melisanda*, dramat liryczny ze słowami Maurycego Maeterlincka a muzyką pana Debussy. Znakomity rozwój muzyki we Francyi w ciągu lat ostatnich.

Rząd poddał raz jeszcze rewizyi sprawę Dreyfusa, osądzoną już tylokrotnie, a zawsze w jednym duchu, dla umotywowania zaś tego postępku przytoczył dwa jakoby „nowo odkryte fakta“. Określenie to jest jednak zupełnie nie na miejscu, bo nie było możliwem odkryć żadnych nowych faktów, a postępowanie sądowe opiera się tu tylko na powtór-nem zbadaniu paru tekstów, już rozpatrzonych w czasie procesu w Rennes. „Nową“ jest tu chyba zadziwiająca przenikliwość, z jaką rząd poddaje krytyce owe teksty co do treści ich i formy. To też wszystkim ludziom dobrej wiary — dreyfusistom czy antidreyfusistom — przedstawia się owa rewizya jako rodzaj prawdziwego zamachu, a sam rząd nawet nie broni się prawie od tego zarzutu¹⁾). Oba te obozy

¹⁾ Jednocześnie rząd proponuje ustawę o przywrócenie stopni oficerom przeniesionym w stan spoczynku, ustawę okolicznościową, wyraźnie obmyślaną na korzyść jednego człowieka, ex-pułkownika Picquart'a.

uważają sprawę jako z góry osądzoną, a prasa dreyfusowska powtarza: „Nareszcie — oto i godzina przecież nadeszła!“

Nie mam bynajmniej zamiaru opowiadać tu raz jeszcze przebiegu „sprawy“, lękając się znudzić mych czytelników, chociaż mniemam, że takie powtórzenie nie byłoby bez pożytku. W istocie cała prasa środkowej Europy, podtrzymywana przez Izraelitów, przekreśliła zasadniczo podstawę procesu i wzbudziła za granicą ruch nieprzychylny Francyi. Prócz tego znaczna część cudzoziemców wprowadzoną została w błąd wskutek swego zaufania i szacunku dla niektórych naszych znakomitości umysłowych, a taż sama interesowana prasa nie przestawała głosić, że wszystko, co jest intelligentnem we Francyi, staje w obronie „męczennika“. I nie małą też było dla nas boleścią widzieć przyjaciół i nieprzyjaciół naszych za granicą, oszukiwanych tak i podburzanych przeciw zwolennikom zdrowych i tradycyjnych idei — to jest przeciw temu, co mamy najbardziej francuskiego we Francyi. Wiem dobrze, że w każdym kraju znalazła się dość znaczna ilość ludzi, którzy się oparli fatalnej tej propagandzie; tych też uważam za najbliższych nam charakterem, kulturą, uczuciem i zasadami i za najbardziej życzliwych naszej ojczyźnie.

Co prawda nasz sztab generalny okazał w tej sprawie nieudolność, której, mimo prawości jego zamiarów, nie usprawiedliwić nie może; przytem nie da się zaprzeczyć, że sprawa była i jest niejasną i poplątaną. Poczyniwszy jednak raz te zastrzeżenia, czuję się w obowiązku wyjaśnić wam głębsze przyczyny, dla których wszysej ci, co stanęli po stronie Dreyfusa (z wyjątkiem kilku ludzi dobrej wiary, rozmyślnie w błąd wprowadzonych) byli jakby z góry skazani na to, by stanąć w sprzeczności z duchem czysto francuskim: Żydów pechała do tego ich rasa, protestantów umysłowość ich krytyczna i indywidualistyczna, kolektywistów chęć podkopania kapitalistycznego ustroju społecznego, „intelektualistów“ wreszcie pycha ich rozumu.

Zanim jednak rozpatrzymy bliżej głębsze podstawy tej ważnej kwestyi, chciałbym wprzód wyjaśnić w kilku słowach, w jaki sposób ja sam doszedłem do mego własnego o niej sądu, który już zresztą miałem sposobność tu zaznaczyć.

Podług mnie cała ta sprawa powinna być zasadniczo rozwiązana wyłącznie ze stanowiska czysto sądowego i osobistego. Wysuwa się w niej zatem na pierwszy plan pytanie prawne, postawione sędziom, tak na pierwszym, jak na ostatnim sądzie wojennym: „W duszy i sumieniu osądźcie, czy oskarżony jest winnym?”. I oto po długich rozprawach sędziowie ci oświadczyli, że „w duszy i sumieniu swem uważają oskarżonego za winnego“. I ja też nie mam przyczyny uważać go za niewinnego. Nie dodam też już nic więcej; co powiedziałem, było niezbędnem i wystarczy, t. j. w ten sposób ukończyłem już — wedle mego zdania — rozpatrzenie sprawy ze stanowiska sądowego i osobistego.

Wszelako ze sprawy tej wyłoniły się konflikta rasowe, religijne, społeczne i ekonomiczne. Sprawa jednostki stała się narzędziem walki a nawet rozstroju: przesilenie, przez jakie przechodzi obecnie Francya, jest tego wynikiem i dowodem. I oto dlatego także chciałbym wam w kilku słowach wyłuszczyć pobudki działania Izraelitów, protestantów, kollektywistów i intelektualistów.

Oddawna było naprzód widocznem, że interesa całej kolonii izraelskiej we Francyi, wiążą się ściśle ze sprawą Dreyfusa. Niesławę jednego z jej członków odczuć musieli wszyscy — przez zachwianie kredytu finansowego. A oto właśnie Żydzi zaczęli nieco tracić znaczenie swe we Francyi. Po kampanii Drumonta nastąpiły wypadki, które stwierdziły pożyteczność tej walki i wydobyły na jaw głębsze jej przyczyny. Bank żydowski zdusił w r. 1882 bank Związku Powszechnego (*Union générale*), niebezpieczny w oczach Żydów przez to, że popierał tylko interesa czysto francuskie, zamiast zużywać pieniądze krajowe na sprawy kosmopolityczne¹⁾. Następnie niezliczone ruiny, spowodowane upadkiem Panamy, sprowa-

¹⁾ Dyrektor Banku, Bontoux, został bezzwłocznie uwięziony na rozkaz ministra Humberta (teścia pani Teresy!). Ztąd powstała panika, która przyspieszyła krach i zasiała ruinami Francję całą. Tymczasem przy likwidacyi upadły Bank wypłacił 98⁰/₀ wierzytelności tym, którzy się na tyle spóźnili, że zachowali swoje papiery: dowód jasny wartości Banku i popełnionej nieczemności.

dzzone były przez dwóch kosmopolitycznych Żydów, Reinacha i Herza.

Nie mam bynajmniej zamiaru rozważać tu kwestyi żydowskiej. Wiele znakomitych umysłów, nie zaprzeczając zgubnego wpływu tej rasy absolutnie anti-francuskiej, uważa jednak, że osiedlenie się jej wśród nas jest faktem fatalnym, ale już dokonany, którego nie, ani żadne rekryminacye, ani gwałtowne środki zmienić nie mogą. Wobec tego nie należy zapewne przyjmować jej z otwartemi rękami, ale... z wielką rezerwą i taktem niezmordowanym, z tysiącznemi zastrzeżeniami i drobiazgową cierpliwością przygotowywać musimy stopniową jej assimilacyę. W każdym razie Francuzi, godni tego imienia, to jest przejęci ojczystemi swemi tradycjami, w zapatrywaniach swoich na Żydów różnią się między sobą tylko w wyborze systemu obrony, wahając się pomiędzy stanowiskiem odpornem, a rezygnacją. W gruncie rzeczy wszyscy mają ich za szkodliwe pasożyty i uważają, że małżeństwo z istotą, należącą do rasy tak krańcowo odmiennej, jest odstępstwem i zbrodnią tem cięższą, że odbija się ona na potomności.

W szczególności zaś niema chyba sprzeczniejszych z sobą pojęć, jak „oficer“ i „Izraelita“. Bo wojsko opierać się musi na czysto bezinteresownej zasadzie honoru, rasa zaś żydowska żyje wyłącznie z finansów i dla finansów. Wojsko związane jest ściśle i bezpośrednio z ojczyzną, rasa żydowska jest międzynarodową, nie tylko pochodzeniem, ale faktycznie.

I gdyby nawet Żydzi nie byli i tak podejrzewani o chęć wyparcia się i zdradzenia przybranej ojczyzny w interesie swej rasy, to w każdym razie okazali dowodnie, czem są, postępowaniem swem w czasie procesu Dreyfusa¹⁾. Oni to

¹⁾ Socjalista niemiecki Liebknecht był z początku gorliwym stronnikiem Dreyfusa. Gdy jednak zamknięty w więzieniu w czasie procesu w Rennes odczytywał wiele dzienników zagranicznych, uderzyły go następujące dwa fakty. Oto ze sprawozdań sądowych urzędowych opuszczano starannie na łamach tych gazet wszystkie ustępy niekorzystne dla Dreyfusa, wszystkie zaś korzystne przytaczano wprzód jeszcze, nim ukazały się w dziennikach francuskich. Zauwa-

wprowadzili w błąd i podburzyli przeciw Francyi wszystkie dzienniki zagraniczne, które interesa finansowe koncentrowały w ich rękach. Oczernili i spotwarzyli nie tylko kilku generałów, ale całą armię. Rozkiełznali ruch antimilitarny i nienawiść do armii, którą duch niekarności i pewne pragnienie spokoju rodzi i podtrzymuje w sercach ludu robotniczego. Głównem ich politycznem i socyalnem narzędziem stało się wolnomularstwo, które jest pochodzenia żydowskiego i które służy dziś prawie otwarciu i wyłącznie Żydom i ich potędze ¹⁾).

Gdy tak Izraelici rozpowszechnili tu sztucznie, tam hałaśliwie sofizmat niewinności Dreyfusa, protestanci przyjęli go najpierwsi. Duch krytycyzmu, który był przyczyną ich odszczepieństwa i który od tego czasu kieruje wszystkimi ich uczuciami i myślami, usposobił ich do wydania walki całej instytucji pod szlachetnym pozorem wynagrodzenia prywatnej niesprawiedliwości. Religia ich nakazuje im badać samych siebie w obliczu boga i szukać Go w duchu własnym, jak który potrafi. Rola kapłana między Bogiem a jego wyznawcą ogranicza się u nich do skromnego stanowiska kaznodziei, pozbawionego głębszej powagi. Z konieczności więc indywidualistyczny duch ich religii objawić się musiał i w polityce. I tak z duchem analizy, dążącym do rozprzężenia wszelkiej hierarchii i wszelkiej doktryny, złączyła się u nich ciasna i namiętna troska jednostki indywidualnej, która dla zachowania jedności gotowa jest zniweczyć wszelkie czynniki składające całość i która nie chce znać zbiorowości. Ów to duch indywidualistyczny, który się najbardziej przyczynił do przygotowania przesilenia, jakie przechodzi obecnie Francya, upodobał je też sobie i przyklaskiwał mu. I on też był twórcą owego sofizmu, przenikniętego prawdziwie przerażającą ironią, który jednak

żywszy to, pisał Liebknecht: „I któż jest tu niewidzialnym artystą, kierującym całą orkiestrą?“. I następnie uznał się przekonany o winie Żyda.

¹⁾ Kalendarz masonów jest żydowski. Żydowską ich zasadniczą liturgią (historia Hiram, budowniczego świątyni Salomona), żydowskim internacjonalizmem i messyanizmem czysto ziemskim wolnomularzy.

niektóre dzienniki o duchu genewskim, jak n. p. *Le Temps*, rozwijały lirycznie na swoich szpaltach: „Przesilenie to przynosi tylko zaszczyt Francyi; ona jedna okazała się zdolną roznamiętnić się a nawet rozdzierać wewnętrznie, dla sprawy jednego człowieka“. Niestety, w chwili obecnej Francya przestała się już roznamiętniać dla owej sprawy, nie przestała jednak rozdzierać się wewnętrznie. A ów zaszczytny zapal, za który ją tak chwalono, pociągnął za sobą zaprzeczenie wszelkiej powagi, odmowę wszelkiego posłuszeństwa, zrzeczenie się wszelkiego szacunku. I trzeba zaprawdę nie mieć najmniejszego pojęcia o sposobie, w jaki powstaje wszelki organizm żywy lub czysto ludzka instytucya, aby sobie wyobrazać, że wszystkie kółka maszyny powinny być w każdej chwili zainteresowane losem najmniejszego ze składających ją atomów. Jeśli twierdzić będziemy, że każdy atom stanowi sam w sobie cały świat, to twierdzenie takie ma zapewniony sobie tryumf jako teza abstrakcyjna — ale to także jest pewnem, że przy ogólnem rozpadnięciu na okrucy upaść musi sama instytucya i jej dzieła, bo stworzenie jej i przechowanie w całości wymaga koniecznie zależności składowych części od całości i narzędzi od przedmiotu. Wytlómaczywszy tedy Francyi, że powinna dla jednego człowieka zatrzymać na czas pewien rozwój swego życia i działania narodowego, protestanci wystawili ją na rozstrój, na zanik ruchu, jednym słowem, na rozprężenie.

Co się tyczy kolektywistów, to ci nie wystąpili wcale na widownię w pierwszej fazie przesilenia, gdyż dzienniki ich zgodziły się na to, że jest to „sprawa czysto mieszczańska, która jako taka nie obchodzi ich wcale“. Wkrótce jednak przywódca ich p. Jaurès zauważył słusznie, że kolektywiści straciliby wiele, trzymając się na uboczu, bo jeżeli Izraelici i protestanci doprowadzą Francję do rozprężenia, kolektywiści znajdą w tem swoją korzyść, ponieważ metodą ich było zawsze obalenie wszelkiego istniejącego porządku dla wzniesienia na jego gruzach ideału socjalistycznego. P. Jaurès też pierwszy wśród nich i może jedyny zrozumiał jasno interes swego stronnictwa i od tej chwili usiłował przemódz obojętność swoich stronników, zwalczyć nawet ich opór i złą wolę, przedstawiając w dwudziestu z kolei napisanych arty-

kułach ową jasną jak słońce prawdę, którą dopiero co wyłuszczyłem. W końcu udało mu się przekonać swoje stronnictwo i zaciągnąć je całe na usługi sprawy Dreyfusa, której też służy ono wiernie do dziś dnia. A w tej grze zdobyli kollektywiści nadspodziewane powodzenie, bo oto p. Mille-
rand został członkiem ministeryum pana Waldeck-Rousseau, a p. Jaurès jest dziś pomocnikiem obecnego prezesa ministrów.

W końcu należy mi przystąpić do „intelektualistów“. Nazwą tą określono najwykształceńszych stronników Dreyfusa. Zastrzegam się tu tylko przeciw zestawieniu pojęcia „intelligencyi“ z wykształceniem, co byłoby poważną omyłką, bo zdarzyło się przecież każdemu z nas spotykać majstrów rzemieślniczych lub drobnych sklepikarzy, słowem ludzi bez wykształcenia, posiadających umysł bystry, żywy, jasny i wynalazczy, wobec których niejeden uczony przedstawiał się jako skończony głupiec. Przypuśćmy jednak, że wszyscy intelektualni stronnicy Dreyfusa okazali się jednocześnie intelligentni, to jeszcze nie dowodziłoby to ich kompetencyi w danym wypadku ¹⁾. A zatem „archeolog uznał, że jest w stanie rozstrzygnąć sporny punkt prawny, numizmatyk, że może sprawdzić podobieństwo pisma, wreszcie uczony znawca łacińskiej metryki, że się zna na aktach tajnej dyplomacyi. I oto wszyscy ci uczeni, wyzyskiwali tytuły swoje i katedry uniwersyteckie na to, by wpływać na opinię publiczną lub zwalczać z całych sił jedną z wielkich instytucyj państwowych, jako to: najwyższy trybunał ministeryum spraw zagranicznych, lub sztab generalny“. Uczeni ci powoływali się w swoich twierdzeniach na „doświadczenia“, „dochodzenia“ i inne tym podobne terminy czy attributy nauki, tego bóstwa nowożytnego. A obok uczonych, wystąpili literaci, powołując się znów wyłącznie na powagę „myśli“. Ale zapytać wolno, czyż w istocie ta ich „myśl“ jest tak dostojną i nieomylną? Nie okazujeż się ona aż nazbyt często niedo-

¹⁾ Przytaczam tu prawie dosłownie ustęp z interesującej książki p. Christiana Schefera (Paris, chez Plon, Nourrit, 1901) pod tytułem: *La crise actuelle*. P. Schefer był jednym z pierwszych, którzy wpisali się na listę „Ligi francuskiej ojczyzny“.

łęzną i dziecinną, gdy zwłaszcza, zstąpiwszy z wyżyn abstrakcji, próbuje przystosować się do życia, do działalności ludzkiej, tak bardzo zawilej? Jakiem prawem człowiek, trudniący się zaczernianiem papieru, czuje się powołanym zwracać się bezpośrednio do Francji i wskazywać jej drogi działania? Czyż nie więcej upoważnieni są do tego: rolnik, kupiec, przemysłowiec lub wreszcie ojciec rodziny, ludzie, co przeszedszy przez doświadczenie życia, czynu i decyzji, zdolniejsi są do trafnego osądzenia sprawy, interesującej cały naród w jego organizacyi obecnej i żywych dziełach? A zresztą, nie bawiąc się w wyliczanie ludzi wybitnych, zaciągniętych do obu obozów, chciałbym tylko zwrócić uwagę, że nazwiska takie, jak Alfons Daudet, Lemaitre, Faguet, Barrès, Bourget, Coppée, Sorel, Vaudal, a z pomiędzy artystów Degas i d'Indy, wystarczą chyba, aby dowieść, że t. zw. „intelektualiści“ z obozu Dreyfusa nie stanowili bynajmniej czoła inteligencji francuskiej.

Trudno jest również nie zauważyć, że talent pisarzy, którzy stanęli po stronie Dreyfusa, nie zyskał wcale na oddaniu się na usługi sprawy, która okazała się być wprędce sprawą demokracji humanitarnej, antimilitarnej i antireligijnej. Zola utracił w niej ten rodzaj potężnego epicznego rozpędu, który poprzednio ożywiał takie jego dzieła, jak na przykład *Germinal*, i tworzyć począł same ciężkie maszyny, jak *Praca* lub *Płodność*, gdzie przy braku charakterów pozostała mu tylko ciężka i massywna maniera, będąca właściwością jego talentu. P. Anatol France ¹⁾, który miał wprawdzie zawsze umysł negatywny i niepokojący, ale okazywał też tyle bystrości i inteligencji, napisał cały szereg książek: *L'orme du mail* (*Wiąz w alei*), *Le mannequin d'osier* (*Lalka z łożyny*), *L'anneau d'améthyste* (*Pierścień z ametystem*), *Monsieur Bergerat à Paris* (*Pan Bergerat w Paryżu*); ostatnie z nich, współczesne sprawie Dreyfusa, dowodzą wprost zasmucającego a stopniowego obniżenia poziomu jego talentu.

¹⁾ Anatol France, zanim stanął w jednym szeregu z Zolą, odczuwał względem niego nieprzepartą duchową antypatyę. I tak spotykamy w jego artykułach wyrażenia takie, jak: „Ciężki geniusz z Médan; ten wielki — nie, ten gruby talent“ i t. p.

Wreszcie zaś Anatol France napisał do zbioru mów p. Combes'a przedmowę, której styl i idee nie różnią się znacznie od stylu i idei polityka. P. de Pressensé, umysł niegdyś zrównoważony, autor znakomitego *Życiorysu Kardynała Manninga*, członek Instytutu, przewodniczył dziś zebraniom anarchistów i brata się z kwiatem kandydatów do kryminału. P. Berthelot, wielki chemik, prezydował świeżo w pałacu Trocadéro na „Uroczystości Rozumu“, gdzie między innymi obrządkami wprowadzono w życie „sekularyzację organów“, na których odegrano „internacyonalkę“, odśpiewaną chórem przez publiczność.

Przykład tych ludzi wybitnych, którzy przeszli do obozu sekciarzy i kolektywistów i zatracili intelligencję swą, charakter i talent na usługach sprawy Dreyfusa, dowodzi, że proces ów był tylko przypadkową przyczyną przesilenia, ale że prócz niego istniały tu inne jeszcze przyczyny pierwotne i głębsze. To też śmiem twierdzić — choćby to kogo zgorzzyć nawet miało — że los jednostki miał znaczenie drugorzędne w sprawie, która dotykała tak blisko interesu podtrzymania naszych tradycji i całego ducha naszej rasy¹⁾. Ogólne zamieszanie i nieład, do któregośmy obecnie doszli, dowodzą aż nadto wyraźnie, że sprawa ta, czysto indywidualna w zasadzie, nagle stała się właściwie sprawą anarchistycznej i antyfrancuskiej demokracji. Proces ten stał się machiną wojenną, wymierzoną przeciw ustrojowi społecznemu Francji. Zwolennicy naszych tradycji stali po jednej stronie, wrogowie ich po drugiej, i stanowili dwa przeciwne sobie obozy.

¹⁾ P. Drumont wyraża się dobitniej, niż ja: „Patrzmy tu na zwycięstwo żydowskie, nie przypominające w niczem owych zwycięstw aryjskich, gdzie zwycięzcy szczytą się umiarkowaniem w powodzeniu, jak poprzednio odwagą w boju. Zwycęstwo to semickie i zwierzęce prastarych stuleci, gdy na pobojuwisku zmuszano każdego do wypowiedzenia słowa *Schiboleth* i mordowano każdego, który nie nauczył się w Łozach wymówić tego słowa. Jenerałowie, oficerowie, urzędnicy, osiwiiali zakonnicy, którzy spodziewali się zakończyć życie w cichym klasztorze, świątobliwe mniszki, oddane nauczaniu dzieci ludu i usługom ubogich — wszyscy muszą tu uleść“.

Ubolewano nad tem, że różnica zdań w sprawie Dreyfusa poróżniła między sobą przyjaciół i krewnych; w rzeczywistości jednak ujawniły się tylko przy tej sposobności rozdziały duchów i serc, zasadnicze i istniejące oddawna. A z chwilą nawet, gdy namiętności uspokoiły się trochę, poróżnieni wówczas przyjaciele nie pogodzili się wcale, gdyż wtedy dopiero doszli do świadomości, że nie był to jedyny punkt niezgody między nimi i że wogóle nie mogą się już zgadzać w niczem.

Zaznaczywszy i wyjaśniwszy ujemne cechy tej sprawy, czas już jednak wykazać również dodatnie jej cechy, stanowiące pocieszającą przeciwwagę, a temi są: stanowczy zwrot do narodowych tradycji, poczucie potrzeby porządku, skupienia i władzy, miłość przeszłości naszej i naszych przodków, wznowiona gorliwość w badaniu ich dziejów celem przeniknięcia ich ducha, jakoteż chęć prowadzenia i rozwijania dalej jej dzieła w duchu instynktu naszej rasy. Oto są owoce bardzo francuskie i katolickie przesilenia, któreśmy przebyli. Postaram się w przyszłości przedstawić wam jasno dobroczynny ów, skuteczny i żywotny ruch, wobec którego wszystkie utopie humanitarne, podniesione przy sprawie Dreyfusa, wyglądają jak ciemne, gęste i złowrogie chmury.

Nie zaprzeczając kilku zbawiennych zdobyczy, jakie zostawiła nam w spuściźnie wielka Rewolucya 1789 r., dziś dopiero dostrzegamy, ile też jednocześnie zrodziła chimerycznych pomysłów, które ciężą nad nami, przez wiek cały czczone jak bożyszcza, i w imię których zniszczono już u nas tyle dzieł czysto francuskich, zniweczono tyle żywych zasad w sercach naszego narodu i zawieszono na długi czas naturalny bieg naszego narodowego życia. I jakże uprawiać możemy dalej ślepy kult Rewolucyi, mając przed oczyma wszystko, co z niej wynikło, patrząc na wzrastający coraz to więcej ucisk, prześladowanie i rozprężenie, a wszystko w imię wolności, tolerancyi, równości, poszanowania praw człowieka, to jest w imię wszystkich dogmatów rewolucyjnych.

Dlatego też ludzie, stanowiący dziś czoło naszej inteligencji, jak Emil Faguet, Juliusz Lemaitre, Karol Maurras, Juliusz Soury, Paweł Bourget, Maurycey Barrès powracają do zasad porządku i karności, poszanowania rodziny i prak-

tyk religii katolickiej, do przywiązania i chęci podtrzymania tradycyj. Powołują się przytem na Bonalda, de Maistre'a, Balzaca, Taine'a, Renana, Le Playa, Augusta Comte — na szereg geniuszów, tak różnorodnych a równie znakomitych, których potęgą stwierdzoną już została i uświęconą świadectwem niezliczonych umysłów, zależnych od nich.

Wogóle wszystko, co wiek XIX wydał najprzenikliwszego a zarazem najśmielszego, powstaje przeciw owemu pragnieniu bezwzględne go wyzwolenia, które wywołało Rewolucyę, a które niegdyś mogło się wydać objawem wzniosłym i szlachetnym, okazało się jednak z czasem niskim instynktem zazdrości i buntu. W nim to bierze swe źródło dzisiejsza demokracja humanitarna, a także ów zalew zazdrości i nienawiści, rozkiełzanych sprawą Dreyfusa.

Uwagi te zakończę jeszcze kilku krótkimi spostrzeżeniami.

Pięciu z kolei ministrów wojny, zapoznawszy się z aktami procesu Dreyfusa, ogłosiło publicznie jego winę. Komisja rewizyjna, kierowana przez pana Brisson'a, we wrześniu 1898 roku oświadczyła się przeciw rewizji. Dreyfus, skazany pierwszy raz w roku 1894 przez sąd wojenny w Paryżu, skazanym został po raz drugi w r. 1899 na sądzie wojennym w Rennes pięcioma głosami przeciw dwom. Cofnął on wtedy żądanie rewizji procesu i przyjął ulaskawienie. Wówczas minister wojny, jenerał de Galliffet, oświadczył urzędowo, że „sprawa jest zamknięta“. Ale w dwa miesiące później on sam, zrozumiawszy wreszcie, do czego cała ta intryga doprowadziła Francję, pełen obrzydzenia, podał się do dymisyi, co zrobiło już przedtem pięciu jego kolegów. Wreszcie 7 kwietnia 1903 r. Izba znaczną większością głosów oświadczyła się przeciw wnioskowi p. Jaurès'a, który proponował rozpocząć proces rehabilitacyjny. Mimo odmowy Izby, jenerał André rozpoczął śledztwo, którego jedynym wynikiem były dwie uwagi, dotyczące tekstów już przedyskutowanych w czasie procesu w Rennes.

Trybunał kassacyjny nie mógł przyzwoicie brać ich w rachubę, dlatego też zadekretował dodatek informacyjny dla stworzenia „nowego faktu“, któryby mógł go jedynie upoważnić do rozpoczęcia procesu rewizyjnego. Całe to *scenario*

odegranem zostało wśród zupełnej obojętności obu obozów a wobec pustego audytoryum. Bo i pocóż tu dyskutować, skoro wszyscy rozumieją jasno, że wyrok procesu jest z góry przesądzony. Wsłuchać się też warto w straszne świadectwo tego wielkiego mileżenia... Powołam się w końcu na zdanie mistrza, aby zdrowe słowa jego rozpędziły czarne chmury i ukazały nam światło.

Dreyfus, oficer francuski, wyniesionym został na stanowisko odpowiedzialne za bezpieczeństwo państwa. Na stanowisku takim już sama nieostrożność nawet — gdyby popełnił tylko nieostrożność — uczyniłaby go winnym zbrodni stanął Niebezpieczeństwo to było odwrotną stroną zaszczytnego stanowiska, które mu powierzono.

Otóż w nowelli Balzaca, zatytułowanej *Ciemna sprawa* (*Une ténébreuse affaire*), młoda dziewczyna przynosi Napoleonowi dowody niewinności skazanego na śmierć spiskowca. Odnajduje cesarza pod Austerlitz, wieczorem w przeddzień bitwy, a przedłożywszy swoje dowody, mówi: „O najjaśniejszy Panie, jakże jestem szczęśliwą, żeś mnie wysłuchał i zrozumiał. Odwołasz więc teraz wyrok...”

— O! nie, Pani, nie mogę tego uczynić.

— Najjaśniejszy Panie! Jakto? przecież znasz już prawdę...

— Wiem tylko, że prawa krajowe wydały na niego wyrok i że porządek państwa wymaga jego śmierci.

— Ależ, Najjaśniejszy Panie, to być nie może, to jest straszne! Sam wiesz, że skazany jest niewinnym, sam to przyznajesz, a pozwolisz mu iść na śmierć!“

Wówczas cesarz, odchylając płótno namiotu, pokazał młodej dziewczynie błyszczące wśród gwiazdzistej nocy ognie dwóch wojsk obozujących naprzeciw siebie.

— „Patrz Pani — rzekł — widzisz tu 300.000 ludzi — również niewinnych, a jutro 30.000 z nich zginie za cesarstwo“.

Doktryna to bardzo surowa, ale jedynie zgodna z naturą i zasadniczymi prawami każdego ustroju społecznego. Ona też jedna spoić może i utrzymać państwa trwałe i silne. Nie zadowolni ona wprawdzie abstrakcyjnej logiki słuszności, ale każdy, kto ma prawdziwe poczucie ojczyzny, pojmie, że

zasada to szlachetna, budząca zdolność do poświęceń i zrozumienie honoru. To też podług sądu, wypowiedzianego o tej doktrynie, rozpoznać będzie można i odróżnić zwolenników indywidualizmu, wiedzących naród do anarchii, od Francuzów starego pokroju, obdarzonych podniosłością serca i mających zdrowy sąd o rzeczy.

Zmuszony jestem powiedzieć wam z kolei kilka słów, o panu Pelletan, skoro ten nasz minister marynarki narobił, ku naszemu zmartwieniu, cokolwiek wrzawy w świecie. Podczas gdy Izba, powodowana słuszną nieufnością, poddała śledztwu administrację naszej marynarki, p. Pelletan udał się do Rochefort na zaproszenie robotników arsenału, a syndykat ich przyjął go wśród rozwiniętych czerwonych sztandarów przy dźwiękach „Internacyonalki“.

Powróciwszy z chwalebnej tej wyprawy, p. Pelletan stanąć ma przed komisją, prowadzącą śledztwo nakazane jednym z artykułów ustawy dotyczącej finansów. Ale p. Pelletan wzbrania się stanowczo przedstawić tam żądane dokumenta, to jest stawia opór nie tylko komisji, ale samej ustawie. Wszelako komisja budżetowa pod przewodnictwem p. Doumer (człowieka wielkiej wartości) zgadza się na żądanie zredagowane przez przywódców czterech grup lewicy (pomiędzy którymi znajduje się p. Etienne, człowiek również wielkiej wartości), to znaczy proponuje Izbie ustanowienie ankiety międzyparlamentarnej w sprawie administracji marynarki, poczynwszy od 1896 r., t. j. dużo przed dojściem p. Pelletan'a do godności ministra, i Izba na to się zgadza. Jest to utopienie odpowiedzialności istotnej i aktualnej p. Pelletan'a w czemś naksztalt historyi całej marynarki.

Że jednak osoba p. Pelletan wychodzi z tych rozpraw mocno zachwiana w powadze, możemy stąd wnioskować, że w takiejże mierze zmniejszy się jego destrukcyjna zuchwałość i trwałość teki w jego rękach.

Izba orzekła konieczność projektu rządowego (zapowiedzianego już dawniej, jak o tem wspominałem, przez pana

Combes'a), znoszącego całkowicie nauczanie przez zakony. Koszta tej sekciarskiej reformy wyniosłyby minimalnie 200 milionów franków. P. Combes wypowiedział przy tej sposobności mowę, w jakiej wyklucza z łona Republiki wszystkich deputowanych, którzyby nie chcieli głosować za tem prawem, dodając do zdumiewającej tej ekskomuniki kilka nieokreślonych gróźb. Następnie wyjaśnia z prostotą, że zakonnicy nie są właściwie obywatelami państwa, jako żyjący po za społeczeństwem, że zatem nie mogą domagać się prawa nauczania, ani prawa stowarzyszeń, ani zgola żadnego innego prawa. Na to p. Jaurès uznał za stosowne wytoczyć przy tej sposobności proces całemu chrystyanizmowi w mowie o ciężko brzmiących, patetycznych okresach. P. Roiberti zaś, jakkolwiek radykał, uczynił rządowi przedstawienia, z jakich przebija się wyraźnie obawa zwrotu, który wywołać może nierozważnie zaczęte prześladowanie: „Program wasz staje się przedstawicielem przeszłości, skoro zamierzacie walczyć z osobistościami i wyobrażeniami. Przywracając państwu potworny przywilej odróżniania błędu od prawdy, robicie zamach na prawa sumienia, które chcecie niby zabezpieczyć. Zmuszeni będziecie wkońcu przeciwstawić dogmatowi Kościoła dogmat państwa, a chcąc narzucić przemocą panowanie rozumu, oddacie tylko na nowo kraj cały pod panowanie wiary“.

Ale oto mnożą się kłęski ministeryum. Najpierw p. Cailoux żąda na zniesienie stowarzyszeń klasztornych „zwłoki lat 10“ i zwłokę tę otrzymuje, wbrew woli rządu, jedenastu głosami większości.

Następnie p. Millerand, socyalista, wezwał prezesa ministrów do rozpatrzenia prawa o zabezpieczenie robotników, które według uroczystych przyrzeczeń dawno już miało być wprowadzone w życie; przytem wyrzucał rządowi zaabsorbowanie się polityką antireligijną, kosztem wszelkich reform społecznych.

Słowa tego rodzaju w ustach wybitnego socyalisty i byłego ministra, wywołały ogromne wrażenie w Izbie i nasuwały poważne wątpliwości wielu posłom, znanym ze skrajnych opinij. P. Jaurès w obronie ministeryum wystąpił przeciw dawnemu swemu przyjacielowi, panu Millerand, którego uznano za zbyt niezależnego dla swego stronnictwa. „Pomiędzy pa-

nem a mną rozsądzi przyszłość“, odpowiedział p. Millerand. I przy głosowaniu nad porządkiem dziennym rząd otrzymał przeciw p. Millerand 10 tylko głosów większości, a że 7 z nich były to głosy ministrów, w istocie zatem większość ta wynosiła tylko 3 głosy.

W końcu wszyscy członkowie parlamentu, którzy zachowali jeszcze jakąbądź dbałość o nasze interesa narodowe, prowadzili żywą walkę o zachowanie nowicyatów, niezbędnych dla utrzymania naszych missyj zagranicznych. Pierwszy p. Flandin przypomniał, z jaką pieczołowitością, kosztem jakich ofiar, państwa nawet protestanckie lub te, które jak Włochy, zerwały stosunki dyplomatyczne ze Stolicą Apostolską, podtrzymują jednak missye katolickie na Wschodzie. „Konwent nawet — mówił on — który posyłał u nas księży na rusztowanie, zrozumiał jednak, jak dalece na zewnątrz dobra sława, znaczenie Francyi i jej ekspansywność, oparte są na poszanowaniu tradycyj katolickich. Gambetta, Juliusz Ferry, Paweł Bert, zrozumieli to również, wiedząc, że na horyzontach, odległych od Francyi, jej tylko obraz widnieje i promienieje, odgłos zaś nędznych naszych sporów i zatargów politycznych milknie tam i nie dochodzi“.

Z kolei p. Leygues proponuje poprawkę dla utrzymania nowicyatów we Francyi, a dla poparcia swego twierdzenia wskazuje na Egipt, gdzie upadek naszych missyj byłby zrzeniem się odwiecznych praw naszych na rzecz Anglii. Stowarzyszenia nasze zakonne mają na całej przestrzeni ziemi 3600 szkół, w nich 130.000 uczniów i 350 ochron (cyfry to pana Waldeck-Rousseau). P. Leygues zaznacza przy tem usilność Niemiec i Włoch w zakładaniu nowych missyj, a także gorliwość Anglii, która zalewa bez wytechnienia pastorami swymi Algier, Tunis i Madagaskar.

Zastępując p. Combes'a, odpowiada p. Doumergue, minister kolonij, twierdząc, że w Madagaskarze sekularyzacya szkół dała jak najlepsze wyniki. „A iluż macie tam nauczycieli?“ — zapytuje p. Lasies. P. Doumergue pomija to pytanie głuchem milczeniem, ale p. Lasies powraca doń za chwilę: „Wstydzisz się pan przyznać do malej ich liczby: jeden dyrektor, sześciu nauczycieli, cztery nauczycielki“.

I p. Leygues, w odpowiedzi na twierdzenie p. Doumergue, stawia rządowi jeszcze jedno pytanie: „Czy macie zamiar, zamykając klasztorne szkoły francuskie na Madagaskarze, wygnać jednocześnie misjonarzy cudzoziemskich i pozamykać ich szkoły?“. Było to wyzwanie, zmuszające rząd do przyznania się do swych sympatyj międzynarodowych, równie w nim silnych, jak nienawiść do katolicyzmu; a było to również zaznaczenie stronniczości rządu na rzecz protestantyzmu, tam nawet, gdzie jego interesa są jawnie sprzeczne z interesami narodowymi. To też p. Doumergue w załopotaniu swem odwołał się do p. Etienne. (Przypominamy tu, że wybitny ten znawca naszych interesów kolonialnych, związany dość luźnie z Blokiem, wybranym był niegdyś na wiceprezesa Izby 400 głosami, podczas gdy p. Jaurès miał ich tylko 200). Ale p. Etienne oświadcza krótko i jasno (na wielkie zdziwienie Izby): „Głosować będę za poprawką p. Leygues'a“.

Wówczas p. Brisson, autor projektu ustawy, przychodzi na pomoc i wyrzekając się swoich wiernych, wypowiada te godne uwagi słowa: „Ci, którzy głosować będą za poprawką, podtrzymają stowarzyszenia a zabijają ustawę“.

Ale nie na tem był jeszcze koniec kłopotów ministerium. Oto p. Deloncle, radykalista i członek „Bloku“, oświadcza co następuje: „Wiem, że p. Delcassé, minister spraw zagranicznych, proszonym był o wypowiedzenie mowy tejże treści, jaką powiedział dopiero co pan minister kolonij i że odmówił; dlatego więc ja głosować będę za poprawką“.

Cała Izba zwraca się ku ławie ministrów, gdzie p. Combes siedzi w głuchem milczeniu. Poczem dają się słyszeć wołania: „Mów pan! wyjaśnij twe stanowisko!“. Ale p. Combes milczy. Następuje głosowanie, poprawka p. Leygues'a zostaje uchwaloną 11 głosami większości — i ministerium ponosi jeszcze jedną klęskę.

Tak więc p. Combes uciekł się dwa razy w ciągu kilku dni do niezbyt zaszczytnego wybiegu, polegającego na tem, aby nie stawiać jasno kwestyi, w której był prawie pewnym porażki. Po uchwaleniu poprawki pana Cailloux, stawiającej jako minimum 10-letnią zwłokę dla zniesienia stowarzyszeń zakonnych, po przyjęciu poprawki p. Leygues'a, postanawia-

jącej utrzymanie nowicyatów, ustawa została zabita, jak to słusznie orzekł sam p. Brisson, autor i zacięty jej zwolennik. A przecie p. Combes mówił i pisał, że ustawa ta leży mu najbardziej na sercu, że na niej opiera nadzieje swe przejścia do potomności, że przyjął władzę w swe ręce dlatego tylko, aby ją przeprowadzić. Aż oto ta sama ustawa ściąga na głowę jego dwie kolejne klęski, wobec których schylić musi głowę i mileżeć. A prócz tych niepowodzeń p. Combes poróżnił się z powodu tegoż prawa z przyjacielem swym, panem Millerand, opuszczonym został ostentacyjnie przez pana Etienne, i zyskał nieme, ale stanowcze potępienie ze strony pana Delcassé, mającego przedewszystkiem na uwadze interesa, których straż mu powierzono.

Jeden z czytelników moich zaszczycił mnie listem, zawierającym dwa pytania, na które pragnę po kolei odpowiedzieć.

— „Dlaczego biskupi francuscy nie ogłosili zbiorowego protestu przeciw obecnemu prześladowaniu?“

Biskupi nasi zeszłego roku jeszcze ogłosili taki protest prawie jednomyślnie. Ale rząd uznał ten akt za spreczny z konkordatem, za nielegalny, a rada ministrów nazwała go za „nadużycie“. Świeżo zaś trzej kardynałowie napisali do naczelnika rządu list w tonie parlamentarnym i pełnym godności, a znaczna ilość biskupów przyłączyła się do tego aktu. Ale i ten list uznanym został za nadużycie przez radę ministrów i przez rząd.

A przecież podanie, sformułowane jako prośba zwrócona do naczelnika rządu, jest aktem zupełnie zgodnym z konstytucją i uświęconym przez dawny zwyczaj. To, na co mógł sobie dawniej pozwolić najlichszy poddany względem monarchy, powinno być aktem tembardziej uprawnionym ze strony wyborey do wybranego naczelnika rządu demokratycznego. Ale p. Combes uznał za stosowne odmówić tego prawa członkom duchowieństwa. Rada zaś ministrów nie wydała dotąd swojej opinii w tej mierze.

Drugie pytanie, z którym się do mnie zwrócono, jest następujące: „Dlaczego opozycya przeciw niegodziwym środ-

kom, użytym przez rząd, nie zaznaczy się bardziej stanowczo i nie objawi powszechnie w całym kraju?“.

Gdyby chodziło tu o opór z bronią w rękę, środek ten okazałby się źródłem zaburzeń, bo rząd, występując w obronie porządku, nie wahałby się użyć naturalnych stróżów tego porządku, to jest urzędników i żołnierzy, i przeciwstawiłby ich rodakom, zbuntowanym w obronie słusznej i świętej sprawy. Obawa bratobójczej walki nie przeszkodziła jednak Bretańczykom i Wandejczykom zbroić się w obronie klasztorów; ale kilku ludzi dobrze myślących, którym zaraźliwość liberalizmu wszczepiła wstręt do walki i do rozlewu krwi, skłoniło zbuntowanych do zaniechania zbrojnego oporu.

O ile zaś chodzi o opozycję ciał wybieralnych (wyjawszy parlamentu), to rady miejskie i rady generalne objawiły niezadowolenie swe w ogromnej większości, ale według ustaw konstytucyjnych opozycya ta może być wyrażana tylko w formie „życzenia“. Otóż rząd stłumił poprostu większą część tych „życzeń“, przeciwnych jego woli, inne zaś, zgodne ze swą polityką, ogłaszał publicznie, powołując się na nie jako na objawy woli narodu.

Pozostaje mi jeszcze rozpatrzenie opozycyi legalnej i konstytucyjnej, objawiającej się głosowaniem. Otóż ta odłożoną została do najbliższych wyborów prawodawczych.

A na pytanie znowu, jakim sposobem poprzednie wybory mogły powołać do władzy ludzi, zdolnych do prowadzenia takiej polityki jak dzisiejsza, odpowiem, że miałem już sposobność w poprzednich listach przedstawić to jedno wielkie oszukaństwo, które się zowie powszechnem głosowaniem¹⁾. Dziś dodam tu jeszcze parę uwag w tej mierze. Z wyjątkiem prowincyj nadgranicznych, gdzie żywszy patriotyzm utrzymuje poczucie ogólniejszych interesów narodowych, chłopci, którzy stanowią we Francyi najliczniejszą część ciała wyborczego, są (jak zresztą muszą być istoty proste) ludźmi krótkowidzącymi; to też chłop idzie po większej części za głosem interesu bezpośredniego, ujęty obietnicą jakiego zysku bliskiego, nowej drogi lub czegoś

¹⁾ W pierwszym rozdziale „Listów“ mych ze stycznia, zatytułowanym „Francya i ludzie u władzy“.

bardziej jeszcze osobistego, obietnicą, zrobioną mu przez kandydata, którego słowa nie kosztują. Co się zaś tyczy robotników miejskich, to tym schlebiają nieustannie naczelnicy syndykatów, którzy nie są wcale, jakby tego rozsądek wymagał, specjalistami zawodowymi, ale raczej zawodowymi politykami, którzy przyrzekają robotnikom obronę ich interesów wobec parlamentu i ministrów. Wogóle wybory odbywają się jedynie pod wpływem interesu i nie może też być inaczej tam, gdzie rządzi tłum, bo tłum jest „potrzebującym“, a co za tem idzie, obojętnym na przeszłość i nie przewidującym na przyszłość. Wolnomularstwo też, które nie liczy wyżej nad 30.000 członków we Francyi, jest jedynie tylko dlatego tak potężnem, że potrafiło w tak wielu miejscach pozadzierżgać różnorakie węzły, dobre interesa obiecujące. Prócz interesów, trzeba tu jeszcze wziąć w rachubę zarozumiałość i zawiść, którą Rewolucya wszczepiła w niższe warstwy ludowe, a która kładzie im w usta owe nadęte hasło: „Jesteśmy najliczniejsi, musimy więc mieć za przedstawicieli kogoś z pomiędzy nas“¹⁾).

Wszelako z interesem i zawiścią łączą się tu jeszcze niektóre idee lub pozory idei, takich jak: kolektywizm, internacjonalizm, humanitaryzm i t. p. — idee, apostołowane przez łoże wolnomularskie i przez doskonale zorganizowaną ludową prasę, zatruwającą lud wiejski i miejski. „A gdzież jest ojczyzna owych nieszczęsnych chimery? Niewątpliwie szukać jej trzeba na południu, w tym kraju umysłów powierzchownych, zarozumiałych i samochwalecznych, w kraju lenistwa i wiecznego pragnienia, gdzie się politykuje bez końca w podrzędnych kawiarniach, w kraju próżności, gdzie każdy boi się wydać zacofanym i pragnie popisywać się najpostępowszymi ideami“. Niewątpliwie i na południu spotkać można ludzi o pięknem sercu i charakterze, ale faktem jest, że wszyscy ministrowie jakobińscy, wraz z całym prawie „Blokiem“, przybyli do nas z nad ujścia Garonny, a głównie z Tuluzy.

¹⁾ I oto życzenie Siéyesa urzeczywistniło się: „Czem jest trzeci stan? Niczem. — Czem powinien być? Wszystkiem“.

Mimo to, wszystkie te przyczyny nie są jeszcze wystarczające dla wyjaśnienia, dlaczego reprezentacya dzisiejsza Francyi tak mało jej przynosi zaszczytu. One same nie przewałyby wobec zdrowego rozsądku i dobrych chęci, stanowiących bądź co bądź podstawową a drogocenną wartość ludu francuskiego. Trzeba do nich dodać jedną jeszcze przyczynę, prostą bardzo i prawie mechaniczną, ale obfitą w straszne następstwa: tysiącem drobnych wybiegów gwałci się tajemnicę głosowania, a w drobnych środowiskach zwłaszcza tajemnica ta staje się czysto pozorną. Przedajność i obawa panują tam przy wyborach. Ale możnaby na to odpowiedzieć, że łatwoby było zaradzić tego rodzaju nadużyciom. To prawda — tylko, że panująca koterya nie życzy sobie niczego w nich zmienić. Z czasem jednak zmiana ta musi nastąpić, a wtedy dopiero lud wypowie się z całą niezawisłością. Przytem zaś zacznie on wtedy kształcić się politycznie i nie powierzy już interesów swoich, oraz nie obdarzy ufnością ludzi bez charakteru i uczciwości.

Nieuczciwość członków „Bloku“ jest bowiem rzeczą dowiedzioną. Nie spełnili oni żadnego z programów, jakie przedstawili, nie dotrzymali żadnych zobowiązań, jakie zaciągnęli w czasie swego wyboru. Dowodem tego są świeżo ogłoszone drukiem te właśnie programy, a wydawnictwo to jest prawie urzędowe i wiarygodne. I tak na 580 posłów, 103 tylko oświadczyło się w swem wyznaniu wiary politycznej za rozdziałem Kościoła od państwa — zatem kraj go sobie nie życzy. Tymczasem p. Combes i większość parlamentu groźbę owego rozdziału mają na ustach przy każdej sposobności, strasząc nią duchowieństwo i kraj cały. Ale oto jeszcze inny przykład: obie Izby uchwalić mają całkowite zniesienie nauczania przez zakony, co jest tylko fikcyjnym sposobem wprowadzenia monopolu nauczania. A tymczasem tylko 25 posłów podało się za zwolenników tego monopolu państwowego, 10 przychyliło się do tego projektu w dosyć nieokreślony sposób — ogromna zaś większość zażądała otwarcie utrzymania wolności nauczania¹⁾. To chyba dość jasno dowodzi,

¹⁾ Trzy miesiące temu toczyły się w parlamencie rozprawy o nauczaniu średnim i wówczas minister oświaty p. Chaumié,

że deputowani członkowie „Bloku“ przekraczają zakres swoich mandatów i działają wręcz przeciw nim, to znaczy, że oszukują bezczelnie swoich wyborców. Pociągnięci przez koterye kolektywistów i wolnomularzy, które trzymają ich w zależności postrachem, chciwością lub ambicyą, zapędzają się oni coraz dalej, przesadzają znaczenie własnych wniosków i doprowadzają do najwyższego stopnia uległość dla samowoli i niesprawiedliwości.

Jest to jakby rodzaj szalu, kroczenie wciąż naprzód w ustawicznej rozsypce. Naród odpycha ich, a jeżeli ulega im pozornie, to tylko dlatego, że godzina jego jeszcze nie nadeszła. Albowiem Opatrzność, mimo boskości swojej, zdaje się nam często powolną. Nie można się też dziwić, że ewolucya ludowa, odbywająca się wśród mas ciężkich i nieruchliwych, każe nam długo czekać na wymiar sprawiedliwości Bożej.

Dnia 18 marca w mowie, wypowiedzianej do kardynałów z powodu uroczystości św. Józefa, papież Pius X wyrzekł te słowa: „Ubolewamy nad postępowaniem rządu francuskiego względem stowarzyszeń zakonnych i potępiamy głośno ostre środki przeciw nim użyte, które to środki przeciwne są idei wolności dobrze zrozumianej i zasadniczym ustawom krajowym — przeciwne prawom należnym Kościołowi katolickiemu i samymże podstawom cywilizacyi“.

Dnia 20 marca, na rozporządzenie naszego ministra spraw zagranicznych, p. Nisard, ambasador francuski przy Watykanie, wystosował do kardynała-sekretarza stanu protest następującej treści:

„Przemówienie Ojca św. zawiera ocenę i krytykę publiczną polityki francuskiej. Krytyka ta jest tembardziej niesłuszną, że żaden z faktów wymienionych przez Papieża nie sprzeciwia się warunkom konkordatu, określającego stosunek Stolicy Apostolskiej do Francyi“.

oraz p. Combes, oświadczyli publicznie, że są stronnikami tejże samej wolności nauczania, którą chcą obecnie zaprzepaścić.

Nie posiadam dostatecznej kompetencji dla rozpatrzenia wszystkich aktów rządowych w oświeceniu konkordatu. Ale jestże to niezbędnem, aby przyznać słuszość „wysokiej naganie“, zawartej w słowach Ojca św.? Sądzę, że nie. Przypuszczę tylko kilka faktów, charakteryzujących od początku aż do dni naszych walkę, wydaną przez rząd stowarzyszeniom zakonnym. Najpierw sprzecznie z zobowiązaniem, zaciągniętem formalnie i urzędowo przez p. Waldeck-Rousseau, ustawa z r. 1901 została rozciągnięta do kongregacji, poprzednio uprawnionych. Następnie sprawa stowarzyszeń zakonnych rozpatrywana jest przez jedną tylko Izbę, a przytem stowarzyszenia nie są osądzone każde z osobna, tylko ugrupowane całkiem dowolnie w pewne kategorie złożone, na które wyrok potępienia wydanym jest już z góry i bez dyskusyi. Wreszcie powstają coraz to nowe ustawy, z których każda pogarsza jeszcze poprzednią, ścieśniając coraz bardziej resztki swobód kongregacyi. Zakonnicy, nawet sekularyzowani, pozbawieni zostają zasadniczych praw, jakie od 1889 r. wszystkie rządy kierujące kolejno Francją uważały zawsze za podstawę konstytucyi i wolności.

Zapewne, że uchwalanie wyjątkowych dekretów i ustaw przyoblekło w pozory legalności nadużycia rządowe. To też rząd schronił się chętnie po za to widmo prawa w chwili, gdy objawiło się niezadowolenie ludu francuskiego. Podobnież i dziś, usłyszawszy naganę Papieża, rząd zasłania się znowu tekstem — konkordatu. Ale wiadomo, że wszystkie teksty i formuły prawne są kruchemi i konweneyonalnemi zaporami, które o tyle tylko nie są fikcją, o ile opierają się na poszanowaniu praw „nie pisanych“, praw przyrodniczych. Otóż prześladowanie obecne dawno już obaliło te zapory, a temsamem rozwiało złudzenie o ich słuszości. A stało się to z chwilą, gdy najdawniejsze tradycye francuskiego prawa sądowego i parlamentarnego zostały zgwałcone, gdy niezliczeni zakonnicy, będący przecież także obywatelami kraju, zostali pozbawieni prawa stowarzyszania się, przemawiania, modlenia się, a nawet zarabiania na chleb — słowem, gdy poczęto ich traktować jak „paryasów“. Czyż zatem Głowa Kościoła powszechnego, naturalny ich opiekun, niema dziś prawa upomnieć się dla nich, dla tych naszych obywateli,

o udział w swobodach parlamentarnych, o zachowanie względem nich prawideł cywilizacji?

Sądzę, że tak. I dlatego zdrowy rozsądek nakazuje mi trzymać stronę Rzymu przeciw rządowi francuskiemu, ściągając na siebie potępienie Jakobinów (internacyonalów zresztą). Potępienie to nie dotyka mnie jednak wcale, mimo, że byłoby mi bardzo boleśnie pisać coś przeciw duchowi Francji. Strzeż Boże od tego! Ale też, Bogu dzięki, Francja nie stoi wcale po i h stronie.

Francja posiada dziś niezmiernie wybitnych muzyków, a ruch muzyczny u nas wydaje mi się nieporównanym. Nie mówiąc wcale o pp. Massenet, Reyer i Saint Saëns, którzy już dziś nie wprowadzają żadnych nowości, wymienię, jako dojrzałego już kompozytora, p. d'Indy, którego *Cudzoziemiec* (*L' Etranger*) jest utworem równie nowym, jak potężnym i pięknym, a z pomiędzy młodszych pp. Magnard, Dukas i Debussy. Ten ostatni jest twórcą *Pelleasa i Melisandy*.

Dramat ten liryczny był już przedmiotem wielu dyskusyj — ja zaś pragnąłbym dać go wam poznać jako dzieło zadziwiającej piękności. Zbudowanym jest on na tle dramatu Maurycego Maeterlincka. Znacie zapewne, łaskawi czytelnicy, tego pisarza belgijskiego, który z ducha i kultury jest francuskim. Mimo, że przesadni jego wielbicieli chcieli w nim widzieć drugiego Szekspira, wielu ludzi dobrego smaku nie może mu darować nadużywania „niepochwytności“ w efektach tragicznych, jakoteż nawału drobnych symbolów szczegółowych, powtarzania wciąż jednych i tych samych wyrazów i dziecinnej gwary, jaką często posługują się osoby jego utworów. Mimo te braki, zaprzeczyć się nie da, że jego *Wnętrze* (*L' intérieur*) jest według mnie drobnem arcydziełem, a dramat *Pelleas i Melisanda* zawiera również wiele piękności¹⁾. Oto zresztą w kilku słowach treść sztuki.

Golaud, syn starego króla Arkela, jest wdowcem i doszedł już do wieku dojrzałego. Zabłąkawszy się w lesie na

¹⁾ Cenię także *Psyczoły* Maeterlincka, dla zawartego w nich pocucia piękna, jakoteż dla wyobrażeń i stylu, utrzymanych w czysto francuskim duchu.

polowaniu, spotyka tam nad brzegiem źródła młodą dziewczynę o długich włosach. Dlaczego tu zabłądziła? skąd się wzięła? jaką ma przeszłość? — nie mówi i powiedzieć nie chce. Jest przytem nadzwyczaj spłoszona, czarująca i tajemnicza; zgadza się jednak iść z Golaud'em, który się w niej namiętnie zakochał. Golaud więc pisze do przyrodniego swego brata, młodego Pelleasa, który pozostał w zamku starego Arkela, położonym wśród lasów, nad brzegiem morza: „Bracie! Poślubiłem nieznajomą, piękną jest. Przybywamy oboje na okręcie. Przygotuj na przybycie nasze ojca naszego, Arkela“.

Stary król, siwy jak gołąb, pochylony już pod ciężarem lat, przyjmuje wiadomość z pobłażliwą i poważną melancholią. Wkrótce potem widzimy Pelleasa i Melisandę na zamkowym terasie nad morzem. Wieczór letni; okręt, na którym przybyła Melisanda, podnosi kotwicę i niknie wśród mgły. Słychać dochodzące zdala wołania pożegnalne odjeżdżających. Ale jakiś urok tajemniczy i niewymowna melancholia owiewają tę scenę, a oboje młodzi czują się wzruszeni. Później spotykamy ich znowu w starodawnym parku otaczającym zamek, nad brzegiem niezmiernie głębokiego źródła. Melisanda jest wesołą, ale ta wesołość jej jest równie dziwna, subtelna i tajemnicza, jak cała jej istota! Podrzuca na dłoń swój pierścień ślubny, aż ten wpada do źródła. Wypadek ten zasmuca głęboko Melisandę, która wie, że niema sposobu odzyskania pierścienia. W tej chwili bije godzina 12 w południe.

Następnie widzimy Golauda, spoczywającego w łożu, a Melisanda czuwa przy nim. Dowiadujemy się, że wierzchowiec, na którym Golaud jechał, uniósł go i rzucił na ziemię właśnie w chwili, gdy zegar wydzwaniał południową godzinę. Wypadek to jednak drobny, a Golaud niepokoi się bardziej smutkiem Melisandy. Widząc jej zmięszanie, chce ją przytulić i pocieszyć, wtem dostrzega brak pierścienia.

— Gdzie jest pierścień?

A Melisanda, przerażona, kłamie na los szczęścia, twierdząc, że pierścień „znajduje się w grocie nad brzegiem morza“.

— Idź po niego natychmiast, ja tak chcę.

— Ale noc już zapada, któż pójdzie ze mną?

— Pelleas, ja tak chcę, spiesz się.

W głosie Golauda drży gniew, a Melisanda, wychodząc, na progu jeszcze wyszeptuje skargę:

— Ja nie jestem szczęśliwą.

Morze huczy i dobiega aż do krawędzi groty, gdzie Pelleas i Melisanda schodzą, błędząc po omacku. Nagle księżyc wynurza się z po za chmury i oświeca Melisandę, która cofa się przerażona, widząc, że pienne smugi morskich fal sięgały już jej stóp.

Następnie w nocy Melisanda ukazuje się w oknie i śpiewa bardzo starą pieśń, czesząc swoje długie włosy. Pelleas, błędzący po parku, zbliża się:

— Melisando! odjeżdżam bardzo daleko do umierającego przyjaciela, przyszedłem cię pożegnać. Wychyl się do mnie z okna.

I Melisanda wychyla się, a długie jej włosy opadają na Pelleasa, który przyciska je do piersi i do twarzy. Wtem nadchodzi Golaud i zastaje ich tak; panuje jednak nad sobą i ze stłumionem i poważnem oburzeniem, mówi tylko:

— Jesteście dziećmi!

Golaud prowadzi Pelleasa do podziemi starego zamku, który woda podmywa głucho; zmusza go do przechylenia się nad brzegiem przepaści, z której wydobywa się woń śmiertelna — to obraz przeznaczenia, jaki zbrodnia i jej groza gotują staremu ognisku domowemu. U kresu tej posępnej nocy świta w końcu poranek i jasne słońce dnia, które Pelleas wita okrzykiem radości i tryumfu. Ale przeznaczenie musi się spełnić. Jednej nocy Golaud przychodzi pod okno Melisandy z dzieckiem swem, synem z pierwszego małżeństwa, a dręczony zazdrością, usiłuje wydobyć coś z dziecka, pytając go o Pelleasa i o „mateczkę“ Melisandę — nie poprzestając zaś na jego odpowiedziach, podnosi dziecko do wysokości okna i każe mu opowiadać, co tam widzi. To właśnie Pelleas wechodził do pokoju i nagle dziecko przerażone woła: „Ojcie, boję się — ojczulku, spuść mnie“.

Stary król Arkel, smutny, przygnieciony wiekiem oraz świadomością dokonywającego się nad jego rodem przeznaczenia, przywiązuje się tkliwie do młodej i świeżej Melisandy. Żał mu jej, że tak młoda, żyć musi w tym starym zamku,

zgubionym wśród lasów. Idąc, opiera się na jej ramieniu, a mimo, że tak bliski grobu, odczuwa jeszcze, całując ją w czoło, coś z dawno zapomnianych słodyczy życia. Wtem Golaud nadchodzi jak w oblakaniu i rozkazuje Melisandzie, by mu przyniosła miecz. Ona, uległa, podaje mu go, a wówczas on, patrząc w jej oczy niewinne i czyste, wpada w rozpacz, która przechodzi wkońcu w szal; szarpie ją za długie włosy i rzuca na ziemię — ale na widok Arkela wraca do przytomności i odchodzi z mieczem w rękę.

Pelleas jednak ma odjechać. Naznacza Melisandzie ostatnie spotkanie w nocy w starym parku, przy źródle, gdzie niegdyś upuściła swój pierścień. Czeką na nią. „To ostatni wieczór — muszę jej powiedzieć wszystko to, czego jej dotąd nie powiedziałem“. I oto Melisanda przybiega jak ptak spłoszony.

— Melisando! muszę odjechać na zawsze.

— Dlaczego?

— Czyż nie wiesz sama? Dlatego, że cię kocham.

— Ja kocham cię także.

W tej chwili słyszą odległy i głuchy łoskot, na który ścisną się serce Melisandy. Ciężkie wrzeczadze zamkowe zatrząskują się, trzeszcząc w zawiasach. Zmuszeni temsamem do przedłużenia spotkania przytulają się do siebie, ale gdy światło księżyca oświeca dwa ich cienie rzucone na murawę, ukazuje się naraz cień trzeci, wyższy i większy — to Golaud ze swym mieczem. Pelleas jest bez broni.

— Nie odwracaj głowy — mówi do Melisandy — uciekaj. Ja zostanę. Uchodź natychmiast!

Ale ona obejmuje go rozpaczliwie w ramiona.

— On idzie, on idzie, uściskaj mnie.

Golaud rzuca się ku nim, zadaje cios Pelleasowi, który upada, Melisanda zaś ucieka w las, wydając okrzyki grozy.

Pelleas zginął. W następnym obrazie Melisanda, drobniutka i nikła, budzi się z przerażenia na wielkiem łożu, tem samem, na którym poprzednio widzieliśmy Golauda. Wyszła dopiero co z długiego snu gorączkowego. Arkel i Golaud są przy niej, a starzec usiłuje pocieszyć Golauda, upadającego pod brzemieniem wyrzutów sumienia. „Zabiłem go bez powodu, byli sobie bratem i siostrą, całowali się jak

dzieci“. Gdy Melisanda jednak odzyskuje nieco przytomność, Golaud klęka przy łożu i błaga ją:

— Przebacz mi, Melisando.

— Cóż mam przebaczyć?

— Wiesz sama, wyrządziłem ci tyle złego, czy przebaczysz mi, Melisando?

— Tak.

Ale straszna wątpliwość budzi się znowu w sercu Golauda.

— Melisando! przysięgnij, że mi powiesz prawdę.

— Tak.

— Czy kochałaś Pelleasa?

— Ależ tak, kochałam go.

— Nie chcesz mnie zrozumieć. Pytam cię, czy kochałaś go miłością zakazaną? Czy zawiniliście, Melisando?

— Nie, nie, nie zawiniliśmy.

— Melisando, przebaczam ci wszystko, ale w obliczu śmierci powiedz mi na miłość Boga prawdę.

— Prawdę, prawdę... — szeptała Melisanda i umiera, nie dając odpowiedzi.

Zdajecie sobie zapewne sprawę, łaskawi czytelnicy, jak dalece baśń ta przesiąkniętą jest nawskróś uczuciem i poezją. Gdyby przyszło oceniać ją ze stanowiska moralności, możnaby jej było zarzucić pewien fatalizm senny, dość zapewne niezdrowy. A nawet ze stanowiska czystej sztuki, dwie te istoty zdają się być przecież zbyt nieświadome, gesta ich są instynktowe, słowa mimowolne — są to raczej dwa widma, dwa sny... A jednak słodka i przejmująca melancholia, którą baśń ta jest owiana, zrównoważoną jest pierwiastkami czysto ludzkimi, zaakcentowanymi ostro i silnie. Niepokój i zazdrość, nurtujące aż do szaleństwa duszę Golauda, mimo że hamowane z początku rozsądkiem i uczuciem chrześcijańskim, stanowią tu gorzki i potężny żywioł dramatyczny, bez którego utwór Maeterlineka stałby się mdłym i bladym, mimo całej swej wytworności.

Ale co prawda, nie chodzi mi tu o wartość, jaką dramat posiada sam w sobie, ile raczej o stosunek jego do muzyki. Otóż należy przyznać, że baśń ta nadaje się wybornie do opracowania muzycznego; właśnie ma to wszystko,

co w osobach działających i w sytuacjach jest tak niepewnem, nieskończonem, nieokreślonem. Zarysy osób i sytuacji, zbyt nieuchwytne ze stanowiska literackiego, są natomiast niezmiernie suggestywne. I oto ta ich właściwość czyni je niezmiernie podatnemi dla muzyki, która przenika je, opanowuje, ilustruje, uwydatniając wymownie cały ich wdźwięk i rzewną tkliwość.

Ale dotąd zwracałem tu uwagę na jedno tylko, że mianowicie muzyk umiał dobrać sobie baśń, cudownie nadającą się do wyrażenia jej muzyką. Nie wspomniałem zaś jeszcze o samej jego muzyce. Otóż jest ona całkowicie i zadziwiająco nową. Przedewszystkiem niema w niej nic, ale to nie wagnerowskiego: ani rozwoju w temacie, ani motywów przewodnich, ani wagnerowskiej orkiestry; w rzeczywistości instrumenta są tu ugrupowane gatunkami w ten sposób, że zbiorowy dźwięk każdej grupy daje się słyszeć osobno i wyraźnie. „Nie jest to już owa olbrzymia fala, w której wszystkie brzmienia instrumentalne mieszają się, zlewają, łączą, to znów dzielą na kształt giętkich i swobodnych fal, tworzących jedną wielką rzekę“¹⁾.

Do czegoż zatem zbliża się owa muzyka p. Debussy? Powiedziano, że jedynie do muzyki Mussorgskiego, a tylko z dodatkiem rysunku pewniejszego i doskonalszego. Postaram się określić wam ten rodzaj. Jest on lekki i dyskretny, a jednocześnie niezmiernie urozmaicony i obfitujący w odcienia, przejmujący zadziwiającem zastosowaniem rytmu i harmonii do uczuć wyrażonych przez słowa i sytuacje. Jedne i drugie uwydatniają się tu i odcinają zupełnie wyraźnie. „Jest to rodzaj deklamacyi szybkiej, giętkiej, płynnej, śpiewnej, niezmiernie zbliżonej do naturalnego brzmienia mowy ludzkiej. Jest to jakby opowiadanie, cieniowane, urozmaicone, wyraziste a zawsze niezmiernie muzykalne, zmieszane zawsze z melodyjnymi pierwiastkami, które w ustępach lirycznych nabierają same przez się konturów wyraźniejszych, plastyczniejszych linii i wyższego polotu. Przytem poczucie tonów, wyjątkowo subtelne i pewne, sprawia, że tam nawet, gdzie

¹⁾ Feljeton muzyczny *Temps* z dnia 20 maja r. 1902 przez Piotra Lalo.

zmienna tonacya nie daje się łatwo określić, pozostaje jednak wrażenie równowagi i jasności“ ¹⁾).

Ostatnie te słowa zdają się przyznawać dziełu pana Debussy zalety, w zasadzie sprzeczne zupełnie z wymienionemi przezemnie na początku. W istocie tyle niezależności, giętkości i wyobraźni powinnyby, zda się, wykluczać jedność, logikę i równowagę. A jednak wcale tak nie jest i utwór ten, mimo że tak nowy w pomyśle, w formie, w melodyjnej linii, w rytmice harmonii i w orkiestrowaniu, jest przecie jednocześnie skończonym i prawie klassycznym — przez co rozumiem (co wogóle rozumieć należy), że wyższy i wyborny smak, w jakim utwór ten jest pojęty, zapewnia mu i pod względem formy jasno określony i zdecydowany charakter.

Jeżeli pokładacie wiarę w moim sądzie, który sformułowałem po ogromnem wsłuchaniu się w utwór, wyrobiwszy sobie o nim silne i głębsze osobiste przekonanie, zgodne zresztą ze zdaniem fachowych krytyków, zdziwicie się zapewne, że arcydzieło tak oczywiste, tak jasno określone, wywołało jednak tyle sprzecznych opinij. Ale takim był przecie los *Don Juana* Mozarta, *Fidelia* Beethovena, *Hippolita i Aricyi* Rameau, *Lohengrina* Wagnera i wszystkich wogóle dzieł o zdecydowanie nowym charakterze. Czyniono im te same zarzuty, w tych samych prawie słowach: niejasność, barbarzyństwo, brak melodyi, nuda i t. d. W obecnym wypadku teoretycy muzyczni zarzucają przedewszystkiem budowie *Pelleasa i Melisandy* braki w dziedzinie harmonii, ponieważ nie jest ona zgodną z ogólnie przyjętymi prawidłami. I w istocie akkordy są tu często niezmiernie śmiałe, modulacye zuchwale. Ale jeżeli wytwórny ich styl chroni je od zbytnej twardości i czyni z nich prawdziwą czarodziejską rozkosz dla słuchu, widocznie budowa utworu odpowiada jakimś prawom „nie pisanym“, ale wyższym ponad przyjęte reguły. Co zaś jeszcze zraża wielu nawet światłych amatorów, to że *Pelleas* nie przypomina żadnego ze znanych już utworów i nie da się wtłoczyć w żadne ramy. Amatorowie ci nie zdają sobie jasno sprawy z tej przyczyny niezadowo-

¹⁾ Piotr Lalo, ibidem.

lenia, ale jest to u nich bezwiedne. Jest to zresztą naturalnem i dziwić się temu nie można. „Kultura specjalna usposabia ludzi do uważania formuł harmonii i melodyi, znanych im zresztą tylko z imienia, za definicyę samejże melodyi i harmonii“, gdyż „ludzie najczęściej mają dążność do klasyfikowania rzeczy, które chcą oceniać“ ¹⁾.

Człowiek, nie posiadający specjalnej kultury muzycznej, ale obdarzony delikatnem poczuciem piękna, pojmuje lepiej, niż przeciętny erudyta, przedziwny wdzięk takiego utworu, jak *Pelleas i Melisanda*. Opowiadano mi, że skromny subjekt sklepowy napisał do p. Debussy te słowa: „Panie, nie jestem znawcą muzyki, ale pańska muzyka oczarowała mnie“, a kartka ta miała podobno serdecznie wzruszyć kompozytora. Ale kompetentne znawstwo dodaje jeszcze dziwnie wiele więcej uroku przyjemności słuchania; wyrobiony smak dodaje pewności i pozwala tembardziej zmysłom oddać się zupełnie uczuciu wzruszenia, wywołanego przez muzykę. Jest to prawdziwie wyższa radość dla rozwiniętego umysłu, gdy rozpoznać może ten przymiot rzadki i tak niezwykły: styl mianowicie, czyli zgodność porządku i ruchu.

Muzyka *Pelleasa i Melisandy* jest jednocześnie rzetelna i logicznie zbudowana. Każda scena jest jednolita w ogólnym swoim charakterze, każda posiada tę jasność i dyskretną wytworność, będącą zaletami czysto francuskimi, co nie przeszkadza wcale objawianiu się jednoczesnemu ostrzejszych i przenikających głosów natury i człowieczeństwa. Jako przykład przytoczę scenę na terasie, owianą pełną niepokoju melancholią, dalej potężne akcenty, które gniew i podejrzenie wydzierają z duszy Golauda, a wreszcie końcową scenę śmierci, zrobioną na kilku ledwo nutach cicho, bez hałasu, ale tak trafnie i przejmująco, że słuchać jej nie można bez głębokiego wzruszenia.

Dziś przesyłam wam sprawozdanie tylko z tego niepospolitego utworu, którego powodzenie, z początku wątpliwe, wzrasta i utrwala się z dniem każdym, co dowodzi, że odpowiada on głębszym potrzebom smaku francuskiego, gdyż, jak to już miałem sposobność zaznaczyć, zgodny jest on

¹⁾ Piotr Lalo, ibidem.

z dawnymi tradycjami francuskiego ducha. Niebawem zdam wam sprawę z *Cudzoziemca* p. d'Indy, oraz z jego nowej symfonii, obu utworów również bardzo pięknych, a zupełnie różnych od dzieła p. Debussy. A następnie wspomnę pokrótce o p. Magnard i p. Dukas, których rodzaj talentu niema nie wspólnego z twórczością dwóch wyżej wymienionych kompozytorów. W ten sposób spróbuję wam skreślić w głównych zarysach współczesny odrodzony nasz ruch muzyczny, głęboki i czynny w swoich objawach. Szkic zaś mój powyższy powinien wam już może dowieść, gdyby zachodziła tego potrzeba, że pomimo smutnego przesilenia, jakie przechodzi obecnie Francya dzięki swojemu rządowi, spełnia ona i nadal w historyi piękne swoje i twórcze zadanie.

Robert de Saint Maurice.

Sprawy krajowe.

XVI.

Nasze górnictwo.

II. Sól, wosk ziemny i olej skalny.

Górnictwo i warzelnictwo solne, mające w Galicyi ośmiowiekową przynajmniej historję, w ostatniem dziesięcioleciu żadnym zasadniczym zmianom nie uległo. Tak samo mniej więcej jak od 50 lat, kopie się sól kamienną w Bochni i Wieliczce, warzy się warzonkę w 8 salinach wschodniej Galicyi: t. j. w Lacku, Drohobyczu, Stebniku, Bolechowie, Kałuszu, Delatynie, Łączynie i Kossowie i jedynym ważnym a smutnym wypadkiem był pożar saliny w Dolinie 26 listopada 1898 r., po którym jej odbudowa — z powodów wiadomych jedynie centralnej i galicyjskiej administracyi solnej — dopiero w r. 1902 rozpoczęta została. Produkcya soli w ogóle t. j. tak pokarmowej (kamiennej i warzonki) jak i soli przemysłowej (fabrycznej i bydlęcej) wynosiła w Galicyi:

w r. 1893	1,509.025	cetn.	metr.	wartości	17,204.404	kor.
" 1895	1,294.677	"	"	"	16,897.850	"
" 1897	1,438.951	"	"	"	17,759.278	"
" 1899	1,388.903	"	"	"	17,813.679	"
" 1900	1,458.307	"	"	"	18,296.044	"
" 1901	1,407.952	"	"	"	17,416.697	"
" 1902	1,259.975	"	"	"	16,459.661	"

A więc, pomimo, iż przemysł fabryczny potrzebujący soli coraz bardziej się rozwija, pomimo, iż sól bydłęca coraz więcej wchodzi w użycie, pomimo, iż ludność Galicyi spożywająca sól codziennie, wzrosła w ciągu ostatnich lat dziesięciu przynajmniej o 650.000 dusz, doszedłszy w r. 1902 mniej więcej do 7,320.000, to przecież w r. 1902 wyprodukowano o 250.000 cetn. soli w ogóle mniej niż w r. 1893, a wartość pieniężna spadła w 10 latach prawie o 750.000 koron. Dopelnienie tego bardzo niepokojącego obrazu statystycznego uzyskamy porównując jeszcze cyfry produkcji soli według jej dwóch głównych użytków t. j. na cele pokarmowe z jednej i cele przemysłowe z drugiej strony.

I tak wyprodukowano w Galicyi:

w r.	1893	soli pok.	910.454	cetn.,	soli przem.	598.571	cetn.
"	1895	"	"	894.948	"	"	399.729
"	1897	"	"	922.846	"	"	516.105
"	1899	"	"	908.246	"	"	480.657
"	1900	"	"	909.762	"	"	548.545
"	1901	"	"	891.125	"	"	516.827
"	1902	"	"	789.999	"	"	469.976

W roku 1902 wyprodukowano zatem soli pokarmowej mniej o 120.000 cetnarów, a soli przemysłowej mniej o 128.000 cetn. niż w roku 1893.

Ubytek produkcji soli przemysłowej, pod którą rozumie się tak sól bydłęcą jak i fabryczną, da się wytłómaczyć po części chwiejnem zapotrzebowaniem soli kamiennej (t. j. z Wieliczki) przez fabryki sody w Szczakowej, Hruschau i Petrowitz. Fabryka sody w Szczakowej jest też głównym odbiorcą gorszych gatunków soli wielickiej, sprzedawanych jej po cenach własnego kosztu t. j. zaledwie po 80 hal. do 1 kor. za cetn. metr. Ze zwiększoną produkcją sody zwiększa się więc i produkcja soli przemysłowej w Galicyi i na odwrót, sól zaś bydłęca, której odbyt rośnie zresztą w kraju, chociaż nader powoli, nie odgrywa tutaj wielkiej roli, gdyż n. p. w r. 1902 wyprodukowano jej w całej Galicyi zaledwie 45.210 cetn.

Obecnie, gdy dzięki ciągle ponawianym naleganiom kół rolniczych całej Austrii znizono cenę soli bydłowej od 1 Lutego

1903 r. na 6 kor. za cetnar metr., użytek jej niewątpliwie będzie coraz bardziej wzrastać, zwłaszcza w zachodniej Galicyi, Morawii i Szląsku. Ubytek produkcji soli przemysłowej w ostatnich 10 latach da się zatem jeszcze od biedy rozumnie wytłómaczyć, ale trudnijszem o wiele do wyjaśnienia jest zjawisko zmniejszenia się produkcji soli pokarmowej w ostatnim dziesięcioleciu o przeszło 120.000 cetn. Pożar, a skutkiem tegoż nieczynność saliny w Dolinie nie wchodzi tu w grę, gdyż wszystkie warzelnie solne w Galicyi wschodniej są tak urządzone, iż w razie potrzeby mogą swoją zwykłą roczną produkcję łatwo bardzo znacznie powiększyć, więc cyfra 120.000 cetn. wskazuje chyba, iż to konsumpcya się o tyle zmniejszyła.

Słyszeliśmy wprawdzie w ostatnich latach, iż saliny — widocznie ze względów oszczędnościowych — produkują teraz tylko tyle ile zapotrzebowanie roczne istotnie wynosi, a nie robi się nic na zapas, ale z drugiej strony Wydział Krajowy, który od paru lat z wielkim pożytkiem dla kraju objął sprzedaż soli (w ilości 533.454 cetn. w r. 1902) skarży się w r. 1903 w sprawozdaniu do Sejmu bardzo dobitnie, iż interes solny doznał w roku 1902 wielkiego uszczerbku, gdyż saliny galicyjskie nie dostarczały tyle soli, ileby Wydział Krajowy mógł być objąć, z czego wynika, iż zapotrzebowanie w kraju istniało, tylko pokrycia tego zapotrzebowania nie było.

Sejmowa komisya solna wyraziła w swem sprawozdaniu z dnia 1 Października 1903 roku „przekonanie, iż w przyszłości produkcya soli warzonki w salinach galicyjskich będzie racjonalnie uregulowaną w ten sposób, ażeby ludność naszego kraju nie była narażoną na takie niedogodności z powodu braku dostatecznej ilości soli, jak to zdarzyło się w roku 1902“ i Sejm przyjmując to sprawozdanie komisyjne do wiadomości, uchwalił między innemi dwie rezolucye, wzywające c. k. rząd, „aby podniósł produkcję soli warzonki w warzelniach na zachód najdalej położonych“ oraz „iżby przyspieszył o ile możliwości otwarcie ruchu w odbudowanej żupie Dolinie“.

Nie wiemy, jaki skutek odniosły czy odniosą te rezolucye, ale wskazać możemy natomiast cyfrowo na coraz bardziej zmniejszający się udział galicyjskich salin w pro-

dukeyi salinarnej całej Austrii. I tak w roku 1868 — gdy istniał znaczny jeszcze export soli galicyjskiej do Rosyi — produkowała Galicya 48.31% całej w Austrii wydobytej soli, w r. 1890 już tylko 42.24%, a w roku 1902 nawet tylko 40.51%. Wartość pieniężna soli galicyjskiej reprezentowała w r. 1868: 54.91% wartości monopolowej całej Austrii, w r. 1890 udział ten procentowy wynosił już tylko 36.45%, a w roku 1902 nawet tylko 35.27%. Te cyfry wykazują dobitnie, że saliny galicyjskie, w porównaniu z alpejskimi, tracą jak to przedstawiliśmy obszernie ¹⁾ już w r. 1894 — coraz bardziej dawniejsze ogólnie państwowe znaczenie, redukując swój zbyt, a więc i swoją produkcję do potrzeb szerszych, niemal tylko wyłącznie krajowych.

Dotąd zaopatruje Galicya swą solą także cały Szląsk i wschodnią połowę Morawii, ale ten zbyt zakrajowy coraz bardziej wysuwa nam się widocznie z rąk na korzyść salin alpejskich, skoro w ciągu ostatnich lat dziesięciu udział Galicyi w ilości całej wyprodukowanej soli w Austrii spadł z 42.24% na 40.51%. A może saliny alpejskie prowadzą inną handlową politykę aniżeli galicyjskie, może one produkują przecież nie tylko na bezpośredni zbyt ale także na zapas, czego salinom galicyjskim nie wolno? Że oszczędnościowa polityka galicyjskiej administracji salinarnej nie we wszystkich kierunkach konsekwentnie bywa przeprowadzana, dowodzą najlepiej cyfry ilości robotników salinarnych z ostatniego dziesięciolecia. W roku 1893 przy produkcji solnej Galicyi 1,509.025 cetn. metr. było robotników we wszystkich kopalniach i warzelniach soli 1684, a w roku 1902 przy produkcji tylko 1,259.975 cetn. było ich 2266, czyli, ze zmniejszeniem produkcji o 250.000 cetn. wzrosła ilość robotników o 582! Żadna inna gałąź przemysłu górniczego w Austrii, a nawet i poza Austryą nie wykaże tak oryginalnego i nienormalnego cyfrowego stosunku produkcji do ilości robotników i nadaremnie szukalibyśmy rozsądnego klucza do wytłumaczenia tej bardzo jaskrawej dysproporcji. A czy może z tą zwiększoną ilością robotników poprawiły się gruntownie stosunki kopalniane, stosunki bezpieczeństwa ludzi i widoki na przyszłość tychże kopalni? Nie możemy

¹⁾ *Plody kopalne Galicyi*. Część II. strona 101.

wchodzić tutaj w omawianie tego bardzo delikatnego pytania, które w ostatnim Sejmie było obszernie traktowane za inicjatywą posła dra Ferdynanda Maissa. Poseł ten — jak mówi sprawozdanie komisji solnej z dnia 21 Października 1903 r. — „przytoczył cały szereg szczegółów istotnie zdumiewających o nieracyonalnem, przestarzałem, w najwyższym stopniu zaniedbanem urządzeniu c. k. salin w naszym kraju“ i Sejm — nie usłyszawszy ani słowa od reprezentanta rządu, który podczas dyskusji nad tym przedmiotem milczał uparcie, — wezwał też dnia 27 Października 1903 r. w rezolucji c. k. rząd „ażeby jak najspieszniej przystąpił do gruntownej rekonstrukcji salin galicyjskich, by w nich zużyte i niedostateczne maszyny zastąpił nowemi i inne zaprowadził urządzenia nowoczesne — w interesie korzystniejszej eksploatacji tudzież dla ochrony zdrowia i życia robotników“.

Czyż mamy w obec tego dalej jeszcze zajmować się tym przedmiotem, gdy reprezentacja kraju tak surowy a dobitny sąd wydała o obecnych stosunkach w salinach galicyjskich? Chyba, że byłoby to zbyt czem i możemy po krótko wspomnieć tylko jeszcze o naszych solach potasowych, znanych oddawna w Kałuszu i od kilkunastu lat w tamtejszej kopalni soli także ubocznie wydobywanych.

Produkcja soli potasowych tj. kainitu wyproszoną czy też wymuszoną została u rządu dopiero w r. 1887 naleganiem kół rolniczych całej Austrii, znających dobrze pożytek soli nawozowych a mogących tylko z bardzo znacznymi kosztami sprowadzać kainit z poza Austrii t. j. z głośnych na cały świat kopalń Stassfurtu. Produkcja ta Kałusza, dotąd jeszcze obracająca się w bardzo małych cyfrach wynosiła:

w r. 1893:	40.000	cetn.	metr.	wartości	58.000	kor.
„ 1895:	29.078	„	„	„	29.276	„
„ 1897:	73.850	„	„	„	49.392	„
„ 1899:	96.226	„	„	„	71.114	„
„ 1900:	135.673	„	„	„	94.192	„
„ 1901:	178.730	„	„	„	104.426	„
„ 1902:	136.541	„	„	„	93.156	„

Nie jest to więc jeszcze produkcja na większą skalę odpowiadająca potrzebom całej Austrii — po za Kałuszem bowiem

żadna inna kopalnia w Austrii nie posiada godnych do odbudowy soli potasowych — ale przecież widocznym jest postęp w produkecyi, wzrosłej w ciągu lat dziesięciu o 240%. Wartość pieniężna nie szła tutaj wszakże równym krokiem, podniósłszy się tylko o 55%, gdyż w r. 1896 ulegając życzeniom kół rolniczych zniżono cenę kainitu z 2 kor. za cetn. metr. na 1 kor. 40 hal.

Pomimo to i ta cena jest jeszcze widocznie za wysoką w stosunku do gwarantowanej zawartości: 18½% siarkanu potasowego czyli 10% potasu, skoro Wydział Krajowy sprzedał w r. 1902 tylko 59.300 cetn. kainitu i gdy liczne postępowe gospodarstwa zachodniej Galicyi lepiej wychodzą na sprowadzaniu skoncentrowanych soli potasowych wprost ze Stassfurtu pomimo wysokiej opłaty cłowej, aniżeli na zakupnie krajowego mielonego kainitu. Bądź co bądź raz przecież ucichły te oficjalne głosy, które przez tyle lat starały się rozpowszechniać legendę, że w Kałuszu nie ma dosyć kainitu i że dla Galicyi nie warto go wydobywać, gdyż niema nań zbytu. Półurzędowo nawet przyznano już w roku 1898, że w Kałuszu istnieje złoże kainitu, o co najmniej 5,000.000 cetnarów metrycznych, o której to cyfrze mówi bar. Ottokar Buschmann, kierownik departamentu solnego w ministerstwie finansów w bardzo ciekawej, starannej i dość szczerzej pracy p. t. „*Das Salz*“, wydanej dla wystawy jubileuszowej w r. 1898 we Wiedniu.

W ostatnich czasach rozeszły się nadto pogłoski, że w Kałuszu odkryto większe pokłady sylwinu, tj. soli potasowej jeszcze cenniejszej od kainitu, ale stwierdzić tego na pewne nie można, gdyż administracya galicyjskich salin unika druku i publikacyi naukowych, a wstęp do kopalń w Kałuszu możliwym jest tylko za osobnem zezwoleniem Krajowej Dyrekcyi Skarbu we Lwowie. Znalezienie w Kałuszu bogatszych pokładów tak kainitu, jak sylwinu nie byłoby zresztą wcale niespodzianką dla kół naukowych, które oddawna to przypowiadały i które od tylu lat, — niestety bez skutku — przemawiają za lepszem zużytkowaniem kałuskich soli potasowych. Zajmowaliśmy się tym przedmiotem bardzo obszernie ¹⁾

¹⁾ *Płody kopalne Galicyi*. Część II. str. 37.

już przed 10 laty, i tutaj znowu można tylko powtórzyć w kilku słowach dawno wyrażone życzenie założenia w Kałuszu rządowej fabryki chemicznej, któraby przerabiała na miejscu tamtejsze sole potasowe na skoncentrowane tak dla rolnictwa, jak i dla przemysłu chemicznego potrzebne fabrykaty. Byłoby to „najprostszym, najłatwiejszym i w najkrótszym czasie prowadzącym do celu rozwiązaniem kwestyi kopalń kałuskich, zabezpieczającym zarówno interes skarbu państwa jak i korzyść dla kraju“. Wydzierżawienie kopalni kałuskiej przez kraj, o czem jest mowa, jako o nowej myśli, w sprawozdaniu Wydziału Krajowego do Sejmu w roku 1903, byłoby także dobrą drogą do tego celu wiodącą i można mieć wszelką nadzieję, że kraj na tem przedsiębiorstwie — o ile ono naturalnie przezornie, roztropnie i fachowo byłoby prowadzonem — wcale by nie stracił, a kopalnia w Kałuszu doczekałaby się raz przecież tego tak ze wszech miar pożądanego, zupełnego zużytkowania, które już przed trzydziestu paru laty rozpoczęte, przerwała niestety katastrofa finansowa owego pamiętnego roku 1873.

Tak, jak dzisiaj rzeczy stoją, to poprostu jest wstydem dla państwa cywilizowanego niekorzystanie ze skarbu przyrody leżącego w Kałuszu niemal zupełnie odłogiem. „Państwo powinno tutaj stać się samo fabrykantem i przedsiębiorcą, skoro posiada materiał tak potrzebny dla ogółu, którego jednak nikomu oprócz państwa wydobywać nie wolno“. Miejmy nadzieję, że przestarzałe biurokratyczne uprzedzenia znikną kiedyś raz przecież przy dobrej woli u czynników rozstrzygających, i że Galicya doczeka się raz może własnej wielkiej fabryki chemicznej w Kałuszu, do której surowy materiał leży tam już dawno odkryty.

Przejdźmy teraz do minerałów żywicznych t. j. do wosku ziemnego i oleju skalnego.

Górnictwo wosku ziemnego, tego minerału, który w większej ilości znanym jest dotąd na kuli ziemskiej tylko w Galicyi, zmienne i ciężkie w ostatnim dziesięcioleciu przechodziło koleje. Kopalnie jego w Borysławiu, i Truskawcu, oraz w Dźwiniaczu i Staruni koło Nadwórny wydobyły ozokerytu:

w r. 1893:	56.248	cetn.	metr.	wartości	2,536.670	kor.
" 1895:	67.645	"	"	"	3,720.038	"
" 1897:	68.815	"	"	"	3,750.632	"
" 1899:	57.788	"	"	"	3,820.804	"
" 1900:	20.035	"	"	"	1,585.777	"
" 1901:	27.027	"	"	"	2,572.448	"
" 1902:	26.548	"	"	"	2,922.362	"

Podnosiła się zatem produkcya do r. 1898 (77.586 cetn.), poczem raptownie w ciągu r. 1899 i 1900 opadła skutkiem wejścia w życie z dniem 21 Lutego 1898 roku nowych przepisów policyjno górniczych normujących przede-wszystkiem odległość minimalną szybów woskowych pomiędzy sobą i od granic obszaru kopalnianego. Przepisy te nowe, wydane już w r. 1897 były niezbędne w interesie życia borysławskiej ludności robotniczej, dalszego istnienia kopalń w Borysławiu i usunięcia raz przecież tych haniebnych istotnie stosunków górniczych, które osławiły były Borysław na cały świat i przepisy te przekształciły też z gruntu — szkoda tylko, iż dopiero tak późno — całą metodę kopalnictwa wosku ziemnego. W miejsce licznych, drobnych, na obszarze nieraz zaledwie kilkudziesięciu metrów pracujących kopalń, które do nowych przepisów zastosować się nie mogły i musiały czę-ścią z dniem 21 Lutego 1898 r., częścią zaś z dniem 21 Lutego 1900 r. ruch wstrzymać i umrzeć, pozostały w Borysławiu tylko takie kopalnie, które jak Banku kredytowego w likw. i Spółki akcyjnej „Borysław“ miały dość i obszaru do urządzenia nowoczesnej racjonalnej odbudowy i dość kapitału, aby tę zmianę metody eksploatacyi przeprowa-dzić rychło i korzystnie. Produkcya wobec tego naturalnie znacznie opaść musiała i po r. 1898, w którym to roku owe skazane na śmierć małe kopalnie z podwójnym wysiłkiem pracowały, aby wydobyć tylko, co się dało jeszcze wydobyć, i który wykazuje zatem największą od lat 14 produkcję, spadła ilość wydobytego ozokerytu w r. 1900 na 20.000 cetn. t. j. prawie na $\frac{1}{4}$ część ilości z r. 1898. Obecnie, gdy te dwie, główne i wielkie woskowe kopalnie coraz bardziej w głąb się posuwają i rozszerzają swój teren odbudowy, będzie powoli i produkcya ich z roku na rok wzrastać, ale

długo jeszcze potrwa, zanim wrócą w Boryslawiu okresy produkcji 50, 60 lub 70 tysięcy cetn. metr. ozokerytu.

Pod względem wartości pieniężnej wydobytego wosku ziemnego ubytek nie jest wszakże stosunkowo tak wielki w roku 1902 (2.9 mil. kor.) w porównaniu z rokiem 1898 (4.8 mil. kor.), gdyż ceny wosku poszły w górę bardzo znacznie w ostatnich latach. W roku 1893 cena średnia wynosiła zaledwie 44.10 kor. za cetn. metr., w roku 1899 66.12 kor., w roku 1901 już 95.02 kor., a w r. 1902 nawet 110.08 koron. Zwyżka ceny powetowała więc po części ubytek produkcji i dzisiaj racjonalne kopalnictwo woskowe można zaliczyć do bardzo lukratywnych przedsiębiorstw górniczych. Kopalnictwo woskowe w Boryslawiu oraz w Staruni koło Nadwórny zajmujące obecnie (r. 1902) ogółem 2610 robotników, w każdym razie rozwijać się będzie coraz bardziej w przyszłości, i dzisiaj, gdy dzięki energii i stanowczości władz górniczych raz przecież wprowadzono w niem ład i porządek, Galicya będzie mogła z chlubą spoglądać na ten minerał, co do którego posiada ona na razie wyłączny monopol na całym świecie. Od nas samych będzie już teraz zależęć tę wyjątkowo korzystną z natury sytuację zachować na przyszłość i należyć wyzyskać. Zniesienie cła wchodowego do Rosji na surowy ozokeryt, (obecnie 12.09 kor. od cetn. metr.), jak tego żąda najnowszy memoriał Towarzystwa Naftowego do ministerstwa handlu, ułatwiłoby jeszcze bardziej zbyt krajowego wosku ziemnego, a tem samem poparłoby także interes woskowego górnictwa.

O wiele korzystniej przedstawia się górnictwo oleju skalnego, którego historia w ostatnim dziesięcioleciu zbyt dobrze jest znana, aby potrzeba było tutaj ją szerzej omawiać. Była to epoka nagłego, ogromnego, niespodziewanego prawie wzrostu, który zastał nas nieprzygotowanych, i który, chociaż zjednał nam wielu przyjaciół za granicą kraju i państwa, spowodował przecież w r. 1902 ciężką kryzys przelomową, pełną w skutki nie zawsze dla nas korzystne.

Galicya wyprodukowała surowego oleju skalnego:

w r. 1893:	963 312 cetn. metr. wartości	6,017.638 kor.
„ 1895:	1,886.344 „ „ „	8,928.706 „

W r. 1897:	2,752.039	cetn. metr.	wartości	11,753.384	kor.
" 1899:	3,094.999	"	"	15,927.707	"
" 1900:	3,472.132	"	"	21,113.577	"
" 1901:	4,046.624	"	"	23,010.589	"
" 1902:	5,208.470	"	"	14,676.651	"

A więc produkcya podniosła się w 10 latach o 440% co do ilości, a o 145% co do wartości pieniężnej. Nastąpił zatem olbrzymi spadek cen od r. 1893, kiedy to średnia cena cetn. metr. ropy wynosiła 6.24 koron, do r. 1902, kiedy płacono za cetnar średnio zaledwie 2.82 kor., a często nawet o wiele mniej. Rozrost ten ogromny produkeyi zawdzięcza się przedewszystkiem kopalniom najpierw Schodnicy, a później Borysławia, który po dowierceniu tam głębszych horyzontów pomiędzy 700 a 1000 m. stał się prawdziwą fontanną samopłynącego, w parafinę bogatego, bezwodnego i dobrego do przeróbki oleju skalnego.

Borysław ze Schodnicą i Uryczem wyprodukował w roku 1902 przeszło 3,350.000 cetnarów w roku 1903 nawet przeszło 4,850.000 cetnarów, stanowiąc zatem w roku 1903 przeszło 66% całej galicyjskiej produkeyi, obliczanej tymczasowo na 7.2 milionów cetn. Borysław nie jest wszakże i nie będzie w dalszej przyszłości jedynym punktem tak bogatych źródeł naftowych. Znajdą się one niewątpliwie, jak to z budowy geologicznej pobrzeża karpackiego wnioskować wolno, i w innych jeszcze okolicach wschodniej Galicyi i pod tym też względem można być spokojnym o dalszy rozwój naszego naftowego górnictwa, dzisiaj, gdy nadzwyczajnie rozwinięta i wydoskonalona u nas technika wiertnicza pozwala bez zbytnich trudności — jakkolwiek z wielkimi zawsze kosztami — sięgać głębokim wierceniom do głębokości 800, 900 i 1000, a nawet już poniżej 1000 metrów. Obecnie — jak to wykazała dobitnie kryzys naftowa roku 1902 — chodzi tylko o odpowiednie zmagazynowanie tych ogromnych ilości surowca, które bezpośrednio nie mogą być zużyte przez rafinerie austriackie na konsumcyę wewnętrzną całej monarchii austriackiej. Konsumcyja ta nafty świetlnej — bardzo mało obecnie wobec innych źródeł światła, jak gazu i elektryki rosnąca — wynosi rocznie dla Austro-Węgier

około $2\frac{1}{4}$ milionów cetn. metr., czyli potrzeba na to $4\frac{1}{2}$ miliona surowca. Gdy zatem galicyjska produkcya roczna przekroczyła już cyfrę 7 milionów, a w roku 1904 dojdzie może nawet do 8 milionów, pozostaje $2\frac{1}{2}$ do $3\frac{1}{2}$ milionów cetn. metr. surowca na sprzedaż, które można zużyć tylko na export za granicę, tj. przedewszystkiem do Niemiec. Obecnie więc — jak to bardzo szczegółowo i trafnie przedstawił w zeszycie czerwcowym Przeglądu Polskiego w r. 1903 tak znakomity znawca przemysłu naftowego w Galicyi p. August Gorayski — nasz przemysł naftowy stał się już „intereseświatowym“ i wymaga osobnej „organizacyi opartej o dostateczne zbiorniki i o silną instytucyę finansową celem magazynowania i zaliczkowania surowca“. Organizacya taka po części już nastąpiła przez utworzenie z końcem Lipca 1903 r. Towarzystwa „*Petrolea*“, które już dotąd rozporządza zbiornikami na $3\frac{1}{2}$ mil. cetn. i ma zamiar — o ile wiemy — dalsze jeszcze na 1 mil. cetn. w najkrótszym czasie budować, może nawet w razie potrzeby z gwarancją kraju, w myśl wniosku prof. Milewskiego, i uchwały sejmowej z dnia 3 Listopada 1903 r.

Również powstaje obecnie — z inicjatywy kartelu rafinerów naftowych, zawiązanego napowrót po dłuższej przerwie w Listopadzie w r. 1903 na przeciąg lat czterech — austriackie akcyjne stowarzyszenie exportowe, które ma się zająć uregulowaniem zbytu nafty świetlnej za granicę t. j. do Niemiec przedewszystkiem, jest więc wszelka nadzieja, że i ta kwestya, najżywotniejsza dla dalszego rozwoju górnictwa naftowego w Galicyi będzie wkrótce rozwiązana z korzyścią dla wszystkich tutaj interesowanych czynników. Nie możemy wchodzić w omawianie szczegółowe tej kwestyi i wystarczy wskazać tylko na najnowszy memoriał tak zasłużonego dla kraju Towarzystwa Naftowego do Ministerstwa handlu i Kola Polskiego we Wiedniu, który obszernie przedstawia postulaty krajowego naftowego przemysłu, podnosząc to, że konsumcyjny podatek naftowy przynosi Monarchii rocznie około 30 milionów koron, i że „faktyczna wartość produktów naftowych bez podatku na naftę wynosi w każdym razie około 115 milionów koron“. Są to więc już kwoty, z którymi państwo musi się liczyć wprost w interesie swego budżetu

i handlowego bilansu i żądania pewnych uwzględnień przy odnawianiu traktatów handlowych z ościennemi państwami, jak obniżenia taryf przewozowych dla naszej nafty na kolejach pruskich, zniżenia cła wchodowego na benzynę do Rosyi, wynoszącego obecnie 27.91 koron od cetnara metr. oraz zniżenia cła wchodowego na parafinę do Rosyi (obecnie 51.39 kor. od cetn.) są najzupełniej usprawiedliwione i zasługują na jak energiczniejsze poparcie rządu i przeprowadzenie w nowych traktatach handlowych.

Jeżeli zatem widzimy, że warunki naturalne kształtują się obecnie dla naszego przemysłu naftowego dosyć pomyślnie i że można mu wróżyć dalszy — może nawet bez nowych wstrząśnień — korzystny rozwój na przyszłość, to jedyną ciemną stroną tego obrazu jest ta, że stworzenie tego dotychczasowego przemysłu i postawienie go na obecnej stopie nie jest naszą własną, wyłączną zasługą, lecz że znaczny bardzo, można powiedzieć, główny i rozstrzygający udział brali tutaj obcy, zagraniczni lub zakrajowi przedsiębiorcy z obcymi austryackimi, angielskimi, niemieckimi lub francuskimi kapitałami.

Jeszcze za mało wyrobiła się w kraju wiara w możliwość powodzenia naszego górnictwa. Gdy przed laty dwudziestu Stanisław Szczepanowski z impetem i zapalem sobie właściwym wzywał gorąco, niemal gorączkowo do pracy na tem polu, nikt prawie — prócz nielicznych specjalistów u których on informacji naukowych zasięgał, — wiary w powodzenie wielkich górniczych przedsięwzięć w kraju naszym nie miał i on, znachodził początkowo najchętniejszych adeptów nie w Galicyi lecz u obcych, bardziej gotowych do ryzykowania w przedsiębiorstwach górniczych i bardziej chętnych do szukania tych milionów płynących w nafcie. Prawda, później nastąpiła u niektórych osób w kraju fatalna pod tym względem reakcyja. Cudze, powoli z mazołem uskładane pieniądze rzucono po to, aby ratować tego, który nie był do uratowania, który pomimo nader szlachetnych początkowo zamiarów i wielkich niezaprzeczalnych zasług, gorączkowością i brakiem kupieckich wiadomości i zalet sam siebie i drugich zrujnować musiał. Ale pomimo, iż Szczepanowski upadł, górnictwo naftowe przetrwało katastrofę lwowskiej Kasy Oszczędności i znaleźli

się inni, wprawdzie obcy, którzy z olówkiem w rękę, z wiedzą fachową i wytrwałością żelazną podnieśli to górnictwo naftowe, zatrudniające obecnie (r. 1902) już 5889 robotników i zrobili z niego „interes światowy“. Niestety w tym interesie światowym główną rolę odgrywają dzisiaj obce firmy, obce kapitały, obcy ludzie i chociaż te kapitały wnoszą bogactwo, do kraju chociaż z nich żyją tysiące ludzi i podnoszą się zapadłe, ubożuchne dawniej wsie i miasteczka, to przecież ze stanowiska polskiego ubolewać trzeba, że bezpośredni pieniężny zysk z tych galicyjskich przedsiębiorstw nie zostaje w przeważnej części w kraju, lecz że wędruje do Wiednia, Wrocławia, Paryża albo Londynu. Z rosnącą wiarą w możliwość powodzenia naszego górnictwa naturalnie i ten stosunek może się zmienić, oby jak najprędzej, oby jak najrychlej te nasze własne, nieraz prawie marnie leżące kapitały stały się mniej lęklivymi, więcej przedsiębiorczymi i więcej zyskowymi.

* *

Na oleju skalnym kończy się szereg minerałów górniczych Galicyi i pozostaje nam tylko rzucić okiem na całość wartości pieniężnej górnictwa i hutnictwa galicyjskiego. Wartość ta cała wynosiła w r. 1902: 41,504.180 kor., z czego przypada — jak to widzieliśmy poprzednio — na węgle, rudy kruszcowe, oraz hutnictwo żelazne i cynkowe 7,445.506 kor., na sól 16,459.661 kor., na ozokeryt 2,922.362 kor., a na olej skalny wreszcie 14,676.651 kor. Jestto cyfra już bardzo poważna, a przecież znacznie niższa od roku poprzedniego 1901, w którym cała wartość pieniężna wynosiła 51,979.875 koron, skutkiem głównie wyższej ceny oleju skalnego, wynoszącej w tymże roku średnio 5.69 kor. za cent. metr. Ubytek ten w ciągu jednego roku 1902 niemal 10½ milionów koron przypada w przeważnej części na olej skalny (8.33 mil.), na sól (0.95 mil.), i na węgiel kamienny (0.79 mil.), oraz w małej części na węgiel brunatny i rudę cynkową.

Porównanie tych dwóch bezpośrednio po sobie następujących lat, świadczy zatem bardzo smutno o roku 1902, gdy natomiast cofniemy się wstecz o lat 10 i porównamy cyfrę ogólnej górniczej i hutniczej wartości pieniężnej

wraz z solą, ozokerytem i olejem skalnym dla roku 1893 w ilości 29,976.720 koron, czyli prawie 30 milionów to widzimy w roku 1902 zwiększenie się tejże ogólnej wartości o przeszło 11½ milionów koron t. j. przyrost w ciągu lat dziesięciu o przeszło 37%. Jest to więc wzrost bardzo korzystny i rojący i nadal jak najlepsze nadzieje. Górnictwo nasze i hutnictwo zatrudniające obecnie (r. 1902) ogółem 16.496 robotników i przedstawiające roczną wartość 40 do 50 milionów koron, jest już zatem — można powiedzieć — ważnym i doniosłym czynnikiem w życiu ekonomicznem Galicyi.

Po tym, na cyfrach statystyki ministerstwa rolnictwa opartym i z konieczności nader pobieżnym przeglądzie obecnego stanu naszego górnictwa, w kilku słowach można streścić końcowe wnioski i wypowiedzieć życzenia i potrzeby nasuwające się same przez się. Dzisiejszy stan przedstawia się bardzo jasno. Kopalnictwo węgla kamiennego, rudy ołowianej i oleju skalnego rozwija się bardzo pomyślnie, a nawet co do oleju wprost świetnie, górnictwo i warzelnictwo solne wraz z produkcją kainitu tylko z powodów ciężkiej biurokratycznej administracyi nie może posunąć się naprzód, górnictwo wosku ziemnego po przebyciu ciężkiej kryzys w ostatnich trzech latach weszło już raz przecież na tory zdrowego, racjonalnego i wiele obiecującego postępu, hutnictwo cynkowe kwitnie nadspodziewanie, wszędzie więc prawie — prócz górnictwa i hutnictwa żelaznego — galicyjski przemysł górniczy okazuje tendencję postępować i rokuje coraz piękniejsze i obszerniejsze na przyszłość nadzieje.

Nie jest to wszakże naszą wyłączną zasługą. Obce przedsiębiorstwa, obce kapitały, obce siły, bardzo wybitną, nieraz przeważną odgrywały rolę w tym postępie i w tym rozwoju. Nie brak wprawdzie i naszych własnych usiłowań, ale te są jeszcze bardzo skromne i drobne. Na pierwszym ich miejscu postawić należy poparcie, jakiego Wydział Krajowy i Sejm udzielają od lat wielu naszemu górnictwu. Subwencye te dochodzące rocznie do kwoty 50.000 kor. i przeznaczone bądź to na badania geologiczne i górnicze, bądź na studia chemiczno-naftowe, bądź na szkołę wiertniczą

i górnictwem najpierw we Wietrznem, później w Boryslawiu, bądź wreszcie na stypendya dla akademików górniczych, nie były wyrzucone na marne i śmiało powiedzieć wolno, że przyniosły one plon bogaty i piękny. Dzięki subwencji Sejmu i poparciu Akademii Umiejętności Galicya posiadać będzie za rok lub za dwa cały własny atlas geologiczny, obejmujący 106 arkuszy map kolorowanych w skali 1: 75.000 i rozpoczęty zaledwie w roku 1887.

Cały szereg geologów krajowych nad tym atlasem pracował i jakkolwiek nie może ulegać żadnej wątpliwości, iż posiada on jak każde dzieło ludzkie swe braki i błędy, to stwierdzić przecież wolno, iż żaden kraj w Europie, o tej co Galicya przestrzeni nie doczekał się szczegółowego atlasu geologicznego tak prędko, tak łatwo i tak niesłychanie tanim kosztem, dotąd zaledwie jakich co najwięcej 60.000 koron. Atlas ten oddaje górnictwu krajowemu liczne usługi i ceniony jest odpowiednio wśród szerokich kół praktycznych górników.

Zawiązanie się w Krakowie w r. 1897 Towarzystwa Górniczego było dla naszego górnictwa również wypadkiem bardzo korzystnym. Jest ono dzisiaj — obok tak zasłużonego Towarzystwa Naftowego — jedyną korporacją broniącą żywotnych interesów krajowego górnictwa i jakkolwiek życzyliby można, iżby ono rozwijało większą jeszcze działalność i występowało silniej i dobitniej na zewnątrz, to przecież i dotychczasowe już jego publikacye, nie peryodyczne wprawdzie, lecz niejako doraźne są bardzo pożyteczne i cenne. Wydawnictwo czasopisma „*Nafta*“ wychodzącego od lat dwunastu w dwóch językach we Lwowie za subwencją Towarzystwa Naftowego, a pod wytrawną redakcją prof. Załozieckiego przynosi również niemałą korzyść krajowemu przemysłowi naftowemu i życzyć mu tylko należy trwałego i nieprzerwanego rozwoju.

Ruch naukowy — o czem również nie wolno zamileć — wzrasta coraz bardziej w naszych kołach górniczych. Cały szereg młodszych sił tak geologicznych jak i specjalnie górniczych pracuje naukowo z pożytkiem, wyszedłszy w znacznej części z krajowych wyższych zakładów i pracowników własnych, polskich, nie brak nam już na żadnym polu krajowego górnictwa.

Czuje się przedewszystkiem ten wyższy poziom naukowy wśród krajowych władz górniczych, które w ostatnich dziesięciu latach znacznie w personalu swym zreformowane i powiększone, wykonują swój trudny nieraz urząd w obywatelskim, narodowym duchu, z należytą energią i prawdziwą pieczołowitością o dobro i przyszłość krajowego górnictwa, a bez dawniejszej biurokratycznej ociężałości.

Jakież potrzeby i życzenia ogólne ma obecnie jeszcze nasze górnictwo? W pierwszym rzędzie: utworzenie wydziału górniczego przy politechnice lwowskiej i wyposażenie go w prawa przysługujące akademiom górniczym w Leoben i Przibram. Dzisiaj Galicya, której produkcya górnicza i hutnicza dochodzi do wartości przeszło 50 milionów koron, ma prawo wymagać od rządu spełnienia tego, wielokrotnie ponawianego sejmowego żądania. Zbyt wiele naszej młodzieży spieszy do Leoben, gdzie nie może nieraz nabyć tej wiedzy, jaka jest jej potrzebną w przyszłości, zbyt wiele tej młodzieży w tamtejszej niezdrowej dla nas, styryjskiej atmosferze rozwija się nienormalnie i nieraz przepada dla ojczyzny, aby z całym naciskiem nie powtarzać aż do skutku tego żądania, które powinno być jak najrychlej urzeczywistnione w interesie ogólnym, państwa, kraju i rodzimego górnictwa.

Poza poszczególnymi nadto postulatami słowymi i frachtowymi, o których mówiliśmy wyżej, jedną potrzebę tak naukową jak i praktycznej strony górnictwa krajowego, wysunąć można na pierwszy plan. Jest to potrzeba coraz bardziej czuć się dająca krajowego zakładu czy biura geologiczno-górniczego. Od szeregu lat posiada Wydział Krajowy tak pożytecznego referenta spraw górniczych, również dawno subwencyonuje Sejm naukowe badania i poszukiwania górniczo-geologiczne, ale to wszystko przecież przy obecnym rozwoju wymagań naukowych i praktycznych już nie wystarcza i dzisiaj potrzeba skoncentrowania tych badań w jednym zakładzie, któryby z urzędu badał jak najstawniej jedną po drugiej okolice Galicyi, ułatwiał poszukiwanie pól kopalnych i wody, publikował szczegółowe mapy geologiczne i górnicze ważniejszych okręgów, a wreszcie oceniał na żądanie stron wartość lub bezprzedmiotowość prywatnych robót górniczych. Potrzeba jednym słowem ta-

kiego własnego galicyjskiego zakładu na mniejszą skalę, jaki istnieje od r. 1849 dla całej Austrii jako „*k. k. Geologische Reichsanstalt*“ we Wiedniu. Zakład ten wiedeński, który dla poznania geologicznego Galicyi niewątpliwie bardzo wielkie i niespożyte położył zasługi, dzisiaj z natury rzeczy zbyt mało ma związku z Galicyą, aby jej mógł bezpośrednio służyć szybko i pożytecznie. Działalność jego jest zbyt rozległa, obszar badań całej Austrii zbyt wielki a przede wszystkim interesem jego jest interes ścisłej umiejętności i państwa, a dopiero w drugiej linii poszczególnych krajów koronnych. Więc tutaj tylko stworzenie podobnego krajowego zakładu mogłoby oddać istotne Galicyi usługi. Złożony z kierownika, dwóch lub trzech na początek geologów, jednego chemika i jednego hydrologa, uposażony budżetem rocznym na razie 30.000 do 35.000 koron, przyłączony bądź do Wydziału Krajowego, jak n. p. biuro melioracyjne lub kolejowe, bądź też do Akademii Umiejętności w Krakowie, lecz jako samodzielny wprost od Sejmu zależny zakład, oddałby on ogromne usługi krajowi i spełnił liczne zadania, dotąd dla braku ogniska i środków niewykonalne. Do jego zadań należałoby także badanie geologiczno-agronomiczne ważniejszych rolniczych okolic kraju, poszukiwanie wody dla tylu gmin na niżu galicyjskim i na Podolu, nie umiejących poradzić sobie z tak groźnym dla tysięcy ludzi brakiem wody do picia, oraz ocenianie fachowe na życzenie stron terenów i poszukiwań górniczych. Każde z tych trzech zadań jest równie i bardzo ważnem i tutaj chyba nie potrzeba wyjaśniać, ile pożytku przyniosłoby tak wyszukanie wody dla setek gmin używających dotąd szkodliwej wody rzecznej, jak poznanie dokładne pedologiczne wielu rolniczych okolic wschodniej i północnej Galicyi, lub wreszcie zastąpienie wobec krajowych interesantów górniczych bałamutnego najczęściej ale zato krzykliwego, często nawet nie polskiego pseudokonsulenta górniczo-geologicznego przez fachowego i bezstronnego z urzędu rzeczoznawcę.

Kraje o wiele mniejsze od Galicyi, jak n. p. Saksonia lub Belgia posiadają od dawna takie własne zakłady geologiczne bogato uposażone i tam nikt na chwilę nie wątpi

w ich pożyteczność i w doniosłość zadań praktycznych, jakie mają one do spełnienia.

Taki też zakład saski lub belgijski mógłby nam służyć za wzór, do którego wprowadzenia w życie mamy już w kraju dosyć i ludzi i wiedzy i praktyki, a nawet ogólnego zrozumienia. Nie możemy wchodzić tutaj w szczegóły tej myśli, ale musieliśmy ją tutaj poruszyć jako bardzo ważną sprawę, która jak najrychlej powinna stanąć na porządku dziennym obrad sejmowych. Koszta założenia i utrzymania takiego zakładu, które zresztą wobec odpadnięcia w tym razie do-tychczasowej subwencji krajowej na badania geologiczno-górnictwa i wobec prawdopodobnych jakichś dochodów własnych nie będą w pierwszych latach przewyższać kwoty 25.000 do 30.000 koron, nie powinnyby reprezentacji krajowej od tej myśli odstraszać. Najlepszym analogicznym i bardzo zachęcającym przykładem jest biuro melioracyjne Wydziału Krajowego, które tak piękne i bogate wydaje owoce i którego działalność w całej Galicyi powszechnie znajduje uznanie.

Podobne biuro czy też zakład krajowy geologiczno-górnictwa, można utworzyć nadzwyczaj łatwo i szybko. Górnictwo krajowe całe powitałoby go z radością i wdzięcznością, rolnictwo znalazłoby w niem pomoc nieraz nie małą, a kwestya wodna, ta sprawa dla wielu gmin w Galicyi wprost życiowa i tak niesłychanie doniosła w czasach epidemii zbyt często ludność naszą nawiedzających, dopiero po założeniu podobnego biura z urzędu zajmującego się poszukiwaniem wody, mogłaby się doczekać racjonalnego, szybkiego i nie trudnego czasem załatwienia.

Na podniesieniu tej myśli możemy nasz krótki przegląd obecnego stanu krajowego górnictwa i jego historyi z ostatniego dziesięciolecia zakończyć.

Oby po następnych latach dziesięciu można było z jeszcze większem zadowoleniem spoglądać w jego przeszłość.

Dr Władysław Szajnocha.

Kronika literacka.

— Władysław Łoziński: *Prawem i lewem*. Obyczaje na Czerwonej Rusi za panowania Zygmunta III. (We Lwowie, nakładem Webera, 1903, 8-o, str. 672). — Już rok jak wyszła ta książka, ważna treścią, piękna formą. Dla czego tak późno zdajemy z niej sprawę? Dla tego, że chcieliśmy, i usiłowali, zdać z niej sprawę dobrze, jak się należy, i jak ona tego warta. Żeby zaś to zadanie spełnić, trzeba być historykiem, i to jeszcze nie wystarcza: trzeba być historykiem i prawnikiem. Treść książki bowiem, to szereg gwałtów, napaści, zbrodni, popełnionych wbrew prawu: a prawo przeciw nim bezsilne. Dla czego bezsilne? Bo społeczeństwo zaczyna się rozprzegać, bo w jego naturze jest jakaś beczynność, jakiś brak sprężystości i statku, a w jego prawie pisanem i w jego procedurze są braki różne, które ułatwiają odwłoki, wybiegi, obchodzenie prawa, przez to niedoleżność sądów, niewykonanie wyroków, bezkarność występków.

Przedmiot wielkiej wagi: żeby osądzić i ocenić jak jest traktowany, trzeba koniecznie mieć samemu jego znajomość gruntowną i trzeba mieć możność zbadania i sprawdzenia tych faktów, które autor opisuje. Sprawdzanie nie samych faktów, które z pewnością zaszły, ale ich przebiegu, ich rozmiarów, ich przyczyn i związku. Ta ostatnia część zadania wymagałaby pracy niezmiernej, rozpoznania wszystkich aktów i dokumentów: a i wtedy jeszcze nie prowadziłaby do rezultatów stanowczo pewnych, bo te wszystkie akta mogą nie mieścić w sobie i nie odkrywać całej prawdy. Gdzie więc jej szukać? w czym? Warunek pierwszy, znajomość prawa polskiego, znajomość stanu prawnego, obyczajowego i społecznego Polski na przejściu z Jagiellońskich do Wazowskich czasów, nie jest już tak trudnym do osiągnięcia: są przecież ludzie, którzy go posiadają w zupełności, a koniecznym jest, jeżeli dzieło p. Władysława Łozińskiego ma być ocenionem należycie, to jest naukowo i gruntownie.

Takiego sprawozdawcy szukaliśmy przez cały rok, i na-daremnie. Dłużej już szukać i czekać trudno. Dzieło jest ważne, a nasze pismo mogłoby popaść w posądzenie, że nie zwróciło na nie uwagi, gdyby o niem nie mówiło wcale. Zdarza nam się wprowadzić, ku wielkiej naszej przykrości i upokorzeniu, że nie zdajemy sprawy z książek zasługujących, i nieraz bardzo, na rozbiór i sąd: nie zawsze można mieć współpracowników tylu, i takich, jakby się chciało i potrzebowało, a lepiej podobno nie mówić nie, niż mówić na pozór czy na pokaz, dla oka ludzkiego tylko, a bez rzeczywistej treści. Ten wzgląd powinienby i tym razem skłonić nas do skromnego milczenia: lepiej milczeć, niż mówić powierzchownie. Powierzchownem zaś musi być to, co o *Prawem i lewem* powiedzianem będzie bez znajomości prawa polskiego. Wolimy jednak zadać gwałt nie-tylko miłości własnej—(o tę mniejsza)—ale temu poszanowaniu, jakie się należy poważnym autorom i poważnym dziełom, i w braku sprawozdania, jakiebyśmy dać chcieli, dać takie, jakie możemy. Nie będzie ono dobrem, ale będzie, i zaświadczy przynajmniej, że jeżeli nie czytaliśmy książki z potrzebnem przygotowaniem naukowem, to nie czytaliśmy jej bez głębokiego wrażenia.

Wrażenie! oto wszystko, czem się z czytelnikami naszymi podzielić możemy. To nie dosyć, to o wiele za mało, ale *dat pauper quod habet*.

Jakież ono jest?

Jest, że książka bardzo ciekawa, piękna, ale bardzo smutna. Nie potrzebujemy rozwodzić się nad zaletami i tłómaczyć dla czego ona piękna. Znane jest przecie to pióro wykwintne i świetne zawsze, czy pisze głębokie studia, jak *Patrycjat Lwowski*, czy od niechcenia prawi powiastkę o *Oku Proroka*, czy do łez wzruszy czytelnika współczuciem dla tej biednej matki, co na pamiątkę straconego dziecka chciała sprawić obraz Matki Boskiej do *Busowickiej* cerkiewki. Znane jest to usposobienie artystyczne, które wszelką piękność w dziełach sztuki rozumie i czuje, a na dziełach własnych nie znosi najmniejszej skazy. Znany jest ten język i styl wyborny zarówno w najpoważniejszych tonach, jak w potocznych i lżejszych: zawsze doskonały, zawsze prosty, zawsze żywy i przywiązujący uwagę czytelnika do czytanej rzeczy. Znany wreszcie ten rozum rozległy a zdrowy, wyostrzony i wypolerowany wykształceniem, dobrze osadzony na nauce, a wsparty i kierowany zawsze szlachetnem uczuciem, dobrym pięknym zamiarem, zamiłowaniem piękności w tem co było, pielęgnowaniem jej w tem co jest i co być ma. Z tych powodów *Prawem i lewem* jest dziełem pięknem. Smutnem zaś, okropnie smutnem, jest dla tego, że w tej przeszłości polskiej, którą chcielibyśmy znać jak najpiękniejszą, odkrywa złego więcej, niżejmy znali. Wiemy ogólnie, że były występki, gwałty, zabójstwa, pie-niężne oszukaństwa i rabunki, powiedzili nam to starzy pisarze

i nowsi historycy. Ale do tej wiadomości ogólnej dodaje ta książka mnóstwo szczegółowych przykładów, faktów nieznanych, które ona wydobywa z aktów sądowych i układa w szereg bezprawii, oszustw, mordów, okrucieństw i podłości, tak strasznych, że włosy stają na głowie ze zgrozy. A ręce opadają w bezwładnej rozpacz na widok, że te wszystkie zbrodnie — lub prawie wszystkie — uchodzą bezkarnie: że winowajca, morderca, łupieżca, rozbójnik, śmieje się z prawa i sądu, którym zawsze wykręcić się potrafi. Złe zawsze między ludźmi być musi: ale swawola złego, bezkarność złego, jest gorsza, niż złe, bo ona jest współwiną, uczestnictwem społeczeństwa w złem. Ona wskazuje, że tam jest albo jakaś bezwładność niedołężna i głupia, albo ten „bólów ból“, który się nazywa „narodu duch za-truty“.

I to w Polsce! Gdyby tak w Niemczech, albo we Francyi, bolałoby zawsze uczucie ludzkie, ale uczucie polskie mówiłoby z rozkoszą i dumą: „U nas inaczej“. Tymczasem to nie u drugich, tylko u nas: a te łupiestwa i rozboje, ta niemoc prawa i rządu przeciw nim, to brzmi jak złowrogie straszne praeludium do tego rozkładu, którego końcem i skutkiem był rozbiór.

Autor sam uprzedza, że czytanie jego dzieła będzie bolesnem. Łagodzi z góry to wrażenie przypomnieniem i przestrogą, że jego obrazy musiały wypaść tak czarno, bo są wzięte z najczarniejszego źródła, z aktów kryminalnych: że więc nie są obrazem polskiego społeczeństwa i życia, tylko zbrodni na ziemi polskiej dokonanych. Że obok tego złego była cała i nierównie większa liczba serc dobrych i sumień prostych, enót, poświęceń dochodzących nierzadko do heroizmu. To nie Polska cała, jak była, to tylko polskie grzechy. Grzechów zaś takich, przypomina autor dalej, było u innych narodów współcześnie nie mniej, może więcej. Okrucieństwa, mordy, grabieże, w Niemczech za Wojny Trzydziestoletniej, we Włoszech po dworach i stolicach różnych drobnych książąt, nie były ani mniejsze, ani rzadsze, jak u nas. Autor ma słuszość, i dobrze robi, że to przypomina. A jednak mimo tego przypomnienia, mimo tej częściowej pociechy, jaką ono daje, obraz jego robi wrażenie bolesne aż prawie nie do zniesienia, i wywołuje pytanie, czy pomimo wszystkiego nie jest zbyt czarnym.

A to jakim sposobem? Przecież to wszystko fakta, fakta stwierdzone dokumentami sądowymi. Te mordy, te rabunki, te zdradliwe zasadzki, te okrucieństwa, zdarzyły się na prawdę.

Tak jest. Wszystko co Łoziński w swoim dziele opisał, znalazł w aktach sądowych; wszystkie te napady, zajazdy, rozboje i mordy zaszły na prawdę. Ale — to zdanie nie nasze, tylko uczonych biegłych w historyi i w prawie — ale Łoziński wydobył z aktów to co w nich było, i jak wydobył, jak znalazł,

tak opisał, nie nie zmieniając, ani dodając. Ale tego on już nie zbadał i nie sprawdził, bo nie mógł, nie miał gdzie i na czym sprawdzić, czy te akta mówiły zawsze prawdę. Człowiek był zabity, to z pewnością prawda, skoro jego ciało było okazane w grodzie na dowód. Jego dom, czy zamek, był złupiony i spalony: to także prawda. Ale wszystkie okoliczności uboczne, dopełniające, po części może łagodzące, liczba ofiar, okrucieństwo na nich spełnione, powody tego gwałtu, wreszcie straty i szkody z grabieży, to wszystko mniej pewne, mniej dowiedzione. Autor sam opowiadając zdarzenie wiernie podług aktów, dodaje uwagę, że w skardze pokrzywdzonych mogła być przesada, że nieraz ona jest zupełnie widoczną. Uczeń prawnicy stwierdzają to jego ostrzeżenie, tylko wzmacniają je silniejszym naciskiem. Niedowierzenie względem aktów budzą rozmiary szkód, o które są skargi. Cały ekonomiczny stan Polski nie pozwala wierzyć, iżby po lochach dworów, a nawet zamków, były takie beczki dukatów, takie garnee i ćwierci perel i drogich kamieni, jakie miały być zrabowane. Wyjątkowo, u kolosalnie możnych, jak Ostrogscy, może były skarbcze tak wspaniałe: ale inni, nawet zupełnie i nawet bardzo bogaci, nie mogli mieć takiej masy pieniędzy i kosztowności. Zaciężne gromady łotrów, którymi wojowali, żywiły się rabunkami i zdzierstwem po wsiach i miasteczkach: ale nie mogły przecież tylko zawsze rabować i łupić: ten, kto je najmował, musiał tych najemnych rozbójników żywić i płacić, a jeżeli nawet płacił tylko rabunkiem, łupami, to żywić musiał: a żywić kilkaset, czasem parę tysięcy ludzi, to znowu wydatek, który przechodził możność nawet bardzo bogatych ludzi. W opisach poniesionych strat i szkód, jest (w wielu razach) przesada widoczna: jedna przesada zaś osłabia wiarogodność zeznań, i pozwala przypuszczać, że było tych przesad więcej. Były zbrodnie, były okrucieństwa: ale czy w tej liczbie i mierze, jak podają akta? Czy i w tem niema przesady? Kto wie, czy te wyroki sądowe, które nam wydają się tak śmiesznie i tak gorząco łagodne, czy one nie powstały na podstawie nabytego przekonania, że skarga powiększyła bardzo istotę, a przynajmniej rozmiary czynu.

Tak mówią uczeni, prawnicy, i dodają, że autor nie mógł kontrolować i sprawdzać tego, co podawały akta, bo nie miał po temu sposobu, bo niema innych źródeł, innych dokumentów, któreby zachowały ślad tych samych wypadków; a jeżeli są, to się do nich uciekać i odwoływać nie można, bo się nie wie gdzie one są i jakie, i przypadek chyba mógłby jedno lub drugie odsłonić.

Od siebie dodalibyśmy uwagę drugą. Autor mówi, i parę razy powtarza, że w innych krajach nie było lepiej, było może gorzej. Dobrze robi, że to mówi, ale robi nie dosyć. Powinien był to swoje zastrzeżenie poprzeć dowodami, illustrować przy-

kładami: opowiedzieć jakieś fakta niegodziwości i barbarzyństwa z współczesnych Niemiec, Włoch lub innych krajów. Szkoda, że tego nie zrobił. Szkoda tem większa, że jego książka może łatwo być wyzyskaną i nadużyta przez nieprzyjaciół, pruskich czy innych, przeciw Polsce dawnej, z naciąganiem do dzisiejszej. To autor powinien był przewidzieć i uprzedzić z góry, w tej samej książce odeprzeć możliwe oskarżenia dowiedzionemi niewątpliwemi przykładami takiego samego lub większego złego w innych narodach i krajach.

Po wrażeniach, streszczenie.

Autor ma opowiedzieć straszne czyny dzikości; co je tłumaczy, co mogło je spowodować w społeczeństwie chrześcijańskim, i w części tylko, ale przecież oddawna cywilizowanem? Zwłaszcza jakim sposobem, z jakich powodów, te bezprawia i zbrodnie mogły uchodzić bezkarnie?

Te pytania roztrząsa autor, i daje na nie odpowiedź w dwóch pierwszych rozdziałach dzieła. Kreśli w nich stan ogólny i stały, złe chroniczne, wewnętrzne i postronne, które ową dzikość i jej bezkarność wychodowało, folgowało jej, sprzyjało i rozwinęło do takich rozmiarów.

A więc naprzód powód wewnętrzny, zatem i wina samego społeczeństwa polskiego: to braki w prawie polskiem, w procedurze, wreszcie w obyczaju, które sprawiały, że zuchwalec kiedy nie mógł dojść do swego celu *Prawem*, dochodził do niego *Le-wem* (wyrażenie ówczesne, używane, utarte), czyli bezprawiem, bez obawy odpowiedzialności i kary.

„Nie brak prawa zgubił obyczaje, ale brak władzy; nie brak sankcyi karnych, tylko brak ich wykonania“. Ten sam brak władzy, który zmarnował polityczne stanowisko Rzeczypospolitej i doprowadził ją do upadku, na polu prawa prywatnego objawia się powolnością postępowania sądowego, łatwością odwołań, protestów i tysiącznych sposobów przewlekania spraw karnych, wreszcie albo zupełnem niewykonaniem wyroków, albo wykonaniem miękkim, słabem, połowicznym. Znajduje się tu zebrane razem i poparte przykładami te wszystkie skargi na procedurę i na obchodzenie prawa, które podnoszą zgodnie i potwierdzają nasi statyści XVI wieku. Były prawa, były naznaczone kary. Ale winowajcę zasłaniało naprzód *Neminem captivabimus*, które niedozwalało ująć i uwięzić szlachcica mordercy, chyba że był złapany na gorącym uczynku. Oprócz tego, winowajca był z prawa uwolnionym od odpowiedzialności, jeżeli nikt nie wniósł przeciw niemu skargi. Skarga ta, delacya, była obowiązkiem prawnym, pod surowemi nawet rygorami. Ale delator, choć doniósł do grodu, to potem ułożył się i ugodził z zabójcą, albo za pieniądze, albo ze strachu, żeby jego to samo nie spotkało. Tysiące formalności, na prawdę lub niby nie zachowanych, służyło za tyleż środków wykrętnego przewlekania sprawy lub jej

umorzenia. Sama kancelarya królewska częstokroć proteguje bezkarność, kiedy obwinionym daje tak zwane *glejty*, za którymi oni bezpiecznie i swobodnie mogą robić co im się podoba aż do przyszych sądów. Przysięga wystarcza do uniewinnienia: ale nie przysięga naocznych świadków, tylko jakiegokolwiek siedmiu szlachty, których obwiniony postawi. Wiezę, nawet kto po wyroku odsiadywał, to rzadko kiedy *in fundo*: dozorecy patrzali przez szpary i folgowali uprzejmie. Najcieńszy z wyroków, na infamię i bannicę, nigdy prawie nie mógł być wykonanym, bo naprzd nie było tej siły zbrojnej, któraby winnego ujęła, a powtóre prawo sprzeciwiało się samo sobie, bo zakazywało chować w domu infamisa i bannitę, ale zarazem zakazywało szukać go i ujmować w domu wolnego szlachcica. Woźny, na którego urzędowem zeznaniu zasadza się całe postępowanie karne, jest najczęściej prostym głupim człowiekiem, którego i nakrećć, i przekupić, i nastraszyć łatwo. Tak zwane *opowiedzi*, czyli wypowiedzenie nieprzyjaźni i walki na śmierć i życie, groźba zawieszona nad stroną przeciwną, jest tolerowana przez prawo, skoro ono przepisuje formy, w jakich ona może mieć wagę. Przeciw takim groźbom środkiem mają być tak zwane *Vadia*, czyli dekreta królewskie, nakładające znaczne kary pieniężne na tę stronę, któraby po *opowiedzi* zaczęła jakieś kroki nieprzyjacielskie. Ale te *Vadia* nie skutkują; winowajca nie boi się ich, bo wie z góry, że ich nie zapłaci, że się wykręci, albo wyprosi, albo wyproszą go bracia szlachta zebrani na sejmiku. U tych zawsze litość gotowa dla każdego kto zbroił i ma ponieść karę.

Rozzuchwalenie złych, niebezpieczeństwo spokojnych i uczciwych, było w znacznej części skutkiem błędnego prawodawstwa i miękkiego lub żadnego wykonywania praw: a kiedy taki stan trwa, to rozzuchwalenie złych rośnie i dochodzi do zdziczenia, do zwierzęcego barbarzyństwa. Liczne przykłady takowego opowiadają w jaki to sposób *Lewem* dochodziło się do swego celu.

Taki był jeden powód złego. Drugim był ten obyczaj, który dla bezpieczeństwa istotnie, ale i dla okazałości, kazał trzymać wielkie mnóstwo czeladzi, a cóż dopiero (od bezkrólewów) zaciągi zbrojnych ludzi. Ci są nowym i silnym elementem zdziczenia; są prócz tego w ręku gwałtowników i narzędziem gwałtów, i do nich pokusą, a na stronę drugą są powodem stałych i ogromnych wydatków; jeżeli nie ruiny majątkowej, to długów i niszczenia majątków, a przedewszystkiem lasów. Szczegóły o ówczesnem gospodarstwie, handlu, eksporcie, bardzo ciekawe.

Cóż dopiero związki wojskowe! Żołnierz niepłatny, upominający się o zaległy żołd, gniewny i butny, staje się naturalnie zdziercą, ciemiężycielem wszystkich, a przedewszystkiem chłopów, a łatwo może się stać rozbójnikiem, i staje się nim

niekiedy. Góry graniczne od Węgier są gniazdem rozbójników zupełnych, opryszków i własnych, polskich czy ruskich, i sąsiednich węgierskich. Werbunki zagraniczne, najemny żołdak wracający do kraju, Lisowczyk, jest także klęską, a stacye żołnierskie są zawsze, w czasie pokoju, źródłem niezliczonych zdzierstw i ucisków dla ubogiego ludu. Wszystko rozsiewa, rozszerza, utrzymuje ten kraj w stanie i nieszczęśliwym i dzikim. Do tych zaś powodów wewnętrznych dodać trzeba zewnętrzny — peryodyczne, ciągle, nieustanne napady tatarskie. Tatarzy są strasznym elementem zdziczenia, nie tylko przez to, co wybijają, spalają, złupią, zniszczą, uprowadzą, ale i przez to, że całe okolice, całe przestrzenie zamieniają w pustynie, a kraj w ustawicznym niepokoju i strachu nie może się zagospodarzyć, pracować swobodnie i produkcyjnie, wznagać się w dostatek, zasobność, w oświatę.

Po tym ogólnym obrazie „Obyczajów na Czerwonej Rusi“ (a w pewnej mierze i w całej Rzeczypospolitej) — przystępuje autor do szczegółów, do faktów. Trzyma się geograficznego porządku, ziemiami: naprzód idzie Lwowska, po niej Halicka, na ostatku Przemyska.

W ziemi lwowskiej mnóstwo drobnej zagonowej szlachty, ciemnej, ubogiej, ale bardzo dumnej ze swego szlachectwa i bardzo podatnej do wszystkich burd i imprez urządzanych przez możniejszych, sejmikowych czy zajazdowych. Z tego szarego tła wielkiej masy szlacheckiej wystają figury i sprawy możniejszych, nawet bardzo możnych, w zwadach, procesach, napaściach, tragicznych nieraz, wstrętnych zawsze. Wojny między prywatnymi ludźmi i ich domami są rzeczą powszednią: są odbiciem i powtórzeniem w życiu prywatnem tej anarchii, która równocześnie wznagała się w życiu publicznem. Oto na przykład możny i stary dom Łahodowskich. Pięciu braci: dwóch młodszych zmaśnia się na najstarszego (człowieka godnego ile wnosić można). Ze zgrają kilkudziesięciu ludzi napadają na dom, w którym mieszkał we Lwowie, mordują jego towarzyszy i sługi, w końcu jego samego. Wracają raz drugi, dobijają konającego, pastwią się nad trupem. I za to nic. Chodzą bezpiecznie; jeden z nich dostaje od hetmana Koniecpolskiego *glejt* i list przypowiedni na zbieranie zaciągu na wojnę. Ten sam Marek wnosi skargę na czwartego brata, Andrzeja, że go w nocy napadł z kupą ludzi i chciał zamordować, a cudem udało mu się ukryć i uciec. Tego Andrzeja gwałtów i rozbojów szereg długi. Ich siostra Anna, trzy razy zameżna, napada i rabuje domy i włości ludzi, którzy ją pozywają o zapłacenie długów czy zapisów. Prawie równie straszne szczegóły o rodzinie Kalinowskich, Siemieńskich. Co przykrzejsze, to, że i Stanisław Daniłowicz, wojewodzie ruski, wuj króla Jana, w Warszawie, przy eksportacyi zwłok Zy-

gmunta III, napadł z kupą zbrojnych na ulicy i porąbał jednego z tych Kalinowskich.

W ziemi Halickiej różne i liczne nienawiści i bezprawia wielu, wyszczególniają się między nimi Bałabanowie i Belżeccy, ale nad wszystkim góruje sprawa *Skarbów podhajeckich*. Dwie Wołoszki, Marya Mohylanka, zamężna za Stefanem Potockim, i Helena Mauroina, oddały swoje pieniądze i kosztowności Janowi Golskiemu, kasztelanowi kamienieckiemu do przechowania w lochach warownego zamku podhajeckiego. Kasztelan wkrótce potem umarł. Właścicielki upomniały się o swój depozyt u jego wdowy, Zofii z Zamiechowa: ale depozyt zniknął. Czy jeszcze za życia kasztelana, czy po jego śmierci? jakim sposobem? rzecz nie wiadoma. Ale właścicielki wnoszą skargę i podają spis swoich skarbów, rzeczywiście zadziwiających. Sprawa ciągnie się przez całe życie kasztelanowej Golskiej, która trzy razy wychodziła za mąż i z niezmierną energią, obrotnością czy bezczelnością, opędzała się skargom i najazdom licznych nieprzyjaciół, bo różni inni, a znaczni i możni, mieli pretensye do różnych należitości i zwrotów. Spadkobiercy Buczackich chcą jej odebrać Buczac, spadkobiercy Wolskich Podhajce. Pod karą infamii i bannicyi ma dekretem sądu wydać skarby wołoskie: broni się wykrętami prawnymi. Niema dowodu, że go sprzeniewierzyła, ale są silne poszlaki. Musiała jednak nie być pewną swego i nie mieć czystego sumienia, skoro ugodziła się ze Stefanem Potockim i jego żoną i odstąpiła im Buczac, Czortków i dwa majątki gdzieś pod Kamieńcem. Prócz tego miała spłacić wszystkie długi ciążące na tych majątkach i wypłacić znaczny kapitał gotowizną. Tych warunków nie dopełniła: więc strona przeciwna dochodzi swoich praw i chce jej odebrać Podhajce. Umarła przed końcem sprawy: po jej śmierci Podhajce przeszły w ręce Potockich.

Ale ziemią klassyczną gwałtów i rozbojów była ziemia Przemyska i Sanocka. Tu wojują Drohojowscy ze Stadnickimi, po wielu utarczkach ginie w samym Przemyśle jeden z Drohojowskich. Jego wdowę najeżdżają znowu Stadniccy i Krasiccy. Za nią znowu ujmuje się Herburt, Jan Szczesny, znany amator rzeczy literackich, wydawca starych ksiąg, i rokoszanin, towarzysz Zebrzydowskiego. Autor kreśli bardzo zajmujący wizerunek tej postaci, dziwnej mieszaniny dobrego i złego, w którą wchodziło niestety więcej złego, niż dobrego. Walczą prócz tych Ligezowie między sobą, Ligezowie z Krasickimi, Przerębsey z Korniaktami, Korniaktowie ze Stadnickimi. Nawet Fredrowie dopuszczają się strasznych występków: dwaj z nich, Andrzej i Jan, napadli z kupą zbrojnych na Jana Orzechowskiego w kościele, i padł zabity z muszkietów. Inny Fredro, Paweł, napada na dwór własnej matki w Pleszowicach, zabija jej służę, łupi dwór, matka ledwo chyłkiem uciekła.

Szeregiem takich najazdów, gwałtów, mordów, dochodzi się jak po szczeblach do szczytu, do postaci i historii najstraszniejszej ze wszystkich, postaci i historii Dyabła Stadnickiego. Człowiek ten przeszedł w legendę ze swoim strasznym tytułem, ale jego dzieje nie były dotąd, ile wiemy, historycznie zebrane i opowiedziane. Znamy go wszyscy z imienia, słyszeliśmy, że jego duch straszy w łańcuckim zamku, ale co on robił, o tem mało wiemy, prócz, że był jedną z głów rokoszu Zebrzydowskiego. Historia wyrzuca nie jedno z legendy. Naprzykład: jeżeli nawet Dyabeł straszy w Łańcucie, to nie dla tego, że sobie życie odebrał w jednej z baszt zamkowych, bo sobie życia nigdy nie odbierał. Łoziński składa cały przebieg jego życia i daje jego charakterystykę bardzo ciekawą, świetnie skreśloną. Straszny był, zbrodniczy, ale nie tragiczny. Zbrodnie tylko w nim wielkie, on sam mały. Krwawy, okrutny, potworny w dzikości i mściwości, a wykretny, kłamliwy, chytry jak prosty oszust. Układny i obłudny jak Rejent Milczek, jest przynajmniej tyle hypokrytą co rozbójnikiem. Po każdej swojej zbrodni zanosí do grodu nową skargę, w której występuje jako prześladowana niewinna ofiara ludzkiej złości. W powodzeniu zuchwały do ostatniej bezczelności, w przeciwnościach uniża się i płaszczy nikiemnie. Kłamie i zdradza zawsze. Odważny do wściekłości w rozboju, w boju umie się oszczędzać, i on, jeden z przywódców rokoszu, przeprawia się spokojnie za Wisłę i z drugiego brzegu śmieje się z tych, którzy pod Janowem zostają w niebezpieczeństwie. Za króla Stefana, pod Gdańskiem, zwłaszcza pod Pskowem, bił się co prawda jak lew, zwrócił na siebie uwagę i króla i wojska: po takim początku mógł być stać się znakomitym, może bohaterem: zmarnował to, co miał w sobie dobrego w występkach i rozbojach. W bezkrólewíu po Stefanie trzymał się Maksymiliana. W byczyńskiej bitwie pobity wracał z resztkami swoich hufców do Dubiecka, a po drodze łupił i rabował bezbronne wsie i dwory. Ożenił się (prawdopodobnie w r. 1592) z Anną Ziemecką, szlachcianką szląską, i to jak się zdaje z miłości wzajemnej. Do Łańcuta mają pretensye prawne Pileccy, Siemienscy, Korniaktowie, tak, że dojść trudno, co na tym Łańcucie było na prawdę jego: a w tych sporach prawnych źródło nieskończonych zwad i zbrojnych napaści. Postrachem okolicy, postrachem całego Sanockiego i Przemyskiego podgórzia był od młodości. Drżą przed nim miasteczka, drżą zameczki i zamki, chłopci chronią się po lasach. Wstępne niby, ale już świetne dowody jego rozbójniczej zuchwałości, to napady na Ligęzów w Rzeszowie, na Korniaktów w Sośnicy, na wdowę po referendarzu Drohojowskim w Wojutyczach. Przez te zaprawia się niby do ostatniej a największej swojej wojny, do wojny z Łukaszem Opalińskim, starostą Leżajskim.

Powodem było zdaje się to starostwo, które dostał Opaliński, a chciał dostać Stadnicki. Zaczęło się od mniejszych, niby podjazdowych, napadów na majątność i ludzi Opalińskiego. Potem najechał dobra jego żony (Anny z domu Pileckiej); Opaliński wybrał się je odbierać, ale pobity ledwo z życiem uciekł. Potem najechał i złupił Dyabeł rezydencję Opalińskich w Łące. Nowa walka, nowa bitwa. Tym razem Stadnicki pobity, jego ludzie uciekają do Łańcuta, zamykają się w zamku, on sam widząc, że się nie obroni, umyka: ludzie Opalińskiego zdobywają, plądrują, łupią zamek, pomagają im okoliczni chłopci, radzi pomścić swoje krzywdy na Dyable, pomaga hałastra różnego rodzaju. W zamieszaniu spłonął wreszcie i sam zamek.

Następuje odwet. Łupienie, niszczenie starostwa Leżajskiego i wszystkiego, co należało do przyjaciół Opalińskiego, zwłaszcza do księżnej Ostrogskiej, Kosteżanki z domu, wojewodziny wołyńskiej (dobra Przeworskie i Jarosławskie). Opaliński wzywa nieprzyjaciela listownie przed króla, zdaje się na jego sąd: Stadnicki nie staje. Wyzywa na pojedynek: nie staje znowu, odmawia. Na wezwanie trybunału staje wprawdzie w Lublinie: ale tam, pod okiem trybunału, daje zaczepkę czeladzi Opalińskiego, wywołuje burdę, w której pospólstwo miejskie poturboowało jego ludzi, tak, że uszedł czempredzej.

Gotował się teraz do walnej rozprawy i ważniejszej sprawy. W ciągłych stosunkach z Gabryelem Batorym, miał przyrzeczoną od niego znaczną siłę zbrojną. Czy z tą pomocą chciał zrzucić z tronu Zygmunta, a osadzić Gabora, lub może siebie? Dość, że na te hufce czekając, uwijał się ciągle po Sanockiem Podgórzu. Opaliński następował na niego ze znacznymi zebranymi siłami. Stadnicki miał mniejsze, wymykał się, czekał na swoich siedmiogrodzian. Ale obróciło się koło Fortuny. Opaliński zdobył Wojutyce, przez Stadnickiego silnie obwarowane, podstawę jego wojennych operacyj. W zamku tym żona Dyabła wpadła w ręce nieprzyjaciela. On sam, zawsze czekając na *Sabatów*, wymykał się przed przemagającymi siłami. Ale zaskoczony zniecka w Tarnawie, między Chyrowem a Dobromilem, szukał ratunku w ucieczce. Gonili go kozacy, jeden strzelił za nim i zabił.

Opryszki siedmiogrodzkie przyszły za późno, po śmierci Stadnickiego: złupiły, splądrowały, zniszczyły całe okolice od Sambora po za Stryj.

Dyabeł skończył; ale nie skończyły się nieszczęścia i występki w jego domu. Synowie wojują z matką, wojują między sobą; córka, porwana (ze swoją zgodą zdaje się) przez Cieciszowskiego, skrzywdzona na majątku przez braci, przez nich najeżdżana, uciekła od męża. Z braci jeden, Władysław, w jakiejś wojnie z Krasieckimi rozstrzelany przez ścigających go ludzi. Drugi, Zygmunt, taki okrutnik, że jednego dnia miał zabić dwu-

dziestu pięciu ludzi, zabił Aleksandra Poryckiego, z którego żoną miał romans, ożenił się z nią, zginął gdzieś marnie na Szląsku. Najmłodszy, Stanisław, sprzedał Łañcut Lubomirskim, w wojnach szwedzkich przeszedł do Karola Gustawa, i w okolicach Biecza ogłaszał go królem. Ujęty przez Wielopolskiego, kasztelana krakowskiego i bieckiego starostę, oskarżony o zdradę, stracony był przez kata.

Nie przytaczamy szczegółów: są bardzo liczne i bardzo straszne: stąd przykre przerażające wrażenie z przeczytania książki. Na niektórych działa ono tak silnie, że woleliby, iżby książki wcale nie było. Te wiadomości — mówią — koniecznie potrzebne nie były, a wszystkim niechętnym mogą posłużyć za argument i broń przeciw Polsce. Nasze zdanie jest inne. Żadna prawda historyczna nie jest tak absolutnie potrzebną, iżby książka, która ją odkrywa, musiała wyjść koniecznie; iżby nie mogła przynajmniej czekać. Zapewne: ale gdybyśmy chcieli kierować się tem rozumowaniem, to prawdy historyczne mogłyby zostawać w ukryciu do skończenia świata. Żałujemy więc nie tego, że książka wyszła, tylko, jak już powiedzieliśmy na wstępie, tego, że autor naprzeciw niegodziwości polskich nie przytoczył, nie opowiedział podobnych niegodziwości obcych, a przez to nie odparł z góry argumentu, nie wytrącił, a przynajmniej nie stąpił broni, którą nienawiść może przeciw nam zwracać. Z tem zastrzeżeniem, wyznajemy, że książkę, jakkolwiek bolesną, przyjęliśmy z wdzięcznością. Nie możemy jej sądzić i oceniać naukowo: ale możemy widzieć i przyznać, że ona utrzymuje i może jeszcze wyżej podnosi szczerę podziwienie dla ogromnej pracy autora i dla jego świetnego pisarskiego talentu. Zdarzyło nam się słyszeć, jako zarzut, zdanie, że książka ta czyta się jak powieść. Zarzut niesłuszny. Powieściowego niema w niej nic. Autor nietylko nie nie wymyśla, nie dodaje, nie układa, nie zmienia, ale w opowiadaniu unika wszelkiego kreślenia obrazów czy scen: faktu, nie układane w grupy, nie opraviane w ramy. Ani żdźbła umyślnych efektów w układzie czy w stylu: owszem, autor tak unika wszelkich ozdób, jak żeby chciał być rzeczowym i suchym, jak te akta, z których rzecz swoją czerpie. Że to mu się nie udaje, że choćby najbardziej chciał być suchym, to być nim nie potrafi, ale słowem swoim zawsze czytelnika zajmie, pociągnie i do siebie przywiąże, to prawda. Ale tego za złe mu brać nie możemy: winszować raczej tego szczęśliwego daru, tej rzadkiej organizacji pisarskiej, w którą w dobrze utrafionej proporcej wchodzi żywość myśli, żywość uczucia, żywość słowa i zmysł artystyczny. Ten dar, te własności umysłu i talentu sprawiają, że Łoziński jest świetnym pisarzem: tak świetnym, jak mało który z współczesnych.

St. Tarnowski.

— *Leben Shakespeare's* von Robert Hessen. (Berlin & Stuttgart, Verlag von W. Spemann 1904). — *Shakespeare-Rätsel* von Eduard Engel (Leipzig, 1904. Hermann Seemann Nachfolger). Obie książki występują przeciwko rozpowszechnionemu mniemaniu, jakoby się bardzo mało, prawie nie wiedziało o życiu Szekspira. P. Edward Engel, znany w Niemczech szekspirolog, autor doskonałych *Dziejów literatury angielskiej*, powtarza w paru miejscach *Zagadek* to, co w owym dawniejszym dziele powiedział, iż „o żadnym wielkim dramatyku, o żadnym wielkim poecie angielskim szesnastego wieku nie wiemy tyle lub więcej niż o Williamie Szekspirze. Dla każdego, kto się w niego i w jego czasy zagłębia, jasnym jest zewnętrzny obraz Szekspira — człowieka we wszystkich ważnych zarysach“. — Obszerny zaś tom p. Roberta Hessena (który pod pseudonimem Avonianus pozyskał sobie zaszczytne imię jako dramaturg) jest tego twierdzenia pozytywnym dowodem, dając pełną i życiową *biografię* genialnego pisarza, ze wszystkich istniejących może najpełniejszą i najżywszą. Oparwszy się przedewszystkiem na angielskich źródłach autor w dziesięciu rozdziałach towarzyszy życiu swego bohatera, w ostatnim, rzucając krótki zarys dziejów pośmiertnej jego sławy. Zadaniem autora było widocznie, czytelnikom wielkiego poetę *menschlich näher bringen* i to też wybornie mu się udało. Z jednej strony do zamierzonego celu dochodzi dokładnością biograficznego opowiadania, z drugiej stanowiskiem, jakie w obec poety zajmuje. Oto mając dla niego oczywiście cześć i podziw, akcentuje w nim to, co Szekspira zbliża do ludzi zwykłych, tak za czasów Elżbiety jak i za dni naszych żyjących. Stąd uwydatnia silnie związek poety z historycznym i lokalnym środowiskiem poza tem zaś rozsypkami po całym tomie, zazwyczaj szczęśliwymi aluzjami do dzisiejszych stosunków i postaci, od Bismarcka aż do... Blumenthala i Kadelburga, z Szekspira robi również niemal aktualność. Mniej przynosi w zakresie historyczno-literackim, jeszcze mniej w sferze estetyki, ale ani jedno, ani drugie, o ile można wnosić, nie było jego przedsięwzięciem. Dzieła Szekspira naturalnie obchodzą go żywo, nie pomija żadnego z nich, lecz mówi zgodnie z zasadniczym punktem widzenia tylko jako o epizodach i częściach życia poety. Ustawiając je na tem tle jest często bardzo pouczającym; polecamy szczególnie ustęp o *Sonetach*, tę piątą Achillesową monografię o Szekspirze — tylko nie tej, gdzie p. Hessen przekonywująco udowadnia subiektywny i autobiograficzny charakter tych poezji i bardzo szczegółowo bada rzeczywisty kształt zawartego w *Sonetach* romansu, pierwowzór ich *dark lady* i przyjaciela. Wywody autora o wpływie purytańskich prądów są godne bacznej uwagi a taksamo i zestawienie *Hamleta* ze współczesnemi poecie wypadkami wprowadza w tajniki twórczości Szekspira. Słowem książkę czyta się

i z przyjemnością i z korzyścią, witając z zadowoleniem zdo-
biące ją piękne, doskonale odbite ryciny, przeważnie widoki ze
Stratfordu i tamtejszego domu Szekspira, aczkolwiek się wie,
że właśnie w ostatnich czasach wielu umieszczonym tam sprzę-
tom poczyna się odmawiać autentyczności.

Rzecz p. Engla na szczęście zajmuje się *Zagadkami Szek-
spirowskiemi* w liczbie mnogiej a nie jedną jedyną tylko, rozna-
miętniającą tylko nielicznych już fantastów kwestyą mniemanego
autorstwa Bakona. Autor zajmuje się wprawdzie i tem a nawet
w osobnym rozdziale zbija argumenty przeciwników „łabędzia
ze Stratfordu“ a ponadto prawie w każdym innym szkicu raczy
ich słusznemi w zasadzie lecz nieco niegrzeczniemi w tonie zarzu-
tami i szyderstwem, powtarzając się niestety; kto jednak te ustępy
szczęśliwie zignorować potrafi, dotrze do wywodów spokojniej-
szych, ciekawszych a pożyteczniejszych od walki z urojeniami,
w które już nikt prawie nie wierzy. Tak n. p. zaraz w drugiej
rozprawie p. t. *Czy Szekspir był we Włoszech?* P. Engel przyta-
cza z dzieł poety wszystko, co przemawia za hipotezą, że
Szekspir był istotnie za Alpami, a wskazując na rok 1593,
w którym z powodu wybuchu zarazy wszystkie teatry londyńskie
były zamknięte, na ten czas przyjmuje ową podróż. Ciekawszem
jeszcze a i silniej udowodnionem jest twierdzenie, znowu z dra-
matów wydobyte, iż poeta obierając często za tło akcji całe
Włochy od Lombardyi aż do Sycylii ostatecznie wyraźnie i do-
kładnie dwa tylko miasta przedstawia: Wenecyę i Padwę,
o Rzymie natomiast lub Florencyi, tak znanych z opisów po-
dróży i obcych opowiadań uderzająco mało mówiąc. Zbyt dużo
p. Engel naprowadza drobnostkowych dowodów by je tu można
było powtarzać; podajemy tylko jeden dlatego, że odnosi się
do wypadku, zaszłego w roku 1592, a więc bezpośrednio przed
przyjętym przez autora terminem przyjazdu poety do Włoch
północnych. Oto w swem źródle do historii królobójstwo
w *Hamlecie* Szekspir wyczytał, że króla zabija brat w otwartej
walce. Natomiast w odegrany przez aktorów urywku dramatu
o zamordowaniu Gonzagi, zbrodnia dokonywa się, jak wiadomo,
w ogrodzie. Skąd wziął poeta to imię i miejsce? Oto w r. 1592
Marchese Alfonso Gonzaga został w swej posiadłości wiejskiej pod
Mantua w południe zamordowany przez bandytów z poduszczenia
własnego synowca, pragnącego zagarnąć jego dobra. Naturalnie
nie jest wykluczonem, że Szekspir w Anglii mógł o tem słyszeć,
prawdopodobniejszem jest jednak, że na miejscu będąc w r. 1593
we Włoszech, zapamiętał sobie to zdarzenie. Z innych rozpraw,
mniej śmiałych w hipotezach, najcenniejszą jest rzecz o *Szek-
spirze w sądzie współczesnych*. Drobnym ale ciekawym jest ustęp
o *Szekspirze na Pomorzu*. Chodzi tu o odwiedziny sławnych
„angielskich komedyantów“ na dworze ks. Filipa Juliusza w r.
1606, gdzie w kościele zamkowym odbyli przedstawienia, jak

z przytoczonych przez p. Engla dokumentów wynika, w „obeym“ dla Niemców języku t. j. niewątpliwie w angielskim. Ma to i dla nas znaczenie, gdyż jak ostatni badacz dróg „angielskich komedyantów“ pan E. Herz podał, zawadzili oni również i o Warszawę. (Por. nasze sprawozdanie z książki p. Herza w zeszycie z lipca 1903 r.)

Dr. J. Flach.

— *Richard Wagner*. Von Wilhelm Kienzl. (*Weltgeschichte in Charakterbildern*. Fünfte Abteilung. Neueste Zeit). Mit einer Beilage und 91 Abbildungen. (München. Kirchheim'sche Verlagsbuchhandlung, 1904). — *Wagner-Brevier*. Herausgegeben von Hans von Wolzogen. (*Die Musik*. Herausgegeben von Richard Strauss). Mit einer Heliogravüre, drei Vollbildern in Tonätzung und vier Facsimiles. (Berlin, Bard, Marquard & Co.). — W Przedmowie do swej monografii o Ryszardzie Wagnerze autor słusznie mówi, że łatwiej byłoby o nim napisać wielotomowe dzieło, niż małą książkę. I istotnie: kto chce się zapoznać z potężną indywidualnością twórcy *Pierścienia Nibelunga*, nie jest w kłopotcie, o ile ma czas na przeczytanie grubych tomów; u Glasenappa znajdzie doskonałą, bardzo dokładną biografię, u Chamberlaina — żeby tylko te dwie najwybitniejsze prace wymienić — nie przedmiotową, lecz śmiałą i samodzielną i analizę poszczególnych dzieł i syntezę całego dzieła Wagnera. Kto natomiast skłonny jest tylko do przeczytania zwykłej objętości tomu, temu dobry nie odrazu się nasunie. Trudności są zrozumiałe. Wagner będąc artystą słowa i tonu zarazem, układając przytem w wielu rozprawach oryginalne pojęcia estetyczne, filozoficzne, nie mówiąc już o mniej wytrawnych poglądach społeczno-politycznych, w zasadzie wymaga podobnie wszechstronnego monografisty. W praktyce skutkiem tego dzieje się, że ten bierze za temat pracy Wagnera jako poetę, tamten znowu muzyka, inny estetyka lub filozofa, a chociaż p. Kienzl się poniekąd słusznie oburza na takie rozkawłkowanie tego, którego celem była właśnie synteza rodzajów sztuki, to ostatecznie z paru takich rozpraw, byle dobrych, przecież jakoś całość się złoży. Naturalnie lepiej jest, gdy się ją od początku ma, co właśnie autor uczynić zamierza.

Na ogół zadanie spełnia dobrze. Zasadnicze pojęcia w pierwszym rozdziale dobrze wyłożone, nadewszystko zaś jasno wyłuszczone, co to jest wagnerowski *Wort-und Ton-Drama*; użyty do popularnego uzmysłowienia przykład wydaje się nam trafny: „gdy komuś nagle zadam fizyczny ból, n. p. uderzając go w ramię, to on wyda krzyk, równocześnie wykona szybki ruch dotkniętym ramieniem, drugim może odeprze dalszy cios, twarz jego boleśnie się wykrzywi, w końcu może rzuci słowa, przeklinające sprawcę“. Otóż ten krzyk jest dźwiękiem, ruch ramieniem gestem ciała (żywą plastyką, tańcem), wyraz twa-

rzy gestem twarzy (malarstwo, sztuka aktorska), przekleństwa słowem — a tak mamy tu niejako owe dzieło wszechsztuki *in nuce*. P. Kienzl bada przejawy wagnerowskiej idei w przeszłości; odnośnie do literackich dzieł wykład jest sumienny, o ile zaś nie szwankuje w dziedzinie muzyki, osądzić nie umiemy; w fachowem piśmie wyczytaliśmy jednak, że p. Kienzl, autor głośnego i popularnego *Evangelimanna*, zna się oczywiście wybornie na muzyce, ale, jak często się to u kompozytorów zdarza, mniej dokładne ma wiadomości o dziejach muzyki. W drugim rozdziale naprzód idzie krótki rys życia artysty, bez zarzutu, tylko w przedstawieniu r. 1848, a potem stosunku Wagnera do Ludwika II nieco za pobieżny; Schopenhauera znaczenie uwydatnione bardzo wyraźnie, za to pominięty ze szkoda dla książki Feuerbach i co ważniejsza Nietzsche. Następny rozbiór wszystkich po kolei dzieł Wagnera, to najpiękniejsza i najbardziej pouczająca część książki. Szczególnie godną uwagi spokojna przedmiotowość, z jaką p. Kienzl, *a priori* zresztą deklarujący się jako wielbiciel i wyznawca mistrza, przedstawia rozwój jego twórczości, nie wahając się n. p. w *Rienzim* podkreślić hołdowania tradycyjnym kierunkom. *Tannhäuser* scharakteryzowany jako „najsobiektywniejsze dzieło Wagnera. Wewnętrzne walki artysty i jego walka przeciw światu przysięgającemu bezmyślnie na dogmaty i pogrążonemu w czezych formułkach, odzywa się tu niemniej wyraźnie, jak jego własna niepomahowana natura, wszystko chwytająca z namietnem całkowitem oddaniem się“. I w *Lohengrinie* wydobyte na jaw osobiste składniki, a dalsze dzieła aż do *Parsifala* pokazane i ocenione doskonale. Końcowy rozdział poświęcony Bayreuthowi, jego znaczeniu, jego dziejom i obecnemu stanowi. Tu znowu wykład jasny, a przy całej czci i miłości dla wielkiego mistrza wolny od przesady lub bałwochwalstwa. Rozumną jest n. p. myśl, że wagnerowski *Wort-Ton-Drama* stanowi ideał sztuki, lecz nie może uchodzić za jedyną dopuszczalną jej formę, już choćby dlatego, że tylko wyjątkowi geniusze mogą tę wszechszukę uprawiać. W ostatnim ustępie jest mowa o *Parsifalu*, przez Wagnera, jak wiadomo bezwarunkowo jedynie dla Bayreuthu zastrzeżonym i dopiero w ubiegłym roku przez zuchwałego dyrektora niemieckiego teatru w Nowym Yorku po raz pierwszy po za Festspielhausem wykonanym. P. Kienzl oczywiście gromi to lekceważenie woli twórcy, ale prawną ochronę *Parsifala* uważa za niewłaściwą, utrzymując słusznie, że tego rodzaju prawa albo żyją w sercach ludzi, albo w ogóle nie istnieją.

Prawdziwą ozdobą książki są liczne a dobrze odbite obrazki. Prócz wielu portretów Wagnera, osób w jego życiu znaczących, artystów czynnych przy pierwszym wykonywaniu jego dzieł, ciekawe są przedewszystkiem widoki i plany sytuacyjne *Festspielhausu* w Bayreuth, którego zasadę wielu budowniczych i este-

tyków pragnie zastosować do nowoczesnych teatrów w ogólności. W skromniejszych rozmiarach posiada podobny materiał ilustracyjny i druga książeczka *Wagner-Brevier*, wydana przez jednego z najwybitniejszych i najkompetentniejszych znawców mistrza, p. Hansa von Wolzogen. Wydawnictwo to odpowiada poniekąd naszym zbiorom *Złotyh myśli* danego pisarza, z tą tylko różnicą, że podaje nie obiektywnie najcenniejsze lecz subiektywnie najcharakterystyczniejsze wyjątki. W Niemczech panuje obecnie moda takich *Breviarzów*. W tym wypadku rzecz ma pewne zalety i przynosi istotną korzyść, wobec tego, że pisma Wagnera nawet w drugim, tańszem wydaniu zbiorowem, mało są dostępne. Naturalnie niema tu Wagnera-muzyka lub poety, jest tylko filozof, estetyk, myśliciel, polityk i t. d. Cytaty wzięte nie tylko z pism Wagnera, lecz także i z jego listów, zwłaszcza do Liszta i Augusta Röckela. Zgrabny i elegancki tomik, odznaczający się przytem niezwykłą taniością, może jednym przypomnieć, innym zastąpić Wagnera teoretyczne pisma.

Dr. J. Flach.

Z literatury powieściowej.

— Wł. St. Reymont: *Chłopi*. Powieść współczesna. I. *Jesień*, II. *Zima*. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1904). — Od roku 1898, od *Ziemi Obiecanej* p. Wł. St. Reymont nie ogłaszał powieści, tylko — po dłuższem całkowitem milczeniu — drobne opowiadania i szkice. Pisząc o tych ostatnich, wybaczyliśmy autorowi mniejszą ich wartość w obec równoczesnego drukowania się *Chłopów*. Budząc wielkie zainteresowanie, ta powieść wychodziła w *Tygodniku ilustrowanym* niezwykle długo a dalibóg i dzisiaj jeszcze nie jest zapewne skończoną. Mamy jej dwa duże tomy, pierwszy rzymską jedynką, drugi dwójką oznaczony, na ostatniej karcie krótkie słowa „koniec części drugiej“ ale czy i koniec powieści? Prawdopodobnie nie, bo pierwszy tom ma napis *Jesień*, drugi *Zima*, a zatem trzeba jeszcze *Wiosny* i *Lata* czekać. Jeżeli tak, to czemu nie się nie pisze, że to będzie romans w czterech częściach i czemu się te dwie pierwsze wydaje jakby były całością. Zręczdźmy może, ale pewien porządek jest przecież potrzebny. Zwłaszcza musi się go domagać krytyka. Bo co ona ma w tym razie robić: rozpatrywać te dwa tomy jako całość, czy czekać na dopełnienie czterech pór roku? Wybieramy pierwszą ewentualność, ale nie bez wahania i nie bez obawy, że nie upodobawszy sobie czy w tej lub owej postaci, czy w ogólnej perspektywie nie narazimy się na zarzut autora: czemu nie czekasz, aż całość będziesz miał, czemu o całości wyrokujesz, poznawszy przecież tylko jej część?

Ze środowiska wędrownego komedyanctwa przeszedłszy się do krainy przemysłu p. Reymont świat chłopski przedstawiał

nie w powieściach tyle ile w nowellach, tworząc galerię złożoną z kilkunastu dobrze utrafiionych portretów, malowanych z dużym rozmachem barwnie lub jaskrawo, z istotnym, lub przynajmniej zamierzonym realizmem. Były to jednak dopiero próby i ułamki, podczas gdy *Chłopi* są już dziełem na większą, jeśli nie na wielką skalę pojętem i poczętem, zapewne nie bez tej, w tytule, jeśli się zgadywać godzi, zresztą dość jasno wyrażonej myśli, by literaturze polskiej dać wreszcie raz powieść chłopską *kal'exochen*, której niema, którą mieć usilnie pragnie. Autor pisze, że daje czytelnikom „powieść współczesną“, to znaczy, że pokazuje dzisiejszych polskich wieśniaków, jak ich urobiły i ogólnoludzkie i specyalne społeczne, polityczne i narodowe przejścia. Szkoda, że nie ma terytorialnego określenia, czy to będzie chłop polski ze Szląska, czy z Mazowsza, z Kujaw, czy Krakowskiego. Tytuł mówi tylko o *Chłopach* w ogólności, w tekście wprawdzie nie ma nigdy wyraźnego określenia, lecz łatwo domyśleć się można, że tłem romansu jest polska ziemia z pod zaboru rosyjskiego a nawet w akcyi i w szczegółach charakteryzacyi odczuwa się wpływ tego właśnie a nie innego terenu. Jest więc oczywiście pewna niezgodność pomiędzy zasadniczą myślą utworu a jej wykonaniem, które ją ścięśnia. Dodajmy zaraz, że naszym zdaniem ta sprzeczność musiała powstać. Bo powieści chłopskiej, któraby istotnie miała prawo do tej nazwy, do dumnego w swej lapidarnej zwięzłości tytułu *Chłopi* nie napisze nikt, napisać nie może dlatego, że wieśniak polski innym jest — zwłaszcza dzisiaj — nad Wartą, a innym nad Wisłą. Powieściopisarz ma dwie drogi: albo odtworzyć całość duszy chłopu polskiego, ale jedynie danego szmatu ziemi polskiej (naturalnie bez przesady w różniczkowaniu) albo, chcąc uniknąć tego ograniczenia topograficznego, ograniczyć się do niewielu typowych cech, wspólnych całemu stanowi chłopskiemu w Polsce, a może i całemu stanowi chłopskiemu w ogólności...

Jesteśmy we wsi Lipcach, pod miasteczkiem Tymnowem, jesteśmy w chacie bogatego gospodarza Macieja Boryny, nad którym tylko wójt góruje obszarem posiadanego gruntu. Maciej jest wdowcem od paru miesięcy; nieboszczka żona zostawiła mu kilkoro dzieci: syna Antka, ożenionego już i w chacie ojca żyjącego, córkę, również za mąż wydaną, za kowala i młodszą Józję (jest jeszcze jakiś Grzela, o którym tyle tylko wiemy, że mu stary Boryna podobno raz po raz posyła pieniądze, ale ani jego nie widzimy, ani on udziału czynnego w akcyi niema). Chłop już prawie stary ale nie może się jakoś obejść bez kobiety i po długim namyśle i wahanu się, idzie w konkury do dorodnej dziewczki Jagusi, córki niezbyt bogatej wdowy Dominkowej. To niespodziewane postanowienie wywoływa łatwo zrozumiałe zdziwienie, nawet szyderstwo gromady, u rodziny zaś Macieja gniew, w różnym stopniu, zależnie od temperamentu:

Józia jako najmłodsza, najciszej znosi przykrości, kowalowie się burzą, lecz poszedłszy do głowy po rozum, udają zgodę, pochlebiają Borynie i przymilaniem się, skłaniają go do częstego okupu serdeczności. Najgorzej jest z Antkiem. Ten widzi się skrzywdzonym: ojciec jemu, swemu synowi, nie chce za życia dać części gruntu, by mógł być gospodarzem a nie parobkiem w ojcowskim domu, a Jagusi, obcej dziewczce, przed ślubem, zapisuje sześć morgów! Przychodzi do gwałtownej kłótni, ba nawet krwawej walki, pomiędzy ojcem i synem, Maciej wypędza z chałupy Antka i jego żonę a sam rychło potem, pod koniec jesieni obchodzi huczne weselisko z Jagusią. Kocha ją namiętnie i poczeiwie a ona ledwo go cierpi. To, o czym się poprzednio zaledwie tu i ówdzie coś słyszało, staje się coraz widoczniejszem: Jagna jako dziewczucha nie stroniła od idących na lep jej urody chłopaków, a miała jednego istotnie umiłowanego kochanka, nie kogo innego ale Antka Borynę. Teraz tem dokładniej pojmujemy się gniew syna ku ojcu, który mu zabiera dziewczynę. Tym szlakiem bieży odtąd akcja powieści aż do końca. Zrazu Antek bezsilnie się sroży, później Jagusia wraca w jego objęcia, co chwila z nagromadzonego materiału konfliktów pomiędzy synem a ojcem wybucha iskra, wreszcie płomień w przenośnem i dosłownem znaczeniu. Stary Boryna wpada na trop zdrady, śledzi niewierną żonę, przychwytyuje ją na nocnej schadzce z gachem w brogu, zapala go uzbroiwszy się w widły, Antek ratuje się ledwo z płomieni i z pod ciosu, ucieka, Jagusia więziona przez męża ponosi karę za wiarołomstwo...

I na tem ostatecznie główna osnowa powieści kończy się, o ile wypływa z pierwotnego i naczelnego źródła: osławionego w mieszczańskim dramacie, „trójkątu“ małżeńskie, przeniesionego tutaj, na grunt chłopski i zmodyfikowanego w kierunku *Don Carlosa* czy *Maxygy*. Żeby nam się bardzo podobało połączenie gacha i syna, kochanki i macochy w jednej osobie, nie powiemy, ale protestować przeciw takiemu „okraszaniu“ poetyckich motywów doprawdy nie śmiemy, bo u Zoli, będącego nie tylko w tej powieści, lecz już w *Ziemi obiecanej* poniekąd w wielu momentach mistrzem p. Reymonta, nie takie stosunki musi się znosić. Dziwimy się tylko, że w całym romansie, w obu tomach, dotąd znanych, z jednym jedynym wyjątkiem, mówiąc o miłości Jagny i Antka, nikt nie napomknie ani słowem, że to przecież rzecz podwójnie zdrożna, bo i wiarołomstwo i prawie *incestus* (owym wyjątkiem jest biedna Hanka, nieszczęśliwa, zdradzana żona Antka). Pragniemy uniknąć nieporozumienia i dlatego tłómaczymy się obszerniej: nie chodzi nam o niemoralność motywu, jako takiego, bo jeśli go Schiller użył i Słowacki, to wolno i p. Reymontowi (tak przynajmniej dzisiaj się rozumuje) ale o to, że osoby powieści, bądź główne, bądź poboczne i epizodyczne, z tego sobie sprawy nie zdają, o tem

wcale nie mówią, nie wiedzą, o to nie dbają, gdy tymczasem zarówno na dworze Filipa II, jak i w zamku Wojewody, tę zbrodniczość, czy to nieszczęście się czuje. Czyżby dzisiejszy chłop polski miał mieć mniej zmysłu moralnego niż królowie i panowie przeszłości? Chyba nie. Lecz po tej ekskursyi w dziedzinę etyki, wracając na pole czysto artystycznych sądów i wrażeń, nie podobna przemilczeć, jak wadliwą wydaje nam się budowa powieści (zawsze z zastrzeżeniem, że patrzymy na nią z ograniczonej perspektywy dwóch znanych tomów nie mogąc uwzględnić dalszych, na razie nie istniejących). Dwa walne zarzuty musi się wyrazić. Pierwszy dotyczy kompozycji i architektury powieści, rozmiaru poszczególnych jej części i ich wzajemnej proporcji. *Chłopi* składają się — obok głównego zrebu — z mnóstwa epizodów, luźnie z akcją związanych, a ogromem zbyt często nieodpowiednich rozsadzających budowę. Jeszcze raz wrócimy do tych epizodów, formułując ostateczne zdanie w najnowszym utworze p. Reymonta, na teraz stwierdzamy, że niektóre epizody n. p. Zaduszki, Boże Narodzenie i t. d. są folklorystycznie bardzo ciekawe i pouczające, jako obrazki zaś niezwykle malownicze, lecz w tych rozmiarach powieści raczej szkodzą i zawadzają. Są ponadto i postaci epizodyczne zajmujące niezaprzeczenie zbyt wiele miejsca. Dotyczy to szczególnie Rocha, przypominającego Józefę z ostatniego utworu p. Orzeszkowej, z *Anastaxyi*: u obojga ta sama tajemnica przeszłości, wytłómaczona stosunkami cenzuralnemi, lecz artystycznie niepomyślna, u obojga podobna cicha misja narodowa wśród ludu polskiego pod rosyjskiem panowaniem. Tylko pomijając wielką, naturalnie na niekorzyść p. Reymonta, różnicę poetycznej piękności, Rochogorszym jest od Józefy, bo mniej składnie niż ona przystosowywa się do wymagań całości, opowiada o królach lub świętych, czy duchach bardzo pięknie, ale nie zawsze w porę i nie zawsze w miarę. Tak n. p. z końcem rozdziału IX, tomu II, na str. 257 słyszymy bicie dzwonu na trwogę, krzyk: gore! widzimy wpadającego do chaty pokrwawionego, osmolonego, prawie nieprzytomnego Antka. Co to znaczy, nie wiemy na razie. I nie tak prędko się dowiemy. W rozdziale X. jesteśmy świadkami prześlicznej wieczornicy, słuchamy opowiadania Rocha o Kazimierzu Wielkim, potem innego o biednym gospodarzu i jego koniu, potem jeszcze ładnej historyi o Matce Boskiej, potem w rozdziale XI. przeszkadzamy Jagnie i Antkowi w miłosnej schadzce, aż dopiero z jego końcem na str. 302 ten sam dzwon, który bił na stronie 257, uderza... powtórnie? nie, bo to właśnie jest to samo bicie, które słyszeliśmy już wówczas, o którym przez dwa rozdziały musieliśmy zapomnieć, by mając uszy pełne jego dźwięków, słuchać opowiadania Rocha i patrzeć na rozmaite rzeczy. Tak się powieści budować nie powinno. Lecz do kompozycji *Chłopów* odnosi się i drugi nasz zarzut. Podając treść utworu, dążyliśmy szlakiem

głównej akcyi i znaleźliśmy się nagle u końca tej drogi, bynajmniej nie u końca powieści. P. Reymont albo nie chciał katastrofy efektownie zamykającej drugi tom, wysnuć z zasadniczego problemu, albo był zdania, że jej ztąd wysnuć nie potrafi i dlatego chwyta się innego środka, poprzednio i z lekka i sporadycznie tylko zaznaczonego. Oto pomiędzy dworem a chłopstwem w Lipcach panuje waśń o las, do którego gmina rości sobie prawa, przez dziedzica nie uznane. Wlecz się ta historia przez cały prawie ciąg powieści, widoczna jednak jedynie chwilami, a i wtedy tak jakoś pokazana, że się na nią baczniejszej uwagi nie zwraca. Aż nagle wybucha z końcem drugiego tomu. Chłopi rozgniewani na dziedzica, który las sprzedał na wyręb, idą hurmą na dwór; prowadzi ich Boryna. Czemu on właśnie? p. Reymont motywuje to tem, że od czasu owej okropnej sceny w brogu Maciej stał się zaciętym aż do straszliwości. Ostatecznie jednak czuje się, że p. Reymont Boryny jako przywódcy tłumu potrzebuje *coûte que coûte*. Dziedzie się broni, dworsey parobcy z borowym na czele wypadają na chłopów. Antek, który poprzednio długo pił i ojcu się odgrażał, widzi się teraz w obliczu możliwości zemsty. Wyciąga z pod kozucha flintę, celuje do ojca i... nie ma odwagi strzelić, przeciwnie krzyczy, by staremu pospieszono na ratunek; gdy borowy Macieja powala o ziemię, Antek rzuca się wściekle na napastnika a potem podbiega do ojca, podtrzymuje mu głowę i lamentuje. Boryna zrazu nieprzytomny, otwiera oczy i patrzy w Antka, jakby sobie nie wierząc, aż głęboka, cicha radość rozświeciła mu twarz, poruszył ustami parę razy i z największym wysiłkiem szepnął: — „Tyżeś to synu?... Tyżeś!... I omdlał znowu“. (Czy się w przyszłej *Wiosnie* obudzi, nie wiemy ale mamy nadzieję, że tak będzie). Zakończenie bardzo efektowne, nawet szczerze piękne, lecz spowodowane błędnie, bo nie wynikające z zasadniczego motywu. Ale może kto powie, iż spór dworu z gromadą od samego początku powinien być właśnie za główny motyw uważany. Nie, bo w takim razie czemuż aż do tej chwili trzymany jest w cieniu, gdzieś na czwartym, czy dalszym planie. Nie, bo powieść *cenzuralna*, z zasadniczym motywem sporu dworu z gromadą pod zaborem rosyjskim jest — z politycznych, nie artystycznych przyczyn — niemożliwą.

Przyglądając się postaciom powieści z osobna doznaje się dużego zadowolenia estetycznego. Bije z nich życie i prawda, a są tak wyraziste, tak mimo wspólności gruntu indywidualne, że zamienić ich nie sposób, że gdy ich nawet całą rzeszę przed oczyma mamy, każdą twarz rozpoznamy, każdy głos rozróżnimy, każde serce wyodrębnimy. Również niekłamane uznanie mamy dla żywości, malowniczości i plastyki poszczególnych scen i obrazów, zwłaszcza tam, gdzie autor malować może ogniem, krwią lub czarną nocą. Miłosne upojenia w największym zmysłowym szale, namiętne walki wśród duszących mocowań i blys-

ków noża — w nich p. Reymont jest artystą, jakiemu w tym rodzaju Polska niema dziś równego. A jednak... *Chłopom* nie możemy przyznać pierwszej roli w dotychczasowej twórczości autora a podobnież nie możemy ich uważać za rzecz wyjątkowej wartości, jak to z pewnej strony ogółu i krytyki się czyni. Pierwszą część tego ostatecznego sądu popiera dostatecznie cała poprzednia analiza utworu, z której wypływa, że niektóre wady poprzednich dzieł p. Reymonta n. p. *Ziemi obiecanej* tutaj występują w znaczniejszej jeszcze mierze. Drugą jeszcze innym argumentem stwierdzimy. Tą chłopską powieścią polską, o jakiej pragnieniu na początku pisaliśmy, *Chłopi* nie są — są *un roman* a nie *le roman* polskiego chłopa. Być może, że nie są nie z samej tylko winy autora. Schiller w rozprawie *Über naive und sentimentalische Dichtung* dzieli, jak wiadomo, poetów na tych, którzy *Natur sind* i tych, którzy *die verlorene* (scil. *Natur*) *suchen* i cytuje dwa przykłady: Homera spokojnie, prawie zimno opowiadającego o Diomedzie i Glaukusie, wrogach podających sobie na polu bitwy ręce na wspomnienie związku „ksenii“, i Ariosta unoszącego się nad bratającymi się Ferrau'em, sara-cenem i Rinaldem, chrześcianinem. Wywołamy protest twierdząc że wbrew ludzającym pozorom p. Reymont jest w Schillerowskim znaczeniu nie „naiwnym“, ale „sentymtalnym“ poetą. Prawda, on się nie rozczula nad wieśniakiem, jak to czyniła dawniejsza nasza „chłopska“ powieść aż do „malującego w słońcu“ Sewera; p. Reymont chce być realistą, chce *Natur sein* a w rezultacie on *sucht die verlorene*. I on bowiem patrzy na chłopa polskiego jako obserwator nie w nim będący, ściślej mówiąc, nie nim będący, ale poza nim, przyglądający mu się z zewnątrz. Obja-wem tego są n. p. owe folklorystyczne ustępy nadmierne w liczbie i rozciągłości, w treści zapewne prawdziwe, w tonie umyślnie spokojne, a jednak sztuczne, a jednak „sentymtalne“ w samej zasadzie, bo wywołane ciekawością obserwatora patrzą-cego na obcy świat i wiedzącego o tem, że to obcy świat, który mu się podoba, który go nęci, lecz którym on sam nie jest. I tu przyczyna, czemu *Chłopów* nie uważamy za wyjątkową powieść. Będzie nią istotnie „naiwny“ romans chłopski, zarazem chłopski *le*, a nie choćby najlepszy *un roman*. Być może, że na to jeszcze nie czas, czy — może już nie czas, kiedy i w życiu i w powieści nasz stosunek do chłopa polega na schillerow-skiej „sentymtalności“.

Dr. J. Flach.

TEATR KRAKOWSKI.

Stanowisko recenzenta zaczyna być synekurą; roboty znowu nie wiele, a gdyby ostatnia sobota wypadła tylko o jeden dzień miesięcznej daty później, nie byłoby do pisania ani jednego sprawozdania literackiego; wystawienie nowego utworu Przybylszewskiego *Śnieg* wypadło jeszcze w sam raz na ostatni dzień kwietnia.

Była wprowadzić przedtem „nowość“, a mianowicie *Najlepszy środek*, krotoczwila w trzech aktach Aleksandra Bissona, należy jednak do tych francuskich fars, które są wyższe ponad wszelką krytykę. Dowcipkuje się znaną i szablonową już metodą figlarnych łamańców scenicznych na temat, jaki jest najlepszy sposób na zabezpieczenie sobie wierności żony (utatuować ją!) nie mając żadnych pretensyi ponad wybawienie z kłopotu pewnej części zamożniejszych współobywateli, nie wiedzących, jak zabić wieczór. Artyści nasi grali tym razem dosyć żwawo i nie popsuli intencji autora. Umieją grać w farsie p. Zelwerowicz i p. Walewski; z dawnej naszej gwardyi dopisze w każdym występie w roli lekkiej p. Sobiesław, a z młodzieży sekundował p. Zawierski i słyszeliśmy wyraźną dykcję p. Rutkowskiej, która w krotoczwilach zawsze się odznacza i ma pewien zakres ról, w jakich żadna z koleżanek jej nie sprostą; dodawał werwy całemu przedstawieniu rzadki temperament pani Jutkiewiczowej i p. Sulimie powiodła się rola — i tak uśmiechając się spędziliśmy wieczór na niczem, wypoczywając (żeby powiedzieć prawdę) również po niczem.

Nie wystawiła Dyrekcyja dotychczas dalszych utworów odznaczonych na konkursie Wydziału Krajowego; niewiadomo jeszcze, czy dla braku odwagi (nie każdy ma zdolności na męczennika), czy też przez zbieg przygodnych okoliczności, które wypełniły kwietniowe wieczory w inny sposób. Przypomnienie tego zaniedbania niechaj nie będzie źle tłumaczone; to tylko z lojalności dla władzy, a trochę też przez ciekawość, jak też mogą wyglądać sztuki, które są jeszcze gorsze od najlepszej, oglądanej w zeszłym miesiącu.

Pobaraszkowawszy sobie z francuskim krotochwilcą mieliśmy potem czas wolny, który można było poświęcić wyłącznie rozważaniom o stanie sztuki aktorskiej u nas, nieprzerywanym przez żadne literackie dociekania. Bo oto stała się rzecz w Krakowie niesłychana: przez trzy tygodnie nie było urzędowej sobotniej premiery! Dodać jednak zaraz trzeba, że aktorzy mieli przez to jeszcze trzy razy więcej roboty, niż zwykle, bo nastąpiły wznowienia i gościnnie występy, a więc repertuar nie szczuplejszy, lecz jeszcze obfitszy, tak, że zamiast jednej sztuki na tydzień, trzeba było przygotować trzy! I tak uwagi o naszych artystach trzeba zawsze zacząć od zwrócenia uwagi na to, że pracują więcej, niż w jakimkolwiek innym teatrze i to przeciążenie pracą należy też uwzględnić, krytykując ich. Będzie też powszechna zgoda na to, że od najlepszych z nich nie trzeba wymagać więcej, niż od aktorów pierwszego teatru francuskiego „Comédie française“. Członek „Komedyi“ p. Le Bargy, zebrawszy sobie własną kompanię, objężdża z nią zagraniczne teatry i spędził z nią jeden wieczór na naszej scenie, wystąpiwszy w roli *Markisa Prioli*. Było to tem ciekawsze, że utwór ten jest już Krakowianom dobrze znany i właśnie w tej samej roli widzieliśmy tu dwóch z pośród najwybitniejszych polskich artystów, pp. Sobiesława i Kamińskiego. Sam p. Le Bargy jest rzeczywistym członkiem teatru „Komedyi francuskiej“ i rzeczywiście znakomitym artystą; towarzysze jego, przygodnie zebrani (jak zwykle przy takich wędrownkach), nie odznaczali się wcale. Nie można też snuć żadnych wniosków pochlebnych dla własnego domu z tego, że ogólny poziom przedstawienia wyższym był na przedstawieniach polskich, niż na tem francuskim; ale mamy zupełne prawo podnieść z naciskiem, że wspomnienie głównej roli, wykonanej przedtem dwa razy przez polskich artystów, nie straciło uroku ani po występie sławnego paryskiego aktora, a nawet niektóre części roli wykonane były dokładniej w interpretacji polskich artystów. Ilekroć chodziłoby o naturalizm, dzierżyłby prym p. Kamiński; chociaż nasuwa się uwaga, czy nie lepiej wyrzec się naturalizmu w scenach przedstawiających chorobę, które p. Kamiński wykonał był w sposób aż przygnębiający. Ważniejszem jest i do stwierdzenia przyjemniejszem, że pan Sobiesław uwydatnił był lepiej od pana Le Bargy to, co Priola sam o sobie myśli. Markiz traktuje swój zawód, jakby jakąś sztukę piękną, której jest sługą z powołania; o końcu swoim sam powiada, że spłonie od własnych żarów, sam się przetrawiając; jest nietylko zgniewany, ale naprawdę zdziwiony, gdy mu syn robi wyrzuty; możnaby powiedzieć, że markiz jest zaślepiiony złym urokiem własnego życia, że dał się oczarować demonowi miłostek; to nie zwykły, pospolity uwodziciel, to estetyk uwodzicielstwa. Takim go chciał mieć autor, a chociaż nie we wszystkim sprostał własnemu

pomysłowi, zamiar jest widoczny i dla aktora obowiązujący. Te zasadniczą cechę Prioli pojął i wyraził najlepiej p. Sobiesław.

Francuski artysta nie okazał się zdolniejszym od naszych, ale górował nad nimi — i to bardzo — techniką gry tak wykończoną, że nawet gra p. Kamińskiego wydała się przy niej jakby tylko z grubsza ociosaną. W tem drobiazgowem opracowaniu roli sekret powodzenia; każdy szczegół obmyślany był z największą dokładnością i ścisłością, każda cząstka roli wypróbowana na wszystkie strony. Popis był wynikiem pracy i talentu; pracy było w nim znacznie więcej, niżby z pozorów się zdawać mogło, a talent ujawnił się w tem właśnie, że na zewnątrz nie było wcale znać roboty, która jednak w niejednym ustępie była doprawdy mozaikową. Nie zdobył p. Le Bargy swej roli jednym wielkim szturmem intuicji, lecz raczej dłuższem, a systematycznym obłęzieniem; co więcej, przerabiał gotową już rolę w niektórych ustępach, co można było poznać po tem, że pewne analogiczne ustępy były w rozmaitych częściach utworu wykonane tak różnie, jakby do różnych odnosiły się charakterów. Rola przerabiana była częściowo, bez rewizji całości; ślady tego stopniowego opracowania były widoczne, lecz zawsze tylko w jakichś drobniejszych szczegółach; tu i ówdzie przez krótki moment zdradzał artysta swój warsztat, ale tak krótko i jakby przygodnie, że nawet nie było czasu utrwalić tego szczegółu w pamięci, tem bardziej, że znakomita gra zadziwiała widza bez ustanku takim bogactwem pomysłów, że nim się mogła obudzić refleksja nad jakimś ustępem, już uwaga zajęta była podziwem dla dalszej części roli. Trzebaby było widzieć koniecznie jeszcze raz tę rolę, żeby patrzeć już na nią tylko z zamiarem podpatrywania roboty; przy pierwszym widzeniu zbyt się używało samej przyjemności tej wielkiej gry, żeby się można było rozpatrzeć w niej należycie krytycznie.

Przypuszczam, że czem dłużej patrzyłoby się na grę tego artysty, tem trudniej byłoby rozstrzygnąć co bardziej podziwiać, czy olbrzymi talent, czy najskrupulatniejszą pracę; a czyż może być większa pochwała dla zdolności nad stwierdzenie, że talent nie cofa się przed pracą?

Możemy mieć artystów również zdolnych, jak „Komedia francuska“, lecz nie możemy widywać ról również dokładnie opracowanych, dla tej prostej przyczyny, że u nas niema na to czasu. Wiele aktorzy paryscy grywają w samym Paryżu jedną i tę samą rolę po sto, a czasem nawet po kilkaset razy. Gdy aktor dostanie tam nową rolę, ma przynajmniej kwartał czasu na obmyślenie jej i wie, że ta rola, to tyle, co sezon dla niego, podczas gdy u nas rola rolę ściga. Byłoby więc wprost śmiesznem, żeby p. Le Bargy stawiać naszym jako przykład pracowitości; ich pracowitość skazana jest z góry na to, żeby się nie mogła skupiać, lecz musi się rozstrzeliwać. Na to

nikt nie nie poradzi. Lepiej pomyśleć o tem, w czem gra paryskiego artysty mogłaby pomimo różnicy położenia i stosunków posłużyć za wzór. Połowę swego sukcesu zawdzięcza p. Le Bargy niewątpliwie znakomitemu opanowaniu głosu i ruchów; pod tym względem nawet p. Kamiński, najbogatszy ze wszystkich polskich aktorów co do ruchów, wydaje się przy swym paryskim koledze wcale ubogim. Na ogół zaś powiedzieć można, że pan Le Bargy użył w jednej roli (i to wcale nie gestykulacyjnej) dziesięć razy więcej różnorodnych ruchów, niż dobry i wytrawny krakowski aktor obmyśli ich w dziesięciu rolach. A cóż dopiero mówić o głosie, tym najwาลniejszym środku scenicznej sztuki, obecnie u nas tak lekceważonym, że młodszy przestają nawet całkiem pracować nad wyrobieniem dykeyi. Nie o tem już mówię, że p. Le Bargy mówił zawsze jednako wyraźnie, t. j. zawsze jak najwyraźniej, bo każdy aktor francuski uważałby sobie niemal za obrazę, że go się chwali za coś tak prymitywnego, jak wyraźna dykeya; wszak to rzecz szkoły dramatycznej! Pragnąłbym zwrócić uwagę, jak w głosie obcego artysty było zmian i różnorodności niemniej, niż w ruchach, jak zmieniał się nie tylko ton, napięcie głosu, ale nawet sposoby emisji i (co bardzo ważne) takt dykeyi. Pod tym względem przywykliśmy, niestety, na naszej scenie do wielkiej jednostajności; nasi artyści zwykli w przeróżnych rolach mówić jednakowo.

Znamienną cechą klasycznej gry francuskiej jest deklamacyjność i patetyczność. Polska sztuka aktorska zarzuciła już od pewnego czasu francuskie wzory; starsi tylko aktorzy mają w sobie coś ze scenicznego patosu, młodzi unikają go świadomie i umyślnie, jako rzeczy niewłaściwej. Najdalej odbiegł w tej dziedzinie od starych wzorów p. Kamiński; trudno też sobie wyobrazić większe przeciwieństwo, jak rolę markiza Prioli w interpretacji jego, a francuskiej. Gra p. Sobiesława zajmowałaby miejsce pośrednie, a może to właśnie byłoby „złotą średnią drogą“? Deklamacyjność psuła niektóre ustępy Prioli, zwłaszcza rozmowy z naturalnym synem i tylko niezrównana technika pana Le Bargy nie dozwalała, żeby publiczności udzieliło się natenczas wrażenie sztuczności, nienaturalności; z drugiej natomiast strony zupełny brak deklamacyjności nie może być też dobrym w roli zawodowego Don Juana, bo sam zawód jest deklamatorstwem i polega na przybieraniu pozy. Niema więc słuszności w zasadniczem i bezwzględnem potępieniu tej metody gry. Każda metoda jest dobrą w stosownym dla siebie miejscu, każda stanie się złą, gdy zapanuje wszechwładnie. Oby już nigdy nie wróciła na polskie sceny jednostronność deklamacyjnego patosu, ale zupełne wyrugowanie patetyczności byłoby bądźco bądź zubożeniem sceny. Szkoda, że nie na żarty zanoszą się na to zubożenie, a co najgorsza, że niektórzy nie chcą się

nawet uczyć porządnie mówić, wymawiając się... nową metodą, a walka z deklamatorstwem przeszła w zatracenie nie tylko deklamacyi, ale wręcz wszelkiego porządnego wymawiania.

Bardzo więc było na czasie zobaczyć znakomitego polskiego artystę dawnej szkoły, p. Bolesława Leszczyńskiego z Warszawy, który zbierał gorące oklaski za szereg gościnnych ról. Sposób jego gry znany jest Krakowianom i to nawet szczegółowo, pomimo, że artysta od niepamiętnych czasów nie zagościł na naszej scenie; przez dłuższy czas mieliśmy bowiem w naszym teatrze dokładną jego kopię w osobie p. Zawadzkiego. Naśladownictwo sięgnęło aż do modulacyi głosu i przeciągłego wymawiania niektórych końcówek! Tem ciekawsze było zapoznanie się z oryginałem. Repertuar dziwnie obfity, skala ról nadzwyczaj rozległa, od rezonerów do passionatów, od zamaszystego polskiego wojewody aż do postaci z najnowszego „modernistycznego“ dramatu. Przyjmowanie ról nowych, takich, które niczem nie przypominają tego repertuaru, do którego artysta przywykł przez długi szereg lat, a nawet zmierzają w kierunku wprost przeciwnym, wykonanie takich ról z całym przejściem i należytem zrozumieniem, jest najlepszym świadectwem, że prawdziwy talent nie starzeje się, bo zawsze może się odmładzać i póki tylko służy zdrowie, pozostaje czynnym, twórczym, zdolnym do wstępowania na nowe jeszcze szczeble. Pod tym względem niema obawy o p. Leszczyńskiego, bo mu zdrowia widocznie nie brak. Widząc go na scenie, jak się zachowuje i porusza, nie chciało się wierzyć, żeby to był człowiek już starszy; budziło się podejrzenie, że może tylko umyślnie dla przechwałki przypisuje sobie lata, których w rzeczywistości jeszcze nie ma.

Zaczęły się te pamiętne gościnne występy od rezonerskiej roli Ruszczyca w *Złotem runie* Przybyszewskiego. Zwracał od razu uwagę przepyszny głos, wart doprawdy złota, a głosem tym piersiowym, o nadzwyczaj szerokiej skali, umie artysta władać misternie. Drugim walnym środkiem pomocniczym są mu ruchy, a zwłaszcza taka umiejętność chodzenia po scenie, że celuje nią ponad wszystkich współczesnych, starszych i młodszych aktorów. Okazało się przy następnych występach, że p. Leszczyński, o ile tylko rola na to zezwala, zwykł używać ruchu na scenie w obfitości: lubi się przejść, przesiąść, obrócić, stać i siedzieć na przemian i przez to wprowadza znaczne ożywienie i miłą dla widza różnorodność. Używa tego sposobu chętnie, lecz w miarę i uwzględniając skrupulatnie rodzaj roli; nie nadużył tej ruchliwości nigdy, ani też nie użył niewłaściwie; umie też doskonale stanąć i stać, osłupieć i być nieruchomym, ilekroć tego trzeba. Ruchom towarzyszy zawsze odpowiednia mimika, do której wciąga nie tylko usta i oczy — jak na tem większa część aktorów poprzestawać zwykła — ale też

czoło, umiając je przedziwnie marszczyć na rozmaite sposoby. Mimice ust (śmiech, zdziwienie i t. p.), odpowiadają zawsze stosowne ruchy rąk, od najdrobniejszych, aż do szerokich. Oryginalne i przez innych artystów prawie całkiem nieużywane są dwa ruchy: zręczne podnoszenie przedramienia ku twarzy (namysł) i odwracanie przedramienia i rozwartej dłoni (w rozmowie). Takt dykeyi bardzo zmienny, co staje się dla artysty istną kopalnią efektów scenicznych; a jednak pod tym względem nie dorównał jeszcze p. Leszczyński paryskiemu artyście! Można więc i należy być w tym kierunku jeszcze śmielszym od p. Leszczyńskiego. Podnoszę ten szczegół z naciskiem dlatego, ponieważ młodzi nasi artyści grzeszą w tej sprawie coraz większą nieśmiałością, a skutkiem tego dykeya bywa nieraz całemi wieczorami — potężnie nudną. I czyż to nie zabawne, że po przeczytaniu afisza wie się z góry, jaka będzie dykeya „osób“, chociaż nie zna się jeszcze ich charakterów, ani nawet treści utworów!

Jak p. Leszczyński umie pielęgnować rozmaitość, pokazało się, gdy w drugim występie miał znowu rolę rezonera: hrabiego Trast-Saarberga w *Honorze* Sudermanna. Różnica wykonania ról odpowiadała należycie różnicy, jaka zachodzi pomiędzy... autorami. Ruszczyc był cyzelowany, Trast z grubsza krzesany, dostał ruchy bardziej miarowe, jakby zbliżone do wojskowych, a przemawiał, jakby z książki czytał; w tej roli najmniej było rozmaitości ruchów i dykeyi, i całkiem słusznie. Ociężałość myśli znać było doskonale w roli Margrabiego w starej komedii Juliusza Sandeau: *Panna de la Seiglière*, a wkrótce potem co za ruchliwość, żwawość, przedsiębiorczość i zapał w roli Petruchia w *Poskromieniu złośnicy*! Dodajmy do tego świetne wykonanie postaci margrabiego de la Rochepéans w *Safandulach* Sardou i w końcu rolę wojewody w *Maxepie*, a będziemy mieli wyobrażenie o rozległości pierwszorzędnego scenicznego talentu. W każdej z tych ról odniósł p. Leszczyński sukces wybitny, a trudno byłoby oznaczyć, która powiodła się najlepiej, a choćby tylko wskazać, w jakim rodzaju zdolność jego lepiej się wydaje, które role bardziej przystają do jego indywidualności, a które mniej i wymagają pewnego nagięcia się ku nim. Dziwna rzecz, że obserwacya tej gry nie wiodła pod tym względem do żadnego a żadnego rezultatu, pozostawiając zagadkę do końca nierozwiązaną. Należałoby z tego wnosić, że artysta w żadną rolę w ogóle nie wkłada swej indywidualności, że żadną zbytnio się już nie przejmuje. Nasuwa się też jeszcze drugie spostrzeżenie. Każdą rolę była obmyślaną zadowalniająco i wykonana jednolicie, konsekwentnie, ale bądźco bądź, nie można było oprzeć się wrażeniu, że psychologiczne obmyślenie roli nie dorównuje doskonałości technicznego jej wykonania. Niema też p. Leszczyński zwyczaju zaznaczać zasadni-

czych momentów roli silniejszym napięciem gry; gra zawsze jednak, równo i wszystkie miejsca tekstu są u niego zupełnie równouprawnione. Złota to zasada, o ile chodzi o techniczną stronę gry i pod tym względem oby te gościnne występy utkwily jak najbardziej w pamięci artystów naszego grona; ale mylna zupełnie zasada co do psychologicznego opracowania roli i wychodzi też w praktyce na to, że charakter nie przedstawia się jasno, brak mu plastyki, bo brak — perspektywy. W każdej roli należy podkreślać pewne jej miejsca, ażeby zwrócić uwagę na to, na czem autorowi najbardziej zależało, tego zaś p. Leszczyński nie czyni i stąd pochodzą pewne niedokładności. Wszystkie jego role były znakomitami co do techniki scenicznej, lecz co do psychologicznego opracowania tylko — poprawnie wykonanemi. Jest powszechne mniemanie, że najlepszym popisem p. Leszczyńskiego jest rola Wojewody w *Maxepie*; tak głosi opinia Warszawy. I w tej jednak roli za mało psychologii, za mało zastanowienia się nad tem, co wojewoda czuje i myśli, o ile myśli jego nie są bezpośrednio wyrażone w tekście i czarno na białem w druku podane. Czasem to aż raziło. Np. Wojewoda znalazłszy syna w pokojach Amelii, leżącego na ziemi bez znaku życia, każe poświecić mu w oczy. Scena o bardzo silnem napięciu dramatycznym, przechodzi w grze p. Leszczyńskiego całkiem bez wrażenia, bo artysta wymawia te słowa tak, jakby kazał poświecić w stu innych wypadkach, gdyby np. chodziło o odszukanie zgubionego jakiego przedmiotu... A tu tymczasem wojewoda jest w największem przerażeniu, boi się, czy syn nie martwy, niema odwagi sam mu się przypatrzeć i sam zbadać, czy żyje, lęka się przekonać o prawdzie i dlatego woła sługi i jemu to poleca.... Tu powinien Wojewoda drżeć, bać się, a gdy daje zlecenie słudze, powinno mu nie stawać tchu do wyrazów... Jeden z najpiękniejszych momentów roli, a przez warszawskiego gościa nie dostrzeżony całkiem! Było zaś takich opuszczeń więcej.

Podczas gościnnych występów trzeba z konieczności wymagać mniej od miejscowych artystów, z tej prostej przyczyny, że mając zbyt wiele do roboty, nie mogą pracować z należytą dokładnością; ścisła krytyka byłaby tym razem nie na miejscu. Zdarza się, że na prędko trzeba nawet ważną rolę obsadzić jakkolwiek, byle tylko wystawić utwór, służący do popisu gościowi. Przykro to jednak, że w naszym teatrze niema gotowej obsady do *Maxepy*! Mamy aktorów tylko do dwóch ról: samego Mazepę (p. Mielewski) i Amelii (p. Wysocka), i nie można było wcale wystawić sztuki, gdyby nie przypadek, że p. Kotarbiński pamięta jeszcze z młodych lat rolę Zbigniewa i formalnie poświęcił się i z konieczności wyszedł na scenę w tej roli.

W *Poskromieniu złośnicy* wystąpiła obok p. Leszczyńskiego także p. Stefania Lutomska, również artystka teatrów warszaw-

skich, w roli Katarzyny, zgola dla siebie niestosownej. Było aż nazbyt widocznem, że artystka usposobiona jest właśnie do ról... spokojnych! Szkoda, że nie mieliśmy już sposobności przekonać się o tem doświadczalnie, gdyż p. Lutomska w tej jednej tylko wystąpiła roli. Wartoby zaś zobaczyć Katarzynę w interpretacji p. Mrozowskiej, która ma istne powołanie do tej roli i jeżeli ją kiedy dostanie, będzie miała nadzwyczajne powodzenie.

Nim to nastąpi, namęczy się jeszcze i napsuje sobie może sporo talentu w rolach wręcz przeciwnych jej temperamentowi i całemu usposobieniu, jak się to znowu stało w roli Matyldy we wznowionym *Wielkim człowieku do małych interesów*. Z wiejskiej panienki, trochę w „kozaka“ się bawiącej, zrobiła p. Mrozowska jakąś amazonkę nie z szlacheckiego dworku, ale odrazu z... cyrku!! Wina spada oczywiście na Dyrekcyę, bo p. Mrozowska dość długo jest już na naszej scenie, żeby się uchronić od powierzania jej ról niewłaściwych, a za to wyzyskać jej talent należycie tam, gdzie jego dziedzina. Inaczej żywy talent zamieni się wkońcu na bezduszną rutynę, a szkoda na to p. Mrozowskiej, artystki posiadającej i talent znaczny i niepowszednie usposobienie do sceny. Dobrze grał za to owego wieczoru p. Kotarbiński Jenialkiewicza, a p. Zelwerowicz pokazał w roli Dolskiego, że dałby się wyrobić do fredrowskiego stylu. Wielką przyjemność sprawiła p. Jeremi: coś w niej zaszło, bo chociaż możnaby jeszcze wiele zarzucić, grała jednak (w roli Anieli) bez porównania lepiej, niż kiedykolwiek dotychczas; a więc jednak może czynić postępy! O nie też innego nie chodzi i gdy to raz da się stwierdzić, mamy już prawo mieć otuchę, że będzie coraz lepiej i zaufajmyż artystce, że nie zawiedzie nadziei wzbudzonych w sam raz w symbolicznym dniu 1 maja, wraz z rozbudzeniem się wiosny. Najgorzej ruszyć się z miejsca, a skoro to już stało się i początek dobrego zrobiony, ciąg dalszy będzie zapewne coraz lepszy. Artystka ta jest wogóle szczególnie zagadką dla krytyki: Debiut jej (jeszcze za poprzedniej Dyrekcyi) budził pewne nadzieje, ale zaraz potem nastąpiło jakieś zeszczywienie, skamienienie, trwające dziwnie długo, aż teraz wreszcie drgnęło znów trochę życie; z największą przyjemnością stwierdzić trzeba, że iskra nie zagasła jeszcze doszczętnie i jeszcze dałaby się rozdmuchać, co oby nastąpiło. Przedewszystkiem jednak trzeba się nauczyć chodzić po scenie, a zwłaszcza wchodzić na scenę, co p. Jeremi wykonuje fatalnie. Do arcyobitego repertuaru kwietnia należało jeszcze wznowienie *Końca Sodomy* Sudermana, wykonane całkiem dobrze przez p. Wysocką (Ada), Ordonównę (Katarzyna), p. Mielewskiego (Wilhelm) i Zawierskiego (Kramer) w głównych rolach, przyczem temu ostatniemu wypada zwrócić uwagę, żeby się starał koniecznie o nowe modulacye głosu, jeżeli nie chce przestać na tem, co dotychczas tak pięknie zdobył.

Na zakończenie miesiąca wystawiono *Śnieg*, dramat w czterech aktach Stanisława Przybyszewskiego, ogłoszony poprzednio drukiem (Warszawa, Stefan Demby, 1903), a grany już w Warszawie i w Łodzi. Nie zdobył się autor na nowe źródło natchnienia, pisze zawsze o jednym i tem samym, ale tym razem najprzyjemniej, bo temat wyczerpując, tak, że mógłby już bez popelnienia najmniejszej niekonsekwencji sięgnąć do innego przedmiotu, tem bardziej, że udało mu się wykrzesać ze swego tematu coś naprawdę oryginalnego; mógłby więc wycofać się z tych zapasów z zupełnem zadowoleniem swej ambicji. *Śnieg* trzeba tłumaczyć sobie przenośnią, jak dramaty Ibsena (od których autor wziął dużo faktury) i Ewę uważać nie za kochankę Tadeusza, lecz za personifikację tego, co autor zowie w tekście „tęsknotą“, zasadniczą tęsknotą, chociażby nawet „tęsknotą za tęsknotą“, a co jest po prostu życiem czynnem. Tadeusz życiem zmęczony znajduje wypoczynek w miłości, w Bronce; wypoczął, wraca do sił, poczuł się na nowo sobą, a że silny jest i nie do biernego używania, lecz na zdobycze stworzony, zwraca się więc na nowo w wir życia, chce „wyjść po za siebie“. Miłość (Bronka) nie zapełni mu duszy, ani nie da zupełnego zadowolenienia; ona dla niego nie żywotem, lecz tylko życia epizodem. To był tylko śnieg, który otulał głębę jego życia, śnieg dobroczynny, chroniący od zmarznięcia złożone w ziemi ziarenka, od zupełnego zaniku siłę twórczą gleby. Po wypoczynku przyjdzie wiosna, siły wrócą, śnieg stopnieje, bo już niepotrzebny i zaczyna się nowe poszukiwanie sposobności do czynów. Oby to tłumaczenie było prawdziwem! Znawcy Przybyszewskiego twierdzą, że jest pisarzem na wskrós subiektywnym, że wciąż opiewał tylko samego siebie, o tem tylko pisząc, co sam przeżył. Oby tym razem tak było! Zobaczmy zapewne niebawem, czy śnieg naprawdę stał, czy skończył się pewien okres twórczości Przybyszewskiego i jaką będzie świeża ruń, która winnaby się ukazać po stajaniu wyłącznego dotychczas tematu. Być przez lata całe jakby motylem wbitym na szpilce, znosić ciężkie męczarnie i to publicznie, przedmiotem będąc do widowiska, stało się już udziałem niejednego wybitnego pisarza, który począł się nieogłędnie rozpisywać sam o sobie i wplótł się przez to w zakłète koło; do rzadkości należy w takim życia biegu jasna refleksya, a komu ona dana, może się uważać za szczęśliwego. *Śnieg* sprawia wrażenie refleksyi jasnej tak, jakby jasnowidzenie. Ale o tem rozpisywać się nie chcę. Nie lubię, gdy „historycy literatury“ dokonują zbyt gorliwie „naukowych odkryć“ w zakresie, który jest po prostu uprawianiem plotkarstwa. Wszelki ból wzbudza szacunek, który czasem najlepiej wyrażać milczeniem.

W kilku już dziełach dramatycznych starał się autor rozwiązać zawile zagadnienie miłości; tym razem rozwiązał je naj-

zupełniej. Może być mowa oczywiście tylko o artystycznym rozwiązaniu, t. j. o podaniu jakiejś tezy, w którą da się wtłoczyć artystyczne przedstawienie życia; tego zaś dokonał Przybyszewski w *Śniegu*. W rzeczywistości nie da się to załatwić żadną formułą, bo co głowa, to... serce; rozwiązań zawilego zrównania musiałoby być tyle, ilu kochających ludzi. Powiedz mi, jak kochasz, a powiem ci, kim jesteś! Artyście wystarcza formuła, a skoro wymyślił nową, a dobrą, należy mu przyznać (artystyczną) zasługę. Pomysł miłości, jako owego „śniegu“, jest oryginalny i bardzo ładny, a przytem prawdziwy, bo możliwy. Miłość, mająca postaci więcej, niż kształtów obłoki, miewa niezawodnie i tę postać, a kto ją pierwszy spostrzegł, ma zasługę oryginalnego pomysłu.

Pomysł przybrany jest w szatę dramatu nieco rozwlekłego, mającego o jeden akt za dużo, a przytem pisanego nieprzejrzysto. Postępując metodą Ibsena, postanowił autor nadać swej myśli wszelkie pozory dramatu realistycznego. Zapędził się w tem z początku tak, że pierwsze dwa akty są — niczem, bo nie mówią nic. Jako część realistycznego dramatu, są na dobitkę bardzo słabe i pisane jakoś anemicznie, (tak, że jedynym silniejszym wrażeniem po drugim akcie jest uczucie — nudów. Dopiero w trzecim akcie spostrzegamy się, o co autorowi chodzi, napięcie nagle wzrasta, a czwarty akt sprawia wrażenie potężne, jakkolwiek są w nich znaczne nierówności i nie brak miejsc słabych. Należałoby dwa pierwsze akty złączyć w jeden, a w całym utworze przeprowadzić ścisłą rewizję tych miejsc, w których charakterystyka podawana jest bezpośrednio; są bowiem pewne niedokładności, a nawet sprzeczności w sądach o charakterach figur dramatu. Chociażby jednak autor swe dzieło wykończył z największą skrupulatnością, nie na wiele przydałoby się to polskiej poezji dramatycznej, gdyż utwór ten, jako dramat, jest metodycznie mylnie pomyślany. Ażeby był naprawdę dramatem, trzeba by widzieć dalsze Tadeusza losy i całą „akcję“ zacząć dopiero od ustąpienia (nie koniecznie śmierci) Bronki. Ona byłaby tragiczną a przepiękną postacią, gdyby zrezygnowała, sama miała jeszcze sposobność przekonać się, jak on potrzebuje, żeby stał nad nim śnieg; on zaś powinienby czynami udowodnić, że strząśnięcie pęt miłości było mu naprawdę potrzebne do czegoś — potrzebnego, że cała teoria „śniegu“ nie była tu czczym frazesem na wytłómaczenie postępku jakiegoś może histeryka! Chodzi o przekonanie widza o prawdzie! W teatrze nikt na słowo nie wierzy, a w *Śniegu* są same tylko słowa i słowa! To nie dramat jeszcze, ale doskonałe tło do przyszłego dramatu.

Z wykonania utworu nie można było być zadowolonym. Rola Bronki przerasta siły p. Ordonówny; w trzecim akcie próbowała niektórych nowych sobie środków scenicznych z takim

niepowodzeniem, że sprawiała wrażenie wręcz przeciwne zamierzonemu i nie tragiczną była, lecz zabawną. Żal było artystki, która jest tak sympatyczną na scenie, jak rzadko, a przytem tak sumienną pracownicą, że w właściwym sobie (a już wypróbowanym i tylekrotnie stwierdzonym!) zakresie ról, wyrobiła się na prawdziwą podporę naszej wcale nie przeludnionej sceny. Nie podolała też roli Ewy p. Arkawinówna, która dodawała sobie „demoniczności“ środkami niewyszukanemi, czysto zewnętrznemi; trudno, nigdy demoniczną nie będzie, mając powołanie do najpocziwszych mieszczańskich ról, których dostanie może. Tadeusza grał p. Mielewski, który z najweselszą w świecie miną dźwiga ciężar „omnibusu“ teatralnego i rzeczywiście tak się wprawił, że niema roli, którejby nie zagrał „poćprawnie“; inna rzecz, czy to nie szkodzi dalszemu rozwojowi jego talentu. Ponad „poprawność“ wzbijał się nieco p. Sosnowski w roli Kazimierza i on jedyny grał stosownie do allegoryjności utworu. „Nowocześni“ nie lubią wprawdzie wyrazu: allegorya, jako trącającego myszką, ale symbol nie jest niczem innem, jak realistycznie skrojoną allegoryą i podobno też allegorya była zawsze i na zawsze pozostanie w literaturze, tylko podaje się ją na rozmaite sposoby.

Dr. Feliks Koneczny.

Muzyka w Krakowie.

Zakończenie tegorocznego sezonu odpowiedziało jego niezwykłej, jak na „niemuzykalne“ miasto długości i urozmaiceniu. Odpowiedziało przynajmniej co do dekoracyjnej strony, gdyż Filharmonia czeska, którą sprowadziło Towarzystwo muzyczne na dwa koncerty, jest, jak dotychczas, wartością artystyczną *in statu nascendi*. Czechy produkują widocznie tylu muzyków na wywóz, że dla konsumpcyi krajowej zostaje tylko materiał niższego rzędu, co odczuwało się nawet w obsadzie poszczególnych instrumentów. W Filharmonii warszawskiej, w orkiestrze p. Czelanskyego nieraz zwracał uwagę bądź wyjątkowo ciepły ton klarnetu, bądź pełnia smyczków, bądź złocisty dźwięk trąbki. Tutaj pierwszym wrażeniem była nie barwa całej orkiestry lub jednego instrumentu, lecz siła, siła nieokiełznana artystycznie, a nieposiadająca równoważnika w *piano* i *pianissimo*.

Przy bliższem wsłuchaniu się, wrażenie to nie doznawało wielkiego urozmaicenia. Jeżeli *Tatry* Żeleńskiego ujmowały pewną dekoracyjną świeżością i rozmachem, to już fragment z *Tristana* zostawił pod względem wyrazu prawie wszystko do życzenia. Znikła cała *Verücktheit*, to, co stanowi istotę tej muzyki, pozostał szereg dźwięków i frazesów muzycznych, nie wyrażających zgoła treści poetyckiej i uczuciowej. Orkiestra była

jak gdyby człowiekiem prozaicznym i grubym, udającym poète szalu i duszę zróżniczkowaną. Słyszeliśmy słowa, ale ich misticzny związek i tajemnicze horyzonty, rozszerzające się poza dźwiękiem, nie otworzyły się ani razu. Bo też na *Tristana* trzeba było poety, a Dr. Zemanek, kierownik Filharmonii czeskiej, jest kapelmistrzem, wprawdzie współczesnym, nie *aus der guten alten Zeit*, ale zawsze kapelmistrzem. W dodatku brak mu wielu cech znakomitego kapelmistrza. Perspektywa orkiestralna, jaką roztacza przed słuchaczem, odznacza się szczególnym brakiem powietrza. Jeden temat siedzi na drugim; ciasno tam i duszno. Utwór symfoniczny, to rodzaj parlamentu, a dyrygent jest przewodniczącym. Otóż p. Zemanek nieświeźnie prowadzi obrady i często nie tylko nie umie utrzymać porządku przemówień, tak, że kilka głosów mówi odrazu z jednakowem natężeniem, lecz nieraz udziela głosu całkiem niewłaściwemu mówcy. Stąd chaos. Jeżeli zaś nie każdy dyrygent może być poetą wyrazu, to każdy bezwarunkowo musi być świadomym muzykiem i architektoniczną budowę kompozycji odtwarzać czysto i umiejętnie.

Brak ten okazała przedewszystkiem II symfonia Dworzaka, utwór zresztą tak mało poetyczny, że tylko najświetniejsze wypracowanie architektonicznej jego strony mogłoby uwydatnić pewną świeżość i „cierpkość“ harmonii, pokrywając nieduże stosunkowo, jak na dworzaka, bogactwo inwencji tematycznej. Że jednak grano z hałaśliwą jednostajnością, przeto wynik mógł być tylko jeden. Nie innego losu doczekała się uwertura z *Benvenuto Celliniego*, Berlioza, przyjęta do programu na czyjeś prywatne żądanie z bardzo małym pożytkiem dla naszej kultury muzycznej. Jeżeli nie mogliśmy usłyszeć *Symfonii fantastycznej*, albo *Romea i Julii*, nie mówiąc już o *Haraldzie*, to lepiej było nie grać uwertury, która mojem zdaniem, nie dorzuciła wiele do tych pojęć, jakie ma o Berliozie publiczność krakowska.

Program drugiego koncertu był o wiele bardziej interesujący i gdyby wykonanie utrzymało się choć trochę na właściwej wyżynie, wrażenia byłyby potężne. Moż nawet za potężne, zbyt wyczerpujące siłę nerwową uważnego i subtelnego słuchacza. *Symfonia patetyczna* Czajkowskiego, *Śmierć i Wyzwolenie*, i symfonia piąta Beethovena! Każde z osobna wystarczy, aby do dna wzburzyć duszę słuchacza, cóż dopiero jedno po drugim z małym wytchnieniem na *Idylli dla Siegfrieda*. Na szczęście, Filharmonia praska postarała się, aby złagodzić niebezpieczną potęgę wrażeń. Symfonia szósta Czajkowskiego tylko w pierwszej części była istotnie tragedją, zresztą nie bez przymieszki melodramatyzmu w wykonaniu, w czwartej zamazywała się prawie zupełnie przez nieustosunkowanie poszczególnych instrumentów, w trzeciej brak cieniowania nie pozwolił na ostatnie wielkie *crescendo*, druga zaś została zupełnie zniszczoną przez

zbyt szybkie tempo i nie tworzyła kontrastu z poprzednią i ostatnią. Jeszcze smutniej poszło ze *Śmiercią i Wyzwoleniem*. Genialny poemat był przyprawiony jak gdyby specjalnie dla wrogów muzyki programowej. Nawet z programem rozumowanym trudno było śledzić za rozwojem myśli muzycznej, program zaś ten w niewielu był rękach, bo Towarzystwo muzyczne nie postarało się o umieszczenie go w afiszu, sprzedawanym na sali. To też, nie znając prawie na pamięć arcydzieła Straussa, miało się wrażenie chaosu, oderwanych strzępków, nie łączących się w obraz. Winnym był znów brak plastyczności w poszczególnych motywach. Wszystkie były na jednym planie; nawet chwila, w której *des Todes Eisenhammer* spada z piorunową potęgą — mogła minąć niepostrzeżenie. Do dzieł subtelnych trudno przystępować bez skupienia i polotu. Dyrygent, który tego nie potrafi wydobyć ze swej orkiestry, lepiej uczyni, zrzekając się zatrudnionego zadania.

Najlaskawiej stosunkowo obeszyły się losy z symfonią piątą, w szczególności z andante i końcowem allegro. Być może, iż Filharmonia czeska miała tu przed sobą jakie dobre wzory, choć nie wzięła z nich tego rysu słonecznej potęgi, który musi jaśnieć w ostatnim olbrzymim hymnie radości. To powinno bić w niebo, świecić, grzmieć, porywać całą ludzkość w szal i zawrót. Inaczej raduje się wielki duch ze zwycięstwa nad losem, inaczej urzędnik manipulacyjny z awansu. Sucha trzeźwość jest w tym finale ode złego.

Sąd ten o Filharmonii czeskiej jest największą niespodzianką właśnie dla — piszącego te słowa. Instytucya, utworzona przez naród tak muzykalny, ciesząca się pierwszemi wskazówkami Ludwika Czelanskyego, zaprezentowała się, zupełnie wbrew wszelkim przypuszczeniom, jako ciało nieskrystalizowane ani w wyrazie, ani w formie. Nie chce się wierzyć, aby nad tą samą orkiestrą unosił się kiedy wulkaniczny, czasem zbyt wulkaniczny temperament Czelanskyego. Zwłaszcza utwory współczesne nie zdradzają ani śladu jego pracy, zaś Dr. Zemanek, muzyk zresztą uczciwy i sumienny, nie odznacza się ani temperamentem, ani magnetyzerskim wpływem na orkiestrę. Z tem wszystkiem trudno nie podziękować Towarzystwu muzycznemu i dyr. Barabaszowi za te koncerty. Urządzenie ich było zasługą dużą i godną wszelkiego uznania. Najsilniejsze wątpliwości krytyczne co do wykonania, nie osłabiają faktu, że Kraków znów usłyszał kilka arcydzieł. Już samo zestawienie mogło być pouczające nie tylko dla laika. Jak prostym i przystępnym wydał się po *Śmierci i Wyzwoleniu* ten sam Beethoven, którego nawet muzycy i przedewszystkiem muzycy traktowali za życia takimi wyrażeniami jak „barok“, „dziwactwo“, „ekscentryczność“, „niezrozumiałość“ i t. d. i t. d. Jaka stąd nauka dla wszystkich, którzy nie wahają się mówić i pisać o „dziwac-

twach“ Ryszarda Straussa! Zdawałoby się, że nie prostszego nad ideę poematu symfonicznego, a jednak jak mało ludzi rozumie dzisiaj, że poemat symfoniczny musiał się zrodzić i że jest logicznem ogniwem w rozwoju nie tylko muzyki, ale w łańcuchu ewolucyi, jaką przebywają z kolei wszystkie gałęzie sztuki.

Tak więc zakończyliśmy sezon koncertowy, bardzo urozmaicony i ciekawy, jak to raz jeszcze trzeba powtórzyć z uznaniem prawdziwem dla kierującej nim instytucyi. Następny powitamy już, jak się zdaje, w nowym przybytku, na prawdziwą pociechę wszystkim, którym niestosowny, niewygodny i nieestetyczny lokal „Sokoła“ zatruwał rozkosze słuchania. Ale dziś już słysząc głosy obawy, że sala w gmachu starego teatru nie zupełnie odpowie nowoczesnym wymogom i okaże niejedne braki. Byłoby to zapewne smutnem, już dlatego samego, że na nową salę koncertową zapewne długo czekać wypadnie i dlatego właśnie chciałbym zwrócić uwagę na parę wymogów, które muszą być uwzględnione, jeżeli cała korzyść z nowej sali nie ma się okazać iluzją.

Przedewszystkiem: garderoby. Należyte ich urządzenie jest warunkiem *sine qua non*, już choćby dlatego, że wpływa bezwarunkowo na frekwencyę. Kto choć raz zakosztował „szatni“ Sokoła, ten chyba wie, ile pracy, ciężkiej pracy fizycznej i zdemnerwowania kosztuje wejście na koncert, i decydował się na ten ryzykowny krok chyba pod wielkim przymusem moralnym, t. j. dla nadzwyczaj osobliwej produkcji. Przy mniej ciekawych przeważał z pewnością wzgląd na udręczenia, jakie pociąga za sobą oddawanie i odbieranie rzeczy w garderobie „Sokoła.“ Należy się spodziewać, że o tem nie zapomniano przy przebudowie starego teatru.

Powtóre: krzesła. Niepodobienstwem jest słuchać uważnie i oddać się tylko słuchaniu, siedząc na krześle tak niewygodnem, jak to, które weszło w użycie w krakowskich salach koncertowych. Koszta zbyt wielkie nie pozwolą zapewne na ustawienie foteli sprężynowych, tak jak w teatrze, lecz w każdym razie powinny to być *fotele*, zaopatrzone w poręczę wygodne, tak, aby można na nich oprzeć ręce i na haczyku zawiesić kapelusz. Siedzenia tego typu istnieją, są usuwalne, tak, że nie przeszkadzają w niczem zamianie sali na balową, jak to niestety ma być i w tym razie. Jeżeli względ ten dyktują widoki finansowe, jeżeli będziemy musieli pogodzić się dla niego z zewnętrzną stroną sali balowej, t. j. z różnemi złoceniami i malowidłami, może nawet ze zwierciadłami, to niech przynajmniej nagrodzi to jakaś wygoda. Kraków, słyszymy, nie może się zdobyć na salę wyłącznie koncertową, lecz tylko

na balową, w której *także* będą się odbywały koncerty. Zgoda i na to, jeżeli uczyni się coś i dla muzyki.... nietanecznej. Warunek, o którym mówię, jest drobnostką, lecz tylko na pozór.

Po trzecie: galeryja nie powinna być umieszczaną nad estradą. Warunek ten już omawiano publicznie i zapewne będzie spełniony. Dlatego wspominam tylko o nim, przechodząc do ostatniego życzenia: aby na sali były tylko miejsca siedzące. „Sokół“ dostarczył pod tym względem zbyt bogatych doświadczeń. Nie mówię już o szturmie na krzesła, o zamknięciu przejść między rzędami, o trudności dostania się na swoje miejsce i tyłu, tyłu innych przyjemnościach, jakie wynikają z tłoczenia się w sali widzów stojących. Głównem jest to, że w sali, gdzie są miejsca stojące, niepodobna utrzymać ciszy, bo samo ustawiczne „szuranie“ tworzy nieustający szmer i hałas, wprawdzie lekki, ale nie mniej drażniący. W nowej sali będzie galeryja i tam pomieszczą się ci słuchacze, którzy obecnie kupowali miejsca stojące. Ten wzgląd powinien, jak sądzę, przeważać przy rozważaniu tej innowacyi, która nowością byłaby w niewielu tylko miastach poza Krakowem.

Witold Noskowski.

Przegląd polityczny.

Kraków, 30 kwietnia.

W wojnie japońskiej niema dotąd rosyjskich powodzeń; są niepowodzenia ciężkie, bolesne, nawet upokarzające. Okręt, jeden z tegoczesnych morskich kolosów, ozdoba floty i jej filar, wzlatuje w powietrze, admirał, na którym spoczywały nadzieje zwycięstwa, ginie, z nim ginie cała prawie załoga; to straszne! Czem dopiero musi być dla Rosyi! Ta flota na wschodnich morzach na co ona zeszła? do czego jeszcze może być zdolną? Po świecie krążyły pogłoski, że Port-Arthur niedługo już zdoła się trzymać, choćby nieprawdziwa, jakim echem odzywać się muszą w rosyjskich sercach? A te długie o zamierzonych czy próbowanych usiłowaniach przerwania syberyjskiej kolei, nieprawdziwe może, ale do prawdy podobne? A wrażenie, jaki ten obrót rzeczy robić może na armię tam, na ludność tu w Europie? A stan tej armii, tych nieszczęśliwych rannych? Wszystko bolesne; upokarzająca ta wyższość przeciwnika w wyrachowaniach i zarządzeniach wojennych. To zdaje się niewątpliwem, że ostatnia klęska na morzu, że tragiczny koniec Petropawłowska, to była zasadzka przebiegle zgotowana przez Japończyków, nie dostrzeżona, nie odgadnięta, nie udaremniona przez Rosyan. Ten naród ma dziś słuszny powód do nieufności względem tych, którzy prowadzą jego sprawę. Dyplomacya nie przewidziała, nie odwróciła, nie uniknęła wojny, której Rosya nie chciała; administracya nie przygotowała jej należyście. O tej ostatniej wiadomo oddawna, że była pełna wad jawnych i ukrytych. Ale dyplomacya rosyjska bywała prze-

cież najczujniejszą, najbystrzejszą, najrzęczniejszą ze wszystkich, przynajmniej jedną z takich. Co się z nią stało? Czy się zmieniła? dlaczego? czy w Rosyi może zaczyna brakować ludzi? Oto smutne refleksye, któreby nam tłumnie nasuwały się do głowy, gdybyśmy byli Rosyaninami. A w wojnie porażka za porażką: dodane jedne do drugich przybierają rozmiary klęski. Trzymać się oni chcą i niewątpliwie będą; ale muszą przechodzić przez męki niepokoju, obawy o przyszłość, żal po stratach; orszak dręczących zmor, za którymi postępuje cicha ale najgorsza, najzjadliwsza, upokorzenie.

Gdyby być mistykiem, gdyby upatrywać zrządzenie boskie w tem, co może być prostym przypadkiem, miałoby się potemu dobrą sposobność. Ten okręt, którym się pysznili, na którym zginął ten admirał, którym się chlubili, nazywał się *Petropawłowski*; imię tej cytadeli, w której tylu znalazło męki, tortury, śmierć. Mistrz widziałby w tem zrządzenie boskie, znak kary za tych, co w tamtym Petropawłowsku cierpieli i ginęli.

Powtarzamy to, cośmy powiedzieli w początkach tej wojny; nie możemy się cieszyć, nie mamy się z czego cieszyć. Im większe niepowodzenie Rosyi, tem większa jej dziś i na przyszłość zależność od Prus, tem zupełniejsze ich nad Europą panowanie. Na tem my nie zyskać nie możemy.

Nie możemy więc cieszyć się z tego, co się dzieje tam; ale możemy i mamy powód smuć się z tego, co się stało u nas. W wojnie jest wielu, bardzo wielu Polaków i katolików. Arcybiskup warszawski pomyślał o tem, żeby mieli pomoc i usługę religijną i lekarską. Zawiazał komitet, zebrał środki, znalazł siostry miłosierdzia, lekarzy i księży gotowych na to ciężkie poświęcenie. Dostał nawet pozwolenie od rządu; dla dalekich, nieszczęśliwych, rannych, umierających Polaków i katolików urządził pomoc, opiekę, pociechę. Za to stał się celem zniewag i pocisków; on i inni członkowie tego komitetu. Tłuczono szyby, nasyłano obelżywe listy. Za co? za uczynek miłosierdzia i miłości nieszczęśliwych rodaków. Dla czego? bo, jak mówiono, te siostry miłosierdzia mogły opatrywać i pielegnować rannych rosyjan także, więc to niby patryotyzm rosyjski! Naprzód ranny przestaje być

nieprzyjacielem, jest nieszczęśliwym bliźnim i tyle; gdyby takiemu służyła polska zakonnica czy ksiądz, zrobiliby dobrze, zrobiliby swój obowiązek. Ale to nie było ich głównem zadaniem i celem; tym była opieka nad żołnierzami Polakami i katolikami. To, w pojęciu naszych niby wielkich patryotów, ma być obrazą ojczyzny, ujmą dla jej godności; to wywołuje oburzenie w gorących sercach i w opinii narodu! Kto ten naród? Garstka niedorostków, zbalamuconych i nakręconych, przez kogo? przez pruskiego agenta, czy przez rosyjskiego czynownika, czy przez socyalistę. Kto ci, których ta opinia tego narodu osądziła i potępiła? Arcybiskup Popiel, Ludwik Górski, czyli, co mamy najgodniejszego czei w całej Polsce jak długa i szeroka. Leopold Kronenberg, od tamtych młodszy, ale jeden z najpoważniejszych obywateli kraju; niewielu podobno takich, coby wielkiego majątku tak dobrze umieli używać jak on... Książę Włodzimierz Czetwertyński, który się bił w roku 1863 i poszedł na Sybir. To są ci zdrajcy, ci poniewieracze godności narodowej! Wy, którzy takie rzeczy robicie, przypomnijcie sobie, że to nie nowe, nie wy pierwsi. Od siedmdziesięciu lat powtarza się to ogłupianie i to psucie społeczeństwa, a wy tylko następcy tego Gurowskiego, co o zdradę oskarżał Mickiewicza, Skrzyneckiego, Czartoryskiego, wszystkich, tego księdza Mikoszewskiego, co o zdradę oskarżał Kajsiewicza. Trzeba się spodziewać, że nie skończycie jak tamci, ale zaczynacie jak oni. Takie oskarżenia są niegodziwością tych, co je rzucają; nie przysporzą ujmy tym, na których padają. Ale w jakim stanie może być społeczeństwo, w którem ony po tylu przykładach jeszcze powtarzać się mogą? Sędziwy Arcybiskup ma tę pociechę, że w dniach poświęconych pamiętce Męki Pańskiej, miał co złożyć na ofiarę temu swojemu Panu, który także był bity w twarz i poszyjkowany. My tej pociechy nie mamy, tylko smutek i wstyd sam.

Indywidua nie myślące, nie rozumiejące co robią, zawsze i wszędzie być muszą, a choć szkodzą, i nieraz bardzo, mają tę smutną wymówkę, że nie wiedzą co czynią. Ale ci co ich namawiają, co ich prowadzą, co ich popychają, tym można powiedzieć z Krasińskim: „Nie znam na was hańby słowa!“

Kto oni są? Nikt z Polaków, zdawało się i myślało. Albo socjaliści, albo agenci pruscy, albo przebrani za *patryotów* członkowie tajnej policyi rosyjskiej. Nie „*Komitet centralny ligi narodowej*“, nie uczestnicy jego organizacyi. Z pewnością nie, bo przecież urzędowe organa tej ligi i wszystkie inne z nią mniej lub więcej zaprzyjaźnione uczyły, przestrzegały, wyraźnie i stanowczo, że wszelka burda, wszelki pozor burdy czy rozruchu, byłby ostatniem głupstwem i szkoda, potępiały go z góry, gdyby się miał zdarzyć. Nie, to nie oni!

Sprawdziło się to, co się przepowiadało, stało się to, co przy takich organizacych zawsze było, i zawsze być musi. Ktoś z dołu zrobił coś, czego nie chcieli, co mieli za złe ci, co stoją na czele. Czy *Komitet centralny Ligi Narodowej* przekona się, że tak jest; że on organizuje, ale kto inny rządzi? Że ci zorganizowani nie jego słuchają, ale każdego pierwszego lepszego, który do nich szumnie przemówi, i trafi do ich uczuć zapalnych a głów niemyślących? Kto myślał, że *Komitet centralny* się przekonał, ten się łudził; a złudzenie rozwiązał on sam.

Przed tłuczeniem szyb mówiły wszystkie organa *Ligi*, że każdy najmniejszy wybryk byłby głupi i szkodliwy, mówiły to szczerze, z przekonania, tak myślały i miały rację. Ale kiedy się wybryk już stał, zmieniły zdanie, i to co przed tygodniem było głupie i złe, stało się może niekoniecznie potrzebnem, ale zupełnie usprawiedliwionem i dobrem. Przedewszystkiem niech nikt nie myśli, że to socjaliści, nie oni mają tę winę czy tę zasługę; to gorętsze, skrajniejsze żywioły organizacyi stworzonej i prowadzonej przez *Ligę*. Wiadomość urzędowa drukowana w jej pismach. Jakto? W tej organizacyi dzieje się coś wbrew zdaniu komitetu rządzącego i bez jego rozkazu? To jakaś dziwna władza i dziwna uległość podwładnych! Dla nas to nie dziwne, my wiemy, że tak być musiało, a inaczej być nie mogło; ale *Liga* miała wszelki powód do niemilego zdziwienia. Ona ogłaszała coś za głupie i szkodliwe a to się przecież stało? Jakże sobie poradzić w tem niemilem położeniu? Poradzić sobie sposobem najprostszym w świecie; powie dziś, że jest dobrem a przynajmniej nieszkodliwym to, co wczoraj było szkodliwym i złem. Darmo, swoją powagę każdy *Rząd* utrzymać

musi, a kiedy go nie słuchają, to musi słuchać, i dla utrzymania tej powagi, dla oka świata, musi udawać, że jest słuchany, i że cokolwiek się dzieje, to z jego władzy i zgody a przynajmniej nie wbrew jej. Takiem rozumowaniem doszedł *Komitet centralny Ligi Narodowej* do tych zdań, które czytaliśmy w jego dziennikach. On wie doskonale, że wszystko, co może rządowi rosyjskiemu dać jakąś zaczepkę, jest zgubne; ale kiedy *gorętsze i skrajniejsze żywioły* myślą i postępują inaczej, to on musi udawać, że się z nimi zgadza, bo inaczej one mogłyby wręcz wypowiedzieć mu posłuszeństwo, a wtedy cóżby się stało z nim jako *Rzędem*, w coby się obróciło jego stanowisko, jego powaga? Czyli: chcąc udawać, że prowadzi, musi się dać prowadzić, że rozkazuje i rządzi, musi ulegać i słuchać, musi robić nie to, co sam chce i ma za dobre, ale to co się podoba „skrajniejszym i gorętszym” namówionym i prowadzonym przez kogo? Sam komitet centralny nie zaręczy, że nie przez pruskiego lub rosyjskiego tajnego agenta. Wiecznie ta sama historia i ten sam skutek tajnych organizacyi i wiecznie ten sam los tych patryotycznych lieytacyj, które siłę swoją mają nie w prawdzie swojego przekonania i swojej polityki, tylko w sztuce podobania się i podechlebiania. *Schmähliche Knechtschaft*. Nie śmieć powiedzieć tego co się myśli, udawać, że się ma za dobre to, co w swoim przekonaniu i sumieniu ma się za złe, pochwalać to, to jest poniżenie jedno z największych, jakiego człowiek na sobie samym dokonać może. Ale gdzie chodzi o Polskę, o większe lub mniejsze dla niej złe, szkodę lub klęskę, tam takie uleganie temu co się ma za złe, taka ze złem potulna zgodność, takie udawanie, że ono nie jest złem, staje się czemś więcej, jak poniżającym zaparciem się swego przekonania, bo staje się pomaganiem do szkodenia ojczyźnie.

Pierwsze pytanie, jakie musiał rozwiązać parlament austriacki w sesyi poświętej, dotyczyło wyboru delegacyi wspólnych. Czy te delegacye zostaną wybrane, czy też ich wybór zostanie uniemożliwiony przez obstrukcyę Czechów? Że to pytanie — na niekorzyść klubu młodoczeskiego — mogło powstać i wzburzyć masy, przyczyny wypadu szukać w nieoględnem postępowaniu prasy młodoczeskiej i części

samych posłów młodoczeskich. Prasa młodoczeska nie jest politycznie uorganizowana, nie walczy ona w jednym szeregu z posłami młodoczeskimi, ale obok nich często po za nimi. Ta prasa co chwila rzuca nowe jakieś hasło, nowe jakieś zarzewie w masę, a kiedy posłowie młodoczescy nie mogą urzeczywistnić tego nowego hasła, powstaje przeciwko nim rozgoryczenie w masach, z którego korzystają radykalne żywioły. Tak się rzecz miała przy wyborze delegacyj wspólnych. Z samego początku było pewnem, że wobec brzmienia obecnego regulaminu izby, ten wybór musi przyjść do skutku i że żadna obstrukcyja nie jest w stanie go uniemożliwić. Pomimo to głosiły ustawicznie dzienniki młodoczeskie, że delegacye wspólne nie zostaną obrane, że Młodoczesi gotowi są dopuścić nawet do walki na pięści, ażeby tylko delegacyj nie obrano, a skutkiem tego ministerstwo p. Koerbera zmuszone będzie do ustąpienia. Te groźby, jak każdy znawca stosunków parlamentarnych austriackich wiedział, były zupełnie płonne. Choćby nawet Młodoczesi jedno posiedzenie przez usunięcie gwałtem prezydium izby, byli zerwali, to przecież za pomocą zwykłych technicznych środków ostrożności dałby się być z łatwością przeprowadzić wybór delegacyj na drugiem posiedzeniu. Groźby Młodoczechów były więc tem, co się u nas nazywa: strachy na Lachy. Jeżeli zaś Koło polskie w ogólnem staraniu o przeprowadzenie porządku w izbie i o umożliwienie rzeczowych obrad, zajmowało się także wyborem delegacyj wspólnych, to czyniło to zapewne nie z obawy, że delegacye wspólne wogóle nie zostaną wybrane, jak ze względu na cesarza i na wrażenie, jakie musiałaby wywołać za granicą bitka w parlamencie przy sposobności wyboru delegacyj, owego łącznika między parlamentem austriackim a polityką zagraniczną monarchii. Z tego powodu zgodziło się zapewne Koło na żądanie Młodoczechów, ażeby wybór delegacyj przed świętami nie miał miejsca, ale ażeby został odroczony do sesyi poświętecznej, na co tem łatwiej zgodzić się mogli, że hr. Gołuchowski oświadczył, iż mu zupełnie nie zależy na szybkości przy wyborze delegacyj. Izba rozeszła się też na święta bez najmniejszego wyniku dodatniego, nawet bez wyboru delegacyj; czy Czesi przyrzekli Polakom, że po świę-

tach przeciwko wyborowi delegacyj nie wystąpią, czy też takiego przyrzeczenia nie dali, trudno stwierdzić. Podczas feryj wielkanocnych występowała prasa młodoczeska dalej z groźbami, a poważniejsze organa czeskie stwierdzały tylko, że posłowie młodoczescy przyrzekli działać na ogólny komitet czeski w kierunku zezwolenia na wybór delegacyj. Po zebraniu się parlamentu trwało dalej przekonanie, że posłowie młodoczescy uniemożliwią wybór delegacyj, a kiedy postanowili, że dalej trzymać się będą obstrukcyi technicznej bez obstrukcyi za pomocą gwałtu, powstało wielkie rozczarowanie w całym prawie dziennikarstwie czeskiem. Z tego rozczarowania skorzystali radykali czescy, którzy urządzili obstrukcyę zapomocą gwałtów przy wyborze delegacyj i w tej walce zostali oczywiście pobici. Delegacye zostały wybrane, ale dla Młodoczechów miała ta kampania ten skutek, że w ludności czeskiej powstało przekonanie, iż Młodoczesi nie prowadzą walki przeciwko ministerstwu p. Koerbera na seryo. Z klubu czeskiego wystąpili radykali i tak Czesi mają znowu w parlamencie reprezentantów, uderzających na siebie i prowadzących walkę w lieytacyi o sympatye mas. Jednolitość klubu czeskiego została rozbita.

Ten wynik walki o delegacye nie przerwał rokowań, prowadzonych przez Koło polskie celem przywrócenia spokoju w parlamencie. O ile sądzić można, są te rokowania bardzo trudne, już dlatego, że nikt właściwie nie wie, kto jest winnym w obecnej zagmatwanej sytuacji. I Niemcy i Czesi twierdzą, że są gotowi do zgody, ale kiedy przychodzi do sformułowania warunków tej zgody, i Niemcy i Czesi cofają się. Niemalą rolę gra tutaj zapewne i brak rozstrzygających osobistości po obu stronach. I między Niemcami i Czechami niema nikogo, ktoby był w stanie wyrzucić wpływ na swoich popleczników. Między Niemcami jest mnóstwo partyj; każda ma na celu pewne osobistości, które znowu zależne są od prądów i prądików wewnątrz swoich stronnictw i które jedna drugiej nie dowierza. Nie wiemy, czy pp. Lueger, Gross i Derschatta bardzo sobie dowierzają i nie wiemy, czy ci panowie nie obawiają się znowu — z wyjątkiem może p. Luegera — ostracyzmu ze strony swoich bliższych popleczników. A w dali po za nimi wszystkimi

stoi dotąd jeszcze groźnie postać p. Schönerera, który stracił wprawdzie bardzo znacznie na znaczeniu i wpływie w masach, ale który przecież przy jakiej sposobności — np. przy sposobności ugody z Czechami — mógłby znowu wypłynąć na wierzch i krzyżeć na zdradę. Czesi znowu cierpią na dysharmonię między chęciami a siłami, na brak otwartości w czynach i słowach, na brak mężów stanu i na brak prasy, prawdziwie politycznie działającej. I po za nimi stoi radykalizm, czychający tylko na sposobność porwania za sobą mas, zawsze idących za tym, kto mocniej krzyczy i gwałtowniej się porusza.

Jeżeli się do tego doda, że w tej specjalnej czesko-niemieckiej walce chodzi właściwie o walkę Słowian austriackich przeciwko rzeczywistej hegemonii, jaką wywierają tradycyjalnie Niemcy Austrii, to łatwo można pojąć, jak trudno jest tutaj znaleźć drogę do pokoju. Każda ugoda musi ostatecznie żądać pewnych koncesyj od Niemców, skoro ci są *beati possidentes*.

Nie wiemy do czego zdążały propozycje Koła polskiego, ale to wydaje nam się zupełnie naturalnem, że w pierwszej linii musiało się rozchodzić o przywrócenie porządku w parlamencie, o to, ażeby parlament pracował, a nie tracił czasu na głosowaniach imiennych, nagłych wnioskach, na odczytywaniu dosłownem interpelacyj i tym podobnych żartach. Przywrócenie porządku w parlamencie miałoby już ten skutek, że Czesi i Niemcy opuściliby stanowisko stron wojujących i przyjęli stanowisko partii ze sobą obeujących. Podczas obcowania w parlamencie dałby się znaleźć pewien *modus vivendi* dla obcowania poza parlamentem, i droga do zgody byłaby znaleziona. Myśl zmiany regulaminu izby, jaka w pierwszej linii zajmowała Koło, musiała, o ile nam się zdaje, zniknąć niezadługo z horyzontu. Rzecz ciekawa! Przy każdej sposobności, przy każdym skandalu krzyczą wszystkie prawie stronnictwa, że regulamin izby nie daje możliwości położyć końca skandalom; ale kiedy rozchodzi się o zmianę tego regulaminu w sposób zwrócony przeciwko skandalom, nikt się na tę zmianę zgodzić nie chce. W gruncie rzeczy śpi w każdym stronnictwie tajemne przekonanie, że może w danym razie zmuszone będzie to samo

do użycia skandalu za broń parlamentarną. Sukcesa, jakie skandal w parlamencie odniósł w polityce praktycznej w Austrii, są dzisiaj przyczyną, że nikt się możliwości skandalu rzec nie chce. Los p. Badeniego jest najlepszą gwarancją niewzruszalności obecnego regu'aminu izby austriackiej. W chwili ustąpienia p. Badeniego skutkiem walki na pięści w parlamencie rozpoczęła się era tryumfu skandalu w Austrii i w tej erze znajdujemy się dotychczas. Z natury rzeczy wynika, że największymi przeciwnikami zmiany regu'aminu izby byli socjaliści; oni liczą i muszą liczyć na konieczność bezkarnego użycia pięści w walce parlamentarnej.

Wszystko to tłumaczy, dlaczego także i po świętach wielkanocnych trwał w parlamencie austriackim dawny chaos i dlaczego nad tym chaosem unosiło się zupełnie wszechwładnie ministerstwo p. Koerbera, które w § 14 ma zawsze najlepszy surogat parlamentaryzmu.

Na Węgrzech nastąpiła wprawdzie zmiana stosunków parlamentarnych, obstrukcyja została zawieszona, ale dawny chaos trwał tam dalej. Zaraz po zaprowadzeniu względnego spokoju w parlamencie nastąpiło ogólne bezrobocie wszystkich urzędników i sług kolei państwowych węgierskich. Około 6000 osób przerwało pracę, wystąpiło z biur, urzędów, z warsztatów, ze stacyj, z kas, żądając polepszenia doli. Przez parę dni były Węgry bez kolei, bez pociągów, były po za Europą. Jak zawsze w takich wypadkach tak i tym razem przyszło do rozlewu krwi; kilkudziesięciu zabitych i rannych pozostało na placu tej walki o chleb i pokój został wreszcie przywrócony. Nie ulega wątpliwości, że wszyscy ci strejkujący popełnili bezprawie; zupełnie jest czemś innem, jeżeli robotnik, związany tylko umową prywatną, przestaje pracować, jak jeżeli urzędnik, związany przysięgą, wypowiada służbę, ale pomimo to, zdaje się pewnem, że stosunki w administracyi węgierskiej muszą być złe, jeżeli 6000 ludzi stawia tak na kartę swoją egzystencję i egzystencję swoich rodzin. P. Tisza, który okazał w parlamencie niemało energii, okazał ją i tutaj i pozostał zwycięzcą. Maszyna państwowa, choć to była maszyna państwowa węgierska, przewyciężyła opór tych drobnych kółek i dalej się toczy. Węgrzy przygotowywali się tymczasem do nowej uroczystości

narodowej: do sprowadzenia popiołów Rakoczy'ego, jakie skutkiem rozporządzenia cesarskiego miały spocząć na ziemi węgierskiej. Podziwiać wypada doprawdy tę wielkoduszność cesarza Franciszka Józefa, który podporządkowuje wszystkie osobiste i tradycjonalne uczucia swoje i swojego domu interesom monarchii. Czy jednak tym razem p. Tisza cesarzowi dobrą dał radę, nie wiemy; czy stosunki na Węgrzech, stosunki polityczne i socyalne są tego rodzaju, ażeby już dzisiaj w ten sposób niejako manifestować harmonię między ludem a rządzącym, trudno osądzić. Najbliższa już może przyszłość okaże, czy tak szlachetne, tak zapominające o sobie postanowienie naszego monarchy na odpowiedni natrafiło grunt.

W polityce zagranicznej trwała z jednej strony wojna między Rosyą a Japonią, z drugiej starały się wszystkie prawie ludy europejskie zabezpieczyć spokój za pomocą układów międzynarodowych. Nigdy może prąd pokojowy tak daleko nie sięgał, jak w tych wojennych czasach. Wojna wypadła, jak dotychczas, na niekorzyść Rosyi i Rosya straciła wielką ilość pancerników i straciła swojego najlepszego, jak twierdzą, admirała Makarowa i — w wojnie przypadek główną odgrywa rolę — jednego z najlepszych swoich malarzy Wereszczagina, który zginął śmiercią, przed którą swoimi obrazami największą wzbudzał zgrozę. Pomimo tych niepowodzeń Rosya nie traciła pewności, że w końcu musi zwyciężyć i za pomocą prasy rozszerzała wiadomości o swoich przygotowaniach i swojej niezwyciężalności. Zupełnie inaczej postępowali Japończycy. Ci zupełnie nie o sobie nie donosili, nikt nie wiedział gdzie są ich wojska i gdzie jest ich flota, tylko od czasu do czasu słychać było o jakimś zwycięztwie. O ile się zdaje, była prasowa organizacya Japończyków również lepiej przygotowana do wojny, jak prasowa organizacya Rosyi.

Miedzy Anglią a Francją zawarty został układ, w którym Francya zrzekła się praw rybołówstwa w Nowej Fundlandyi, uznała hegemonię angielską w Egipcie, w zamian za to otrzymała prawo do protekcyi nad Marokko i Siam, tudzież regulacyę granic w Afryce zachodniej. Ten układ jest charakterystycznym dla obecnych stosunków politycznych, w których granice krajów znikają i cały świat jest obsza-

rem panowania dla państw europejskich. Bez względu na treść umowy ma to zawsze niemałe znaczenie, że Francya, dotychczas uważana za satelitę Rosyi, tak otwarcie połączyła się z jej największym przeciwnikiem, z Anglią. Czy ta umowa francusko-angielska nie wpłynie na dwuprzyzmięcie, nie wiadomo; do jej wzmocnienia się nie przyczyni, chyba że udałoby się Francyi pozyskać z czasem Anglię dla Rosyi, o czem zaczęli marzyć niektórzy politycy, którzy chcieli uzyskać interwencyę króla angielskiego w wojnie rosyjsko-japońskiej. Myśl tej interwencyi zajmowała prasę rosyjską; część tej prasy odrzuciła ją z dumą, oświadczając, że tylko car ma prawo rozstrzygać o wojnie, podczas gdy inne dzienniki rosyjskie wcale przyjaźnie się wyrażały o tej myśli. Jak na teraz, jest myśl interwencyi Anglii w wojnie rosyjsko-japońskiej rodzajem *ballon d'essai* Anglia tymczasem skorzystała praktycznie z wojny, zajmując część Tybetu, a więc chroniąc się w ten sposób przed dawniej za groźny uważanym napadem Rosyi na Indye.

Rząd francuski, który pozyskał za pomocą układu przyjaźń Anglii, starał się równocześnie o pozyskanie przyjaźni Włoch za pomocą odwiedzin prezydenta Loubet'a w Rzymie. Po raz to pierwszy od długiego czasu zdarza się, że osobistość, stojąca na czele Francyi, znalazła się w Rzymie, nie odwiedzając Ojca św. Odwiedziny p. Loubet'a w Rzymie, stolicy królestwa włoskiego, odpowiadały w zupełności polityce wewnętrznej francuskiej, w której walka z Kościołem — w ostatnich czasach nawet walka z krzyżem świętym — stała na porządku dziennym. P. Loubet przyjęty został w Rzymie z wielką radością, którą psuł może tylko fakt, że krótki czas przed jego przybyciem do Rzymu, bawił cesarz niemiecki Wilhelm na ziemi włoskiej, a kilka dni zaledwie pierwszej odbył się zjazd między ministrami spraw zagranicznych austriackim i włoskim, pp. Gołuchowskim i Tittionim, w Abazyi, co wszystko dowodziło trwałości trójprzymierza.

Zjazd w Abazyi miał dla naszej monarchii niemałe znaczenie. O ile sądzić można, odnosił się on do spraw bałkańskich, i do traktatu handlowego między Austryą a Włochami. Co do spraw bałkańskich, to istniał pomiędzy temi dwoma państwami jedyny dotychczas traktat z ostatnich czasów, mianowicie

cie układ zawarty w 1900 r., według którego Austro-Węgry i Włochy zobowiązały się do utrzymania statu quo na półwyspie bałkańskim. We Włoszech zarzucano naszej monarchii jednak właśnie w ostatnich miesiącach daleko sięgające plany: mówiono i pisano tam otwarcie o planie Austro-Węgier zajęcia Saloniki, z drugiej strony rozszerzone było u nas przekonanie, że Włochy dążą do zajęcia Albanii. Tak oba państwa cierpiały pod tą wspólną nieufnością i wrogie usposobienie szerzyło się we Włoszech w szerokich klasach ludności. Nie ulega wątpliwości, że hr. Goluchowski potrafi rozwiązać nieufność i że on sam otrzymał tam przyrzeczenia, wykluczające nieufność ze strony naszej monarchii. I dla nas i dla Włoch jest każde porozumienie w sprawach bałkańskich pożyteczne, prawie konieczne.

Jeżeli tak państwa europejskie porozumiewały się w sprawach bałkańskich, to ze swojej strony sultan, który jest bezsprzecznie bardzo zręcznym politykiem, nie pozostawał bezczynnym i porozumiał się z tym, którego uważał za swojego bezpośredniego, choć nie najniebezpieczniejszego przeciwnika. W układzie między Turcyą a Bułgaryą przyznał sultan Bułgaryi rzeczy, dawno już między Turcyą a Mocarstwami ułożone, jak amnestyę dla powstańców, odbudowanie zniszczonych chat itp. Oprócz tego miał sultan zgodzić się na rozszerzenie reform także na wilajet adryanopolski. Bułgarya ze swojej strony zobowiązała się wystąpić przeciwko bandom powstańczym itd. Jak to już w ostatnim przeglądzie podnieśliśmy, był ten układ zwrócony w pierwszej linii przeciwko mocarstwom. Sultan dowiedział, albo chciał dowieść przez ten układ, że cała akcja reform w Macedonii jest obecnie zbyt późna, skoro powstanie zostało usunięte przez usunięcie jego zarzewia w Bułgaryi. Sultan chciał poprostu uczynić zbyt późnemi wszystkie dalsze kroki reformatorskie mocarstw. Twierdzono, że umowa z Bułgaryą zawiera także konwencję wojskową, to jest przyrzeczenie wzajemnej pomocy na wypadek napadu na Turcyę lub Bułgaryę ze strony innego jakiego państwa, która to konwencya zwrócona była w pierwszej linii przeciwko naszej monarchii. Późniejsze wiadomości twierdziły, że taka konwencya była rzeczywiście zamierzona, ale że nie przyszła ona do skutku, albowiem sultan

inaczej się rozmyślił. Bez względu na to, czy ta konwencja wojskowa została czy nie zawarta, pewnem jest, że umowa turecko-bułgarska jest dla utrzymania pokoju korzystna, dla jakichkolwiek egoistycznych zamiarów ościennych państw niekorzystna. Sultán i książę Ferdynand Bułgarski — dwaj mistrze w intrygach dyplomatycznych — dowiedli i tym razem, że umieją w najtrudniejszych okolicznościach znaleźć wykręt. Pytanie tylko zachodzi, czy te wykręty dyplomatyczne przyniosą jaką korzyść tej biednej ludności macedońskiej, o której skórę właściwie chodzi. Zdaje się, że kruczki dyplomatyczne odniosą ten skutek, że w Turcyi pozostanie wszystko jak było. Sultánowi z pewnością o nic innego się nie rozchodzi.

Rząd pruski wymyślił a parlament uchwalił nowy środek do wykarczowania Polaków. Parcelacya majątków w polskich rękach, ma odtąd zależeć od zezwolenia landrata, recte komisji kolonizacyjnej. Większy właściciel nie będzie mógł w potrzebie ratować się odprzedaniem części majątku, chłop nie będzie mógł ziemi nabywać i na niej się bogacić. Bardzo praktycznie, niema co mówić. Tylko ta praktyczność ma jedną złą stronę: jest obosieczna. Ustawy tendencyjne a przeciwne prawu, są niebezpieczne. Nie łatwiejszego, jak mając większość uchwalić we wszystkich wymaganych formach, coś co ma pozór prawa, a jest jego przeczeniem, bezprawiem; ale to się może pomścić. Nie grozimy wcale zemstą polską, której się Prusy nie boją, tylko przypominamy i z dobrego serca przestrzegamy, że to może się pomścić na Prusach przez Prusaków. Rząd, który w celach politycznie tendencyjnych każe uchwalać ustawę przeciwną pojęciu prawa i konstytucyi, daje zły przykład swoim poddanym, demoralizuje ich. Przykład może działać, a większość się zmienia. Niech się zdarzy większość przeciwna rządowi czy polityce lub interesom dynastji, a potrafi zrobić to samo, co teraz z natchnienia rządu robi większość jemu powolna. Zachować pozory, bezprawiu nadać legalne formy, to nie sztuka, Śmierć Ludwika XVI była uchwalona podług wszystkich prawnych form i wymagań; tak samo „prawo o podejrzanych“ i wszystkie legalne uchwały francuskiej konwencji. Wiemy, że teraz nie podobnego nie grozi ani pruskiej dy-

nastyi, ani tym pruskim junkrom i pruskim liberałom, których pozycya czy uległość prowadzi w ślad za rządem do niegodziwości i nizezemności. Ale wszyscy razem, Rząd na czele Izby za nimi, psują swoje społeczeństwo, a „narodn duch zatruty“ może zaszkodzić nawet i Prusom.

* * *

LIST Z POZNANIA.

W kwietniu.

Cel i charakter rządów pruskich w ziemiach polskich do Prus włączonych był w gruncie rzeczy zawsze jeden i ten sam. Jeżeli brutalność środków germanizacyjnych nie występowała zrazu z taką otwartością i bezwzględnością, to działo się to ze względu na zewnętrzne stosunki, z którymi Prusy rachować się musiały. Jeżeli wiele materyalnych ulepszeń i mądrych urządzeń, jak przedewszystkiem regulację włościańską przeprowadzono sprawiedliwie, to przyczyny tego szukać należy w pewnem istniejącem jednakowoż wówczas poczuciu etycznym, nie pozwalającym na łamanie wprost prawa przysługującego wszystkim obywatelom państwa. Działalność germanizacyjna polegała długo na stopniowem gwałceniu uroczyscie nam zapewnionych praw dla narodowości i języka naszego, i na dyskretniej, tajnej, podstępnej robocie, zmierzającej do wyzyskania naszej lekkomyślności czy bezradności w trudnych nieraz ekonomicznych warunkach, do wynarodowienia ziemi. Obok zaś tego rząd okazywał pewną ogólną dbałość i troskę o materyalne dobro swych polskich poddanych, nie bez ukrytej nadziei, że wzrastający dobrobyt będzie dla Polaków dostatecznem odszkodowaniem za utratę dóbr idealnej natury, że każe im prędzej, czy później o tych idealnych dobrach zapomnieć i powoli przekształci ich na Niemców. Gdy po kilkudziesięciu latach te nadzieje rządu pruskiego się nie ziściły, gdy mimo wynarodowienia w samem Księstwie Poznańskiem połowy ziemi, narodowość pol-

ska jest żywotną we wszystkich swych członkach, a nawet obudziła się z wiekowego uśpienia tam, gdzie ją za umarłą uważano, wszechpotężne dziś państwo pruskie, nie potrzebujące z nikim się liczyć, nie krępowane już żadnymi etycznymi względami, nie przebiera w środkach ku wytypieniu tej polskiej narodowości.

Bismark ostrze eksterminacyjnych środków zwrócił był głównie przeciw szlachcie i duchowieństwu polskiemu, a był on w tem — rzecz charakterystyczna — wykonawcą poniekąd tylko programu nakreślonego przez generała Grolmanna niespełna w rok po Kongresie Wiedeńskim. Uzasadniając projekt ustawy kolonizacyjnej, powołał się nawet na ten program i w nim wyrażone zasady. Zdawało mu się zaś, że sto milionowy fundusz wystarczy do dopięcia celu. Dziś fundusz ten nieomal jeszcze w trójnasób powiększonym został, a cel jest zawsze dalekim. Przeciwnie, przekonano się, że nie wystarczy chcieć wytypić szlachtę, usiłować zniemczyć duchowieństwo, że trzeba nadto wystąpić do walki i z temi żywiołami, które Bismark miał za *quantité négligeable*: z polskim mieszczańinem i z polskim chłopem.

Rozwój i wzrost ekonomiczny w tych właśnie warstwach społecznych u nas ostatnimi czasy widoczny, jest dla rządu prawdziwą solą w oku. Wszystkie administracyjne władze, poczynawszy od najwyższych, a skończywszy na najniższym szczeblu, mają poufne polecenie nie tylko śledzenia przyczyn tego rozwoju, ale i stawienia mu ile możności zapory. Sposobów używa się tu rozlicznych. Od odmowy Polakowi konsensu na proceder, który wymaga zezwolenia, aż do bojkotu polskich kupców, przedsiębiorców, lekarzy i banków; od wytwarzania Polakom we wszystkich zawodach sztucznej konkurencji przez subwencjonowanie ich współzawodników Niemców, aż do uniemożliwienia polskiemu chłopu nabywania ziemi — wszystko to praktykuje się na wielką skalę. Żaden dziś polski przedsiębiorca czy przemysłowiec przy submisjach robót i zakupów zależnych od rządu, roboty czy obstalunku nie otrzyma, choćby oferta jego była jak najkorzystniejszą. Żaden rzemieślnik, kupiec, a nawet i żaden lekarz Polak nie dostanie zarobku, o którym wprost lub ubocznie rozstrzygają władze rządowe. Bojkot polskiego przemysłu

i handlu w czysto osobistych i prywatnych stosunkach nakazany jest przez rząd wszystkim, którzy od niego zależą. Najnowsze w tym kierunku oficjalnie już wydane rozporządzenie, zniewalające wszystkich piastujących jakikolwiek urząd, do zerwania wszelkich stosunków z bankami polskimi, nie zaszkodzi wprowadzie tym bankom, ale odbije się na tych polakach, którzy mają jeszcze małe i drobne urzędy, jako listonosze, woźni i słudzy sądowi. Wielu z nich było dłużnikami tych banków, zaciągało tam pożyczkę na wymaganą od nich kaucję, bez której nie otrzymaliby swojej posady. Takiej pożyczki z banków niemieckich nie dostaną, znajdują się więc niebawem bez chleba. Chyba, że ulegając naciskowi na nich wywieranemu, wyrzekną się swej narodowości i wiary, przyjmą nazwisko o niemieckiem brzmieniu i dzieci na ewangelików wychowywać będą. I tak bowiem dzieje się teraz czasem niestety.

Walka, zacięta walka toczy się przeciwko nam tak na polu duchowem, jak i ekonomicznem. Prowadzoną bywa środkami administracyjnymi i policyjnymi, a gdy te się wyczerpią, nowemi wyjątkowemi prawami. Najzaciętszą, najradzykalniejszą jest walka o posiadanie ziemi. Trwa też ona niemal bez przerwy od stu lat już przeszło. Obecnie spotkała się ze współzawodnikiem, z którym dawniej się nie liczyła, z polskim włościaninem. Pracowity, oszczędny, trawiony wrodzoną sobie żądzą nabycia kawałka ziemi na własność, przedstawia on najpodatniejszy materiał na kolonistę. Rzecz to nader cenna, gdyż parcellacya, zwłaszcza częściowa, wielkich obszarów, jest rzeczywistą potrzebą społeczną i ekonomiczną teraźniejszej chwili, osobliwie u nas, gdzie dotychczas większa własność o wiele przewyższała małą. Dzięki przymiotom włościanina polskiego, parcellacya całkowita lub częściowa większych majątków, dokonywana za pośrednictwem Banku Ziemskiego i kilku Spółek parcellacyjnych polskich, rozwinęła się pomyślnie. Powstały nowe żywotne osady, w których zakwitł dobrobyt, niejedna włość nie stała się łupem komisji kolonizacyjnej, niejeden posiadiciel zarówno Polak, jak Niemiec, uratowanym został od ruiny. Ale właśnie dlatego rząd postanowił tej polskiej kolonizacyi tamę położyć. Ciąg podjętych w tym kierunku zabiegów przedstawia iście

znamienny obraz „cywilizacyjnego“ postępowania rządu pruskiego w ziemiach polskich. Rząd zwykłym swym trybem rozpoczął od administracyjnych zarządzeń. Na tej drodze przeprowadził, że osadnikom polskiej narodowości pod różnemi pozorami odmawiać poczęto zrazu kiedy niekiedy, a w końcu już zasadniczo prawa korzystania z ustawy o „dobrach rentowych“, wydanej dla ułatwienia parcellacyi w t. zw. prowincyach wschodnich. Gdy to nie przyniosło spodziewanego skutku, nie powstrzymało parcellacyjnej działalności polskich banków i spółek, wyzyskano ustawę, mocą której założenie nowej kolonii zależnem było od upoważnienia władzy administracyjnej. Na takie upoważnienie lata czasem całe kazano czekać; czasem też wprost dla błahych powodów upoważnienia odmawiano lub dawano je pod tak ciężkimi finansowemi warunkami, dotyczącemi uregulowania stosunków kościelnych, szkolnych i gminnych przyszłej kolonii, że podrażało to parcellacyę niezmiernie. Szykany niebawem tak się namnożyły, iż, aby ich uniknąć, wzięto się ze strony polskiej do parcellowania w sposób wprawdzie nieco przewlekły, a czasami nawet ryzykowny, ale wobec złej woli władz, prędzej prowadzący do celu. Nie zakładano całych kolonii, lecz tworzone kolejno osobne osady na gruntach stopniowo wyłączanych z tabelli parcelowanego majątku, korzystając ze swobody, którą dotychczasowe prawo pozostawiło, nie przepisując w takim wypadku rządowego upoważnienia. Znow więc rząd, by i temu zapobiedz, uciekał się do przedłożenia Izdom nowej ustawy i to ustawy z takim wyjątkowym, wyłącznie przeciw Polakom skierowanym dodatkiem, który wprost jest już zamachem na prywatne prawo własności.

Sama ustawa w ogólnym swym zarysie dotyczy wprawdzie całej monarchii, widocznie jednakowoż spowodowaną została naszymi stosunkami i miała te stosunki na oku. Oddaje ona bowiem parcellacyę pod ściślejszy jeszcze nadzór władz administracyjnych i zaprowadza konieczność rządowego upoważnienia na założenie choćby najdrobniejszej osady. Do tych ogólnych przepisów dodanym jest osobny paragraf, stanowiący punkt ciężkości całej ustawy, a odnoszący się jedynie do Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Wschodnich i Szląska. Wedle tego paragrafu, prezes komisji ko-

lonizaacyjnej w czterech wyż wymienionych prowincyach ma mieć prawo zabronienia jakiejkolwiek parcellacyi, gdy uzna, że ta parcellacya szkodzi interesom komisyi. Właściwie cały ten paragraf tak brzmieć powinien: „W Księstwie Poznańskim, w Prusach Zachodnich i Wschodnich i na Szląsku zabrania się ludziom pochodzenia polskiego nabywać ziemię w celu założenia nowej osady“. I oto w konstytucyjnem państwie pruskiem, w pruskiej Izbie Panów taki ukaz uzyskał zatwierdzenie. Ta „wysoka“ Izba dała sobie wytłómaczyć, że fundamentalna podstawa wszelkiej konstytucyi: równość wobec prawa dla wszystkich obywateli odnosi się tylko do zniesienia dawnych nierówności kastowych. Takiego to bowiem argumentu użyło pruskie ministeryum. Pokazało się raz jeszcze, że gdy chodzi o Polaków, to zarówno uroczyste przyrzeczenia królewskie, jak i konstytucyą zagwarantowane prawa uważa się jako nie warte nawet szeląga i depece się je bez skrupułu. Stało się już tak przy ustanowieniu komisyi kolonizaacyjnej, stało się znów teraz w większych jeszcze rozmiarach. Wzrastają apetyty!

Nie bez głębszej chyba przyczyny projekt ustawy przedłożonym został naprzód Izbie wyższej, skąd dopiero w najbliższej przyszłości przejdzie do Izby poselskiej. Rząd chciał zapewne aby Izba, składająca się z wrodzonych stróżów istniejącego społecznego porządku, dała dobry przykład posłom u których powstać mogło pewne wachanie się, czy należy im uświęcić swem głosowaniem przewrotną poniekąd zasadę gwałtu zadanego prywatnej własności. I widocznie nie pomylił się rachując na Izbę Panów. W sumieniu parów królestwa pruskiego stoczyła się wprawdzie walka, której ślady dostrzedz się dają w przemówieniach większej części mówców. Ale jedynie mężowie szczerych i głębokich przekonań katolickich, jak hr. Oppersdorff i hr. Praschma, lub nieliczni prawdziwie liberalni, jak prezydent miasta Wrocławia, Bender, odważyli się stanowczo przeciw ustawie wystąpić. Inni wśród mnóstwa zastrzeżeń sprzecznych z duchem tego nowego prawa i wśród dygressyi do innych przedmiotów, użytych jakby dla pokrycia pewnego zakłopotania, oddali swe przyzwalające wotum. Jediną zmianą, na jaką zdobyła się większość Izby Panów, jest oddanie dyskrecyonalnej władzy

nad mieniem Polaków nie prezesowi komisji kolonizacyjnej, jak proponował rząd, ale prezesom i naczelnym prezesom prowincyi. Ta zmiana nie nie zmienia, bo panujący dziś prąd silniejszy od ludzi. Ostatnia uchwała Izby Panów była najlepszym właśnie dowodem, do jakiego stopnia dziś ludzie niezależni, stanowiskiem poważni, którzy w cztery oczy gotowi nawet uznać całą niesprawiedliwość i niesłusznosc postępowania z Polakami, publicznie jednakowoż nie śmia przeciw temu wystąpić i sami rękę do dokonywania dalszych niesprawiedliwości przykładają. Ten stan rzeczy napiętnował w swem przemówieniu p. Józef Kościelski z gryzącą ironią, a równocześnie cyframi wykazał przedstawicielom rządu, o ile ich cyfry i dane dotyczące polskich banków i spółek parcelacyjnych były poprostu niezgodne z prawdą. Bo do charakterystyki panujących u nas stosunków należy i to, że najwyżsi przedstawiciele rządu posługują się przeciw nam równie kłamliwemi danemi, jak te, których używają hakatyści i ich organa. Już przeszłego roku przedłożył hr. Bülow sejmowi taką statystykę ekonomicznego rozwielenia się Polaków, w jaką sam chyba nie wierzył. Nie inaczej postąpił sobie obecnie minister rolnictwa. Z jednej strony przedstawiał niezmierny, zagrażający niemieczyźnie rozrost polskiej kolonizacji, która rzekomo aż na Pomorze sięga, z drugiej usiłował dowieść, że osady i kolonie przez banki i spółki polskie zakładane, nie mają w sobie dostatecznych warunków życia, że owe polskie instytucje wyzyskują tylko polskiego włościanina. Jak obydwie te sprzeczne sądy pogodzić, o to nie troszczył się p. Podbielski. Potwornem zaś było doprawdy, gdy chciał ustawę, skierowaną w pierwszym rzędzie przeciw polskiemu włościaninowi, wytłómaczyć troską o dobro tegoż włościanina, zamiarem ochronienia go przed wyzyskiem polskich parcelacyjnych banków. Taką troskliwość można tylko porównać do troskliwości ojca rodziny, który z obawy, by jego dzieci nie nabawiły się niestrawności, skazuje je na śmierć głodową.

Śmierci głodowej życzyliby nam wszystkim ci, co dziś nami rządzą. Aż nadto na to wskazuje całe postępowanie rządu. Sami zresztą ministrowie przyznawają, iż występują dlatego z całym aparatem administracyjnych środków i ustaw

wyjątkowych przeciw ludności polskiej, bo ludność ta odznacza się gospodarnością, pilnością i dzielnością i przewyższa nawet Niemców pod temi względami, bo doszła do kwitnącego dobrobytu. Zabić ten dobrobyt, zniszczyć ludność odznaczającą się tak wysokimi cnotami — oto cywilizacyjne zadanie, które postawił sobie opiekuńczy rząd.

Świdwa.

PIOTR CHMIELOWSKI.

Wspomnienie pośmiertne.

Dnia 22 kwietnia umarł we Lwowie Piotr Chmielowski. Zdawałoby się, że żałobna wiadomość, którą przyniósł telegram, nie powinna się była wydawać niespodziewaną, bo pierwsza choroba, która ostatecznie zmogła ś. p. Chmielowskiego i rzuciła go do grobu, jeszcze przed kilkunastu, jeżeli nie więcej, laty, zaczęła nurtować jego organizm i przybierała nieraz groźne objawy. A jednak właśnie dlatego, że organizm jego tak długie i wciąż zwyciężkie toczył zapasy z tą niszczycielką ciał ludzkich, niezem dotąd nieposkromioną, właśnie dlatego zdawało się, że i wszelkie nowe jej ataki potrafi długo jeszcze odpierać. Ale tym razem stało się inaczej; niszczycielka tryumf odniosła, a wiadomość o śmierci Chmielowskiego tem dotkliwsze wywarła wrażenie, że była, mimo wielu złych wróżb dawniejszych, niespodziewaną.

W tem krótkiem wspomnieniu pośmiertnem niepodobna dokładnie przedstawić i ocenić bardzo rozległej, wieloletniej i różnostronnej działalności ś. p. Chmielowskiego. Co najwyżej przypomnieć można ważniejsze rysy tej działalności i uwypatnić ważniejsze zasługi jego na polu naukowem.

Urodzony w Zawadyńcach na Podolu w r. 1848, jako kilkoletni chłopak przenosi się z rodzicami do Warszawy, z którą odtąd przez całe niemal życie, z wyjątkiem lat ostatnich, wiąza się jego losy, która staje się jakby jego rodzinnym miastem. Tutaj, jako uczeń gimnazyalny, jest świadkiem krwawej burzy politycznej, która się nad nim przenosi, a po-

tem świadkiem zniszczenia, jakie ona po sobie zostawiła. Tutaj po ukończeniu gimnazjum garnie się do wyższych studiów w Szkole Głównej i już w rok po wstąpieniu do niej, jako dziewiętnastoletni młodzieniec chwyta za pióro, ażeby go nie wypuścić z rąk do samej śmierci. Pisuje rozmaite artykuły naprzód w *Przeglądzie Tygodniowym*, potem w *Bibliotece Warszawskiej*, potem w *Niwie* i *Opiekunie domowym* i staje jako pionier nowego kierunku w literaturze i nauce, kierunku, który się urodził na bruku warszawskim po części pod wpływem smutnych doświadczeń świeżo minionej doby, po części i więcej jeszcze pod wpływem prądów naukowych, idących z Zachodu — jako pionier kierunku pozytywistycznego.

Pierwsza praca jego większa, wydana osobno w r. 1873, *Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego*, przeznaczona dla szerokiego ogółu, przedewszystkiem niewieściej jego połowy, trafiająca tematem i opracowaniem w smak publiczności, a napisana z werwą młodzieńczą, zyskała niemały rozgłos i uczyniła imię młodego pisarza odrazu bardzo popularnem.

Ta wczesna popularność przedstawiałaby pewne niebezpieczeństwa dla młodego krytyka, gdyby ten poprzestając na niej, nie pomyślał o głębszem przygotowaniu naukowem do zawodu, który sobie obierał. Ale tak się nie stało; Chmielowski w r. 1873 jedzie na lat parę do Lipska, ażeby na tamtejszym uniwersytecie uzupełnić swoje studia naukowe i powraca stamtąd do Warszawy, uzbrojony w zdobycze najnowszej wiedzy i ze stopniem doktora filozofii. Owocem ówczesnych jego studiów są dwie rozprawy: *Geneza fantazyi* i *Artyzm i artyści*.

Od tej chwili staje się Chmielowski najpoważniejszym z młodych pracowników na warszawskiej arenie naukowej i rozwija niestrudzoną działalność w najrozmaitszych kierunkach, jako pedagog, redaktor, współpracownik różnych wydawnictw, przygodny krytyk i autor większych opracowań. Od r. 1878 zostaje redaktorem *Biblioteki najcenniejszych utworów literatury europejskiej*, od r. 1880 przez lat kilkanaście redaguje *Ateneum*, które pod jego redakcją, przy współpracownictwie sił pierwszorzędnych, staje się bardzo poważnem

pismem naukowem literackiem, na nieszczęście za poważnem dla ogółu, który go nie umiał dostatecznie wspierać. Prócz tego bierze żywy udział we wszystkich większych wydawnictwach powstających w Warszawie, jak *Encyklopedia wychowawcza*, *Wielka Encyklopedia Ilustrowana*, *Biblioteka dzieł wyborowych* i inne. Jako krytyk zasila rozmaite pisma, przede wszystkim redagowane przez siebie *Ateneum*, recenzjami i sprawozdaniami z bieżącej literatury, której prawie żaden ważniejszy objaw nie uchodzi jego uwagi.

To śledzenie objawów literackich chwili bieżącej, od którego Chmielowski zaczął swój zawód pisarski i które potem ciąglem stało się jego zadaniem, usposobiło go do powzięcia pomysłu, niepraktykowanego u nas, od czasu *Nowej epoki poezyi polskiej* Goszczyńskiego, a który w ostatnich czasach znalazł licznych naśladowców: do historycznego traktowania najświeższej literatury. Tak powstał (w r. 1881) *Zarys literatury polskiej z ostatnich lat szesnastu*, w następnych wydaniach rozszerzany i uzupełniany. W nieco odmienny sposób powstały takie książki Chmielowskiego, jak *Autorki polskie* (r. 1885), *Współcześni poeci polscy* (r. 1885), *Nasi powieściopisarze* w dwu seryach (r. 1887 i 1895), *Nasza literatura dramatyczna* (r. 1898) i inne. Są to wszystko zbiory luźnych artykułów i rozpraw biograficzno-krytycznych, pisanych w różnych czasach, drukowanych w różnych czasopismach, a tak ułożonych, aby stanowiły pewną całość. To, co się w tych zbiorach nie pomieściło, co się nie dało ułożyć w pewną całość, to weszło do innego zbiorowego wydania pomniejszych prac Chmielowskiego, do jego *Studyów i szkiców*.

Po za tem wydaje Chmielowski, prócz innych mniejszych rzeczy, dwa zarysy biograficzno-literackie, jeden poświęcony Mickiewiczowi, drugi Kraszewskiemu, wydaje sześciotomową historję literatury polskiej, w której rekapitułuje to wszystko, co w odrębnych rozprawach i artykułach przedtem opracowywał, a jako jej uzupełnienie *Dzieje krytyki literackiej w Polsce*.

W tej spuściźnie, którą zostawia po sobie ś. p. Chmielowski, jest mnóstwo włożonej pracy, tem godniejszej podziwu, że dokonywanej wśród trudnych warunków życia. Chmie-

łowski obarczony obowiązkami rodzinnymi, musi się utrzymywać przeważnie z lekcyj prywatnych i tylko resztę czasu wolnego od zajęć pedagogicznych może poświęcać na pracę naukową. I po za lekcjami odrywają go od tej pracy i rozpraszają jego uwagę różne przedsięwzięcia wydawnicze, mające na celu więcej popularyzację nauki, niż samą naukę. Te to warunki tłómaczą nam w znacznej części ujemne strony prac Chmielowskiego, szczególnie dorywczość i pośpiech tak widoczny we wszystkich jego większych opracowaniach. W lepszych warunkach życia pracowałby on niewątpliwie inaczej, lepiej.

Była chwila, kiedy zdawało się, że Chmielowski osiągnie stanowisko, na którym będzie mógł spokojnie i wyłącznie oddawać się pracy naukowej. W r. 1883 rozbiegła się radosna wiadomość, że na uniwersytecie warszawskim przywróconą została katedra literatury polskiej i że Chmielowski ją obejmuje. Łatwo się domysleć, że i on sam z wielką radością przyjmował propozycję, którą mu rząd rosyjski wtedy czynił. Ale radość jego i ogółu krótko trwała; okazało się niebawem, że propozycya podszyta była warunkiem, którego Chmielowski przyjąć nie mógł: żądano od niego, aby z katedry literatury polskiej, o literaturze polskiej, do młodzieży polskiej przemawiał po rosyjsku. Chmielowski odrzucił propozycję, a to szlachetne odparcie pokusy dobrze się zapisało we wdzięcznej pamięci społeczeństwa.

We dwadzieścia lat potem, t. j. w roku ubiegłym, wezwano go znowu na taką samą katedrę — tym razem do Lwowa, tym razem w warunkach, które wezwanemu zdawały się zapowiadać jak najmielszą i najskuteczniejszą pracę profesorską. Niestety, już było za późno; stargane ciężką pracą, podkopane długą chorobą piersiową siły starczyły ledwo na jedno półrocze i Chmielowski legł pod ciężarem tego, co miało być nagrodą długiej, wytrwałej i owocnej jego pracy.

Dr. Józef Treliak.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do Redakcyi „Przeglądu Polskiego“.

Leon Rygier: *Hańba dusz*. Powieść. (Warszawa, T. Paprocki i Sp., 1904, 8-o, str. 243).

Leon Rygier: *Poezye*. Serya I. (Warszawa, T. Paprocki i Sp., 1904, 8-o, str. 190).

Aus der Tatra. Erzählungen von Kazimierz Przerwa-Tetmajer. Autorisierte Übersetzung von J. von Immendorf. (München, 1903, Dr. J. Marchlewski & Co., 8-o, str. 259).

Sibirische Erzählungen von W. Sieroszewski. Autorisierte Übersetzung von M. Sutram. (München, 1903, Dr. J. Marchlewski & Co., 8-o, str. 245).

A. Neuwert-Nowaczyński: *Affenspiegel*. Satirische Erzählungen. Autorisierte Übersetzung von Julius Tenner. (München, 1903, Dr. J. Marchlewski & Co., 8 o, str. 223).

Stefan Żeromski: *Den Raben und Geiern zum Frass*. Autorisierte Übersetzung von M. Sutram. (München, 1903, Dr. J. Marchlewski & Co., 8-o, str. 202).

Adolf Dygasiński: *Lebensfreuden*. Deutsch von M. Sutram. Umschlagzeichnung von Jan Bukowski. Buchschmuck von Eugeniusz Dąbrowa. (München, Dr. J. Marchlewski & Co., 8-o, str. 191).

Frauenspiegel der Renaissance von Graf Baldassare Castiglione. Aus dem Italienischen übersetzt und eingeleitet von Paul Seliger. (Leipzig, Magazin-Verlag Jacques Hegner, 8-o, str. 191).

Gespräche über Schönheit der Frauen von Agnolo Firenzuola. Aus dem Italienischen von Paul Seliger. (Leipzig, Magazin-Verlag J. Hegner, 8-o, str. 116).

Die Calandria. Komödie in fünf Aufzügen von Kardinal Bibbiena. Aus dem Italienischen übersetzt und eingeleitet von Paul Seliger. (Leipzig, J. Hegner, 8-o, str. 165).

Kant. Sechzehn Vorlesungen gehalten an der Berliner Universität von Georg Simmel. (Leipzig, Verlag von Duncker & Humblot, 1904, 8-o, str. VI i 181).

Liebesbriefe eines englischen Mädchens. Autorisierte Uebersetzung. (Erschienen im Jnsel — Verlag, Leipzig. Im Jahre 1904, 8-o, str. 272).

Oskar Wilde: *Das Granatapfelhaus*. (Im Jnsel-Verlag, Leipzig, 1904, 8-o, str. 100).

H. Uhde-Bernays: *Nürnberg*. Mit zwei kolorierten Kunstbeilagen, zehn Vollbildern in Tonätzung und Buchschmuck von Albrecht Dürer. (Julius Bard, Berlin, 8-o, str. 79).

Ludwig Göhring: *Die Anfänge der Jugendliteratur im 18. Jahrhundert*. Anhang: Wilhelm Hey, Hoffmann von Fallersleben, Friedrich Güll. (Nürnberg, Verlag der F. Kornschen Buchhandlung, 1904, 8-o, str. IV i 140).

Literarische Physiognomien von Bernhard Münz. (Wien und Leipzig, W. Braumüller, 1903, 8-o, str. 239).

Aus der deutschen Literatur. Meisterwerke deutscher Dichtung. (Leipzig, F. Brandstetter, 1903, 8-o, str. 514).

Aus der deutschen Literatur. Erzählungen und Lebensbilder. (Leipzig, Fr. Brandstetter, 1903, 8-o, str. 360).

Französische Skulptur und Architektur des 19. Jahrhunderts. Von Karl Eugen Schmidt. (Geschichte der modernen Kunst. Bd. 4). (Leipzig, Verlag von E. A. Seemann, 1904, 8-o.

Carmen Sylva. Eine Biographie von Mite Kremnitz. (Druck und Verlag von E. Haberland, Leipzig, 8-o, str. 322).

Zwei Menschen. Roman in Romanzen von Richard Dehmel. (Verlegt bei Schuster & Loeffler in Berlin, 1903, 8-o, str. 233).

Kazimierz Julian Jasiński: *Stara Gwardya*. Elegia rycerska. (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1904, 8 o, str. 64).

Achilleis. Sceny dramatyczne. Napisał Stanisław Wyspiański. Odbito w Drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nakładem autora, Kraków, 1903, skład w Księgarni Gebethnera, 8-o, str. 174).

Jerzy Moszyński: *Z powodu jubileuszu 30-letniej pracy publicystycznej Księcia Włodzimierza Mszczerskiego*. (Kraków, nakładem autora, 1902, str. 15).

Begriff und Grenzen des Eigentumsrechts nach römischem Recht, von Dr. Leo Graf Piniński. (Wien, 1902, str. 118).

Akta grodzkie i ziemskie z czasów Rzeczypospolitej Polskiej, z archiwum tak zwanego Bernardyńskiego we Lwowie, w skutek fundacyi s. p. Aleksandra hr. Stadnickiego, wydany staraniem Galicyjskiego Wydziału Krajowego. Tom XVII. (We Lwowie, główny skład w Księgarni Seyfartha i Czajkowskiego, 1901, str. 656).

Edmund Demolins: *Szlaki dziejowe a typy społeczne. Szlaki starożytne*, spolszczył L. Krzywicki. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1903, str. XIII i 395).

Piotr Chmielowski: *Dzieje krytyki literackiej w Polsce*. Z portretem autora i z przedmową Bronisława Chlebowskiego. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1902, str. XVII i 583).

Józef Weyssenhoff: *Zareczyny Jana Bełzkiego*. Z ilustracyami K. Górskiego. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1903, str. 183).

Polacy a Rusini. Dochód w czwartej części przeznaczony dla Zakładu imienia „Rodziny Świętej“ w Krakowie przy ulicy

Pędzichów. (W Krakowie, w czeinkami drukarni „Czasu“, 1903, str. 55).

Historia Polska (1648—1696), przez Teresę z Potockich Wodzicką. Część III. (W Krakowie, w komisie Spółki Wydawniczej Polskiej, 1902, str. 504).

Stanisław Belza: *Wśród ruin Grecyi*. (Kraków, Gebethner i Sp., 1903, str. 307).

Maksym Gorkij: *W schronisku nocnem. (Na dnie żizni)*. Szkic dramatyczny w czterech aktach. (Brody, nakładem i drukiem Feliksa Wesła, 1903, str. 80).

Antoni Białkowski: *Pamiętniki starego żołnierza. (1806—1814)*. Wydał Wacław Tokarz. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, 1903, str. 500).

Geschichte des altmaeligen Verfalls der Unirten Ruthenischen Kirche im XVIII und XIX Jahrhundert unter polnischem und russischem Scepter. Nach den Quellen bearbeitet von Bischof Eduard Likowski. Mit Genehmigung des Verfassers ins Deutsche übertragen von Apollinaris Tłoczyński, Domvikar in Posen. I i II Band. *Das XVIII—XIX Jahrhundert*. (Buchhandlung der Polnischen Verlagsgesellschaft in Krakau, 1903, str. 339).

Dr. Tadeusz Troskoleński: *Andrzej Radwan Zebrzydowski, biskup wroclawski i krakowski. (1496—1560)*. Monografia historyczna. Część druga. (Lwów, z drukarni Władysława Łozińskiego, 1902, str. 186).

Miniatury Muzeum Narodowego opracował Emmanuel Świeykowski. Z XII ilustracyami wedle oryginalnych zdjęć autora. (Kraków, 1903, Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego, str. 96).

Dr. Zygmunt Gargas: *Staszic jako statystyk*. (We Lwowie, nakładem Towarzystwa Wydawniczego, 1902, str. 25).

Dr. Kazimierz Jarecki: *Twórczość poetycka Maryi Konopnickiej*. Szkic literacki. (Lwów, 1902, str. 16).

Publiusza Korneliusza Tacyta: *Germania*. Tłómaczył Władysław Okęcki. (Kraków, 1902, str. 25).

Les enfants de Marie en Pologne. Par M-lle Hélène Mycielska. (Blois, 1903, str. 18).

O stylu urzędowym i terminologii prawniczej, napisał Dr. Julian Morelowski. (W Krakowie, 1903, str. 33).

Dr. Tadeusz Grabowski: *Petrarca i Du Bellay*. Kartka z dziejów Renesansu we Francyi. (Kraków, 1903, str. 48).

Dr. Zbigniew Pazdro: *Organizacja i praktyka żydowskich sądów podwojewódzkich w okresie 1740—1772 r.* Konkurs imienia H. Wawelberga „Monografie z historyi żydów w Polsce“, nagrodzone przez Wydział filozoficzny Uniwersytetu Lwowskiego. (Lwów, 1903, str. 294).

„PRZĘGLĄD POLSKI“

pismo naukowe i literackie, wychodzi rok trzydziesty ósmy w Krakowie, w pierwszych dniach każdego miesiąca, w zeszytach zawierających 10 — 12 arkuszy druku w 8^{ce} (rocznie najmniej 12 arkuszy druku).

Wydawca i odpowiedzialny redaktor

Prof. Dr. Jerzy Mycielski.

Prenumerata „Przeglądu Polskiego“ z przesyłką pocztową wynosi:

	rocznie:	półr.:	kwart.:
w Austrii . . .	Kor. 32.—	Kor. 16.—	Kor. 8.—
„ Niemczech. . .	Mk. 32.—	Mk. 16.—	Mk. 8.—
we Francyi, Belgii, Włoszech i w Ame- ryce	Fr. 40.—	Fr. 20.—	Fr. 10.—

Cena pojedynczego zeszytu Kor. 3.

Przedpłatę należy nadsyłać pod adresem Administracyi „Przeglądu Polskiego“: Księgarnia Spółki Wydawniczej Polskiej w Krakowie

Prenumeratę przyjmują wszystkie znaczniejsze księgarnie oraz urzędy pocztowe w kraju i za granicą.

Dla wszystkich osób stanu nauczycielskiego i dla duchownych prenumerata „Przeglądu Polskiego“ wynosi:

rocznie w Austrii	Kor. 24.—
„ w Niemczech	Mk. 24.—
„ we Francyi i t. d.	Fr. 35.—

którą przyjmuje wyłącznie tylko Administracya.



Tom 152.

Nr. 456

PRZEGLĄD POLSKI.

ROK TRZYDZIESTY ÓSMY.

Zeszyt XII. Miesiąc Czerwiec 1904 r.



W KRAKOWIE,
EKSPEDYCYA W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ
1904.

SPIS RZECZY.

	Sti
I. Pierwsza pielgrzymka polska u Piusa X, przez Stanisława Tarnowskiego	387
II. Sofoklesa „Antygona“ a Shelleya „Rodzina Cencich“, przez Dr. Stanisława Witkowskiego	402
III. „Moje przeprawy“. Pamiętnik Andrzeja hr. Zamoy- skiego o czasach Powstania Listopadowego (1830— 1831) (ciąg dalszy), z autografu wydał Alkar. .	418
IV. Zarys rozwoju idei społeczno-gospodarczych w Pol- sce od pierwszego rozbioru do r. 1831 (ciąg dalszy), przez Dr. Stanisława Grabskiego	453
V. Sprawy krajowe. XVII. O galicyjskich kolejach lo- kalnych w przyszłości, przez Wiktora Kolosva- ry'ego	497
VI. Kronika literacka	509
J. Kallenbach: Zygmunt Krasiński. Życie i twórczość lat młodych (1812 — 1838).	
P. Ernst: Henrik Ibsen. Die Dichtung. — H. Benzmann: Moderne deutsche Lyrik.	
Z literatury powieściowej. A. Paul: Die Madonna mit dem Rosenbusch.—R. Huldshiner: Die stille Stadt. — A. Hennigsen: Polen's Töchter.	
VII. Teatr krakowski, przez Dr. Feliksa Konecznego.	533
VIII. Przegląd polityczny, przez * *	536

Pierwsza pielgrzymka polska u Piusa X.

Kiedy Pius IX wstępował na Stolicę św. Piotra, znikąd, jeżeli się nie mylimy, nie szły pielgrzymki, żeby mu złożyć hołd. W ciągu jego długiego panowania było pielgrzymek wiele: ostatnie zewsząd, i z Polski, na kilka miesięcy przed jego śmiercią. Kiedy wstępował na tron Leon XIII, nikomu z katolików, w Europie i w Ameryce, nie przeszło przez głowę, żeby można hołdu mu nie złożyć: a po tych pierwszych następowało ich wiele, coraz częstszych i coraz liczniejszych. Ta zmiana w katolickim obyczaju oznacza zmianę w katolickiem usposobieniu: zmianę szczęśliwą. Po śmierci Leona wiedziało się znowu od pierwszej chwili, że zanim dojdzie rok, hołd z Polski musi mu być złożonym jego następcy. Pielgrzymka, zapowiedziana przez biskupów w jesieni r. 1903, oznaczona była już wtedy na wiosnę r. 1904.

Następca Leona XIII? Człowiek tylko, Pius czy Grzegorz, czy Leon umiera, papież nie: papież zawsze być musi, i zawsze każdy następny będzie tem samem, czem był poprzedni. Ale jakim będzie? Leonowi XIII dorównać nie łatwo: a świat przywykły przez długie lata do jego wielkich rozmiarów, może nie dozna już takiego wrażenia? Z podobnem uczuciem czekało się smutno śmierci Piusa IX. Kto go zastąpi? Kto mu dorówna? Zastąpił Leon XIII, inny zupełnie, a bynajmniej nie mniejszy. Każdy papież jest zawsze tem samem, Namiestnikiem Chrystusa Pana i głową Kościoła:

ale zdarza się to, że Opatrzność dobiera ludzi do potrzeby Kościoła i daje ich nie takich samych, owszem odmiennych usposobieniem i rodzajem zdolności, ale takich właśnie, jacy ze względu na czas i stosunki są najodpowiedniejsi.

Tak było po Piusie IX, tak jest po Leonie XIII.

Po pierwszych zaraz słowach, jakimi Pius X przemówił, było powszechne i zgodne w świecie katolickim wrażenie: „Musi w nim być wielka dobroć i wielka prostota“. Im dalej, tem to wrażenie utwierdzało się i rozszerzało: to nie jest tylko prostota słowa, to jest prostota i jasność umysłu, wrodzona niewątpliwie, ale i oświecona, podniesiona, światłem wiary, bożego ducha, łaski. Po krótkiej rozprawie odkrywało się, że ten papież nie zmienia stanowiska swoich poprzedników w sprawach i stosunkach świeckich, politycznych, ale nie chce wysuwać ich naprzód: jego wzrok zwrócony jest przeważnie na wewnętrzne sprawy Kościoła, na jego wewnętrzny stan. Znać to bierze za swoje zadanie główne, za program swojego panowania, żeby się tak po świecku wyrazić. Przed kilkunastu laty, za jednej z pielgrzymek do Leona XIII, zdarzyło nam się słyszeć z ust jednego znakomitego w Rzymie zamieszkałego duchownego cudzoziemca słowa następujące: „Niech Bóg daje najdłuższe życie temu papieżowi; ale po jego śmierci następca będzie musiał zająć się przede wszystkim wewnętrznymi sprawami Kościoła“. Pius X spełnia to życzenie, czy tę przepowiednię. Wszystkie jego kroki, wszystkie rozpoczęte czynności, każą w nim widzieć niby biskupa odbywającego inspekcję swojej uniwersalnej dyecezyi, przyglądającego się pilnie co i gdzie mogłoby potrzebować naprostowania lub podparcia. Z tem nabytem wyobrażeniem jechało się do Rzymu. Jak się ono potwierdzi? w czym się i jak uzupełni? Jechało się przede wszystkim ze szczerego popędu i przekonania, z potrzeby tego co dawne wieki nazywały złożeniem *obedyencyi* nowemu Papieżowi: ale łączyła się z tem i ciekawość — nie czeza i płocha bynajmniej, owszem poważna i z głębszych powodów płynąca — co się tam zastanie, co się tam zmienić mogło, w jakim kierunku i w jakiej mierze?

Przyjezdnego na samym wstępie witał i uderzał fakt jeden: Pius X jest wielkiem zajęciem umysłów, pierwszym

przedmiotem wszystkich rozmów i pytań: Rzymianie i *forestieri* od niego zaczynają i na nim kończą swoje uwagi, czy spostrzeżenia. Leon XIII już zasunął się w cień, słyszy się o nim mało: aż dziwno i aż przykro temu, kto przywykł o nim myśleć i podziwiać go. Ale ta przykrość ustępuje i nagradza się na widok uszanowania i przywiązania, z jakim ludzie mówią o następcy Leona. Wszyscy: nie katolicy tylko, tutejsi, czy obcy, ale bliżcy Kwirynału, ale uczuciami i wyobrażeniami złączeni z królestwem włoskiem, ale wieley panowie, jak prości wyrobnicy. Pius X jest popularny: rzecz dziwna, zważywszy wyjątkowo trudne położenie i stosunki. Czem on tak ludzi ujął i do siebie pociągnął? Przedewszystkiem niewątpliwie swoją dobrocią, sercem otwartem i laskawem dla wszystkich. Kiedy Papieżowi przedstawiały się po kolei wszystkie parafie miasta Rzymu, przez długi szereg niedziel, on do każdej miał naukę, kazanie w dziedzińcu San Damaso. Ludzie bogatsi i oświeceni widzieli to ze zdziwieniem, ale z naturalnem uszanowaniem: ale lud rzymski widział to z radością i wdzięcznością i odrazu przylgął do łaskawego przystępnego Papieża. Co dziwniejsze, to, że sfery dworskie i urzędowe okazują usposobienie zmienione, lepsze. Pius X nie odstąpił w niczem od kierunku wytkniętego przez Piusa IX i Leona, nie nie uznał, na nie nie przystał, nie okazał się skłonnym do żadnego kompromisu. A jednak prasa włoska, zależna od rządu, czy nie (z wyjątkiem tylko otwarcie wolno-mularskiej i radykalnej), wyraża się o nim z uszanowaniem, uprzejmie. Stosunek się nie zmienił, zasadniczo wszystko zostało, jak było: ale usposobienie jest zmienione, miększe, nie tak naprężone jak było. Miejscowi i świadomi przypisują to w wielkiej części znowu dobroci i przystępności Papieża. Pius X nie zamyka Watykanu przed ludźmi w urzędowych stanowiskach: senatorowie, deputowani, damy dworu, mają do niego przystęp, którego im Leon XIII nie dozwalał. Ale silniejszy może powód tej zmiany tkwi w samym obecnym stanie Włoch. Ze śmiercią Zanardellego niema ani jednego wolno-mularza w rządzie: pozostali ministrowie są w najgorszym razie nie nienawistni względem Kościół, a niektórzy są katolikami szczerze. To jeden powód. Drugim jest bardzo znaczny wzrost sił katolickich. Stowa-

rzyszenia katolickie różnego rodzaju, nietylko pobożne i dobroczynne, ale zawodowe, przemysłowe, rzemieślnicze, mnożą i szerzą się w sposób zadziwiający. W jednej prowincyi Bergamo obejmują trzydzieści sześć tysięcy ludzi — i wyborców. Te cyfry imponują rządowi i dają mu do myślenia: a socyalistyczne i anarchiczne zapędy i cele dają mu do myślenia także. Wszystko to wpływa na zachowanie się rządu włoskiego względem papieństwa: a Papież ułatwia do zachowania się postawą, jaką przyjął: nie nie zmienia, nie nie ustępuje w kwestyach zasadniczych, ale nie wysuwa ich na-przód, a dla ludzi jest łaskawy. Włosi mówią o nim z tego powodu, że choć niewątpliwie nie jest rozumniejszy od Leona XIII, to jest od niego praktyczniejszy: a ujęci jego dobrocią, czują jednak dobrze, że ona nie jest miękkością, ani giętkością. *C'est un homme bon, mais ce n'est pas un bonhomme*: i istotnie pod tą dobrocią kryje się stałość i śmiałość. Mówią, że nikt nie umie lepiej, jak Pius X, odmówić stanowczo, bez regresu, jednym słowem, żądaniom choćby dworów i ambasadorów, jeżeli te żądania w jego przekonaniu nie godzą się z dobrem Kościoła. W organizacyi Kościoła kroki ciche, spokojne, ale znaczące, doniosłe i nade wszystko praktyczne, godzące prosto w cel i skutek.

Przy nowym Papieżu nowy sekretarz stanu. Młody, nie mający jeszcze lat czterdziestu, kardynał Merry del Val, zajął stanowisko jedno z najwyższych i najważniejszych na świecie. To wyniesienie daje miarę zaufania, jakie wzbudza jego rozum i zdolność, nade wszystko jego charakter. Powołanie duchowne objawiło się w nim od pierwszej młodości, od dzieciństwa prawie, a po wyświęceniu objawiało się w młodym księdzu szczególną pobożnością, skłonnością do ascezyzmu, i zdolnością czy darem nawracania różnowierców. Liczba takich przez niego nawróconych, zwłaszcza Anglików, ma być duża, a praca misyjna, apostolska, kaznodziejstwo i rozszerzanie wiary, były umiłowaniem powołaniem młodego Hiszpana, który wbrew swojej woli, przez posłuszeństwo znalazł się w kancelaryach Leona XIII. Jego gorliwość i świątobliwość tak budowała otaczających, że nazywano go Aniołem Watykanu, *l'angelo del Vaticano*. Świadomi przyznają mu obok bystrego umysłu, obok wykwitnych form obejścia

z ludźmi, niewzruszoną stałość przekonań, stanowczość w zasadach i gorącość uczuć.

Oto w krótkich słowach czego dowiadywał się na wstępie cudzoziemiec przyjeżdżający do Rzymu. Co zastał, co czuł, co spostrzegł Polak? czy znajdzie znajomość położenia swego narodu, jego religijnych stosunków i ucisków, jego niezliczonych trudności i udręczeń?

Pielgrzymka, zorganizowana i prowadzona przez X. Mazanka, kanonika kapituły przemyskiej, wyruszyła z Krakowa dnia 25 kwietnia. Z nią dwóch Biskupów, suffragan krakowski X. Nowak i przemyski X. Fiszer. Jechała na Padwę, Assyż, Loreto, z tą wielką a korzystną od poprzednich różnicą, że miała noclegi, kiedy tamte jeździły nocami a dniami modliły się i zwiedzały; stawały więc w Rzymie zmęczone już bardzo, fizycznie i moralnie źle przygotowane na to, co jeszcze miały robić i widzieć. Ten oddział główny liczył przeszło czterysta osób, ale wiele pojechało osobno naprzód, wiele ściągnęło trochę później, tak, że z Polakami zamieszkałymi w Rzymie stale lub czasowo, ogół wynosił osób ośmset. Na czele Arcybiskup lwowski łaciński X. Bilczewski i lwowski ormiański X. Teodorowicz, Arcybiskup suffragan lwowski X. Weber, Biskup przemyski X. Pełczar, suffragan Biskup Fiszer, Biskup tarnowski X. Wałęga, suffragan krakowski X. Nowak: ośmiu biskupów! Dziewiąty, w Rzymie zamieszkały Arcybiskup Simon. Nie każda pielgrzymka pochwali się takim przewodnictwem. W porównaniu może mniej włościan: albo też coraz powszechniejszy ubiór miejski sprawia to wrażenie. Z pewnością więcej uczestników pielgrzymki z miast, z warstw wykształconych, mężczyzn i niewiast. Ze świeckich, najwyższy stanowiskiem Marszałek krajowy hr. Stanisław Badeni, osobą swoją nadawał całości cechę urzędowej niejako reprezentacyi kraju, a za nim duży zastęp osób znaczących stanowiskiem i zasługą. Wymieniamy niektórych. Z posłów sejmowych Włodzimierz Kozłowski, prezes Towarzystwa rolniczego, Adam Skrzyński (z synem), Kazimierz Horodyski (z żoną), Jerzy Baworowski, Janusz Tyszkiewicz (z żoną); z po za Sejmu X. Władysław Sapieha z synem, Ignacy Dembowski, prof. Jerzy Mycielski, August Dzieduszycki z żoną i córkami, reprezentant kongregacyi Ma-

ryańskich, p. Darowski z żoną i córkami; z pań księżna Leonowa Sapieżyna z córkami, hr. z Dzieduszyckich Wolańska, z Piegłowskich Stanisławowa Tarnowska z córką, hr. Walerja Borkowska, hr. Mieczysławowa Pinińska; wymieniamy przykładowo tylko, pomijając wiele, a z umysłu już pomijając tych, co nie są austriackimi poddanymi. Z Polaków zamieszkałych w Rzymie księża wszysej naturalnie; prócz nich Antoni Madeyski, twórca sarkofagu Jadwigi, pp. Ptaśnik i Kunze z ekspedycyi naukowej, prof. Stroka i t. d. Kardynał sekretarz stanu mówił, że ze wszystkich pielgrzymek, jakie po dziś dzień składały hołd Piusowi X, ta była najliczniejsza i najzupełniejsza w swoim składzie. Ale nie tem tylko zwróciła na siebie uwagę. Z różnych stron słyszeć było można miłe i zaszczytne świadectwa, że ci pielgrzymi polscy budują rzymian swoją pobożnością i poważną postawą. Istotnie, bez przechwalki, bez narodowej zarozumiałości, wyznać można szczerze i śmiało, że wzruszający był widok pielgrzymów, jak się modlili po kościołach i miejscach uświęconych jaką pamiątką, i widokiem księży między nimi. Uwaga, gotowość do tłumaczenia i objaśniania, dbałość o możliwie najlepszą wygodę, a zwłaszcza o duchowny pożytek, uderzały na każdym kroku. To nie było grono podróżnych zwiedzających ciekawości Rzymu, to była prawdziwa pobożna modląca się pielgrzymka. Nabożeństw wspólnych kilka, przy każdym kazania prawione przez biskupów. Jedno z tych nabożeństw u św. Wawrzyńca: należało się, było koniecznem, iżby pielgrzymka polska pomodliła się przy grobie Piusa IX! Polski historyk jego panowania, X. Biskup Pelezar, powołany był szczególnie do tego, żeby obudził jego wspomnienie i wbil je w serca; zrobił to z rzewnem, przejmującym, udzielającym się uczuciem. Arcybiskup Teodorowicz w tymże kościele uczył w gorących słowach czem jest Rzym dla katolickiego życia, i czem jego wspomnienie powinno zostać dla uczestników pielgrzymki. Ostatnie nabożeństwo, w dzień wyjazdu, odbyło się przy grobie św. Stanisława Koski. Biskup Wałęga mówił; szkoda, że tego co mówił, nikt nie mógł zapisać i ogłosić, tak było proste, mądre, a serdeczne. Kościół, prawda że nie duży, zapełniony był szczelnie Polakami; a przez cały czas mszy brzmiały chórem śpiewane pieśni

Do Ciebie Panie, Serdeczna Matko. Myślało się, że kości świętego patrona może zadrgały na odgłos tych nut i tych słów: od czasu jak je tu złożono, nigdy może nie rozlegały się polskie śpiewy w jego kościele.

Audyencya u Ojca św. odbyła się 5 maja, o godzinie 4 po południu. Urządzono ją bardzo szczęśliwie. Dawniejsze bywały w salach; tron w głębi sali. Zatem ci, co byli blisko, mogli Papieża dobrze widzieć i słyszeć, ale dalsi mieli tę przykrość, że i dojrzeć i dosłyszeć było im trudno. Tym razem w bardzo długiej galeryi kart geograficznych, pielgrzymi ustawieni byli pod ścianami, w dwurzędowych szeregach, tak, że każdy mógł doskonale przechodzącego Papieża widzieć, a Papież mógł do każdego wyciągnąć rękę i podać ją do pocałowania. W połowie galeryi ustawiony tron: naprzeciw niego biskupi, Marszałek krajowy, panie. Po niedługiem czekaniu ten zwykły szmer i ruch, który zapowiada zbliżanie się Papieża: szwajcarzy, gwardziści, kameryerowie — w końcu Pius X.

W białej sutannie, bez żadnego innego stroju, posuwa się ruchem krzepkim ale powolnym: staje za każdym krokiem, nad każdą głową robi znak krzyża, każdy chyli się do pocałowania ręki. Jak wygląda? Niektórzy mówią, że przypomina Piusa IX: nam wydało się, że raczej niższy od niego, cieńszy, lżejszy i prędszy w ruchach. Nie ma tych wielkich czarnych oczów, które błyszczały w głowie Piusa IX, ani wydatnego zgarbionego nosa, jak tamten. Rysy są raczej drobne; twarz na wiek raczej młoda, wskazywałaby co najwięcej lat 60, a jest ich 68. Charakter całej postaci to powiedzielibyśmy spokój, pogoda i dobroć. Oczy — nie wiem doprawdy jakiego koloru — są pełne wyrazu, patrzą uważnie, głęboko i łaskawie, prawie rzewnie. Myśli się o Leonie XIII, o tem wrażeniu, jakie on robił swoją powierzchownością, a które Sienkiewicz oddał jak nikt: „Ciało wydawało się widmem, złudzeniem, a duch rzeczywistością, czemś widmem i dotykalnem“. Tego wyjątkowego i poetycznego charakteru postać Piusa X nie ma: ale patrząc na niego tylko kilka minut, coś dopiero mówiąc z nim, doznaje się wrażenia odmiennego, ale bynajmniej nie niższego. Wzruszenie udziela się z tych oczów o głębokim wyrazie, z głosu, który

drga uczuciem, ze słów, spokojnych a łaskawych i ważnych, i wzruszenie obejmuje człowieka. Czuje się on przed duchem od siebie wyższym, mądrym i świętym, a ojcowskim, miłościwym, opatrzny. Artysta mógłby powiedzieć, że Leon był więcej poetyczny i malowniczy: ale katolik czuje się owładniętym przez Piusa X niemniej jak przez tamtego.

Pochód przez galeryę trwał długo. Po nim nawrócił Papież i zasiadł na tronie. Nadeszła najważniejsza chwila, przeczytania naszego adresu, i odpowiedzi. Wystąpił Marszałek krajowy, przyklęknął, a powstawszy, odczytał adres. Nie weźmie nam za złe, jeżeli tu zapiszemy, że jego głos, stanowczy zwykle i przywykły do położen czasem niełatwych, tym razem był drżący od wzruszenia.

Adres, i odpowiedź Ojca św., podajemy tu w całości, żeby i w naszym piśmie były przechowane.

„Ojcze Święty!

„Gdy w Polsce rozeszła się radosna nowina, że Ty Ojciec św. z woli Opatrzności Boskiej i za Ducha św. natchnieniem zostałeś wybrany Głową Kościoła, wszyscyśmy rozradowali się radością wielką, bo o cnotach Twoich i niezrównanej dobroci jużśmy przedtem wiedzieli — radość zaś naszą to powiększało, że przybrawszy imię Piusa, uprzytomniłeś nam żywo świętą postać Piusa IX, którego niespożyte zasługi wszyscy Polacy z wdzięcznością i czcią wspominali zawsze i dotąd wspominają.

„Ośmielamy się, Ojciec św., w pierwszym roku Twych rządów stanąć u Tronu Twojego z powinnym hołdem, aby uszanowania naszego i zupełnej uległości złożyć ci dowód. Szczęśliwym zaś zdarzyło się trafem, że początek Pontyfikatu Twego na ten rok przypadł, który poświęcony jest szczególnej chwale Niepokalanej Panny Maryi, i niewątpliwie przy mnoży Jej czcicieli i oddanych całym sercem wielbicieli. Wiedzeni tedy podwójnem uczuciem, a mianowicie chęcią gorącą przysporzenia chwały i pomyślności Stolicy Apostolskiej i szczególnem nabożeństwem ku Najśw. Pannie, do Ciebie podążyliśmy, idąc śladami przodków, którzy za sprawę rzymskiego Kościoła, pod wezwaniem Tej, którą nazywali królową Korony Polskiej, mnogie i ciężkie zwalczali trudy i niebezpieczeństwa. Jej obrony i opieki dzisiaj więcej potrzebu-

jemy, niż w minionych wiekach — a ciężkie przebywszy koleje, im większe ponosimy klęski, tem rzewniej o pomoc i zbawienie błagamy Boga, który rządzi ziemią całą i jej królom hetmani. Innego zaś rodzaju walki i przygody niż ongi trapią nas obecnie. Oto nasza św. wiara katolicka, wiara przodków naszych, wystawiona jest na gwałtowne zamachy tak, że doznała już ciężkich strat i ubytków; gdzie niegdyś stały świątynie, ojców pobożnością zbudowane i zdobione, teraz innowiercze odprawiają się obrzędy. Nadto gwałtem i niesprawiedliwymi ustawami wydziedziczają nas z własnej gleby, a nawet język, drogą po przodkach spuściznę, wyrwać nam chce nienawiść nieprzyjaciół.

„Tem gorętszem sercem czcimy tych, którzy miłościwie i wielkodusznie przyznają nam i oddają, co się należy z prawa Bożego i przyrodzonego. Więc niewzruszonej wiary i nadziei pełni zwracamy się do Stolicy Apostolskiej, która była zawsze twierdzą obronną i opiekunką słabych, a ludzi, których ścigała niesprawiedliwość, podnosiła zawsze na duchu i pocieszała. Do kolan Twych Ojciec św. pochyleni, uniżenie prosimy, abyś łaskawie przyjąć raczył to ufności naszej do naczelnego Pasterza świadectwo i nieobludne wyznanie, a zarazem zechciał udzielić nam błogosławieństwa Swego. Unieśliśmy je z Wiecznego Miasta razem z ożywioną miłością ku Pannie Maryi do ojczyzny naszej i naszych ognisk domowych, czcząc wdzięcznem i pokrzepionem sercem imię Zastępcy Chrystusowego na ziemi, i gotowi zastawiać się za całość i powodzenie Kościoła św. pokorną modlitwą i nieustrudzoną służyć mu pracą“.

Pius X odpowiedział:

„Miłym nader, ukochani synowie i bracia, jest nam ten dowód pobożności, której naszym zdaniem nie mogliście lepiej stwierdzić, jak przybyciem do Stolicy św. z dalekich ziem waszych“, i zaświadczeniem osobliwszej dla niej czci. Uczucia i życzenia pomyślności, które nam dziś składacie, uradowały nas, a słowa, któremi witacie jednomyślnie Namiestnika Chrystusowego, wdzięcznem sercem przyjmujemy. Długą podróżą waszą i temi do nas słowami złożyliście, ukochani synowie, piękny dowód waszej wiary i waszego do Stolicy Piotrowej przywiązania. Z tych słów, przedłożonych

imieniem was wszystkich, jawnie poznać się daje i wiary waszej siła i o religię gorliwa dbałość. Najlepszym zaś znakiem waszej względem Nas i względem tej Stolicy św. czci i miłości, są te modlitwy, które do miłosierdzia Bożego za pomyślność Kościoła zanosić przyrzekacie, a to tem więcej, że łączycie je z pobożną cześcią i rzewną miłością ku Niepokalanej Boga Rodzicy.

„Zaiste, gdy myśl Naszą ku ojczyźnie waszej zwracamy, słodkiej doznajemy pociechy z przeświadczenia o gorącej żarliwości, z jaką ojcowie wasi starali się okazać w szczególny sposób cześć Matce Bożej, zowiąc ją przepięknem imieniem „Królowej Korony polskiej“. W tym szczególnie roku, poświęconym Pannie bez zmazy poczętej, niech Ona wam, o wiarę ojców waleczącym, będzie orędowniczką i opiekunką, niech was, idących śladem przodków, opieki swej zabezpieczeniem otoczy. Nie jest Nam też tajemem, synowie ukochani, że naród polski wielu wydał z siebie mężów, którzy ojczyznę swą wsławili i prawdy katolickiej światłem i życia świątobliwością, a dziś w chwale niebieskiej jaśniejący, współziomków swoich, dziedziców swych enót, łaskawym widzą okiem i przyczyną swą wspomagają.

„Stąd też silną żywimy nadzieję, że ten skarb wiary i chrześcijańskiej pobożności i na przyszłość także przez was, katolickim duchem ożywionych, troskliwie i starannie będzie przechowywany, i że ze starań waszych obfity zejdzie plon dla dobra wiary i Kościoła. Niczego bowiem nie pragniemy więcej, jak tego, abyśmy cały naród polski, tak wielu i wielkimi ozdobiony darami, w ojcowskiej mogli objąć radości, i widzieli go, za przodków przykładem, stale w hufcach i sztykach Kościoła wojującego. Być to nawet nie może, iżby kiedykolwiek oziębnać miała ta miłość, z którą dochowywaliście wiary aż do krwi przelewu.

Również i z przybycia waszego do Rzymu, synowie ukochani, poznaliśmy dobrze gorliwość, jaką przejęci jesteście, znowu jak najlepiej zasługując się około Kościoła i Stolicy apostolskiej. Teraz więc z wami razem w tem pewniejszej umacniamy się nadziei, że przy Bożej pomocy, z każdym dniem bardziej kwitnąć będzie pośród was święta nasza Religia, i lud katolicki wzrastać będzie w Polsce w liczbę

i zasługi. Wiemy także dobrze, że nie brak wam przeciwności w obronie praw Kościoła i wykonywaniu dzieł życia chrześcijańskiego. Ale jakkolwiek i cokolwiekby było, nie upadać wam na duchu, pomnać na przeszłość. Owszem, tem bardziej pobudzać się winniście do zbawiennej czujności i do skutecznej pracy, żeby ci nawet, którzy dla Kościoła mają złą wolę, waszym przykładem, waszym duchem miłości pociągnięci, prawdziwą przyjęli wiarę i na drogę Boskich przykazań przeszli

„Wy zaś, synowie ukochani, wytrwale dalej idźcie za sprawiedliwością, cnoty pilnie w sobie pielęgnując, jak dotąd. Na siłach i na duchu pokrzepieni, tem szczęśliwsi, że zgromadziliście się tutaj, starajcie się usilnie, aby bracia wasi po krwi i wierze, którzy, acz tu nieobecni, myślą i uczuciem są z wami, z każdym dniem żywiej odczuwali i lepiej rozumieli, czego od was wymaga Wiara św. katolicka. Tym sposobem potomkom swoim zostawicie przykład, jak się łączy miłość ojczyźnie należną z obroną Wiary św. i jej umiłowaniem.

„Co się Nas tyczy, synowie ukochani, sprawy katolickiej i was strzedz i bronić nigdy nie przestaniemy, a was wszystkich gorąco Bogu polecamy, aby wszystkich mocno pomocą swą podtrzymywał, i wszystkie czyny wasze kierował na dobro i pożytek Wiary, na duchowe wasze zdrowie i zbawienie, na całego narodu polskiego pomyślność. Tych zaś życzeń naszych i pasterskiej względem was miłości znakiem i wyrazem niechaj będzie to apostolskie błogosławieństwo, którego, z głębi serca dobywając, z wielką miłością udzielamy biskupom waszym, całemu duchowieństwu, i wszystkim wiernym, każdemu z was osobno i rodzinom waszym!“

Po błogosławieństwie cały ten tłum powstał i chórem zaśpiewał „Wesoły nam dziś dzień“. Odchodzącego Papieża żegnał ten śpiew.

Na pytanie wyżej wyrażone: „co czuł, co znalazł Polak w Watykanie za nowego Papieża“, odpowiedź jest w tych Jego słowach. Polak znalazł ojcowskie serce, znalazł znajomość swoich stosunków, a uczuł się podniesionym na duchu i pociągniętym do osoby Ojca św.

Chwila była wzruszająca, ważna, może stanowcza na cały czas panowania Piusa X. Pierwsze wrażenie wpływa często na stałe usposobienie: z bijącym sercem więc szło się za każdym słowem, za myślą Papieża. Oby były rozgrzewające i pokrzepiające! Pierwszy raz polskie słowo, polskie uczucie, odzywało się przed Nim: pierwszy raz On miał przemówić do Polaków, pośrednio do Polski. Czy wyrozumie i oceni jej uczucie, czy do niego trafi swoim słowem?

Rzecz prosta, że Papież mówił tylko o rzeczach religijnych; sprawy świeckie, polityczne, nie mogły i nie powinny były znaleźć miejsca, a sprawy religijne mogły być dotknięte tylko ogólnie; a i te tak ogłędnie, żeby słowa Papieża nie mogły być wzięte za pretekst do nowych prześladowań Kościoła. Pius X mógł więc tylko krótko i ogólnie zaznaczyć, że nasze położenie zna i z niem współczuje. To zrobił. Słowa były głęboko rozważone, roztropnie obmyślane, ale obejmujące wszystko to co istotne, co potrzebne; znajomość rzeczy i współczucie były bardzo wyraźne, bardzo dosadnie wypowiedziane. Przeszłość Polski wspomniana z uznaniem, z uszanowaniem, z uczuciem, a wspomniana nie jak rzecz skończona i zamknięta, ale jak żyjące i rzeczywiste zobowiązanie dla teraźniejszości. Cześć Najświętszej Panny, „Królowej Korony Polskiej“, wspomniana jak obowiązująca, jako upomnienie, żeby w niej się nie opuszczać i nie ustawać, mieściła w sobie także wspomnienie i uznanie przeszłości. Dla teraźniejszości zachęta do wytrwania, i ufność, wiara w tę wytrwałość: „Być to nawet nie może, iżby kiedykolwiek osłabnąć miała ta miłość, z którą dochowywaliście wiary aż do krwi rozlewu“.

A więcej co? W krótkich słowach oświadczenie, że Papież zna nasz stan, że o nim wie: „Nie tajne nam, że macie do walczenia z mnogimi przeciwnościami w obronie waszej wiary i w wykonywaniu dzieł życia chrześcijańskiego“. To alluzya do znoszenia zakonów, do zamykania Kościołów, do krępowania biskupów i księży w wykonywaniu ich obowiązków. „Ale jakkolwiek i cokolwiekby było, nie upadać wam na duchu, *pomnąc na przeszłość*“. W tej pamięci mamy czerpać siłę wytrwania. „Owszem, tem bardziej pobudzać się winniście do zbawiennej czujności i do skutecznej pracy, żeby

ci nawet, którzy dla Kościoła mają złą wolę, waszym przykładem, waszym duchem miłości pociągnięci, prawdziwą przyjęli wiarę i na drogę przykazań boskich przeszli“.

Kogo Papież miał na myśli, do kogo temi słowami zmierzał? Nie może on nie wiedzieć, że i między Polakami są tacy, co mają „złą wolę względem Kościoła“. Ale ci, choć wiarę stracili, to nie potrzebują jej na nowo przyjmować, bo w niej byli zrodzeni i ochrzczeni. A więc to do innych, do różnowierców. Czy my możemy, czy mamy sposób nawrócenia ich na dobrą drogę? W każdym razie szczęściem byłoby dla nich, i dla nas, gdybyśmy takie szczytne powołanie spełnić mogli i gdyby oni *na drogę przykazań boskich przeszli*. Żeby na nią przeszli? a więc na niej nie są. To z powyższych słów wychodzi jasno.

Ojciec św. „niczego nie pragnie tak gorąco, jak żeby mógł cały naród polski w ojcowskiej objąć radości i widzieć go, za przodków przykładem, stale w hufcach i szykach Kościoła wojującego“. Te słowa mogą obejmować wiele: mogą znaczyć, że my Polacy, nie wszyscy stoimy w hufcach i szykach Kościoła, a temu niestety zaprzeczyć nie możemy. Ale obok tego jest i znaczenie drugie: Papież chciałby *w radości* objąć cały naród polski przykładem przodków w służbie i obronie wiary, ale tej radości nie może mieć, bo widzi ten naród w prześladowaniu i ucisku.

Dalej nauka, żeby z każdym dniem żywiej czuć, lepiej rozumieć i braciom tu nieobecnym (katolikom w Polsce) udzielać tego uczucia i zrozumienia „czego od was wymaga Wiara św. katolicka. Tym sposobem potomkom swoim zostawicie przykład, jak się łączy miłość należną ojczyźnie z obroną Wiary i jej umiłowaniem“. Kościół uznawał zawsze miłość ojczyzny za wrodzone uczucie i za przyrodzone prawo. W naszych czasach powtórzył to nieraz Pius IX, ogłaszał w Encyklikach Leon XIII. Pius X w przytoczonych słowach wyznaje to samo: a jak w pierwszych ustępach swego przemówienia zwracał się do naszej przeszłości, jak w dalszych mówił czego żąda od teraźniejszości i czego się po niej spodziewa, tak w tym zdaje się wskazywać drogę przyszłości, jaką potomkom naszym otworzyć i zapewnić mamy.

W zakończeniu obietnica, że Papież „nie przestanie nigdy sprawy katolickiej, i was, strzedz i bronić“, że nie przestanie Boga prosić, iżby wszystkie czyny nasze „kierował na dobro i pożytek Wiary, na duchowe wasze zdrowie i zbawienie, na całego narodu polskiego pomyślność“.

„Na siłach i duchu pokrzepieni, szczęśliwi tem żeście się tu zgromadzili“, te słowa mieściły się także w przemówieniu Ojca św. Były prawdziwe. Odchodziliśmy od Niego, wracaliśmy z Rzymu, szczęśliwi żeśmy tam byli, pokrzepieni na duchu. Pokrzepieni Jego słowem, Jego ojcowskiem uczuciem, Jego obietnicą; pokrzepieni i tem, że nasz przyjazd, nasze zachowanie się, zostawiły tam dobre wrażenie i wspomnienie. Ale pokrzepieni i umocnieni także samą bytnością w Rzymie, samym faktem złożenia hołdu Papieżowi. Te częstsze dziś pielgrzymki mają dobry wpływ i przynoszą pożytek: ich stosunkowa łatwość, ich powtarzanie, zacieśnia węzły między Stolicą Apostolską a dalekimi wiernymi, stosunek staje się żywszym, pamięć trwalszą, potrzeba ciągłego i żywego stosunku lepiej rozumianą i lepiej myśli przytomną. W dawniejszych wiekach, i jeszcze do połowy XIX wieku, nieszczęściem było Kościoła w Polsce, a pośrednio nieszczęściem społeczeństwa i jego spraw świeckich, że byliśmy tak daleko od Rzymu, tak luźnie i miękko z nim złączeni, tak mało jemu znani i nawzajem tak mało o nim wiedzący. Jeżeli od lat jakich trzydziestu jest znaczna i szczęśliwa pod tym względem zmiana, jeżeli katolickie uczucie więcej niż dawniej wspiera się i wzmacnia katolickim przekonaniem, jeżeli wyrabia się w nas znajomość i zrozumienie istoty Kościoła, a ustala się i szerzy świadomość koniecznej z nim łączności, to przyczyniły się do tej zmiany (oprócz innych starań i zabiegów biskupów i duchowieństwa) także te pielgrzymki, które wiernych z różnych stron Polski sprowadzają do stóp Papieża. Daleki obwód katolickiego koła silniej ciągnie do jego środka, środek silniej przyciąga do siebie tych co są na obwodzie, kiedy ich może widzieć na oczy, i łatwiej, w większej mierze może im z siebie siły udzielać. Płyń żywszy, pełniejszy prąd uczuć, pragnień, wynurzeń i próśb, z obwodu do środka: pamięci, znajomości, wnिकnienia w potrzeby, opieki, ze środka do obwodów. Do środka płyną,

skupiają się w nim wierne uczucia, troski, boleści: z niego rozchodzą się promienie wiary, otuchy, łaski. Jedne i drugie płyną i krzepią się w gorętszej, silniej przejmującej wzajemnej miłości. Te promienie, które z watykańskiego środka rozchodzą się na cały świat katolicki, rozchodzą się za pomocą pielgrzymek i pielgrzymów. Każdy z nich przenosi w swoim sercu ślad doznanych wrażeń i uczuć żywiej obudzonych, przechowuje go w sobie, udziela innym dokoła siebie, a przynajmniej udzielać może, i powinien. Miał słuszość Pius X kiedy mówił „szczęśliwście tem, żeście się tu zgromadzili“. Ale szczęśliwi zwłaszcza, jeżeli nie zapomnimy, że on do tych słów dodał i upomnienie, i swoją w nas położoną nadzieję. „Starajcie się, aby bracia wasi po krwi i po wierze coraz żywiej czuli i coraz lepiej rozumieli, czego od was wymaga Wiara św. katolicka“. To mamy dobrze wziąć do serca, bo to nas obowiązuje. Obowiązuje i ta nadzieja, którą Papież wyraźnie wypowiedział, „że przy Bożej pomocy z każdym dniem bardziej kwitnąć będzie pośród was nasza święta religia, a lud katolicki wzrastać będzie w Polsce w liczbę, i w zasługi“. Tej nadziei, tej ufności, zawieźć przecie nie możemy? Wzrastać w liczebną siłę nie jest w naszej mocy; dobrze jeszcze, jeżeli ta liczba nie maleje, bo od zewnątrz i z wewnątrz nie brak chęci i usiłowań, żeby ją ścieśniać, żeby katolików w Polsce było coraz mniej. Ale czego nie możemy przymnożyć na ilość, to starajmy się nadstawić i zyskać jakością, stałością, statecznością, wiernością tych co są.

W rozmowie z jednym z uczestników pielgrzymki powiedział Pius X: „Prawda, jesteście prześladowani, jesteście nieszczęśliwi, ale w tem szczęśliwsi od wielu, żeście od wielu wierniejsi“. Tę dobrą opinię Papieża powinniśmy i mamy koniecznie utrzymać, usprawiedliwić, i na nią dalej zasługiwać.

St. Tarnowski.

Sofoklesa „Antygona“ a Shelleya „Rodzina Cencich“¹⁾.

I.

Z tragików greckich największą popularność zdobył sobie w wiekach nowszych Sofokles. Większy od niego Aischylos nie znalazł tak szerokiego koła czytelników, czy to że postaci jego wydawały się zanadto gigantycznymi — a ludzie wolą się obracać w świecie przykrojonym na własną miarę, czy że Sofoklesa utwory pociągały harmonią i równowagą, talentowi jego właściwą, czy z innych powodów. Z pomiędzy dramatów Sofoklesa nie ten jednak stał się najpopularniejszym, który zdawałby się mieć do tego największe prawo, ze względu na doskonałość budowy, a który uznany został za wzór tragedyi przez takiego znawcę sztuki dramatycznej, jak Arystoteles, *Edyp król*. Dramat ten, pomimo swoich zalet, nie zyskał tej popularności co inny utwór Sofoklesa, *Antygona*. Skądże pochodzi ta popularność *Antygony*? Nie stąd, żeby przedmiot jej był więcej nowożytnym niż innych tragedyj; przeciwnie, czyn, który stanowi oś dramatu, jest zrozumiały tylko z punktu widzenia starożytnego. Dzisiejszemu czytelnikowi trudno jest pojąć, dlaczego *Antygona* przykładą taką wagę do rzucenia garści ziemi na zwłoki brata, że spełnienia tej formalności nie waha się

¹⁾ Rzecz czytana na otwarcie roku szkolnego 1902/3 w Uniwersytecie lwowskim.

okupić życiem własnem. Wielkie wrażenie, jakie robi sztuka, pochodzi stąd, że żadna z bohaterek dramatu starożytnego nie jest owiana takim urokiem poezyi jak bohaterka Antygony. Słaba dziewczyna zdobywa się na taką siłę, kiedy chodzi o spełnienie obowiązku, że nie waha się położyć młodego swego życia w ofierze, byle uczynić to, co jej każe sumienie. Żadna też sztuka Sofoklesa nie pociągała w tym stopniu poetów nowożytnych co Antygona. Zamiarem moim jest wykazać wpływ jej na jeden z dramatów XIX w., na utwór Shelleya *The Cenci*.

Na wpływ Antygony na wymieniony utwór Shelleya nie zwrócono dotąd uwagi¹⁾, mimo że wpływ ten jest na pierwszy rzut oka widoczny. Nie spostrzegł go Taine w swojej *Historji literatury angielskiej* (T. III) ani Brandes w *Głównych prądach literatury XIX. stulecia* (T. IV), nie zaznacza go też najnowsza obszerna monografia o Shelleyu pióra Heleny Richter²⁾, mimo że autorka jej rozbierając utwory angielskiego poety zastanawia się przy każdym nad wpływami obcymi, które się w nim przebijają.

Shelley lubował się całe swe, krótkie zresztą, życie w literaturze greckiej. Z poetów greckich pociągali go przede wszystkim Homer i tragicy, z prozaików Platon, ten pokrewny mu duchem filozof-poeta³⁾. Homera stawiał Shelley nad Dantego i nad wielkiego swego ziomka, Szekspira⁴⁾. W Aischylosie, Sofoklesie i Eurypidesie rozczytywał się z upodobaniem. Cytuje ich często, naśladuje w swych utworach, tłumaczy. „Książki są może jedynym tworem“, powiada w jednym z listów, „który ma równą wartość z ro-

¹⁾ Wyborny znawca literatury odnoszącej się do tragiczków greckich, M. Wecklein, zapewnił mnie, że, o ile mu wiadomo, nikt nie zajmował się dotąd stosunkiem obu utworów. Rozległej literatury angielskiej, traktującej o Shelleyu, co prawda nie znam z wyjątkiem pracy Matyldy Blind (zob. niżej).

²⁾ Richter Helene: *Percy Bysshe Shelley*. (Weimar, 1898).

³⁾ Według świadectwa przyjaciela Shelleya, Leigh Hunta, zob. Blind Mathilde: *Memoir of Shelley*, (w wyborze pism Shelleya u Tauchnitza: *A selection from the poems of P. B. Shelley*, Lipsk, 1872, str. XX).

⁴⁾ Richter, str. 318.

dzajem ludzkim. Sofokles i Szekspir mogą wiecznie powstawać¹⁾. Sofokles jest więc dla niego jednym z największych mistrzów poezji. Kiedy po tragicznym zatonięciu Shelleya z łodzią podczas burzy morskiej, znaleziono później jego zwłoki, znajdował się przy nich egzemplarz Aischylosa. Nie mniej od poetów czarował Shelleya genialny polot fantazyi Platona. „Platon i Calderon są mymi bogami“, pisze w jednym miejscu²⁾.

Upodobanie to w literaturze greckiej nie może dziwić: Shelley sam był naturą na pół pogańską, grecką. „My wszyscy jesteśmy Grekami“, mówi w jednym miejscu³⁾. Idealista w życiu i poezji, ma w swej naturze coś prostego, co przypomina starożytnych a co się udzieliło także jego utworom: jego poezya natury nosi na sobie piętno pierwotne jak Wedy lub Homer⁴⁾. Cała natura jest dla niego ożywioną jak dla Greka: chmura jest w jego oczach istotą żywą, rzeki są kochankami morza, w którego łożu znikają, — zupełnie jak Grekowi każde drzewo, każde źródło wydawało się ożywionem. A nie są to u niego proste tylko obrazy, lecz poeta widzi i odczuwa ich życie, rozmawia z niemi, jak gdyby żył za czasów Alkmana. Prostota jego istoty objawia się także w dziecinnej prawie otwartości, z jaką wypowiada się ze swemi przekonaniami, czy tego zachodzi potrzeba lub nie, np. ze swoim ateizmem. Na ścianie górskiego schroniska w dolinie Chamounix pisze o sobie:

Εἰμὶ φιλόανθρωπος δημοκρατικός τ' ἄθεός τε.

Jestem filantropem, demokratą i ateuszem.

Jest charakterystycznym, że Shelley, chcąc dać obraz swej istoty, wybrał do tego język grecki i miarę wierszową grecką. Jego płomienna miłość wolności a nienawiść ku tyranii przypomina Greka z czasów Maratonu i Salaminy. A na-

¹⁾ List do Peacocka (Bolonia, 16. listopada 1818); zob. Richter, str. 303..

²⁾ Richter, str. 475.

³⁾ Brandes IV, 264 (übers. v. Strodtmann, Leipzig, 1897).

⁴⁾ Brandes, str. 244.

wet ten zwyczaj tworzenia swych poezyj w łodzi na morzu, w strugach słońca, ma w sobie coś z czasów pierwotnych, kiedy ludzie żyli więcej wśród natury. To też kiedy Byron spalił jego zwłoki na stosie, nad brzegiem szafirowego morza, to wyprawiając mu ten pogański pogrzeb, wynalazł formę obrzędową najbardziej odpowiadającą życiu i wewnętrznej istocie młodo zmarłego poety.

Ta greckość natury Shelleya wybiła piętno i na jego utworach. „Prometeusz rozpętany“ powstał pod wpływem Aischylosa. Utwór „Hellada“ pisany był według słów samego poety na wzór Aischylowych „Persów“ ¹⁾. „Epipsychidion“ nosi wyraźne ślady lektury Platońskiego Symposion ²⁾. „Alastor“, „Adonais“ i mnóstwo drobniejszych wierszy mają treść lub przynajmniej nazwiska osób greckie. Komedya polityczna Shelleya przypomina swoją chłoszczącą satyrą i lirycznym polotem chórów komedya Arystofanesa ³⁾. Utwory liryczne Shelleya są nieraz jakby reminiscencją hymnów homerowych.

Zamiłowanie Sh. w literaturze greckiej widoczne jest także w licznych tłumaczeniach z tego języka, przez niego dokonanych. Tłumaczył hymny homerowe, Eurypidesowego Cyklopa, Platońskie Symposion, sielanki Biona i Moschośa a nawet próbował pisać rozprawę o zwyczajach starożytnych odnoszących się do miłości, rodzaj komentarza do Symposion ⁴⁾.

Ale przejdźmy do „Rodziny Cencich“, utworu, który Byron nazwał najlepszą tragedią angielską od czasów Szekspira a w którym Shelley, w innych utworach powiewny, niepochwytny, jakby z mgły utkany, mieniający się, staje się, jakby pod wpływem greckim, obiektywnym, tworzy postaci plastyczne i indywidualne.

¹⁾ Richter, str. 573.

²⁾ Richter, str. 490.

³⁾ Brandes w p. m.

⁴⁾ Richter w różnych miej.

II.

Za treść swej tragedyi wziął poeta fakt historyczny. 19. października 1599 w Rzymie w pobliżu mostu ś. Anioła spadły z ręki kata trzy głowy: hrabianki Beatrix Cenci, jej brata Giacomina i ich macochy, hrabinej Lukrecyi, wszystkich trojga przekonanych o udział w zamordowaniu starego hr. Francesca Cenci, spełnionem nocną porą w apenińskim zamku Petrella. Tradycya tej zbrodni i kary żyje wśród ludu rzymskiego do dziś dnia, ubrana w poetyczne szaty legendy. Cudzoziemcowi zwiedzającemu zrujnowany i posepny pałac Cencich koło Ghetto w Rzymie opowiada cicerone o krwawym dramacie rodzinnym ¹⁾. W zamku św. Anioła pokazują salę, w której mordercy byli więzieni, salę, gdzie ich brano na tortury i inną, w której ich sądzono, kurytarz, którym ich prowadzono na stracenie. Każdy wreszcie, kto zwiedzał galerią Barberinich, przypomina sobie portret Beatryczy Cenci, przypisywany Guido Reniemu, cudowną, dziecinną, prawie anielską główkę, która, jak pięknie powiedział Odyniec, sama jedna jest jakby obroną i uniewinnieniem dziewczicy ²⁾. Tradycya powiada, że Reni malował portret Beatryczy już po wydaniu na nią wyroku śmierci, w jej więzieniu w zamku św. Anioła, w sam dzień stracenia. Podanie to zakwestyonowano w czasach nowszych ³⁾; opierając się na tem, że Reni za życia Beatryczy nie pracował wcale w Rzymie, wystąpiono z twierdzeniem, że portret nie jest dziełem Reniego i nie przedstawia Beatryczy Cenci ⁴⁾. Lud rzymski otoczył postać straconej młodo Beatryczy poetycznym urokiem: ze słów jej obrońcy, który ojca Beatryczy obwiniał o kazirodczą namiętność ku córce, wytworzył wzruszającą historią czystej dziewczicy, która w obronie swej czei

¹⁾ Shelley w przedmowie do *The Cenci*.

²⁾ Listy z podr. III, 382.

³⁾ Bertolotti A., *Francesco Cenci e la sua famiglia*, Florencya 1877, znane mi tylko z drugiej ręki, przedewszystkiem z rozprawy Hoesicka.

⁴⁾ Współczesna historia rodu Cencich opowiada, że portret Beatryczy znajdował się w willi Pamfilii.

nie cofnęła się przed ojcobójstwem. Ten sam charakter co w podaniu ludowem nosi Beatrix i w dramacie Shelleya; i tu jest ona owiana niewinnością i czystością, poezją i urokiem.

Stary Cenci jest w tragedyi angielskiego poety zbrodniarzem, prawie potworem moralnym. Lubuje on się po prostu i rozkoszuje w zbrodniach; życie jego jest jednym pasmem rozpusty i występków, a wielki jego majątek sprawia, że ręka sprawiedliwości nie dosięga złoczyńcy. Cenci stał się w końcu tyranem własnej rodziny: z drugą swoją żoną Lukrecyą obchodzi się brutalnie, synowi Giacomowi nie chce zwrócić posagu jego żony i patrzy z radością na to, jak ten z rodziną ginie z nędzy. W końcu Cenci wyzuwa się do tego stopnia z wszelkich uczuć rodzicielskich i ludzkich i posuwa do tego szalu, że sprosiwszy gości na wielką ucztę, oznajmia im, że zaprosił ich dlatego, bo dowiedział się o śmierci dwóch swoich młodszych synów i chce teraz razem z przyjaciółmi obchodzić radośnie ten szczęśliwy wypadek. Kiedy wreszcie o władnęła nim występna, kazirodeza miłość ku córce, Beatrycze a z nią rodzina nie widzą innego wyzwolenia z okropnego położenia jak pozbyć się ojca w sposób gwałtowny. W dziele tem pomocnym jest Beatryczy młody prałat Orsino, który kocha Beatryczę i spodziewa się ją w ten sposób osiąść, charakter czarny, przypominający szekspirowskiego Jaga. Stary Cenci wybiera się z rodziną do swego zamku Petrella, położonego w Apeninach apulskich; według ułożonego planu ma on paść w drodze z rąk skrytobójców. Ale zamach się nie udaje, bo Cenci przybył do zamku kilka godzin wcześniej niż miał pierwotnie zamiar. Wtedy rodzina postanawia zgładzić go najbliższej nocy we śnie; wysyła skrytobójców do jego łóża i tym razem osiąga swój cel. Zbrodnia wychodzi atoli niebawem na jaw: jednego ze skrytobójców ujęto i znaleziono przy nim list Orsina pisany do rodziny Cencich a mówiący o zamierzonym skrytobójstwie. Żona zamordowanego i jego syn Giacomo wzięci na tortury przyznają się do czynu, Beatrycze twierdzi, że jest niewinną, ale udział jej w zbrodni jest widocznym, to też i na nią spada wyrok śmierci. Beatrycze

żegna się z światem, który tak młodo przychodzi jej po rzucić, i idzie mężnie na stracenie.

Taką jest treść tragedyi Shelleya. Sytuacya sama mało ma wspólnego z sytuacją w Antygonie. Tam Kreon wydał zakaz grzebania zwłok Polynejkesa; Antygona przekracza jednak świadomie ten zakaz, bo odwieczne prawo religijne, każące pogrzebać zmarłego, stoi w jej oczach wyżej niż jakiegokolwiek prawo ludzkie. Schwytana na grzebaniu zwłok brata nie wypiera się czynu i oświadcza, że gotową jest umrzeć. Wtrącona do podziemnego więzienia odbiera sobie życie a śmierć jej popycha i jej oblubieńca a syna Kreonowego, Hajmona, do samobójstwa. Kreon widzi niespodzianie ruinę szczęścia rodzinnego, bo nie tylko stracił syna, ale i jego żona Eurydyka na wieść o śmierci Hajmona poszła za przykładem syna i pozbawiła się życia.

Pomimo, że treść obu utworów nie ma prawie nic wspólnego, są u Shelleya *sytuacje*, w których analogia do sytuacji Antygony jest niezaprzeczoną. Kiedy na uczcie stary Cenci każe gościom ująć puhary i dzielić z nim radość z powodu śmierci synów, a nikt nie śmie skarcić nikezmenika, wstaje Beatryx i nie lęka się rzucić ojeu w twarz słów płomiennych, piętnujących jego nikezemność. Przypomina wtedy Antygone, kiedy ta, przyprowadzona przed króla, wykazuje mu śmiało, że zakaz jego jest niesprawiedliwy, bo narusza prawa boskie. A jak obywatele tebańscy, mimo że uważają zakaz króla za zdrożny, boją się stanąć po stronie Antygony, tak i goście Cenciego zastraszeni jego groźbami nie mają odwagi użyć poparcia słowom Beatryczy.

Jeszcze wyraźniejsza analogia przebiega między sceną, w której Beatryx stawiona przed sędziów śmiało się broni, a wymienioną sceną greckiego utworu, w której Antygona ujęta na grzebaniu brata i przyprowadzona przed króla przyznaje się mężnie do czynu i oświadcza, że jest gotową ponieść śmierć.

Kwestya winy w Antygonie przedstawia się tak, że winnym w gruncie rzeczy jest król; on to wydał niesłuszny zakaz; Antygona idąc za głosem obowiązku musiała ten zakaz przekroczyć. Czuje się też Antygona niewinną. U Shel-

leya Beatrycze popełnia straszny czyn, bo ojcobójstwo, ale i ona nie uważa się za winną. Istniejące prawa i urządzenie nie chroniły jej rodziny przed potwornym ojcem; śmierć ojca była dla wszystkich jedynym wyjściem z okropnego położenia. Beatrycze pada w swem przekonaniu ofiarą niesłusznym urządzeń.

„Winne?“

pyta się ona zwracając się do kardynała Savelli:

Któż śmiałyby mówić tu o winie?
 Panie! mniej jestem winną ojcobójstwa,
 Niżli to dziecko, które na świat przyszło
 Bez ojca!

a później woła zwrócona do kardynała:

To wyście winni! Ten biedak, co stoi
 Przed wami błady, drżący, pomieszany,
 Choćby na prawdę zamordował hrabię,
 Był tylko mieczem w tej prawicy Boga
 Sprawiedliwego.

(Ustępy z dramatu angielskiego cytuję w pięknym przekładzie Kasprowicza).

W podobny sposób krytykuje Antygona, przywiedziona przed Kreona, jego zakaz; i w jej słowach kryje się zarzut, że Kreon jest winien temu, co się stało.

To też Beatrycze wykonywa czyn z całą pewnością siebie a po jego dokonaniu jest spokojną; o skutki się nie troszczy.

III.

Daleko większe podobieństwo niż w sytuacjach wykazują oba dramaty w *charakterach*. Przedewszystkiem w postaciach bohaterów, bo jak u Sofoklesa Antygona, tak u Shelleya Beatrycze jest bohaterką tragedyi. Beatrycze jest kochającą córką, jak Antygona kochającą siostrą. Beatrycze jest

z natury uległą i łagodną. Nagle dostaje się w położenie, wymagające energii i siły, i wtedy, jak Antygona, okazuje się mężną, waży się na wielką rzecz bez względu na następstwa czynu. Antygona grzebie brata, bo uważa to za swój obowiązek; Beatrycze widzi wyjście z okropnej sytuacji jedynie w śmierci ojca i nie cofa się przed tym krokiem, choć przewidzieć może, że przyplaci go życiem.

Ale i w charakterach innych osób można się dopatrzeć podobieństwa. Przedewszystkiem brat Beatryczy, Giacomo, przypomina Ismenę. Kiedy przed czynem Giacomo waha się, Beatrycze wzywa go, by był silnym. W końcu zgadza się Giacomo wraz z siostrą i macochą na śmierć ojca, ale przez cały czas, przedewszystkiem później przed sądem, jest miękim i chwiejnym, na torturach przyznał się do czynu, namawia siostrę, by poszła za jego przykładem; pod tym względem stanowi on prawdziwy kontrast męskiej, stanowczej Beatryczy, tak jak Ismena, lękliwa, choć dobra, jest przeciwieństwem swej odważnej siostry Antygony.

Do pewnego stopnia przypomina Ismenę także Lukrecya. Jest ona przedstawicielką kobiecej słabości; znosi wszystko, nie mogąc czy nie śmiejąc rzeczy zmienić.

Sofokles wprowadził do swego utworu dla złagodzenia charakteru Antygony, który mógłby bez tego wydawać się zbyt twardym, szorstkim, mało kobiecym, pierwiastek miłosny. Hajmon kocha Antygone głęboko, tak że śmierć jej popycha go do samobójstwa. U Shelleya miłość ku Beatryczy uosabia Orsino. Tyle jednak też tylko jest wspólności między nim a Hajmonem. Po za tem jest postać Shelleya całkiem odmienną od Hajmona: Orsino jest charakterem wstrętnym; przebiegły, nie cofa się przed żadnym środkiem, byle dopiąć niegodnego swego celu.

Kreona Sofoklesowego przypomina po części stary Cenci; ma on z nim wspólną twardość charakteru, gwałtowność i upór; jak Kreon stoi na straży i ma pełne poczucie powagi swego stanowiska królewskiego, tak Cenci swej władzy ojcowskiej. Ale więcej może jeszcze przypomina Kreona inna z postaci Shelleyowych, która w dramacie nie występuje wprost, lecz o której się wiele słyszy. Jest tą

osobą papież. I on jest twardym i nieugiętym jak Kreon. Nie chce wziąć w obronę rodziny Cencich przed ojcem, bo zdaniem jego nie należy podkopywać władzy i powagi ojcowskiej. Później nakazuje postąpić surowo z obwinionymi i nie chce ulaskawić skazanej Beatryczy.

„Papież nieugięty, nie złamiesz papieża“ ;

powiada o nim jedna z osób dramatu,

Był tak spokojny jak tortur narzędzie,
Głaz, prawo, zakon, zwyczaj — a nie człowiek.

A zatem rysy charakteryzujące Sofoklesowego Kreona znajdujemy u Shelleya rozdzielone między dwie osoby, nieco podobnie, jak to widzimy i przy postaci Ismeny.

Najbardziej uderzające podobieństwo między tragedią grecką a angielską zachodzi jednak w scenie, w której bohaterka jednej i drugiej żegna się ze światem. Z ust Beatryczy wydzierają się takie słowa:

O ty mój Boże! czyliż to podobnem,
Ażebym miała tak umrzeć gwałtownie,
Zstąpić tak młodą do ciemnej i zimnej,
Pełnej zgnilizny i gadu mogiły?
Zamknąć na zawsze we wązkiej się trumnie,
Nie widzieć więcej słonecznego blasku,
Nie słyszeć więcej jasnych życia głosów,
Nie tonać więcej w tych powszednich myślach —
Co, chociaż smutne, dziś tak strasznie giną!
Nie być już niezem! albo być — i czemże?

a później:

I dzisiaj
Od jedynego świata, co mi znany,
Jam oderwana — od światła i życia
I od miłości, w moich lat zaraniu.
.
Chodź, ciemna śmierci, uchwyc mnie w ramiona,
Którymi wszystko ogarniasz. Jak matka

Oszołomiona miłością, ukołysz mnie do snu,
Z którego nikt się nie budzi! ¹⁾

(Akt V, scena 4).

Czyż to nie przypomina skarg idącej na śmierć Antygony, które przytoczę w pięknym przekładzie Kazimierza Morawskiego:

Patrzcie, o patrzcie, wy ziemi tej dzieci,
Na mnie kroczącą w smutne śmierci cienie,
Oglądając ostatnie promienie
Słońca, co nigdy już mi nie zaświeci.
Bo mnie Hadesa dziś ręka śmiertelna
Do Acherontu bladych wiedzie włości,
Ani zaznałam miłości,
Ani mi zabrzmi żadna pieśń weselna;
Ale na zimne Acherontu łoże
Ciało nieszczęsne me złożę.

Bez łez, przyjaciół, weselnego pienia
Kroczę ja biedna ku śmiertelnej toni,

¹⁾ Ponieważ podobieństwo między utworem greckim a angielskim występuje tu i w słowach, przytoczę zacytowane ustępy także w oryginale:

My God! Can it be possible I have
To die so suddenly? so young to go
Under the obscure, cold, rotting, wormy ground?
To be nailed down into a narrow place;
To see no more sweet sunshine; hear no more
Blithe voice of living thing; muse not again
Upon familiar thoughts, — sad, yet thus lost
How fearful! To be nothing; or to be —
What?

.
.
I am cut off from the only world I know,
From light and life and love, in youth' sweet prime.

.
.
Come, obscure Death,
And wind me in thine all-embracing arms!
Like a fond mother hide me in thy bosom,
And rock me to the sleep, from which none wake!

Wnet już nie ujrzę ja słońca promienia,
Nikt łzy nad moją dolą nie uroni.

Grobie, ty mojej łóżnicy miłości,
Mieszkanie wieczne, ciemnico skleciona,
Idę do moich, których tylu gości
W pozgonnych domach boska Persefona.
Za wami idę ja, co w życia wiośnie
Zginęłam, prawie nie zaznawszy świata,

.
.

Ani zaznawszy słodyczy wesela,
Ni uczuć matki, ni dziełek pieszczoty,
Schodzę ja sama i bez przyjaciela
Nieszczężna, żywa do grobowej groty.

IV.

Nasuwa się teraz pytanie, czy te podobieństwa z Antygona są u Shelleya świadome, zamierzone, czy też mamy tu do czynienia z ciemnymi reminiscencyami lub zupełnie przypadkowemi podobieństwami.

Shelley powiada, że za przedmiot swego utworu obrał historią Cencich dlatego, że wydała mu się wysoce tragiczną¹⁾. Dodaćby do tego można jeszcze drugi powód. Natura Shelleya jak natura Aischylosa lubiła zawsze wszystko, co wielkie i tytaniczne: bezgraniczne morze, bezgraniczna przestrzeń i czas, wszechświat, ciała niebieskie — oto obrazy, które co chwila spotykamy w jego poezjach. Kiedy Prometeusz zwycięża, cieszą się z jego zwycięstwa nie ludzie na ziemi lub istoty ziemskie — to Shelleyowi nie wystarcza — lecz ciała niebieskie. Podobnie jak z naturą ma się rzecz, gdy poeta zstępuje w życie ludzkie. I tu szuka tego, co nadludzkie, co olbrzymie. Tę nadludzkość namiętności

¹⁾ W przedmowie do tragedyi. Ale nie tylko nęciły go pełne aischylojskiej grozy sytuacje: poeta, który wszędzie zwalcza tyranią, miał tu sposobność wystąpić przeciw tyranii rodzinnej.

znalazł w historii Cencich. Stary Cenci — to natura demoniczna, potworna w swych zbrodniach, to uosobienie wszystkich niskich popędów i ciemnych namiętności ludzkich. Człowieka tego zabija jego własna rodzina; w czynie tym gra główną rolę rodzona córka Cenciego, Beatrycze. Temat więc nadawał się doskonale dla natury talentu Shelleya. Zbrodnia rodzina przypominała mityczne rody Tantalidów i Atrydów, w których każde pokolenie do zbrodni poprzedników dodawało nowe. Na pierwszy plan wysunął poeta w dramacie Beatryczę. Robiąc jednak Beatryczę bohaterką, musiał ją wyidealizować i upoetyzować, złagodzić, o ile się dało, winę strasznego czynu, ojcobójstwa. W tym celu przedstawia rzecz tak, że zamordowanie ojca jest koniecznością, jest dla rodziny jedynem wyjściem z strasznego położenia. Gdy władze nie chcą wystąpić przeciw nieludzkiemu, wyrodnemu ojcu, sprawiedliwość wymierzyć muszą sobie sami dręczeni. Beatrycze jest u Shelleya bohaterką i męczennicą, broniącą swej czci, usiłującą uchylić od siebie hańbę. Stanowi ona moralny kontrast ojca. Pewność siebie, którą okazuje Beatrycze w przeprowadzeniu planu śmierci ojca, przeraża, ale czyn jej jest skutkiem okoliczności, dziewczica sama z siebie jest dobrą i kochającą. A zatem same warunki sztuki dramatycznej, zamiar utrzymania sympatyj czytelnika dla bohaterki, kazały poecie w ten, a nie w inny sposób przedstawić Beatryczę, one zadecydowały o głównych rysach jej charakteru; poeta nie kopiował w niej Antygony. Jeżeli Beatrycze działa śmiało i śmiało się tłumaczy po dokonaniu czynu, podobnie jak to czyni Antygona, jeżeli jest kochającą córką jak Antygona kochającą siostrą, to jest to wpływem warunków sztuki dramatycznej, a nie naśladowaniem utworu greckiego.

Podobnie ma się rzecz z kwestyą charakteru Giacomina. Jeżeli brat bohaterki jest w sztuce słabym i chwiejnym, tak jak u Sofoklesa Ismena, to znowu warunki dramatu doraźny wprowadzić kontrast do energicznej postaci bohaterki.

A zatem wiele analogij w charakterach i sytuacjach Rodziny Cencich a Antygony tłumaczy się tem, że wymagania dramatu kazały poecie angielskiemu tak a nie inaczej przedstawić rzeczy. Nie ma tu zatem powodu myśleć o świa-

domem naśladowaniu greckiego wzoru. Najwięcej jeszcze wyglądałyby na świadome naśladowanie żale idącej na śmierć Beatryczy, tak mocno przypominające monolog Antygony. Ale przeciw temu przemawiają wyraźne słowa samego Shelleya, który w przedmowie do swej tragedyi przyznając się, że jedną z myśli wziął z utworu Calderona „*El purgatorio di San Patricio*“, zapewnia równocześnie, że jestto jedyny plagiat, którego się świadomie dopuścił w swym dramacie. Nie mamy powodu nie wierzyć temu zapewnieniu. Jeżeli tak Antygona jak Beatrycze żałą się, że już niedługo będą patrzeć na światło słoneczne, to skarga taka jest naturalną w ustach każdego człowieka umierającego; jeżeli obie boją, że schodzą ze świata nie zaznawszy szczęścia miłości, to słowa te nie mogą dziwić w ustach dziewczycy, zmuszonej pożegnać życie w samym kwiecie wieku i zaraniu młodości. Atoli sama sytuacja, same wymagania dramatu nie zdołają zdaniem mojem wytłómaczyć wszystkich analogij, zachodzących między obu utworami. Shelleyowi bez wątpienia przy pisaniu Rodziny Cencich nasuwały się nieświadomie, bezwiednie reminiscencye z sztuki Sofoklesa. Nie ulega to wątpliwości przedewszystkiem przy przedśmiertnym monologu Beatryczy. Przemawiają za tem i analogie innych utworów: w „Prometeuszu rozpętanym“ wykazano dosłowne reminiscencye z Aischylosa ¹⁾. Że poecie przy tworzeniu Rodziny Cencich nie była obcą myśl o tragediach greckich, dowodzą własne jego słowa w przedmowie, gdzie, mówiąc o popularności historyi Cencich w Rzymie i tragiczności tego tematu, nadmienia, że równie rozszerzonemi wśród ludu greckiego były tragiczne podania o Edypie, na których osnute są dwie zachowane tragedye Sofoklesa.

V.

„Rodzina Cencich“ wykazuje pewne podobieństwa jeszcze do innej tragedyi Sofoklesa, *Elektry*. Elektra obmyśla i przeprowadza plan zamordowania matki, Beatrycze

¹⁾ Richter, str. 411.

ojca. Tensam temat co w Sofoklesa Elektrze znajdujemy jednak także w Aischylosa Choeforach i wobec tego na pierwszy rzut oka możnaby się pytać, czy Rodziny Cencich nie należy raczej zestawiać z dramatem Aischylosa niż Sofoklesa. Że ją należy zestawiać z dramatem Sofoklesa, wypływa z tego, że u Sofoklesa, jak u Shelleya, zamordowanie matki jest dziełem bohaterki, podczas gdy u Aischylosa przypada ta rola innej osobie, Orestesowi, a Elektra jest tylko bratu w wykonaniu pomocną ¹⁾).

Elektra Sofoklesa i Shelleya Beatrice mają dużo podobieństwa w charakterach. Jedna i druga jest energiczną dziewczą, przeprowadzającą ponury plan z całą pewnością siebie. Podobieństwa między Rodziną Cencich a Elektrą nie sięgają, jak już z tego widać, tylko do motywu mordu (dotychczas na to jedynie, o ile mi wiadomo, zwrócono uwagę, mianowicie uczynił to Engel w swoim podręczniku historii literatury angielskiej ²⁾), lecz podobieństwa te idą znacznie dalej, żeby tylko dla przykładu jeszcze i to wymienić, że i w Elektrze, jak u Shelleya, znajdujemy kontrast do pełnej energii bohaterki w osobie słabej i chwiejnej jej siostry, Chrysostemidy. Że Rodzina Cencich wykazuje równocześnie tyle punktów stycznych z Antygoną z jednej, z Elektrą z drugiej strony, tłómaczy się tem, że między dwiema temi sztukami Sofoklesa zachodzą wielkie podobieństwa. Wobec tego mógłby się nawet ktoś wahać, czy Rodziny Cencich nie należałoby raczej zestawiać z Elektrą niż z Antygoną,

¹⁾ Hoesick, O Słowackim, Krasińskim i Mickiewiczu str. 302, przypuszcza zatem mylnie, że Aischylosa Orestę pobudziła Shelleya do wyboru tematu swej tragedyi; wiemy, że Shelley wpadł w inny sposób na temat, zresztą na wpływ Orestei nie wskazuje najmniejszy ślad w przedmowie poety. Beatrycę zestawiać należy nie z Orestesem Aischylosa, lecz z Sofoklesową Elektrą, już choćby dlatego, że Orestes jest prostym narzędziem wyroczni, a świadomie działa tylko Sofoklesowa Elektra. Klytajmestra jest u Aischylosa demoniczną zbrodniarką; Beatrice Shelleya popelnia zbrodnię nie widząc innego wyjścia, z konieczności; poeta stara się zachować jej sympatyę czytelnika.

²⁾ Engel Eduard, Geschichte der englischen Litteratur. 4. Aufl. Leipzig 1897, str. 389.

tem bardziej że tak w Elektrze jak u Shelleya osią dramatu jest zamordowanie osoby z najbliższej rodziny bohaterki, w jednym utworze ojca, w drugim matki. Atoli główne podobieństwo między dramatem angielskim a greckim polega nie tyle na przygotowaniu mordu przez bohaterkę (a w Elektrze o to chodzi), jak raczej na zachowaniu się bohaterki po mordzie, na tem, że jedna i druga śmiało się tłómaczy i gotową jest umrzeć, że jedna i druga żali się na srogi swój los, ale wnet pokonywa chwilę słabości i mężnie idzie na śmierć. A taką jest właśnie sytuacja w Antygonie Sofoklesa, a nie w Elektrze i dlatego utwór angielski należy zestawiać z Antygoną.

Stanisław Witkowski.

MOJE PRZEPRAWY.

PAMIĘTNIK ANDRZEJA Hr. ZAMOYSKIEGO

o czasach Powstania Listopadowego.
(1830—1831).

Z autografu wydał

Alkar.

(Ciąg dalszy).

XVII.

Reminiscencye z epoki upadku powstania.—O liście Metternicha.—
O księciu Adamie i Skrzyneckim.—Wspomnienie z r. 1840.—
Zlecenie dane Zamoyskiemu do powtórnego wyjazdu do Wiednia
w czerwcu 1831 r.—Warunki poselstwa.—Projekt motywów do
instrukcyi poselskiej.

Wyznaję, że przez cały czas trwania tej biednej sprawy,
nie czułem na chwilę zapału. Piękne, dzielne czyny, unosiły
serca, ale smutkiem je napełniały — nie mogłem wierzyć
w udaną. Nie wyrobiłem był jeszcze swego zdania, nie umia-
łem zupełnie wytłómaczyć, *dla czego* do całej tej nieszczęsnej
sprawy sercem przyłgnąć nie mogłem, ale mnie męczyła pa-
mięć o zbrodniach 29 listopada 1830 r., a nie pocieszały czę-
ste błędy, niezdolne przechwałki, zarozumienia, junakierya,
głupota. Dziwnem wszakże zrządzeniem, kilkakrotnie wiodło
się. Naostatku nawet, żeby nie był sejm w Bolimowie Skrzy-

neckiemu odjął dowództwa nad wojskiem, gdy właśnie Paszkiewicz w Łowiczu desperował, że nieczynności Skrzyneckiego pojąć nie mógł, wyraźnie bał się go i miał gotowe rozkazy dla wojska rosyjskiego do wymarszu na zimę do Prus (Caboga), *gdy w właśnie w Wiedniu otrzymał od ks. Metternicha list do zawiązania pertraktacyi...* kto może powiedzieć, jakby się były rzeczy obróciły? Może też i 15 sierpnia, na karę naszego ludu, byłoby nie było. Z żalem tu wspomnieć muszę, że ks. Adam osobiście do Bolimowa zjechał dla zrzućenia Skrzyneckiego. — Prądyński Wodza oskarżył i to w gazetach wydrukowano! *).

*) W Freywaldau, 1840 r. często widywałem biednego Prądyńskiego, bardzo chorego — umysł jego wciąż pracował — głowa nadwyzwyczajnie uorganizowana do sztuki wojennej, nie taktyki prostej, ale do wyższych planów, do pomysłów genialnych w wielkich działaniach wojskowych (*les grandes opérations militaires*). Dowiódł tej trafności w naszej wojnie kilka razy, tego wyższego pojęcia w projektach, które niezaprzeczoną jest cechą znakomitego generała. Często, zawsze prawie, przedmiotem naszych rozmów była wojna z r. 1831. Czytał mi uwagi swoje o niej — ciekawe, uczące — doszedł do Bolimowa, surowy sąd wydając o Skrzyneckim. Pytał mnie o zdanie — wahałem się długo z niem wystąpić, bo biedny, słaby, sparaliżowany, ale że napierał na mnie bardzo, wyrzekłem: że jeżeli kto sprawie zaszkodził, to ty, bo wciąż psuleś w wojsku zaufanie do Wodza Naczelnego. „Miałem do niego urazę — odpowiedział. Chrzanowskiego przedemną Jenerałem mianował“. Jakżeś mógł tak dalece być zawziętym, żeby Naczelnego Wodza pod Bolimowem oskarżać, kiedyś wiedział dobrze, że innego nie było na następcę — czy godziło się drukować?“ Musiał mi to przyznać, bo i dla siebie nie pracował, czuł to, że gabinetowym raczej jest oficerem i dowództwa naczelnego byłby się nie podjął, choć w końcu z Warszawy dobrego wojska 26 tysięcy wyprowadził na ekspedycję niepotrzebną do Międzyrzecza, dla próbowania sił swoich. Okropny żal się robi myśląc o tak uzdolnionym człowieku, że podlegał zawistnej namiętności i, zamiast pomagania dzielnie, wciąż intrygował; że obok tak wielkiego światła, tyle brzydkiego cień się mieścił. Może też to skutkiem długich cierpień za Wielkiego Księcia — trzy lata był więzionym u Karmelitów na Lesznie za polityczne zarzuty — związki z towarzystwem rosyjskiem Pestla.

Żalem przejęty głębokim, choć jak dopiero wspomniałem, niedokładnie wytłómaczonym, nakazałem sobie za to najzupełniejsze poświęcenie i wypełnienie włożonych obowiązków, bez uwagi na jakiekolwiek narażenie osobiste. Słuchałem też wykładu żądań księcia, względem powtórnej podróży do Wiednia, z uwagą, i w końcu jeden tylko warunek położyłem, a ten był, że napiszę projekt do instrukcyi, i że ks. Adam w mojej przytomności poda rękę Skrzyneckiemu i Ostrowskiemu, marszałkowi Sejmu, na znak przyrzeczenia, że się oni trzej do końca wzajemnie porozumiewać i wspierać będą. Nie przewidywałem scyssyi, która nastąpiła, ale chciałem być pewnym, że w ich imieniu w Wiedniu traktować będę; potrzebowałem tej pewności dla pokrzepienia własnej odwagi i dla nadania większego znaczenia i siły moim wyrazom. Książę przystał, obiecał — wziąłem się do pracy.

Considérons ¹⁾ et motifs que je me suis tracés avant de procéder à la rédaction d'un projet d'instructions.

— La déchéance constitue aujourd'hui une difficulté insurmontable à tout traité; un empêchement à l'intervention étrangère — c. à d. que l'Empereur Nicolas ne veut entendre parler de médiation, de congrès, si nous ne faisons le premier pas (le Prince de Metternich).

— La Pologne, par le fait, non de l'émeute du 29 Novembre 1830, mais de l'acte, qui déclare la révolution nationale (18 Décembre 1830), s'est mise dans l'impossibilité de recourir aux traités, qu'Elle a enfreints, rompus la première, dit le Prince de Metternich. Les autres Cours ne semblent

¹⁾ Konsyderacye i motywa, jakie sobie nakreśliłem, przed przystąpieniem do zredagowania projektu instrukcyj.

— Detronizacya stanowi obecnie nieprzewycięzoną tamę dla jakiegobądź układu; przeszkodę dla interwencyi zagranicznej, to jest, że cesarz Mikołaj nie chce słyszeć o medyacyi, o kongresie, jeżeli pierwszego nie uczynimy kroku (ks. Metternich).

— Samym faktem, niepowstania 29 listopada 1830 r., lecz w skutek aktu ogłaszającego rewolucyę jako narodową (18 grudnia 1830 r.), postawiła się Polska w nie-
możności powoływania się na traktaty, które sama naruszyła i zerwała — tak orzekł ks. Metternich. Inne dwory zdają się nie podzielać tej opinii, lecz postanowiły pozo-

pas partager cette opinion, mais sont décidées à laisser faire, sans se mêler de nos affaires.

— Le Prince Adam est le seul en Pologne, qui puisse mener les affaires étrangères; lui seul inspire de la confiance aux cabinets étrangers.

— Le gouvernement polonais doit, par ses membres, et par sa conduite, inspirer de la confiance, donner une sorte de garantie, qu'il ne laissera pas prendre le dessus au parti démagogique.

Aujourd'hui, il se déconsidère, par sa composition hétérogène, éloigne de nous nos amis les plus chauds.

— La déchéance nous met dans l'impossibilité de traiter avec la Russie. Sa révocation semble entraîner la nécessité de poser les armes. — Cependant, le Prince de Metternich a dit que non, mais il ne s'est pas expliqué. Nous ne saurions poser les armes et nous rendre à discrétion. L'idée du Prince de Metternich — autant que j'ai pu la saisir, est: que l'Empereur Nicolas, fatigué de cette guerre, où il perd des deux côtés, ne demande de notre part qu'un premier pas, pour inviter les souverains à un Congrès, auquel il promet d'être noble, facile et élément.

stawić rzeczy zwykłemu biegowi, nie mieszając się do spraw naszych.

— Książę Adam jest jedynym w Polsce, nadającym się do kierowania sprawami zagranicznymi; on jeden tylko wzniesia zaufanie w dworach zagranicznych.

— Rząd polski winien przez członków swoich i postępowaniem swoim wzbudzać zaufanie, dawać pewnego rodzaju rękojmię, że nie pozwoli zapanować nad sobą stronnictwu demagogicznemu. Obecnie obniża swoją powagę swym różnolitym składem i oddala od nas najszczerzych przyjaciół.

— Detronizacya stawia nas w niemożebności traktowania z Rosyą. Odwołanie jej zdaje się pociągać za sobą konieczność złożenia broni. A jednak ks. Metternich zaprzeczył temu, choć się z tego nie wytłómaczył. Niepodobna nam złożyć broni i zdać się na łaskę i niełaskę. Ideą ks. Metternicha, o ile ją pojąć mogłem, jest: że cesarz Mikołaj znużony ową wojną, na której obustronnie traci, pragnie byśmy uczynili krok pierwszy, w celu zaproszenia monarchów na kongres, na którym obiecuje być wspaniałomyślnym, łatwym i łagodnym.

— La résolution de notre part, de ne traiter en aucun cas avec la Russie, semble illusoire — elle ne peut être soutenue, sans même être partagée tout de bon — que par un petit nombre d'individus de coeur. Ces hommes sont à l'armée, exposés à périr les premiers.

Ceux-ci de moins, et quelques revers, il est à prévoir, que l'armée démoralisée ne tiendra pas, et l'on capitulera — ou bien, on abandonnera le pays à la merci du vainqueur piqué, courroucé. D'autre part, aujourd'hui, avec une armée encore forte, après les succès obtenus, on pourrait traiter avec quelque chance.

Retarder de traiter, ou plutôt risquer de capituler sans traiter — c'est attendre la mort des hommes sages, des hommes de coeur. L'armée est-elle pour des déterminations désespérées? *Cui bono?* Nous avons assez fait pour la gloire. Si l'armée est déterminée à tous les sacrifices, plutôt qu'à se rendre à discrétion, très bien — il faut en profiter pour traiter. La résolution de vaincre, ou mourir, est compréhensible, mais celle de mourir sans espoir de vaincre, n'est concevable que dans le désespoir. Il est à prévoir, que peu de monde partagera cette opinion, et se gardera contre le désespoir. Si j'étais encore à l'armée, je ne raisonnerais pas si froide-

— Postanowienie powzięte ze strony naszej — nie traktować w żadnym razie z Rosyą, zdaje się być iluzorycznem, nie może liczyć na poparcie, ani na współzucie zgoła, chyba ze strony nielicznych ludzi serca. Ludzie ci są w szeregach, wystawieni na zagładę w rzędzie pierwszych.

Z ich ubytkiem i w skutek kilku porażek, jest do przewidzenia, że armia zdetronizowana nie ostoje się i podda, lub też, że się zda kraj na łaskę zwycięzcy dotkniętego, urażonego. Z drugiej strony, dzisiaj, z armią jeszcze silną, po doznanych powodzeniach, możnaby przystąpić do układów, z niejakiemi szansami.

Opóźnić układy, a raczej ryzykować się na kapitulację bez układów, znaczy to — oczekiwać zgonu ludzi roztropnych, ludzi serca. Czyż armia jest dla rozpaczliwych postanowień? *Cui bono?* Dosyć już uczyniliśmy dla chwały. Jeśli armia jest przygotowaną do wszystkich ofiar raczej, aniżeli do poddania się na łaskę i niełaskę — dobrze więc — skorzystajmy z tego, by rozpocząć układy. Postanowienie

ment — mais je raisonne en négociateur, et je désire écarter toutes les illusions.

— Aujourd'hui, les succès sont pour nous; la position de l'armée russe a été regardée comme très critique dans l'étranger, tant que Dwernicki était en Volhynie, et que l'insurrection en Lithuanie s'étendait. Aujourd'hui, malgré la retraite de Dwernicki, l'insurrection s'étend — dit-on, et inquiète beaucoup les derrières de l'armée russe. Ce fait, vrai, ou faux, influe en notre faveur dans l'étranger, et ne peut que disposer d'autant plus l'Empereur Nicolas à mettre fin à cette guerre, au plus tôt.

— Traiter n'emporte pas la suspension de hostilités. Nous ne pourrions suspendre la guerre, que sur une forte garantie, pour certaines bases du Traité à faire.

— L'Empereur Nicolas, il y a 6 mois, voulait par un coup de main nous écraser — il le croyait possible. La chose n'ayant pas réussi, il est de son intérêt de ne pas nous presser; peu lui importe si la campagne dura 6 mois de plus; pour nous, l'état de choses présent, sans opérations militai-

zwyciężyć lub zginąć, łatwym jest do zrozumienia, lecz zginąć bez nadziei zwycięstwa, byłoby to krokiem rozpaczliwym. Jest do przewidzenia, że mało kto podzieli taką opinię i obroni się przed rozpaczą. Gdybym był jeszcze w szeregach, nie rezonowałbym tak chłodno, lecz rozumię jako pośrednik i pragnę usunąć wszelkie mrzonki.

— Dziś powodzenie po naszej stronie. Położenie armii rosyjskiej uważano za granicę za krytyczne, wówczas gdy Dwernicki był na Wołyniu i gdy powstanie rozszerzało się na Litwę. Dziś, pomimo odwrotu Dwernickiego, powstanie rozszerza się — jak mówią — i niepokoi mocno tyły armii rosyjskiej. Fakt ten, prawdziwy lub błędny, wpływa na korzyść naszą u obcych i może oddziaływać tem więcej na cesarza Mikołaja, by jak najrychlej położył koniec tej wojnie.

— Układać się, nie pociąga za sobą zaprzestania kroków nieprzyjacielskich. Moglibyśmy zawiesić owe kroki, na podstawie silnej rękojmi i na zasadach mającego się zawrzeć traktatu.

— Przed sześcioma miesiącami cesarz Mikołaj chciał nas zgnieść odrazu — wierzył w możliwość takiego kroku. Gdy się to nie udało, leży w interesie jego nie napierać na nas; mało go to obchodzi, czy kampania trwa sześć

res, ni revers, même avec des succès, épuise nos ressources de tout genre, et ruine le pays; l'hiver, de plus, par l'inaction forcée, contribuera à nous perdre — il faudrait donc tâcher d'en finir avant l'hiver, ou, tout au moins que les pourparlers fussent entamés.

— Notre gouvernement a quelqu'espoir, que la France, de concert avec l'Angleterre, voudra bientôt reconnaître l'indépendance de la Pologne — Cet espoir est-il fondé? Ces puissances ont invité, dit-on, l'Autriche à se joindre à Elles, pour obtenir de l'Empereur Nicolas une fin, par un congrès. Le Prince de Metternich — me l'a formellement nié; serait-ce qu'en diplomatie, ne pas avouer la vérité, ne s'appelle pas mentir? Supposant les choses pour le mieux — je nie pour ma part, qu'un gouvernement ait le droit de sacrifier les ressources de son pays pour une cause étrangère, sauf les cas de rares exceptions. — Mais nous croyons, qu'à l'existence de la Pologne se lie un intérêt européen (il semble que l'Europe jusqu'à présent croit pouvoir s'en passer). Supposant donc, qu'en cas de refus de la part de l'Autriche, la France lui déclare la guerre — celle-ci ne pourrait avoir lieu, qu'au printemps prochain — car il serait trop tard, au mois d'Août, pour entrer en campagne. Ce délai satisferait l'Autriche, qui continuerait à rester indécise, et attendrait l'arme

miesiący dłużej dla nas; stan rzeczy obecny, bez działań wojennych, bez porażek, a nawet z powodzeniem, wyczerpuje nasze zasoby wszystkie, rujnuje kraj; co więcej, zima, w skutek musowej bezczynności, przyczyni się do zagłady naszej — trzeba by więc skończyć przed nastaniem zimy, lub też choćby rokowania zaczętemi były.

— Rząd nasz ma niejaką nadzieję, że Francya w zgodności z Anglią zapragnie niebawem uznać niepodległość Polski. Czy ta nadzieja jest uzasadnioną? Mówią, że te mocarstwa zaprosiły Austryę do przyłączenia się do nich, by uzyskać od cesarza Mikołaja koniec, drogą kongresu. Książę Metternich zaprzeczył temu formalnie. Czyżby w dyplomacyi nie przyznać się do prawdy, nie znaczyło — kłamać? Przypuściwszy najlepsze, zaprzeczam, by rząd miał prawo poświęcać zasoby swego kraju, gwoli sprawie obcej — chyba w wypadkach wyjątkowych — lecz sądzimy, że istnienie Polski kojarzy się z interesem europejskim (zdawałoby się, iż dotychczas Europa nie miała na to

au bras, la ruine de la Pologne, D'ici là — nous serons épuisés; par là même, la cause de la guerre aurait cessé. La France pourrait bien menacer de suite les possessions autrichiennes en Italie. — Mais la France, à peine sortie de sa révolution, avec sa nouvelle dynastie, veut rentrer dans le concert européen — est loin de menacer. Je suis persuadé, qu'Elle fait son possible, pour se faire pardonner et agréer.

— L'Empereur Nicolas doit avoir besoin de succès pour son amour propre, pour celui de son armée, de son Empire. Le Prince de Metternich — me disait: finissez-en, Vous avez assez combattu, Vous ne pouvez obtenir Votre affranchissement, mais Vous pouvez être satisfaits, d'avoir à jamais détruit le prestige de l'armée russe. Pour rendre service à l'Empereur Nicolas, nous ne pouvons pas nous faire battre *z planu* — mais cela peut arriver — *bez planu*.

— Comment pourrions nous traiter avec l'Empereur Nicolas? quels moyens? comment parvenir à lui? qui employer? Quelqu'un des prisonniers russes — le Baron de Mohrenheim —

względu). Przypuściwszy zatem, że w razie odmowy ze strony Austrii, Francya wypowie jej wojnę, ta mogłaby nastąpić dopiero z wiosną, gdyż byłoby zbyt późno w sierpniu zacząć kampanię. Zwłoka ta zadowolniłaby Austryę, która pozostawiałaby niezdecydowaną i oczekiwałaby z bronią na ramieniu zagłady Polski, gdy siły nasze się wyczerpią. Tem samem już wojna by ustała. Mogłaby Francya następnie zagrozić posiadłościom austriackim we Włoszech, lecz Francya, tylko co przebywszy rewolucyę własną, pragnie wstąpić do koncertu europejskiego z dynastyą nową — i daleka od grózb, czyni wszystko co może, by zyskać przebaczenie i być przyjętą.

— Cesarz Mikołaj z konieczności pragnie zwycięstwa, gwoli miłości własnej i swojej armii, swego państwa. Ks. Metternich powiedział mi: zróbcie koniec, dosyć już walczyliście, nie zdołacie wybić się na niepodległość, lecz możecie być zadowoleni z tego, żeście na zawsze przyémili blask armii rosyjskiej. Dla oddania usługi cesarzowi Mikołajowi, niepodobna nam dać się pobić z planu, lecz to może nastąpić — bez planu.

— Jakże będziemy mogli traktować z cesarzem Mikołajem? Jakież mamy po temu środki? Jakże się dostać do niego? Kogo do tego użyć? Chyba jednego z jeńców rosyjskich: bar. Mohrenheima, a może ks. Lubeckiego, ba-

peut être le Prince Lubecki, qui est à Pétersbourg? l'Empereur n'a pas voulu l'entendre en décembre 1830.

— Nous craignons les jacobins, les démagogues — craignons autant les illusions.

— Notre affaire devrait être considérée comme un duel — alors quant à notre honneur, si les puissances s'accordent pour nous conseiller telle ou telle démarche, nous devrions nous y soumettre, comme les partis dans un duel, accepter ce que décident les seconds. La difficulté est, que l'Empereur Nicolas ne veut pas de seconds, pas de médiateurs; c'est assez concevable.

— Si, cependant, il est constant, que c'est aujourd'hui le moment de traiter, c. à d. d'engager définitivement une puissance étrangère à traiter en notre nom, à faire office de second dans ce duel — il en résulte:

1. Que le gouvernement polonais doit être *maître dans le pays*; autrement, aucune puissance ne pourra se fonder sur des bases, qui risqueront d'être contestées par des Collègues, par une Diète, par nos gazettes.

2. Que notre armée, *par des succès*, doit aider les né-

wiącego w Petersburgu. Nie chciał go cesarz wysłuchać w grudniu 1830 r.

— Obawiamy się jakobinów, demagogów, lękajmy się również mrzonek.

— Sprawa nasza winna być rozważaną jako pojedynek. Dla honoru naszego, jeśli mocarstwa zgodzą się poradzić nam krok taki a taki, powinniśmy tego usłuchać, jako strony w pojedynku; przyjąć to, co radzą sekundanci. Trudność w tem, że cesarz Mikołaj nie życzy sobie sekundantów, nie chce medycy. To się rozumie.

— Jeżeli jednakże faktem jest, że obecna chwila nadaje się do rokowań, to znaczy, do zjednania sobie jakiegoś obcego mocarstwa, by traktowało w imieniu naszym, do przyjęcia na siebie roli sekundanta w owym pojedynku, wynika z tego:

1. Że rząd polski winien być *panem w kraju*, w przeciwnym razie żadne z mocarstw nie będzie się mogło oprzeć na podstawach, które mogłyby być nieuznanymi przez kolegów, przez Sejm, przez gazety nasze.

2. Że armia nasza winna *powodzeniami swemi* pomódz rokowaniom — kroki nieprzyjacielskie nie powinnyby ustać,

gociations; les hostilités ne devant cesser, qu'en tout, que les propositions nous paraîtraient acceptables.

— Le Prince Adam devrait tracer pour la Diète un tableau vrai de la situation actuelle, des sacrifices faits, et des résultats obtenus, après 6 mois de lutte. A la suite de ce résumé rétrospectif, proposer: l'ajournement de la Diète, une Régence, demander des pleins pouvoir à offrir à l'Angleterre pour traiter.

— Si on refusait d'obtempérer à ses représentations — se retirer des affaires, où il ne peut espérer d'être utile, car il semble, que ce soit le seul moyen pratique, un moyen indispensable, pour préserver ce malheureux pays d'une ruine complète. Il est probable, qu'on ne consentirait pas à sa retraite.

Quelques notes pour les clauses d'un traité. (*Canning 1825*). Négocier un traité de commerce, comme mode de reconnaissance. On a toujours agi de cette manière; le ministre des Etats-Unis n'a été admis à la Cour de France, qu'après la signature d'un traité.

— Un traité d'aillance avec les Etats unis, joint à l'acte de reconnaissance, mit ceux-ci à même de compléter leur in-

chybaby propozycye okazały się zasługującymi na przyjęcie.

— Książę Adam winienby nakreślić przed sejmem istotny obraz naszego obecnego położenia, poniesionych ofiar i rezultatów pozyskanych po sześciu miesiącach walki. W następstwie takiego poglądu wstecznego, proponować: odroczenie Sejmu, regencyę i zażądać pełnomocnictwa dla Anglii do rokowań.

— Gdyby odmówiono posłuchu tym przełożeniom — usunąć się od kierownictwa sprawami, jako bezskutecznego, gdyż, ile się zdaje, jestto jedyny środek praktyczny, środek nieodzowny dla zabezpieczenia kraju od ruiny dośzczętnej. Prawdopodobna, że nie zgodzonoby się na owo usunięcie się.

Kilka notat do warunków traktatu. (*Canning 1825*). Negocjować traktat handlowy, jako rodzaj uznania. Zawsze w taki sposób postępowano. Poseł Stanów Zjednoczonych nie został dopuszczonym do Dworu francuskiego, aż po podpisaniu traktatu.

— Traktat przymierza ze Stanami Zjednoczonymi, dołączony do aktu uznania, dopomógł im do uzupełnienia

dépendance — mais la France par là se déclara ennemie de l'Angleterre.

— La première condition nécessaire pour être reconnu indépendant par une puissance étrangère, est, qu'il n'y ait plus un seul soldat ennemi sur le territoire; cependant la France a reconnu les Etats unis avant que le territoire ne fut affranchi, et sans faire aucune offre à la mère patrie, pour qu'Elle prit l'initiative.

(Heeren, *Congrès de Vienne*). On abandonna à chaque Etat le soin de ses intérêts, à l'égard de sa charte constitutionnelle. (Kostuś mi te szczegóły wypisał).

Encore des considérans et développemens — car il s'agissait d'abord de bien apprécier la position.

— La guerre dure — c'est le seul cri, qui chez nous ait de l'écho. Cependant, en qualité de médecin consultant, il faut se poser la question franche: si la guerre est le bon, le seul bon moyen d'arriver à une fin désirable?

— La Diète et le gouvernement ne peuvent décemment s'exécuter eux-mêmes. Le général en chef pourrait négocier. Une régence, ou dictature, serait dans ce cas désirable — nécessaire.

niezależności, lecz w skutek tego Francya oświadczyła się nieprzyjaciółką Anglii.

— Pierwszym warunkiem nieodzownym dla wyjednania sobie uznania ze strony mocarstwa obcego, jest, aby ani jeden żołnierz nieprzyjacielski nie znajdował się na terytoryum; jednakże Francya uznała Stany Zjednoczone zanim terytoryum oswobodzonem zostało i bez zaofiarowania metropolii, by powzięła inicjatywę.

(Heeren, *Congrès de Vienne*). Pozostawiono każdemu państwu pieczę nad swemi sprawami, ze względu na jego kartę konstytucyjną.

Jeszcze nieco konsyderacyj i ich rozwinięcie, gdyż chodziło przedewszystkiem o dobrą ocenę położenia.

— Wojna trwa — jedyny to okrzyk, mający u nas odgłos. Jednakże w charakterze lekarza konsultanta należy sobie postawić kwestyę jasno: Jest-li wojna dobrą, jedynym dobrym środkiem dojścia do pożądanego rezultatu?

— Sejm i rząd nie mogą, dla względów przyzwoitości, same na siebie wydać wyrok (*s'exécuter*). Wódz naczelny tylko mógłby negocyować. Regencya lub dyktatura byłyby w tym wypadku pożądanymi, koniecznymi.

— L'insurrection en Lithuanie risque des revers — elle sera bientôt étouffée, car nous ne pouvons la soutenir. Diebitsch à l'air de vouloir nous laisser tranquilles quelque temps, pour se diriger vers la Lithuanie.

— Le Cabinet autrichien, indifférent dès qu'il ne s'agit pas de ses propres intérêts, désire voir se terminer notre question, par la crainte, où elle est, d'un soulèvement en Galicie — lequel ne serait pour nous d'aucun secours, tout au contraire, il motiverait un mouvement de l'armée autrichienne contre nous.

— Le Prince Adam, en siégeant plus longtemps au gouvernement, sous la forme actuelle, et composé comme il l'est, perdra bientôt la considération, dont il jouit à l'étranger, et nuira par conséquent à notre cause.

— C'est-je crois l'époque où est mort le Maréchal Diebitsch — à Serock. Le Comte Orloff était arrivé de la part de l'Empereur Nicolas — pour lui apporter des instructions. Le Grand Duc Constantin venait de mourir aussi en Russie, à Wilna, je crois. Machinalement, j'ai appelé Wilna-Russie, car cette ville ne fait pas partie de notre petit Royaume de Pologne.

— Powstanie na Litwie grozi upadkiem. Będzie ono niebawem stłumione, gdyż pomódz mu nie jesteśmy w stanie. Dybicz, zdaje się, ma zamiar pozostawić nas czas niejaki w spokoju, by zwrócić się na Litwę.

— Gabinet austriacki obojętny, o ile nie chodzi o własny jego interes, pragnie końca sprawy naszej, z obawy powstania w Galicyi — dla nas nieużytecznego — przeciwnie, zagnagliłoby ono ruch armii austriackiej przeciw nam.

— Ks. Adam nie zasiadając czas długi w rządzie, w formie jego obecnej i przy takim składzie, jaki w nim jest, straci na powadze, jaką się cieszy za granicą i zaszkodzi tem samem sprawie naszej.

— Było to w epoce zgonu marszałka Dybicza w Serocku. Hr. Orłow przybył ze strony cesarza Mikołaja z instrukcyami. Wielki Książę również zakończył życie w Rosyi — w Wilnie, jak mniemam. Mimowoli nazwałem Wilno-Rosyą, gdyż miasto owo nie stanowi części naszego małego Królestwa Polskiego.

XVIII.

Memoryał Zamoyskiego z 19 Czerwca 1831 wręczony księciu Adamowi. — Przekazy na Wiedeń i ich przeznaczenie. — Udział Anglii w rokowaniach w sprawie polskiej.

Le 19 Juin ¹⁾ — j'ai remis au Prince Adam l'écrit ci-après:

Pour mon envoi à Vienne, il me faut:

1^o Une lettre ostensible, en cas de besoin, pour le Prince Constantin Czartoryski, contenant, que: vû nos embarras, les difficultés de nos communications, et voulant cependant faire honneur à des engagements pris — le Prince Adam Czartoryski lui envoie des billets, ou lettres de change, pour tâcher de faire de l'argent; la Saint-Jean et la Saint-Michel étant des termes de payemens.

2^o Des Bons, comme suit:

Quatre Bons pour dix mille ducats en or; lesquels seront payables au porteur, dès que la présente bon aura été endossée par le Prince Constantin Czartoryski.

Deux Bons pour cinq mille ducats en or, avec même clause.

¹⁾ 19 czerwca. Wręczyłem księciu Adamowi pismo następujące:

Do poselstwa mego do Wiednia, potrzebnemi mi są:

1. List otwarty, ile tego zajdzie potrzeba, do księcia Konstantego Czartoryskiego, tej osnowy: iż z uwagi na kłopoty nasze, trudności porozumiewania się, pragnąc z tem wszystkim zadość uczynić przyjętym na siebie zobowiązaniom, książę Adam Czartoryski przesyła mu rewersa, lub wexle, w celu ich zrealizowania, na Ś-ty Jan i Ś-ty Michał, jako w terminach wymagalności.

2. Bony następujące:

Cztery bony na dziesięć tysięcy dukatów w złocie, płatne na okaziciela, z chwilą gdy je opatrzy swym indosem książę Konstanty Czartoryski.

Dwa bony na pięć tysięcy dukatów, z takąż klauzulą.

3^o Une lettre pour le Prince Constantin Czartoryski — lui donnant de la part de notre gouvernement le pouvoir d'endosser les Bons, et contenant les clauses et conditions, auxquelles les porteurs de ces Bons seront tenus d'avoir satisfait, pour obtenir l'endos.

Mes instructions, de la teneur à peu près suivante, devraient être ostensibles, en cas de besoin — par conséquent, chacune des propositions sur une feuille séparée — écrites en caractères fins, car on a une très grande difficulté à cacher des papiers — (je ne sais pas du tout, comment je ferai pour passer la frontière et arriver à Vienne)?

Afin que ce second voyage ne risque pas de devenir inutile, comme le premier, — si ce n'est que nous avons obtenu la certitude du refus formel de tout appui de la part de la Cour de Vienne, — je crois de mon devoir d'observer, qu'il serait urgent — pour le cas où je ne pourrais en aucune manière réussir d'après les instructions susmentionnées, de me munir d'autres instructions, ayant pour but — un *Traité*. Car j'aurai certainement cette fois plus de difficultés encore, que je n'en ai eues, pour arriver; — il faudrait donc

3. List do księcia Konstantego Czartoryskiego upoważniający go ze strony Rządu naszego do indosowania bonów i obejmujący klauzule i warunki, do których okaziele pomienionych bonów winni się będą zastosować, w celu otrzymania indosów.

Instrukcyje moje, osnowy mniej więcej następującej, winny by być jawnemi, ile tego zajdzie potrzeba, w następstwie czego, każda z propozycyj winna być na kartce oddzielnej, opatrzona pismem bardzo drobnem, gdyż zachodzi wielka trudność w ukryciu dokumentów (sam nie wiem, jak przejdę granicę i dostanę się do Wiednia).

W celu, by owa druga podróż nie była narażoną na nieudanie się, jak pierwsza — chyba żeśmy przez nią zyskali pewność odmowy wszelkiej pomocy ze strony dworu wiedeńskiego — winienem z obowiązku swego zauważyć, iż byłoby nieodzownie koniecznem — na wypadek gdybym żadną miarą nie mógł wykonać skutecznie wymienionych wyżej instrukcyj — zaopatrzyć mnie w inne instrukcyje, mające na celu *traktat*. Niewątpliwie bowiem, będę miał tym razem więcej jeszcze do zwalczania trudności, aniżeli poprzednio, by dojść do celu; trzeba więc będzie skorzystać z bytności, o ile ta się urzeczywistni i z mo-

profiter de mon séjour — si je parviens — et de la faculté que j'aurais de négocier — si tant est, que je l'obtienne. Il est constant, évident, sage, de viser à ce résultat (ainsi que j'ai tâché de le prouver verbalement, d'après les considerations ci-dessus). Ce résultat est désirable au plus tôt, tant que nous sommes forts par nous-mêmes, — forts par l'insurrection de Lithuanie, forts par les désastres mêmes de l'Ennemi, que décime le choléra. Or, gardons nous d'oublier, que notre force est terriblement minée, par l'effet seul du temps.

Première proposition: Offre de cinquante mille ducats, si nous obtenons:

Reconnaissance *sans délai*, et de concert avec l'Angleterre et la France, de l'indépendance de la Pologne — avec l'engagement et garantie par écrit, comme quoi, au Congrès, sous trois mois au plus, le Cabinet Autrichien nous obtiendra de la Russie nos limites, d'avant le second partage 1793, avec un port sur la Baltique, un débouché libre à Odessa, et des traités de commerce loyaux avec les trois puissances limitrophes: la Russie, l'Autriche et la Prusse; de même qu'une Amnistie générale dans les provinces de l'ancienne Pologne, qui ne seraient pas réunies au Royaume.

żności do traktowania, o ile w nią będę zaopatrzony. Jestto pewnem, widocznem, roztropnem — dążyć do tego rezultatu (jak to starałem się wykazać ustnie, według wyżej wyluszczonych konsyderacyj). Rezultat ów jest pożądanym jak najrychlej, o ile jeszcze jesteśmy sami z siebie silni, silni przez powstanie na Litwie, silni klęskami nieprzyjaciół, dziesiątkowanych przez cholere. Otóż strzeżmy się zapomnieć, że siła nasza straszliwie przez działanie czasu się osłabia.

Pierwsza propozycja: Ofiarowanie pięćdziesięciu tysięcy dukatów, o ile pozyskamy:

Uznanie *bezwzględne* i to w zgodzie z Francją i Anglią niepodległości Polski, z zobowiązaniem i rękojmią na piśmie, iż na kongresie, w ciągu trzech miesięcy najdalej, gabinet austriacki wyjedna nam od Rosyi granice nasze z przed drugiego rozbioru, 1793 r. z portem na Bałtyku, przystankiem wolnym w Odessie i traktatami handlowymi lojalnymi, z trzema sąsiadującymi mocarstwami: Rosją, Austrią i Prusami, jak również amnestją ogólną w prowincjach dawnej Polski, nie mających być przyłączonemi do Królestwa.

Note. Si l'on voulait avoir la moitié de la somme payée, avant l'accomplissement des conditions — il faudrait, comme premier pas, que la garantie par écrit fût sous forme d'un protocole préalable, signé à Vienne par les ministres d'Autriche, de France, et d'Angleterre.

Nous nous engageons de notre côté, à recevoir pour Roi, fondateur d'une nouvelle dynastie en Pologne, le Prince, que la Cour d'Autriche nous proposera, un membre même de la famille Impériale de Russie; pourvu que notre pleine indépendance soit garantie par les puissances, de même que la faculté absolue de procéder peu à peu au développement de nos institutions, par le concours des trois pouvoirs de notre Monarchie Constitutionnelle; — ainsi que l'assurance garantie, que, une fois la Pologne reconnue Monarchie indépendante, le principe de la plus stricte non intervention à son égard sera observé et respecté; qu'aucune puissance n'aura le droit de s'immiscer, de quelque manière que ce soit, et sous aucun prétexte, dans les affaires de l'intérieur. Quelque Prince qui règne en Pologne, aucune puissance n'aura le droit de faire passer — encore moins de faire séjourner — des troupes sur le territoire polonais.

Nota. Gdyby chciano mieć wypłaconą połowę sumy przed wykonaniem warunków — trzebaby, jako krok pierwszy uzyskać to, by gwarancya piśmenna podpisana została w formie protokołu przedwstępnego przez ministrów Austrii, Francyi i Anglii.

Zobowiązujemy się z naszej strony przyjąć za króla — założyciela nowej dynastyi w Polsce, księcia, jakiego nam dwór austriacki zaleci, a nawet Członka rodziny Cesarskiej w Rosyi, byleby tylko nasza zupełna niezawisłość poręczoną była przez mocarstwa, jak również możliwość bezwzględna przystąpienia do stopniowego rozwoju naszych instytucyj, przy współdziale trzech władz naszej monarchii konstytucyjnej, niemniej koniecznem byłoby poręczenie, że po uznaniu Polski za państwo niezależne, zasada najściślejszej względem niej nieinterwencyi będzie utrzymana i szanowana; i że żadne państwo nie będzie miało prawa mieszania się, w czemkolwiek bądź i pod jakim bądź pozorem, do spraw jej wewnętrznych.

Seconde proposition: Offre de vingt mille ducats, si nous obtenons:

Une proposition franche et efficace de médiation de la part de la Cour de Vienne; invitation à la France et à l'Angleterre de s'y joindre, pour terminer avant 3 mois dans un *Congrès*, ou par des conférences spéciales, les affaires de Pologne — de manière, à en former un État capable de soutenir son indépendance, garantie de cette indépendance et dans nos institutions aux termes ci-dessus — et amnistie complète pour les individus compromis dans les provinces de l'ancienne Pologne; garantie des clauses concernant toutes les provinces polonaises de l'ancienne Pologne, sanctionnées par le traité de Vienne, admission de nos Envoyés au Congrès pour défendre nos droits, exposer nos vœux. — En attendant, et tant que durera l'état présent de crise, facilités pour les communications des voyageurs et du commerce, avec les États autrichiens, et par cette voie, avec l'Europe. Ainsi, levée des entraves au passage des fonds de notre Banque, de chevaux, armes, munitions, considérés comme objets de

Którykolwiek bądź książę będzie panował w Polsce, żadne państwo nie będzie miało prawa przeprowadzać, a tem mniej utrzymywać, wojsk na terytorium polskiem.

Propozycya druga: Ofiarowanie dwudziestu tysięcy dukatów, jeśli pozyskamy:

Propozycyę jasną i skuteczną pośrednictwa ze strony Dworu Wiedeńskiego, zaproszenie Francyi i Anglii do współudziału w sprawie załatwienia przed upływem trzech miesięcy na kongresie kwestyi polskiej — w sposobie utworzenia z Polski państwa zdolnego do zachowania swej niezawisłości; zabezpieczenie tej niezawisłości i w instytucyach naszych w formie poniżej wyłuszczonej, amnestyę zupełną dla osób skompromitowanych w prowincyach dawnej Polski; rękojmię warunków dotyczących wszystkich prowincyj polskich dawnej Polski, uświęconych traktatem wiedeńskim, dopuszczenie naszych posłów do kongresu, dla obrony naszych praw i wynurzenia życzeń naszych. Tymczasem, zanim się skończy przesilenie obecne — ułatwienie dla komunikacyj podróжных i handlu z państwem austriackiem, a tą drogą i z Europą. Tak więc: zniesienie przeszkód dla cyrkulacyi funduszków naszego Banku, koni, broni, amunicyi, uważanych jako przedmiot handlu; wolny przejazd gońców do dworów zagranicznych i do Wiednia,

commerce; — passage libre des couriers pour les Cours étrangères et celle de Vienne; — stricte neutralité; — cessation des mesures violentes et des arrestations en Gallicie, de sujets ou de réfugiés; — changement en un mot du système actuel, changement de cruelle sévérité en tolérance, indulgence, secours même sous main; — appui auprès de la Prusse, pour obtenir, si non — une action de concert avec l'Autriche en notre faveur, au moins — une stricte neutralité, et la cessation des mesures de rigueur, exercées contre les individus du Duché de Posen, et qui sont aujourd'hui en Pologne.

En dernière instance:

Bases sur lesquelles nous consentirions à ce que l'Angleterre seule, ou de concert avec les Puissances, traitât en notre nom:

1. Nous accepterons pour Roi tel Prince, que les Puissances nous proposeront.

2. Nous demandons le maintien de nos institutions et des limites telles, que notre Monarchie puisse soutenir son indépendance; nommément, la réunion avec nos frères, qui ont aujourd'hui prouvé éloquemment, combien ils sentent le besoin d'une existence nationale.

ściśła neutralność, ustanie wszelkich gwałtownych środków i aresztowań w Galicyi poddanych i emigrantów — zmiana, jednym słowem, całego systematu obecnego, zmiana surowości na tolerancję, pobłażliwość, a nawet pomoc odrębną — nacisk na Prusy, by wyjednać, jeśli nie akcyę wspólną z Austryą na korzyść naszą, to przynajmniej ściśłą neutralność i ustanie środków gwałtownych wywieranych przeciw osobom z Księstwa poznańskiego, znajdującym się obecnie w Polsce.

W ostateczności:

Zasady na podstawie których zgodzilibyśmy się, by Anglia sama, lub w połączeniu z mocarstwami traktowała w imieniu naszym:

1. Przyjmiemy za króla, tego księcia, jakiego nam zalecą mocarstwa.

2. Żądamy utrzymania naszych instytucyj i granic takich, by monarchia наша mogła zachować swą niezależność, mianowicie: połączenie z ojcami naszymi, którzy dzisiaj dowiedli wymownie, do jakiego stopnia odczuwają potrzebę bytu narodowego.

3. Nous demandons une amnistie générale pour les individus compromis aujourd'hui dans les provinces de l'ancienne Pologne, qui ne feraient pas partie du Royaume, avec liberté à chacun de vendre ses biens et de s'expatrier. — En dernier lieu, — une garantie des clauses, sanctionnées pour toutes les provinces polonaises par le traité de Vienne.

XIX.

Pełnomocnictwo Zamoyskiego. — Protokół sessyi tajnej z dnia 25 czerwca 1831 r. — Rozmowa Zamoyskiego ze Skrzyneckim. — Narady z ks. Adamem. — Wyjazd Zamoyskiego. — W Krakowie. — Stan umysłów. — Stosunki rodzinne. — Larisz. — List Zamoyskiego do Metternicha.

*Le 26 Juin*¹⁾. Le Prince Czartoryski signa la copie du texte ci-dessus, corrigé; avec les additions ci-dessous:

„Vous êtes autorisé par la présente, à offrir et endosser les Bons, qui sont déposés entre Vos mains, à l'effet d'assurer leur payement, sous les conditions suivantes:

1. Offre de cinquante mille ducats etc.

2. Offre de vingt mille ducats etc.

comme la teneur ci-dessus — ainsi que les six Bons, pour la somme de cinquante mille ducats.

en dernière instance etc.

3. Domagamy się amnestyi ogólnej dla osób skompromitowanych obecnie w prowincjach dawnej Polski, które nie będą stanowić części Królestwa, i możliwością dla każdej sprzedać swe dobra i expatryować się, — ostatecznie, — gwarancyi warunków, usankcjonowanych dla wszystkich prowincyj polskich traktatem wiedeńskim.

¹⁾ 26 czerwca. Ks. Czartoryski podpisał kopię wyżej wymienionego tekstu poprawianego, z dodatkami następującymi:

„Jesteś upoważnionym niniejszem do zaofiarowania i zaindossowania bonów złożonych do Twoich rąk, w celu zabezpieczenia ich wypłaty na warunkach następujących:

1. Oferta 50 tysięcy dukatów.

2. Oferta 20 tysięcy dukatów

według osnowy wyżej wyluszczonej — jak również sześciu bonów na sumę 50 tysięcy dukatów.

W ostateczności etc.

de plus: „L'obtention de la neutralité stricte, de la levée des entraves aux communications, et l'union de l'Autriche aux autres puissances, pour traiter en notre nom, aux termes ci-dessus — vaut aussi le sacrifice d'une somme — qui est laissée à Votre discrétion, ainsi que les changemens que le cours de la négociation indiquerait devoir être adoptés sur les conditions exigibles — et le montant des sommes offertes, afin de parvenir à notre but“.

„Les sommes indiquées sont en rapport avec les lettres qui nous ont été adressées — Vous êtes autorisé, selon les conditions que Vous pourrez obtenir, à offrir des sommes plus fortes, s'il le faut“.

(Kopia) *Protokół sessyi u Xięcia Adama Czartoryskiego,
dnia 25 czerwca 1831 r.*

Obecni: Książę Adam Czartoryski, Skrzynecki Wódz Naczelny, Władysław hr. Ostrowski Marszałek Sejmu, Horodyski Minister spraw zagranicznych, Andrzej Zamoyski trzymający pióro.

Prezes Rządu Narodowego, wezwawszy do narady Naczelnego Wodza siły zbrojnej narodowej, Marszałka Izby Poselskiej i Ministra spraw zagranicznych — chcąc wszelkich użyć sposobów, mogących prowadzić do ocalenia Ojczyzny, przedstawił nadzieję i możność ujęcia polityki Dworu Wiedeńskiego i zapewnienia Polsce jego kooperacyi i wsparcia, podług warunków osobno wyrażonych. Uznano potrzebę przeznaczenia na ten cel sumy czerwonych złotych piędzie-

a nadto: Pozyskanie neutralności ścisłej, usunięcie przeszkód w komunikacjach i przyłączenie się Austrii do innych mocarstw, w celu traktowania w naszym imieniu na podstawie wyłuszczonych wyżej zasad — wartem jest ofiary sumy zostawionej Twemu uznaniu, niemniej i zmiany, jakiego przebieg układów za konieczne do przyjęcia wskazał na warunkach wymagalnych i wysokości sum ofiarowanych dla dojścia do rezultatu naszego“.

„Sumy wymienione stosują się do listów do nas adresowanych. Jesteś upoważnionym stosownie do warunków, jakie mógłbyś wyjednać, do zaoferowania sum znaczniejszych, jeśli tego zajdzie potrzeba“.

siąt tysięcy. Niniejszem rozporządzeniem upoważniony zostaje Prezes Rządu Narodowego do użycia podobnego kredytu, z należytą ostrożnością i w sposób najpewniej prowadzący do tak ważnego celu. Tajemnica najściślejsza, nieodzowna w podobnej sprawie, nie dozwala wniesienia tego przedmiotu na Sesję Rządu Narodowego. Dla śladu i dzielenia odpowiedzialności za ten krok, w razie potrzeby, zebrani członkowie własnoręcznie protokół niniejszy podpisują. *Podpisali.* (Nb. protokół ten zachował ks. Adam w swoich aktach prezydyalnych.

Po sesyi, podczas której, każdy z obecnych, wierząc w możność przekupienia rządu austriackiego, zawczasu już targował się, byle najwięcej wymódl za swoje pieniądze — wziąłem się zaraz do pisania na cienkim papierze drugostronnych instrukcyj. Wyznaję, że najmniejszej nie miałem nadziei, żeby się ten środek mógł udać; — miałem też tylko zawiesić te bony do ks. Konstantego Czartoryskiego, on zaś, podobno, miał mieć sobie czynione tej natury propozycye.

Zaszedłem potem do Naczelnego Wodza, dla rozmówienia się sam na sam i poznania jego widoków i intencji. Po długiej rozmowie i ocenianiu położenia naszego, dał mi wykaz wojska do boju gotowego, dał także polecenie, aby mi z Banku dano wykaz zapasów i, mniej więcej, tak się wyraził: „Silni jeszcze jesteśmy, wszelako muszę ci powiedzieć, że obecnego wojska będę strzegł jak oka w głowie, bo straciwszy jedno wojsko pod Grochowem, drugie pod Ostrołęką, wątpię, żebyśmy potrafili, obecne straciwszy, nowe uformować — kraj dużo już dał — czy jeszcze dać może? nie wiem. W takiej niepewności, największa mi przystoi ostrożność — będę Fabiuszem, *Cunctando restituit rem*. Z Paryża, Jenerał Sebastiani, minister spraw zagranicznych, tyle nam tylko na nasze zapytania odpowiedział: *Durez, durez*. Myślą więc moją jest, nie szukać nieprzyjaciela, unikać bitwy walnej, stanowczej — wytrzymywać go. — Będziemy manewrowali, niechaj męczy swoje wojsko. Dam mu przejść przez Wisłę, a będę na niego czekał nad Bzurą, w okolicy Łowicza; tam, jeżeli mnie będzie atakował, bitwę przyjmę — jak się uda, skutek okaże; jeżeli mnie pobije, cofnę się pod Warszawę i pod szanćcami stanoweza będzie rozprawa. Taki mój plan,

od niego nie odstąpię. Przypuszczając, że ja nieprzyjaciela pod Łowiczem pobiję, to go do Prus wpędzę". Zapytałem go, czy nie myśli niepokoić nieprzyjaciela w czasie flankowego marszu pod Toruń? Wiedzieliśmy bowiem z przejętego kuryera, że Dybicz, zaraz po bitwie pod Dębem, w końcu marca, pisał do króla pruskiego, żądając, aby wolno było w Toruniu dla armii rosyjskiej most budować i z manewrów Paszkiewicza, który Dybicza zastąpił, widać było, że dąży ku Nieszawie. Odpowiedział Skrzynecki: „Niepokoić mógłbym, ale na co wojsko męczyć? — przejścia przez Wisłę nie mogę mu wzbronić, kiedy mu Prusacy pomagają, wolę się trzymać mego planu". Dodałem, że jedno drugiemu nie przeszkadza. „Zobaczymy, co się da zrobić".

Załączam tu wykaz wojska naszego, oraz nieprzyjacielskiego, instrukcye moje w oryginale, korespondencyę cesarza Aleksandra z ks. Adamem w latach 1810, 1812 i 1815 o sprawie polskiej, oraz list Łubieńskiego o zapasach wojennych, żywności i pieniędzy.

Cały wieczór spędziłem u ks. Adama, rozbierając ze wszech stron stosunki nasze — biedny książę jednostronnie je tylko chciał widzieć — ile razy odzywałem się, że jednak przewidzieć trzeba i tę ostateczność, w razie nieudanej, że się poddać wypadnie, ani słyszeć o tem nie chciał. Przedstawiałem, w przypuszczeniu, że do Wiednia zajść potrafię — radzić się, ani odwoływać nie będę mógł, że dlatego chcę wiedzieć, co w razie najgorszym czynić powinienem. W końcu odpowiedział, jakby te wyrazy z serca wyrwał: „Radź wtedy, jak potrafisz". Jeszcze go wtedy prosiłem, błagałem, aby do końca wspierał Skrzyneckiego, z nim trzymał, bo ta pewność doda mi śmiałości. — Przyrzekł. Pożegnałem się i nazajutrz, 26 go, po otrzymaniu podpisu na instrukcyi i na bonach, wyjechałem. Dał mi Horodyski list do p. Onufrego Małachowskiego w Borkowicach (tu załączony), ponieważ jako w Galicyi ożeniony, miał paszport do Wiednia, mieliśmy razem się zabrać. Do Borkowie zajechałem — Małachowskiego nie było. Jechałem na Opatów, Korczyn, do Krakowa, zeszło kilka dni. W Krakowie mówiono mi, że już Austria kordony zdrowia ponad granicą ściśle rozciągnęła przeciw cholerze, że ani myśleć o przejściu do Galicyi.

Musiałem więc w Krakowie bawić, rozmyślając nad sposobem dostania się za granicę. Jużśmy byli w lipcu, pilno mi było, bo nie dopuszczałem, iżby nasza biedna sprawa długo mogła pociągnąć, chciałem koniecznie, *par acquit de conscience* zająć do ks. Metternicha, aby *nil intentatum relinquere* i co rychlej powrócić, dla dzielenia losu wszystkich naszych. W Krakowie zastałem umysły powarzone, biedną drogą matkę widziałem, całą zawsze w Bogu, ale mocno na ciele podbitą, gotową zawsze na wszelkie dla kraju poświęcenie, ale cierpiącą na los ojca mego w Petersburgu, stryja ks. Adama w Warszawie, braci moich i szwagrów w wojsku. — Obawiała się i o mnie, bo przejście za kordon było trudne, niebezpieczne — Austriacy już kilku ludzi nad Wisłą zastrzelili. Moja żona pocziwa pocieszała nas nadzieją — wszyscy się modlili gorąco, bo „kiedy trwoga, to do Boga“. Z Warszawy coraz przykrzejsze nadechodziły wieści. Sejm, ojca mego, jako nie powrócił do kraju, z Senatu wykreślił... Mój brat Konstanty w uniesieniu za to wziął dymisyę, nie chcąc służyć w kraju, gdzie godnych ludzi tak poniewierają. Ks. Adama na ulicy lud napadł, ledwo nie rozszarpał, upominając się o śmierć Jankowskiego, za nieudaną pod Kockiem, co zdradą nazwano. Jankowski został pod sąd oddany. Bieda, zgroza, czułem to, że zwątpienie najsmutniejsze wywoła ostateczności — Boga błagałem, aby nie dopuścił zbrodni, zmazy — prześladowała mnie pamięć o Krukowieckim i jego niecnym współnikach. Mówiono mi, że bylebym do Białej zaszedł, tam mnie dalej Larisz pomoże.

Przedstawiłem konsulowi austriackiemu, że miałem upoważnienie od ks. Metternicha do powrotu do Wiednia — pisma nie było — odmówił paszportu. Dwa razy pisałem do komisarza policyi na Podgórzu, miałem nadzieję, że on mnie puści. Ani nawet odpisał. Ułożyłem sobie projekt przejścia granicy od strony Prus, choć i tam był kordon; pojechałem więc do Bobrka, do Wincentego Wielopolskiego, kilka dni bawiłem, napróżno. Nad granicą ruch i w dzień i w nocy nieustanny. Włościanie mówili mi, że świeże jakieś przyszły rozkazy, że trzeba przeczekać. Wróciłem do Krakowa zgryziony tylu przeciwnościami, między innemi dla tego, aby konsula austriackiego stropić — postanowiłem bowiem pod Bobr-

kiem przejść, bądź co bądź, bo się tam stykały kordon galicyjski, pruski i morawski. Z Krakowa kilka listów pisałem do ks. Adama, których kopie mi zaginęły, ale załączone są odpisy i wiadomości z biura naszego dyplomatycznego. Dnia 8 lipca napisałem do ks. Metternicha list następujący:

„*Cracovie, 8 Juillet 1831* ¹⁾). Mon Prince. Nous sommes encore sur pied, Votre Altesse, j'en suis sûr, en est étonnée; Elle ne peut retenir un sentiment involontaire d'admiration, à la vue de la résistance opiniâtre, qu'oppose une Nation abandonnée de tout le monde, à cette autre Nation de frères, si forte en comparaison, et que l'on a chargée de nous exterminer, parceque nous avons commis le crime de rappeler à son Maître implacable, qu'il avait des devoirs envers nous. La nature a placé chez ses créatures les plus faibles le courage du désespoir, et qui se réveille comme par enchantement, dès qu'il s'agit de défendre l'existence. Ce courage devient presque invincible, lorsque toute une Nation en est pénétrée. Il nous porte à des efforts surnaturels, et nos revers prouvent bien mieux encore, que nos succès, combien le sentiment de notre existence nous est cher — combien celui de nos droits lésés est profond; en un mot, c'est après un revers que nous prouvons, combien nous sommes forts. Nous avons essuyé des pertes sensibles; la Patrie pleure quelques

¹⁾ *Kraków, 8 lipca 1831 r.* Mości Książę! Trzymamy się jeszcze. Jestem tego pewnym, że Wasza Książęca Mość jest tem zdziwiony i nie może stłumić mimowolnego uczucia podziwu, na widok odporności, jaką okazuje naród przez wszystkich opuszczony, wobec drugiego narodu bratniego, w porównaniu silniejszego, na którego włożono zadanie wyćpienia nas, ponieważ spełniliśmy zbrodnię przypomnieniem jego nieubłagalnemu Panu, że ma względem nas pewne obowiązki. Natura nadała najsłabszym swym stworzeniom odwagę rozpacz, budzącą się cudem niejako w chwilach, gdy idzie o obronę ich bytu. Odwaga ta staje się prawie niezwykłą, gdy przejęty jest nią naród cały. Wiedzie ona nas do wysiłków nadnaturalnych, a niepowodzenia nasze, silniej, aniżeli powodzenia, dowodzą, ile uczucie przywiązania do bytu narodowego jest nam drogiem, ile uczucie pogwałconych praw naszych jest głębokiem, jednym słowem, porażkami naszemi stwierdzamy wielkość naszej siły. Doświadczyliśmy strat dotkliwych. Ojczyzna

filis d  vou  s, que la mort des braves nous a ravis; loin de perdre courage, de nous abandonner    des larmes — apr  s avoir pay   le tribut, qui leur est d  , nous semblons    l'envi rechercher leur sort. Un noble d  sespoir nous enflamme, et nous nous relevons chaque fois plus forts, que nous n'  tions avant la d  faite  .

„Les hommes auxquels la Nation a remis avec confiance le soin de son salut, ne peuvent et ne doivent laisser   chapper aucune occasion — ils doivent au contraire mettre en oeuvre tous les moyens, pour approcher le moment o   ce carnage de deux peuples pourra cesser, et cette lutte finir, d'une mani  re, qui mette    couvert l'honneur des deux parties  .

„On ne peut m  conna  tre l'aide du Ciel; l'insurrection chez nos fr  res s'  tend au loin; nous leur avons envoy   des corps s  par  s, pour les organiser, les conduire; l'arm  e ennemie a sa retraite coup  e, ses communications interrompues  .

„Je suis porteur de quelques   claircissemens importants, de faits, que je voudrais faire conna  tre    Votre Altesse, de propositions m  me, que Votre Altesse saurait appr  cier, je ne puis me confier    la poste. Vous m'avez fait l'honneur de

opłakuje po  wieconych syn  w, kt  rych   mier   walecznych nam wydarła; dalecy od utraty odwagi, od przelewania łez, u  sciwszy danin   hołdu im nale  znego, z zazdro  ci   pragniemy los ich podzieli  ć. Rozpacz szlachetna podnieca nas i ka  dym razem stajemy si   silniejsi, ani  żeli przed doznana pora  zk    .

„M   owie, kt  rym nar  d z ufno  ci   powierzył piec   oko  o swego zbawienia, nie mog   i nie powinni omija     adnej sposobno  ci, przeciwnie, winni oni u  zywa   wszelkich   rodk  w dla przyspieszenia chwili, gdy rze   obu lud  w b  dzie mogła usta  ć i nast  pi kres walki, w sposobie czyni  cym zadosy  ć honorowi stron obu  .

„Nie nale  ży zapoznawa   pomocy Niebios; powstanie mi  dzy bra  mi naszymi rozci  ga si   daleko i posłaliśmy im oddziały dla ich uformowania i kierownictwa; armia nieprzyjacielska ma odwr  t przeci  ty i komunikacye przerywane  .

„Powierzono mi kilka wyja  nie   wa  nych, fakta, kt  re radbym da  c pozna   Waszej Ksi   cej Mo  ci, propozycye nawet, kt  rych donios  o   oceni  ć b  dziesz Wasza Ksi   ca Mo  c w mo  no  ci — nie mog   ich powierzy  ć

me dire, mon Prince, que je devais être l'intermédiaire de Votre correspondance confidentielle avec notre Président — c'est au nom de notre Président et du Commandant en Chef de notre force armée, que je désirerais parler à Votre Altesse“.

„Je crois Vous avoir donné, mon Prince, des preuves de ma discrétion à toute épreuve, de même que de ma résolution, à franchir toutes les difficultés, pour parvenir jusqu'à Votre Altesse — je me flatte que cette fois Votre Altesse ne voudra me mettre à l'épreuve, que la première. Veuillez croire, mon Prince, que c'est par pure délicatesse à Votre égard, que je me suis décidé à la démarche présente, toute franche et loyale. Votre Altesse ne voudra pas me réduire à transgresser encore les réglemens de Vos douanes — à avoir recours à d'autres moyens de ce genre, qui me répugnent, il est vrai, mais qui sont efficaces et permis dans notre position. Ne me refusez pas, mon Prince — je Vous promets d'être moins verbeux, que la première fois. Je ne puis me défendre de la persuasion, que c'est à Votre Altesse que nous devons le bonheur. Daignez, mon Prince, agréer l'assurance de ma haute considération etc.“

poczcie. Uczyniłeś mi, Mości Książę, zaszczyt oświadczeniem, że winienem być pośrednikiem Twojej korespondencji poufnej z naszym Prezesem — otóż to w imieniu naszego Prezesa i Naczelnego Wodza siły naszej zbrojnej radbym z Waszą Książęcą Mością pomówić“.

„Mniemam, że dałem Wam, Mości Książę, dowody dyskrecyi mojej w każdym wypadku, jak również postanowienia pokonania wszelkich trudności, byleby dostać się do Waszej Książęcej Mości. Pochlebiam sobie, że tym razem Wasza Książęca Mość tylko pierwszą wystawić raczy na próbę. Chciej wierzyć, Mości Książę, że to jedynie z poczucia najczystszej delikatności wobec Ciebie, żem się zdecydował na krok niniejszy, szczery i lojalny. Wasza Książęca Mość nie zechce mnie zapewne wystawić na sekatury prawideł celnych, zmusić do innych środków, które mi są wstrętne, co prawda, lecz które są skuteczne i dozwolone w naszym położeniu. Nie odmawiaj mi Książę — przyrzekam Ci, że będę mniej gadatliwym, niż pierwszym razem. Nie mogę się obronić przeświadczeniu, że tylko Waszej Książęcej Mości zawdzięczać będziemy szczęście.

P. S. Pour ne point donner aux curieux de traces de mon séjour à Vienne, je me suis refusé d'écrire à Votre Altesse, pour La remercier des facilités, qu'Elle avait bien voulu mettre à mon voyage. La même voie, le même nom, pourraient me servir aujourd'hui — je pourrais même, au pis-aller, si Votre Altesse le préfère, ne pas me mettre en route ici, et ne joindre la voiture publique, qu'au-delà des cordons sanitaires. J'attendrai ici Votre réponse, mon Prince, jusqu'au retour du courrier — poste restante — à l'adresse ci-dessus. Si je ne reçois pas de réponse, force me sera d'arriver, coûte que coûte. Votre Altesse daignera excuser le post scriptum“.

XX.

Przeprawa przez Wisłę. — Patrole. — Niebezpieczeństwo. — Na furce chłopskiej. — Karczma w Dankowicach. — Zajęcie z awanturnikami. — Tajemniczy portfel. — Przejeżdżanie lotrów. — Do Biały. — Dom Lariszów. — Monsieur Lambert. — Ks. Edward Lichnowski. — Pani Grabowska. — Schlossgrätz. — U Lichnowskich. — Sylwetka Księcia. — Jego aspiracye. — Romantyczna księżna. — Bacher.

Dnia 5 i 6 lipca bawiłem w Bobrku na zwiadach — za powrotem powyższy list napisałem — po siedmiu dniach, nie

Racz przyjąć Mości Książę zapewnienie mego najgłębszego szacunku etc.“

P. S. Aby nie dać ciekawym śladów mojej bytności w Wiedniu, zaniechałem pisania do Waszej Książęcej Mości z podziękowaniem za ułatwienia, jakie raczyłeś zarządzić w podróży mojej. Tażsama droga, tożsamo nazwisko mogłyby mi służyć i obecnie. Mógłbym w najgorszym razie, jeśli to Wasza Książęca Mość uzna za właściwe, nie wybrać się w drogę stąd i nie wsiąść do dyliżansu publicznego, chyba zewnątrz kordonów sanitarnych. Oczekiwać będę tutaj odpowiedzi Twej, Mości Książę, aż do powrotu gońca — *poste restante* — pod niżej wymienionym adresem. Jeśli nie otrzymam odpowiedzi, zmuszonym będę przybyć, bądź co bądź. Racz mi Wasza Książęca Mość wybaczyć niniejszy dopisek“.

odbierając odpisu od ks. Metternicha, dnia 15 powróciłem do Bobrka i tam 10 dni i 11 nocy strawiłem na staraniach o przeprawę za Wisłę. Zapoznałem się z włościanami, którzy karabiny austriackie przekradali i z jednym umówiłem się, że razem się przeprawimy. Cały dzień siedziałem we dworze, w bardzo miłym towarzystwie, a po herbacie wychodziłem nad Wisłę, gdzie przez całą noc pod stogiem czatowałem. Do sytości nasłuchiwałem się nienastannych: *Wer da, Patrol vorbei*, bo czaty stały co kroków 40, co noc też po kilka strażów puszczały, zapewne dla większego postrachu — zabili jednak kobietę, która w Wisłę chusty prać przyszła. Nakoniec dnia 26, o godzinie 3¹/₂ rano, o pół mili od Bobrka, przyszedł do mnie włościanin znajomy i powiedział: „idźmy. Znam żołnierza naprzeciwko na warcie stojącego, jeżeli mnie pozna, nie strzeli“. Księżyc blado świecił, a mgła ponad rzeką się rozlegała. O czołnie ani myśleć, trzeba było brnąć i przepuskać się. — Nie tracąc czasu, z tłumoczkim na plecach wszedłem do wody za moim przewodnikiem, polecając siebie, żonę i dzieci Panu Bogu, bo nie tego pływam. Szczyściem woda nie była zbyt głęboka; już nurt przebyliśmy, gdy mój przewodnik stanawszy na piasku spostrzegł ruch na brzegu i szepnął mi: „Źle, obluz warty“. „Jakże będzie?“ „Przycupić się — zobaczymy — za jedną nogę wisieć, to i za obie“. Nie zupełnie temu potakiwałem, ale gdzie trzeba, to się i energia znajdzie. Po chwili warta się odezwała: *Wer da?* nieco później zawołała *Patrol vorbei* — wstąpiła w nas nadzieja, poszliśmy dalej — mgła ćmiła księżyc, a my, w miarę jak woda stawiała się płytszą, zniżaliśmy się, aż na czworaka z wody wyszli. Żołnierz krzyczał *Wer da*, a zbliżywszy się do nas, zawołał: *Nur weck, nur weck!* Nie oglądając się, a coraz dalej od wody czołgając, zaszliśmy po za piaskiem dość wysoko odsypanym do jakiejś wołowni, gdzie musiałem dać na piwo kapralowi, przez przewodnika wskazanemu. Ztamtąd szybkim krokiem dostaliśmy się do rodzaju wioski, zamknięto mnie do jakiegoś chlewa, czy owczarni, żebym wysechł i z błota się otrząsł. Nad ranem słyszałem już ruch zewnątrz — przyszedł na naradę mój chłop, co dalej począć, bo wieś napelniona wojskiem. Chciał mnie łożami ponad Wisłą prowadzić do dalszej wioski, aleś wpadł na myśl, że

bezpieczniej będzie wozem jechać, bo nie obudzimy podejrzenia. — Poszedł szukać woza, a ja bardzo niemłą godzinę znowu przepędziłem. Około 7-ej rano ruszyliśmy, przejeżdżając wśród żołnierzy, oficerów — zdawało mi się, że każdy na mnie tylko się patrzy. Udając spokojnego, słomkę sobie gryzłem. Dzięki Bogu, nikt nas nie zaczepił. Opowiedział mi mój chłop, „że się nam gracko udało“, bo niedaleko miejsca, gdzieśmy przez wodę przechodzili, stał prom, na którym był odwach z oficerem. W pierwszej wiosce, może o pół mili od Wisły, wiedziałem, że mieszka obywatel, pożegnałem więc mego Krakowiaka, dobrze go wynagrodziwszy i udałem się na piechotę. Chciałem przeciąć ślad zkąd przywędrowałem, pana w domu nie było, nająłem sobie drugą furkę, a że mnie sen morzył, zapowiedziałem włościaninowi, żeby konia w polu napasł, gdy wytchnąć zechce — i zasnąłem, spodziewając się zajechać do Biały. Tymczasem czekała mnie jeszcze najgorsza przeprawa, bo mnie o mało że w kajdany nie okuli i do Kent pod sąd wojenny nie odstawili, a za przebycie kordonu — rozstrzelanie. Mówiono mi później, że jeżeli przechodzący zdrów, na choleryka nie wygląda, ulaskawiają na 6 lat kajdan. Wyznaję, że na chwilę struchlałem, ale potem z tem żywszą energią o ratunku myślałem. Tak się stało: mój chłop stanął w Dankowicach przed karczmą, worek z obrokiem włożył hetce na głowę i sam zaszedł do karczmy. Przebudził mnie jakiś Niemiec, mieniący się urzędnikiem policyjnym i zapytał o paszport. Odrzekłem, że nie mam, bo tylko do Biały jadę i wracam, że jestem oficyalista z dóbr sąsiednich, kłamiąc na los szczęścia, nie będąc przygotowanym do takiego spotkania. Uszło jakoś — odszedł mój urzędnik, chciałem czem prędzej ruszyć, ale chłopka nie było przy wozie. Oglądałem się, wołałem, aż tu powraca urzędnik i mówi mi, że odjechać nie pozwala, że posłał po sędziego i że ze mnie będzie protokół pisał — kazał wysiąść, zaprowadził do izby, gdzie żyd był i drugi mężczyzna — nadrabiałem miną, siadłem jakby najspokojniejszy. Wtem drugi mężczyzna machając chustką po powietrzu, zawołał, na mnie spoglądając, „że tu czuć cholera“. Zmiarkowałem, że to o mnie mowa, więc zdziwionego udając, zapytałem, czy cholera we wsi; wstałem i do okna poszedłem patrzeć na wózek z moim tłumoczkiem.

Żyd zaczął się mnie wypytywać, co tam słyhać za granicą. „Nie wiem, dawno nie byłem, podobno wojna wciąż trwa“. Żyd mi szepnął: „To pan nie stamtąd?“ „Nie“ — i zniecierpliwiony żyda ofuknąłem. Nadszedł znowu pierwszy i zaczął badać, oglądać mnie, aż żyd za nim stanąwszy wskazał mi na rękę, że trzeba Niemcowi coś wypłacić; gdym spojrzał, Niemiec się odwrócił, a widząc znak żyda, tak go w twarz ugodził, że się żyd przewrócił. Wtedy zaczął głośno wołać: „Co, pieniądze? jak tego *Kerl* (na mnie wskazując) do Kent odstawię, dostanę 50, a tyle on mi nie da; zaraz przyniosą kajdany i pod karabiny pójdzie do Kent“. Połapawszy swoje myśli, udałem bardzo oburzonego i zbliżywszy się do Niemca, silnie go chwyciłem za piersi, pytając: *Wer ist der Kerl? du Halunke* — strząśłem go tak, że się aż zadyszał. Nie puszczając go, pechnąłem go przed sobą do drzwi, które z boku spostrzegłem, chcąc na osobności z nim się rozprawić — drzwi od komory za sobą zatrzasnąłem i dość żywą tam z nim rozmowę prowadziłem, gdy drugimi drzwiami drugi nadszedł. Szło mi o uprzedzenie przyścia sędziego; krótko, Niemiec spostrzegłszy w czamarce portfel, wyrwał go, czempredziej otworzył i natrafił na list ks. Adama do ks. Metternicha adresowany. Listu tego nie byłem schował, aby go nie pognieść, resztę papierów, zgniótłszy na grubość orzecha włoskiego, umieściłem na dnie skórzanego kapeincha węgierskiego, u pasa zawieszzonego. W Wiśle nie przemokły, adres do ks. Metternicha mocno obydwóch zastanowił, zaczęli się naradzać, a ja chciałem i odebrałem i list i portfel. Wtedy przyskoczyli do mnie, „że ten list z takim ekwipażem jeszcze w większe mnie podaje podejrzenie“. Zgromiwszy, potem głaskałem, miałem krucice nabite, alem się pomiarkował, że może sprawę pogorszę. Nazwali mnie szpiegiem policyi wiedeńskiej. Krótko się zastanowiwszy, że w najgorszym razie mogą mnie kije spotkać, wołałem to, od kajdan. Zresztą, wszystko było lepsze od przejścia kordonu zdrowia, więc pogłaskawszy ich po mordzie, powiedziałem im, że zgadli, że zresztą jest to taki urząd, jak ich, że oni pewnie mają żony i dzieci, że i ja mam żonę i czworo dzieci, że na nie zarabiam. Nie mogli się ze złości pomiarkować, lżyli, grozili, wyrzekali, że ich chciałem przekupić, chleba pozbawić....

Trwało to ze dwie godziny — już nie wiedziałem co pocznę, aż Pan Bóg pomógł. Nie mogąc sami trafić do ładu, Niemiec pierwszy zbliżył się do mnie i rękę prawą do góry wyciągnawszy, rzekł: „Klnę się na Boga w niebie, że jeżeli nam prawdę powiesz, nie ci się z tego nie stanie“. Ja na niego patrzałem, bijąc się z myślami — po chwili chwyciłem go za rękę i rezolutnie bardzo zapytałem: *Hast du geschworen?* — *Ja, ich habe geschworen*. Drugi Niemiec potakiwał — pytałem: *Beyde geschworen?* — *Ja*, to wam powiem prawdę: „Jestem Polakiem, idę z tym listem do Wiednia“. „*Ha, ha! Du bist durch den Kordon gekommen...* Trzymałem wciąż za rękę, a drugą już sięgałem po krucicę, bo od rozumu odchodziłem, wołając na nich, że lajdaki, mnie chcą zdradzić, krzyknąłem: milez łotrze, przysięgłeś“... *Nun, ja, ich hab' geschworen* i oba się uspokoili. Wtedy ostatnie 13, które miałem w sakiewce, im oddałem, dziękując Bogu, że ich tak natchnął. Poczciwie Niemczysko widząc, że mi w sakiewce nic nie zostało, poradził mi udać się w Białą do kupca Block, obok apteki, że on Polaków kocha, że mnie na drogę opatrzy. Na znak zgody, naładował mi fajkę swoim tytoniem, a zażądał mego do swojej — i puścili mnie. W gorączce, ale z radością niewymowną wyszedłem na świeże powietrze i na wózek siadłem. Zaleciwszy memu woźnicy, żeby mnie przed Białą obudził, znużony temi przeprawami do samej Białej spałem. Spostrzegłszy aptekę, wysiadłem, na pierwszym piętrze zastukałem, wyszedł tęgi mężczyzna. *Sind Sie der Herr Block?* — *Ja*. Wziąłem go przez pól i prosiłem o przyjęcie do stancyi, że mu tam powiem, co mnie sprowadza. Poczciwy, nie pytając więcej, przeprowadził przez jadalny pokój, gdzie siedziała właśnie u obiadu rodzina. Przedstawił mnie jako przyjaciela z Lipska i do sypialnego pokoju wprowadził. Krótko mu opowiedziałem z czem idę, że na jego dyskrecję liczę; kiwnął głową, posłał po tłumoczek, chłopca zapłacił, sam poszedł kończyć obiad i mnie do stancyi przysłał czem się posilić. Zdało się, byłem i strudzony i zgłodniały. Gdy powrócił, dałem mu bilecik do pana Larisza, i z nim powrócił. Do zaznajomienia z p. Lariszem zaraz przyszło — ułożyliśmy się, że nazajutrz do niego przybędę jako szwajcar guwerner (*monsieur Lambert*), pożyczył mi

niedużo pieniędzy, dzień u niego miałem zabawić i zaraz z nim wyjechać do Opawy, do Schloss Grätz, do ks. Edwarda Lichnowskiego. Wieczorem, poufale rozmawiając z pocciwym nad wyraz moim gospodarzem, dowiedziałem się, że on kiedyś był kupeczykiem w sklepie Kehlera w Warszawie i że z wdzięczności ku Polsce, gdzie mu się dobrze działo, chętnie teraz Polakom pomagać chce. Notuję tu to niezwykle u cudzoziemców uczucie względem nas, ucieszony niepomalu, że na drugi taki egzemplarz trafiłem. Smacznie się prześpiawszy, nie mogłem otrzymać od mego gospodarza, żeby cokolwiek przyjął za mój pobyt u niego, ani żebym zwrócił mu wydane za mnie pieniądze. Po południu na godzinę obiadową przeprowadził mnie po za miastem, po kamieniach przez rzeczkę, która stanowi granicę między Białą a Bilitz, przez co uniknęliśmy komorę, dość surowo obsadzoną. U p. Larisza przyjęła mnie p. Grabowska, staruszka, matka p. Lariszowej, z którą, nie wiedząc, że wie od Larisza kim jestem, bardzo ugrzecznioną rozpocząłem rozmowę po niemiecku, aż po chwili parsknęła ze śmiechu i przyznała, że do sekretu przypuszczona, ale oprócz niej nikt w domu. — Zaleciła więc, żebym u stołu po francusku tylko mówił i udawał, że nie po polsku nie rozumiem. Do stołu liczna zasiadła rodzina. Mówiono, jak zwykle, pół po polsku, pół po francusku. Dla odegrania więc swojej roli, uskarżałem się na ten zwyczaj, który cudzoziemca stawia zawsze w niepewności, czyli czego przed nim nie kryją i pozbawia korzystania z rozmowy. Pamiętam, że panienki żywo i z upodobaniem opowiadały szczegóły różne o jakimś chłopczyku, który już wołał *tata*, a że się wszyscy nad tem unosili, zapytałem się sąsiadki: *Puis-je Vous demander Mademoiselle, ce que veut dire ce charmant tata?* Bardzo to wszystkich zrazu rozśmieszyło, na co byłem przygotowany, a następnie nie szczędziły panienki żartów o mnie po polsku, co mnie znowu bawiło, bo niby nie rozumiałem.

Wieczorem dnia 28 wyjechaliśmy do Schloss Grätz, gdzie mnie, jako Węgry (Medway), wszystkim, prócz samego ks. Lichnowskiego, prezentował Larisz. Bawiłem tam od południa 29, do 4 sierpnia. Ks. Lichnowski, obciążony długami, miał u siebie jakiegoś p. Bacher, który majątek jego trzymał

w opiece na rzecz wierzycieli, względem których zobowiązał się książę nie bywać w Wiedniu, aby nie tracił pieniędzy; on mnie jednak miał zawieźć do Wiednia. Nie mogłem odgadnąć, co go spowodowało do tego; on to wszelako Lariszowi proponował, Larisz o tem pisał do p. Wąsowiczowej, a ona mi to w Krakowie powiedziała, korzystałem więc z tej gotowości. Książę był człowiekiem uczonym, dużo jeździł po świecie, Anglię bardzo lubił, dowcipny, ale potrzebnicki i okropnie pływał, po prostu lgał. Zaraz po przyjeździe moim widziałem, że mnie ciągle obserwuje, nic nie mówił, prócz rzeczy z gazet wyczytanych. Księżna bardzo była grzeczna, uprzejma, jeszcze ładna, a raczej miła, Zichy z domu, ciotka księżny Metternichowej. Dziwny jakiś to był skład okoliczności, żeby mnie właśnie chciał pomagać jej mąż, gdy Zichowie w Wiedniu psy wieszali na Polaków i polską sprawę, jako sprawę jakobinów.

Nazajutrz jednak, po śniadaniu, zaprowadził nas (Larisha i mnie) książę do gabinetu, w grubości muru zamkowego ukrytego i tam z wielką ceremonią i tajemniczością zaczął mnie badać, z czem jadę etc.—Trochę zyzowaty, wielce wyglądał na franta, szczególnie klaskał językiem, jakoby na pokazanie swej przenikliwości, zaufania mi nie wzbudzał. Był to gabinet, w którym głowy koronowane, kiedyś na kongres w Opawie zebrane, naradzały się nad losami świata. Macał mnie, czy mam fundusze, majaczył, a jak mi później Larisz mówił, życzył sobie pomagać naszej sprawie, aby w razie udania, mógł od nas otrzymać dobra jakie w donacyi i tytuł księcia w Polsce. Na wiadomość o projekcie dania sumy ks. Metternichowi, zrazu potakiwał, później wątpił o możebności, nakoniec podał za warunek wyjazdu ze mną, abym w trzy dni, czyli powrotną pocztą, 500 w Ołomuńcu kazał złożyć u pewnego bankiera, które miały niby posłużyć do wybadania interesów ks. Metternicha i wymacania jego plenipotentą co do sposobu, w jaki prezent dałby się ofiarować.

Ja byłem przekonany, że sam bez grosza będąc, chciał delikatnie dostać tę sumę na podróż i wydatki w Wiedniu. Nie wierzyłem wcale temu, żeby się udało ks. Metternichowi dać pieniądze, ale szło mi o zajechanie do Wiednia. Natych-

miast więc w tym samym gabinecie napisałem do ks. Konstantego Czartoryskiego do Wiednia, aby nieochybnie te pieniądze przysłane były. Potrzebnickiemu ta łatwość szafowania pieniędzmi podobała się, do pewnego stopnia zaimponowała. Odtąd był najgrzeczniejszym, po angielsku najczęściej przemawiając, co nawet na sali ułatwiało poufne niby rozmowy. Księżna odgadła żem Polakiem, przez to, że z Lariszem przyjechałem. Choć już w wieku zameżnym miała córki, bardzo miła osoba, serdeczna, dziwne mi dawała dowody uprzejmości upoetyzowanej, niemieckiej, *schwermerisch*. Jak mi później mówiła, uroiła sobie, żem ranny z polskiej wojny, widziała mnie bladym, cierpiącym, pod obcym nazwiskiem ukrywającym się, a nie śmiała się zapytać o nic, co by się mnie bliżej tyczyło. Czas mi schodził przyjemnie, tłumaczyła mi znaczenie wyrazów niemieckich *Sehnsucht*, *Heimweh*, *Herzweh* i t. p., nad poezją języka niemieckiego się unosiła. Cała kompania dużo spacerowała pojazdem, piechotą, konno. Raz polowaliśmy w parku na jelenie, gdzieś szkaradnie chybił do ślicznego rogacza, bo też dla ślepego licha to zabawa. Była tam i siostra księcia, stara panna, jakby na respekcie, która krzywo patrzyła na to, że z nią mało mawiałem, a z księżną częściej. Była szpetna i widocznie cierpiała, że na starą pannę wyszła. Pocieszać ją nie przyszło mi na myśl. Nadeszła wiadomość o przyjeździe pieniędzy do Ołomuńca — urosłem tem bardziej w oczach księcia i postanowiono, że 3-go wieczór ksiązę wyjedzie do Cieszyna, a ja nazajutrz za nim z Lariszem, który ztamtąd do siebie powróci. Przed wyjazdem traktował z trudnością niemalą z aniołkiem stróżem Bacherem, który bardzo był ciekawy. Jak się ksiązę wyłgał, nie wiem. Mówił mi ksiązę, że muszę mu pozwolić żonie powiedzieć kim jestem, bo, jak wyżej powiedziałem, zgadła część i bardzo ciekawa prawdy. Bachera tylko trzeba się było strzedz, aby wieść o tem do Wiednia nie zaszła. Zezwoliłem. Nazajutrz rano, po Mszy św., jak zwykle, szliśmy na śniadanie. Księżna widocznie była niespokojna, wszedłszy do salonu, wyprzedziła nas, żeby okno otworzyć, a że to, jak w starych zamkach, wysokie było, pobiegłem żeby jej pomóc, wtem ona mi półgłosem z niewymowną dobrocią szepnęła: *Mon cher Comte, mon mari m'a tout dit, je Vous aime*

de tout mon coeur, venez dans mon cabinet — w oczach miała grube łzy. Nigdy mi się w życiu takie spotkanie nie zdarzyło — zdudziałem, goście byli w salonie — zdobyłem się tylko na prośbę o uwagę, żeby mnie nie wydała. Ona w nerwowem uniesieniu powiedziała mi, że moją matkę kiedyś w Wiedniu знаła, kochała i zwołna do gabinetu obok salonu zaszliśmy; tam mówiła mi, że mąż jej opowiedział, jak przez Wisłę przechodziłem (od Larisza wiedział), że to poświęcenie musi dobry skutek otrzymać, że zazdrości mym rodzicom takich dzieci etc., etc., mówiła, że będę w Wiedniu mieszkał u matki księżny Metternichowej, w ich apartamencie, że sami majątek stracili, więc że mieszkanie nie wykwinie, żebym był bardzo ostrożny; od pokoju sypialnego wykręciła zaczepkę, którą zaleciła w moje drzwi w Wiedniu wśrubować, aby mnie nikt nieproszony nie naszedł. — Już nie pamiętam co mówiła, bo ona była mocno wzruszona, a ja i wdzięczny i zaambarasowany, bo nigdy z kobietami żadnych awantur nie miałem... Ona jak matka przemawiała, alem do kobiet nieśmiały, a do tego siostra księcia raz wraz do gabinetu z ciekawością zaglądała... Po śniadaniu i najczulszem pożegnaniu, pobłogosławieniu, wyjechałem z Lariszem; przed Ciesznym spotkałem księcia. Larisza pożegnałem serdecznie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZARYS

rozwoju idei społeczno-gospodarczych w Polsce od pierwszego rozbioru do r. 1831.

(Ciąg dalszy).

Kwestya włościańska.

I

Spółeczno-gospodarcze położenie włościan w Polsce w początku XIX wieku.

Artykuł czwarty ustawy konstytucyjnej Księstwa Warszawskiego zniósł poddaństwo słowami: „Znosi się niewola. Wszyscy obywatele są równi przed obliczem prawa; stan osób zostaje pod opieką trybunałów“.

Tem samem postawiła konstytucya na porządku dziennym najpilniejszych zagadnień polityki społecznej nowo powstałego państwa uregulowanie dalszego stosunku dziedziców do włościan, który dotychczas streszczał się w poddaństwie tych ostatnich, ich przywiązaniu do ziemi i patrymonialnej nad nimi jurydyceyi właściciela majątku, teraz wszakże na zupełnie nowych musiał być oparty podstawach.

Znosząc bowiem poddaństwo, konstytucya kasowała tylko władzę dziedziców nad włościanami i ich do gruntu przywiązanie. Stąd zaś te jedynie płynęły bezpośrednio wnioski

1) że włościanin od tej chwili równym będzie przed prawem wszystkim innym obywatelom kraju, 2) że wolno mu opuszczać wedle swej woli swą osadę. Pierwszy z tych wniosków wypowiada jasno sama już ustawa konstytucyjna. Drugi samo przez się się rozumie. Należało go więc tylko bliżej określić, a mianowicie określić dokładnie ustawą czy rozporządzeniem rządowem prawne formy w jakich przesiedlanie się włościan z dotychczasowego miejsca ich zamieszkania odbywać się miało.

Normy te ustanawia dekret króla saskiego z dnia 21 grudnia 1807 r. ¹⁾).

„Art. 1. Każdy rolnik, włościanin i z wyrobku żyjący niemający już poprzednio za dobrowolnym układem nadanego sobie prawa własności lub na lata udzielonego, wolny jest wyprowadzić się z miejsca, w którym dotąd zostawał i przenieść się w obrębie Księstwa Warszawskiego, gdzie wola jego będzie“.

„Art. 2. Winien jednakże opowiedzieć się wprzód dziedzicowi, który wstrzymywać onego nie jest mocen, tudzież zwierzchności, wskazanej od władzy administracyjnej powiatowej, która o każdym wynoszącym się i przybywającym w okręgu swojego powiatu rządowi raport uczynić powinna“.

„Art. 3. Zapewnia się dla rolników, włościan, z wyrobku żyjących, chcących pozostać w miejscu teraźniejszego ich pobytu, zupełna wolność przemieszkowania do roku, byleby odbywali też same powinności, którym dotąd podlegali. Dziedzie przez ten przeciąg czasu ani do wyprowadzenia się przymuszać, ani podwyższać żadnego rodzaju obowiązków nie jest mocen“.

„Art. 4. Na każde wezwanie sądowe, osoby do tego umocowane przyjmować będą dobrowolne umowy, czy to wieczyste przedajne, czy też doczesne podług warunków zobopólnie przez strony ugodzonych pomiędzy rolnikami i dziedzicami. Osoba sądowa powinna być jako świadek rządowy: 1) czy strony są w stanie zawierania dobrowol-

¹⁾ Dz. pr. Ks. Warsz. t. I, str. 10.

nych umów; 2) czyli jest istotnie samowolna umowa, czy nie zachodzi jakowa bojaźń, przymus lub podstęp?“.

„Art. 5. Rolnik nakoniec, wyprowadzający się ze wsi, w której dotąd pozostawał, winien oddać dziedzicowi własność tegoż dziedzica gruntową, składającą się z załogi i zasiewów. W żadnem jednak zdarzeniu dziedzic rolnika poniewole zatrzymać nie może, a swej na nim własności zaprzeczonej w sądzie dochodzić jest mocen“.

Wszakże na sformułowaniu tych dwóch pozytywnych wniosków płynących niewątpliwie ze zniesienia poddaństwa: iż włościanin równym się staje przed prawem człowiekiem z resztą obywateli kraju, oraz że wolno mu się przenosić według swej woli z dotychczasowego miejsca zamieszkania, nie mogła się regulacya nowo wytworzonych stosunków włościan kończyć a mianowicie należało jeszcze odpowiedzieć na pytanie: 1) jakie są nadal powinności włościan względem dziedziców; 2) czyj jest grunt, na którym dotychczas włościanin siedział?

Obie te kwestye nasuwały z prawnego punktu widzenia cały szereg wątpliwości, niemal nie do rozwiązania.

Powinności pańszczyźniane i czynsze uiszczane dzieciom przez włościan miały pierwotne swe źródło w umowie osadniczej. Lecz odkąd utrwaliło się całkowicie poddaństwo włościan, wynikały one wprost ze stosunku poddaństwa. Dziedzic miał prawo dowolnie je podwyższać lub zmieniać, pańszczyznę n. p. pieszą zamieniając na ciągłą, czynsze na pańszczyznę i t. d. Nienaruszalności bowiem umów pierwotnych żadne prawo włościaninowi nie zapewniało. Wprawdzie „na królewszczyznach nie wolno było w zasadzie ani dzierżawcy, ani posiadaczowi ich większych po nad wykazane w lustracyach i inwentarzach powinności od włościan wymagać. Lecz w rzeczywistości działa się przez cały niemal XVII i XVIII wiek inaczej, wobec braku jakiegokolwiek instancyi“ do którejby się włościanie z zażaleniem udawać mogli. Dopiero za Stanisława Augusta widzimy w sądach asesorskich i referendarskich „patrona ludzi ubogich“, obowiązane utrzymywać w sądach tych skargi włościan królewszczyzn. Wszakże i w owym czasie jeszcze posiadacz królewszczyzn nie krępował się nadmier-

nie w zmianach powinności, jakie narzucał włościanom. Byłe tylko ogólnej sumy tych powinności zbyt widocznie nie podnosił. Tak więc n. p. w starostwie Latowickiem, w posiadaniu Czartoryskiego będącem, odrabiali włościanie w 1772 r. 204 $\frac{1}{2}$ dnia tygodniowo pańszczyzny ciągłej, 38 dni pieszej oraz płacili 3759 złp. 13 $\frac{1}{2}$ gr. rocznie czynszu. W 1790 r. robią oni sprzężajem 302 $\frac{2}{3}$ dni i 64 $\frac{1}{6}$ dnia pieszo pańszczyzny na tydzień oraz płacą 2169 złp. 13 groszy. Czynsze zostały tu w znacznym stopniu zamienione na pańszczyznę, a mianowicie 1590 złp. czynszu na 5096 dni pańszczyzny ciągłej i 1352 dni pańszczyzny pieszej, czyli, redukując wszystko na pieszą robocizną, 11.544 dni pieszych¹⁾. Jak świetnym interesem dla dominium, a jak uciążliwą dla włościan była ta zamiana, wedle której folwarki starostwa Latowickiego zyskały 6 tysięcy przeszło dni robocizny po 4 grosze za dzień pieszy, a 8 groszy za dzień ciągły nie trudno chyba sobie wyobrazić. Tylko w warunkach poddaństwa włościan mogła ona być im narzuconą. W dobrach dziedzicznych rzeczy te odbywały się o wiele prościej. W dobrach Konińskowolskich, własności Czartoryskiego, włościanie wsi Stara Wieś odrabiali z $\frac{1}{2}$ lanu w 1772 r. po 1 dniu sprzężajem lub pieszo bez różnicy. W 1774 r. piesza pańszczyzna została podniesioną na 1 $\frac{1}{2}$ dnia, a w 1786 r. robili włościanie po 2 dni ciągle lub 4 piesze. Równocześnie zostały podniesione i czynsze. W 1772 r. uiszczali włościanie po 6 złp. 21 gr. z $\frac{1}{2}$ lanu (przeciętny rozmiar osady). W 1778 r. płacą oni po 9 złp. We wsi Skowierzyn odrabiali oni również w 1778 r. po 1 dniu sprzężajnym lub pieszym z $\frac{1}{2}$ lanu, w 1774 zaś po 1 $\frac{1}{2}$ dnia sprzężajem lub pieszo, a w 1786 piesza robocizna podniesioną została na 3 dni. I to samo powtarza się we wszystkich innych wsiach dóbr Konińskowolskich. W inwentarzu dóbr Międzyrzeckich z 1771 r. spotykamy wymowną notatkę, że do 1768 r. włościanie odrabiali 8 dni sprzężajnych lub pieszych z lanu, w rzeczonym wszakże roku pańszczyzna została podniesioną na 16 dni ciągłych lub pieszych z lanu²⁾.

¹⁾ Rękopisy Muzeum XX. Czartoryskich Nr. 4010 — 4050.

²⁾ Tamże.

Te powinności, które na włościanach w chwili ogłoszenia konstytucyi 1807 r. ciążyły, były zatem niewątpliwie wynikiem poprzedniego poddaństwa włościan, zostały im przez dziedziców z góry narzucone mocą władzy jaką pan nad swymi poddanymi posiadał.

Z ustaniem więc poddaństwa ustawał tem samem i prawny dla dziedziców tytuł do żądania od włościan dotychczas odbywanych przez nich powinności.

Należało więc je na nowo określić i na nowych oprzeć podstawach. Lecz na jakich?

Konstytucya 3 Maja orzekała: „Lud rolniczy... pod opieką prawa i rządu krajowego przyjmujemy, stanowiąc: iż odtąd jakiebykolwiek swobody, nadania, lub umowy dziedzice z włościanami dóbr swoich autentycznie ułożyli, czyli by te swobody, nadania, i umowy były z gromadami, czyli też z każdym osobno wsi mieszkańcem zrobione, będą stanowić wspólny i wzajemny obowiązek, podług rzetelnego znaczenia warunków i opisu zawartego w takowych nadaniach i umowach, pod opieką rządu krajowego podpadający. Układy takowe i wynikające z nich obowiązki przez jednego właściciela gruntu dobrowolnie przyjęte, nietylko jego samego, ale i następców jego, lub prawa nabywców tak wiązać będą, iż ich nigdy samowolnie odmieniać nie będą mocni. Nawzajem włościanie jakiej bądź majątności od dobrowolnych umów, przyjętych nadań i z niemi złączonych powinności usuwać inaczej się nie będą mogli, tylko w takim sposobie i z takimi warunkami, jak w opisach tychże umów postanowione mieli, które czy na wieczność: czyli do czasu przyjęte, ściśle ich obowiązywać będą. — Zawarowawszy tym sposobem dziedziców przy wszelkich pożytkach od włościan im należących, a chcąc jaknajskuteczniej zachęcić pomnożenie ludności krajowej, ogłaszamy wolność zupełną dla wszystkich ludzi tak nowo przybywających jako i tych, którzyby pierwsi z kraju oddaliwszy się, teraz do ojczyzny powrócić chcieli...”

Konstytucya 3 Maja zapewnia więc zarazem dziedzicom należne im od włościan pożytki jak i włościanom opiekę prawną „stanowiąc nienaruszalność „autentycznych“ umów przez dziedziców „nadanych“, a przez włościan „przyję-

tych". Gdy wszakże umów tych jeszcze nie było, gdy przy tem włościanie pozostający nadal w poddaństwie nie mogli „przyjmować“ lub nie przyjmować umów, lecz jedynie otrzymywać od dziedziców „wolności“ czy „urządzenia“, zatem nie sposób powyższej deklaracyi sejmu inaczej rozumieć, jak tylko jako zapowiedź przyszłej reformy, wyłuszczającą naczelne zasady, na których reforma ta opartą zostanie. Tak zrozumiany paragraf 4 konstytucyi 1791 r. głosi, iż włościanie zostaną wzięci pod opiekę prawa, poddaństwo będzie zniesionem, lub przynajmniej ograniczonem na tyle, by mogli oni zawierać z dziedzicami „umowy autentyczne“ co do powinności odbywanych z posiadanych gruntów, poczem stosunek ich do dziedziców umowami temi, nienaruszalność których prawo zapewnia, będzie oznaczony.

Podobna interpretacya konstytucyi 3 Maja dałaby prawną podstawę do orzeczenia, że po zniesieniu poddaństwa w 1807 r. dalszy stosunek włościan do dziedziców może się oprzeć jedynie na umowach, które powinny być teraz najrychlej zawarte między obu powyższemi stronami.

Lecz nie mniej poważne względy przemawiały i na rzecz poglądu, że oznaczenie powinności nie należy do poszczególnych dziedziców i ich włościan, lecz do władz rządowych, że nie jest ono kwestyą prawa prywatnego, lecz publicznego. Powinności te bowiem, będąc wynikiem poprzedniego społeczno-politycznego ustroju narodu, a nie dobrowolnych umów między prywatnemi stronami, wraz ze zmianą powyższego ustroju muszą ulegz też odpowiedniej zmianie, do określenia której są powołane jedynie też same władze państwowe, które reformy całego ustroju społecznego dokonały. Z tego to stanowiska wychodząc, zmniejszył Kościuszko uniwersałem Połanieckim pańszczyzny o 2 dni tygodniowo. A i rząd pruski, pod panowaniem którego ziemie Księstwa Warszawskiego przez ostatnich lat 12 się znajdowały, przyznawał sobie niezmiennie prawo ustawodawczej reglamentacyi gospodarczego stosunku włościan do dziedziców.

Gdy zaś obydwie te poglądy w równej mierze uprawnione, czy też nie uprawnione były, zatem równorzędne z niemi przysługiwało miejsce i trzeciemu pogładowi, negującemu dwa pierwsze, a głoszącemu konieczność rozwiąza-

nia tej gospodarczej spółki, która łączyła dotychczas dziedzica, pobierającego pańszczyzny i czynsze z gruntów włościańskich, z włościanami, grunta te posiadającymi.

Jedynym ku temu sposobem było oczywiście uwłaszczenie, względnie wykupienie czy to przez rząd, czy też pod kontrolą i kierownictwem rządu przez samych włościan, powinności na gruntach włościańskich ciężących.

Mniej wyraźnie zarysowała się kwestya, czyim ma być nadal grunt włościański w razie przyjęcia poglądu kameeralistycznego. Pozostawało bowiem do rozstrzygnięcia pytanie: czy dziedzic, który ma do gruntu włościańskiego, choć ten dziedziczną rolnika posiadłość stanowi, również pewne prawa, mianowicie pobierania przywiązanych doń powinności, w razie opuszczenia gruntu przez dotychczasowego posiadacza, może go dowolnie komu innemu w używanie oddać, względnie do folwarku przyłączyć; czy włościanin może grunt ten dzielić między swe dzieci; czy może on go sprzedać lub odstąpić innemu włościaninowi według swej woli i t. d. I na niektóre z tych pytań nie sposób niemal byłoby znaleźć odpowiedzi. Bo jeśli włościanin miał być istotnie wolnym człowiekiem, to nie sposób było mu zakazywać opuszczania swego gruntu bez postawienia na swe miejsce innego gospodarza. A w takim znów razie dziedzic musiałby stać się bezwzględny właścicielem opuszczonego gruntu, co by się z uznaniem gruntu włościańskiego za dziedziczną rolnika posiadłość nie zgadzało. Również, jeśliby zgoda dziedzica była niezbędną dla odstąpienia gruntu przez włościanina innemu rolnikowi, swoboda przenoszenia się włościan z miejsca na miejsce stałaby się iluzoryczną. Z drugiej strony wszakże nie sposób byłoby odmówić dziedzicowi wszelkiej nad tem kontroli, kto na gruncie, do pewnych pożytków z którego ma on prawo, osiadzie. Przyznawszy zaś mu prawo veto przeciwko osiadaniu nowych gospodarzy na gruntach włościańskich, dałoby się dziedzicowi sposobność aż nadto łatwą włączania gruntów włościańskich do folwarku przez uniemożliwienie objęcia ich nowym possessorom po ustąpieniu dawnych.

Sprawa ta zaś jeszcze zawilszą się stawała, gdy się na nią patrzyło z punktu widzenia teoryi, iż powinności

włościan dobrowolną ich z dziedzicami umową oznaczone na przyszłość być winny.

Umowa bowiem nie mogła być dobrowolną zarówno, jeśli grunt włościański był własnością wyłączną dziedzica, gdyż w takim razie mógł on jednostronnie swe warunki włościanom narzucić pod grozą wydalenia ich ze wsi, jako też jeśli grunt włościański dziedziczną posiadłość rolników stanowił; w tym bowiem ostatnim razie musiałby dziedzic zgodzić się poprostu na podyktowane mu przez włościan żądania, którym by odnowić nie mógł, nie mając możności pozbawienia ich w jakikolwiek bądź sposób w razie nie dojścia umowy do skutku korzyści płynących z posiadania odnośnych gruntów.

Tak więc ściśle we wszystkich swych konsekwencyach możliwem było do przeprowadzenia tylko jedno z dwojga, albo uwłaszczyć, albo wywłaszczyć włościan. Uwłaszczenie byłoby zaprzeczeniem możliwości oparcia gospodarczego stosunku włościan do dziedziców na jakiegokolwiek wystarczającej legalnej podstawie, wyrzeczeniem się prawniczego rozstrzygnięcia tej kwestyi, która wobec tego wprost usuniętą być winna przez prostą likwidacyę tej spółki gospodarczej, jaka dotychczas łączyła dziedzica z włościanami. Wywłaszczenie zaś byłoby odebraniem włościaninowi wszelkich praw nabytych do gruntu, od wielu pokoleń przezeń uprawianego, i którego dziedziczne posiadanie gwarantowały mu prawa pruskie, oraz zapewniła mu była konstytucya 3 Maja, byłoby więc bezprawiem.

Decyzya w tym czy innym kierunku nie mogła zatem żadną miarą z prawnej analizy płynąć. Jedyne możliwem tu kryterium był wzgląd społecznej racjonalności. A o tej orzekały fakty ekonomiczne.

Zanim więc przejdziemy do rozpatrzenia i oceny stanowiska, jakie w kwestyi powyższej zajął rząd Księstwa, musimy nasamprzód zdać sobie sprawę z tego, jakim było faktyczne położenie ówczesnego włościanina polskiego, i to zdać sobie zeń sprawę o wiele szczegółowiej, niż wtedy, gdyśmy próbowali ocenić znaczenie projektów reformy włościańskiej doby przedrozbiorowej. Bo teraz mamy do czynienia nie z hasłami, nie z prądami i kierunkami publicz-

styki, lub dążeniami stronnictw sejmowych, lecz z pozytywnem ustawodawstwem społecznem państwa, które wprost zmuszone zostało swą ustawą konstytucyjną do definitywnego jakiegoś uregulowania sprawy włościańskiej.

Spółeczna i ekonomiczna sytuacja włościanina polskiego różniła się dość znacznie wedle tego, czy należał on do dóbr dziedzicznych, czy też do dóbr duchownych lub królewskich. Nie mówiąc już o różnicy w prawnej jego sytuacji, miał on na królewskich i księżych więcej zazwyczaj gruntu i odbywał mniejsze powinności. A i na dobrach dziedzicznych nadziały gruntowe i powinności do nich przywiązane różniły się znacznie w różnych okolicach kraju. Przytem na ogół lepszem było położenie włościan na wielko-pańskich majątkach dziedzicznych niż na średnich i drobnych szlacheckich.

Mimo tych różnic musimy postarać się o określenie nasamprzód ogólnej sytuacji społeczno-gospodarczej włościan naszych, o odpowiedź na pytanie: jakim było stanowisko ludności włościańskiej w całokształcie ekonomicznego organizmu narodu, by dopiero później przejść do skreślenia różnic w położeniu każdej poszczególnej kategorii włościan. Oczywiście bowiem różnice zarówno w wielkości udziałów jak i w rozmiarze czy też charakterze powinności odmienne będą miały znaczenie wedle tego, jaką była zasadnicza rola włościan w społeczno-gospodarczem życiu narodu.

Olbrzymia większość włościan polskich odrabiała z gruntów swych pańszczyznę. Ilość płacących tylko czynsze była zgoła znikomą.

Z tem łączy się zaś fakt, iż cały obszar uprawnych gruntów Polski zarówno folwarcznych jak i włościańskich był całkowicie niemal ręką pańszczyźnianego chłopu uprawianym. Wyjątek stanowi tylko nieznaczna część gruntów włościańskich, trzymany za czynsze. Co się zaś tyczy gruntów folwarcznych, to przed 1807 r. pracował na nich niemal wyłącznie robotnik pańszczyźniany. Gospodarka pańszczyźniana była u nas w owym czasie prawie nieznaną.

Tak n. p. w rachunkach za rok 1811/12 postępowego gospodarstwa dóbr starostwa Wiślickiego, składających się z sześciu folwarków, znajdujemy wyliczonych służby folwarcznej: 6 dyspozytorów, 3 karbowych, 5 fernali, 6 pastuchów, 10 wołowców, 6 dziewczek, 3 pacholków. Na folwark przypada więc po 1 dziewczę, po 1 pacholku i wołowcu, względnie 2 wołowców, po 1 fernalu, oraz po 1 włodarzu, czy dyspozytorze ¹⁾. Oczywiście że tak nieznaczna siła robocza w rachubę nawet brana być nie może. I ta tak mała ilość stałej służby folwarcznej była ogólną podówczas w Polsce regułą. Według Holschego (*Geographie und Statistik von West, Süd und Neu Ost-Preussen*) w Płockiem zupełnie nie mają folwarki własnych sprzężai. Lepiej miało być pod tym względem w Kaliskiem. Otóż według sporządzonego dla ministerium spraw wewnętrznych w 1811 r. przez prefekta Garczyńskiego „Wykazu statystycznego departamentu Kaliskiego“ ²⁾ w departamencie tym było wsi oprócz kolonij, t. j. wsi odbywających jakieś powinności do folwarków, 2434. Liczba folwarków oczywiście była mniejszą, nieraz bowiem do jednego folwarku przynależnych było 2 i więcej wsi. Minimum jednak możemy ich liczyć na półtora tysiąca. Służby na nich zatrudnionej było: ekonomów 1194, włodarzy 1353, fernali 1632, gajowych 976, gorzelnianych 950, ogrodników 218, owczarzy 1055, skotarzy i pastuchów 1417.

Wprawdzie donajmowały folwarki również podówczas robotnika do robót polnych. We wspomnianych już rachunkach starostwa Wiślickiego figuruje pozycja 4564 złp. „na przynajęcie robotnika do gruntowych robót“. Wszelako mamy tu do czynienia z wyjątkowo nakładowem gospodarstwem. A przecież jest to nieznaczna bardzo suma gdy uwzględnimy że w dobrach tych pod uprawą było przeszło 1800 morgów (bez ugoru), że więc na morgę uprawionego gruntu przypadało donajętych $2\frac{1}{2}$ dnia pieszej robocizny rocznie, gdy tymczasem w folwarku Tulitowskim należącym do dóbr Międzyrzeckich wypada w 1786 r. na morgę obsianego gruntu 21 dni pieszej pańszczyzny rocznie, w folwarku

¹⁾ Rękop. Muzeum XX. Czartoryskich 3781.

²⁾ Rękopisy biblioteki Akademii Umiejętności.

Żabieckim 46 dni i t. d. ¹⁾). Przeciętnie zaś donajem robotnika polnego na folwarkach około 1807 r. raczej był mniejszym jeszcze niż w dobrach Wiślickich. Wskazuje na to wyraźnie liczba komorników, którzy głównego kontyngensu podziennego robotnika folwarkom dostarczali. W departamencie kaliskim było ich wedle obliczenia Garczyńskiego w 1811 r. — 9353, t. j. 6 na folwark.

Podług zaś opublikowanych przez Władysława Grabskiego (Historja Towarzystwa rolniczego 1904) wykazów statystycznych dla Księstwa Warszawskiego z 1810 r., było w roku tym w departamencie:

	rodzin włościan rolnych	rodzin komorników i ogrodników
Warszawskim	42,022	13,644
Kaliskim	41,048	9,414
Krakowskim	52,501	13,121
Radomskim	39,977	11,706
Lubelskim	65,043	8,787
Płockim	29,600	7,354
Bydgoskim	33,648	3,636
	301,839	70,662 (18%)

Gdy jednak komornicy nietylko na folwarkach pracowali, lecz i u zamożniejszych w ziemię włościan i różnemi nie rolniczemi zarobkami w znacznym stopniu się trudnili, najwyżej zatem dziesiąta część robót polnych na folwarkach mogła być około 1810/11 r. w Polsce robotnikiem najemnym wykonywana. A dla czasu przed 1807 r. należałoby cyfrę tę jeszcze znacznie zredukować. Inwentarze dóbr Czarternickich, jednych z najlepiej zagospodarowanych w Polsce przedrozbiorowej, nie wykazują w latach 1771—1790 niemal wcale komorników. W większości wsi nie było ich zgoła. Przeważna ilość tych komorników, których w 1810 i 1811 roku widzimy, powstała najprawdopodobniej już po 1807 r. wskutek silnego ruchu migracyjnego włościan, opuszczających licznie po uzyskaniu wolności osady, do których byli poprzednio przywiązani.

¹⁾ M. XX. Cz. 4010 — 4050.

Przyjmując jednak dla 1807 roku niewątpliwie zbyt wygórowaną cyfrę 10% najemnych robotników rolnych będziemy musieli przecież jednak przyjąć w ostatecznym obrachunku ten wniosek, że, wyjąwszy czynszowe role włościańskie, ogół uprawnej roli w Polsce, tak folwarcznej jak włościańskiej, przez włościan pańszczyźnianych był uprawianym. Prócz pańszczyzny bowiem ciąglej i pieszej płacił jeszcze włościanin dziedzicowi czynsze, dawał osep w zbożu, jaja, drób i t. d. w daninie. Daniny te zaś i czynsze wynosiły co najmniej 10% wartości odrabianej pańszczyzny, tak, iż suto pokrywały one koszt donajmu robotnika rolnego, jeśli nawet liczyć będziemy pieszy dzień roboczy po 1 złp. Oto parę przykładów zaczerpniętych z inwentarzy dóbr Konińskowolskich za rok 1790:

wieś	10% zredukowanej na dnie piesze pań- szczyzny	czynsz pieniężny
Osiny	1248 dni rocznie	847 złp.
Wola Osińska	312 " "	440 "
Wlastowice	624 " "	605 "
Puławy	208 " "	552 "
Parchatka	312 " "	142 "
Wolka Professecka	208 " "	149 "
Wronów	208 " "	475 "

Gdy tak jest jednak, gdy włościanie wzamian za posiadane przez się grunta wszystkie prace na polach folwarcznych wypełniali, czy to bezpośrednio, czy też płacąc na najem potrzebnego robotnika, zatem o ich społeczno-gospodarczej sytuacji musi w pierwszym rzędzie decydować stosunek rozmiaru ich gruntów do obszaru uprawnych gruntów folwarcznych.

W I-szym tomie niniejszego studyum obliczyliśmy stosunek ten, analizując cyfry Czackiego, dotyczące czystej intryaty gruntowej w Polsce, jak 100 : 100.

Wniosek ten potwierdzają inwentarze i rachunki dóbr Czarторыskich. Tak np. w dobrach Międzyrzeczekich 1790 r.:

folwark	miał morg. gruntu uprawnego w polu			Razem	odrabiały doń pań- szczyzną wstę	o obszarze	razem
	ozimem	ugorze	jarem				
Tułowicki	156 1/2	182	257	595 1/2	{ Tułow Sawki	390 m. 300 "	690 m.
Zabiecki	204	185	200	589	{ Żabce Trusćcie	170 " 540 "	710 "
Krzewicki	212	168	234	614	Krzewica	—	1110 "
Krzymoszycki	63 1/2	72	68	203 1/2	Krzymoszyce	—	97 1/2 "
Halasowski	259	299	249	807	Manie	—	480 "
Doszajski	320	316	234	870	Lukawska	—	1350 "
Przyłucki	194 1/2	154 1/2	178 1/2	527 1/2	{ Zasiadki Koszełki	480 " 480 "	960 "
Rogóżnicki	293	402	397	1092	{ Rogóżnica Puchacze Datka	967 1/2 m. 150 m. 660 "	1777 1/2 "

Że zaś przykłady te są typowymi, przekonywuje nas o tem sporządzona w 1811 r. statystyka wysiewów folwarcznych i gromadzkich ¹⁾).

departament	pszenica i żyto		jęczmień, owies, groch i tatarka		kartofle	
	folwarki	gromady	folwarki	gromady	folwarki	gromady
Kaliski	60.217	77.604	63.685	83.129	9.457	26.836
Bydgoski	74.818	79.555	67.793	72.613	10.091	42.117
Lubelski	62.342	103.920	73.668	147.646	1.929	13.582
Łomżyński	31.340	100.896	31.284	121.183	6.516	51.432
Siedlecki	50.777	117.680	41.136	107.505	4.842	31.355
Radomski	59.195	83.020	64.792	103.048	5.710	32.154
Warszawski	77.173	86.368	78.725	83.824	10.500	40.480
Krakowski	73.354	75.130	86.467	102.739	11.411	41.407
Poznański	83.785	106.660	75.111	81.482	11.064	32.309
Płocki	70.956	64.332	72.761	63.828	16.431	43.394
w całem Księstwie	634.057	801.565	655.422	966.997	89.151	355.076

Wysiew w polach oziminy był więc na gruntach włościańskich większy niż na folwarcznych o 28%, w polach jarych — o 47%; kartofli zaś sadzili włościanie czterokrotnie więcej niż folwarki.

By ocenić wszakże istotne cyfr tych znaczenie musimy wziąć fakt ten w rachubę, że na ogół włościanie siali w końcu XVIII i początku XIX wieku znacznie gęściej niż folwarki. Bodaj nawet różnica odnośna była podówczas większa, niż ją dziś obserwujemy.

W dobrach Konińskowolskich i Międzyrzeczkich wedle rachunków z 1790 r. wysiewano oziminy przeważnie po 24 garncy

¹⁾ Władysław Grabski: *Historja Towarzystwa rolniczego* t. I, str. 550 i 551.

na morgę. Wysiew korca na morgę był wyjątkowym; zdarzał się tylko na najbliższych folwarku polach. Natomiast niezadkim był wysiew i 20, a nawet 16 garncy.

Włościanie zaś siali przeciętnie po korcu żyta na morgę, czasami nawet gęściej. Ale bo też na ogół gospodarka włościańska była znacznie intensywniejszą od folwarcznej.

Folwarki nie miały w końcu XVIII wieku zgoła prawie własnego inwentarza. W dobrach Czartoryskich nie znajdujemy w owym czasie wcale obór czy stajen na folwarkach. Dom mieszkalny, spichlerz, karczma, a niekiedy do tego i gorzelnia -- to jedyne bundynki folwarczne. Oczywiście, że wobec tego folwarki nie posiadały również wcale gnoju i musiały całkowicie bez nawozu grunta swe uprawiać.

W czasach pruskich upowszechnia się wprawdzie nieco chów owiec na folwarkach. W pierwszym wszakże dziesięcioleciu XIX wieku ilość owiec trzymanych na folwarkach jest jeszcze bardzo nieznaczna. W departamencie Lubelskim liczono w 1812 r. 148.425 owiec. Z tego przynajmniej $\frac{2}{3}$ należało do włościan. Jeszcze bowiem w 1790 roku znajdujemy w dobrach Konińskowolskich, w tymże departamencie położonych, na 673 gospodarzy 698 owiec. Gdy zaś w 1810 było w departamencie 73 tysiące gospodarzy, minimum więc tyleż było owiec włościańskich. Prawdopodobnie nawet cała ilość owiec „prostych“ t. j. przeszło 100 tysięcy stanowiła własność włościan. W ten sposób na folwarki wypadłoby 50 do 70 tysięcy owiec, czyli 40 do 60 owiec na jeden folwark. Oczywiście, że tak znikoma ilość ich nie mogła żadnego poważniejszego na lepszą uprawę gruntów wywrzeć wpływu.

Śmiało więc twierdzić można, że folwarki około 1810 r. prawie że nie nawoziły wcale swych gruntów. Jak dalece jest to prawdą, stwierdza choćby wypracowany w 1814 r. przez rady powiatowe Łęczycką i Zgierską kosztorys wzorowego gospodarstwa parobczańskiego, który przyjmuje nawożenie co lat 9 jako polecenia godną regułę. W tych warunkach nie mogły folwarki liczyć więcej nad 3 korce żyta z morgi w dobrym roku. Mając zaś tak słaby plon, starały się one przynajmniej jak najmniej odciągać zeń na ziarno do siewu.

Natomiast włościanie posiadali dość znaczną ilość inwentarza. We wspomnianych już parokrotnie dobrach Konińskowolskich było w 1790 r. 108 koni, 1192 wołów, 1680 krów, 920 świń, 698 owiec włościańskich, czyli na gospodarstwo przeważnie piętnasto morgowe po parze sprzężaju, po 2 do 3 krów, po 1 do 2 świń i po 1 owcy. Co prawda inwentarz ten pasł się przeważnie na ugorach i nieużytkach folwarcznych, a przytem włościanin nie umiał się z mierzwą obchodzić. W każdym razie jednak był on w stanie co roku przynajmniej połowę swego ugoru nawieść. Mogąc zaś rachować dzięki temu na większą wydajność roli, siał on też gęściej, najmniej korzec na morgę.

Uwzględniwszy tę różnicę w gęstości siewu włościan a folwarków, około 25% wynoszącą, możemy z faktu większych wysiewów gromadzkich oziminy o 28%, jarzyny o 47% wnosić, iż obszar włościańskich pól ozimych był co najwyżej o 3%, jarych o 22%, t. j. ogółu roli włościańskiej o 8% większym niż na folwarkach.

Czterokrotnie zaś większa uprawa kartofli przez włościan niż przez folwarki stąd pochodzi, że włościanie sadzili ziemniaki w ugorze, czego folwarki, nie nawożące ugorów czynić nie mogły.

W ostatecznym więc rezultacie wypadnie nam przyjąć, że obszar włościańskich gruntów był o 8% mniej więcej większym od obszaru uprawnej roli folwarcznej. Odliczywszy zaś tę małą nadwyżkę na rachunek włościańskich ról czynszowych, dochodzimy do wniosku, że włościanie pańszczyźniani w zamian za posiadane przez się grunta drugie tyle roli folwarkom uprawiali, względnie że plonem pracy swej na uprawianych przez się zarówno folwarcznych jak własnych gruntach dzielili się po połowie z dziedzicami.

Ze względu na stosunek ról włościańskich do folwarcznych przedstawia się ekonomiczna sytuacja włościan polskich z początku XIX wieku jako połowiczników (*métayers*), jakich dziś jeszcze w południowej Francyi i we Włoszech w znacznej ilości spotykamy.

Jest to sytuacja pośrednia między położeniem dzierżawcy a robotnika. Połowicznik bowiem otrzymuje większy udział w plonach swej pracy niż zwykły robotnik rolny, lecz

znacznie mniejszy od dzierżawcy, który w zasadzie winien właścicielowi ziemi oddawać w czynszu dzierżawnym samą tylko rentę gruntową, nigdy połowy dochodu brutto nie sięgającą; w takim razie bowiem żadnegoby dzierżawca nie miał zysku poza zwrotem kosztów produkcji.

W tych ogólnych ramach wszakże stanowisko polowicznika gruntownie zmieniać się będzie zależnie od ilości posiadanej ziemi i stopnia zależności gospodarczej od właściciela, zbliżając się nader blisko raz do położenia robotnika, drugi raz dzierżawcy.

Jakżeż pod obu temi względami przedstawiało się położenie włościan polskich w dobie zniesienia poddaństwa w Księstwie Warszawskim?

Co się nasamprzód stopnia ich samodzielności gospodarczej dotyczy, to na polach folwarcznych byli oni poprostu tylko robotnikami, pracującymi wedle rozkazów pańskich, żadnego udziału ani w zyskach ani w stratach gospodarstw folwarcznych nie mającymi i nie zainteresowanymi też zgoła w większej wydajności pól tych. Samodzielnym gospodarzem był włościanin tylko na swem własnem polu.

Jeśli więc zechcemy odpowiedzieć na pytanie, o ile sytuacja jego gospodarza do stanowiska dzierżawcy się zbliżała, to odpowiedź tę możemy uzyskać jedynie przez porównanie wartości oddawanych dziedzicowi powinności z dochodem posiadanego przezeń gruntu.

Wedle powyżej powiedzianego, włościanin pańszczyźniany z posiadanego przez się gruntu oddawał dziedzicowi w pracy i czynszu tyle, by folwark mógł, nie ponosząc żadnych ze swej strony kosztów produkcji, uprawiać równą włościańskim gruntom ilość roli. Inaczej mówiąc, oddawał on dziedzicowi całkowitą wartość kosztów produkcji swego gospodarstwa. Tak wynika z dotychczasowych naszych obliczeń.

Tymczasem w odpowiedziach zarówno rad powiatowych jak i prywatnych osób na ankietę w kwestyi włościańskiej, urządzoną 1814 r. przez rząd Księstwa Warszawskiego, najczęściej spotykamy się z twierdzeniem, że włościanin winien jest dziedzicowi całkowitą wartość dochodu brutto swego gospodarstwa. Tak więc n. p. złączone Rady powiatowe Łęczycka i Zgierska wyrachowawszy wartość krescencyi 15-to

morgowego gospodarstwa włościańskiego na 362 zlp. 15 gr. uważa za stosowne, by włościanin oddawał zeń:

156 dni ciągłych, które rachowane po $1\frac{1}{2}$ zlp. = 134 zlp.

52 „ pieszych „ „ „ 1 „ = 52 „

8 „ „ w żniwa „ „ 1 „ = 8 „

2 kapłony które „ „ 1 „ = 2 „

2 mędle jaj „ „ „ $1\frac{1}{2}$ „ = 1 „

wyprządzenie 12 łokci przędzy = 2 „ 12 gr.

składka na stróża dworskiego = 8 „

307 zlp. 12 gr.

pozostające zaś 55 zlp. 3 gr. gotowe są Rady rzeczzone darować włościanom „na porządek i drzewo“, byle w zamian starannie swe budynki utrzymywali.

A jeśli w której z tych odpowiedzi znajdziemy wyrażone żądanie, by przy wyrachowaniu powinności włościańskich odliczać od przychodu gospodarstwa chłopskiego kosztu produkcji i wartość pracy włościanina — to znaczy, że odnośny ekspert uznaje istniejące powinności za zbyt wysokie i domaga się ograniczenia ich, jak n. p. Miączyński, radca departamentu kaliskiego, który żąda na tej zasadzie dla włościanina robiącego 2 dni ciągle w tydzień 21 morgów roli ¹⁾.

Jakżeż pogodzić to powszechne u szlachty przeświadczenie, że jej się od włościan należą powinności, równe wartością swą całkowitemu dochodowi brutto gospodarstwa chłopskiego, z faktem, że folwarki uprawiały nie więcej roli niż mieli w sumie pańszczyznę robiący włościanie. Boć wyraźna między obu tymi faktami zachodzi sprzeczność. Koszt produkcji nie jest przecież równy wartości plonu.

Wprawdzie niepokojące nas zapatrywanie dziedziców na stosunek powinności włościańskich do przychodu ich gospodarstw konstatujemy w 1814 r., gdy wyliczony przez nas powyżej stosunek obszaru gruntów chłopskich do uprawnych ról folwarcznych odnosi się do wcześniejszej epoki, między 1790 a 1810 rokiem.

Zbyt to niewielka jednak różnica czasu, by na jej karb można było złożyć jakieś znaczniejsze w społeczno-gospodarczem położeniu włościan różnice.

¹⁾ Rękop. Muzeum XX. Czartoryskich 5011.

Lecz nasamprzód musimy tu zanotować fakt, że od 1780 mniej więcej roku zwiększał się u nas stale rozmiar uprawnych pól folwarcznych czy to przyłączania do folwarków opuszczonych przez włościan gruntów, t. zw. pustek, czy też przez zamienianie nieużytków na pola orne. Charakterystyczne przykłady tego zjawiska dają nam dobra Końskowskie.

Nazwa wsi	rok	obszar wsi w łanach	było w tem łanów pustych wypuszczonych w czynsz gospodarzom
Stara wieś	1778 1790	$27\frac{3}{4}$ $17\frac{1}{3}$	$7\frac{1}{2}$ 0
Witowice	1778 1790	38 $27\frac{1}{6}$	$14\frac{1}{4}$ 0
Opoka	1778 1790	$10\frac{1}{2}$ 8	$2\frac{3}{4}$ 0
Rudy	1778 1790	$16\frac{1}{2}$ 16	$\frac{1}{2}$ 0
Osiny	1778 1789	$46\frac{1}{2}$ 41	$6\frac{1}{2}$ 0
Wola Osińska	1778 1790	$26\frac{1}{4}$ $14\frac{1}{2}$	$13\frac{1}{4}$ 0
Włastowice	1778 1790	31 27	3 0
Wólka Professecka	1778 1790	$12\frac{1}{4}$ 9	0 0

Wprawdzie ogólna suma roli włościańskiej w dobrach Końskowskich nie uległa znaczniejszej redukcji, w paru

innych wsiach widzimy bowiem jednoczesny wzrost gruntów wiejskich. W każdym razie jednak fakt, iż pustki, które przed 1780 r. wypuszczane bywały w czynsz gospodarzom, po 1780 r. są wcielone do folwarków, jest wysoce wymowny, szczególnie gdy go zestawimy ze wspomnianym już poprzednio faktem zamiany między 1780 a 1790 r. czynszów na pańszczyznę w starostwie Latowickiem.

Postęp rolniczy, który się począł u nas po pierwszym rozbiore objawiać prowadził do rozszerzania gospodarstw folwarcznych, a przez to zwiększał zapotrzebowanie pracy pańszczyźnianej. I jak wielki był ten wzrost zapotrzebowania, widać choćby z tego, że gdy w 1778 roku płacili włościanie dóbr Końskowolskich w razie nie robienia pańszczyzny z $\frac{1}{2}$ łanu t. j. w zamian za 78 dni sprzężajnych 6 do 8 złp. dodatkowego czynszu, to w 1790 r. opłata ta podnosi się na 110 złp. za 104 dni sprzężajne.

Otóż, gdy w ten sposób właściciel ziemski dążył stale do rozszerzania gospodarczego obszaru swego folwarku, musiał on tem samem cenić sobie nie tylko tę ilość pańszczyzny, która istotnie konieczną była dla obrobienia uprawianych w danej chwili przezeń pól, lecz i wszelką jej nadwyżkę, któraby mu pozwoliła w przyszłości zwiększyć swe przedsiębiorstwo rolnicze. I daje on tej swej rachubie wyraz w owym twierdzeniu, że włościanin winien dziedzicowi odrobić całkowitą wartość krescencyi gruntu, na którym siedzi.

Nie znaczy to wprawdzie, by tak było istotnie.

Wszelkie współczesne na to konto kalkulacye operują pieniężnym szacunkiem pracy włościanina, opierając go na cenie najemnego robotnika. Wiadomo jednak, że cena pracy w większym jeszcze niż innych towarów stopniu zależy od stosunku podaży do popytu. A podaż ta właśnie w owym czasie była minimalna. Bezrolni emigrowali do miast, wielką też ilość ich pochłonęły wojny, wreszcie, korzystając z niedawno nabytej wolności, wielu włączyło się bez stałego zajęcia po kraju. Nie bez słuszności też właściciele ziemscy owego czasu dowodzili szczegółowemi rachunkami, że parobczańskie gospodarstwo niezbędnieby w danych warunkach musiało dawać deficyt.

Jeśli jednak z tego względu w twierdzeniu dziedziców, jakoby im się należał od włościan w pańszczyźnie i czynszu pełny równoważnik dochodu brutto gospodarstw chłopskich, musimy widzieć raczej tylko znamienne dla dążeń ówczesnej gospodarki folwarcznej zjawisko, a nie ściśle istotnego stanu rzeczy określenie, to przecież jednak faktem było, że włościanin oddawał dziedzicowi w pracy, utrzymaniu sprzężaju, którym na dworskich polach pracował, pieńdzu i daninach znacznie więcej, niż wynosił nakład kosztów i pracy we własnem jego gospodarstwie, mimo wyższej tego ostatniego intensywności. A to przedewszystkiem z powodu możliwie wadliwej organizacyi pracy pańszczyźnianej.

Za nielicznymi wyjątkami włościanin w Polsce odrabiał w ciągu całego roku tę samą pańszczyznę tygodniową, a prócz tego parę dni „tłoki“ czyli „gwałtu“ w czasie żniw. Wobec tego zaś musiała być pańszczyzna ta tak obliczoną, by przy pomocy owych 6—8 dni „gwałtu“, które rozłożone na cały czas sprzętów zwiększały normalną forszę roboczą o 50% dana ilość tygodniowej pańszczyzny wystarczyła dla wykonania w odpowiednim czasie najpilniejszych robót, jako to żniw, uprawy jesiennej i wiosennej.

Dokładne znaczenie tego faktu ujawnia następujący rachunek:

Wedle obliczeń rad powiatowych Łęczyckiej i Zgierskiej z 1814¹⁾, gospodarstwo trzywłokowe wymaga 349 dni ciągłej i 369 dni pieszej roboty. Według tychże rad powiatowych włościanin z pół włoki winien odrabiać 2 dni sprzężajem i jeden pieszo w tydzień. Z 3 włok gruntu włościańskiego miałby wedle tego folwark 624 dni sprzężajnej i 312 pieszej pańszczyzny, t. j. o 246 dni sprzężajnych więcej, niż istotnie potrzebował. Wskutek jednak systemu tygodniowej pańszczyzny ilość ta roboty ledwo starczyła na dokonanie potrzebnych na czas robót gospodarczych. Uprawa pod oziminy i siew wymagały bowiem 202 dni sprzężajem i 22 dni pieszych t. j. tygodniowo, rozciągając odnośne roboty aż na 12 tygodni, 17 dni sprzężajem i 2 dni pieszo. Pańszczyzny zaś tygodniowej miał folwark 12 dni sprzężajem

¹⁾ Ręk. Muz. XX. Czart. 5011.

i 6 dni pieszych, zatem o 3 dni sprzężajnych za mało. Tak samo dla sprzętu zboża wedle wyrachowań wzmiankowanych rad powiatowych potrzeba było 134 dni pieszej i 11 ciągłej pracy, t. j. tygodniowo minimum 22 dni piesze i 2 sprzężajne, razem 24 dni, gdy folwark rozporządzał 18 dniami. Dni „tłoki“ pozwalały ten deficyt wyrównać, lecz nie po nad to.

Uwzględniwszy więc nawet, że odnośny memoriał rad powiatowych bierze w rachubę wymagania wzorowej gospodarki, z intensywniejszą ponad zwykłą normę uprawą roli, musimy przyjść do wniosku, że powszechny u nas system pańszczyzny tygodniowej -- najdoskonalszy marnotrawienia pracy ludzkiej system -- zmuszał włościanina do odrabiania przynajmniej 25%⁰/₁₀ większej pańszczyzny rocznej, niżli to było istotnie folwarkom potrzebne.

Zatem jeśli włościanin polski w początku XIX wieku był ze względu na stosunek ilości posiadanego przez się gruntu do obszaru uprawianej przezeń roli folwarcznej powieznikiem, to ze względu na odbywane powinności był on w sytuacji o wiele gorszej.

Wobec etensywnej ówczesnej gospodarki obrobienie włoki ziemi nie przechodziło sił rodziny włościańskiej, wymagało ono bowiem wedle przytoczonych powyżej obrachunków w czasie najpilniejszych robót 6 dni sprzężajem i 1 dnia pieszo tygodniowej pracy. Pracy tej mogła śmiało podolać rodzina z 5 osób złożona, jeśli przyjmujemy, po uwzględnieniu świąt i dni niepogody, 4 dni na tydzień czasu roboczego. Możliwym by to wszakże było tylko przy systemie pracy udziałowej, t. j. gdyby włościanin za morg posiadanej ziemi obowiązany był tyleż dworowi obrobić. Ale system pańszczyzny tygodniowej, wymagając od włościanina półwłókowego dostarczenia każdego tygodnia dla folwarku 3 dni pracy, a nieraz i więcej, zmuszał go do trzymania dodatkowej siły roboczej. Koszt zaś tej dodatkowej siły roboczej, jeśli nią był nawet syn gospodarza, a nie najemny parobek, wynosił, prócz kartofli i grochu, uprawianych w ugorze, 5 korey zboża, parę butów wartości 16 złp., 3 koszule wartości 4 złp., 3 pary spodni wartości 7 złp. 15 gr., oraz na kożuch, sukmanę i t. d., najmniej 4½ złp. Czyni to razem 5 korey zboża i 32 złp., równych 4 korcom żyta, w sumie 9 korey zboża.

Normalnie włościańskie gospodarstwo 15-to morgowe dawać mogło przy dobrym urodzaju: z 5 morgów żyta po 4 korce = 20 korey; odchodzi 5 korey na siew, pozostaje — 15 korey żyta; z 3 morgów jęczmienia po 4½ korca = 13½ korca; odchodzi 3 korce na siew, pozostaje — 10½ korca; z 2 morgów owsa po 4 korce = 8 korey, odchodzi 3 korce na siew, pozostaje — 5 korey. Licząc, że włościanin 15-to morgowy miał przynajmniej 1 konia, któremu w czasie wiosennych i jesiennych robót, żniw i odstawy zboża musiał po garncu owsa dawać, otrzymamy, że w najlepszym razie pozostawało 1½ korca owsa na sprzedaż, czy spaszenie przychowkiem.

Po odrączeniu więc kosztów pańszczyzny, ponoszonych przez włościanina, pozostawało mu dochodu z uprawy swego gruntu wraz z wynagrodzeniem za swą pracę 18 korey zboża, prócz ziemniaków i grochu, które mógł mieć w ugorze, t. j. zaledwie tyle, wiele było potrzeba na utrzymanie jego rodziny.

A gdy zestawimy ten jego dochód z ówczesnem wynagrodzeniem parobkowi, który brał 16 złp. zasług i ubranie wartości 28 złp., co razem równa się cenie 5½ korey żyta, oraz 10 — 12 korey ordynaryi, względnie przysiewku 2 składy żyta, 2 składy jęczmienia, 2 składy jęczmienia i zasiewu 2 składy jęczmieniem, 2 składy owsem¹⁾, dochodzimy niezbędnie do wniosku, że:

włościanin pańszczyźniany, posiadający 15 morgów roli i odrabiający z gruntu tego 2 dni sprzężajem i 1 dzień pieszo, nie był niczem innem jak jeno robotnikiem folwarcznym wynagradzanym mało co lepiej od parobka, z tą tylko różnicą, że odbierał on swą zapłatę w prawie użytkowania z pewnej ilości gruntu na którym gospodarzył. Przy większej więc zapobiegliwości mógł on nieco to swe wynagrodzenie własną swą pracą zwiększyć, lub odwrotnie zmniejszyć je nieogłędnością i lenistwem.

Środkiem ku polepszeniu bytu włościanina służyć mógł mianowicie podówczas chów bydła i świń.

Folwarki, jak to już powiedzieliśmy, nie posiadały na ogół inwentarza, a ilość uprawnej ich roli nie wynosiła i trzeciej części posiadanego przez nie obszaru ziemi. Resztę zaj-

¹⁾ Ręk. M. XX. Czartor. 5011.

mowały lasy, łąki, pastwiska i nieużytki. Cały ten obszar wraz z dworskimi ugorami stał do wyłącznej niemal dyspozycji włościańskim chodowcom. Paszy dla inwentarza chłopskiego był zatem wszędzie nadmiar, tak iż ilość bydła, jaką włościanin chował, nie była zgoła rozmiarem jego posiadłości ograniczoną. Byłe postarał się dość siana zebrać na zimę a potrafił nie sprzedać każdego zaraz cielęcia, mógł on do wcale pokażnej ilości inwentarza dochodzić. Spotykamy też w końcu XVIII i w początku XIX wieku włościan 10 — 15 morgowych, posiadających prócz sprzężaju 6 sztuk bydła. I co przytem nadzwyczaj dla odnośnych stosunków charakterystyczne, często najmniejsi gospodarze, zagrodnicy, a nawet komornicy, najwięcej inwentarza we wsi mają. Nie mogąc bowiem z gruntu swego żyć, tem pilniej oddają się oni chodowli, a mniej odrabiając pańszczyzny i mniej robotom na własnem polu poświęcając czasu, są w stanie większe zapasy paszy na zimę przysposobić.

Włościanin siedzący na 15-tu i mniej morgach mógł ze sprzedaży jałowizny i wołów do stu złp. rocznego mieć przychodu — ale tylko wyjątkowo pracowity. Bo jeśli nie było kłopotu o przekarmienie bydła latem, to, mimo wielkiej obfitości trawy, wobec zupełnego zaniedbania łąk, gdy włościanin kosić musiał siano i po polanach i na moczarach, gdzie nieraz wozem wjechać nie było sposobu, zdobycie znaczniejszej ilości paszy na zimę przedstawiało trudne bardzo do rozwiązania zadanie. I na ogół ciężej było z tem dać sobie rady 10 — 15 morgowemu gospodarzowi, którego sprzężaj wciąż był zajęty na pańskiej czy na własnej jego roli, i który sam też mniej miał od robót polnych wolnego czasu, niż 4 morgowemu zagrodnikowi. To też zazwyczaj gospodarz taki na więcej niż 3 sztuki bydła nie mógł się zdobyć.

Gdy tak więc włościanin, by byt swój poprawić przez zużytkowanie rozległych lecz lichych pastwisk i łąk, przewyciężyć musiał trudności, pokonanie których przy dużej tylko zapobiegliwości było możliwe, — energię jego gospodarczą podkopywał tymczasem stale potężny czynnik demoralizacyi, którego w żadnej wsi nie brakło: karczma z żydowskim jej arendarzem.

Byt włościanina zależał w pewnym stopniu od osobistych jego gospodarczych zalet. Przy jednakowem uposarzeniu w ziemię i równych daninach, mógł się jeden mieć gorzej, drugi lepiej, mogli włościanie jednej wsi dzięki żyznym łąkom i pastwiskom zbierać gotówkę, ubierać się dostatnio, sznury koralu i bursztynów mieć po skrzyniach, a w innej, pozbawionej tak dogodnych warunków, głodem na przednowku przymierać. W ogólnym jednak zarysie ekonomicznej sytuacji włościanina polskiego początku XIX wieku półwłokowa osada obciążona 3 dniami pańszczyzny tygodniowej przedstawia się nam jako linia graniczna, poniżej której był rolnik pańszczyźniany tylko rolnikiem folwarcznym. O ile zaś więcej po nad tę normę miał on gruntu, czy też mniejsze powinności oddawał dziedzicowi, tem bliższy był sytuacji samodzielnego gospodarza.

Czy bowiem odrabiał on z półwłoki 3 dni na tydzień, czy z 20 morgów 4 dni, lub z włoki 6 dni, jednakowo musiał on osobnego trzymać parobka dla roboty na pańskim. Druga zaś para sprzężaju opłacała mu się nawozem. Więc ponosząc ten sam koszt odbywanej pańszczyzny, włościanin siedzący na włoce użytkował z dwukrotnie większej ilości ziemi niż siedzący na pół włoce. Jeśli zarobek tego ostatniego wynosił wedle poprzednich naszych obliczeń po za ziemniakami i grochem, uprawianemi w ugorze, oraz zyskiem z chowu bydła i świń, około 18 korecy zboża, to dochód pierwszego w ziarnie należy podać na 45 korecy zboża. Licząc, że prócz parobka dla pracy na folwarku, musiał gospodarz taki mieć jeszcze drugą dodatkową siłę roboczą dla roboty na własnej roli, pozostawało mu zatem po za kosztami odrabianej pańszczyzny i niezbędnego żony i trojga dzieci oraz pomocnika w swem gospodarstwie utrzymania, do 10 korecy zboża, jako wynagrodzenie za gospodarcze jego zabiegi.

Ten sam skutek, co większy nadział ziemi, miały dla włościanina i lżejsze powinności pańszczyźniane. Gospodarz odrabiający z 15 morgów 2 dni tygodniowo, zamiast trzech, nie potrzebował już parobka; zyskiwał więc na tem około 9-ciu korecy zboża.

Ale oczywista, te korzyści tak znaczne większej ilości gruntu lub mniejszych pańszczyzn ujawnić się wyraźnie mogły dopiero po zniesieniu poddaństwa.

Póki włościanin był przywiązany do ziemi, wieś miała zawsze za mało gruntu w stosunku do swej ludności.

Inwentarze dóbr Końskowolskich podają przy każdej zagrodzie poimienny spis wszystkich jej mieszkańców. Otóż wyjątkowo zdarza się, by na jednej osadzie znajdował się sam tylko gospodarz ze swą rodziną. Zazwyczaj mieszka u niego jeszcze brat żonaty, lub córka zameżna z mężem i dziećmi, często teść z dziećmi podrastającymi, czy stary ojciec lub matka i t. d. Szczególniej większe osady są nielitościwie przeludnione.

Z chwilą jednak zniesienia poddaństwa, cała ta zbyt liczna ludność, korzystając z otrzymanej wolności, opuściła szybko wieś, która jej wyżywić nie mogła.

Jeśli więc chcemy poznać stan ekonomiczny włościańskiego ludu naszego w chwili ogłoszenia dekretu grudniowego 1807 r., zadać sobie musimy w ostatniej instancyi pytanie, jakim był stosunek procentowy osad różnej wielkości, oraz jakimi powinnościami każda ich kategoria była obciążoną.

Wedle Garczyńskiego statystyki departamentu kaliskiego, było

dymów ogrodniczych i chałupniczych	13.761 (24,9%)
„ włośc. do $\frac{1}{2}$ włoki gruntu mających	36.913 (67%)
„ „ od $\frac{1}{2}$ do 1 „ „ „	4.051 (7,9%)
„ „ powyżej 1 „ „ „	312 (0,7%)

Według statystyki ludności Ks. Warszawskiego z 1811 r. opublikowanej przez Władysława Grabskiego było w tymże departamencie:

osób głównych kmieci	2.070
„ „ rolników	2.032
„ „ półrolników	15.607
„ „ zagrodników	10.448
„ „ czynszowników	3.155
„ „ chałupników i ogrodników	17.271.

Na pierwszej stronie zeszytu „Wykazu statystycznego“ Garczyńskiego znajdujemy krótką allokucyę „do Jaśnie Wgo Ministra Spraw Wewnętrznych“ poczynającą się od słów: „Nie przestając na cząstkowych podaniach wiadomości statystycznych, które wskutku dopełnienia reskryptu JWgo Ministra następowały, mam honor przedłożyć“....

Statystyka ludnościowa, zachowana w rękopisach biblioteki Ordynacyi Zamoyских a obecnie ogłoszona przez Wł. Grabskiego, to właśnie część owych „cząstkowych podań“ prefektów.

Obydwie więc powyższe kolumny cyfr pochodzą z jednego źródła i w obec tego nadają się do ścisłego z sobą porównania.

Otóż ilość rodzin chałupniczych i ogrodniczych większą jest od liczby odnośnych osad o 3,510. Różnica ta wynika stąd, że, jak nas o tem inwentarze dóbr Czartoryskich przekonywują, stale w każdej wsi pewien procent chałupników i ogrodników nie miał oddzielnych dla się domów, będąc uposarzonym tylko w grunt, a mieszkając wspólnie w jednym z inną jakąś rodziną domu.

Liczba kmieci i rolników wynosi razem 4102. Mniejszą jest ona od liczby osad powyżej $\frac{1}{2}$ włoki mających (4363) o 261. Wynika to albo stąd, że tych 261 dymów było w danej chwili opuszczonych przez gospodarzy, albo też że były one dymami czynszowemi. Jedno jak drugie jest w równym stopniu prawdopodobne. Przyjmując tę ostatnią ewentualność, otrzymujemy cyfrę 28.949 półrolników, zagrodników i czynszowników, odpowiadającą liczbie 36.913 dymów poniżej $\frac{1}{2}$ włoki gruntu liczących.

Zatem 8 tysięcy gospodarstw mniej niż $\frac{1}{2}$ włokowych było opuszczonych. Gdy zaś w statystyce dymów figurują one, więc nie zostały one wcielone do gruntów folwarcznych, jeno odwiecznym zwyczajem musiały być wypuszczone w czynsz miejscowym gospodarzom.

Uwzględniając powyższe wnioski otrzymujemy liczby:

17.271 gospodarstw chałupniczych i ogrodniczych.

18.091 „ pańszczyźnianych poniżej pół włoki mających.

7.964	gospodarstw	półpańszczyznianych — półczynszowych od $\frac{1}{2}$ do 1 włoki.
2.894	„	czynszowych poniżej pół włoki gruntu mających.
4.363	„	więcej niż pół włokowych.

Takim był rozkład gospodarstw włościańskich w 1811 r. Lecz nie oddaje on dokładnie stanu rzeczy z 1807 roku. Spowodowany on bowiem został opuszczeniem 8 tysięcy osad mniejszych, poniżej $\frac{1}{2}$ włoki gruntu mających.

Zapewne, i przed zniesieniem poddaństwa pewna ilość gospodarstw włościańskich stała zwykle „pustką“. Lecz cyfra ta nie osiągała żadną miarą 22%, jak to tu widzimy. Massowe opuszczanie zagród rozwinęło się dopiero po 1807 r., jak to w dalszym ciągu wykazemy.

Z pięciu badanych przez nas dóbr własności Czartoryskich na zasadzie inwentarzy i rachunków z 1771—1790 r. w jednych tylko dobrach Końskowolskich znaleźliśmy znacznieszą ilość pustek, a mianowicie na 535 włók włościańskiej roli opuszczonych 50 włók, zatem niespełna 10%.

Wprawdzie na dobrach wielko-pańskich ilość pustek musiała być mniejszą niż na drobnych szlacheckich majątkach. Byt włościanina bowiem na pierwszych był niezaprzeczenie lepszy. Włościanin był stałym kapitałem pana, tak jak ziemia, dzierżawca zaś przejściowym jej użytkownikiem. Sam więc już interes ekonomiczny nakazywał panu bronić gospodarstwa swych chłopów przed dewastacją ze strony dzierżawców.

Znamiennym wysoce pod tym względem jest następujący formularz kontraktu dzierżawnego, datujący z 1800—1807 r. Określa on między innemi:

„§ 14. Nie wolno jest W. possesorowi używać ludzi nad zwyczajną pańszczyznę, jaka dzisiaj zostaje, ani w czasie złych dróg i rozeieczy wyprawiać w podróże... Nie wolno także innego zboża ludźmi z posessyi jego będącymi wywozić, tylko te które się na gruncie urodzi, albo te które na zasiew w celu odmienienia ziarna sprowadzić zechce; w każdym z tych wypadków dyurny przepisane za noclegi płacić i tyle dni ile włościanin w drodze zabawi... z pańszczyzny

wytrącić;... niemniej na kobiety ciężarne i położowe miał wzgląd nie używając onych w takim stanie do żniwa lub innych robót tej płci przyzwoitych... Gdyby się zdarzyć miało iż ze wsi uszedłby włościanin gospodarstwo zostawiwszy próżne, W. possesor do odpowiedzi w tej mierze skarbowi JW. Ordynata pociągnionym będzie, chybaby dowiódł, iż złem obchodzeniem się z włościami nie dał do tego przyczyny“.

„§ 15. W przypadku choroby w chałupach gospodarskich, W. possesor zaciągnioną przez nich w czasie tej pańszczyznę, aby onymże ustąpił i tej od nich nie wymagał, jak najmocniej ostrzega się“.

„§ 17 obowiązuje W. possesora niedopuszczenia rozdrobnienia gruntów włościańskich“.

„§ 21. Gdyby włościaninowi któremu koń lub wół w drodze z produktem W. possesora z przyczyny przeładowania lub złej drogi zdechł, innego mu z własnej kieszeni kupić bez żądania bonifikacyi W. possesor jest obowiązany“¹⁾.

I ten stan rzeczy nie zmieniał się nawet wtedy, gdy dobra w bezpośrednim zarządzie magnata się znajdowały. W każdym bowiem razie pewien dobrobyt włościan był niezbędną podstawą postępu gospodarczego folwarku. Nadmierna opressya rolników znamionowała gospodarkę rabunkową, dla chwilowych większych zysków gotową niszczyć źródła przyszłych dochodów. Gospodarka taka wszakże powszednią była na drobnych szlacheckich majątkach.

W końcu XVIII wieku niechybnie więc ogólna ilość pustek w kraju była większą, niż ją w dobrach Czartoryskich, doskonałą odznaczających się administracyą, widzimy.

Gdy jednak przypomnimy sobie rozporządzenia rządu pruskiego, nieustannie obsadzenie pustek nakazujące, ilość tych ostatnich żadną miarą nie możemy powyżej 10% w 1807 przyjąć.

A w takim razie otrzymamy w okrągłych cyfrach

(30,9%) 17 tysięcy gospodarstw chałupniczych i ogrodniczych.

¹⁾ Rkp. Akademii Umiejętności.

- (54,5%) 30 tysięcy gospodarstw mniej niż półwłokowych,
w tem około 2 tysięcy czynszowych.
- (14,6%) $\left\{ \begin{array}{l} 3\frac{1}{2} \text{ tysiące gospodarstw czynszowo-pańszczyźnia-} \\ \text{nych od } \frac{1}{2} \text{ do 1 włoki gruntu mających} \\ 4\frac{1}{2} \text{ tysiąca gospodarstw więcej niż powłoko-} \\ \text{wych.} \end{array} \right.$

Chałupnik i ogrodnik nie był wszakże zgoła rolnikiem, lecz tylko robotnikiem rolniczym i to nie stałym, a dodatkowym. Należał on raczej do ludności bezrolnej, tak jak komornik, niżli do małorolnej jak zagrodnik. W inwentarzach dóbr Czartoryskich przy osadach ogrodniczych nie znajdujemy nawet wcale podanej ilości należącego do nich gruntu. Nie odrabiał też ogrodnik tygodniowej pańszczyzny, jeno kilkanaście dni gwałtu i kilkanaście dni przymusowego najmu. „W opisanu powinności włościan i ogrodników majątności Tredowskiej“ z r. 1815 czytamy: „Ogrodnicy pełnią 12 dni gwałtów na rok pieszo w czasie żniwa. Oprócz tego są obowiązani 6 dni na wiosnę a 6 dni w jesieni dzień groszy 30 pieszo na swoim chlebie odbyć“¹⁾.

To też należy wydzielić ich z ogółu włościańskiej ludności, jako odrębną całkiem klasę ludzi bezrolnych, których żadna ewolucya społeczno-gospodarcza nie mogła w samodzielnym gospodarzy przeobrazić; byli oni bowiem bezrolnym ludem poddanym i mogli następnie również tylko w proletaryat robotniczy się zamienić.

Usunawszy zaś z rachunku osady chałupnicze i ogrodnicze, otrzymujemy 1) 78,9% gospodarstw mniej niż półwłokowych, 2) 9,2 gospodarstw półczynszowych a pół pańszczyźnianych od $\frac{1}{2}$ do 1 włoki liczących gruntu oraz 3) 11,9% gospodarstw powyżej $\frac{1}{4}$ włoki gruntu mających.

Gospodarstwa trzeciej kategorii, jak to poprzednio się przekonaliśmy, dawały już na ogół rolnikowi pewne za gospodarczą jego działalność wynagrodzenie. Tem więcej stosuje się to do gospodarstw drugiej kategorii. Czynsz bowiem płacony z pustek jak w ogóle z roli czynszowej był bardzo niewielki.

¹⁾ Rkp. Akademii Umiejętności.

W dobrach Końskowolskich płacili włościanie z $\frac{1}{2}$ łąnu pustego w 1772 i 1778 r. po 11 złp. 12 gr. t. j. cenę 1 korca żyta, w roku tym notowanego w Gdańsku po 11 złp. 21 gr., a w 1789 po 23 złp. 10 gr. przy równej niemal cenie żyta.

W starostwie Latowickiem czynsz z roli czynszowej przez cały przeciąg czasu od 1772—1789 r. pozostawał bez zmiany 8 do 12 złp. z $\frac{1}{2}$ włoki.

W dobrach Międzyrzeckich wynosił on również bez zmiany od 5 zł. 2 gr. do 12 zł. 15 gr. z $\frac{1}{2}$ włoki. W dobrach Nieporęckich z $\frac{1}{2}$ łąnu pustek płacili włościanie po 8 zł. czynszu, w dobrach Wilanowskich do 13 zł. 6 $\frac{1}{2}$ gr.

W tych warunkach rolnik siedzący na 10 morgowej osadzie pańszczyźnianej, z której robił 2 dni w tydzień, i drugich 10 morgów trzymający za czynsz, miał się identycznie tak, jak włościanin włokowy robiący 4 dni pańszczyzny tygodniowej.

I doskonale zdawali sobie z tego sprawę sami włościanie, jak świadczy choćby ten fakt, że w 1790 r. spotykamy cały szereg gospodarzy w dobrach Końskowolskich, dobierających sobie t. z. „przyjemne morgi“ po 5 zł. 10 gr. czynszu z morgi, to znaczy po trzykrotnie większej cenie, niż poprzedniego roku za pustki płacili.

21,1% procent zatem gospodarstw włościańskich miało istotnie własną swą, w nich samych zawartą rację ekonomicznego bytu, mimo niezaprzeczenie uciążliwych warunków, w jakich się znajdowały.

Co się zaś reszty ich dotyczy, to przyjmując, że w 1807 r. stosunek liczebny zagrodników do półrolników był ten sam co w 1811 (3:4), 12 tysięcy z nich było gospodarstw zagrodniczych, t. j. 4 do 6 morgowych. Pozostaje 18 tysięcy gospodarstw włościańskich, wymagających bliższego jeszcze rozpatrzenia.

Mianowicie, na byłych królewskich i dobrach duchownych (sekularyzowanych przez rząd pruski), za Księstwa Warszawskiego dobrami narodowymi i koronnymi będących, powinności włościańskie były znacznie mniejsze niż we wsiach szlacheckich. W tych ostatnich robił włościanin z $\frac{1}{2}$ włoki najmniej 2 dni sprzężajem i 1 pieszy, nieraz wszakże 3 dni sprzężajne, w Radomskim nawet — 4 sprzężajem lub 3 sprzężajne i 2 piesze. W niektórych okolicach

choć zdaje się zdarzało się to rzadko — dochodziła pańszczyzna do 8 dni sprzężajnych lub pieszych z $\frac{1}{2}$ włóki.

Natomiast sądy referendarskie za sejmu czteroletniego przyjmowały, że włościanin z łanu frankońskiego t. j. 50 morgów 138 prętów roli prócz łąki, placu i ogrodu winien pańszczyzny 2 dni sprzężajne lub 4 piesze.

Jakaż ilość włościańskich gospodarstw z owej liczby 18 tysięcy gospodarstw 10—15 morgowych należeć mogła do tej stosunkowo uprzywilejowanej kategorii?

W 1816 r. w województwie Kaliskiem było 28.949 włók roli prywatnej i 10.232 włók roli na dobrach rządowych. Na włókę ziemi rządowej wypadło 6 głów ludności, prywatnej 5 głów. Ze znacznym więc bardzo prawdopodobieństwem możemy przyjąć, że z 38 tysięcy osad włościańskich departamentu Kaliskiego przypadało około 10 tysięcy na dobra narodowe i koronne.

W starostwie Latowickiem 1772 r. było 63 gospodarstw poniżej $\frac{1}{4}$ włóki mających, 213 gospodarstw posiadających $\frac{1}{4}$ do $\frac{1}{2}$ włóki i 247 więcej niż $\frac{1}{2}$ włokowych. Wedle tego około 40% osad włościańskich na dobrach narodowych i koronnych stanowiły gospodarstwa 10—15 morgowe.

Wniosek ten potwierdza również cyfra 4349 dymów okupnych o mniej niż $\frac{1}{2}$ włóce gruntu, którą statystyka Garczyńskiego wykazuje. Zakupieństwo bowiem oraz oczynszowanie czasowe i wieczyste spotykamy za Księstwa Warszawskiego wyłącznie niemal jeszcze w dobrach narodowych i koronnych.

Nieco gorzej miał się włościanin na dobrach wielkopąńskich. Przeważnie jednak miał on i więcej gruntu i mniejsze oddawał powinności dworowi niż w drobnych szlacheckich majątkach. Przykładem dobra Końskowolskie Czartoryskich. Dokładny obraz istniejących w nich stosunkach włościańskich dają tablice I, II i III. Wszakże mniejsze te powinności na dobrach wielkopąńskich tam są tylko, gdzie jednocześnie nadziały gruntowe włościan są większe. Gdzie natomiast obszar gospodarstw jest mniejszym, zarazem i powinności pańszczyźniane są większe. Znakomicie ilustrują fakt ten stosunki włościańskie dóbr Międzyrzeckich. (Tabl. IV). W najlepszym więc razie wraz z włościanami dóbr na-

rodowych i koronnych możemy liczyć 5 tysięcy gospodarzy 10—15 morgowych, odrabiających nie więcej nad 2 dni sprzężajne lub piesze tygodniowej pańszczyzny, t. j. będących w stanie obejść się bez donajmu dodatkowej siły roboczej dla podolania ciężarom swym pańszczyźnianym.

Reasumując powiedziane dotychczas otrzymamy ostatecznie następujący obraz stosunków wiejskich departamentu kaliskiego w chwili zniesienia poddaństwa.

	W okrągłych cyfrach	Procent wszystkich gospodarstw chłopskich w cyfrach okrągłych	Procent gospodarstw włósczańskich rolniczych w cyfrach okrągłych
Gospodarstw chałupniczych i ogrodniczych:			
— w istocie rzeczy bezrolnych . .	17000	30%	—
Gospodarstw zagrodniczych:			
— małorolnych, których więc racya bytu ekonomicznego leży nie w nich samych, lecz w folwarkach, którym dostarczają robotnika . .	12000	45%	32%
Gospodarstw półrolniczych i rolniczych, do ½ wł. gruntu mających i robiących więcej niż 2 dni tygodniowo:			67%
— z powodu nadmiernego obciążenia powinnościami pańszczyźnianemi również pozbawionych wewnętrznej, samoistnej racyi bytu . . .	13000		
Gospodarstw do ½ włoki gruntu mających i robiących nie więcej jak 2 dni tygodniowo:			
— mogących, dzięki umiarkowanym powinnościom, mieć samoistną rację gospodarczego bytu	5000	25%	13%
Gospodarstw powyżej ½ włoki mających:			
dzięki dostatecznemu uposażeniu ziemią mających samoistną wewnętrzną rację gospodarczego bytu swego	8000		20%

Tablica I.

DOBRA KOŃ-

Nazwa wsi	Rok	Obszar wsi w łanach, wzgl. włótkach i mor- gach	W tem było roli w ła- nach, względnie włótkach i morgach				Ogólna ilość gospodarstw	W tem było gospodarstw o obszarze				Uwagi o rozmiarach gospodarstw	
			ciągłej	czyn- szowej	pustej	z pustej wypu- szonej w czynsz		niż. 1/4 ł.	1/4 ł. i w.	1/2 ł. i w.	1 łan		wyżej 1 ł.
Starawieś	1772	27 ³ / ₄			7	6 ³ / ₄	44	—	2	37	4	1	po 16 morgów i przeszło 200 prętów.
	1778	27 ³ / ₄			7 ¹ / ₂	7 ¹ / ₄	45	—	6	33	5	1	
	1789	17			1 ¹ / ₂	—	31	—	—	31	—	—	
	1790	17 wł. i 10 m.			—	—	31	—	—	31	—	—	
Skowieszyn	1772	23 ¹ / ₂			1 ¹ / ₄	1 ¹ / ₄	43	—	—	40	3	—	przyrost ogólny gruntów nastąpił wskutek lepszych pomiarów. po 16 morg. i kilkanaście prętów.
	1778	23 ¹ / ₂			1 ¹ / ₄	1 ¹ / ₄	44	—	—	43	1	—	
	1789	25			1	—	48	—	—	48	—	—	
	1790	25 wł. i 10 m.			—	—	47	—	—	47	—	—	
Pożóg	1772	45 ¹ / ₄			7 ³ / ₄	3	58	—	3	45	7	3	z pól pustych 4 i 1/4 łanu „w doły wpadły“, 1/2 łanu dwór obsiał. 5 1/2 łanu „w doły wpadły“.
	1778	45			10 ³ / ₄	5	58	—	4	46	6	2	
	1789	45			—	—	62	—	—	62	—	—	
	1790	44 wł. i 16 m.			—	—	62	—	—	62	—	—	
Witowice	1772	40 ¹ / ₂			14 ¹ / ₂	14 ¹ / ₂	—	14	30	5	6	—	5 łanów wypuszczono wło- ścianom z innej wsi na czynsz i stąd następnie zmniejszenie się obszaru wsi. po 20 do 22 morgów.
	1778	38			14 ¹ / ₄	14 ¹ / ₄	—	3	23	8	6	—	
	1789	29 ³ / ₄			4 ² / ₃	—	—	—	—	38	—	—	
	1790	27 wł. i 5 m.			—	—	—	—	—	39	—	—	
Chrzachów	1772	32			8 ¹ / ₄	8 ¹ / ₄	—	5	38	4	3	—	1 1/2 łanu roli pustej wypu- szczono włościanom z in- nej wsi. pustą rolę dwór zbierał. przyrost wskutek lepszych pomiarów. po 21 mórg 282 pręty.
	1778	31 ¹ / ₄			8 ³ / ₄	8 ³ / ₄	—	2	36	5	1	—	
	1789	30 ¹ / ₂			1/2	—	—	—	—	45	—	—	
	1790	33 wł. i 19 m.			—	—	—	—	—	46	—	—	
Opoka	1772	10 ¹ / ₂			2 ³ / ₄	2 ³ / ₄	—	2	10	1	2	—	1/4 pustej na wygon. puste role dwór wziął. po 17 morgów, 282 pręty.
	1778	10 ¹ / ₂			2 ³ / ₄	2 ³ / ₄	—	1	9	2	2	—	
	1789	8			—	—	—	—	—	15	—	—	
	1790	8 wł. i 20 m.			—	—	—	—	—	15	—	—	

Ilość inwentarza					Ilość tygodniowej pańszczyzny		Uwagi o pańszczyźnie	Ilość czynszu		Uwagi o czynszach
Koni	Wółw	Król	Świn	Owiec	ciągł.	piesz.		Złp.	gr.	
4	25	?	?	?	31	16	po 2 dni sprzężajne z łanu, po 1 sprzężajnym lub 1½ pieszym z pół łanu.	465	24	po 5 złp. 21 gr. z pół łanu, podwójnie z pustki, z której nie odrabia pańszczyzny, oraz po 1 złp. stróżowego.
13	20	108	?	?	15	35		425	15½	
3	42	57	25	30	26	56	po 2 sprzężajne albo 4 piesze z pół łanu.	273	10	po 9 złp. z gospodarstwa.
2	45	56	23	22	26	26	po 2 sprzężajne lub piesze z pół łanu.	246	—	po 6 i pół złp. i 1 zł. stróżowego.
6	62	?	?	?	61½	5	po 2 dni sprzężajne z łanu, 1½ dnia pieszego lub sprzężajnego z pół łanu.	332	15	po 5 zł. 21 gr. z pół łanu, podwójnie z pustej, z której nie odrabia pańszcz., oraz po 1 złp. stróżowego.
2	75	200	?	?	28	20		321	21	
2	86	147	43	3	38½	50	po 1½ sprzężajnego lub 3 piesze z pół łanu.	288	—	po 5 złp. 21 i pół gr. z pół łanu i złp. stróżowego.
8	78	129	54	3	43½	20	po 1½ sprzężajnego lub pieszego z pół łanu.	289	—	
2	96	?	?	?	68½	26	po 3 sprzężajne z łanu, po 1½ sprzężajnego lub pieszego z pół łanu.	270	21	po 5 zł. 21 gr. z pół łanu, podwójnie z pustki, oraz po 1 zł. stróżowego.
0	113	160	?	?	67½	22		294	—	
2	127	151	98	118	108	12	po 2 sprzężajne lub 4 piesze z pół łanu.	887	—	po 11 złp. 20 gr. z pół łanu i 1 zł. stróżowego.
4	123	140	87	117	110	7	po 2 sprzężajne lub piesze z pół łanu.	712	—	
6	55	?	?	?	31½	19	jak powyżej	707	—	po 5 zł. 21 gr. z pół łanu, podwójnie z pustki, oraz po 1 złp. stróżowego.
5	61	128	?	?	32	23		664	5	
4	62	82	55	78	37	52		603	—	
8	63	64	37	74	46	19		529	—	
8	55	?	?	?	41	23½	" "	482	26	po 5 złp. 21 gr. z pół łanu, podwójnie jeśli nie robi pańszczyzny i po 1 złp. stróżowego.
2	61	115	?	?	41	27		554	18	
15	75	94	60	73	59	48		618	—	
7	72	89	63	50	60	26		541	22	
—	20	?	?	?	19	1	" "	141	12	po 5 złp. 21 gr. z pół łanu, podwójnie, jeśli nie robi pańszczyzny, 1 złp. stróżowego.
—	24	51	?	?	17	6		155	10	
1	23	39	18	59	16	16		302	—	
1	23	34	14	53	16	8		126	15	

Tablica II.

Nazwa wsi	Rok	Obszar wsi w łanach, wzgl. włókach i morgach	W tem było roli w łanach względnie włókach i morgach				Ogólna ilość gospodarstw	W tem było gospodarstw o obszarze				Uwagi o rozmiarach gospodarstw	
			ciąglej	czynszowej	pustej	z pustej wyp. w czynsz		niż. 1/2 ł.	1/2 ł. i w.	1/2 ł. i w.	1 łan		wyż. 1 ł.
Osiny	1772	46			2	1	74	—	5	59	8	2	1 zagrodę trzyma gospodarz z Woli osińskiej. po 17 morg, 285 prętów.
	1778	46 1/2			6 1/2	6	83	—	9	73	1	—	
	1789	41			—	—	82	—	—	82	—	—	
	1790	45 wł. i 28 m.			55 1/2 mg.	55 1/2 mg.	84	—	—	81	—	—	
Wola osińska	1772	27			9 1/4	8 1/4	36	—	10	19	5	2	1 1/2 ł. pustych trzyma gosp. z Osiny, karb Mat. Sekuła, trzymający tam 1 ł. pustych ról i mający 1/2 ł. roli ciągl. 6 łanów trzymają gospodarze z Siedlec i Osin. 1 łan trzyma gospodarz z Osin. po 19 morg. 8 prętów.
	1778	26 1/4			13 1/4	12 1/2	26	—	6	9	6	5	
	1789	18 1/4			—	—	24	—	—	14	8	2	
	1790	14 wł. i 17 m.			80 mg.	80 mg.	23	—	—	23	—	—	
Włostowice	1772	29 1/2			3	2 1/4	54	—	2	49	3	—	po 16 morg. i 150 do 200 prętów.
	1778	31			3	1 1/2	44	—	—	42	2	—	
	1789	31			4 3/4	2 1/2	52	—	2	48	2	—	
	1790	27 wł. i 2 mg.			—	—	51	—	—	51	—	—	
Puławy	1772	?	?	?	?	?	?	?	?	?	?	?	30 gospodarzy, 15 zagrodników. po 4 do 5 mórg.
	1778	?	?	?	?	?	?	?	?	?	?	?	
	1789	?	?	?	?	?	?	?	?	?	?	?	
	1790	7 włók i 25 m.			—	—	48	48	—	—	—	—	
Parchatka	1772	10			—	—	20	—	2	17	1	—	po 15 mórg 165 prętów, do 15 m. 180 pr.
	1778	9 3/4			—	—	20	—	1	17	1	—	
	1789	10			—	—	21	—	2	19	—	—	
	1790	10 wł. i 27 m.			—	—	21	—	—	21	—	—	
Wólka professecka	1772	12			—	—	19	—	2	11	6	—	po 10 mórg 260 prętów.
	1778	12 1/4			—	—	21	—	5	10	6	—	
	1789	12 1/2			—	—	23	—	6	13	3	1	
	1790	9 włók i 2 mg.			—	—	25	—	25	—	—	—	
Wronów	1772	13			1 1/4	1 1/4	22	—	—	21	1	—	po pół łanu i 5 mórgów. po 21 morg, 133 pręty.
	1778	13			2 1/2	2	23	—	3	19	1	—	
	1789	16			—	—	24	—	—	24	—	—	
	1790	17 wł. i 26 m.			16 1/2 morgi	16 1/2 morgi	25	—	—	25	—	—	

Tablica II.

Ilość inwentarza					Ilość tygodn. pańszecz.		Uwagi o pańszczyźnie	Ilość czynszu		Uwagi o czynszach
Koni	Wółw	Krów	Świn	Owiec	ciągł	piesz		Złp.	gr.	
18	66	?	?	?	130	1	po 2 dni ciągle albo piesze z pół łanu; tyleż z zagrody.	434	—	jak powyżej
2	116	315	?	?	69	57		398	8	
17	135	236	116	104	74	134	po 2 dni ciągle albo 4 piesze z pół łanu.	755	6	
18	142	203	98	112	99	46	po 2 dni ciągle albo piesze z pół łanu.	847	—	
1	29	76	?	?	36	1		367	11	"
—	31	76	?	?	16	17	" "	307	19	
1	35	70	35	8	18	31	po 2 dni ciągle albo 3 piesze z pół łanu.	229	5	
—	34	60	27	8	20	17	po 2 dni ciągle albo piesze z pół łanu.	440	15	
13	96	?	?	?	67	3	po 1 i pół dnia ciągłego lub pieszego z pół łanu, po 2 dni z zagrody.	328	—	"
15	94	265	?	?	61½	10½		247	—	
23	98	213	135	—	61	9	po 1 i pół dnia ciągłego lub 3 piesze z pół łanu.	585	27	
22	98	155	113	3	57	3½	po 1 i pół dnia ciągłego lub pieszego gospodarze, po dwa dni zagrodnicy.	605	—	
—	42	?	?	?	18	17	po 1 dniu ciągłym lub pieszym.	242	11	"
—	43	129	?	?	16	25		215	14	
—	—	—	—	—	—	—		—	—	
—	37	99	49	—	16	8	po 1 dniu ciągłym lub pieszym.	552	—	
1	35	?	?	?	28½	—	po 1 i pół dnia ciągłego z pół łanu, po 2 dni ciągle z zagrody.	115	24	"
—	38	91	?	?	30	4		115	18	
—	41	102	71	—	29	2		160	11	
1	41	83	59	—	29½	—	po 1 i pół dnia ciągłego lub 2 piesze.	142	27	
—	35	?	?	?	17	—	po 1 dniu ciągłym lub pieszym z pół łanu.	117	20	"
2	33	136	?	?	17	6		132	10	
—	37	71	23	—	14	12	po 1 dniu ciągłym lub 2 piesze z pół łanu.	264	20	
1	32	72	25	—	9	19		149	20	
—	31	?	?	?	13½	6½	po 1 i pół dnia piesz. lub ciągł. z pół łanu, po 2 dni piesze lub ciągle z zagr.	230	20	"
—	39	128	?	?	18	11		120	15	
—	35	86	22	54	6	16	po 2 dni ciągle lub 4 piesze z pół łanu lub zagr.	1663	—	
2	34	88	26	51	18	6	po 2 dni ciągle lub piesze	475	—	

Tablica III.

Nazwa wsi	Rok	Obszar wsi w łanach, wzgl. włókach i morgach	W tem było roli w łanach względnie włókach i morgach				Ogólna ilość gospodarstw	W tem było gospodarstw o obszarze				Uwagi o rozmiarach gospodarstw	
			ciąglej	czynszowej	pustej	z pustej wyp. w czynsz		niż. 1/4 ł.	1/4 ł. i w.	1/2 ł. i w.	1 ł. i tan		wyż. 1 ł.
Młynki	1772	25 1/2			2 1/2	2	46	—	4	36	6	—	zwiększenie ogólnej ilości wskutek nowego lepszego pomiaru; po 22 morgi 53 pręty.
	1778	27			3 3/4	2 1/4	45	—	4	38	3	—	
	1784	28			—	—	42	—	—	42	—	—	
	1790	31 wł. 2 m.			—	—	42	—	—	42	—	—	
Rudy	1772	16 1/2			1/2	1/2	29	—	—	25	—	—	po 15 morgów i 100 prętów.
	1778	16 1/2			1/2	1/2	27	—	—	22	—	—	
	1784	16			1	1	30	—	—	30	—	—	
	1790	15 wł. 25 m.			—	—	31	—	—	31	—	—	
Chrzachówek	1772	17 1/2			—	—	35	—	—	35	—	—	wieś zwiększona gruntami z Witowie, gdzie tutejsi włościanie puste role na czynsz brali. po 17 morgów 196 prętów.
	1778	17 1/2			—	—	35	—	—	35	—	—	
	1784	20			1/2	—	39	—	—	39	—	—	
	1790	23 wł. 16 m.			—	—	40	—	—	40	—	—	
Wólka nowo-dworska	1772	2 1/2			—	—	5	—	—	5	—	—	5 zagrodników.
	1778	2 1/2			—	—	4	—	—	4	—	—	4 zagrodników i 1 komornik.
	1784	2 1/2			—	—	5	—	—	5	—	—	5 zagrodników.
	1790	2 wł. 24 m.			—	—	5	—	—	5	—	—	5 zagrodników zmienionych na gospodarzy po 17 morgów i 180 prętów.
Sielce	1772	29			1 1/2	1 1/2	56	—	2	53	1	—	zwiększenie wskutek dodania każdemu włośc. po 5 morg, pustki dwór siał i w następnym roku wcielił do folwarku. po 20 morg. 133 pręty.
	1778	29 3/4			2	2	56	—	2	52	1	1	
	1784	39 1/2			4	—	53	—	—	53	—	—	
	1790	36 wł. 3 m.			—	—	54	—	—	54	—	—	
Demba	1772	14 1/2			1 1/2	1 1/2	24	—	—	20	4	—	z tych 6 zagrodników, jeden z nich trzyma za czynsz role puste.
	1778	15 1/4			3 1/2	2 1/2	22	—	—	18	4	—	
	1784	14 1/6			—	—	23	—	—	23	—	—	po pół włóki i 5 morgów. zwiększenie wskutek lepszego pomiaru, po 24 do 26 morgów.
	1790	20 wł. 1 mg.			—	—	24	—	—	24	—	—	

Tablica III.

kon.	Ilość inwentarza				Ilość tygodn. pańszcz.		Uwagi o pańszczyźnie	Ilość czynszu		Uwagi o czynszach
	Wołów	Krów	Świn	Owiec	ciągł.	piesz.		Złp.	gr.	
3	65	?	?	?	55	6 1/2	po 3 dni sprężajne z 1 ł. 2 dni sprężajne z 3/4 łanu. 1 1/2 dnia sprężajnego lub pieszego z pół łanu.	342	29	po 5 złp. 21 gr. z pół łanu, po 7 i pół złp. jeśli nie robi pańszczyzny, oraz po 1 złp. stróżowego.
5	76	148	?	?	51 1/2	16 1/2		353	10	" "
6	91	96	56	32	67	20	po 2 dni sprężajne, albo 4 piesze z pół łanu.	570	20	po 8 złp. z pół łanu, od dodanych gospodarzom 5 morgów po 5 złp. gr. 10, 1 złp. stróżowego.
2	100	114	47	69	68	8	po 2 dni sprężajne lub piesze z pół łanu.	446	—	po 10 złp. 12 i pół gr. i 1 złp. stróżne.
1	47	?	?	?	32 1/2	5 1/2	2 dni sprężajne z 1 łanu 1 1/2 sprężajnego lub pieszego z pół łanu.	192	16	po 6 złp. 21 gr. z pół łanu, podwójnie jeśli nie robi pańszczyzny.
9	51	103	?	?	27	13 1/2		203	9	po 5 złp. 21 i pół gr. z pół łanu, podwójnie jeśli nie robi pańszczyzny.
11	61	81	61	13	45	8	po 2 dni sprężajne, albo 4 piesze z pół łanu.	355	—	po 8 złp. i 1 złp. stróżnego, owczarz nie robiący pańszczyzny płaci 110 złp.
8	65	77	36	18	52	—	po 2 dni sprężajne.	188	—	po 6 złp. 7 i pół gr. i stróż.
4	67	?	?	?	47	—	po 1 1/2 dnia sprężajnego z pół łanu; zagrodnicy po 2 dni sprężajne.	180	15	po 5 złp. 21 gr. z pół łanu i 1 złp. stróżne.
1	73	130	?	?	32 1/2	14		185	22 1/2	
7	83	117	61	17	64	4	po 2 dni sprężajne albo 4 piesze z pół łanu.	389	—	1 nie robi pańszczyzny płaci 110 złp.
5	79	97	36	12	68	—	po 2 dni sprężajne z pół łanu.	332	12 1/2	po 8 złp. 10 gr. i 1 złp. stróżne.
2	14	?	?	?	9	—	po 2 dni sprężajne z pół łanu.	7	2	po 1 złp. 14 gr.
1	6	20	?	?	4	5	po 2 dni sprężajne lub piesze.	5	26	" "
4	10	17	8	1	8	1	po 2 sprężajne lub 4 piesze z pół łanu.	7	6	" "
3	8	15	10	4	9	—	po 2 dni sprężajne z pół łanu.	36	7 1/2	po 6 złp. 7 i pół gr. i 1 złp. stróżne.
11	94	?	?	?	58 1/2	25	po 1 1/2 dnia sprężajnego lub pieszego z pół łanu, po 1 dniu pieszym z cwierć łanu, po 2 dni od zagrody.	213	11	po 5 złp. z pół łanu, podwójnie w razie nie robienia pańszczyzny, po 10 groszy z zagrody oraz 1 złp. stróżne.
2	76	156	?	?	41	36 1/2		220	20	
—	68	112	64	88	49	87	po 2 dni sprężajne albo 4 piesze.	717	10	po 8 złp., 1 złp. stróżne, 5 złp. 10 gr. za „przyjemne morgi”.
7	74	101	53	84	56	37	po 2 dni sprężajne lub piesze.	617	—	po 10 złp. 12 i pół gr. i 1 złp. stróżne.
5	45	?	?	?	35 1/2	—	po 1 1/2 dnia sprężajnego z pół łanu, po 3 dni sprężajne z łanu, po 2 dni z zagrody.	162	4	po 5 złp. 21 gr. z pół łanu, po 2 złp. 4 gr. z zagrody.
7	36	55	?	?	27 1/2	5		164	13	
19	44	59	32	40	38	1	po 2 dni sprężajne.	274	10	po 8 złp., 1 złp. stróżnego i 5 złp. 10 gr. za „przyjemne morgi”.
16	44	44	34	17	36	2	po 2 dni sprężajne lub piesze.	284	25	po 12 i pół złp. i 1 złp. stróżnego.

Tablica IV.

DOBRA MIE-

Nazwa wsi	Rok	Obszar wsi w łanach, wzgl. włokach i morgach	W tem było roli w łanach, względnie włokach i morgach				Ilość gospodarstw	Z ogólnej ilości gospodarstw o obszarze				Uwagi o rozmiarach gospodarstw, i o obszarze wsi	
			ciągłej	czynsz.	puszkiej	puszkiej wypaszczonej wczysz.		niż. 1/4 ł.	1/4 ł. i w.	1/2 ł. i w.	1 łan		w. 1 łan
Tulitów	1772	13 wł.	?	?	?	?	30	?	?	?	?	?	
	1778	13 wł. 3/10 m.	4 w. 27 1/5 m.	8 wł. 2 1/2 m.	—	—	28	?	?	?	?	?	
	1789	12 wł. i 25 m.	5 wł. 25 m.	7 wł.	—	—	34	1	24	9	—	—	
	1790	12 wł. i 25 m.	5 wł. 25 m.	7 wł.	—	—	34	?	?	?	?	?	
Sawki	1772	10 wł.	?	?	?	?	9	?	?	?	?	?	
	1778	10 wł.	1 wł. 27 1/2 m	2 wł. 10 m.	5 wł. 22 1/2 m	—	10	?	?	?	?	?	
	1789	10 wł.	1 wł. 28 3/8 m.	2 wł. 9 3/8 m.	5 wł. 22 1/2 m	—	10	1	6	3	—	—	
	1790	10 wł.	1 wł. 28 3/8 m.	2 wł. 9 3/8 m.	5 wł. 22 1/2 m	—	11	?	?	?	?	?	
Zabce	1772	5 wł. 20 m.	?	?	—	?	34	?	?	?	?	?	
	1778	6 wł.	4 wł. 15 m.	1 wł. 15 m.	—	—	38	?	?	?	?	?	
	1789	5 wł. 12 1/2 m.	4 wł. 17 1/2 m	25 m.	—	—	40	39	1	—	—	—	
	1790	5 wł. 10 m.	4 wł. 22 1/2 m	17 1/2 m	—	—	42	?	?	?	?	?	
Tłuściec	1772	18 wł.	?	?	?	?	55	?	?	?	?	?	
	1778	18 wł.	8 wł. 14 3/8 m	8 wł. 18 1/8 m	1 wł. 27 m.	29 1/2 m	54	?	?	?	?	?	
	1789	17 wł. 25 m.	10 wł. 17 1/2 m	5 wł. 10 m.	1 wł. 27 1/2 m	—	67	45	22	—	—	—	
	1790	17 wł. 24 m.	10 wł. 15 5/8 m	5 wł. 13 3/4 m	1 wł. 25 m.	—	73	?	?	?	?	?	
Krzewice	1772	37 wł.	?	?	?	?	42	?	?	?	?	?	
	1778	37 wł. 3 m.	7 wł. 11 7/8 m.	17 wł. 13 1/8 m	12 wł. 5 m.	—	40	?	?	?	?	?	
	1788	36 wł. 15 5/4 m	8 wł. 10 m.	16 wł. 5 5/4 m.	12 wł.	—	52	11	15	24	2	—	
	1790	36 wł. 7 m.	8 wł. 10 m.	16 wł. 4 1/2 m.	11 wł. 22 1/2 m	—	46	?	?	?	?	?	
Wólka Krzepnoska	1772	3 wł. 7 1/2 m.	?	?	?	?	23	?	?	?	?	?	
	1778	3 wł. 7 1/2 m.	3 wł. 1 7/8 m.	5 5/8 m.	—	—	25	?	?	?	?	?	
	1789	3 wł. 3 3/4 m.	2 wł. 22 1/2 m	11 1/4 m	—	—	23	22	1	—	—	—	
	1790	3 wł. 3 3/4 m	2 wł. 24 3/8 m	9 3/8 m.	—	—	24	?	?	?	?	?	

DZYRZECKIE.

Tablica IV.

Ilość inwentarza					Ilość tygodniowej pańszczyzny				Uwagi o pańszczyźnie	Ilość czynszu		Uwagi o czynszu
konie	wołów	krów	świń	owiec	ciąglej		pieczę			Złp.	gr.	
					lat.	zimę	lat.	zimę				
8	48	?	?	?	40		25 1/2		po 1 dniu ciągłym albo pieszym z 1/16 włoki (1 7/8 morgi)	335	15	Czynsz z włoki ciąglej = 6 zł. 22 gr. z czynszowej: 15 zł. 6 gr.
9	41	?	?	?	36	22	33	29 i 1/2		335	8	
10	49	?	?	?	62 i 2/3	53	18	17 i 2/3		62	12	
11	54	?	?	?	68 i 2/3	48 i 1/2	13	12 i 1/2		344	18	
8	18	?	?	?	14		7 1/2		" "	308	28	Czynsz z wł. ciąglej = 8 zł. 26 gr., z czynszowej = 12 zł. 20 gr.
4	17	?	?	?	18	12	12 i 1/2	10 i 1/2		338	25	
5	17	?	?	?	21 i 2/3	16 i 1/2	2	1 1/2		338	2	
7	19	?	?	?	25	19	2	1 1/2		327	3	
9	50	?	?	?	39		23 1/2		" "	108	25	Czynsz z wł. ciąglej = 6 zł. 22 gr. z wł. czynszowej 25 zł. 10 gr.
8	32	?	?	?	25	14	43	39 i 1/2		100	19	
11	61	?	?	?	53 i 2/3	41	13	11 i 1/2		88	8	
16	61	?	?	?	50 i 2/3	39 i 1/2	9 1/3	8		82	23	
18	82	?	?	?	62		46		" "	368	2	" "
13	54	?	?	?	46	28 i 1/2	68	58		359	26	
17	119	?	?	?	132 i 2/3	110 i 1/2	15 i 2/3	14 i 1/2		296	11	
22	119	?	?	?	122 i 1/3	106 i 1/2	15	14 i 1/2		297	28	
17	42	?	?	?	55		44		" "	410	—	Czynsz z wł. ciąglej = 7 zł. 18 gr. z czynsz. = 12 zł. 20 gr.
16	44	?	?	?	40	26	64	30 i 1/2		390	24	
20	63	?	?	?	95 i 1/3	78	16	14 i 1/2		353	15	
21	67	?	?	?	102 i 2/3	84	14	12 i 1/2		355	—	
11	34	?	?	?	34		17		" "	96	22	Czynsz z wł. ciąglej = 5 zł. 2 gr. z czynsz. = 10 zł. 4 gr.
11	36	?	?	?	17	16	26	16 i 1/2		93	5	
15	35	?	?	?	32	24 i 1/2	5	4		87	1	
15	39	?	?	?	29	22	5	4		86	22	

Wynik zaś ewolucyi, jaka dokonała się w ciągu czasu od 1807 r. do 1811 r. przedstawi się cyfrowo:

	1807	1811 r.
Gospodarstwa nie mające samostnej racyi ekonomicznego bytu, a dostarczające tylko siły roboczej folwarkom:		
a) z powodu zbyt małej ilości gruntu	12.000 (32%)	10.000 (32%)
b) z powodu nadmiernych powinności	13.000 (35%)	8.000 (25%)
w sumie . . .	25.000 (67%)	18.000 (57%)
Gospodarstwa mogące mieć, względnie mające samostny byt gospodarczy:		
a) z powodu umiarkowanych powinności pańszczyźnianych względnie oczynszowania	5.000 (13%)	3.000 (9%)
b) z powodu dobrania do pańszczyźną obciążonych ról czynszowych gruntów	3.000 $\frac{1}{2}$ (9%)	7.000 (22%)
c) z powodu dostatecznego uposażenia ziemią	4.000 $\frac{1}{2}$ (11%)	4.000 $\frac{1}{2}$ (12%)
w sumie . . .	13.000 (33%)	14.500 (43%)

W chwili więc zniesienia poddaństwa koło 75% ogółu gospodarstw chłopskich a koło 67% rolniczych gospodarstw włościańskich istniało w Polsce wyłącznie ze względu na potrzeby i interesy folwarku.

Gdy zaś z faktem tym zestawimy inny jeszcze fakt, mianowicie, że z ogólnej ilości włościańskich osad vel dy-mów rolniczych około 80% miało wyraźnie przeznaczeniem swem służyć wyłącznie najdogodniejszem dla folwarku wynagrodzeniem pracy chłopu na gruntach dworskich, dochodzimy niezbędnje do następujących wniosków:

- 1) Włościańskie gospodarstwa rolnicze w Polsce XVIII i początku XIX wieku były całkowicie interesom gospodarstw folwarecznych podporządkowane; celem ich było jedynie dostarczać potrzebnej tym ostatnim siły roboczej.

Tylko na królewskich, względnie dobrach narodowych i koronnych oraz w niektórych majątkach, wielkopańskich zachowały w pewnym stopniu gospodarstwa włościańskie, mimo znacznego podniesienia w ciągu XVII i XVIII wieku powinności poddańczych, pierwotny swój właściwy charakter drobnych przedsiębiorstw rolnych, wyrabiających dochód gospodarzowi a rentę gruntową dziedzicowi.

- 2) Włościanin, który był w olbrzymiej swojej większości tylko siłą roboczą dla folwarku, ale wynagrodzenie za pracę na pańskim musiał sam sobie na swej roli wyrabiać, znajdował się w sytuacji możliwie najtrudniejszej; ponosił bowiem całe ryzyko samodzielnego gospodarza, był którego od własnej zapobiegliwości zależy, i wszystkie jednocześnie obowiązki robotnika w obcym przedsiębiorstwie zatrudnionego, bez żadnych korzyści z jednej czy drugiej sytuacji wynikających.

Osadę swoją traktował więc on na ogół raczej jako ciężar, niż jako majątek, utrzymanie i lepsze zagospodarowanie którego przedewszystkiemby o bycie jego stanowiło.

- 3) Rzucali więc włościanie swe osady jeszcze za czasów poddaństwa, zbiegając od panów zbyt surowych; a gdy otrzymali oni prawo swobodnego przenoszenia się z miejsca na miejsce poczęli massowo opuszczać dotychczasowe swe gospodarstwa, szukając lepszych gdzie indziej warunków egzystencji.

Przedewszystkiem zaś rzucali swe osady gospodarze 10 — 15 morgowi nadmiernymi ciężarami pańszczyźnianymi obciążeni.

- 4) Samorzutna ewolucya ekonomiczna, spowodowana po zniesieniu poddaństwa ową migracyą włościan, zmniejszała i absolutną i stosunkową liczbę gospodarstw włościańskich nie mających samoistnej racyi gospodarczego bytu na rzecz gospodarstw dostatecznie w ziemię uposażonych, których ilość się zwiększyła dzięki przynajmowaniu pustek przez pozostających we wsi gospodarzy.

- 5) To zwiększanie się ilości gospodarstw włościańskich, samoistną rację gospodarczego bytu mających, i wraz z tem idący wzrost przeciętnego rozmiaru gospodarstwa włościańskiego odbywały się wszakże w tych warunkach kosztem zmniejszenia ogólnej ilości gospodarstw i proletaryzacyi znacznych zastępów ludności wiejskiej; — były one bowiem korzystnym wprawdzie, lecz mimowolnym skutkiem ujemnego w całokształcie swym procesu opuszczania przez gospodarzy osad, świadczącego o wadliwej z gruntu organizacyi stosunków rolniczych w kraju.

Stanisław Grabski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Sprawy krajowe.

XVII.

O galicyjskich kolejach lokalnych w przyszłości.

1) Wobec coraz częściej występujących żądań o budowę nowych kolei lokalnych, jest rzeczą konieczną rozważyć co należałoby uczynić, aby koszta budowy i eksploatacyi stały w stosunku do zadania, jakie te koleje jako środek komunikacyjny będą miały do spełnienia, i do dochodów, jakie prawdopodobnie będą przynosić.

Jest to tem potrzebniejsze, że koleje przyszłości nie mają widoków przynieść kiedykolwiek pełnego oprocentowania inwestowanego kapitału, i będą stale obciążać budżet krajowy.

Dalsze więc budowanie kolei lokalnych dotychczasowym systemem, gdzie dla przewiezienia kilkudziesięciu, a czasem tylko kilkunastu ton dziennie buduje się kolej kosztem 100.000 do 120.000 koron na kilometr, byłoby wprost marnowaniem grosza krajowego i niema kraju, któryby sobie na taki zbytek mógł pozwalać.

Wobec tego byłoby wskazaniem w przyszłości obmyśleć tańszy sposób zaspokojenia potrzeby regularnej komunikacyi osobowej i towarowej. Jako takie sposoby zalecają się w pierwszej linii w okolicach z cokolwiek znaczniejszą produkcją koleje wąskotorowe, opędzane automobilami parowymi lub też bardzo lekkimi lokomotywami, z wyjątkiem linii łączących koleje o normalnym torze, a dla ruchu lokalnego na

krótsze odległości, do 50 klm., okolic mniej produkcyjnie rozwiniętych mogą się okazać jako bardzo odpowiednie koleje bez szyn.

Zarzuty, jakie się słyzy, że kolej wąskotorowa sprawia kosztą przeładowania towarów z wąsko- do normalnotorowych wagonów są bez podstawy, albowiem istnieją już przyrządy do przewiezienia normalnotorowych wagonów po wąskim torze; a zresztą przeładowanie normalnotorowego wozu kosztuje co najwięcej 2 korony; jest to więc koszt, który nie stoi w żadnym stosunku do zwiększonych kosztów, jakie sprawia budowa i eksploatacja kolei o normalnym torze.

Naturalnie nie dałoby się to tam zastosować, gdzie do przetransportowania byłoby po kilkadziesiąt wagonów dziennie; ale okolic bezkolejnych jeszcze, któreby miały taką ilość do przewiezienia, u nas nie ma, a okolice ze znacznieszą produkcją są już kolejami poprzecinane.

Jeżeli więc tor wąski wystarczy, aby przewozić osoby i towary regularnie i bezpiecznie, to niema powodu budować dróg o normalnym torze, które pod względem budowy i eksploatacyi są znacznie droższe i wymagałyby wskutek tego ustanowienia wyższych taryf.

2) Jako drugi, znacznie tańszy środek komunikacyjny od poprzedniego, możnaby zastosować koleje bez szyn, opędzane automobilami parowymi. Koleje tego rodzaju nadawałyby się mianowicie dla ruchu lokalnego, na krótką odległość 40--50 klm. w celu zaprowiantowania większych centrów konsumcyjnych i w okolicach nie mających znaczniejszej produkcji, dalej do miejsc kąpielowych jak: Krynica, Szczawnica, Iwonicz, Rymanów, Winniki, do Morskiego Oka, Truskawca.

Ponieważ koleje takie wymagają gościńców suchych i twardych a drogi tego rodzaju są u nas rzadkością, należałoby ze względu na tę okoliczność i na zwyczaje naszego wiejskiego ludu jeżdżenia po drogach, mianowicie w dnie targowe, bez wszelkiego porządku i przed karczmami zatarasować drogę furami, pod w mowie będące koleje budować własne gościńce, ponieważ na naszych drogach z wyżej wymienionych powodów regularne cyrkulowanie automobilów,

a co dla ruchu osobowego i handlowego jest absolutną koniecznością, byłoby wprost niemożliwe.

Gościniec taki musiałby prowadzić bezpośrednio obok istniejącej drogi wzdłuż której leżą większe osady miejskie i wiejskie, posiadające już wyrobiony ruch handlowy.

Kolej taka będzie bezwarunkowo bardzo znacznie mniej kosztować jak kolej wąskotorowa ze szynami, a mianowicie w okolicach posiadających kamień, gdyż odpadnie cały materiał żelazny (*Oberbau*), kosztowne założenie stacyj i wymogi wojskowości; a zresztą w każdym specjalnym wypadku można stwierdzić obrachunkiem kosztu jednej i drugiej alternatywy. Zawsze jednak pozostaje na rzecz ruchu automobilowego szansa wielkiej oszczędności. Wynika ona przede wszystkim z zaznaczonych już co dopiero powodów, a mianowicie, że wprawdzie i tu musimy nabyć grunt i zbudować osobny gościniec, ale odpada cały wydatek na t. zw. wierzchnią budowę (progi, szyny, akcesorya, szuter, budynki stacyjne i ułożenie ich torów, zwrotnice, skomplikowane sygnały) oszczędność wyniknie dalej i z całego sposobu prowadzenia służby ruchu. Ponieważ fabryka wiedeńska i węgierska w Raab oświadczyły gotowość przyjąć pełną gwarancję, że ruch prowadzony ich automobilami, na dobrym gościńcu, będzie się odbywał regularnie i prawidłowo, niema więc wątpliwości, że kolej taka przy dobrym kierownictwie wypełni w zupełności swoje zadanie, wobec czego o wybudowaniu takiej kolei miałby w każdym specjalnym wypadku decydować wyłącznie rachunek co tańsze czy wąskotorowa kolej czy kolej bez szyn.

Tego rodzaju koleje miałyby tę praktyczną stronę, że przesyłki przeznaczone do miast mogłyby bez przeładowania na zwykłe wozy być przewiezione wprost do centrum miejsca zbytu jak n. p. Kraków-Myślenice. Towary pochodzące z tej linii a przeznaczone poza Kraków, musiałyby być dowożone do dworca w Płaszowie i tam być załadowane do wagonów kolejowych, a towary dla Krakowa wprost do miasta.

Byłoby to dla kupujących wielkiem ułatwieniem, gdyż artykuły, jak drzewo opałowe lub do podpałki przeznaczone, ziemniaki, kapusta etc. mógłby automobil dowieźć przed mie-

szkanie kupującego i zastąpić dzisiaj praktykowane dowożenie zwykłymi wozami. Dalszą praktyczną stroną takich kolei byłaby możność dojechania automobilem w celu załadowania towarów do samego miejsca składów, leżących wzdłuż tej kolei, do gorzelń, do browaru, do spichlerza, do składów drzewa i t. p. wskutek tego stałoby się w wielu miejscach budowanie magazynów zbytecznem. Taka stacya kolei miałyby się składać: z Plateau, na któremby się miały automobile jadące z przeciwnych stron, z przyrządu do zaopatrzenia automobilów w wodę i małego domku dla dozorey.

Magazyny i miejsca na składy byłyby tylko tam potrzebne, gdzieby był zapewniony dowóz z dalszych okolic.

Czy i gdzieby jeszcze był potrzebny jakiś budynek, wskazałaby praktyka.

a) Automobil przeznaczony do przewożenia osób, pakunków, c. k. poczty i drobniejszych wysyłek, a mianowicie takich, jakie lud wiejski zwykł brać na targi, musiałby stawać w miasteczkach, wszystkich wsiach i na punktach krzyżowych dróg z gościńcem pod kolej bez szyn. Dla osób życzących sobie jechać wygodnie i niebyć związanymi istniejącym rozkładem jazdy w pewnych tylko godzinach, mogłaby każda taka kolejka posiadać jeden lub dwa automobile urządzone z wszelkim komfortem, rodzaj salonowego automobilu, który na zamówienie kilka godzin naprzd i za mierną dopłatą do normalnej taryfy osobowej, mógłby w każdym żądanym punkcie być dostarczony przez administracyę do użytku.

b) Potrzeba wysyłania towarów w większej ilości i cięższych Coi musiałaby być telefonicznie awizowaną do stacyi, w którejby stał park automobilów i przez kierownika służby (Betriebsleiter) w każdym specjalnym razie wydane odpowiednie zarządzenie. Chyżość takich pociągów ad a) miałyby wynosić 30 klm., a dla towarów ad b) 15 klm. na godzinę.

Rozkłady jazdy ad a) i wysokość taryf podlegałyby zatwierdzeniu Wydziału kraj.; jazda (ad b) miałyby się odbywać tylko podług potrzeby. Wydawanie koncesyi na tego rodzaju drogi byłoby rzeczą Namiestnictwa, zaś o udzielaniu ewent. subwencyi lub 4^o/_o gwarancyi czystego dochodu miałyby

decydować Sejm, zaś zatwierdzenie projektu budowy i organizacya służby, musiałaby należeć do atrybucyi Wydziału kraj., a wszystkie postanowienia dotyczące bezpieczeństwa ruchu miałyby wydawać jeneralna inspekeya w porozumieniu z władzą polityczną (ze Starostwem).

Bliższe szczegóły musiałoby być ustnie omówione.

W końcu muszę nadmienić, że takie koleje zaczynają już budować we Francyi i w Niemczech.

Nie wątpię, że i u nas ten system przyjąć się musi, bo ktokolwiek się nad tym wnioskiem głębiej zastanowi, poweźmie przekonanie, że jeżeli automobile po różnych drogach dobrych i złych już od kilku lat się uwijają, to nie ma powodu, dlaczegoby się ten system nie dał zastosować dla celów handlowych i ekonomicznych i być używany do przewożenia osób i towarów, tem więcej, że nie involwuje to najmniejszego ryzyka, jeżeli przedsiębiorstwo będzie dobrze zorganizowane i dobrze prowadzone.

Przesąd przeciwko automobilom rozszerza się u nas, ponieważ znają je dotąd wyłącznie jako zabawkę sportową, niemniej jest to motor o poważnem już zastosowaniu i poważnej przyszłości, a stąd koniecznem jest niepomijanie u nas użycia tego nowego motoru dla celów praktycznych.

Doniosłość zapewnienia należytej komunikacyi bez za wielkich kosztów założenia i prowadzenia jest tak wielką, że należałoby uczynić przynajmniej próbę ze stworzeniem ruchu automobilowego, a niejedna z proponowanych nowych linii nadawałaby się dobrze na taką próbę.

Kraków w kwietniu 1904.

Wiktor Kolosvary
b. dyrektor kolei państwowych.

Od Redakcyi: Do powyższych uwag dodajemy przede wszystkim tablice, stwierdzające udział kraju w kosztach budowy kolei lokalnych, dotychczasowe rezultaty eksploatacyi, oraz obciążenia budżetu krajowego (zob. na końcu).

A poruszając kwestyę kolei lokalnych trzeba niewątpliwie z uznaniem podnieść ostrożną przezorność Wydziału krajowego co do dalszej akcyi. Ważną jest potrzeba komunikacyi, ale w kraju mamy tyle innych gwałtownych potrzeb, że nie można jednostronnie zbyt znacznych funduszy angażować. A liczba i doniosłość różnych potrzeb kraju z jednej strony, z drugiej stosunkowa niezasobność kraju i wysokie już obciążenie podatkowe każą nam i w polityce inwestycyjnej rozsądną zachować miarę. Błędem byłby zupełny brak inwestycyjnej polityki, nie posłużenie się kredytem na podniesienie wytwórczości kraju, ale błędem jeszcze gorszym, bo niszczącym przyszłość, byłoby rzucanie się na t. zw. inwestycye nie rokujące opłacenia się bezpośredniego, lładząc się nadzieją niestwierdzonych i niepewnych korzyści pośrednich. Ztąd też nie lokalny interes pewnych bezkolejnych okolic, ale akcentowany przez Wydział krajowy wzgląd na budżet krajowy decydować tu winien, i słusznie uznany został za decydujący.

Korzystne wyniki ostatniego roku nie powinny gorączkowych budzić nadziei, one są faktem pomyślnym, ale warunkiem dalszej stopniowej akcyi mogą stawać się jedynie w miarę swego utrwalania się. Stosunkowo mały udział bezpośrednich interesentów i stosunkowo mała ochota do znaczniejszego finansowego poparcia nowych linii kolejowych porównany z faktem, że w innych krajach często powstawały lokalne koleje nawet wyłącznym kosztem interesentów, nasuwają też słuszne przypuszczenie, że i te lokalne koła u nas w kraju nie bardzo wierzą w znaczne pośrednie korzyści z budowy kolei. O ile przeto lokalnie istnieje pewna potrzeba ulepszenia komunikacyi, powyższy projekt radcy Kolosvarego zasługuje na bardzo poważne rozważenie i na wypróbowanie.

A poruszając już sprawę kolei wypada niestety z naciskiem zaznaczyć, że stanowisko rządu w tej sprawie jest często zupełnie nieodpowiedniem. Rząd posiada główne, najlepsze linie kolejowe w kraju, ztąd też jest obowiązkiem jego zbudować i konieczne linie boczne na własny rachunek, tymczasem widzimy i ociąganie się z budową, traktowanie nieraz tej rzeczy jak gdyby to były prezenta dla kraju,

i domaganie się udziału kraju w kosztach, co przy liniach państwowych nie jest skarbowo uzasadnionem.

Ale więcej jeszcze błędnem i krzywdzącem kraj, budzącem obawę pod względem państwowym, jest stanowisko władz wojskowych. Wśród ostatniego Sejmu, szef departamentu kolejowego, poseł Dr Stanisław Dąbski, przy obradach kolejowych (29/X 1903, str. 2591) powiedział: że słusznem jest żądanie, aby „aby akcyi kolei lokalnych nie mieszać z kwestyą strategiczną, aby jakoś wyperswadować rządowi, aby nie chciał swoich wojskowych interesów piec przy tym wspólnym biednym ogniu, jaki te trzy czynniki, kraj, interesenci i rząd rozniecają dla sprawy kolei lokalnych. Niestety tu się nie możemy oddawać zbyt niemu optymizmowi i tu znów jest ta Nemezis naszych stosunków, za którą my będący większością i jako większość mający odpowiedzialność za bieg wypadków, nieraz ze strony panów z opozycyi z przykrością krytykę słyszeć musimy — ale chciejcie uwierzyć, że nie brak woli czy chęci, tylko ten opór ze strony rządu, z jakim się spotykamy, ten najgorszy rodzaj biernego uporu, który powiada tak jak my chcemy lub nie będziemy nic robić, co ostatecznie czynnikiem biurokracyi wiedeńskiej najlepiejby odpowiadało, nieraz nas zmusza do tego, że przyjmujemy mniej, niżbyśmy chcieli dostać, że świadczymy więcej, niżbyśmy to chcieli. Tak np. ze sprawą kolei Jasło-Dębica; toż ten projekt jest znów typowym dowodem jak nieraz już nawet nie opór i niechęć, ale bałamutność decyzyi centralnych organów jest przyczyną złego. Kolej ta jako lokalna nigdy nie była projektowana, nigdy żadną uchwałą sejmową nie była objęta w program kolei lokalnych, ale istnieje w programie kolei państwowych — a że nie dochodzi do skutku, to powodem są ciągle inne zapatrywania władz wojskowych. Raz jest ona konieczną do obrony Austrii, najpierwszą koniecznością strategiczną, w drugim roku staje się groźną dla tych samych właśnie interesów państwa“.

Dwa przeto różne mamy tu do podniesienia grawamina. Z jednej strony wielkie, niesprawiedliwe żądania, z drugiej chwiejność decyzyi władz wojskowych. Jeżeli jakaś kolej jest dla wojska potrzebną, to jest ona potrzebą państwa, jak forteca, i państwo samo bez żadnego udziału kraju, bu-

dować ją powinno, a jeżeli wojskowość stawia pewne wymagania co do trasy i t. p. jakiej kolei krajowej, to całą nadwyżkę kosztów budowy i ruchu tem wywołaną znów państwo na siebie wziąć powinno.

Gorzej przedstawia się jeszcze — i to pod państwowym względem — chwiejność zdania sfer wojskowych co do kolei o strategicznem znaczeniu. Wątpliwości wojskowe powtarzają się tak często, chwiejność zdania występuje tak wielka, że nie przypuszczając bynajmniej złej woli, ze smutkiem stwierdzić trzeba brak świadomości, brak planu decydujących sfer ministerstwa wojny. Obrona kraju, wyposażenie go w dostatek linii strategicznych jest rzeczą tak doniosłą, że obawa musi napelniać ta stwierdzona nieświadomość czy bezprogramowość. Do instancyj niewiedzących czego chcą, nie można mieć zaufania. Chodzi tu o rzeczy za poważne, za żywo-
ne dla państwa, aby je móżd pomijać milczeniem. A jeżeli słyszymy nieraz, że wojsko nie pozwala na budowę pewnych linii ze względów strategicznych, to uznać potrzeba za zupełnie przestarzałe, naiwne, niesprawiedliwe stanowisko. Czyż kraj ma całe dziesiątki lat, przez życie pokoleń, być pozbawiony należytej komunikacji, czynnika ekonomicznego rozwoju, ze względu, że może kiedyś ewentualnie ta kolej by ułatwiała operacje wrogie? Ubożenie kraju, powstrzymywanie rozwoju, to zły system obrony; zubożały kraj nie zdoła należycie armii uzbroić — a wtedy i brak kolei by państwa nie uratował.

Chwiejność zdania co do strategicznego znaczenia danych linii chciano nieraz tłumaczyć rzekomo wyższą polityką (!) owych sfer. A całą treścią tej rzekomo wyższej polityki to marna spekulacja, że kraj weźmie na siebie wydatki, które państwo ponieść powinno. Byłaby to wprost polityczna niełojalność w postępowaniu, chęć wprowadzenia kraju w błąd, i ztąd takie tłumaczenie akei sfer wojskowych staje się ciężkim dla nich zarzutem.

Kraj nasz i jego posłowie popierali zawsze gorliwie wszystko, co uznano za potrzebne dla mocarstwowego stanowiska monarchii, i dlatego godziliśmy się na wydatki wojskowe bez zastrzeżeń, bez targów. To było i jest naszym politycznem stanowiskiem. Ale właśnie dbając o siłę i obron-

ność monarchii nie możemy spokojnie patrzeć na fakta, stwierdzające pewne braki w postępowaniu ministerstwa wojny; utrudnia nam ono często, podraża i opóźnia akcyę kolejową, ale nikt chyba nie zechce twierdzić, że ta jego chwiejność zdania jest słusznym wyrazem świadomej celu programowej akcyi, jaka w sprawach obrony monarchii panować powinna. Obawy powyższe wywołane chwiejnością decyzji winny być w właściwy sposób zaznaczone przez naszą delegacyę. Leży to w interesie i kraju i państwa.

TABLICA I.

Roczne nominalne obciążenie kraju
z tytułu popierania kolei lokalnych
wynosi okragło 926.000— kor.

Zwolnienia funduszu kolejowego w r. 1903
wynosiły:

- | | | |
|----------------------------------|------------|-----------------|
| 1) kolej lok. Borki W.-Grzymałów | 52.317— | |
| 2) „ „ Trzebinia-Skawce | 145.233·56 | |
| 3) „ „ Chabówka-Zakopane | 98.724·76 | |
| 4) „ „ Piła Jaworzno | 4.600— | 300.875·32 kor. |

Rzeczywiste obciążenie okragło za r. 1903 . 626.000— kor.

Nadto kolej lok. Łupków-Cisna wykazuje w r. 1903 nadwyżkę eksploatacyjną koron 58.500, która będzie użyta na planem umorzenia przewidzianą amortyzacyę akcyi pierwszeństwa będących w przeważnej części w rękach funduszu krajowego kolejowego.

Dalej czysty zysk kolei Trzebinia-Skawce powstający po spłaceniu raty pożyczkowej użyty będzie na umorzenie i oprocentowanie akcyi pierwszeństwa, z których krajowy fundusz kolejowy posiada w wartości nominalnej 266.000 koron.

T A B L

L. p.	Kolej lokalna	Otwarcie ruchu nastąpiło	Długość w kilometrach	Koszt budowy ogólny	Koszta budowy 1 kilometra	k r a j u		
						w pożytecz- gwa- rancyjnej	w akcyach pier- wszeństwa	w akcyach zakładowych
1.	Borki- Grzymałów	12 ¹ / ₈ 1897	32·638	1,800.000	55.150	1,200.000	—	—
2.	Łupków- Cisna	22 ¹ / ₁ 1898	24·941	1,580.000	63.350	—	1,050.000	—
3.	Trzebinia- Skawce	15 ¹ / ₈ 1899	59·783	6,929.000	115.903	{ 3,320.000 720.000	266.000	—
4.	Chabówka- Zakopane	25 ¹ / ₁₀ 1899	43·284	5,800.000	134.000	2 260.000	—	—
5.	Delatyn- Kołomyja- Stefanówka	18 ¹ / ₁₁ 1899	111.977	9,184.200	82.020	{ 5,200.000 900.000	—	—
6.	Piła- Jaworzno	27 ¹ / ₁₀ 1900	25·087	1,909.000	76.095	{ 928,000 330.000	—	—

Oprócz tego wynosi udział kraju w kosztach budowy linii kolei państwowych:

a) Chodorów Podwysokie } bezzwrotny udział kraju w łącznej kwocie 2,500.000 koron,
b) Przeworsk-Rozwadów }

ponadto objął kraj akcye zakładowe kolei lokalnej:

a) Kraków Kołomyżów }
b) Lwów Jaworów } na łączną kwotę 500.000 kor.

U D Z I A Ł

państwa		miejscowych interesentów					
w akcyach pier- wszeństwa	w akcyach zakładowych	w akcyach pier- wszeństwa	w akcyach zakładowych	bezwrotny	kraju	państwa	miejscowych interesentów
w k o r o n a c h					p r o c e n t o w o		
—	420.000	—	180.000	—	66.67%	23.33%	10.—%
—	—	60.000	470.000	—	66.40%	—	33.60%
—	1,149.000	634.000	840.000	—	62.13%	16.59%	21.27%
470.000	2,600.000	470.000	—	—	39.—%	52.8%	8.2%
—	1,215.000	—	1,869.200	—	66.42%	13.23%	20.35%
—	365.000	—	257.000	29.000	65.89%	19.91%	15.—%

NB! Nadto w budowie się znajdują wąskotorowa **kolej lokalna Przeworsk-Bachórz-Dynów**, której plan sfinansowania przedstawia się jak następuje:

- 1) udział kraju przez objęcie gwarancyi . koron 2,964.000
 - 2) udział państwa w akcyach zakładowych „ 1,152.000
 - 3) udział interesentów w akcyach zakładowych „ 330.000
- Razem . . koron 4,446.000

Otwarcie tej linii nastąpi w lecie bieżącego roku.

T A B L I C A III.

Kolej lokalna	Otwarcie ruchu nastąpiło	W y n i k e k s p l o a t a c y i w k o r o n a c h + (nadwyżka dochodów nad wydatki ruchu); — (miedobór).							UWAGA
		1897	1898	1899	1900	1901	1902	1903**)	
Borki wielkie-Grzymałów	¹² / ₈ 1897	+ 10423.77	+ 26031.45	+ 27393.24	+ 37144.87	+ 40088.79	+ 45573.11	+ 63.200	
Lupków-Cisna	²² / ₁ 1898	—	— 43661.50	— 6307.90	+ 7097.44	+ 21017.87	+ 41030.25	+ 58.500	
Trzebinia-Skawce	¹⁵ / ₈ 1899	—	—	+ 16029.23	+ 70789.80	+ 100432.20	+ 161244.93	+ 276.000	Nadto w r. 1903 zarachowano z tu- chu towarowego kartelowego za czas od ¹ / ₂ 1900 do ³¹ / ₁₂ 1901 kor. 132.338.18
Chabówka-Zakopane	²⁵ / ₁₀ 1899	—	—	+ 7769.11	+ 112544.87	+ 109984.62	+ 143635.72	+ 132.000	
Delatyn-Kołomyja-Stefanówka	¹⁸ / ₁₁ 1899	—	—	— 12263.88	— 164026.32	+ 54869.23*)	+ 52168.82	+ 70.000	
Pila-Jaworzno	²⁷ / ₁₀ 1900	—	—	—	— 5938.98	— 14693.91	+ 401.57	+ 25.800	
Kraków-Kocmyrzów	¹¹ / ₁₂ 1899	—	—	—	+ 13835.58	+ 22898.85	+ 28872.31	+ 10.997	

*) Część kosztów rekonstrukcyi linii wskutek powodzi z r. 1900 w kwocie 176228.88 koron obciąża rachunek zwłoki kosztów eksploatacyi.

**) Wyniki za rok 1903 będą ostatecznie zestawione w ciągu najbliższych tygodni i mogą się różnić od podanych tu w nieznacznych kwotach.

Kronika literacka.

— Józef Kallenbach: *Zygmunt Krasiński. Życie i twórczość lat młodych (1812 — 1838)*. Tomów dwa. (Lwów, 1904, nakładem Księgarni Polskiej B. Polonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp., 8-o, tom pierwszy stron 363, drugi 439). — Dużo w niedługich latach przybyło nam wiadomości o Krasińskim, a w miarę tego, na ich podstawie mnożą się i prace o nim, coraz dokładniejsze, coraz więcej rozjaśniające. Korespondencya z Henrykiem Reeve odkryła mnóstwo i faktów i śladów wewnętrznego życia poety, rozrostu jego umysłu, formacyi jego pojęć i jego charakteru. W *Bibliotece Warszawskiej* wyszła w ciągu ubiegłego roku rozprawa Adama Krasińskiego, *Dzień Ducha św.*, która bada, i naszym zdaniem rozstrzyga, ważną i trudną kwestyę filozofii Krasińskiego, jej stosunku do podobnych czy pokrewnych pojęć i systemów, od średniowiecznych mistyków począwszy, aż do wieku XIX. Otwierają się źródła, rozszerzają się podstawy badania, a w skutku tego i w ślad za tem zjawiają się badania, przedsięwzięte na wielkie rozmiary, a z całą umiejętną ścisłością, z całą należną przedmiotowi powagą.

Zygmunt Krasiński prof. Józefa Kallenbacha ma być, podług założenia autora, tylko historyą młodości poety: dochodzi do r. 1838, uważanego słusznie za datę ważną i stanowczą, za punkt zwrotny w twórczości poety. Ogrom materiału nie pozwala autorowi zgłębić się i przetworzyć w czasie niedługim i każe mu poprzestać na samej młodości Krasińskiego. Spodziewajmy się, że to tylko *na teraz*, że dalej znajdzie i czas i popęd do uzupełnienia tej młodości kolejami i dziełami z lat męzkich: a tę nadzieję mając, tymczasem dziękujemy za to, co jest.

Jest to bowiem wiele. Oprócz tego, co wszyscy możemy znać, a co on znał i badał gruntowniej może od wielu, znał prof. Kallenbach i to, co nikomu dotąd znanem nie było, miał w ręku domowe papiery Krasińskich, czytał korespondencyę syna z ojcem! Że ta musi być nietylko dokumentem najwyższej wagi,

rozwiązaniem najzawilszych zagadek, ale i ciekawością pierwszego rzędu, nie trzeba mówić. To też na takich dokumentach oparte opowiadanie o młodości Krasińskiego, musi mieć zalety wiarygodności i pewności, jakich żadna inna praca mieć nie mogła. Co było w innych domysłem, przypuszczeniem, tu ukazuje się jako dowiedziony fakt, albo niekiedy jako pomyłka czy legenda, potrzebująca sprostowania, i zaraz sprostowana. Szczegółów nowych, nieznanych, obfitość wielka; są między nimi drobne, ale zajmujące, z dzieciństwa poety, i są najważniejsze, jakie w ogóle być mogą, prośby syna, żeby ojciec pozwolił mu iść się bić w r. 1831, i odpowiedzi ojca, powody, dla których tego pozwolenia nie daje. Jednem słowem książka znacząca, ważna, od której rozpocznie się nowy okres w badaniach Krasińskiego i w jego znajomości.

Zaczyna autor od rodziców nie poety, ale jego ojca. Jan Krasiński, starosta Opinogórski, rotmistrz kawalerii narodowej, poseł na Sejm Czteroletni, synowiec i wychowaniec Biskupa kamienieckiego Adama, zapowiadał niezwyklego człowieka i obywatela, ale umarł w 33 roku życia. Swojego syna, siedmioletniego Wincentego, kochał bardzo, a ten wspomina go rzewnie w swoich, nieszczęściem bardzo krótkich, na dzieciństwie urwanych wspomnieniach. Matka przeciwnie, zdaje się, że od samego dzieciństwa mało tego syna kochała. Przyszedł on na świat w podróży, po niebezpiecznym dla matki wypadku z powozem, o mało nie kosztował jej życia: czy może to sprawiło w niej jakiś żal do tego dziecka? Młodszy synek umarł małym dzieckiem, starszy od śmierci ojca czuł się osieroconym zupełnie i nieszczęśliwym. Jego ożenienie, służba wojskowa rozpoczęta w r. 1806, wspomniane krótko, bez nowych szczegółów: ale co nowe i zajmujące, to wyjątki z jego listów do żony z czasu wszystkich wojen napoleońskich. Listy te świadczą, że Jenerał był lepszym, czulszym, bardziej przywiązanym mężem, niż się sądziło; świadczą także o jego wielkim zapale dla Napoleona i gorzkim bolesnem rozczarowaniu po upadku nadziei z nim związanych.

Szkoda, że autor dając w książce niektóre portrety, nie dał ich więcej. Jest Jenerał, Jenerałowa, jest mały Zygmunt, jest ojciec Jenerała, niema matki, tej starościny Opinogórskiej, której się wszyscy bali. Czemu? czy dla tego, że taka brzydka? Ale i Jenerałowa nie grzeszyła pięknością, a wizerunek starościny byłby ciekawy i potrzebny; przydałby się choć na to, żeby obudzić współczucie i politowanie dla biednego męża.

Mały Zygmunt rośnie, a za mentora dostaje Józefa Korzeniowskiego. Nowe i zajmujące są listy nauczyciela do ojca, i ojca do nauczyciela o chłopcu. Korzeniowski niedługo zostaje (zdaje się, że nie chciał znosić humorów chorej i rozstrojonej Jenerałowej), ale swego ucznia uważa za niezwykle zdolnego. Jego następca, Chlebowski, trzyma go krótko i uczy dużo;

zwłaszcza matematyki, do której biedny chłopiec niema najmniejszego pociągu.

Wśród tego śmierć Jenerałowej (r. 1822). Mały synek nie może się utulić w żalu: co dziwniejsze, to, że mąż przez pierwszy rok po jej stracie zamyka się przed ludźmi, chodzi jak bez duszy. Znać popędowa a lekka natura była gwałtowną w żalu, ale w nim niezbyt stałą. Ciekawe są zachowane ślady nauk poety, jego zadania, zeszyty, spis książek, które posiadał na własność.

Na jesień r. 1826 wchodzi Krasiński do szóstej klasy Liceum warszawskiego; Chlebowski donosi Jenerałowi, że chłopiec dość lekko traktuje szkolną naukę, ale jej nie zaniedbuje, uczy się pilnie. Przed końcem roku sam student musi być w strachu, zwłaszcza o matematykę, bo pisze do ojca, że ma bardzo dużo do roboty: *kuje*, mówiąc po dzisiejszemu.

Na zimowe półroczu r. 1827 zapisany jako uczeń uniwersytetu, ma świadectwo dobre z pilności, ale nie osobliwe z obyczajów. „Płochy! napominany i ukarany za niespokojne zachowanie się podczas lekcji“. Raz nawet siedział w kozie! całe dwa dni. Sprawa była taka, że Bętkowski powiedział coś niegrzecznego jednemu z uczniów. Inni, obrażeni, wytupali profesora z lekcji: a Krasiński był jednym z tych, co tupali najgłośniej. Zabawny jest list, w którym on ojca za ten wybryk przeprosza i obiecuje poprawę. Ale w tym samym czasie są i inne wybuchy samodzielności. Fajka, przed którą ojciec w końcu kapituluje, i pozwala palić; czytanie niezliczonych poezyi i romansów z przyjacielem Gaszyńskim: wreszcie, co najważniejsze, wdychania do pani Załuskiej. *Grób Reichstałów*, *Władysław Herman* i różne drobniejsze extra-romantyczne *Mściwe karty* i *Elżbiety Pileckie* piszą się lub zaczynają się pisać.

Następuje krótki rozdział o sądzie sejmowym, koniecznym do przypomnienia, i *Zajście w uniwersytecie*.

To, w swoich głównych rysach niezmiennione, w szczegółach wygląda inaczej, niżesmy wiedzieli, czy zapamiętali. Naprzód trwało dwa dni. Pierwszego dnia, 14 marca, po lekcji Osińskiego, znieważenie, zdercie znaków akademickich przez Leona Łubińskiego, obrona przez Gaszyńskiego i Danielewicza. Na-za-jutrz, przed lekcją Brodzińskiego, Krasiński pyta, kto mówił jakoby on miał się wyrazić, że zmarły Wojewoda Bieliński nie był wart czci, jaką mu wyrządzono. „Kto to mówił, niech wystąpi“. Nikt nie wystąpił. „W tem jest dowód, że rzucono na mnie potwarz“. Wszedł Brodziński, zaczęła się lekcya. Po lekcyi wystąpił Leon Łubiński i oświadczył *pod słowem honoru*, że to jemu Krasiński mówił słowa ubliżające pamięci nieboszczyka Bielińskiego. Krasiński odpowiedział mu, że jest kłamca i potwarca, i wyzwiał go na pojedynek. Brodziński na ten hałas wrócił do sali, na pozór uspokoił przeciwników, do czego mu

i ich koledzy pomagali; ale ta zwada, to wyzwanie, były przekroczeniem przepisów uniwersyteckich. Nastąpiło śledztwo, a w jego skutku ciche wydalenie obu z uniwersytetu, *Consilium abeundi* w prywatnym liście Rektora do Jenerała Krasińskiego. Wszystkie te akta podane są w przypiskach do książki. Potem, co zaszło, ojciec i tak nie mógłby był zostawić syna w Warszawie; byłoby to narażeniem go na coraz nowe przykrości i pojedynki. W każdym razie byłby go gdzieś wyprawił: ale po tej relegacyi wyprawić go już musiał.

Pierwszy rok w Genewie: wrażenia szwajcarskie, tęsknota za krajem; powiastki różne, artykuł o Literaturze polskiej, spotkanie i odnowiona znajomość z Odyńcem, a zrobiona z Mickiewiczem. To wszystko znane od dawna; od ogłoszenia korespondencyi z Reevem znana i historia miłości do Henrietty Willan. Ale co nie znane, to listy Krasińskiego do ojca, listy tak poufale, pełne zwierzeń, jak rzadkó ojcowie odbierają od synów. Zwierza się nawet ze swojej miłości do Henrietty. Nie tak gorąco i rozpaczliwie, jak w listach do Reeva, ale nie ukrywa, przyznaje się. Ojciec nie łaje, nie daje nauk; zapewne nie bardzo się tej miłości boi i sam sobie powtarza — synowi nie — znany wierszyk:

Szkoda tych łez i uniesień — będziesz chłopeże zdrów!
Nim przeminie druga jesień — zakochasz się znów!

Znajduje się w listach Zygmunta i echo dawnych affektów do pani Żałuskiej. Donosi ojcu, że odebrał od niej list, pełen oświadczeń przyjaźni i dobrych życzeń; a kończy nie bez urazy zapewne — złośliwym przekąsem *varium ac mutabile semper est foemina monstrum*. Czy te oświadczenia przyjaźni wziął za zalotność? Musiał sobie tak podchlebiać, kiedy mówi o zmienności kobiet.

Jenerał boi się, że rewolucya lipcowa z Paryża mogłaby się udzielić Szwajcarom, i decyduje, że syn ma wyjechać. Syn chciałby do Anglii, za Henriettą, ale ojciec tego znowu nie pragnie, i następuje wyjazd do Włoch. W tym rozdziale najładniejszy, bardzo sympatyczny jest stosunek między synem a ojcem: serdeczny, poufale, ze strony syna wielkie zaufanie i wielkie uszanowanie, wielka a szczerza uległość. Ze strony ojca powaga bynajmniej nie sztywna, nie surowa, nie pedantycznego, ani kaznodziejskiego. Ciekawe także literackie między nimi dyskusye, o Mickiewiczu, o klassycyzmie i romantyzmie. O swoich utworach zawsze syn ojcu donosi.

Rok cierpienia, rok 1831, najboleśniejszy, najważniejszy w życiu poety, jak słusznie autor mówi: ten, który z pięknych ale jeszcze nie stałych pierwiastków wyrobił wielki posąg geniuszu i cierpienia. Z listów do Reeva znamy już wszystko, co

się działo w duszy nieszczęśliwego młodzieńca, wszystkie jego szarpania i targania się, wszystkie walki pragnienia z obowiązkiem względem ojca. Wiemy, jak on rozpaczał, wiemy, że ojca błagał i zaklinał, ale wiemy to z opowiadania tylko, słyszymy echo tych próśb rozpaczliwych, nie słyszeliśmy dotąd ich pierwszego prawdziwego tonu. Tu on jest. Są listy syna i są odpowiedzi ojca.

Pierwszy z Genewy, 14 maja, jest pisany wszystkiemi łzami serca i wszystkiemi ogniami miłości do ojca — i do ojczyzny. Jak on tego ojca kocha! Jak go czci! jak mu ufa! jak jest pewien, że ojciec wierzy tym jego uczuciom! Ale przekłada, tłómaczy, błaga, chce przekonać, wzruszyć, a w końcu oświadcza, że gdyby mu ojciec pójść nie pozwolił, to go nie posłucha. Będzie się starał przekraść do Francyi, stamtąd do Warszawy. List jest od początku do końca rozdzierający.

Czemu młodzieniec groźby nie wykonał? Bo Jakubowski, mentor, odmówił pieniędzy, a w urzędzie przestrzegł, żeby wychowanka nie puszczono? P. Kallenbach uważa, słusznie, że Krasieński mógł zmylić te środki ostrożności, i pomimo nich się wyknąć: a jednak tego nie zrobił. Dla czego? Przypuszcza, naszym zdaniem słusznie, że po tym liście nastąpił przełom w nim samym. Stała przed nim jasno myśl, że gdyby poszedł, stałby się zaraz nowym kamieniem, i najeźszym, do wszystkich tych, któremi kamienowano ojca. Wtedy się zawahał: uczuł w sumieniu, że takim kamieniem być nie powinien, nie może, i poddał się, poświęcił obowiązkowi syna swoje najgorętsze pragnienie, i — jak myślał — swoją dobrą sławę. Tragiczna walka skończyła się bohaterskiem zwycięstwem nad sobą: ale skutki jej zostaną na całe życie.

A ojciec?

P. Kallenbach tłómaczy, słusznie, jego głosowanie w sądzie sejmowym szczerem przekonaniem, dobrą wiarą. Tak samo jego wytrwanie przy Wielkim Księciu, jako wodzu naczelnym wojska polskiego, aż do chwili, kiedy ten wódz wojsko od przysięgi uwolnił. Opowiada szczegółowo, jak Krasieński z wojskiem wroczył do Warszawy, jak zsiadając z konia przed Bankiem znalazł się w niebezpieczeństwie życia, jak się podał do dymisyi. Aż dotąd nie można na niego rzucać kamieniem. Nie wierzył w powstanie, nie chciał w niem służyć, przyrzekł, że przeciw niemu nie robi nic, i tego dotrzymał. Gdyby Jenerał był siedział na wsi, w Opinogórze, albo w Dunajowcach, mogła być pomyłka w jego postępowaniu, nie byłoby błędu. Błędem był wyjazd do Petersburga. Na rozkaz cesarza, któremu był przysięgał jako swojemu królowi, w złudzeniu (niewątpliwie szczerem, choć i przez wrodzoną próżność wmówionem), że po wojnie będzie mógł kraj ratować, gdy zyska wpływ u cesarza — wszystko to prawda. Ale nie mniej miejsce Polaka podczas wojny nie

było tam. Bardzo ciekawe, w przypiskach, notatki Jenerała z czasu pobytu w Petersburgu i powrotu do Warszawy.

Ale jego list do syna? jakiż jest?

Gorżki, goryczą człowieka zniesławionego; jednostronny, bo w wojnie roku 1831 widzi tylko pierwiastki i dążenia rewolucyjne, a te nie były ani jedyne, ani główne, ani najliczniejsze. Ale jest w tym liście powaga. Jest głębsza znajomość natury ludzkiej, kiedy synowi każe zastanowić się, czy w jego zamiarze jest tylko czysta miłość ojczyzny, czy też wzgląd na opinię, na oko ludzkie? czy chce bić się, czy uciec od wstydu, który go boli? Jest smutna, ale niestety trafna charakterystyka tak zwanej opinii publicznej. I jest uczucie polskie. „Czy myślisz, że gdyby chodziło o szczęście ojczyzny, gdyby honor kazał wszystko poświęcić, twój stary ojciec nie byłby ostatka krwi wylał, i ciebie nawet nie byłby dał na ofiarę?“

Autor uważa słusznie, że od tej chwili syn zaczyna przemawiać do ojca jak równy, „jak do zbłąkanego brata“.

„Życie bym dał za to, żebym mógł ojca widzieć gdzieindziej. Ręce mam związane, mało energii w duszy, słabiej coraz bardziej na umyśle. Kocham, o kocham mego ojca, i z założonymi rękami stoję daleko od Polski. Jednak, niech się papa zlituje. Czyż to nie jest moim obowiązkiem być tam i czynić to, co inni czynią? Papa nie wie, jak go kocham... wszystko poświęcić mu potrafię, ale nie jechać do Polski, nie bić się za Polskę, to mi éwiartuje duszę“.

Ostatnie trzy rozdziały, to ten stan młodzieńca, w którym on zaczyna przemieniać się na wielkiego myśliciela i wielkiego poetę. Autor wskazuje, jak rosną w nim pierwiastki, z których kiedyś powstanie *Przedświt*, jak rosną i zbliżają się do siebie te, z których niezadługo już złoży się *Nieboska komedia*. Zatrzymuje się dłużej nad *Adamem Szaleńcem*, nie dla jego wartości poetycznej, ale dla tego, że widzi w nim ważny dokument do psychologii i do historii poety. Kończy powrotem Reeva do Genewy, ostatnimi miesiącami w tem mieście i wyjazdem przez Lombardję, Wenecję, Wiedeń do Opinogóry i do Petersburga.

Tyle w samej książce. W *objaśnieniach i uzupełnieniach* (przypisach) wiele bardzo ciekawych i ważnych szczegółów i dokumentów.

Taki jest tom pierwszy, obejmujący dzieciństwo i pierwszą młodość Krasińskiego. Jest bardzo dobry. Dla historyków literatury, dla badaczy i znawców Krasińskiego nieoceniony, dla ogółu ludzi wykształconych i czytających bardzo zajmujący i bardzo nauczający.

Drugi nie mniej, owszem więcej ciekawy. I zdarzeń więcej — miłość do pani Bobrowej — i dzieła wielkie, *Nieboska komedia*, *Irydion*.

Po rozstaniu z Reevem Krasiński w Opinogórze, i — re-cydywa miłości do pani Żaluskiej. Ta sprawa znana już z listów do Reeva: natarczywe deklaracje młodzieńca, przyjaźń wierna na całe życie, ale nie więcej, ze strony drugiej. Nowe, pierwszy raz ogłoszone, są fragmenta zapisane w albumie pani Żaluskiej, w tym samym rodzaju i stylu co inne jego pomysły z tego czasu. Potem Petersburg; gorycz, ponury smutek, i trafnie z listów do Reeva wydobyte pierwiastki *Nieboskiej komedyi*, które są w głowie poety, choć pomysł poematu jeszcze w niej nie powstał. Pomysł *Irydionu*. Przy nim wyjątki z bardzo ciekawego i ważnego listu do Jenerała Morawskiego (ze stycznia 1833 r.), z którego pokazuje się jasno, że to pojęcie starożytnego świata i jego upadku, jakie jest w *Irydionie*, było już zupełnie wyrobione i dojrzałe w chwili jego pierwszego poczęcia. Stwierdzenie, słuszne, że ten pobyt w Petersburgu przemienił i wytrawił Krasińskiego. Zdolny, myślący, nie małego talentu młodzieniec, dojrzał na genialnego myśliciela i pisarza.

Osobny rozdział poświęcony *Agay-Hanowi*. Trafnie dostrzeżono, że w ciągu pisania styl się rozwija, ale zachowuje jeszcze wiele ze złych zwyczajów młodości. Ciekawe, a sądzymy i słuszne, spostrzeżenie, że młodzieniaszek paż ze swoją gwałtowną namiętnością, i Maryna dumna z nim i imponująca, to niby wspomnienie siebie samego i pani Żaluskiej.

Od wyjazdu z Petersburga stałym prawie nieodstępnym towarzyszem Krasińskiego, będzie aż do swojej śmierci Danielewicz, przyjaciel, uproszony przez ojca na opiekuna synowi. Wiemy o nim tyle tylko, co w swoich listach napisał Krasiński: teraz pierwszy raz mamy sposobność przypatrzeć mu się bliżej, poznać go lepiej. Danielewicz pisuje do Jenerała, zdaje mu sprawę z moralnego i fizycznego stanu syna: a te wyjątki z jego listów i ważne są same przez się i o nim dają wyobrażenie jak najlepsze. Sympatyczny jest, ujmujący, przywiązany bardzo do swego młodszego przyjaciela, widzi trzeźwo wszystkie jego złe czy słabe strony, wszystkie niebezpieczeństwa. Nie zakrywa ich, ani im nie pobbłaża: czasem, zwłaszcza w późniejszych latach, dochodzi prawie do rozpacz czy do zniechęcenia. z ciągłej walki z tą wyobraźnią rozhlukaną, z temi rozstrojonemi nerwami. Stanowczy, mężki, żartobliwy czasem, ale dobry zawsze, i zawsze rozumny: nie dziw, że go Krasiński bardzo kochał, że go wypoetyzował na swojego mistrza Aligiera.

Jak z obserwacyi i wpływów współczesnego świata złożyło się w umyśle poety to jego rozumienie, jakie jest w *Nieboskiej komedyi*, to na ogół jest wiadome. Przybývają wszakże nieznane a ważne szczegóły. O ten mniejsza, że *Nieboska* zaczęta w Wiedniu, skończona była w Wenecyi, w drodze do Rzymu; to ciekawsze, że kiedy ją Krasiński pisać zaczynał, Danielewicz w liście do Jenerała opisuje ją jako rzecz, która ma być *tragiczno-*

blazeńską (tragico-buffo). W akcie pisania tedy ten ton buffo zaginął, a został z niego ten głęboko ale poważnie satyryczny, w jakim kreślone są niektóre postacie, i niektóre strony natury Henryka.

Bardzo zajmujący, u nas Polaków bodaj czy nie pierwszy raz skreślony zarys religii Saint-Simona, jej historii i jej apostoła czy arcykapłana Enfantin. Ale czy ta cała nauka tak działała na Krasińskiego i tak się odbiła w *Nieboskiej komedyi*, jak autor twierdzi, tego jesteśmy mniej pewni. Nie wątpimy bynajmniej, że Krasiński znał tę naukę, ale sądzimy, że bez niej, i bez jej znajomości, byłby tak samo wymyślił tę religię, której obrzędy święci Leonard. Nie potrzebował Saint-Simona: z Rewolucyi francuskiej mógł się dowiedzieć, że nienawiść i niszczenie chrześcijaństwa jest jednym z pierwiastków składowych i celów rewolucyi. Że doktor Enfantin chce, żeby nie było kościołów, ani kapłanów, to prawda, ale nie on jeden taki: a środki działania, jakie on swoim adeptom zalecał, są inne zupełnie, jak te, któremi posługuje się nowa religia w *Nieboskiej*. Mógł Krasiński myśleć i o Saint-Simonizmie, kiedy te obrazy układał, ale sądzimy, że myślał co najwięcej dodatkowo i ubocznie.

Podaje autor w streszczeniu wszystkie sądy o *Nieboskiej*, od najdawniejszych do najnowszych, a w końcu podaje wiadomość niezmiernie ciekawą. Krasiński chciał rozszerzyć *Nieboską* i zrobić z niej trylogię! Adam Krasiński, wnuk poety, znalazł niezbite na to dowody. *Niedokończony poemat* jest tej trylogii częścią pierwszą: trzecia (na szczęście, dzięki Bogu!) nie była nigdy napisana. Ale przy tej okazji przytacza autor ustępy z nieznaney dotąd pracy Adama Krasińskiego, której ostatnią konkluzją jest twierdzenie, że w Pankracym jest więcej wiary i miłości, niż w Henryku, a więc pierwiastki i warunki przyszłości są nie w Henryku, ale w Pankracym. O tem możnaby rozprawiać wiele, na co tu ani miejsca, ani czasu niema. Zdaje nam się tylko, że to pojęcie zmienia i znosi to, co od Mickiewicza uważane było za samą istotę genialnej mądrości dzieła, mianowicie, że żaden z dwóch przeciwników nie ma prawdy i nie ma warunków stworzenia nowego porządku rzeczy. Gdyby zapytać autora *Nieboskiej*, czy przyznawał Pankracemu więcej prawdy, więcej miłości i wiary, niż Henrykowi, on, który Pankracemu włożył w usta pytanie: „Myśli moja, czyż nie zdolasz ludzi siebie, jak *ludzi* innych?“ on, co w usta Aligiera włożył pytanie: „Czy wierzysz w to, co mówisz?“ Coby autor *Nieboskiej* odpowiedział? P. Kallenbach dodaje od siebie, że człowiekiem przyszłości byłby Pankracy, ale Pankracy, który został *chrześcianinem*. Niewątpliwie tak: tylko gdzie są pierwiastki tego chrześcijaństwa w Pankracym poematu, albo w tem wszystkim w rzeczywistości, czego on jest wyobrazicielem i typem?

Pobyt w Rzymie: ciekawe listowne dysputy literackie między ojcem, który synowi zaleca studyować Krasickiego, a synem, który nosi w głowie *Irydion* — i 30 marca 1834 r., w Rzymie, poznanie pani Bobrowej. Odtąd ta miłość stanie się na lat cztery głównym faktem życia poety, tłem, na którym rozwija się to życie. Ona była zamężną od lat dziesięciu, a wyszła za mąż z miłości (tegośmy się dotąd nie domyślali). Miłość rosla w nim prędko. Mąż, matka, którzy byli z panią Bobrową, nie widzieli w niej znać nie strasznego, skoro Krasinski mógł z niemi wszystkiemi razem wyjechać z Rzymu, przez Florencyę i Wenecyę, do Monachium, skąd tamci udali się do Wiesbaden, a Krasinski do Kissingen do ojca.

Jenerał także nie bierze tej sprawy tragicznie; myśli, że to przejdzie prędko. Danielewicz niepokoi się pierwszy; Krasinski sam pisze do ojca, że ją „kocha bez szalu, ale szczerze i bardzo“. A jednak odetchnął kiedy wyjechała, tak był zmęczony zlemi humorami, płaczami i spazmami.

Listy do Reeva pełne są wyrzutów sumienia i przeczuć smutnego końca tej miłości; listy do pani Bobr pisane tak, jak pisać można do każdej znajomej pani, a nieraz zakończone serdecznemi ukłonami dla męża, który znowu bardzo po przyjacielsku mówi w listach do Jenerała o jego synu. P. Kallenbach wnosi z tego wszystkiego, że dotąd jeszcze więcej było w tej sprawie ludzkiego gadania i obgadywania, niż rzeczywistego do nich powodu.

Koniec roku (1834) w Rzymie, w pracy nad *Irydionem* i w ciągłej myśli o pani Bobrowej, w obawie o jej zdrowie, w czarnych przeczuciach. *Sepolte vive* w Neapolu (r. 1835) wróżą jej śmierć rychłą. Jenerał się niecierpliwi i gniewa, że syn żyje w poetycznych marzeniach, filozoficznych rozmyślaniach i miłosnych uniesieniach: chciałby go widzieć w zwykłej kolei życia, normalnej i praktycznej. Danielewicz się martwi; myśli, że w tej miłości więcej jest wyobraźni i exaltacyi, niż rzetelnej prawdy, ale oba rzucają groch na ścianę. W lecie, w Kissingen, nowe spotkanie. Szczęście zrazu; zaraz potem gorycz, tragedia, rozpacz. Dlatego rozdział ten ma napis *Raj i Piekło*. Ludzkie obmowy, zgryzoty obu stron; nieszcześliwa żona sama wyznaje prawdę mężowi; Krasinski boi się o jej rozum, o jej życie, a siebie oskarża jako winowajcę tego nieszczęścia.

Są trzy reprodukeye portretów pani Bobrowej. Na jednym bardzo ładna, na dwóch drugih weale. Musiały być złe, bo ona do końca zachowała ślady piękności. Szkoda, że autor nie dał jej moralnego wizerunku. Jaka była, jaki rodzaj i stopień inteligencji, jakie usposobienie, upodobania lub zwyczaje, obejście z ludźmi, rozmowa: taka charakterystyka byłaby wiele dodała dziełu.

Wśród tego kończy się i posyła się do druku *Irydion*. W rozdziale jemu poświęconym jedno spostrzeżenie nowe, a ważne: mianowicie zmiany, jakim ten pomysł w głowie autora ulegał. Pierwsza myśl, w Petersburgu, była ta, którą znamy z zakończenia poematu. Zemsta nie ratuje sprawy, nie zbawia ojczyzny, trzeba na to środków innych. Ale w ciągu długiego pisania i przerabiania zmienia się sposób widzenia poety. Jest on rozstrojony, wyrzucony z równowagi, tem wszystkim co widzi w Polsce i w świecie, i swoją własną miłosną tragedją, i pod tym wpływem traci tę wiarę, ten religijny grunt, jaki miał pod nogami: myśl zemsty wychodzi na wierzch i bierze górę. Listy do Reeve'a, a jeszcze więcej trafnie dostrzeżone sprzeczności między wieloma ustępami i samą myślą Prologu a Epilogiem, dowodzą tego wyraźnie. Ale przed ostatniem ukończeniem dzieła wróciła, odezwała się o swoje prawa, pierwsza jego, chrześcijańska, myśl podstawna: poetyczna fantazyja ustąpiła przed sumieniem, i zakończenie stało się posłaniem Syna Zemsty do ziemi mogił i krzyżów. Bardzo trafnie, bardzo pięknie formuluje p. Kallenbach te przemiany i ich po sobie następstwo (strona 224), a w przypiskach podaje całość, w tekście wyjątki, tej *Syntexy*, którą Krasiński jeszcze w Petersburgu napisał, a która obejmuje i wyraża myśl tę samą, co dzisiejszy *Epilog Irydiona*.

Niewątpliwie ma także słuszość, kiedy widzi zbliżenie (jeżeli nie wpływ) zakończenie *Fausta* na zakończenie *Irydiona*. Mniej przekonani jesteśmy, czy szukanie innych wpływów prowadzi go do pewnych rezultatów. Dobrze jest szukać i śledzić genezy poematów, ale tego dobrego także nie trzeba nadużywać. Nadużywają go, w naszym przekonaniu, ci, co jak pan Pini, pan Hahn, a za nimi i p. Kallenbach, szukają w *Irydionie* *Martyrów* Chateaubrianda i *Il Vivere* Ferriera. To przypuszczamy zupełnie, że Lucyfer z *Kaina* Byrona (jak chce p. Drogosław) mógł się przyczynić do kreacyi Massynissy. Lucyfer jest zupełnie inny, ale jest w nim wielkość, i ta wielkość choć odmienna, mogła Krasińskiemu pomódz do wielkich rozmiarów Massynissy, mogła być wskazówką, jak się te wielkie rozmiary osiąga i nadaje. Niema naśladowania, ale mogła być nauka. Inaczej ma się rzecz z tamtymi autorami i mniemaniami wpływami. Nie możemy sądzić, ani przeczyć, wpływu Chateaubrianda *Études ou discours historiques*, bo ich nie znamy. Pozwolimy sobie tylko skromnie zrobić uwagę, że Krasiński pisząc *Irydiona*, nie potrzebował z tego dzieła dowiadywać się, że w ówczesnym Rzymie były trzy wielkie historyczne pierwiastki, Rzym z cezaryzmem, chrześcijaństwo, i barbarzyńcy. To wie każdy, kto się uczył historii choćby w gimnazyum, i każdy, kto chce pisać o ówczesnym Rzymie książkę naukową czy poemat, wie, że te trzy pierwiastki w dziele swoim umieścić musi.

Co zaś do owego nieszczęsnego *Vivere* i do *Męczenników*? Zdarza się prawda, że poeta wielki, genialny, ulega wpływowi mniejszych od siebie. Zdarzyło się to i Kraszińskiemu: wszak był pod wpływem Jean Paula! Ale też odbiło się to na nim: pod tym wpływem napisał *Sen Cezary*! W *Irydionie* wpływu *Martyrów* niema. I w nich, jak we wszystkim co ma za treść upadek Rzymu, jest i pogaństwo, i chrześcijaństwo, i barbarzyńcy: to prawda. Ale to pogaństwo, to chrześcijaństwo, to barbarzyństwo, jest tam tak konwencyonalne, tak oklepiane, tak deklamacyjno i frazesowo puste, tak pozbawione siły, natchnienia głębi uczucia, wielkich rozmiarów, że ta kartonowa dekoracya i te lalki ubrane w strój Eudora, Cimodoce, czy Welledy, czy Szatana, z *Irydionem* nie wspólnego mieć nie mogą, i nie wlały ani jednego z siebie atomu w ten bronz, z którego ulane są jego ogromne postacie. Że u Chateaubrianda Szatan opiera stopy o piasek puszczy Libijskich i ma postać starca, to podobieństwa z Massynissą nie stanowi. Tem samem prawem moglibyśmy twierdzić, że pisarz, który mówi, że słońce świeci, niebo jest błękitne, a drzewa zielone, zapożycza się u tych setek tysięcy, którzy przed nim powiedzieli to samo. *Irydion*, jak *Martyry*, ma za treść ten sam okres czasu: ale na tem koniec. Kiedy Szekspir brał z różnych nowell treść do swoich komedyj i tragedyj, czy Szekspir był pod wpływem tych autorów? Kraszewski pisał *Rzym za Nerona* — bardzo być może, że Sienkiewicz to czytał. Czy dla tego powiemy, że w *Quo vadis* jest wpływ *Rzymu za Nerona*? Krasziński z pewnością musiał czytać *Martyrów*, bo ich wtedy wszyscy czytali: ale nie więcej był pod ich wpływem, nie więcej tego wpływu w nim znać, jak w *Quo vadis* Kraszewskiego. Można pisać to samo, pisać o tem samem, a pisać inaczej, a wtedy mimo zbliżenia w treści niema podobieństwa, niema wpływu.

Co, wyznajemy, dziwi nas trochę, to, że *Irydion* wydaje się autorowi „rozwlekłym, nie ożywionym, miejscami nudnym“: „chłód pewien wieje z tej prześlizanej płaskorzeźby i gdyby nie zakończenie, rozstawalibyśmy się z *Irydionem* na chłodno“. Dysputować o tem nie można, na jednego może wiać chłód tam, gdzie na drugiego bucha żar: ale dziwić się można.

Rozdział następny, *W rozstroju*, to rok 1836: to fizyczne cierpienie, to moralna rozterka, to pragnienie tworzenia i działania, krępowane złem zdrowiem, to coraz boleśnieszce wiadomości o stanie kraju. Pod temi wpływami wyrabia się ten (przemijający) rozpaczliwy pesymizm, w jakim Krasziński pisał ten list do ojca o Polsce, którego wyjątki znał i ogłosił Szujski. Tu jest on w całości. Kuracya w Kissingen i w Graefenbergu nie pomaga, tylko owszem szkodzi. Zima w Wiedniu (z r. 1836 na 1837) pogorsza jeszcze stan moralny i stan fizyczny. Z tego czasu niektóre smutne wiersze do pani Bobrowej (*Jesli mi kiedy*

przewodniczyć miały, Mógłbym być z tobą na ziemi szczęśliwy i t. d.). Potem, w lecie r. 1837, *Przesilenie*. Spotkanie z ojcem w Kissingen. Ojciec żąda zerwania, syn odpowiada, że nie może opuścić tej, którą zrobił nieszczęśliwą. Już nie miłość go trzyma, tylko litość, dobroć, poświęcenie. Ona go męczy i dręczy coraz bardziej (Listy do Reeva), ale on jej porzucić nie może i chce się poświęcić: rozwieźdź ją i zaślubić. Na to rozpacz i gniew wielki ojca, zakończony syna przysięgą, że nie rozwiedzie i nie ożeni się: ale nie przyrzeczeniem zerwania. W marcu r. 1838 prosi ojca, żeby mu pozwolił zerwać powoli, ostrożnie, litościwie, nie raniąc tej nieszczęśliwej. W maju ostatnie spotkanie w Salzbrenn, krótkotrwałe, bolesne, tragiczne jego zgryzotą, a jej stanem blizkim obłąkania, a w lecie, w Opinogórze, ostatnie starcia z ojcem, tego krok wprost do pani Bobrowej, prośba, żeby zerwała, i to zerwanie w kilku słowach przez nią skreślonych. Potem, już we Włoszech, dwa wspaniałe epitafia tej miłości: *Dla ciebie wszystko straciłam na ziemi i Jak kawał lodu skrzepło serce moje.*

W ostatnim rozdziale, *Twórczość*, przechodzi autor *Wandę, Modlitewnik, Pokusę i Noc letnią*; objaśnia je stanem umysłu i uczuć poety, objaśnia ich powstanie; o *Nocy letniej* twierdzi, że pochop do niej dała Stefania Radziwiłłówna, córka księcia Dominika, wydana za Wittgensteina, i przypuszczenie to popiera silnemi przekonywającemi dowodami. Wskazuje także, jak w tym czasie kształci się i wyrabia Krasieńskiego wiersz.

I na tem koniec. Brak nam tu jednego końcowego rozdziału, któryby wszystkie reasumował, wyciskał z nich esencję i czytelnikowi dobrze wbił w głowę, jakie zmiany i przejścia Krasieński przeżywał, do czego doszedł, jakim się stał i był w tej chwili i jak był usposobiony i przygotowany do tych zmian nowych, które miał przeżywać.

W *objaśnieniach i uzupełnieniach* wiele rzeczy nowych, ważnych i ciekawych. Do najciekawszych należy list do Jenerała Morawskiego (z Petersburga 1833 r.) o Literaturze, a głównie o francuskiej, list do Stanisława Krasieńskiego, kiedy ten się bił w r. 1831 i *Fragment* pisany w r. 1829.

Drugi tom nie mniej, owszem więcej chyba zajmujący i nuczający, jak pierwszy. Oba razem stanowią wielki nabytek dla naszej literatury, wielką zasługę swego autora. Korzystał on z materyałów nader ważnych, a nieznanych. Mógł i on nie wszystko jeszcze wiedzieć, mógł to lub owo widzieć i wyrozumieć niezupełnie dokładnie: jeżeli tak jest, to go kiedyś drudzy sprostują. Ale zebrał fakta i ułożył je w ciąg; zebrał wszystko to, co dotąd było wiadomem o młodości Krasieńskiego, dodał wiele co wiadomem wcale nie było. Pomógł znać i rozumieć lepiej — postać jedną z największych w naszej literaturze, objaśnił kwestyę jedną z najtrudniejszych, jakie w niej są. Kto

to zrobił, ma prawo być spokojnym o siebie, bo zrobił coś dobrego; ma prawo, żeby drudzy byli mu wdzięczni, i dziś, i długo po nas, jak długo będą zajmować się polską literaturą, polską myślą i polską duszą.

St. Tarnowski.

— *Henrik Ibsen. Von Paul Ernst. (Die Dichtung. Eine Sammlung von Monographien. Herausgegeben von Paul Remer. Buchschmuck von Heinrich Vogeler. Band I). (Verlegt bei Schuster & Loeffler. Berlin und Leipzig).* — Dobrym widocznie i zyskownym interesem księgarskim musi być wydawnictwo illustrowanych monografii o przedmiotach tego samego zakresu treści, w formie wszystkim tomom wspólnej, kiedy coraz to nowe pojawiają się przedsiębiorstwa tego rodzaju. Początek dały znane powszechnie monografie artystów, za nimi poszły inne: o postaciach historycznych, o krajach i miastach, o stanach i zawodach, o teatrze i aktorach, o poetach i t. d., a niema prawie roku, by się nie zjawił nowy pomysł. Najświeższym jest zamiar berlińskiej firmy, bardzo poważnej i poważanej, ogłaszania tomików poświęconych poetom, a pisanych także przez poetów. Myśl w pierwszej chwili wyjątkowo ponętna, aczkolwiek głębsza rozważa przekonana, że w fakcie powołania poetów do wydawania sądu o poetach nie leży bynajmniej jakas nadzwyczajna dla samej rzeczy korzyść. Gdy malarz pisze o malarzach lub budowniczy o budowniczych, taki sąd może mieć szczególną wartość dlatego, że i malarstwo i budownictwo mają osobną technikę fachową, której szczegóły pewne może nawet historykowi i estetykowi sztuki nie są dokładnie znanymi. W poezji natomiast techniki w tym sensie, jak tam mieszanie farb lub wiązanie dachu, nie ma, a tajniki wyższej techniki odgadanie krytyk literacki może z większą jeszcze bystrością, niż poeta, który krytykiem nie jest. Ostatecznie więc nie o zdolność własnej produkcji poetyckiej, lecz o odczucie obcej tu chodzi i książka będzie wtedy dobrą, jeśli ją napisze dobry krytyk, choćby był lichym poetą.

Widać to zaraz na pierwszym tomiku, gdzie p. Paweł Ernst mówi o *Henryku Ibsenie*. Na dziewięćdziesięciu stronicach małej ósemki przedmiotu wyczerpać nie można i o to autor wcale się nie kusi. Uwalnia się naprzód od obowiązku opowiadania biografii genialnego pisarza, co jest naturalnie jego prawem i nie raziłoby ani trochę, gdyby nie to, że ilustracje książeczki odnoszą się przeważnie do biograficznych momentów. Również nie daje p. Ernst rozbioru wszystkich po kolei dramatów Ibsena, lecz ogólną charakterystykę poety i najwybitniejszych okresów jego twórczości. I tu autor udowadnia samodzielność umysłu, bystrość sądu, jasność wykładu. Zaczyna od tra-

fnego stwierdzenia, że Ibsen młodzieńczemi dziełami należy do piśmiennictwa norweskiego, a dopiero późniejszymi pracami do literatury wszechświatowej, zastrzegając jednak, że jeśli n. p. Homer, Dante, Szekspir, Goethe tworzyli dla wszystkich narodów i czasów, dzieła Ibsena noszą na sobie piętno czasu, w którym powstały, są obrazem współczesnej cywilizacji. Dzisiejszy człowiek zaś nie może być całkowicie i wyłącznie indywiduum, lecz musi być jednym z kółek wielkiego mechanizmu, który się społeczeństwem zwie. Stąd dramat nowoczesny wysuwa na pierwszy plan konflikt indywidualizmu, człowieczeństwa ze społecznymi funkcjami. Dla tragedii taki stan rzeczy nie jest pomysłem, bo walka człowieka przeciw społeczeństwu *a priori* musi być straconą, a jej nieszczęśliwy bohater zwalcza ostatecznie i siebie jako czynnik społeczny i dlatego co najwyżej może być tragikomicznym, jak Don Quichote. Już tu krytyk zajmuje wobec dzieł Ibsena stanowisko zasadniczo wątpliwe, a w dalszym ciągu niejednokrotnie ujemnie je ocenia usprawiedliwiając się — niepotrzebnie — że przykładą do nich największą miarę, jedynie godną genialnego mistrza. Z młodzieńczych utworów obszerniej omawia *Bohaterów północy* i *Pretendentów do korony*; dla pierwszych ma słowa surowe, głównie ganiąc usunięcie z mytu o *Nibelungach* Hagena i szkodliwe tego następstwa, drugich wywyższa osobiście ponad wszystkie inne dramaty, chwalać wielkość połączoną z prostotą (w przeciwieństwie do zagmatwania problematycznego wielu innych). *Peer Gynt*, *Brand* i *Cesarz i Galilejczyk* wychodzą również źle na sądzie p. Ernsta; pierwszemu zarzuca antidramatyczność, charakter epiczny, dwóm innym ową wspomnianą powyżej tragikomiczność, a Julian przypomina mu tego cesarza, o którym wieść niesie, że do Zeusa strzelał z łuku. W następnych dramatach, na tle stosunków obu płci osnutych, znowu, zdaniem autora, niema istotnie dramatycznego pierwiastku: czyniąc z mężczyzny wcielenie intelektualizmu, a kobiecie kładąc wyobrażać irracjonalne popędy natury, poeta uniemożliwia właściwie walkę, bo zapaśnicy nie stoją na jednym i tym samym gruncie, a zresztą mężczyzna jako przedstawiciel intelektualizmu, odrazu na scenie gorzej wygląda od kobiety. *Komedia miłości* to „robota felietonowa“, *Związek młodości* natomiast jest arcydziełem, a *Podpory społeczeństwa* dają autorowi pole do rozwinięcia swych poglądów na sprawę ekspozycji, jak wiadomo, jednego z najważniejszych środków technicznych wielu późniejszych dramatów Ibsena i jego naśladowców. *Nora* zestawiona z *Widmami*, jej kosztem bardzo wysoko podniesionemi: opowieść Nory jest, w myśl dość słabej w tem miejscu argumentacji p. Ernsta, nowellistyczną, dzieje pani Alving zaś tragicznemi, bo wszystko u niej wynika z konieczności, gdy tam nie brak niespodzianek; tam jest tendencja, tu wstrząsająca tragedia, której wyżyn poeta już nigdy więcej nie osiągnął, bo sceptyk

tragedyi nie stworzy. Takimi spostrzeżeniami i poglądami wypełnioną jest zgrabna, pięknie wydana książeczka. Niewątpliwie nie zawsze są one uzasadnione, lecz w każdym razie posiadają to, czego się przeczytawszy sto rzeczy o Ibsenie, szuka w setnej i pierwszej: wstręt przed powtarzaniem innych, subiektywną słusność własnych idei.

Dr. J. Flach.

— *Moderne Deutsche Lyrik*. Mit einer literargeschichtlichen Einleitung und biographischen Notizen herausgegeben von Hans Benzmann. (Leipzig, Verlag von Philipp Reclam jun. *Universal-Bibliothek*. 4511 — 4515). — Ze wszystkich działów literatury pięknej niemieckiej, liryka najmniej u nas jest znana. Nawet dawniejsza, z którą własne studia lub nauka szkolna powinna nas zaznajomić. Lecz szkoła wciąż jeszcze zapomina, że n. p. jedynie ciekawymi dzisiaj poezjami Klopstocka są liryki jego, że Schiller prócz dramatów i ballad coś więcej napisał, a Goethe wielki zawsze, największym przecież jest w liryce. I tak idzie dalej, tam już, dokąd szkoła nie sięga, a skutek z tego, że krytyk zaznajamiający polski ogół z najcenniejszymi utworami bieżącej literatury niemieckiej, może mówić o powieściach i dramatach, bo może się oprzeć na pewnym zasobie wiadomości, jakie czytelnicy o tych rodzajach piśmiennictwa posiadają, natomiast o liryce milczeć musi, nie mając do czego nowych jej zjawisk w umyśle czytelnika dołączyć. Jedyne wyjściem jest tu antologia, oczywiście dobrze ułożona i zaopatrzona jasnym a trafnym wstępem. Taką jest książka wydana w popularnej *Bibliotece powszechnej*. Poetów w niej chyba — zwłaszcza dla polskiego czytelnika — aż za dużo, bo są i trzeciorzędni, nawet we własnej ojczyźnie nieznani, są też i pisarze, których znaczenie nie na polu liryki leży, jak n. p. G. Hauptmann lub Schnitzler. Rozumnem jest natomiast wykluczenie poetów żyjących wprawdzie, lecz nie noszących znamienia dzisiejszej liryki (n. p. Heyse, Lingg, Jensen, Dahn), a wciągnięcie z drugiej strony do spisu dwóch zmarłych, lecz duchowo wiele z dzisiejszym pokoleniem mających wspólności, jak K. F. Meyer i Teodor Fontane, znakomity realista. Na końcu tomiku podane są krótko daty odnoszące się do życia poetów (dwóch z nich, prawda, że drugorzędnych: Hans Weber-Lutkow i Bodo Wildberg urodzili się we Lwowie) i wydań ich dzieł aż do r. 1903).

Najcenniejszym jest obszerny wstęp, bardzo przejrzysty i z drobnymi wyjątkami zupełnie trafny. P. Hans Benzmann, wydawca antologii, a sam przytem dość ceniony poeta, wywodzi współczesną lirykę od braci Henryka i Juliusza Hartów, którzy jeszcze w r. 1879 ogłosili program ewangelii ludzkości w przeciwieństwie do sentymentalnej *Butzenscheibenlyrik*. Autor zwraca jednak słuszenie uwagę na to, że ta nowa liryka tylko w treści różniła się od zwalczanej przez siebie poezji, a jej przedstawiciele, jak Conradi, Bleibtreu, Holz, Mackay, Henckell,

pod względem formalnym mało co różnili się od epigonów, których usilowali stracić z Parnasu. Prawda, że byli osobistszymi, szerszymi od nich, mieli więcej temperamentu i namiętności, lecz oryginalnymi artystami taksamo nie byli, jak ich przeciwnicy. Ich hasłem była indywidualność, duch czasu, naturalizm wielkomijskiego, ulicznego, fabrycznego, gdzie na przekór starej sztuce widzieli i odtwarzali przedewszystkiem to, co szpetne, wstętne, anormalne, zwyrodniałe. Wlewając to nowe, może raczej młode wino w stare naczynia, nie stworzyli więc nowej sztuki, a nawet w tym szczupłym zakresie nie dokazali wiele, prócz jednego, największego, który teraz właśnie obchodzi sześćdziesiąte urodziny. To Detlev von Liliencron, uosabiający w sobie, zdaniem p. Benzmann, nie tyle tendencyjność i refleksyjność ówczesnej poezji, ile raczej realistyczny moment niemieckiej poezji w ogólności, jaśniejący w Bürgerze, Goethem, Stormie, Fontanem; nie światopogląd, jak u Schillera, lecz zewnętrzne spostrzeżenie i uczucie są jego żywiołem.

Okolo r. 1890 odbywa się w niemieckiej liryce nowa przemiana: bojownicy o tendencyi społecznej i moralnej ustępują miejsca poetom-filozofom, którzy w kierunku idei kształcą się na Nietzschem, Fechnerze, w kierunku form, nastrojów i stylu na Verlaine'ie, Amerykaninie Withman'ie, Baudelaire, Maeterlincku i skandynawczykach, przyczem od siebie dodalibyśmy: i na d'Annunzio, którego wpływy zwłaszcza na Hofmannsthalu są widoczne. Epokowemi są tu lata 1892 i 1893, kiedy ukazują się zbiory poezji lirycznych Bussego, O. J. Bierbauma, Falkego i — najznakomitszego z nich Ryszarda Dehmela, będącego obok Liliencrona najcelniejszym obecnie lirykiem niemieckim. P. Benzmann charakteryzuje go plastycznie, kładąc nacisk na połączenie w nim uniwersalnego i indywidualnego uczucia, zależność od filozofii Nietzschego, zejście do najgłębszych podstaw żywiołowego życia, osobliwą etykę, złożoną z chrześcijańskich i hellemńskich, metafizycznych i przyrodniczych idei; nowem jest spostrzeżenie, że jak w duchowej treści żywioł Goethego zlewa się tu z istotą poezji Schillera, tak i w języku Dehmela raz ma dytambienny pathos, to znowu prostą zwięzłość. Analiza dziwacznej poezji Arno Holza, który swe okropnie prozaiczne i wszelkiej rytmiki pozbawione wiersze układa symetrycznie według osi środkowej, jest jednym z najciekawszych ustępów Przedmowy, chociaż p. Benzmann daremnie próbuje zgwałcić swe naturalne uczucie, odpychające go od tej drewnianej prozy.

Ostatnia faza niemieckiej liryki dokonała się okolo r. 1894, kiedy wystąpili na widownię z jednej strony krańcowi impresyoniści, z drugiej równie przesadni artyści formy, styliści, jedni i drudzy jednak szczerem obdarzeni uczuciem. Oto kilku najwybitniejszych: Morgenstern, Scholz, Schaukal, Salus (niedo-

ceniony przez wydawcę), a w pierwszym rzędzie głosi Alfred Mombert, Stefan George i Hugo von Hofmannsthal, będący jednak przede wszystkim poetą dramatycznym. George nie cieszy się względami p. Benzmann, który temu uwielbianemu w pewnych kołach lirykowi zarzuca czczość i lubowanie się w dźwiękach dla nich samych. Daleko bardziej podoba mu się Hofmannsthal, o którym bardzo trafnie mówi, że w barwnych allegoriach i gnomicznych wierszach przypomina starego Goethego n. p. z epoki *Zachodnio-wschodniego dywanu*. Mombert, oddający w poezji subiektywne marzenia senne, hallucynacje i wizje, w sposób zazwyczaj chaotyczny, wreszcie kilka kobiet-poetek z Maryą delle Grazie pesymistką na tle filozofii Darwina i Haeckla — zamykają galerię talentów lirycznych nowoczesnych Niemiec. Ogółem zaś niniejsza książka tak ze względu na streszczony tutaj wstęp, jak i dla dobrze wybranych przykładów, godną jest polecenia dla każdego, kto bez wielkiego nakładu czasu pragnie poznać dzisiejszą twórczość Niemców na polu liryki.

Dr. J. Flach.

Z literatury powieściowej.

— *Die Madonna mit dem Rosenbusch*. Eine alt-lübsche Geschichte von Adolf Paul. (Hamburg. 1903, Alfred Janssen). — W przeciwieństwie do polskiej literatury, która tyloma nas darzy powieściami historycznymi, w obcym piśmiennictwie ten rodzaj ani chętnie przyjmowanym nie jest, ani chętnie uprawianym. Z artystycznym smakiem i wykwintnie wydany romans fińlandczyka, piszącego jednak po niemiecku, p. Adolfa Paula, przenosi czytelników w środowisko bardzo zajmujące. Z trzech potężnych niegdyś miast wolnych hanzeatyckich Lubeka dzisiaj najcichsza, najskromniejsza i najuboższa, wzbudzi jednak w umyśle wędrowca więcej sympatii, niż hałaśliwy Hamburg i filisterska Brema. Do tej Lubeki, której postać przed kilkoma laty przypomniał w niemieckiej belletrystyce p. Tomasz Mann w znakomitych *Buddenbroockach*, prowadzi nas autor, cofając się zarazem o kilka wieków wstecz, w czasy przewrotów i walk religijnych w czwartym dziesiętku lat XVI stulecia. Historia mówi o gwałtownym wprowadzeniu wówczas protestantyzmu, upadku dawnego burmistrza, katolika Brömsego i wyborze protestanta Wullenwebera; z nową wiarą usiłowano wtedy tełnąć w miasto i nowego ducha, już dla samego odwrócenia umysłów od wewnętrznych sporów zbrojono się, marzono nawet o podbiciu sąsiedniego królestwa Danii, aż wszystkie górne plany speliły na niczem, zdyskredytowały swym upadkiem protestantyzm, spowodowały tryumfalny powrót i katolicyzmu i jego przedstawiciela Brömsego. Ten dziejowy moment wybrawszy, p. Paul miejscami

doskonale się z zadania wywiązuje: porusza massy żwawo, zawsze nad niemi panując, umie uchwycić charakterystyczne cechy epoki i środowiska, daje parę wybornych kinematograficznych obrazków burzliwych i pogodnych chwil onych lubeckich dni, a przytem nigdy nie nudzi i z katedry historii nie wyklada, lecz oświetla ją z osobistego bardzo charakterystycznego punktu widzenia. Oto z zasobem ironii, dowcipnej i bystrej, a nie zjadliwej i tendencyjnej, którą ujawnia i w dramatach (przypominamy omówionego przez nas wraz z innemi nowościami niemieckiego dramatu *Sobowtóra*), podkreśla mniej zazwyczaj uwzględnianą stronę historycznych wydarzeń i osobistości, ich codzienność niejako i powszedniość, niemal nawet pospolitość.

Ale dziejowe i lokalne tło wystarczyć samo nie może do stworzenia powieści, trzeba zajmującej fabuły. Daje ją autor, lecz w stylu mniej szlachetnym. W pierwszej chwili się tego nie odczuwa. Gdy się widzi młodego rzeźbiarza Klausa powołanego do wykucia z kamienia Madonny, którą chciałby przedstawić jako Dziewicę wśród róż i lilij, gdy się widzi, że chłopak model bierze oczywiście z kochanki i w skutek tego naraża się na zarzut, że jego Święta Panna jest za ziemską, za ludzka — to zrazu czeka się ufnie dalszego rozwoju akeyi. Dwa się jej kierunki na przyszłość za możliwe uważa: albo Klaus oddany jednostronnie czy to miłości ziemskiej, czy niebiańskiej sztuce, zdusi to drugie życie i w końcu zmarnieje, albo też autor poprowadzi go ku wyżynom szarmonizowania sprzeczności i każe mu z ducha oczyszczonej z pospolitego żużlu miłości stworzyć wielkie dzieło religijnej sztuki. Autor wybiera pesymistyczną drogę: Klaus kocha Ulrykę i pracuje dalej nad *Madonną w krzaku różanym*, lecz gdy dzieło już dokonane, Brömse rozwala je młotem, bo rzeźba jest za świecka, za ziemską, by godną była ozdobą przybytku Pańskiego. Dotąd wszystko jest dobrze. Złe leży w akcesoryach tej bardzo zajmującej akeyi. Są one wzięte z inwentarza rozczochranego romantyzmu. Jeszcze zgoda na to, że Klaus żeni się z Ulryką za późno dowiedziawszy się, iż jest jego siostrą: w nieświadomości popełniony incest — zwłaszcza otoczony mgłą dawnej przeszłości — łagodnieje w artystycznym a i w moralnem znaczeniu. P. Paul gromadzi jednak cały stek takich strasznych zawikłań i Ulrykę robi owocem nieświadomego związku Klausa z własną matką. Tragiczne rozwikłanie nie działa, bo poprzedni stan wprost wyczerpał nasz zasób współczucia, a mechem obrosły kamień pokrywający zwłoki trojga ofiar okropnych wypadków, budzi nie uczucie tragiczne, które według słów poety niemieckiego „miażdżąc człowieka podnosi go zarazem“, lecz chyba zadowolenie, że się to wszystko już skończyło. Na to nie pomogą wszelkie sposoby autora, który przeczuwając złe, stara się je półsłówkami, wstrzemięźliwością, zasłoną nie-domówień oddalić, a przez to zlagodzić. Przedsięwzięcie udałoby

się natomiast, gdyby tych incestów nie było aż tyle. Szkoda więc powieści skądinąd bardzo zajmującej, a już dla samej historyczności w Niemczech niezwyklej. *Dr. J. Flach.*

— *Die stille Stadt.* Roman von Richard Huldshiner. (Egon Fleischel & Co., Berlin, 1904). — Jedna z dziwniejszych książek z najnowszej niemieckiej produkcji powieściowej. Tytuł może w pierwszej chwili w błąd wprowadzić. Czytelnik spodziewa się spokojnej idylli, nie przerywanej żadnym odgłosem walk, jakie społeczeństwo stacza na szerokim świecie, lub nudnej szarzyzny codziennego ograniczonego życia: bo wszak albo patryarchalne szczęście, albo martwa apatya gnieździć się mogą w *Cichem mieście*. Lecz to małe miasteczko tyrolskie, które jest widownią wypadków niniejszej powieści — a z niem istotnie wiele innych — śpi cicho tylko na powierzchni, a we wnętrzu krwawi się i burzy. Złamane serca, zawiedzione nadzieje, wykołejone egzystencye szukają tu spokoju, rzadko kiedy go znajdując, bo o bólu zapomnieć nie można, zawody nie niszczą pragnień i pożądań, wykołejenia nie dają pogody i swobody. Szczupła arena wewnętrznych i ze stosunków z innemi ludźmi wynikłych walk, szamotań, wybuchów i klęsk przyczynia się chyba tylko do spotęgowania ich znaczenia, do zaostrzenia konfliktów. W hałaśliwych, gwałtownych wielkomiejskich środowiskach życia ludzkiego są one i to niewątpliwie w znacznie większej liczbie niż w „cichych miastach“, ale właśnie dlatego, że jednej katastrofie towarzyszą i współcześnie i tuż potem inne, ich groza powszednieje w oczach ludzi, nawet istotnie słabnie; ludzie zaś w tych mrowiskach nieraz szukać się muszą, tak ich wir życia rozdziela, jeśli więc uprzedzenia, nienawiści i złości każą im się wzajem unikać, o ileż łatwiej tego tam dokonają, niż w małych miasteczkach, gdzie każdy niemal dzień spotkanie i starcie się sprowadza.

Takiem jest „ciche miasto“ p. Ryszarda Huldshinera. Do nagromadzonego w dolinie, wśród skromnych domków, materiału wybuchowego, tem niebezpieczniejszego, że tłumionego i dławionego, przylacza się dramatyczność starego, ze średniowiecznych czasów pochodzącego zameczyska panów von Thaur. Nieokielznane namiętności, wielkie czyny, straszne zbrodnie i wzniosłe bohaterstwa wypełniają długie dzieje możnego rodu, a dziś jeszcze mieszczaństwo i lud okoliczny żegnają się z przestraczem, patrząc na wyszczerbioną basztę, z której w przepaść się rzuciła panna von Thaur, uciekając przed własnym bratem, opanowanym kazirodczym szaleńcem.... Do tego ponurego i dusznego miasta przybywa młody Elias Merian, który twardej pracą dziennikarską oszczędziwszy parę tysięcy marek, chce bodaj przez trzy lata odetchnąć wolnością ducha i zrujnowane siły ciała polepszyć. Źle się wybrał. W tyrolskim miasteczku tli się bezustanku ogień walk religijnych między katolikami i ży-

dami, równie zaciętymi. On, żyd, rychło zostaje wciągniętym w kolo nienawiści. Autor powieści, zapewne sam żyd, kreśli oczywiście postaci ludzi tej wiary z sympatją, lecz pominawszy drobne szczegóły, katolicki czytelnik nie ma ostatecznie powodu do silniejszego gniewu. P. Huldshiner bowiem wlewa w charakterystykę Eliasza i paru innych żydów, młodzieńców i starców, tyle rzewnej poezyi, że melancholijny nastrój tej części fabuły nie tylko godzi się znakomicie z ogólnym tonem *Cichego miasta*, lecz zarazem łagodzi nieco i ostrość romantycznej historii Thaurów i szorstkość wielu następnych momentów akcji. Merian i jego towarzysze są syonistami, ale w duchu najmniej zapewne przez obecnych wojowników tego kierunku pochwalanym ich religijne i narodowe ideały mają poezję bezpłodnej rezygnacyi, elegijnego smutku, a ulubionem miejscem pobytu tych żydów jest charakterystycznie smętny cmentarz żydowski. Na tem tle rozwija się główna opowieść, która sama jednak bez niego bynajmniej nie zasługiwałaby na polecenie książki polskiemu czytelnikowi. Oto pomiędzy Eliaszem Merian a Ewą Kröger, od niedawna wdową, zawiązuje się stosunek miłosny, przedstawiony z tą dyskrecją delikatną, lecz i niejasną zarazem, jaką się odznaczają erotyczne opowiadania wielu współczesnych książek, poczętych w neoromantycznym usposobieniu. Przeprowadzając rzekomo konsekwentnie zasadę odtwarzania wnętrza duszy ludzkiej, autor mówi jasno tylko o tem, z czego dany osobnik zdaje sobie sprawę, a wszystkie stany mglistej półświadomości danego człowieka reprodukuje taksamo niejasno, zapominając o tem, że poezya ma właśnie za zadanie najłżejszym odruchom ludzkiej duszy udzielać plastyki i ekspresyi, zmysłowego kształtu niejako. Miłość Eliasza i Ewy jest dla obojga nie-szczęściem, bo on jest żydem, ona katoliczką, która już i tak oburzyła na siebie przywiązaną do wiary przodków ludność miasteczka, wyszedłszy przed laty za protestanta, zmarłego już Krögera. Motyw może drażliwy, ale dramatyczny, a p. Huldshiner w dostatecznym stopniu jest artystą, by mógł go poetycznie a nie tendencyjnie traktować. I tak też rzeczywiście postępuje. Lecz nie dosyć mu jednego konfliktu, w katastrofie chwytą się innego, o który już w podaniu o owej ponurej baszcie potrafił. Ewa ma wuja, starego groźnego Thaura, ostatniego z rodu, który od początku powieści zbyt umyślnie poruczoną ma sobie rolę demoniczną. Szpieguje siostrzenicę, zawistnem okiem patrzy na jej męża, patrzy na jej kochanka, a gdy widzi, że małżeństwo przyjdzie do skutku, wyjawia jej straszną tajemnicę: oto jest jej wujem i ojcem zarazem, ona jest jego siostrzenicą i córką; „takie rzeczy leżą w krwi Thaurów“. Na drugi dzień rano rozeszła się po mieście wieść, że ze znanej baszty rzuciła się w nocy Ewa, znajdując natychmiast śmierć... Pomysł nieszczęśliwy. Bo jeśli w sztuce zawsze prawdą

jest hasło *non bis in idem*, to w tego rodzaju motywach przekroczenie zakazu musi być szkodliwem. Podobne zbrodnie przejmują dreszczem tajemniczej grozy, gdy się ustawi na tle zamierzchłej przeszłości; pozbawione tej łagodzącej perspektywy, budzą raczej wstręt, niż grozę. (Symptomem charakterystycznym a niedobrym dzisiejszej literatury jest powrotna fala tego ultra romantycznego motywu w utworach zresztą bardzo niepoślednich. Oto prócz p. Huldshinera, używa go i inny autor, o którym w tym samym zeszycie mówimy, a sprawozdanie z powieści Gustafa af Geijerstama na podobnej sytuacji opartej odłożyliśmy na razie na bok jedynie dla tego, by przykrego uczucia, jakie ten moment budzi, nadmiernie nie potęgować). Ta jedna sytuacja psuje całość, ciekawą jako nowy objaw neoromantyzmu, a w smutku i rezygnacji innych motywów szczerze piękną i poetyczną.

Dr. J. Flach.

— *Polens Töchter*. Roman von Agnes Henningsen. (Autorisierte Übersetzung von Ida Anders). (Stuttgart, 1904. Axel Juncker Verlag). — W duńskim oryginale powieść *Polens Døtre* ukazała się w r. 1901, o ile jednak wiemy, z wyjątkiem kilku drobnych dziennikarskich wzmianek, nie doszła do wiadomości polskiego ogółu, zapewne w skutek tego, że napisaną była w języku, w Polsce niemal przez nikogo nie rozumianym. To też dopiero świeżo ogłoszony niemiecki przekład uprzystępnia romans naszej publiczności, wśród której oczywiście, jak o tem sam tytuł uprzedza, musi wywołać żywe zajęcie, a jak bliższe poznanie treści każe przypuszczać, zapewne i żwawą dyskusję. Rozpoczynając ją, trzeba podać te przynajmniej o autorce wiadomości, jakie sami posiadamy. A mamy ich bardzo niewiele. P. Agnieszka Henningsen pochodzi ze starej duńskiej rodziny, która jednak, jak sama autorka mówi, od wieków „tylko aptekarzy, pastorów i agraryjczyków“ wydawała. Młoda jeszcze, wystąpiła przed laty około dziesięciu z pierwszemi opowiadaniem, z których kilka cieszyło się większem powodzeniem. Rozgłosu nabrała dopiero powieść o *Córach Polski*; za nią, jak dotąd, tylko jeszcze *Trędowaci* poszli. Czy Polskę zna osobiście, czy była w naszym kraju, nie wiemy napewne, prawdopodobnie jednak tak jest; z romansu bowiem wnosić należy, że wcale dobrze zna topografię Warszawy, a jeszcze lepiej Krakowa (n. p. krakowski Rynek, kopiec Kościuszki i t. d.), dodajmy zaś, że nazwy obu tych miast przytacza zawsze w polskiem brzmieniu (w niemieckiem tłumaczeniu pełno tu oczywiście omyłek druku). Na domysł określić możnaby nawet dokładniej czas i okoliczności pobytu autorki wśród nas. Oto cała druga połowa powieści postawioną jest na tle pobytu w Warszawie duńskiego pisarza, którego p. Henningsen zowie Percym Brannerem, a którym oczywiście nie jest nikt inny, jak Jerzy Brandes. Przesadne w egzaltacji i uwielbieniu przyjęcie krytyka, wynikające

z przecenienia i jego ku nam życzliwości i doniosłości jego sądu nas, przedstawiono w książce bardzo wyraziście, żywo i na ogół zgodnie z prawdą, zarówno w odmalowaniu świata polskiego, jak i w charakterystyce sławnego przybysza, odznaczającego się wszystkimi może zaletami ducha i serca, tylko nie skromnością. Albo więc p. Henningsen miała o jego odwiedzinach w Polsce w r. 1885 i następnym lub w r. 1894 dokładne sprawozdanie, albo własnymi oczyma patrzyła na to, co się wówczas działo.

Jeżeli patrzyła, to z życzliwością i dobrą wobec nas wolą. Niema w całej powieści ani jednego słowa niechęci, tem mniej nienawiści dla Polski, znajdzie się natomiast nieraz bezpośredni czy łatwo odczuć się dający wyraz szlachetnej sympatii. Inna rzecz, czy autorka chcąc nas sprawiedliwie swemu narodowi pokazać, istotnie tak postępuje. Entuzjastycznego, panegirycznego hymnu na cześć Polski i Polaków bynajmniej nie wymagamy, ani nawet nie chcemy, nauczenni smutnem na niemieckiej sentymentalnej *Polenbürik* poczynionem doświadczeniu. Domagamy się tylko dwóch rzeczy: przedmiotowej sprawiedliwości i — na co szczególnie zwracamy uwagę — odróżnienia przypadkowych znamion od istotnych, niepodawania jednych za drugie, niegeneralizowania. Nazwawszy rzecz *Córami Polski*, p. Henningsen zobowiązała się do poważnego zadania: przyrzekła bądź istotnie wszystkie rodzaje kobiet polskich przedstawić, bądź też ograniczyć się do wyobrażenia typowych postaci, reprezentujących charakterystycznie kobiety *polskie*, a nie kobiety całego świata, u nas za pewne także napotykanie, lecz będące „córkami Polski“ tylko w materyalnym znaczeniu. Cztery są kobiety polskie, w roman-sie występujące: hrabianka Halina Labówna, jej matka, panna Marya Mańkowska (później pani Prusowa) i Wanda Brzega, „laleczką“ zwana i sama się tak zwiąca. Pierwsza i druga pochodzą z bogatego szlacheckiego domu, trzecia jest sławną powieściopisarką, czwarta wesołą aktorką. Jeżeli wszystkie cztery nie wyczerpują już zewnętrźnie galeryi kobiet polskich, to ostatecznie inaczej być w powieści nie może, bo trudno przecież wymagać od autorki, by ten spis skompletowała polską wieśniaczką, polską robotnicą, nauczycielką, córką lub żoną urzędnika i t. d., słowem przedstawicielkami wszystkich stanów i zawodów. Ważniejszymi są zresztą moralne właściwości tych Polek: Halina jest gorącą patriotką, marzącą o konspiracyach i powstaniu, o Polsce tylko myślącą i mówiącą, dla niej gotową do wszelkich ofiar, które jednak przy jej zupełnej nieznajomości świata i ludzi, idą zawsze na marne, są wyzyskiwane przez ludzi niegodnych a chciwych; jej matka jest zdziecinniałą młodą wdową, bardzo lekko pojmującą obowiązki macierzyńskie — raczej zupełnie je zaniedbującą — goniącą za używaniem, tem mniej szacunku wzbudzającą, że nie ma w niej ani odrobiny prawdzi-

wego uczucia, namiętności, jest tylko zdziecinniałość, ptasia bezmózgowość; trzecia z kolei i czwarta, autorka i aktorka, używają życia rozumniej i zrozumialej: pierwsza szuka ustawicznie szczęścia w erotyzmie, stojącym wprawdzie po za dobrem i złem, lecz pozbawionym imponującej bądź co bądź elementarnej siły, druga bawi się, jak to mogą robić chcące się bawić aktorki, zwłaszcza jeśli przyszły do Krakowa lub Warszawy *via* jakiś bulwarowy paryski teatrzyk. Otóż czy te cztery kobiety wyczerpują skalę moralną „cór Polski“, czy panna-patryotka, zdziecinniała kokietka, swobodna literatka i wesola aktoreczka mogą uchodzić za przedstawicielki dzisiejszych kobiet polskich? Niewątpliwie każda z nich u nas jest możliwą (najmniej realizmu ma Halina, w skutek tego, że autorka widzi w niej tylko miłość ojczyzny i nie ponadto, a i to uczucie kieruje w stronę mglistej fantastyczności). Lecz czy w ich obozie jest cała Polska, czy dalej one tylko w Polsce są możliwe? Że pierwsza część twierdzenia jest fałszem, udowodniać chyba nie potrzeba; że i druga nie jest prawdziwą, to jasne, bo jeśli jeszcze panna Łabówna — o ile w ogóle ją za żywą istotę, a nie za plód fantazyi poetyckiej p. Henningsen uznamy — od biedy może być nazwaną „córá Polski“, to cóż jest polskiego w zdziecinniałej jej matce, cóż jest polskiego w Maryi i Wandzie? Nic a nie, bo wszystkie te trzy kobiety są okazami międzynarodowemi, możliwemi tak dobrze nad Wisłą, jak nad Sekwaną lub... nad Sundem i usunąwszy pannę Łabównę, zmieniwszy Warszawę i Kraków na Kopenhagę, zdnuńczywszy nazwiska osób, możnaby te *Polens Dötre* nazwać z tą samą słusnością *Danmarks Dötre*. I ten tytuł byłby jednak błędnym. Powieść bowiem (znowu powtarzamy: po postawieniu Haliny za nawias) jest odtworzeniem prywatnego życia cyganeryi literackiej i artystycznej obojga płeć, a ta, jak wiadomo, w ostatnich czasach zatraciła narodowe cechy tak, że ani o polskich, ani o duńskich *bohémiens* mowy być nie może, tylko co najwyżej o *bohémiens* w Polsce lub w Danii.

(Niemądrego twierdzenia, że słaba na umyśle hrabina jest w większej wierze, niż jej córka „typem Polki... bo Polska to przecież kraj upadku“, nie wolno może kłaść na osobisty rachunek autorki, mówi je bowiem nie p. Henningsen, lecz Marya Mańkowska).

Taki wydawszy sąd o *Córach Polski*, nie mamy potrzeby dłużej się niemi zajmować. Powieści na tle cyganeryi w Polsce mamy wiele w własnej literaturze, często bez porównania lepszych, że wspomnę tylko *Próchno* p. Berenta. Akcyi tu właściwie niema, z czego jednak autorce zarzutu nie czynimy, bo jej zadaniem było widocznie odtworzenie środowiska. I to jej się udało, lecz w stopniu ani podziwu, ani zapалу nie budzącym. Dla dokładności wymieniamy jeszcze nazwiska mężczyzn: Prus,

bogaty człowiek, który „posiadał w Krakowie socyalistyczne pismo, doprowadzające go wciąż do więzienia“, w czasie wolnym w Berlinie odwiedzał swą „europejską kochankę“, a w warszawskich kołach miał opinię rozpustnika; poeta Dembiński, kochanek Maryi, jej brat Jan, kochanek „laleczki“, wreszcie rzeźbiarz Orkan i malarz Jedlicz (niektóre z tych nazwisk, znane w polskim świecie literackim, mogą się stać powodem, że czytelnicy poczną domyślać się w powieści alluzyj do rzeczywistości; zdrożnem jest również posługiwanie się dowolne innemi, znanemi w Polsce nazwiskami, jak Tarnowski — *n. b.* Rosyain! — lub Branicki). Skąd w to towarzystwo dostaje się Halina, powiedzieć nie umiemy, a nie zdołalibyśmy również wytłumaczyć, czemu sparzywszy się raz, od ognia nie ucieka, lecz z niemożliwą naiwnością wierzy dalej, iż ci ludzie pomogą jej w dążeniach patryotycznych; to już gwałt zadany jej przez autorkę.

Powieści p. Agnieszki Henningsen do przekładu polskiego nie polecamy, wytłumaczywszy powyżej, że zajęcie, jakie w polskim czytelniku budzi, leży w jej brakach i wadach, a nie zaletach i pozytywnej wartości treści (z wyjątkiem dobrego opisu pobytu Branera w Warszawie). Gdyby jednak polskie tłumaczenie miało się ukazać, musiałyby być stanowczo lepszem od niemieckiego.

Dr. J. Flach.

TEATR KRAKOWSKI.

Jednego z najwybitniejszych artystów usuwa nagle choroba ze sceny; przyszło „złe“ na p. Przybyłowicza, któremu publiczność zawdzięcza tyle artystycznych wrażeń. Talent wsparty sumienną zawsze pracą zjednał mu poklask ogólny; inteligencya niezwykła pozwalała pogłębiać charakterystyki ról ku zachwytowi znawców. Refleksyę niewielu umie wyrazić tak, jak on, a w naszym gronie nikt mu pod tym względem nie dorównał. Ubytek jest dotkliwy; miejmyż nadzieję, że nie potrwa zbyt długo. Pospieszyła publiczność na dane przez Dyrekcyę na dochód p. Przybyłowicza przedstawienie *Manfreda*; pospieszy jeszcze chętniej na pierwszy jego występ, jeżeli pokona chorobę. Życzymy przeto z całego serca wyzdrowienia i to nie tylko na tyle, żeby mógł żyć długo a zdrowo, ale tak, żeby mógł jeszcze dalej pielegnować sztukę, do której posiada prawdziwe powołanie.

Manfred ów, to wybrane ustępy deklamacyjne z dzieła Byrona, ułożone w cztery odsłony, z muzyką Roberta Schumana; sprawozdanie o rzeczy należy też właściwie do rubryki „Muzyka w Krakowie“. Deklamował p. Kotarbiński, składając przez to dank poczuciu koleżeństwa, podczas gdy Dyrektor odstępował dochodu z przedstawienia.

„Wydarzeniem“ w repertuarze miało być przedstawienie *Lilli Wenedy*, lecz zawiodło. Zawieść musiało z dwóch przyczyn. Utwór jest nie bardzo sceniczny; nie dostrzega się w nim na scenie zasadniczych miejsc tekstu, jak Lilla karmi swego ojca i jak Lelum Polelum walczą w dwie głowy a jeden oręż. Lektura uzupełnia się tu wyobraźnią, na scenie tworzy się luka, jakby opuszczono jakieś i to najważniejsze w sam raz odsłony. Nawet owo tak piękne tło tragedyi, owa ciągła walka harf z siłą brutalną, niknie w teatrze i sprawia wrażenie tylko... środków dekoracyjnych. Nie może być inaczej, bo *Lilla Weneda* jest tragedją tylko z pozoru; to wielki poemat przybrany w akty

i sceny. Istotne jego momenty tkwią w opowiadaniach, myśl przewodnia w poetyczne zaklęta przenośnie: tego teatr nietylko nie uwydatni, lecz przeciwnie, zatrze to, co najpiękniejsze. Pietyzm dla wielkiego poety mógłby atoli wyłómaczyć dostatecznie przedsięwzięcie tej próby; tylko, że trzeba by mieć artystów odpowiednich. W niedostateczności naszego personelu druga więc przyczyna zawodu. Co gorsza, grano jeszcze gorzej, niż możnaby z tym samym personelem, gdyby miał odpowiednie instrukcje; a więc nie wyzyskano należycie nawet tego materiału, którym rozporządzano. Każdy niemal z artystów mógłby grać lepiej, niż grał owego wieczoru — z wyjątkiem jednak p. Mrozowskiej. Ta włożyła w rolę Lilly rzeczywiście całą swą usilność i... indywidualność; grała stanowczo najlepiej, jak tylko mogła; ale też również stanowczo powiedzieć trzeba, że takie role nie dla niej i artystka popada tylko niepotrzebnie w szablon. Właściwie nie można nikomu zarzucić niestaranności gry, lecz, że brak było jakiegokolwiek zestroju, że każdy grał na własną rękę, zupełnie po swojemu; rola kłóciła się z rolą i skutkiem tego każda razila obok drugiej. *Lilla Weneda* wymaga stylizowania, a zatem szczegółowych instrukcyj dla każdego aktora i to instrukcyj dawanych na pełnych próbach, uzupełnianych scena po scenie, a nawet nieraz zmienianych, modyfikowanych w miarę nabywanego doświadczenia. Tu na każdym kroku musi się aktor stosować do aktora, toteż utworu tego nie można studyować w domu, lecz wyłącznie na scenie, co wymagałoby kilkunastu dokładnych prób, aźby się odnalazło ten probierz, do którego grono mogłoby i zdołałoby się zastosować. Nie dla nas takie przedsięwzięcie, niestety! Była więc p. Wysocka w roli Róży nie tragiczną, jak fatum, lecz suchą i sztywną; gra p. Kotarbińskiego sprawiała wrażenie, jakby stary Derwid nie rozumiał żadnej ze swych córek, podczas gdy p. Wysocka zachowywała się, jakby Derwida zgoła nie знаła, jakby jej z obcych krajów przywieziono obojętnego zupełnie człowieka. I tak było na każdym kroku. Szkoda też, że nie przemieniono ról p. Wysockiej i Arkawinówny (Gwinona); obie byłyby grane przynajmniej mniej źle. Żal p. Popławskiego, że powróciwszy ze Lwowa na naszą scenę, miał po raz pierwszy pokazać się w roli Lecha, [w której nie mógł się popisać. *Lelum-Polelum* — pp. Leszczyński i Mielewski; chęci dobrych dużo, ale przez zupełny brak stylizacji niktby się nawet nie mógł domyślać symbolicznego znaczenia tej szczególnej dwójki. Grał p. Mielewski wyłącznie rutyną, a p. Leszczyński zastosowywał się do niego. Święty Gwalbert był dobrodusznym a bezmyślnym starowiną w ręku p. Stępowskiego; Ślaz zaś poszedł utartymi przez p. Walewskiego torami, jako zlepek przeróżnych ustępów z rozmaitych innych jego ról. Nie było więc, niestety, w całym przedstawieniu ani jednej roli zasługującej na pochwałę.

Jedna tylko rzecz jest w *Lilli Wenedzie* bardzo sceniczna, a mianowicie wystawa, do której jest wiele sposobności. Pod tym względem popisywano się; ale tego rodzaju popisy wtenczas tylko mają artystyczną wartość, jeżeli są dodatkiem do dobrej gry i starannie przygotowanego zestroju; inaczej sprawiają wrażenie ram, któreby chciały stanowić same o wartości obrazu.

Następne dwie soboty zeszły na wznawianiu fars i to jednej bardzo starej, mianowicie *Gavaut, Minard i Spółka*, w trzech aktach, Edmunda Gondineta, i drugiej — wznowieniem naprawdę odnowionej — t. j. *Flirtu* Bałuckiego. Publiczność okazuje też nie dwuznaczenie, że tęskni za Bałuckim i lubi, gdy wznawiają jego „komedye“; ma słuszność, bo one warte są bez porównania więcej od tuzinów zagranicznych humoresek teatralnych; jest w nich naprawdę „zdrowy śmiech“. Bieda tylko, że już nawet do komedyj Bałuckiego brak nam personalu; jedną z „flirtujących“ musiała grać p. Senowska! Odnaczył się p. Zelwero-wicz w roli Dzikiewicza, a inne role poszły „gładko“ z p. Sobiesławem na czele w roli Flirtowskiego.

Dr. Feliks Koneczny.

Przegląd polityczny.

Kraków, 31 maja.

Wojna trwa: a jej los dotąd nie łaskawszy dla Rosyi! Po ostatniej bitwie, po zdobyciu Kien-Czan, zajęcie Portu-Artura zdaje się być kwestyą czasu. Trudności nie mniejsze, odległości nie mniejsze: Rosya chce ściągać wojska, ale kiedy ściągnąć je zdoła! Nieprzyjaciel jej ma umiejętność, zdolność, dzielność, zadziwiającą: w odwadze i pogardzie śmierci dochodzi do heroizmu: a urzędowe raporta rosyjskich generałów nie brzmią pocieszająco. Co się tam w Rosyi dzieje? Jakie wrażenia i uczucia upokorzenia, gniewu, i obawy o koniec tej wojny, o przyszłość i stanowisko państwa? Kto tam myśleć umie, a takich jest z pewnością wielu, ten musi przechodzić przez straszne chwile.

Wojna trwała. Zapasy między Rosyą a Japonią zajmowały uwagę całego świata. We wszystkich państwach czyniono od tylu lat przygotowania wojenne, tyle milionów wydawano rocznie na uzbrojenia i dopiero po dłuższym przeciągu czasu miały te państwa obecnie sposobność przekonać się, w jaki sposób właściwie wojna między dwoma przeciwnikami, rozporządzającymi wszystkimi wynalazkami wojennymi i wszystkimi zasobami sztuki wojennej, się toczy. To też wojna między Rosyą a Japonią jest rodzajem próby praktycznej działalności najrozmaitszych teoretycznych wynalazków wojennych i rozstrzygnie ona o wielu zasadach sztuki wojennej, które w ostatnich czasach stały się aksjomatami armij europejskich. Wojny, toczone w ostatnich czasach, jak wojna między Hiszpanią a Stanami Zjednoczonymi

lub wojna między Anglią a rzeczpospolitemi Boerów miały charakter specyalny, nie były one zapasami równorzędnych przeciwników — dopiero wojna między Rosyą a Japonią stała się rodzajem akademicznej próby dla rozpoznania i oceny tego, co się dotychczas działo na polu wojskowem w pojedynczych państwach. Japończycy okazali się przytem zupełnie nie Azyatami — ich środki wojenne, ich sposób walki odpowiadały najzupełniej największym wymogom „cywilizacyi“ europejskiej, a ponieważ walka toczyła się na morzu i na lądzie, przeto sfery wojskowe państw europejskich miały sposobność praktycznego uczenia się z tego, co tam się działo. W walce morskiej widziano i podziwiano skuteczność min, wogóle działalność materij eksplozywnych, w walce na lądzie przekonano się o znakomitej działalności artylerji, która rozstrzygała o wyniku walki, jednym słowem obecna walka była dla państw europejskich rodzajem krytycznej oceny dla ich własnych sił wojskowych.

Jak wszystko na świecie jest szeregiem skutków z pewnych przyczyn, tak też i z wojny między Rosyą a Japonią zaczynały już wylinać się pewne skutki dla państw europejskich, skutki stojące w związku z całą, obecnie świat opanowującą manią zbrojeń. Jeżeli każde prawie państwo stoi dzisiaj na tem stanowisku, że powinno stać uzbrojone aż do krańców możliwości, ażeby w danym wypadku być gotowem do walki i że spokój Europy polega na tej gotowości do walki — to nie dziwnego, że ten paradox pociąga za sobą logicznie konieczność naprawy tych zbrojeń, jeżeli okazują się one w jakiś sposób albo niedostateczne, albo nie odpowiadające celowi. Wojna między Rosyą a Japonią będzie miała tak w pierwszej linii ten skutek, że zmusi ona państwa europejskie do nowych wydatków na cele wojskowe. Państwa europejskie, które stoją zdala od wojny, będą tak ponosiły koszta wojenne tej wojny, im obcej. Ludy Europy będą płaciły, tak, jak gdyby one brały udział w wojnie. Tak się dziać będzie zapewne przy każdej wojnie jak długo zasada zbrojnego pokoju będzie rozstrzygającą; może nie dla każdego państwa to zjawisko się powtórzy, ale dla wielu z pewnością. Każda wojna, to tak jak każdy nowy wynalazek na polu wojskowem; podobnie jak każde państwo zmu-

szone jest ten wynalazek dla swojego wojska zakupić, podobnie jest ono zmuszone do zmiany lub naprawy swoich armat, swoich okrętów wojennych, swojego prochu i t. d., jeżeli w jakiegokolwiek wojnie się okaże, że inne armaty, inne okręta, inny proch, są lepsze. Oczywiście jest, że ta zasada doprowadza w końcu do najciekawszych wyników, wojny obce kosztować mogą państwa zupełnie zdala stojące w ten sposób więcej nieraz jak te państwa, które brały udział w wojnie, i nikt nie jest w ten sposób pewien przyszłości, bo nikt nie jest w stanie ocenić, czy to, co dzisiaj uważanem jest za największy wynalazek wojenny, nie okaże się jutro — w jakiegokolwiek wojnie — zupełnie nieużytecznem i potrzebującym naprawy lub zmiany.

My w monarchii austriacko-węgierskiej byliśmy pierwszymi, którzy doznali na sobie tych skutków obecnego systemu zbrojnego pokoju. We wspólnych delegacyach zażądał minister wojny nadzwyczajnych kredytów w wysokości 400 milionów koron na szybkie przeprowadzenie rozmaitych uzbrojeń, które dawniej zamierzano przeprowadzać powoli. Te 400 milionów, to rodzaj kosztów wojennych, jakie ponosi Austria w wojnie rosyjsko-japońskiej. Czy inne państwa nie będą zmuszone iść za tym przykładem? Prawdopodobieństwo przemawia za tem, tem więcej, że wszędzie dotąd przeważa przekonanie, iż tylko silny znachodzi pomoc i uznanie. W delegacyach nie było prawie żadnego delegowanego, któryby z zasady przemawiał przeciwko tym żądaniom. Ich rzeczowe usprawiedliwienie wszyscy uznawali; podnoszono jedynie wątpliwości co do tego, czy finanse państwa i siła podatkowa ludności na takie nadzwyczajne wydatki zezwalają. Wszyscy mówcy podnosili zupełnie słusznie, że łatwiej jest wziąć na siebie odpowiedzialność za te choć tak wysokie wydatki, jak za — straconą wojnę. Przykład Rosyi dowodził, co znaczy brak przygotowań wojennych i brak należytego uzbrojenia. Bardzo słusznie i trafnie podniósł p. Dzie duszycki w delegacyi, że nie silna ale słaba monarchia austriacko-węgierska byłaby rzeczywistą przeszkodą pokoju. Chociaż p. Dzie duszycki tej myśli nie rozwinął dokładniej, to przecież łatwo pojąć, że słabość Austrii pod względem wojennym dałaby łatwo pochop do napaści ze strony nieje-

dnego z sąsiadów, tak że nie przygotowania wojenne ale brak tych przygotowań mógłby dać początek do — wojny. Cały obecny system zbrojnego pokoju panujący w Europie, doprowadza tak do największych paradoksów w rzeczywistości. Można być największym nieprzyjacielem obecnego militarizmu europejskiego, można uważać go za jedną z głównych przeszkód rozwoju ekonomicznego ludów, ale musi się pomimo to mieć przekonanie, że, jak długo ten militarizm trwa, każde państwo, *nolens volens*, musi się zbroić. Być może, że wojna japońsko-rosyjska będzie miała ten skutek, że państwa poznają wreszcie, do jakich skutków ten obecny system doprowadza i że nastąpi pewna wspólna akcja, ażeby położyć koniec tej licytacji *in plus* w zbrojeniach.

Jeżeli delegacye przyjęły te nadzwyczajne żądania wojaskowe, to zachodzi pytanie, w jaki sposób uda się rządowi przeprowadzić w parlamencie austriackim żądanie pokrycia tych kredytów zapomocą pożyczki. Według konstytucyi można zapomocą § 14 przeprowadzić najrozmaitsze rzeczy, ale pożyczek zagranicznych trudno podejmować bez zezwolenia parlamentu. Choćby może dało się z konstytucyi wyciągnąć i pod tym względem pewne ułatwienia, to zdaje się z drugiej strony pewnem, że sam wzgląd na kapitalistów, którzy pieniądze tylko na zupełnie pewną, pod względem formalnym zupełnie czystą gwarancją lokują, zmusi rząd do szukania zezwolenia parlamentu. A jak Czesi będą obstruować? Oni liczą dzisiaj na to, że uda się im przy tej sposobności obalić ministerstwo p. Koerbera, chociaż, *ut figura docet*, pogrożek młodoczeskich nie wypada w wielu wypadkach brać zbyt tragicznie. Pomiedzy sesją delegacyj a sesją parlamentu upłynie jeszcze wiele wody — w której da się niemało ułować.

Właściwa polityka zagraniczna nie dała delegacyom powodu do wielu obrad. Nawet w opozycyjnych mowach — było ich tak mało, że doprawdy gdyby ich nie było, to chyba wypadaloby je zamówić — nie brak było uznania dla polityki zagranicznej hr. Goluchowskiego. Hr. Goluchowski jest jedynym może ministrem spraw zagranicznych w Europie, który potrafił w ciągu lat dla każdego swojego dawnego przeciwnika uzyskać coś takiego, co go z nim pogodziło.

Dla Niemców istnieje zawsze stale i niewzruszenie trójprzymierze i specjalna przyjaźń z cesarstwem niemieckiem, dla Czechów uzyskano przyjaźń i współdziałanie na Wschodzie z Rosyą. Polityce zagranicznej monarchii udało się to, co dla polityki wewnętrznej austriackiej jest dotąd ideałem nie do osiągnięcia i zadowolić i Niemców i Czechów. Słabą stroną tej polityki był do niedawna stosunek monarchii do Włoch. Co chwila dochodziły stamtąd wieści o demonstracyach przeciwko Austrii, knowaniach irredentystycznych, a w ostatnich czasach także o pewnych zamiarach Włoch względem Albanii, niezgodnych z całą polityką wschodnią monarchii. Pomimo trójprzymierza rozszerzona była w ludności Austro-Węgier i w ludności Włoch wzajemna nieufność; stosunek do Włoch zdawał się być piętą Achillesową naszej polityki zagranicznej. Hr. Gołuchowskiemu udało się w ostatnich czasach i te obawy rozwiać i te zarzuty obalić. Zjazd jego z p. Prinetti w Abbazyi dał początek do zbliżenia. Wymiana myśli pomiędzy obu ministrami doprowadziła, jak oświadczył hr. Gołuchowski w swoim *exposé*, do zupełnego porozumienia i z przyjemnością mógł hr. Gołuchowski podnieść, że Włochy przyłączyły się, pod względem Wschodu, do zasad polityki konserwatywnej, jakimi się dotąd zawsze kierowała nasza monarchia. W polityce wschodniej znajduje się tak monarchia, pod względem formalnym, w połączeniu z Rosyą i Włochami. Stwierdził to także p. Prinetti w mowie, wypowiedzianej w izbie włoskiej, w której po raz pierwszy od długiego czasu wystąpił energicznie przeciwko agitatorom, siejącym nieufność pomiędzy Austro-Węgrami a Włochami, agitatorom z rodzaju p. Barzilai.

Z jednej tylko strony znajduje monarchia w tej polityce na Wschodzie silny opór, to jest przeważnie ze strony Turcyi, która, jak to podniósł hr. Gołuchowski w *exposé*, zapomocą najrozmaitszych kruczków i intryg stara się uniemożliwić przeprowadzenie reform. Pomimo to te reformy tam podobno dobrą idą drogą i sprowadzają uspokojenie w umysłach ludności macedońskiej. Że Turcyja nie dowierza polityce austriacko-węgierskiej to widoczne, że ta nieufność przez obecne przygotowania wojenne jeszcze musiała się powiększyć, to zdaje się także nie ulegać wątpliwości. Wyni-

kiem tej nieufności było bezsprzecznie przymierze, zawarte między Bułgaryą a Turcyą, którego dalszem ogniwem był zapewne zjazd w Niszu pomiędzy królem serbskim Piotrem a księciem Ferdynandem bułgarskim. Widać tak na Wschodzie pewne usiłowania do połączenia przeciwko jakiemuś rzeczywistemu czy urojonemu nieprzyjacielowi wspólnemu. Pytanie tylko zachodzi, czy takie przymierze, jak turecko-bułgarskie może się w rzeczywistości utrzymać. Czyż może Turcyja ufać Bułgarii, której przyszłość zależy od podziału Turcyi, i czy może Bułgaria ufać Turcyi, która nawet pod presją mocarstw nie chciała udzielić poddanym chrześcijańskim tych ulg, jakie obecnie zobowiązała się im udzielić na podstawie przymierza z Bułgaryą. A choćby i rząd turecki się na takie ulgi zgodził, to czyż lud turecki kiedykolwiek uzna chrześcijanina, pod jego panowaniem się znajdującego, za równouprawnionego z Moslemimem? Bezprawia, popełniane przez Turków na Chrześcijaninach, powtarzać się będą, jak długo Turek jest Turkiem.

Jeżeli sprawy polityki zagranicznej zajmowały w ubiegającym miesiącu prawie wyłącznie uwagę publiczną w monarchii, to z początkiem przyszłego miesiąca stanie znowu wielka kwestya polityki wewnętrznej na porządku dziennym. Co dalej? Co się ma stać z tym parlamentem austriackim, który nie chce żyć a nie może umrzeć? O ile sądzić można, przeminą najbliższe miesiące w spokoju. Delegacye ukończą z początkiem czerwca swoje obrady, prowizoryum budżetowe zostanie zapewne przeprowadzone zapomocą § 14, poczem nastąpią ferye, a podczas feryj spokój na całym obszarze polityki. Dopiero z początkiem jesieni zbiorą się zapewne sejmy, z wyjątkiem sejmu czeskiego, gdzie trwać będzie obstrukcyja Niemców tak długo, jak trwać będzie obstrukcyja Czechów w parlamencie. Kwestya bytu parlamentu austriackiego i kwestya dalszego kierunku polityki wewnętrznej austriackiej rozstrzygnie się więc tak — o ile sądzić można — dopiero w jesieni. Wszystkie te kombinacye zależą oczywiście od rozstrzygnięcia co do konieczności otrzymania pozwolenia legislatywy na pokrycie uchwalonych w delegacyach nadzwyczajnych kredytów. Niespodzianki nie są jednak, jak zawsze w Austrii, wykluczone. Jakich środków chwyci się

rząd, ażeby przywrócić wreszcie spokój w parlamencie, trudno wiedzieć. Być może, że podczas feryj starać się będzie o przeprowadzenie *modus vivendi* między Niemcami a Czechami, być może, że pozostanie i nadal w roli spektatora — wszystko to drudno dzisiaj przewidzieć lub ocenić. Jedno zdaje się pewnem. Tak dalej jak dotąd rzeczy iść nie mogą. Ludy, które tyle setek milionów zezwoliły na budowę kolei i kanałów, ludy, które obecnie blisko 400 milionów mają zebrać na cele wojenne, te ludy mają prawo żądać, ażeby usunięta została z parlamentu obstrukcyja, uniemożliwiająca wszelką pracę i wszelką kontrolę. Z jakiej strony tak ogromne kredyty, które, jakkolwiekby, powiększają długi państwa w sposób dotychczas niebywały, z drugiej brak życia parlamentarnego, skoro tej wegetacji obstrukcyjnej w parlamencie życiem parlamentarnem trudno nazwać. Leży w tem bezsprzecznie pewna dysharmonia, która długo nie może potrwać. Wojna między Rosyą a Japonią wpłynie tak może na — politykę wewnętrzną w Austrii.

Jeżeli wojna między Japonią a Rosyą wywoływała już z samego początku takie skutki w państwach, w oddali stojących, jeżeli wpływała ona także już na pewne kształtowanie się stosunków na bliskim Wschodzie, to nie brak było z drugiej strony głosów, które twierdziły, że wpłynie ona może także i na rozwój polityki wewnętrznej samej Rosyi. Właściwie wydawałby się ten wniosek najwięcej logiczny. Wszak dotychczasowy przebieg wojny okazał, że system rządzenia w Rosyi, który nie potrafił nawet wytworzyć silnego wojska i nie poczynił przygotowań wojennych w należyтым czasie, że taki system nie wiele musi być wart dla samego absolutyzmu jeżeli już nie zważa się zupełnie na interesa ludności. Wszak każdy absolutyzm oparty jest w pierwszej linii na wojsku, na aureoli niezwyciężalności armii. Jeżeli się okaże, że ta podstawa jest słaba, to cierpi w pierwszej linii na tem sam system absolutyzmu.

Cały świat zajęty był walką na krańcach Europy i Azji — jedynie Francya zajęta była inną walką — walką przeciwko Ojcu św. P. Loubet złożył, jak wiadomo, wizytę królowi włoskiemu w Kwirynale, przeciwko której wizycie kurya wniosła protest. Że Stolica św. inaczej postąpić nie

mogła, to łatwo pojąć, jeżeli się zważy, że p. Loubet jest głową państwa, *par excellence*, katolickiego. W chwili, w której p. Loubet ukazał się w Kwirynale, pewnem było, że Stolica św. wniesie przeciwko temu protest, albowiem Stolica św. zasadniczego stanowiska raz przyjętego, opuścić nie może. Na ten protest rząd francuski odpowiedział najpierw w ten sposób, że, uważając go za wmięszanie się w sprawy, podlegające samodzielnemu rozstrzygnięciu prezydenta Rzeczypospolitej, uznał protest za nie wniesiony. Sprawa została jednak skomplikowana przez to, że protest został nie tylko wniesiony w Paryżu, ale także udzielony do wiadomości innych rządów katolickich, i że w tym ostatnim tekście znachodziło się zdanie, jakie zostało podobno wypuszczone w tekście protestu, wniesionego w Paryżu. Że kurya udzieliła protest do wiadomości innych państw, to tłumaczy się tem, iż musiało jej oczywiście zależeć na udzieleniu pewnego rodzaju przestrogi, na wypadek, gdyby który z monarchów katolickich chciał pójść za przykładem p. Loubet. Co się zaś tyczy samej treści protestu, to odpowiadał on podobno w zupełności tekstowi, jaki przy innej sposobności przygotowano w Rzymie za pontyfikatu Leona XIII, pod kardynałem sekretarzem stanu Rampollą. Z całej tej sprawy skorzystały w pierwszej linii żywioły radykalne we Francyi, które dążą od dawna do rozdziału między Kościołem a państwem, jak również nieprzyjaciele obecnego sekretarza stanu p. Merry del Val, którzy twierdzili, że sposób wniesienia protestu był niezręczny i pod innym więcej doświadczonym sekretarzem stanu inaczej byłby wypadł. Sprawa wypadła tymczasowo dla obecnego ministra francuskiego p. Combes pomyślnie, albowiem przyniosła mu wotum zaufania ze strony izby i pewien rodzaj uznania parlamentarnego dla jego dotychczasowej polityki wobec Kościoła. Nie ulega wątpliwości, że jak zawsze tak i tym razem okaże się w końcu, że Kościół miał najzupełniejszą słusność i pomimo obecnego zerwania stosunków między rządem francuskim a kuryą, przyjdzie we Francyi do porozumienia się.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do Redakcyi „Przeglądu Polskiego“.

Siedm grzechów głównych w siedmiu kazaniach passyjnych, ułożył X. Zygmunt Chełmicki. (Warszawa, Gebethner Wolff, 1903, str. 111).

X. Władysław Szczepański T. J.: *Nowy index książek zakazanych, oraz jego uzasadnienie, dzieje i nowe prawo*. Rzecz o nowym indexie i komentarz do Konstytucyi Leona XIII: „Officiorum ac munerum“. (Kraków, nakładem wydawnictw „Apostolstwa Modlitwy“, czeionkami drukarni „Czasu“, 1903, str. XVIII i 388).

Nasza młodzież, przez Scriptora. „Materiały i myśli polityczne“. Tom I. Wydanie drugie, stereotypowe z dodatkiem rozdziału „Odpowiedź krytykom“. (Kraków, skład główny w drukarni W. L. Anczyca, 1903, str. 210).

Nasze stróńnictwa skrajne, przez Scriptora. „Materiały i myśli polityczne“. Tom II. (Kraków, 1903, str. XVII i 385).

Mickiewicza „*Pan Tadeusz*“ dla dorastającej obojej płci młodzieży wydał prof. J. O. Sędzimir. Tom II, III. (Rzeszów, 1903, str. 207, 177).

Listy pułkownika Eosandra do Fryderyka I, króla pruskiego, pisane z Benderu 1712 r. Przyczynek do dziejów Karola XII. Opracował Hr. Benzelstjerna - Engelström. (Poznań, czeionkami „Dziennika Poznańskiego“, 1902, str. 28).

Der Hass der Völker und die österreichischen Universitäten, von Jaroslau Goll. (Prag, 1902, Bursik u. Kohaut, str. 31).

Der wirtschaftliche Kampf der Deutschen mit den Polen um die Provinz Posen. Eine studie von Leo Wegener Dr. phil. (Posen, Verlag von Joseph Yolowicz, 1903, str. 319).

Rudyard Kipling: *Druga Księga Dżungli*. Przełożył z angielskiego Teodor Mianowski. Ilustrował Władysław

Witwicki. (Nakładem Księgarni Polskiej B. Polonieckiego we Lwowie, 1903, str. 225).

O źródłach niewiary, napisał X. Dr. Jan Żukowski, prof. Uniwersytetu Lwowskiego. (Lwów, 1903, str. 518).

Stanisław Koźmian: *Pisma polityczne*. (W Krakowie, czcionkami drukarni „Czasu“, 1903, str. 736).

Monografie w zakresie Dziejów Nowożytnych. Wydawca Szymon Askenazy. Tom I. *Rządy tymczasowe w Królestwie Polskiem. Maj — Grudzień 1815*, przez Józefa Bojasińskiego. (Warszawa, drukiem P. Laskauera i Sp., 1902, str. 269).

Reprodukcya w nauczaniu. Napisał Józef Dobrowolski. (Kraków, 1903, str. 23).

Dr. Mojżesz Schorr: *Żydzi w Przemysłu do końca XVIII wieku*. Opracowanie i wydawnictwo materiału archiwalnego. (Lwów, nakładem funduszu konkursowego, 1903, str. 294).

Dr. Stanisław Grabski: *Zarys rozwoju idei społeczno-gospodarczych w Polsce od pierwszego rozbioru do r. 1831*. Tom I. *Od pierwszego do trzeciego rozbioru*. Z pięciu portretami. (W Krakowie, w komisie u Spółki Wydawniczej Polskiej, 1903, str. 283).

Wspomnienia z lat ubiegłych. Listy do moich synów, skreślił Jenerał Władysław hr. Poniński. Z 7 portretami. (W Krakowie, czcionkami drukarni „Czasu“, 1902, str. 241).

Prof. M. Straszewski: *Fryderyk Paulsen o niemieckich uniwersytetach*. (Kraków, 1903).

Garść baśni ludu ruskiego (Ze wsi Naluża w powiecie trembowelskim), zebrał Stanisław Zdziarski. (W Krakowie, nakładem Akademii Umiejętności; 1902, str. 22).

Jerzy Moszyński: *Tydzień w Galicyi*. (W Krakowie, nakładem autora, 1902, str. 77).

Dzieła X. Waleryana Kalinki. Tom XII. *Pisma pomniejszych*. Część IV. Wydanie nowe. (Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie, 1903, str. 251).

Dr. Józef Flach: *Weimar*. (W Krakowie, czcionkami drukarni „Czasu“, 1902, str. 47).

Maurycy Straszewski: *Potrzeby Jagiellońskiej Wszelchnicy*. (Kraków, 1903).

Monografie w zakresie Dziejów Nowożytnych. Wydawca Szymon Askenazy. Tom II. *Miedzy Jeną a Tylżą, 1806—1807*, przez Macieja Loreta. (Warszawa, 1902, str. 165).

W. Heinrich: *Teorye i wyniki badań psychologicznych*. Część I. *Badania wrażeń zmysłowych*. (Warszawa, Wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego“, 1902, str. 307).

Kazimierz Wachowski: *Słowiańszczyzna zachodnia*. Studya historyczne. Tom I. (Warszawa, 1903, str. 267).

Henryk Struve: *Wstęp krytyczny do filozofii*. Wydanie trzecie. (Warszawa, 1903, str. 779).

Historya prawodawstwa rzymskiego, skreślił Fryderyk Zoll (starszy), prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego. Część I. *Historya organów ustawodawczych w państwie rzymskiem*. (Kraków, nakładem autora, 1902, str. 391).

PRZEGLĄD POLSKI.

Rok XXXVIII.

Kwartał IV.

(Kwiecień, Maj, Czerwiec).

Ogólnego zbioru tom 152.

(Zeszyty od 454 do 456).



W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI Drukarni „Czasu”.
1904.

SPIS RZECZY

zawartych w tomie IV rocznika XXXVIII.



	Str.
Z powodu trzynastowiekowego jubileuszu Grzegorza Wielkiego, przez Dr. Pawła Popiela	1
Z najnowszej literatury dramatycznej Niemiec, przez Dr. Józefa Flacha	14
Stronnictwa polityczne polskie pod rządem pruskim, przez Jana Żółtowskiego	55
Edyp Król. Tragedya Sofoklesa. Przełożył Kazimierz Morawski (dokończenie).	74
Z dziejów polsko-rosyjskich stosunków handlowych. Notatka historyczna, 1819 — 1832 (dokończenie), przez Jana Robaka	98
Twórczość liryków rzymskich, przez Dr. Tadeusza Sinkę	189
Zarys rozwoju idei społeczno-gospodarczych w Polsce od pierwszego rozbioru do r. 1831. Część II. (ciąg dalszy), przez Dr. Stanisława Grabskiego	206, 453
„Moje przepawy“. Pamiętnik Andrzeja hr. Zamoyckiego o czasach Powstania Listopadowego (1830—1831) (ciąg dalszy), z autografu wydał Alkar	243, 418
Pierwsza pielgrzymka polska u Piusa X, przez Stanisława Tarnowskiego	387
Sofoklesa „Antygona“ a Shelleya „Rodzina Cencich“, przez Dr. Stanisława Witkowskiego	402
Listy z Francyi. III. Z powodu wznowienia sprawy Dreyfusa. Polityka wewnętrzna i zewnętrzna. Muzyka („Pelleas i Melisanda“ p. Debussy), przez Roberta de Saint Maurice	276
Sprawy krajowe. XV. Nasze górnictwo. I. Węgłe i kruszce, przez Dr. Władysława Szajnochę. — XVI. Nasze górnictwo. II. Sól, воск ziemny i olej skalny, przez Dr. Władysława Szajnochę. — XVII. O galicyjskich kolejach lokalnych w przyszłości, przez Wiktora Kolosvary'ego	120, 307, 497

Kronika literacka	133, 325,	509
Z. Gloger: Encyklopedia Staropolska Ilustrowana. T. I, II, III, IV. — X. Piotr Skarga: Kazania Sejmowe (z przedmową I. Chrzanowskiego). — W. Gostomski: Z przeszłości i teraźniejszości.		
L. Barnay: Erinnerungen. 2 t. — P. Ghio: L'anarchisme aux États-Unis.		
Z literatury powieściowej. M. von Ebner-Eschenbach: Die arme Kleine. — H. Salus: Novellen des Lyrikers. — J. Blicher-Clausen: Kjeld. — F. Norris: The Octopus. — G. Atherton: The Doomsdwoman. — G. Atherton: The Aristocrats.		
W. Łoziński: Prawem i lewem.		
R. Hessen: Leben Shakespeare's. — E. Engel: Shakespeare-Rätsel. — W. Kienzl: Richard Wagner. — H. von Wolzogen: Wagner-Brevier. (R. Strauss: Die Musik).		
Z literatury powieściowej. W. S. Reymont: Chłopi. (I. Jesień. II. Zima).		
J. Kallenbach: Zygmunt Krasiński. Życie i twórczość lat młodych (1812 — 1838).		
P. Ernst: Henrik Ibsen. Die Dichtung. — H. Benzmann: Moderne deutsche Lyrik.		
Z literatury powieściowej. A. Paul: Die Madonna mit dem Rosenbusch. — R. Huldshiner: Die stille Stadt. — A. Hennigsen: Polen's Töchter.		
Teatr krakowski, przez Dr. Feliksa Konecznego.		
Muzyka w Krakowie, przez Witolda Noskowskiego	164, 346,	533
Przegląd polityczny, przez **	176, 161,	536
List z Poznania, przez Świdwę		375
Książę Ludwik Windisch-Graetz. Wspomnienie pośmiertne, przez Stanisława Tarnowskiego		184
Piotr Chmielowski. Wspomnienie pośmiertne, przez Dr. Józefa Tretiaka		382

„PRZEGLĄD POLSKI“

pismo naukowe i literackie, wychodzi rok trzydziesty ósmy w Krakowie, w pierwszych dniach każdego miesiąca, w zeszytach zawierających 10 — 12 arkuszy druku w 8^{co} (rocznie najmniej 12 arkuszy druku).

Wydawca i odpowiedzialny redaktor
Prof. Dr. Jerzy Mycielski.

Prenumerata „Przeglądu Polskiego“ z przesyłką pocztową wynosi:

	rocznie:	pólr.:	kwart.:
w Austrii . . .	Kor. 32.—	Kor. 16.—	Kor. 8.—
„ Niemczech. . .	Mk. 32.—	Mk. 16.—	Mk. 8.—
we Francyi, Belgii, Włoszech i w Ame- ryce	Fr. 40.—	Fr. 20.—	Fr. 10.—

Cena pojedynczego zeszytu Kor. 3.

Przedpłatę należy nadsyłać pod adresem Administracyi „Przeglądu Polskiego“: Księgarnia Spółki Wydawniczej Polskiej w Krakowie

Prenumeratę przyjmują wszystkie znaczniejsze księgarnie oraz urzędy pocztowe w kraju i za granicą.

Dla wszystkich osób stanu nauczycielskiego i dla duchownych prenumerata „Przeglądu Polskiego“ wynosi:

rocznie w Austrii	Kor. 24.—
„ w Niemczech	Mk. 24.—
„ we Francyi i t d.	Fr. 35.—

którą przyjmuje wyłącznie tylko Administracya.